



WŁADCA CIENI

CASSANDRA CLARE

MROCZNE INTRYGI

KSIĘGA DRUGA

POWIEŚĆ ZE ŚWIATA NOCNYCH ŁOWCÓW

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza. Kraina snu

Edgar Allan Poe *Kraina snu*

1. Martwa woda
2. Doliny bezdenne
3. Przeróżliwych wiedźm noclegi
4. Sfery, co we mgłach się promieniają
5. I na ziemi, i na niebie
6. Gdy wędrowiec się ukaże
7. Bezbrzeżnych mórz lazury
8. U tych rzek
9. Nasze światy
10. Tak chce Pan
11. Na czarnym tronie
12. U tych gór
13. Kraina snu
14. Przez zaćmione szkło

Część druga. Thule

15. Drogie widma
16. Gdy wędrowiec się ukaże
17. Opętany
18. Mara przeszłych dni
19. U tych borów
20. Bez wytchnienia
21. Przed otwartą źrenicą
22. I w wszetecznej każdej plamie
23. Pod błękitem z krwi płomienia
24. Serca bolejące
25. Dreszcz budzą i westchnienie
26. Idąc w ciemny szlak nieznany
27. Złe duchy
28. Duch, co błądzi ziemią tą
29. Ultima Thule

Podziękowania

WŁADCA CIENI
CASSANDRA CLARE

M R O C Z N E I N T R Y G I
KSIĘGA DRUGA

Przełożyli
Wojciech Szypuła i Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017

Tytuł oryginału:
Lord of Shadows. The Dark Artifices – Book Two

Copyright © 2017 by Cassandra Clare

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Cliff Nielsen

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-941-2
Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60
e-mail kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Jimowi Hillowi.

Powiedziałem: ból i smutek.

Odrzekł: wytrzymaj. Rana to miejsce, przez które wnika w ciebie Światło.

Rumi

Część pierwsza

Kraina snu

Kraina snu

Edgar Allan Poe

*Idąc w ciemny szlak nieznany,
Od złych duchów opętany,
Z krain, kędy bóstwo Noc
Samowładną dzierży moc
I w gwiaździstej lśniąc koronie
Na swym czarnym siedzi tronie,
Świeżom wrócił w nasze światy...
Spoza Thule lodowatej –
Z sfer, co we mgłach się promienia,
Poza Czasem i Przestrzenią.*

*Tam doliny są bezdenne,
Tam urwiska są kamienne,
Tam są głazy fantastyczne –
Letargiczne – magnetyczne –
I otchłanie – i pieczary –
I olbrzymich lądów jary –
Niepojętych kształtów mary –
Wiekuistych mgieł opary.
Niebotyczne dzikie góry
I bezbrzeżnych mórz lazury,
Mórz, co dyszą bez wytchnienia
Pod błękitem z krwi płomienia.
I jeziora nieskończone,
W martwą wodę skryształone,
W martwą wodę lodowatą,*

Śnieżnych lilij strojne szatą.

*U tych jezior nieskończonych,
W martwą wodę skryształonych,
W martwą wodę lodowatą,
Śnieżnych lilij strojnych szatą –
U tych gór – i u tych rzek,
Które szumią z wieku w wiek –
U tych borów – u tych błót,
Gdzie jaszczurek żyje ród –
U tych mrocznych kałuż brzegu,
Przeraźliwych wieżm noclegu,
I w wszetecznej każdej plamie,
I w rozpacznej każdej jamie,
Gdy tu błądzisz, wszędy ci
Zapomniana, nikła lśni
Jakaś mara przeszłych dni.
Zaczajone błędne twarze,
Gdy wędrowiec się ukaże,
Nagle jawią się jak cienie,
Dreszcz w nim budzą i westchnienie.
Drogie widma w białych szatach,
Niecielesne w obu światach –
I na ziemi – i na niebie –
Schodzą – niby mgła – do ciebie.*

*Bowiem sercom bolejącym
Kraj ten światem jest kojącym;
Tym, co męką dyszą bladą,
Kraj ten jest – jak Eldorado.
Bo wędrowiec, co tu zboczy,
Przez zamknięte widzi oczy,
Przed otwartą zaś źrenicą
Świat ten – wieczną tajemnicą.
Tak chce Pan, co zakaz święty*

*Dał powiece niezamkniętej.
Duch, co błądzi ziemią tą,
Przez zaćmione patrzy szkło.*

*Idąc w ciemny szlak nieznany,
Od złych duchów opętany,
Z krain, kędy bóstwo Noc
Samowładną dźierży moc
I w gwiaździstej lśnić koronie
Na swym czarnym siedzi tronie,
Świeżom wrócił w nasze światy...
Spoza Thule lodowatej^[1].*

¹ Przeł. Antoni Lange.

Martwa woda

Kit dopiero niedawno dowiedział się, czym jest cep bojowy, a teraz na ścianie nad jego głową wisiał cały zestaw takich cepów: lśniących, ostrych, zabójczych.

Nigdy dotąd nie widział takiego miejsca jak zbrojownia w Instytucie w Los Angeles. Ściany i posadzki były wyłożone srebrzystobiałym granitem, a rozmieszczone na całej długości pomieszczenia w regularnych odstępach marmurowe wyspy upodabniały je do sali muzealnej, w której wyeksponowano kostury i maczugi, sprytnie zaprojektowane laski, naszyjniki, buty i pikowane kurtki skrywające wąskie, płaskie ostrza do pchnięć i do rzucania, korbacze nabijane okrutnymi kolcami, kusze wszelkich możliwych typów i rozmiarów.

Na powierzchni granitowych wysp piętrzyły się błyszczące przyrządy z adamasu – przypominającej kwarc substancji, którą Nocni Łowcy wydobywali z ziemi i z której nikt inny nie potrafił wykuwać kling i steli. Bardziej jednak zaciekał Kita regał ze sztyletami.

Nie chodziło bynajmniej o to, że w jakiś szczególny sposób marzył o nauczaniu się walki sztyletem – w tej kwestii przejawiał zupełnie przeciętne zainteresowanie zabójczą bronią, jakie w jego mniemaniu podzielali chyba wszyscy nastolatki. Chociaż on akurat wolałby dostać do ręki pistolet maszynowy albo miotacz ognia. Te sztylety były jednak prawdziwymi dziełami sztuki, ich rękojeści – inkrustowane złotem i srebrem – mieniły się błękitnymi szafirami i rubinowymi kaboszonami i lśniły cierniowym deseniem z platyny i czarnych brylantów. Kitowi przychodziły do głowy co najmniej trzy osoby z Nocnego Targu, które bez zbędnych pytań zapłaciłyby fortunę za takie cacka.

Może nawet cztery.

Zdjął dzinsową kurtkę, którą miał na sobie – nie wiedział, do którego z Blackthornów pierwotnie należała; kiedy obudził się pierwszego ranka po przybyciu do Instytutu, zastał przy łóżku świeżo wyprany stosik ubrań – i narzucił pikowaną. Przejrzał się w lustrze w głębi sali: potargane blond włosy, blaknące sińce na bladej skórze. Otworzył wewnętrzną kieszeń kurtki i zaczął ją napychać sztyletami w pochwach, wybierając te z najozdobniejszych rękojęściami.

Drzwi zbrojowni się otworzyły. Kit upuścił trzymany w dłoni sztylet na półkę i pośpiesznie się odwrócił. Wydawało mu się, że niepostrzeżenie wymknął się z sypialni, ale jeżeli czegoś się podczas swojego krótkiego pobytu w Instytucie nauczył, to z pewnością tego, że Julian Blackthorn widzi wszystko, a jego rodzeństwo niewiele mniej.

Nie był to jednak Julian, lecz młody mężczyzna, który – choć Kit nigdy przedtem go nie widział – wydał mu się dziwnie znajomy. Był wysoki, miał potargane blond włosy i sylwetkę Nocnego Łowcy: szerokie ramiona, muskularne ręce. Spod kołnierzyka i mankietów koszuli wyzierały czarne linie Znaków, którymi Nocni Łowcy chronili się przed niebezpieczeństwem. Oczy nieznajomego miały niezwykle ciemnozłoty odcień. Podobnie jak wielu Nocnych Łowców, na jednym palcu nosił gruby srebrny pierścień.

Spojrzał na Kita, unosząc pytająco brwi.

– Lubisz broń, co?

– Jest spoko – odparł Kit i przesunął się nieznacznie w stronę jednego ze stołów. Modlił się w duchu, żeby sztylety w kieszeni kurtki nie zadźwięczały.

Mężczyzna podszedł do półki, na której przed chwilą bobrował Kit, i wziął do ręki upuszczony przez niego sztylet.

– Dobry wybór – powiedział. – Zwróciłeś uwagę na inskrypcję na rękojęści?

Kit niczego nie zauważył.

– To dzieło Waylanda Kowala, twórcy Durendala i Cortany. – Mężczyzna obrócił sztylet w palcach i odłożył go na miejsce. – Nie jest aż tak niezwykły jak Cortana, ale po rzuceniu zawsze wraca do ręki. To wygodne.

Kit odchrząknął.

– Musi być sporo wart – zauważył.

– Wątpię, by Blackthornowie palili się do sprzedania go – odparł cierpko

nieznajomy. – Nawiasem mówiąc, jestem Jace. Jace Herondale.

Zawiesił głos, jakby czekał na reakcję Kita, ale ten nie zamierzał niczego dać po sobie poznać. Znał nazwisko Herondale, znał je doskonale. Miał wrażenie, że było to jedyne słowo, jakie przez ostatnie dwa tygodnie słyszał od ludzi – ale to jeszcze nie znaczyło, że musi Jace’owi dać satysfakcję, jakiej ten wyraźnie oczekiwał.

– A ty jesteś Christopher Herondale – dodał niewzruszony jego milczeniem Jace.

– Skąd wiesz? – spytał Kit beznamiętnie. Nie cierpiał nazwiska Herondale. Nie cierpiał brzmienia tego słowa.

– Podobieństwo rodzinne. Jesteśmy do siebie podobni. Prawdę mówiąc, przypominasz mi wielu Herondale’ów, których portrety widziałem... – Jace się zawahał. – Poza tym Emma przesłała mi na komórkę twoje zdjęcie.

Emma. Emma Carstairs ocaliła Kitowi życie. Od tamtej pory niewiele rozmawiali. Po śmierci Malcolma Fade’a, Najwyższego Czarownika Los Angeles, zapanował chaos. Kit nie zajmował wysokiej pozycji na niczyjej liście znajomych, a poza tym nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Emma traktuje go jak dziecko.

– Zgadza się, jestem Kit Herondale. Wszyscy mi to powtarzają, ale to dla mnie nic nie znaczy. – Zaciśnął zęby. – Jestem Rook. Kit Rook.

– Wiem, co mówił ci ojciec, ale jesteś Herondale’em. A to coś znaczy.

– Tak? Niby co?

Jace oparł się plecami o ścianę tuż pod wyeksponowaną na niej kolekcją claymore’ów; Kit miał szczerą nadzieję, że któryś z mieczy spadnie mu na głowę.

– Wiem, że zdajesz sobie sprawę z istnienia Nocnych Łowców – powiedział Jace. – Wielu ludzi podziela tę świadomość, zwłaszcza mieszkańców Podziemnego Świata oraz Przyziemnych obdarzonych Widzeniem. A ty za takiego właśnie się uważałeś, prawda?

– Nigdy nie uważałem, że jestem przyziemny – odparował Kit. Czy Nocni Łowcy naprawdę nie rozumieli, jak to słowo brzmi w ich ustach?

Jace udał, że go nie słyszy.

– Mało kto poza Nefilim wie cokolwiek na temat społeczności Nocnych Łowców i ich historii – ciągnął. – Świat Nocnych Łowców składa się z rodów, których nazwiska otaczane są czcią. W każdym rodzie wiedza o jego historii

przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Przez całe życie wraz z nazwiskiem nosimy związaną z nim chwałę lub niesławę, dźwigamy brzemień dobrych i złych czynów naszych przodków. Staramy się być go godni, żeby nie dokładać ciężaru tym, którzy przyjdą po nas.

Skrzyżował ramiona na piersi. Nadgarstki i dłonie miał pokryte Znakami. Jeden z nich, na wierzchu lewej dłoni, przypominał otwarte oko. Kit już wcześniej zauważył, że wszyscy Nocni Łowcy go noszą.

– W naszej społeczności nazwisko jest bardzo ważne – mówił dalej Jace. – Herondale’owie od pokoleń kształtują losy Nocnych Łowców. Niewielu nas zostało. Prawdę powiedziawszy, uważano powszechnie, że ja jestem ostatnim z rodu; tylko Jem i Tessa wierzyli w twoje istnienie. I długo cię szukali.

Jem i Tessa. To oni wraz z Emmą pomogli Kitowi uciec przed demonami, które zabiły jego ojca. A potem opowiedzieli mu historię Herondale’a, który zdradził przyjaciół i uciekł, by rozpocząć nowe życie z dala od innych Nefilim – i zapoczątkować nowy ród.

– Słyszałem o Tobiasie Herondale’u – przyznał Kit. – Jestem więc potomkiem wielkiego tchórza.

– Ludzie nie są doskonali. Nie każdy w twojej rodzinie będzie fantastycznym człowiekiem. Ale kiedy znów zobaczysz Tessę, a zobaczysz ją na pewno, poproś, niech ci opowie o Willu Herondale’u. I o Jamesie Herondale’u. No i o mnie, ma się rozumieć – dodał skromnie Jace. – Wśród Nocnych Łowców jestem kimś. Nie chcę cię onieśmielać, to po prostu fakt.

– Nie czuję się onieśmielony. – Kit nie umiał wyczuć Jace’a. Kiedy mówił, błysk w jego oku sugerował, że nie mówi do końca poważnie, trudno jednak było mieć pewność. – Chciałbym pobyć trochę sam.

– Wiem, że musisz sporo przemyśleć. – Jace poklepał Kita po plecach. – Ja i Clary będziemy tu tak długo, jak długo możemy ci być potrzebni, żeby...

Impet klepnięcia w plecy przeniósł się na sztylety w kieszeni Kita. Jeden z nich zadźwięczał metalicznie i spadł na podłogę. Leżąc na niej, migotał jak oskarżycielskie oko.

– Aha... – powiedział Jace, przerywając przeciągające się milczenie. – Czyli jesteś złodziejem broni.

Kit, świadomy daremności ewentualnego zaprzeczenia, nie odpowiedział.

– Dobra, posłuchaj: ja rozumiem, że twój ojciec był kanciarzem, ale ty jesteś teraz Nocnym Łowcą i... Czekał no, co ty tam jeszcze masz pod tą kurtką? – spytał Jace. Wykonał jakiś skomplikowany ruch lewą stopą i leżący na posadzce sztylet podskoczył w powietrze, a wtedy Jace zręcznie go złapał. Rubiny na rękojeści roziskrzyły się światłem. – Zdejmij ją.

Kit bez słowa zdjął kurtkę i rzucił na stół. Jace odwrócił ją wnętrzem do góry i otworzył kieszeń na piersi. Przez chwilę obaj w milczeniu podziwiali lśnienie ostrzy i klejnotów.

– Ach tak... Domyślałam się, że planowałeś ucieczkę?

– A po co miałbym tu zostawać?! – zachnął się Kit. Wiedział, że nie powinien się złościć, ale nie potrafił się opanować. Tego było dla niego zbyt wiele: strata ojca, niechęć wobec Instytutu, zarozumiałstwo Nefilim, żądania, by przyjął nazwisko, które mu się nie podobało i do którego wcale nie zamierzał się przekonywać. – To nie jest miejsce dla mnie. Możesz mówić co chcesz o moim nowym nazwisku, ale dla mnie to są puste słowa. Jestem synem Johnny'ego Rooka. Przez całe życie dążyłem do tego, żeby być taki jak ojciec, a nie taki jak wy. Nie potrzebuję ani ciebie, ani nikogo z was. Potrzebne mi są tylko jakieś pieniądze na początek, żebym mógł otworzyć własnym kram na Nocnym Targu.

Złote oczy Jace'a zwęziły się i po raz pierwszy pod arogancką fasadą żartownisia Kit dostrzegł błysk nieprzeciętnego intelektu.

– A czym będziesz handlował? Twój ojciec sprzedawał informacje. Nawiązanie stosownych kontaktów zajęło mu wiele lat i kosztowało sporo złej magii. Chcesz tak jak on sprzedać swoją duszę, żeby wegetować na rubieżach Podziemnego Świata? Chcesz takiej samej śmierci? Widziałeś, jak zginął, prawda?

– To były demony...

– Owszem, tyle że ktoś je musiał nasłać. Strażnik nie żyje, ale to wcale nie znaczy, że nikt cię nie szuka. Masz piętnaście lat. Może ci się wydawać, że pragniesz śmierci, ale uwierz mi: to nieprawda.

Kit z wysiłkiem przełknął ślinę. Próbował sobie wyobrazić siebie stojącego za ladą straganu na Nocnym Targu. Od kilku dni zabawiał się takimi wyobrażeniami, prawda jednak była taka, że na Targu mógł się czuć bezpiecznie tylko dzięki ojcu. Ludzie bali się Johnny'ego Rooka. Co by się stało z Kitem bez ojcowskiej opieki?

– Ale ja nie jestem Nocnym Łowcą. – Powiódł wzrokiem po sali, po milionach egzemplarzy broni, stosach adamasu, pancerzach i pasach do noszenia oręża. To niedorzeczne. Nie był ninją. – Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

– Poczekaj jeszcze tydzień – poradził mu Jace. – Tydzień tutaj, w Instytucie. Daj sobie szansę. Emma mi opowiadała, jak odpędziłeś te demony, które zabiły twojego ojca. Tylko Nocny Łowca mógł tego dokonać.

Kit niewiele pamiętał z walki z demonami w rodzinnym domu, ale wiedział, że faktycznie zrobił to, o czym mówił Jace. Jego ciało przejęło kontrolę i po prostu walczył. I w dziwny, tajemniczy, niejasny sposób nawet mu się to podobało.

– Tym właśnie jesteś – ciągnął Jace. – Nocnym Łowcą. W twoich żyłach płynie krew aniołów. Jesteś Herondale’em. Nawiasem mówiąc, oznacza to, że nie tylko należysz do rodziny wybitnych przystojniaków, ale także do rodziny posiadającej sporo atrakcyjnych nieruchomości, takich jak dom w Londynie czy dworek w Idrisie, które zapewne są po części także twoją własnością. Tak tylko mówię, na wypadek gdyby cię to interesowało.

Kit spojrział na pierścień na lewej dłoni Jace’a: srebrny, ciężki i – na pierwszy rzut oka – stary. No i sporo wart.

– Słucham uważnie – powiedział.

– Daj sobie jeszcze tydzień, to wszystko. Zresztą... – Jace wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Żaden Herondale nie oprze się rzuconemu mu wyzwaniu.

* * *

– Teuthida? – powiedział do telefonu Julian, marszcząc brwi. – To... kałamarnica, prawda?

Odpowiedź była ledwie słyszalna. Emma rozpoznała głos Ty’a, ale nie zrozumiała słów.

– Tak, jesteśmy na molo – mówił tymczasem Julian. – Na razie niczego jeszcze nie widzieliśmy, ale dopiero co przyjechaliśmy. Przydałyby się tu wydzielone miejsca parkingowe dla Nocnych Łowców...

Jednym uchem słuchając słów Juliana, Emma rozglądała się dookoła. Słońce przed chwilą zaszło. Zawsze uwielbiała molo w Santa Monica, odkąd

w dzieciństwie rodzice przywieźli ją tutaj, żeby pograła w cymbergaja i pojeździła na staroświeckiej karuzeli. Przepadała za tutejszym śmieciowym jedzeniem: hamburgerami i koktajlami mlecznymi, smażonymi małżami i olbrzymimi świderkowatymi lizakami. Kochała Pacific Park – podupadłe wesołe miasteczko na samym koniuszku molo, skąd rozpościerał się widok na ocean.

Przez lata Przyziemni zainwestowali grube miliony dolarów w rewitalizację molo i zrobienie z niego atrakcji turystycznej. W Pacific Park pojawiło się mnóstwo nowiutkich, błyszczących atrakcji, stareńkie wózki, z których sprzedawano *churros*, zostały wyparte przez budki z tradycyjnie wyrabianymi lodami i półmiski homarów, ale deski pod stopami Emmy były jak dawniej wypaczone i sfatygowane po wieloletnim kontakcie ze słońcem i solą, powietrze nadal pachniało cukrem i wodorostami, karuzela po dawnemu wygrywała swoją mechaniczną melodyjkę, a przy odrobinie szczęścia nadal można było celnym rzutem monetą wygrać gigantyczną pluszową pandę. Pod molo zaś pozostały te same co niegdyś mroczne rewiry przyciągające błakających się bez celu Przyziemnych, a czasami także inne, bardziej złowieszcze istoty.

Na tym właśnie polega bycie Nocnym Łowcą, pomyślała Emma, zerknąwszy na olbrzymi diabelski młyn mrugający kolorowymi diodami. Kolejka Przyziemnych chętnych na przejażdżkę ciągnęła się przez całe molo. Za barierkami mieniła się granatowa woda, zwieńczona bielą w tych miejscach, gdzie przełamywały się fale. Nocni Łowcy doceniali piękno tworów Przyziemnych – światła diabelskiego młyna odbijały się w oceanie z taką intensywnością, jakby ktoś odpalał fajerwerki pod wodą: czerwone, niebieskie, zielone, fioletowe, złote... – ale widzieli też czający się wśród nich mrok. Groźbę. Zepsucie.

– Co się stało? – zainteresował się Julian.

Schował telefon do kieszeni kurtki bojowej. Wiatr – na molo zawsze wiało, niezmordowany powiew znad oceanu niósł zapach soli i odległych krain – rozwiewał mu falujące brązowe włosy, które wyglądały, jakby całowały jego policzki i skronie.

„Mroczne myśli”, chciała odpowiedzieć Emma, ale nie była w stanie tego zrobić. Kiedyś mogła powiedzieć Julianowi wszystko. Teraz nie mogła mu powiedzieć nic.

Odwróciła wzrok.

– Gdzie Mark i Cristina? – zapytała.

– Tam. – Wskazał wyciągniętą ręką. – Przy obręczach.

Emma spojrzała we wskazanym kierunku: przy jaskrawo pomalowanej budce tłoczyli się ludzie usiłujący zarzucić plastikową obręcz na szyjkę którejś z tuzina ustawionych w rzędzie butelek. Bardzo starała się nie poddać poczuciu wyższości, ale jednak tylko Przyziemni mogli uważać taką zabawę za trudną.

Mark, przyrodni brat Juliana, trzymał w dłoni trzy obręcze. Obok stała Cristina z ciemnymi włosami związanymi w schludny kok: zajadała się popcornem w karmelu i śmiała głośno.

Mark rzucił obręcze, trzy naraz. Każda poleciała w innym kierunku... i każda spadła na szyjkę innej butelki.

Julian westchnął ciężko.

– To by było tyle, jeśli chodzi o nierzucanie się w oczy.

Gapie przyjęli wyczyn Marka mieszaniną wiwatów i okrzyków niedowierzania. Na szczęście było ich niewiele i Markowi udało się odebrać nagrodę (schowaną w foliowej torebce) i wymknąć spod budki, nie wywołując większego zamieszania. We dwoje z Cristiną ruszyli w stronę Emmy i Juliana. Czubki szpiczastych uszu wyzierały mu spomiędzy jasnych loków, ale czar ochronny skrywał je przed wzrokiem Przyziemnych. Był półkrwi faerie; spuścizna Podziemnego Świata objawiała się w delikatności jego rysów, szpiczastych uszach, kanciastym zarysie oczu i ostrych kościach policzkowych.

– Czyli co mamy? Demoniczną kałamarnicę? – spytała Emma, głównie po to, żeby wypełnić ciszę zalegającą między nią i Julianem.

Ostatnio dużo było takich milczących chwil. Minęły zaledwie dwa tygodnie, odkąd wszystko się zmieniło, ale zmiana była ewidentna i Emma czuła ją w kościach. Julian trzymał ją na dystans, chociaż odkąd powiedziała mu o sobie i Marku, ani na moment nie przestał być skrupulatnie uprzejmy i miły.

– Na to wygląda – przytaknął.

Mark i Cristina znaleźli się już w zasięgu głosu. Cristina dojadła popcorn i smętnie popatrywała do torebki, jakby licząc na to, że zapas przysmaku w cudowny sposób się odnowi. Emma doskonale ją rozumiała.

Mark oglądał swoją nagrodę.

– Wspina się na molo od dołu, z boku, i porywa ludzi: najczęściej dzieciaki i w ogóle każdego, kto w nocy wychyli się przez poręcz, żeby zrobić zdjęcie – ciągnął Julian. – Chociaż z czasem staje się coraz bardziej bezczelna: podobno widziano ją w wesołym miasteczku, przy cybergaju... A co to takiego? Złota rybka?

Mark uniósł foliową torebkę wyżej: w środku pływała w kółko mała pomarańczowa rybka.

– To najlepszy patrol, jaki pamiętam – powiedział. – Nigdy przedtem nie wygrałem rybki.

Emma westchnęła w duchu. Ostatnie kilka lat Mark spędził w Dzikim Polowaniu, wśród najdzikszych i najbardziej anarchistycznych faerie, które pędziły po niebie na wszelkiej maści zaczarowanych rumakach – motocyklach, koniach, jeleniach, szczerzących kły ogarach – i rabowały pola bitew. Zabrane poległym kosztowności składały w daninie Dworom faerie. Mark całkiem nieźle się przystosował do życia w nowej rodzinie, wśród Nocnych Łowców, ale nadal zdarzały się momenty, w których zwyczajne życie go zaskakiwało.

Teraz też zwrócił uwagę, że wszyscy mu się przyglądają i pytająco unoszą brwi. Zaniepokojony objął delikatnie Emmę ramieniem, podsuwając jej torebkę z rybką.

– Wygrałem dla ciebie rybę, moja piękna – powiedział i pocałował ją w policzek.

To był słodki pocałunek, delikatny, miękki. Mark pachniał tak jak zawsze – jak zimne powietrze na dworze i zielone, żywe rośliny.

Emma musiała przyznać, że z ich reakcji i zdumionych spojrzeń Mark wyciągnął całkiem sensowny wniosek: wszyscy czekali, żeby oddał jej zdobytą nagrodę. Jakkolwiek by na to patrzeć, była przecież jego dziewczyną.

Spojrzała z troską na Cristinę, której oczy stały się nagle bardzo, bardzo duże. Julian wyglądał, jakby lada chwila miał zacząć wymiotować krwią, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy, bo natychmiast narzucił sobie obojętny wyraz twarzy. Mimo to Emma odsunęła się od Marka, uśmiechając się przepraszająco.

– Przy mnie długo by nie pożyła – wyjaśniła tonem usprawiedliwienia. –

Samym spojrzeniem morduję nawet kwiatki w doniczkach.

– Ja chyba też miałbym ten sam problem – przyznał Mark, zerknąwszy na rybkę. – Szkoda. Chciałem ją nazwać „Magnus”, bo ma błyszczące łuski.

Cristina zachichotała. Magnus Bane, Najwyższy Czarownik Brooklynu, miał słabość do brokatu.

– Chyba lepiej będzie, jak ją wypuszczę – uznał Mark i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, podszedł do barierki i opróżnił torebkę do oceanu.

– Powie mu ktoś, że złota rybka to gatunek słodkowodny i nie przeżyje w oceanie? – spytał półgłosem Julian.

– Raczej nie – odparła Cristina.

– Czyli Mark właśnie zamordował Magnusa? – zapytała Emma.

Zanim Julian zdążył odpowiedzieć, Mark okręcił się w miejscu. Miał śmiertelnie poważną minę.

– Właśnie zobaczyłem, jak coś wspina się po filarze molo. Coś bardzo, bardzo niehumanoidalnego.

Emmę przeszedł dreszcz. Demony zamieszkujące wody oceanu rzadko widywało się na lądzie. Miewała czasem koszmary senne, w których ocean wywracał się na nice i wyrzygiwał na plażę całą swoją zawartość – najeżone mackami i kostnymi wyrostkami oślizłe, poczerńnięte istoty, na wpół zmiażdżone ciśnieniem morskich głębin.

Wystarczyło kilka sekund, żeby wszyscy Nocni Łowcy dobyli broni: Emma ścisnęła w dłoniach swój miecz, otrzymaną od rodziców złotą Cortanę, Julian miał seraficką klingę, a Cristina nóż motylkowy.

– Dokąd to coś poszło? – zapytał Julian.

– Na koniec molo – odparł Mark.

Nie sięgnął na razie po broń, ale Emma doskonale wiedziała, jaki potrafi być szybki. W Dzikim Polowaniu nazywano go „elfim strzelcem”, tak pewnie posługiwał się łukiem i bronią miotaną.

– W stronę wesołego miasteczka – dodał.

– Pójdę tam – powiedziała Emma – a wy spróbujcie zepchnąć demona z molo. Mark, Cristina: zejździecie na dół i przechwyćcie go, gdyby próbował wycofać się do wody.

Ledwie zdążyli skinąć głowami, gdy Emma już puściła się biegiem. Wiatr tarmosił jej warkocz, kiedy, klucząc w tłumie, zbliżała się do rozświetlonego wesołego miasteczka. Czuła w dłoni ciepły, solidny dotyk Cortany; jej stopy

dosłownie frunęły nad sfatygowanymi deskami molo. Czowała się swobodna, wolna od trosk i zmartwień. Całe jej ciało i umysł koncentrowały się na czekającym ją zadaniu.

Kiedy tuż obok usłyszała czyjeś kroki, nie musiała spoglądać w bok, żeby rozpoznać Julesa. Stale jej towarzyszył, odkąd została Nocną Łowczynią. Razem przelewali krew. Wzajemnie ratowali sobie życie. Był częścią jej natury wojowniczką.

– Tam – usłyszała jego głos, ale sama też już dostrzegła to, co on: ciemna, przygarbiona sylwetka wspinała się po podporze diabelskiego młyna. Gondole wirowały w najlepsze, nieświadomi zagrożenia pasażerowie pokrzykiwali z zachwytu.

Emma wbiła się w kolejkę do diabelskiego młyna i zaczęła się przez nią przedzierać. Jeszcze przed dotarciem na molo nałożyli z Julianem stosowne runy i stali się niewidzialni dla Przyziemnych – co jednak nie oznaczało wcale, że nie mogą dać odczuć swojej obecności: Przyziemni krzyczeli i klęli zaskoczeni, gdy Emma łokciami i stopami torowała sobie drogę na czoło kolejki.

Jedna z gondol zjeżdżała właśnie na dół, para na początku kolejki – dziewczyna zjadająca fioletową watę cukrową i jej patykowały, odziany na czarno chłopak – szykowała się do wsiadania. Emma podniosła wzrok i zobaczyła teuthidę wijącą się wokół szczytu podpory młyna. Zakłęła pod nosem, roztrąciła chłopaka i dziewczynę i wskoczyła do gondoli. Ośmiokątne wnętrze było dość obszerne i obwiedzione ławeczką. Przy wtórze okrzyków zaskoczenia gondola ruszyła do góry i Emma zaczęła się oddalać od wywołanego przez siebie zamieszania. Chłopak i dziewczyna wydzielali się na biletera, a ludzie w kolejce krzyczeli na siebie nawzajem.

Gondola zakolebała się i rozbijała na boki, gdy Julian wylądował tuż obok Emmy. Wykręcił szyję i spojrzał do góry.

– Widzisz ją?

Emma wyteńczyła wzrok. Przed chwilą na pewno widziała demona, który jednak najwyraźniej zdążył już zniknąć. Widziany pod tym kątem diabelski młyn stanowił płataninę wirujących szprych, jaskrawych świateł i pomalowanych na biało żelaznych dźwigarów. Dwie następne gondole sunęły do góry puste: najwidoczniej tłum w kolejce jeszcze nie doszedł do ładu z nową sytuacją.

I dobrze, pomyślała Emma. Im mniej ludzi znajdzie się teraz na górze, tym lepiej.

– Zaczekaj – powiedział Julian.

Złapał ją za ramię i odwrócił w swoją stronę. Cała się spięła.

– Runy – wyjaśnił.

Dopiero teraz zauważyła, że trzyma w ręce stelę.

Wznosili się coraz wyżej. W dole było widać plażę, ciemną wodę omywającą piasek, a nieco dalej wzgórze Palisades Park, wznoszące się pionowo nad autostradą i zwieńczone zieloną obwódką drzew i zarośli. Gwiazdy były ledwie widoczne przy oślepiających światłach wesołego miasteczka.

Julian ujął Emmę za rękę – ani zbyt brutalnie, ani przesadnie łagodnie, raczej chłodno i beznamietnie. Odwrócił ją i szybkimi ruchami steli nakreślił linie runów: ochronnego, Szybkości, Zwinności i Wyostrzonego Słuchu.

Od dwóch tygodni nie byli ze sobą tak blisko. Emmie aż zakręciło się w głowie, jakby była odrobinę wstawiona. Julian pracował w skupieniu, z pochyloną głową. Mogła bez przeszkód mu się przyjrzeć.

Światła diabelskiego młyna zmieniły kolor na żółto-bursztynowy i kładły się na skórze Juliana złocistą poświatą. Włosy opadały mu na czoło delikatnymi falami. Wiedziała, jak miękką ma skórę w kącikach ust, знаła jego twarde, silne i tętniące życiem ręce. Rzęsy miał długie, gęste i tak ciemne, jakby podkreślił je węglem; podświadomie spodziewała się, że kiedy zamruga, czarny pył osypie mu się na policzki.

Był piękny. Zawsze taki był, tylko ona za późno to zauważyła, a teraz musiała stać z opuszczonymi rękami, mimo że całe jej ciało tęskniło za jego dotykiem. Nigdy więcej nie będzie mogła go dotknąć.

Skończył swoje dzieło, obrócił stelę w dłoni i podał Emmie rękojęścią naprzód. Wzięła ją bez słowa, a wtedy on odciągnął kołnierzyk koszuli, którą włożył pod strój bojowy. Skórę miał w tym miejscu mniej opaloną i o ton jaśniejszą niż na twarzy i rękach, a także poznaczoną licznymi bladymi śladami runów, które wyblakły po użyciu.

Musiała podejść bliżej, żeby nałożyć mu runy. Wykwitały kolejno spod grotu steli: Zwinność, Nocne Widzenie. Czubkiem głowy sięgała Julianowi do podbródka, oczy miała na wysokości jego grdyki i wyraźnie widziała, jak przełknął ślinę.

– Powiedz mi – odezwał się. – Powiedz tylko, że jesteś przy nim szczęśliwa. Przy Marku.

Gwałtownie zadarła głowę. Skończyła już nanosić Znaki. Julian wyjął stelę z jej znieruchomiłej dłoni. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów patrzył prosto na nią. Nocne niebo i morze – otaczające ich ze wszystkich stron, gdy zbliżali się do najwyższego punktu diabelskiego młyna – nadawały jego oczom granatowy odcień.

– Jestem szczęśliwa, Jules – odparła. Czymże było jedno kłamstwo więcej wśród tylu innych?

Kłamstwo nigdy nie przychodziło jej łatwo, ale uczyła się z tym sobie radzić. Okazało się, że potrafi kłamać, gdy zależy od tego bezpieczeństwo ludzi, których kocha.

– Tak jest... rozsądniej – dodała Emma. – Bezpieczniej dla nas obojga.

Łagodna linia jego ust stężała.

– Nie o to...

Emmie zaparło dech w piersi. Za plecami Juliana pojawiła się wijąca się, oleista sylwetka, która wczepiła się opatrzonymi rzęskami mackami w szprychę młyna i rozdziawiła szeroko pysk – idealny okrąg najeżony zębami.

– Jules! – wykrzyknęła Emma.

Wyskoczyła z gondoli i złapała się jednej z cienkich metalowych rozpór łączących szprychy. Wisząc na jednej ręce, drugą cięła Cortaną. Trafiła teuthidę w tej samej chwili, gdy ta stanęła dęba. Demon zawył. Emma krzyknęła, gdy krew teuthidy chlapnęła jej na szyję i zaczęła palić skórę.

Nóż przeszył okrągłe, żebrowane cielsko demona. Podciągnąwszy się na szprychę młyna, Emma zerknęła w dół i zobaczyła Juliana: przyczał się na krawędzi gondoli z drugim nożem gotowym do rzutu. Wyprostował ramię, przymierzył, rzucił...

I trafił od spodu w inną, pustą gondolę. Teuthida, niewiarygodnie szybka, chlasnęła mackami i zniknęła im z oczu. Emma słyszała, jak gramoli się w dół wśród płataniny stalowych dźwigarów tworzących szkielet diabelskiego młyna.

Schowała Cortaną do pochwy i zaczęła się zsuwać po szprysze. Diodowe światła wokół niej eksplodowały złotem i fioletem. Śliskie od krwi (własnej i demona) dłonie utrudniały jej zejście.

Widok ze szczytu młyna był osobliwie, wręcz absurdalnie piękny, morze i piasek rozpościerały się przed nią we wszystkich kierunkach, jakby zawisła na skraju świata. Czuła w ustach smak krwi i soli.

Nieco niżej dostrzegła Juliana, który również wyskoczył już z gondoli i zsuwał się po innej, niższej szprysze. Nagle spojrział na nią i wskazał coś wyciągniętą ręką. Spojrzała w tym kierunku.

Teuthida dotarła niemal do środka młyna. Jej macki chłostały powietrze i smagały serce konstrukcji młyna, wywołując drgania, które Emma wyraźnie czuła w kościach. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co zamierza demon... i zamarła. W samym środku kratownicy tkwiła potężna śruba mocująca do podpór całe obracające się koło. Teuthida szarpała ją ze wszystkich sił, usiłując wyrwać. Gdyby jej się udało, ogromne koło zerwałoby się z uwięzi i stoczyło z molo jak odczepione koło rowerowe. A wtedy... Emma nie miała złudzeń: żadna z osób znajdujących się na młynie lub w jego pobliżu nie miałaby szans na przeżycie. Koło runęłoby i zmiażdżyło gapiów.

Demony karmiły się zniszczeniem, energią śmierci. Teuthida mogłaby ucztować.

Diabelski młyn się zachwiał. Teuthida wczepiła się mackami w śrubę i zaczęła ją przekręcać. Emma zdwoiła szybkość ruchów, znajdowała się jednak za daleko od środka młyna. Julian był bliżej, ale ona dobrze wiedziała, w co jest uzbrojony: dwa noże już rzucił i pozostały mu tylko serafickie ostrza, za krótkie, by dosięgnął nimi demona. Wyciągnięty na stalowej szprysze spojrział na nią. Oplótł belkę lewą ręką, żeby nie spaść, i wyciągnął drugie ramię.

Od razu się zorientowała, co zamierza. Nie musiała się zastanawiać. Nabrała powietrza w płuca i puściła się szprychy.

Spadła na spotkanie Juliana, wyciągnąwszy rękę, żeby napotkać jego dłoń. Ich palce splotły się i zacisnęły; Julian stęknął, przejmując ciężar jej ciała. Bujnęła się w przód i w dół, lewą ręką ściskając jego prawą. Drugą dłonią dobytej Cortany. Niesiona siłą rozpędu zmierzała wprost do środka diabelskiego młyna.

Na jej widok teuthida zadarła łeb i Emma pierwszy raz zobaczyła jej oczy: owalne, pokryte ochronną lustrzaną powłoką. Zdawało się, że ze zdumienia rozszerzyły się niemal jak oczy człowieka, gdy Emma z całej siły pchnęła

Cortaną. Ostrze przeszło łeb demona i dosięgło mózgu.

Teuthida zamłóciła mackami w ostatnim śmiertelnym spazmie, a potem jej ciało odpadło od kratownicy, ześliznęło się po jednej z biegnących ku dołowi szprych i spadło.

Emma odniosła wrażenie, że usłyszała odległe pluśnięcie, nie miała jednak czasu na rozmyślanie. Julian zacisnął dłoń na jej dłoni i próbował wciągnąć ją do siebie. Wepchnęła Cortaną z powrotem do pochwy, zanim ją podciągnął, i opadła niezręcznie wprost na niego.

Nadal ścisnął ją za rękę i dyszał ciężko. Przez sekundę patrzyli sobie w oczy. Diabelski młyn wirował wokół nich, niosąc ich ku ziemi. Emma widziała kłębiący się na plaży tłum Przyziemnych, wodę mieniącą się przy brzegu, dostrzegła nawet dwie postaci, ciemnowłosą i jasnowłosą, które mogły być Markiem i Cristiną...

– Tworzymy zgrany zespół – powiedział Julian.

– Wiem – zgodziła się z nim.

To właśnie było najgorsze: że miał rację. Nadal doskonale współdziałali jako *parabatai*. Wojownicy-partnerzy. Idealna para żołnierzy, którzy nigdy, przenigdy nie powinni zostać rozdzieleni.

* * *

Mark z Cristiną czekali na nich pod moło. Mark zdjął buty i wszedł do wody. Cristina właśnie chowała swój nóż motylkowy. Tuż obok niej na piasku wysychała oślizła plama.

– Widzieliście, jak kałamarnica zleciała z diabelskiego młyna? – spytała Emma, gdy podeszli z Julianem bliżej.

Cristina pokiwała głową.

– Spadła na płyciznę. Nie była martwa, więc Mark wywlókł ją na plażę i tam razem ją wykończyliśmy. – Kopnęła plamę na piasku. – Obrzydlistwo. Mark cały umazał się śluzem.

– Mnie demon obryzgał krwią. – Emma spojrzała na swój zachlapany strój. – Wyjątkowe paskudztwo.

– Mimo to nadal wyglądasz pięknie – wtrącił z szarmanckim uśmiechem Mark.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi – lekko, bo tylko na to mogła się zdobyć.

Była mu niezmiernie wdzięczna, że bez słowa skargi gra swoją rolę, chociaż przecież cała ta sytuacja musiała mu się wydawać dziwna. Cristina uważała, że znajdował w tej grze coś dla siebie, ale Emma nie miała pojęcia, co by to mogło być. Nie lubił przecież kłamać; spędził tyle czasu wśród faerie, które były niezdolne do mówienia nieprawdy, że kłamstwo wydawało mu się sprzeczne z naturą.

Julian oddalił się i w tej chwili rozmawiał półgłosem przez telefon. Mark wyszedł z wody i wzuł buty na mokre stopy. Ani on, ani Cristina nie mieli na sobie pełnego zaklęcia niewidzialności i uwagi Emmy nie uszły spojrzenia przypadkowych gapiów, gdy Mark szedł w jej stronę: był wysoki, piękny, a jego oczy pały blaskiem jaśniejszym od światła diabelskiego młyna. A poza tym jedno oko miał niebieskie, a drugie złote.

W dodatku miał w sobie coś niezwykłego, coś dziwnego w trudny do określenia sposób, jakiś ślad dzikości faerie, który za każdym razem wywoływał u Emmy skojarzenia z rozległymi, bezkresnymi przestrzeniami, wolnością i samowolą. „Jestem zagubionym chłopcem”, mówiło jego spojrzenie. „Znajdź mnie”.

Podszedł i wyciągnął rękę, żeby odgarnąć jej z czoła pukiel włosów. Emmę przeszła fala uczuć – smutku i uniesienia jednocześnie, tęsknoty za czymś nieokreślonym.

– Rozmawiałem z Dianą – wyjaśnił Julian.

Nie musiała na niego patrzeć, żeby wiedzieć, jaki ma wyraz twarzy: poważny, zamyślony, skupiony na rozważaniu wszystkich aspektów sytuacji.

– Przyjechali Jace i Clary, mają wiadomość od pani Konsul. Będzie spotkanie w Instytucie. Mamy się tam natychmiast stawić.

Doliny bezdenne

Udali się prosto do biblioteki, nie tracąc czasu na pozbycie się broni i strojów bojowych. Dopiero kiedy wparowali do sali bibliotecznej, Emma zdała sobie sprawę, że cała ich czwórka jest umazana krwią demona, więc może jednak warto było przynajmniej wziąć prysznic.

Dach biblioteki, uszkodzony dwa tygodnie wcześniej, został pośpiesznie naprawiony. Witrażowy świetlik zastąpiono płytą zwykłego zbrojonego szkła, a subtelne rzeźbienia stropowe osłonięto warstwą porytego runami jarzębinowego drewna.

Drewno jarzębiny miało właściwości ochronne: zabraniało czarnej magii przystępu do wnętrza. Oddziaływało także na faerie – Emma zwróciła uwagę, że przy wejściu Mark wzdrygnął się i zerknął na boki. Wyjaśnił jej kiedyś, że jarzębinowe drewno przyprawia go o ogniste ciarki na całej skórze. Zastanawiała się, jaki wpływ miałyby na czystej krwi faerie.

– Cieszę się, że mogliście przybyć – zagaiła Diana.

Siedziała u szczytu jednego z długich bibliotecznych stołów. Włosy związała w elegancki koczek, gruby złoty łańcuch kontrastował z jej ciemną skórą, a czarno-biała sukienka była – jak zwykle – idealnie wyprasowana i nieskazitelnie czysta.

Obok niej zasiadał Diego Rocio Rosales, ważny z punktu widzenia Clave jako doskonale wyszkolony Centurion, z punktu widzenia Blackthornów zaś jako posiadacz przydomka „Idealny Diego”. Naprawdę był irytująco wręcz doskonały: nedorzecznie przystojny, świetny w walce, inteligentny i nienagannie uprzejmy. Poza tym złamał Cristinie serce, zanim wyjechała z Meksyku, co w normalnych okolicznościach oznaczało, że Emma powinna planować zamach na jego życie – tyle że nie mogła tego zrobić, ponieważ dwa tygodnie temu Diego i Cristina znów się zeszli.

Teraz Diego przywitał Cristinę uśmiechem, w którym błysnęły równe białe zęby. Na ramieniu lśniła mu centuriońska odznaka; na srebrnym tle wyraźnie rysowały się słowa *Primi Ordines*. Nie był zwyczajnym Centurionem, lecz członkiem Pierwszej Kompanii gromadzącej najlepszych absolwentów Scholomancji, ponieważ – jakżeby inaczej – był idealny.

Naprzeciw Diany i Diego siedziały dwie osoby, które Emma dobrze знаła: Jace Herondale i Clary Fairchild stojący na czele Instytutu w Nowym Jorku – chociaż kiedy Emma ich poznała, byli zaledwie nastolatkami, w takim samym wieku, jak ona w tej chwili. Jace z wiekiem wypracował sobie wdzięczny wizerunek rozczochanego przystojniaka. Clary miała rude włosy, pałające determinacją zielone oczy i zwodniczo delikatną twarz. Miała również stalową wolę, czego Emma nie bez powodu była doskonale świadoma.

Clary rozpromieniła się i zerwała od stołu. Jace tylko rozparł się wygodniej na krześle i uśmiechnął.

– Wróciłaś! – zawołała Clary, wybiegając Emmie na spotkanie.

Miała na sobie dzinsy i powyciąganą koszulkę z krótkim rękawem z napisem MADE IN BROOKLYN, która zapewne w przeszłości należała do jej najlepszego przyjaciela, Simona. Koszulka była miękka i znoszona, dokładnie tak jak T-shirty, które Emma czasem podkradała Julianowi, a potem odmawiała ich zwrotu.

– Jak wam poszło z demoniczną kałamarnicą?

Emma nie zdążyła odpowiedzieć, bo utonęła w uścisku Clary.

– Świetnie – wyręczył ją Mark. – Naprawdę świetnie. Te kałamarnice są takie... pełne płynu.

Sprawał wrażenie autentycznie zadowolonego.

Clary wypuściła Emmę z objęć i z marsową miną obrzuciła spojrzeniem krew demona, morską wodę i trudny do zidentyfikowania śluz, które przeniosły się na jej koszulkę.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedziała.

– Ja przywitam was na odległość. – Jace pomachał im ręką. – Jakoś niepokojąco zalatuje od was kalmarem.

Odpowiedział mu chichot, który jednak szybko ucichł. Emma podniosła wzrok i dostrzegła dwie pary nóg dyndających spomiędzy balasków barierki na piętrze. Z rozbawieniem rozpoznała długie kończyny Ty'a i wzorzyste

pończoszki Livvy. Na piętrze nie brakowało zakamarków, które idealnie nadawały się do podsłuchiwania; nie umiałyby zliczyć, ile razy w dzieciństwie podsłuchiwali z Julianem Andrew Blackthorna i jego gości, chłonąc wiedzę i napawając się doniosłością chwili, jaką zawsze niosły ze sobą zebrania Konklawe.

Zerknęła z ukosa na Juliana. Podobnie jak ona, on również zarejestrował obecność Ty'a i Livvy i – podobnie jak ona – postanowił o tym nie wspominać. Cały jego proces myślowy odczytała z charakterystycznego półuśmieszku. Aż dziwne, z jaką łatwością umiała go rozszyfrować w tych chwilach, gdy się nie pilnował – i jak niewiele wiedziała o tym, co naprawdę myśli, gdy postanawiał to przed nią ukryć.

Cristina podeszła do Diego i lekko szturchnęła go dłonią w ramię. Ucałował jej nadgarstek. Emma zauważyła, że Mark przygląda się im z nieprzeniknioną miną. Przez ostatnie dwa tygodnie opowiadał jej o wielu rzeczach, ale nigdy nie mówił o Cristinie. Nigdy.

– To ile to będzie tych morskich demonów? – spytała Diana. – Tak... łącznie?

Dała im znać, żeby usiedli przy stole, co też zrobili przy wtórze wilgotnych młśni i chlupotów. Emma zajęła miejsce obok Marka, naprzeciwko Juliana, który odpowiedział Dianie tak spokojnym tonem, jakby krew demonów wcale nie skapywała mu z ubrania na lśniąca posadzkę:

– Przez ostatni tydzień trafiło się kilka pomniejszych, ale to normalne po sztormie: fale wyrzucają je na brzeg. Kontrolowaliśmy swój teren, Ashdownowie patrolowali swój odcinek... Myślę, że dopadliśmy wszystkie.

– Ten był pierwszy naprawdę duży – uzupełniła Emma. – Takie okazy widziałam wcześniej dosłownie parę razy. Zwykle nie wychodzą z wody.

Jace i Clary spojrzeli po sobie znacząco.

– Powinniśmy o czymś wiedzieć? – zainteresowała się Emma. – Czyżbyście kolekcjonowali największe morskie demony, żeby dekorować nimi swój Instytut?

Jace pochylił się i oparł łokcie na stole. Miał spokojną, nieco kocią twarz i nieprzeniknione bursztynowe oczy. Clary powiedziała kiedyś, że kiedy po raz pierwszy go zobaczyła, pomyślała, że przypomina lwa – i Emma rozumiała teraz, co miała na myśli. Lwy też wydają się takie spokojne,

niemal leniwe, do chwili gdy nagle nie rzuca się do działania.

– Chyba powinniśmy porozmawiać o powodach naszych odwiedzin – stwierdził Jace.

– Myślałem, że chodzi o Kita – odparł Julian. – O to, że okazał się Herondale’em i tak dalej...

Z góry dobiegł szelest i ciche mamrotanie. Przez kilka ostatnich nocy Ty sypiał pod drzwiami pokoju Kita; było to dziwne zachowanie z jego strony, ale nikt go nie komentował. Emma uznała, że Kit zaintrygował Ty’ą w taki sam sposób, w jaki czasem intrygowały go pszczoły i jaszczurki.

– Po części tak – zgodził się Jace. – Uczestniczyliśmy niedawno w zebraniu Rady w Idrisie. To dlatego tyle czasu zabrało nam dotarcie tutaj, mimo że odkąd dowiedziałem się o Kicie, chciałem tu przybyć jak najszybciej. – Rozsiadł się na krześle i przerzucił ramię przez oparcie. – Na pewno nie zaskoczę was, kiedy powiem, że historia Malcolma wywołała burzliwą dyskusję.

– Masz na myśli historię, w której Najwyższy Czarownik Los Angeles okazał się seryjnym mordercą oraz nekromantą na dokładkę? – upewnił się Julian.

Ton jego głosu niósł niewypowiedziane wprost zarzuty: Clave nie podejrzewało Malcolma o nic złego, zaakceptowało jego nominację na stanowisko Najwyższego Czarownika i nie zrobiło nic, by powstrzymać dokonaną przez niego serię morderstw. To Blackthornowie musieli się tym wszystkim zająć.

Z góry znów dobiegł chichot. Diana odkaszlnęła, żeby ukryć uśmiech.

– Wybaczcie – zwróciła się do Jace’a i Clary – chyba załęgły się u nas myszy.

– Ja nic nie słyszałem – odparł Jace.

– Jesteśmy trochę zaskoczeni, że spotkanie Rady tak szybko się zakończyło – przyznała Emma. – Spodziewaliśmy się, że każą nam zeznawać na temat Malcolma i wszystkiego, co się wydarzyło.

Składali już kiedyś zeznania przed Radą, przed laty, po Mrocznej Wojnie. Nie było to doświadczenie, o którego powtórzeniu Emma marzyła, ale przynajmniej mieliby okazję przedstawić swoją wersję wydarzeń; usprawiedliwić fakt podjęcia współpracy z faerie i naruszenia postanowień Zimnego Pokoju; wytłumaczyć, dlaczego zaczęli prowadzić własne śledztwo

w sprawie Najwyższego Czarownika Los Angeles Malcolma Fade'a i postanowili nie informować Clave o tym fakcie; powiedziec, co zrobili, gdy stwierdzili, że jest winny ohydnych zbrodni.

Wyjaśnić, dlaczego Emma go zabiła.

– Opowiedzieliście już wszystko Robertowi, Inkwizytorowi – odparła Clary. – Uwierzył wam i zeznawał na waszą korzyść.

Julian uniósł brew. Robert Lightwood, Inkwizytor Clave, nie był człowiekiem przyjaznym i serdecznym z natury. Powiedzieli mu, co się stało, bo nie mieli innego wyjścia, ale nie wyglądał im na kogoś, kto by komukolwiek chciał wyświadczyć przysługę.

– Robert nie jest taki zły – wtrącił Jace. – Naprawdę. Złagodniał, odkąd został dziadkiem. Poza tym prawda jest taka, że Clave bardziej niż wami zainteresowało się Czarną Księgą.

– Najwidoczniej nikt nie wiedział, że przez cały czas znajdowała się w tutejszej bibliotece – podjęła Clary. – Instytut w Kornwalii słynie z obszernego księgozbioru poświęconego czarnej magii; mają oryginał *Malleus Maleficarum*, mają *Daemonatia*... Dlatego wszyscy myśleli, że Czarna Księga też jest u nich bezpiecznie trzymana pod kluczem.

– W przeszłości Blackthornowie kierowali Instytutem w Kornwalii – powiedział Julian. – Może ojciec przywiózł ją ze sobą, kiedy przeniesiono go tutaj. – Był wyraźnie zatroskany. – Chociaż nie mam pojęcia, po co mógłby chcieć ją mieć przy sobie.

– A może to Arthur ją przywiózł? – zasugerowała Cristina. – Zawsze fascynowały go stare księgi.

Emma pokręciła głową.

– Wykluczone. Musiała już tu być, kiedy Sebastian zaatakował Instytut, a to było jeszcze przed przybyciem Arthura.

– Jak wiele wspólnego miał fakt, że nie wezwali nas na przesłuchanie, z planowaną dyskusją o tym, czy pozwolą mi zostać? – zainteresował się Mark.

– Trochę miał. – Clary spojrzała mu w oczy. – Ale zrozum, Mark: nigdy byśmy się nie zgodzili, żeby odesłano cię z powrotem do Polowania. Wszyscy by się zbuntowali przeciw Clave.

Diego pokiwał głową.

– Dyskusja rzeczywiście się odbyła i Clave nie ma nic przeciwko temu,

żeby Mark został tutaj, w rodzinie. Pierwotna decyzja zabraniała Nocnym Łowcom poszukiwania go, ale w tym wypadku to on przyszedł do was, nie odwrotnie, a zatem zakaz nie został złamany.

Mark sztywno skinął głową. Nigdy nie przepadał za Idealnym Diego.

– Poza tym możecie mi wierzyć, że Clave z przyjemnością wykorzystało tę furtkę w prawie – dodała Clary. – Chyba nawet najbardziej zapiekli wrogowie faerie współczują Markowi po tym, przez co przeszedł.

– Ale Helen już nie współczują? – mruknął Julian. – Są jakieś wieści o jej powrocie?

– Żadnych – odparł Jace. – Przykro mi. Clave nie chce o tym słyszeć.

Na twarzy Marka odmalowało się napięcie. Nagle Emma dostrzegła w nim wojownika, mroczny cień nawiedzający pola bitew i kroczący wśród ciał poległych.

– Będziemy ich dalej naciskać – obiecała Diana. – Odzyskanie ciebie, Marku, to wielki triumf, trzeba wykorzystać impet tego zwycięstwa i nie ustępować, ale na razie...

– Co na razie? – wszedł jej w słowo Mark. – Kryzys został chyba zażegnany, prawda?

– Jesteśmy Nocnymi Łowcami – przypomniał mu Jace. – Musisz się nauczyć, że kryzys trwa wiecznie.

– Na razie – podjęła przerwany wątek Diana – Rada dyskutuje o nienotowanej nigdy przedtem liczbie dużych morskich demonów, jakie pojawiają się u wybrzeży całej Kalifornii. Przez ostatni tydzień widziano ich więcej niż wcześniej przez dziesięć lat. Teuthida, z którą walczyliście, nie była bynajmniej samotnym harcownikiem.

– Naszym zdaniem przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, że ciało Malcolma i Czarna Księga cały czas znajdują się gdzieś tam, w oceanie – powiedziała Clary. – Oraz, być może, czary rzucone przez Malcolma za życia.

– Ale przecież zaklęcia czarownika umierają razem z nim – zaproponowała Emma.

Pomyślała o Kicie. Nałożone przez Malcolma zaklęcia ochronne wokół domu Rooków rozproszyły się po jego śmierci. Wystarczyło wtedy kilka godzin, żeby demony przpuściły atak.

– Po tym, jak zginął, poszliśmy do jego domu – mówiła dalej – żeby poszukać dowodów jego działalności. Ale dom obrócił się w hałdę żużlu.

Jace zniknął pod stołem, skąd po chwili wynurzył się, trzymając w ramionach Churcha, na wpół etatowego mieszkańca Instytutu. Kot miał wyprostowane wszystkie cztery łapy i zadowoloną minę.

– Też tak myśleliśmy – powiedział Jace, sadzając go sobie na kolanach – ale Magnus twierdzi, że istnieją zaklęcia, które śmierć czarownika dopiero uruchamia.

Emma spojrzała wilkiem na Churcha. Wiedziała, że w przeszłości mieszkał w Instytucie w Nowym Jorku, ale okazywanie swoich preferencji w tak bezpośredni sposób zakrawało na impertynencję. Church leżał na grzbiecie na kolanach Jace'a, mrucał i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

– Jak alarm, który się włączy, kiedy otworzysz drzwi? – podsunął Julian.

– Otóż to – przytaknęła Diana – tyle że w tym wypadku to śmierć jest tym otwarciem drzwi.

– Jakie jest wobec tego rozwiązanie? – spytała Emma.

– Wygląda na to, że musimy odnaleźć jego ciało, żeby wyłączyć zaklęcie, jeśli można tak powiedzieć – odparł Jace. – Przydałaby się też jakaś wskazówka na temat tego, jak on to zrobił.

– Ruiny wężła geomantycznego zostały rzetelnie przeszukane – powiedziała Clary. – Na wszelki wypadek jutro jeszcze raz przeczeszemy dom Malcolma.

– Została z niego kupa gruzu – uprzedził ją Julian.

– Gruzu, który trzeba szybko uprzątnąć, zanim Przyziemni się nim zainteresują – zauważyła Diana. – Skrywający zgliszcza czar niewidzialności to rozwiązanie tymczasowe. Zostało nam dosłownie parę dni, żeby coś z tym zrobić.

– Nie zaszkodzi jeszcze raz się tam rozejrzeć – powiedział Jace. – Zwłaszcza po tym, jak Magnus doradził nam, czego właściwie należy szukać.

Podrapał Churcha za uchem, ale nie wyjaśnił, co dokładnie ma na myśli.

– Czarna Księga to potężny nekromancki rekwizyt – zauważył Idealny Diego. – Może powodować zaburzenia, których nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Wychodzące na ląd demony z morskich głębin stanowią zagrożenie dla Przyziemnych. Kilka osób już zniknęło z molo.

– Jutro przybędzie tu oddział Centurionów... – zaczął Jace.

– Centurionów? – powtórzył spanikowany Julian. W jego oczach

odmalowały się lęk i bezbronność, których jednak nikt poza Emmą chyba nie zauważył. – Po co?

Centurioni. Elita Nocnych Łowców, absolwenci Scholomancji, szkoły wykutej w skałach Karpat i oblewanej wodami lodowatego jeziora. Specjaliści od wszelkiej wiedzy ezoterycznej, faerie i Zimnego Pokoju.

A także, najwyraźniej, morskich demonów.

– To świetna wiadomość! – ucieszył się Idealny Diego.

Oczywiście, pomyślała Emma. Cóż innego miałyby powiedzieć?

Diego zrobił zadowoloną minę i musnął odznakę na ramieniu.

– Oni na pewno znajdą ciało i Księgę – dodał.

– Oby – mruknęła Clary.

– Ale wy już jesteście tutaj – zauważył Julian zwodniczo spokojnym tonem. – Razem z Jace’em znaleźliście Simona, Isabelle, Aleca, Magnusa... Na pewno moglibyście odszukać ciało.

Nie chce tu obcych, domyśliła się Emma. Nie chce, żeby ktoś zaczął wtykać nos w sprawy Instytutu, domagać się rozmowy z wujem Arthurem. Strzegł instytutowych sekretów przez cały czas, aż do zakończenia sprawy Malcolm’a, a teraz zagrażali im jacyś przypadkowi Centurioni.

– Wpadliśmy przejazdem – wyjaśnił Jace. – Nie możemy tu zostać i szukać, chociaż chcielibyśmy to zrobić. Rada wyznaczyła nam zadanie.

– Jakie? – zainteresowała się Emma.

Zachodziła w głowę, jaka misja mogła być ważniejsza od odzyskania Czarnej Księgi i posprzątania raz na zawsze bałaganu, jaki zostawił po sobie Malcolm, ale po spojrzeniach, jakie wymienili Jace i Clary, zorientowała się, że istnieją sprawy o wiele ważniejsze, sprawy, jakich nawet sobie nie wyobrażała. Nic nie mogła poradzić na wewnętrzną eksplozję rozgoryczenia; chciałaby być ociupinę starsza, równa Jace’owi i Clary. Chciałaby znać ich tajemnice i sekrety Rady.

– Ogromnie mi przykro – powiedziała Clary. – Nie możemy zostać.

– To znaczy... w ogóle was tu nie będzie? – spytała z niedowierzaniem Emma. – Sytuacja jest trudna, nasz Instytut znalazł się pod ostrzałem...

– Emmo – przerwał jej Jace – rozumiemy, że przyzwyczailiście się tutaj do spokojnego i beztroskiego życia. I do tego, że odpowiadacie tylko przed Arthurem.

Ach, gdyby znał prawdę... Ale to nie wchodziło w grę.

– Jednakże Instytut jest czymś więcej niż tylko centrum operacyjnym Clave – ciągnął Jace. – Musi zapewnić dach nad głową Łowcom, którzy przybędą do obcego miasta. Macie pięćdziesiąt pustych, nieużywanych pomieszczeń. Dlatego jeśli nie ma żadnego ważnego powodu, dla którego Centurioni nie mieliby zostać tu zakwaterowani... – Jego słowa zawisły w powietrzu.

Diego spuścił wzrok na swoje dłonie. Nie znał całej prawdy o Arthurze, ale z pewnością niejednego się domyślał.

– Możecie nam powiedzieć – zapewniła Clary. – Zachowamy tę wiedzę dla siebie.

Ale to nie Emma decydowała o ujawnieniu lub zachowaniu tajemnicy. Powstrzymała się od spojrzenia na Marka, Cristinę, Dianę i Juliana – czyli wszystkich tych przy stole, którzy wiedzieli, kto naprawdę kieruje Instytutem. Tę prawdę należało za wszelką cenę ukryć przed Centurionami, ci bowiem byliby zobowiązani ujawnić ją Radzie.

– Jak zapewne wam wiadomo, wuj Arthur podupadł na zdrowiu – odparł Julian, wskazując puste krzesło, na którym zazwyczaj zasiadał szef Instytutu. – Mam obawy, czy przybycie Centurionów dodatkowo mu nie zaszkodzi. Jednakże zważywszy na charakter i znaczenie ich misji, dołożymy wszelkich starań, by należycie ich przyjąć.

– Od czasu Mrocznej Wojny Arthura często dręczą silne migreny – dodała Diana. – Dokuczają mu też stare rany. Będę pośredniczyła w jego kontaktach z Centurionami, dopóki nie poczuje się lepiej.

– Naprawdę niepotrzebnie się tak martwicie – wtrącił Diego. – To Centurioni, zdyscyplinowani żołnierze. Nie miewają żadnych nierozważnych zachcianek ani nie będą urządzali tu szalonych imprez. – Objął ramieniem Cristinę. – Cieszę się, że poznasz niektórych moich przyjaciół.

Cristina uśmiechnęła się do niego, a Emma odruchowo spojrzała w stronę Marka: była ciekawa, czy patrzy na Diego i Cristinę w taki sposób, jak często mu się to zdarzało. Nie rozumiała, jak Julian może nie zauważać tych spojrzeń. Kiedyś w końcu zauważy, a wtedy zaczną się niewygodne pytania.

Kiedyś tak – ale nie dzisiaj, ponieważ w ciągu ostatnich kilku minut Mark niepostrzeżenie wymknął się z biblioteki. Zniknął.

* * *

Różne pokoje w Instytucie kojarzyły się Markowi z różnymi odczuciami, których większość od czasu powrotu była dla niego zupełnie nowa. W wyłożonej jarzębinowym drewnem bibliotece czuł się nieswojo. Przy wejściu do Instytutu, gdzie przed laty stawił czoło Sebastianowi Morgensternowi, przechodziły go ciarki, a krew burzyła mu się w żyłach. U siebie w pokoju czuł się samotny. U bliźniąt, Dru i Tavvy'ego mógł się zatracić w byciu ich starszym bratem. U Emmy czuł się bezpiecznie. Do pokoju Cristiny nie miał wstępu. U Juliana dręczyły go wyrzuty sumienia. A w sali treningowej czuł się Nocnym Łowcą.

Wyszedłszy z biblioteki, odruchowo skierował się do sali treningowej. Nadal nie umiał znieść tego, w jaki sposób Nocni Łowcy skrywali swoje emocje. Jak oni mogli żyć ze świadomością, że Helen wciąż przebywa na wygnaniu? On z trudem to znosił i codziennie tęsknie myślał o siostrze – a oni byliby skrajnie zaskoczeni, gdyby zakrzyknął głośno z tej tęsknoty albo osunął się na kolana. Było oczywiste, że Jules nie chce Centurionów w Instytucie, a mimo to wyraz jego twarzy pozostał praktycznie niezmieniony. Faerie mogły knuć, oszukiwać i mataczyć, ale nigdy nie ukrywały szczerego cierpienia.

To wystarczyło, żeby pchnąć go do stojaków z bronią. Jego dłonie same szukały czegoś, co pozwoliłoby mu się zatracić w treningowej rutynie. Diana miała kiedyś w Idrisie sklep z bronią, gdzie zawsze czekała na nich piękna kolekcja oręża ćwiczebnego: jednosieczne greckie machaery, wikińskie spathy, Zweihändery, claymore'y i drewniane japońskie bokkeny używane wyłącznie do treningów.

Przypomniała mu się broń faerie, miecz, który nosił u pasa w Dzikim Polowaniu. Faerie nie używały żelaza; kontakt z nim przyprawiał je o chorobę. Miecz, którym Mark posługiwał się w Polowaniu, był wykonany z rogu i bardzo lekki – lekki jak wystrzeliwane z łuku elfie groty; jak wiatr pod kopytami jego rumaka; jak powietrze wokół niego, gdy pędził po niebie.

Na próbę zdjął ze stojaka claymore i obrócił go w dłoni. Czuł, że ostrze wykonano ze stali – nie z czystego żelaza, lecz z jego stopu – ale nie cierpiał przy kontakcie z nim tak bardzo, jak cierpiałby czystej krwi faerie. Broń ciążyła mu w ręce, jednak od powrotu do domu wiele rzeczy odczuwał jako

dokuczliwe brzemie: ciężar pokładanych w nim nadziei i oczekiwań, wagę miłości do rodziny... Nawet udawany związek z Emmą. Ufał jej; nie wątpił, że postępuje właściwie. Jeżeli ona wierzyła w słuszność swojego postępowania, to on wierzył w nią – ale kłamstwo przychodziło mu z trudem, a okłamywanie najbliższych było wręcz nie do zniesienia.

– Mark?

To była Clary. Zaraz za nią do sali wszedł Jace. Spotkanie w bibliotece najwidoczniej dobiegło końca. Oboje zdążyli się już przebrać w stroje bojowe. Jaskraworude włosy Clary wyglądały jak plama krwi na tle jej ciemnego ubrania.

– Jestem tutaj – odparł i odłożył claymore na miejsce.

Księżyc w pełni wspiął się wysoko na niebo i jego białe światło sączyło się do środka przez okna. Na oceanie kreślił podobną do drogi świetlistą smugę, od miejsca, w którym niebo stykało się z widnokretem, aż do samej plaży.

Jace się nie odzywał; obserwował Marka półprzymkniętymi złocistymi oczami jak u jastrzębia. Mark przypomniał sobie, jak wyglądali oboje z Clary, kiedy spotkał ich niedługo po dołączeniu do Dzikiego Polowania. Ukrywał się w tunelach nieopodal Jasnego Dworu, gdy nagle wyszli mu na spotkanie. Na ich widok omal mu serce nie pękło: Nocni Łowcy z dumnie uniesionymi głowami przemierzali matecznik faerie. Nie byli zagubieni. Przed nikim nie uciekali. Niczego się nie bali.

Zastanawiał się wtedy, czy jeszcze kiedyś będzie odczuwał taką dumę; czy będzie równie nieustraszony jak oni. Kiedy Jace wcisnął mu w dłoń świecący kamień runiczny i powiedział: „Pokaż im, co jest wart Nocny Łowca. Pokaż im, że się nie boisz”, ze strachu zrobiło mu się niedobrze.

Nie lękał się o siebie, lecz o swoją rodzinę. Jaki los czekał ich w świecie targanym wojną, kiedy on nie będzie mógł ich chronić?

Odpowiedź brzmiała: wcale nie taki najgorszy. Jednak nie był im potrzebny. Mieli Julesa.

Jace usadowił się na parapecie okna. Oczywiście bardzo zmężniał od czasu, gdy pierwszy raz spotkali się z Markiem: był teraz wyższy, szerszy w ramionach, a przy tym nic nie stracił z dawnego wdzięku. Podobno nawet sama królowa Jasnego Dworu była pod wrażeniem jego urody i sposobu bycia, a rzadko się zdarzało, żeby człowiek był w stanie czymś zaimponować arystokracji faerie. Nawet Nocny Łowca.

Chociaż czasami się tak zdarzało – dowodziło tego samo istnienie Marka. Jego matka, lady Nerissa z Jasnego Dworu, pokochała Nocnego Łowcę, który stał się jego ojcem.

– Julian nie chce tu Centurionów – przemówił w końcu Jace. – Mam rację? Mark obrzucił ich oboje podejrzliwym spojrzeniem.

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Mark nie podzieli się z nami sekretami brata, Jace – wtrąciła Clary. – Ty byś zdradził tajemnicę Aleca?

Okno za plecami Jace’a było wysokie i idealnie przejrzyste, do tego stopnia, że Mark czasem wyobrażał sobie, że mógłby przez nie wyfrunąć.

– Być może – odparł Jace. – Gdybym robił to dla jego dobra...

Clary prychnęła z powątpiewaniem.

– Mark? – Spojrzała na Marka. – Potrzebujemy twojej pomocy. Mamy kilka pytań dotyczących Faerie, a także rozkładu pomieszczeń w Dworach, i nigdzie nie możemy znaleźć odpowiedzi: ani w Spiralnym Labiryncie, ani w Scholomancji.

– Poza tym, szczerze mówiąc, nie chcemy, żeby ktoś zwrócił uwagę, że się tym interesujemy – dodał Jace. – Nasza misja jest tajna.

– Udajecie się do Faerie?

Clary i Jace pokiwali głowami.

Mark nie posiadał się ze zdumienia. Nocni Łowcy nigdy nie czuli się zbyt swobodnie w Faerie, a od czasu zawarcia Zimnego Pokoju unikali tej krainy jak ognia.

– Po co? – Odwrócił się plecami do claymore’a. – To ma być jakaś zemsta? Za to, że Iarlath i niektórzy inni współpracowali z Malcolmem? Czy raczej chodzi o to, co przydarzyło się Emmie?

Emma nadal potrzebowała pomocy przy zmianie opatrunków; za każdym razem, gdy Mark oglądał przecinające jej skórę czerwone krechy, dręczyły go mdłości i wyrzuty sumienia. Były jak pajęczyna krwawych nici trzymająca go w więzach oszustwa, które ich połączyło.

– Nie chcemy nikogo skrzywdzić. – Clary posłała mu łagodne spojrzenie. – Nie ma mowy o żadnej zemście. Chodzi wyłącznie o informacje.

– Wy myślicie, że ja się martwię o Kierana! – uświadomił sobie Mark.

To imię więzło mu w gardle jak odłamany kawałek kości. Kochał Kierana, a ten zdradził go i wrócił do Polowania. Ilekroć Mark teraz o nim myślał,

za każdym razem miał wrażenie, że krwawi z jakiejś wewnętrznej rany.

– Wcale nie martwię się o Kierana – dodał.

– W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy sobie z nim porozmawiali – odparł Jace.

– O niego naprawdę się nie martwię – zapewnił go Mark. – Mógłbym natomiast niepokoić się o was.

Clary zaśmiała się cicho.

– Dziękuję, Mark.

– Kieran jest synem króla Ciemnego Dworu – przypomniał jej Mark. – Takich synów jest pięćdziesięciu i wszyscy rywalizują o tron. Król jest nimi zmęczony, ma ich dość. Był Gwynowi winien przysługę, więc w formie zapłaty sprezentował mu Kierana. Tak samo mógł mu podarować miecz albo psa.

– Jeżeli dobrze rozumiem, Kieran przyszedł do ciebie i wbrew woli innych faerie zaproponował ci pomoc – powiedział Jace. – Dla ciebie naraził się na ogromne niebezpieczeństwo.

Mark pomyślał, że chyba nie powinien być zaskoczony, że Jace o tym wie; Clary często bywała powierniczką Emmy.

– Miał u mnie dług – wyjaśnił. – To przez niego ucierpieli ci, których kocham.

– Mimo to istnieje szansa, że zechciałby odpowiedzieć na nasze pytania. Zwłaszcza gdybyśmy mogli mu powiedzieć, że zostały przez ciebie zatwierdzone.

Mark nie odpowiedział. Clary cmoknęła Jace'a w policzek, szepnęła mu coś do ucha i wyszła. Jace odprowadził ją wzrokiem, a jego rysy na chwilę wyraźnie złagodniały. Mark poczuł ostre ukłucie zazdrości. Zastanawiał się, czy on też znajdzie kogoś, z kim będą do siebie pasowali jak Clary z Jace'em: jej łagodność i figlarność idealnie uzupełniały jego siłę i sarkazm. Zastanawiał się, czy z Kieranem tak do siebie pasowali. I czy pasowałyby do Cristiny, gdyby sprawy ułożyły się inaczej.

– O co chcecie zapytać Kierana?

– O królową, o króla... – odparł Jace, a widząc niecierpliwy gest Marka, dodał: – Powiem ci co nieco, ale pamiętaj, że nie powinienem ci mówić w ogóle nic. Clave mogłoby mi za to urwać głowę. – Westchnął. – Na jednym z Dworów faerie Sebastian Morgenstern zostawił broń. Ta broń może

zniszczyć nas wszystkich. Wszystkich Nefilim.

– Jak działa? – zainteresował się Mark.

– Nie wiem. Tego między innymi musimy się dowiedzieć. Wiemy jednak, że jest śmiertelnie groźna.

Mark pokiwał głową.

– Przypuszczam, że Kieran wam pomoże – powiedział. – A ja mogę dla was sporządzić listę faerie, które mogą okazać się wam przychylne; nie będzie ona długa, bo wasza sprawa nie znajdzie u nich wielkiego poparcia. Chyba nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo jesteście tam znienawidzeni. Jeżeli więc faktycznie mają taką broń, mam szczerą nadzieję, że uda wam się ją odnaleźć, bo faerie nie zawahają się jej użyć i nie będą miały dla was litości.

Jace spojrział na niego spomiędzy gęstych złotych rzęs, do złudzenia przypominających rzęsy Kita. Jego spojrzenie było czujne i nieruchome.

– Litości dla nas? – powtórzył z naciskiem. – Ty też jesteś jednym z nas.

– To zależy, kogo o to zapytasz. Masz długopis i kawałek papieru? Zacząłbym od obiecanych nazwisk...

* * *

Już nazbyt długo wuj Arthur nie wychodził z pokoju na poddaszu, w którym spał, jadł i pracował. Julian zmarszczył nos, gdy razem z Dianą wchodzili wąskimi schodami na górę: powietrze było bardziej zatechłe niż zwykle, śmierdziało starym jedzeniem i zjełczałym potem. Wszędzie kładły się gęste cienie. Arthur też był cieniem samego siebie: siedział zgarbiony przy biurku, a nieco wyżej, na parapecie, lśnił runiczny kamień.

Wuj w żaden sposób nie zareagował na przybycie Juliana i Diany.

– Arthurze? – odezwała się Diana. – Musimy porozmawiać.

Arthur odwrócił się powoli w ich stronę. Julian poczuł, jak jego wzrok prześlizguje się najpierw po Dianie, a następnie po nim.

– Panna Wrayburn... – powiedział w końcu. – Czym mogę pani służyć?

Dianie zdarzało się już wcześniej towarzyszyć Julianowi podczas wypadów na poddasze, ale niezbyt często. Po tym, jak Mark i Emma poznali prawdę o sytuacji w Instytucie, Julian mógł wreszcie powiedzieć Dianie to, co oboje od lat wiedzieli, choć nigdy otwarcie o tym nie rozmawiali.

Od dawna, odkąd skończył dwanaście lat, Julian samotnie zmagał się ze świadomością obłądu wuja, który postradał zmysły podczas uwięzienia na Jasnym Dworze. Owszem, zdarzały mu się okresy pełnej przytomności umysłu wspomaganego medykamentami sporządzanymi przez Malcolma Fade'a, ale nigdy nie trwały zbyt długo.

Gdyby Clave poznało prawdę, w jednej chwili straciłoby Arthura z posady szefa Instytutu. Najprawdopodobniej trafiłby potem do Basiliad, gdzie dostałby zakaz opuszczania szpitala i przyjmowania gości. Kiedy pod jego nieobecność zabrakłoby dorosłego Blackthorna, który mógłby kierować Instytutem, dzieci zostałyby rozdzielone, posłane do Akademii w Idrisie, rozproszone po całym świecie. Julian, który za wszelką cenę starał się do tego nie dopuścić, przez pięć lat samotnie dźwigał ten sekret; ukrywał wuja przed światem, a świat – przed nim.

Czasami zastanawiał się, czy na pewno to, co robi, jest dla Arthura najlepsze, ale w gruncie rzeczy nie miało to przecież znaczenia. Nade wszystko zamierzał chronić swoich braci i siostry; gdyby zaszła taka konieczność, był gotów poświęcić wuja dla ich dobra. I gdyby później miał budzić się po nocach, przerażony, zdyszany, zlany potem i targany wyrzutami sumienia, to był gotów jakoś z tym żyć.

Przypomniawszy sobie przenikliwe spojrzenie Kierana i jego słowa: „Masz bezwzględne serce”.

Może to była prawda. W tej chwili miał wrażenie, że nosi w piersi martwe serce, obrzmiałą, nieruchomą grudę. Wszystko działo się jakby w pewnym oddaleniu od niego; czuł się tak, jakby wolniej niż zwykle poruszał się po świecie; jakby nieustannie musiał brnąć w wodzie.

Towarzystwo Diany przynosiło mu ulgę. Arthur często brał go za jego nieżyjącego ojca lub dziadka, ale Dianę, niebędącą częścią jego przeszłości, rozpoznawał za każdym razem.

– Chodzi o lekarstwa, które podsuwał ci Malcolm – odparła. – Rozmawialiście o nich? Wiesz, co w nich było?

Arthur pokręcił głową.

– Chłopak nie wie? – zapytał.

– Nie – odrzekł Julian, wiedząc, że chodzi o niego. – Malcolm nigdy ze mną o tym rozmawiał.

Arthur spochmurniał.

– Nie zostały jakieś... resztki, fusy, osady, które można by przeanalizować?

– Dwa tygodnie temu zużyłem ostatnie krople, jakie udało mi się znaleźć.

Podczas poprzedniej wizyty Jace'a i Clary, kiedy w Instytucie pojawił się również Inkwizytor, Julian podał wujowi potężną dawkę lekarstwa od Malcolma. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować: Arthur musiał być tak przytomny, jak tylko było to możliwe.

Nie miał wątpliwości, że nawet gdyby Jace i Clary dowiedzieli się o stanie wuja, nikomu nie pisnęliby ani słówka, ale żądanie dochowania tajemnicy byłoby wobec nich nieuczciwe – a poza tym nie ufał Inkwizytorowi, Robertowi Lightwoodowi. Nie ufał mu od czasu, gdy pięć lat wcześniej Robert zmusił go do podjęcia okrutnej próby Miecza Anioła tylko dlatego, że nie wierzył, że Julian mówi prawdę.

– Nie zostawiłeś sobie ani odrobiny, Arthurze? – spytała Diana. – Nie schowałeś nic na czarną godzinę?

Arthur ponownie pokręcił głową. W przyćmionym świetle runicznego kamienia wyglądał staro, znacznie starzej, niż powinien: włosy przyprószone siwizną, oczy wyblakłe jak ocean o poranku, chude ciało pod rozchyłającym się szarym szlafrokiem, kościste łopatki wyraźnie rysujące się pod materiałem.

– Nie wiedziałem, że Malcolm okaże się kimś takim – powiedział. Malcolm okazał się zabójcą, mordercą, zdrajcą. – Poza tym zdałem się na chłopaka. – Odkaszlnął. – Na Juliana.

– Ja też nie wiedziałem o Malcolmie – odparł Julian. – Ale w tej chwili problem jest inny: będziemy mieli gości. Centurionów.

– Kentarchowie – mruknął Arthur. Otworzył szufladę biurka, jakby zamierzał czegoś w niej poszukać. – Tak ich nazywano w wojsku bizantyjskim. Centurion zawsze był podporą armii. Dowodził setką ludzi. Mógł wymierzać kary rzymskim obywatelom, których na co dzień chroniło prawo. Centurioni stali ponad prawem.

Julian nie był do końca pewien, jak wiele wspólnego łączy Centurionów ze Scholomancji z dawnymi rzymskimi imiennikami, ale tak czy inaczej, zrozumiał mniej więcej, o co chodzi wujowi.

– Właśnie – powiedział. – To oznacza, że będziemy musieli zachować przy nich szczególną ostrożność. Będziesz musiał bardzo się pilnować.

Arthur przyłożył palce do skroni.

– Jestem taki zmęczony – wymamrotał. – Nie można by... Może poprośmy Malcolma o nową porcję leku?

– Malcolm nie żyje – przypomniał Julian.

Poinformowali już wuja o śmierci Malcolma, ale najwyraźniej nie przyswoił sobie tej informacji. Była to jedna z tych omyłek, których za wszelką cenę należało się wystrzegać przy obcych.

– Są jeszcze niemagiczne lekarstwa – zauważyła po chwili wahania Diana.

– A co z Clave? – spytał Julian. – Karą za próbę podjęcia przyziemnej terapii jest...

– Wiem, jaka jest kara – ucięła Diana zaskakująco ostrym tonem – ale sytuacja jest dramatyczna.

– Nie mamy pojęcia, jaki należałoby podać lek i w jakiej dawce. Nie wiemy, jak Przyziemni leczą takie schorzenia.

– Ja wcale nie jestem chory! – Arthur z hukiem zatrzęsął szufladę. – Faerie zniszczyły mi umysł. Ja to czułem. Żaden Przyziemny nie jest w stanie tego ani zrozumieć, ani tym bardziej wyleczyć.

Diana z Julianem spojrzeli po sobie z troską.

– Istnieją jeszcze inne możliwości, Arthurze. Przedyskutujemy je, a tobie na razie damy spokój. Wiemy, jak ważną masz pracę.

– O tak – mruknął Arthur. – Moja praca... – Pochylił się nad papierami, w jednej chwili zapomniawszy o gościach.

Wychodząc z pokoju w ślad za Dianą, Julian łamał sobie głowę nad tym, jakąż to pociechę znajduje wuj w starych opowieściach o dawnych bogach i herosach, o minionej erze w dziejach świata, kiedy wystarczyło zatkać sobie uszy i nie słuchać śpiewu syren, żeby nie popaść w szaleństwo.

U stóp schodów Diana odwróciła się do niego.

– Musisz się dzisiaj udać na Nocny Targ – powiedziała.

– Co takiego?

Julian nie posiadał się ze zdumienia. Nocni Łowcy mieli zakaz pojawiania się na Nocnym Targu, dopóki ich misja nie wymagała takiej wizyty. Niepełnoletnich Łowców obowiązywał zakaz bezwzględny.

– Mam iść z tobą? – zapytał.

Diana pokręciła głową.

– Ja nie mogę.

Nie dopytywał o szczegóły. Bez słów rozumieli, że Diana ma swoje tajemnice, na których ujawnienie nie miał prawa nalegać.

– Będą tam obcy czarownicy – mówiła dalej – którzy za odpowiednią cenę zgodzą się trzymać język za zębami, którzy cię nie rozpoznają i którzy są faerie, a obłąd wuja jest przecież dziełem faerie, nie naturalną przypadłością. Może oni będą wiedzieli, jak mu zaradzić. – Na chwilę umilkła, myśląc intensywnie. – Weź ze sobą Kita – dodała. – Zna Nocny Targ jak nikt inny z tych, których możemy prosić o pomoc, i cieszy się zaufaniem tamtejszych Podziemnych.

– To jeszcze dzieciak – zaproponował Julian. – Poza tym od czasu śmierci ojca nie opuszcza murów Instytutu.

Od czasu gdy jego ojciec został zamordowany, ściśle rzecz biorąc. Rozszarpany na strzępy na jego oczach.

– To może być dla niego trudne – dodał Julian.

– Będzie się musiał przyzwyczaić do trudnych rzeczy w życiu – odparła Diana z kamienną twarzą. – Jest teraz Nocnym Łowcą.

Przeraźliwych wiedźm noclegi

Z powodu wściekłego natężenia ruchu przejazd z Malibu do Starej Pasadeny zajął Julianowi i Kitowi godzinę. Poszukiwania miejsca do zaparkowania (choć ostatecznie uwieńczone sukcesem) przyprawiły Juliana o dudniący ból głowy, któremu nie pomagał fakt, że Kit prawie się do niego nie odzywał, odkąd wyjechali z Instytutu.

Mimo że od zachodu słońca upłynęło sporo czasu, ciemne niebo na zachodzie wciąż nosiło ślady delikatnych muśnięć szkarłatu. Wiał wschodni wiatr, co oznaczało, że nawet tutaj, w samym środku miasta, oddychało się pustynią: piaskiem i żwirem, kaktusami i kojotami, palącą wonią bylicy.

Ledwie Julian zgasił silnik, Kit wyskoczył z samochodu, jakby nie mógł wytrzymać przebywania obok niego ani chwili dłużej. Kiedy wcześniej mijali zjazd z autostrady prowadzący do dawnego domu Rooków, zapytał, czy mogliby tam na chwilę zajrzeć, żeby mógł zabrać trochę swoich ubrań. Kiedy Julian odmówił, twierdząc, że byłoby to zbyt niebezpieczne, zwłaszcza po nocy, Kit zrobił minę jak pchnięty nożem w plecy.

Julian nauczył się znosić błagania, humory i zapewnienia o tym, jaki jest znienawidzony; było nie było, miał przecież czworo młodszego rodzeństwa. Jednakże u Kita spojrzenie spode łba cechował wyjątkowy artyzm. Chłopak nie żartował.

Kiedy Julian zamykał samochód, Kit prychnął.

– Od razu widać, że jesteś Nocnym Łowcą.

Julian spojrzął po sobie: dzinsy, solidne buty, klasyczny blezer, który dostał w prezencie od Emmy... Ponieważ Znaki nie na wiele by mu się zdały na Nocnym Targu, zmuszony był obciągnąć rękaw, żeby ukryć run Wzroku, i postawić kołnierzyk dla zamaskowania Znaków na szyi.

– Niby dlaczego? Nie widać przecież Znaków.

– Nie trzeba ich widzieć – odparł znudzonym tonem Kit. – Wyglądasz jak glina. Wy wszyscy zawsze wyglądacie jak gliny.

Ból głowy Juliana wzmógł się.

– Co proponujesz?

– Wejdę sam. Ci ludzie mnie znają. Ufają mi. Odpowiedzą na moje pytania i sprzedadzą mi wszystko, o co poproszę. – Kit wyciągnął rękę. – Oczywiście będę potrzebował kasy.

Julian spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Chyba nie myślałeś na serio, że to przejdzie?

Kit cofnął rękę i wzruszył ramionami.

– Warto było spróbować.

Julian ruszył w stronę zaułka, w którym znajdowało się wejście na Nocny Targ. Był tu tylko raz, przed laty, ale świetnie pamiętał tamtą wizytę. Nocne Targi zaczęły się pojawiać w następstwie zawarcia Zimnego Pokoju, żeby Podziemni mogli w spokoju prowadzić interesy, nie przejmując się nowymi obostrzeniami.

– Niech zgadnę: zamierzałeś wyciągnąć ode mnie trochę pieniędzy, udać, że idziesz na Nocny Targ, a potem wsiąść do autobusu i czmychnąć z miasta?

– Prawie. Zamierzałem wyciągnąć od ciebie trochę pieniędzy, udać, że idę na Nocny Targ, a potem wsiąść do kolejki miejskiej. Istnieją już pociągi podmiejskie, wiesz? Duży postęp. Powinieneś być bardziej na bieżąco.

Julian zastanowił się przelotnie, co by zrobił Jace, gdyby on tu i teraz udusił Kita. Przyszło mu nawet do głowy, żeby wyrazić tę myśl na głos, ale doszli akurat do końca zaułka, gdzie powietrze skrzyło się delikatną migotliwą aurą. Złapał Kita za rękę i razem przeszli przez bramę.

Znaleźli się w samym środku Nocnego Targu. Otaczająca ich ze wszystkich stron feeria świateł przyćmiewała gwiazdy. Nawet księżyc wyglądał jak blady cień samego siebie.

Julian wciąż trzymał Kita za rękę, ten jednak nie zdradzał już chęci ucieczki. Rozglądał się dookoła z tęsknym wyrazem twarzy, który wyraźnie go odmładzał (Julian chwilami zapominał, że Kit jest rówieśnikiem Ty'a). Jego spojrzenie – miał oczy błyszczące i niebieskie jak niebo, pozbawione typowego dla Blackthornów zielonkawego odcienia – prześlizgiwało się

po Nocnym Targu i chłonęło go chciwie.

Rzędy kramów były oświetlone pochodniami, które płonęły złotem, błękitem i jadowitą zielenią. Kwiaty o intensywniejszych barwach i słodszych woniach niż biały oleander i jakaranda spływały kaskadami po treliazowych ścianach straganów. Młode i piękne faerie obojga płci tańczyły do wtóru muzyki piszczalek i fletni. Klientów zewsząd nagabywały głosy kramarzy, zachęcające do kupowania, kupowania, kupowania. Na wystawach pyszniły się buteleczki eliksirów i słoiczki z proszkami, broń i biżuteria.

– Tędy – powiedział Kit i wyszarpnął rękę z uścisku Juliana.

Julian poszedł za nim. Czuł na sobie śledzące ich spojrzenia i zastanawiał się, czy Kit miał rację – czy naprawdę wygląda jak gliniarz albo nadprzyrodzona wersja gliniarza. Cóż, trudno. Zawsze był Nocnym Łowcą. Nie można odrzucić własnej natury.

Dotarli na skraj Targu, gdzie w przyćmionym świetle dało się rozeznac namalowane na asfalcie białe linie: za dnia był w tym miejscu parking.

Kit podszedł do pierwszego z brzegu kramu, który reklamował się eliksirami miłosnymi i obietnicą wróżb. Siedząca w nim kobieta faerie podniosła wzrok i rozpromieniła się na widok Kita.

– Kit! – wykrzyknęła.

Skąpa biała sukienka podkreślała bladoniebieski odcień jej skóry, czubki szpiczastych uszu wyzierały spomiędzy włosów koloru lawendy, cienkie złote i srebrne łańcuszki podzwaniały jej na szyi i nadgarstkach.

Zmierzyła Juliana niechętnym wzrokiem.

– Co on tu robi?

– Spokojnie, Hyacinth, ten Nefilim jest w porządku. Ręczę za niego. Przyszedł po prostu coś kupić.

– Jak wszyscy – mruknęła kobieta i posłała Julianowi chytre spojrzenie. – Ładniutki jesteś. Twoje oczy mają prawie taki sam kolor jak ja.

Julian przybliżył się do straganu. W takich chwilach szczerze żałował, że nie ma pojęcia o flirtowaniu. Nigdy w życiu nie czuł nawet cienia pożądania wobec innych kobiet niż Emma, dlatego nigdy się tej sztuki nie nauczył.

– Potrzebuję eliksiru, który uleczyłby Nocnego Łowcę z szaleństwa – powiedział. – Albo przynajmniej tymczasowo przytłumił jego objawy.

– Jakiego rodzaju szaleństwa?

– Torturowano go w Dworach faerie – odparł bez ogródek Julian. – Halucynacje, którymi był dręczony, i mikstury, które kazano mu pić, zniszczyły jego umysł.

– Nocny Łowca, którego faerie wpędziły w obłąd? – podsumowała Hyacinth z nieskrywanym sceptycyzmem w głosie. – Coś podobnego...

Julian wdał się w szczegółowe wyjaśnienia, nie wymieniając wuja z imienia i nazwiska: przelotne okresy trzeźwości umysłu, wahania nastroju, które czasami owocowały przygnębieniem i okrucieństwem, niepoznanie członków własnej rodziny. Opisał też medykament, który przyrządził dla wuja Malcolm w czasach, gdy wszyscy mu jeszcze ufali i brali go za przyjaciela.

Imię i nazwisko Malcolma również pominął.

Kobieta wysłuchała go i pokręciła głową.

– Powinieneś pójść z tym do czarownika. Oni robią interesy z Nocnymi Łowcami, ja nie. Nie zamierzam narażać się Dworom ani Clave.

– Nikt nie musi o niczym wiedzieć – zauważył Julian. – A ja dobrze zapłacę.

– Dziecko... – Tym razem w głosie Hyacinth zabrzmiała nuta politowania. – Naprawdę myślisz, że mógłbyś zachować coś w tajemnicy przed całym Podziemnym Światem? Że Nocny Targ nie ekscytuje się nowiną o zgładzeniu Strażnika i śmierci Johnny’ego Rooka? O tym, że nie mamy już Najwyższego Czarownika? O zniknięciu Anselma Nightshade’a? Który, nawiasem mówiąc, był okropnym człowiekiem... – Pokręciła głową. – Nie powinniście byli tu przychodzić. To niebezpieczne.

– Może dla niego – odparł oszołomiony Kit, ruchem głowy wskazując Juliana. – Dla niego jest tu niebezpiecznie.

– Dla ciebie również, chłoptasiu – zabrzmiał chropawy głos za ich plecami.

Obaj się odwrócili i zobaczyli stojącego przed nimi niskiego mężczyznę. Był chorobliwie blady i przy tej pogodzie musiał się chyba gotować w trzyczęściowym garniturze z szarej wełny. Włosy i brodę miał ciemne i schludnie przystrzyżone.

– Barnabas – wykrztusił zdumiony Kit.

Julian zauważył, że Hyacinth jakby odrobinę skurczyła się w swoim kramiku. Za plecami Barnabasa zebrał się tłumek gapiów.

Mężczyzna wystąpił naprzód i wyciągnął rękę na powitanie.

– Barnabas Hale – powiedział.

Julian uściskał podaną mu dłoń... i odruchowo napiął wszystkie mięśnie. Ty uwielbiał jaszczurki i węże i Julian nie raz i nie dwa musiał wynosić je z Instytutu i wypuszczać na łąkę. Tylko dzięki temu udało mu się teraz nie wyszarpnąć ręki z uścisku Barnabasa.

Jego skóra nie była wcale blada, tylko gęsto pokryta zachodzącymi na siebie białawymi łuskami. Mierzył Juliana wyraźnie rozbawionym spojrzeniem żółtych oczu, jakby tylko czekał, kiedy ten spróbuje mu się wyrwać. Łuski były w dotyku gładkie i zimne jak otoczaki; nie były wcale oślizłe, a mimo to Julian nie mógł się wyzbyć wrażenia, że takie właśnie powinny być.

Wytrzymał uścisk przez długą chwilę, zanim w końcu opuścił rękę.

– Jesteś czarownikiem – stwierdził.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej – odparł Barnabas. – A ty jesteś Nocnym Łowcą.

Julian z westchnieniem podwinął rękaw.

– Chyba nie było sensu próbować się z tym kryć, co?

– Najmniejszego – zgodził się Barnabas. – Większość z nas rozpoznaje Nefilim, gdy tylko ich zobaczy. Poza tym o młodym panu Rooku jest teraz głośno w całym mieście. – Spojrzenie oczu o pionowych źrenicach spoczęło na Kicie. – Wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca.

Kit skwitował kondolencje lekkim skinieniem głowy.

– Barnabas jest właścicielem Nocnego Targu – wyjaśnił. – Ściśle rzecz biorąc, jest właścicielem terenu, na którym Targ stoi, i za opłatą wdzierżawia go pod stoiska.

– Zgadza się – przytaknął Barnabas. – Dlatego musicie zrozumieć, że nie żartuję, kiedy proszę, żebyście sobie stąd poszli.

– Nie będziemy sprawiać kłopotów – zapewnił Julian. – Chcemy zrobić interes.

– Nefilim nie robią „interesów” na Nocnych Targach – odparował Barnabas.

– Mylisz się. Ktoś z moich znajomych niedawno kupił tutaj strzały, które okazały się zatrute. Słyszałeś coś o tym?

Barnabas wycelował w Juliana wyprostowany, serdelkowaty palec.

– O tym właśnie mówię: nawet gdybyście chcieli, nie potraficie tego wyłączyć. Zawsze się wam wydaje, że macie prawo zadawać pytania i ustalać reguły.

– Ale oni faktycznie ustalają reguły – zauważył Kit.

– Kit? – mruknął półgębkiem Julian. – Nie pomagasz.

– Niedawno zniknął jeden z moich znajomych – powiedział Barnabas. – Malcolm Fade. Wiesz coś na ten temat?

Od strony tłumku za jego plecami dobiegał szmer podekscytowanych szeptów. Julian na przemian zaciskał i rozluźniał pięści. Gdyby był sam, nie martwiłby się: bez trudu pozbyłby się towarzystwa gapiów i wrócił do samochodu. Dopóki jednak musiał się opiekować Kitem, sprawa była bardziej skomplikowana.

– Widzisz? – mówił tymczasem Barnabas. – Na każdy wasz sekret możemy odpowiedzieć swoim. Bo ja wiem, co się stało z Malcolmem.

– A wiesz, co zrobił? – zapytał spokojnie Julian. Malcolm był mordercą. Masowym mordercą. Zabijał zarówno Podziemnych, jak i Przyziemnych. Nikt nie mógł winić Blackthornów za jego śmierć. – Wiesz, dlaczego zginął?

– Dla mnie to kolejny Podziemny, który zginął z rąk Nefilim. I jeszcze Anselm Nightshade, uwięziony za zabawę prościutką magią. Co będzie dalej? – Barnabas splunął na ziemię. – Kiedyś byłem skłonny tolerować Nocnych Łowców na Targu, handlować z nimi, ale te czasy dobiegły końca. – Przeniósł wzrok na Kita. – Zjeżdżaj. I zabierz ze sobą swojego kumpla Nefilim.

– On nie jest moim kumplem – zaprotestował Kit. – A ja wcale nie jestem taki jak oni, tylko taki jak wy...

Barnabas pokręcił głową. Hyacinth złożyła dłonie pod brodą i śledziła wydarzenia szeroko otwartymi oczami.

– Nadchodzi mroczny czas dla Nocnych Łowców – powiedział Barnabas. – Straszny czas. Ich potęga zostanie zdruzgotana, ich władza wdeptana w błoto, ich krew popłynie jak woda w korytach rzek całego świata.

– Dość tego – wtrącił ostro Julian. – Przestań straszyć chłopaka.

– Zapłacicie za Zimny Pokój. Nadciąga mrok. Dobrze ci radzę, Christopherze Herondale, żebyś trzymał się z dala od Instytutu Nocnych Łowców. Ukryj się, tak jak robił to twój ojciec, a przed nim jego ojciec. Tylko wtedy będziesz bezpieczny.

– Skąd wiesz, kim jestem? Skąd znasz moje prawdziwe nazwisko? – dopytywał się Kit.

Pierwszy raz Julian słyszał, żeby chłopak przyznał, że naprawdę nazywa się Herondale.

– Wszyscy je znają – odparł Barnabas. – Od kilku dni na całym Targu nie mówi się o niczym innym. Nie widziałeś, jak wszyscy się na ciebie gapili, kiedy przyszliście?

A zatem to nie Julian przyciągnął spojrzenia gapiów – w każdym razie nie tylko Julian. Chociaż marna to była pociecha, zważywszy na wyraz twarzy Kita.

– Myślałem, że będę mógł tu wrócić – przyznał chłopak. – Przejąć kram po ojcu. Pracować na Targu.

Barnabas wysunął rozwidlony język.

– Kto urodzi się Nocnym Łowcą, na zawsze nim pozostanie. Tego piętna nie da się zmyć. Ostatni raz ci mówię, chłopcze: odejdz z Nocnego Targu. I nie wracaj.

Kit cofnął się o krok, rozglądając się dookoła takim wzrokiem, jakby dopiero teraz ujrzał wszystkie zwrócone ku niemu twarze, głównie beznamietne i nieprzyjazne, tylko na nielicznych malowała się ciekawość.

– Kit... – Julian wyciągnął rękę.

Kit rzucił się do ucieczki.

Julian dogonił go bez trudu. Chłopak wcale nie chciał uciekać – po prostu przepychał się przez tłum na oślep, bez celu, aż zatrzymał się przed dużym straganem, który wyglądał tak, jakby go właśnie rozbierano.

Została z niego drewniana konstrukcja, jakby ktoś gołymi rękami rozszarpał go na kawałki. Wszędzie dookoła na asfalcie leżały połamane deski, z daszku zwieszał się przekrzywiony szyld: PÓŁKRWI NADPRZYRODZONY? NIE JESTEŚ SAM. WYZNAWCY STRAŻNIKA CHCĄ, BYŚ WZIAŁ UDZIAŁ W LOTERII DOBREGO LOSU! WPUŚĆ DO SWOJEGO ŻYCIA ODROBINĘ SZCZĘŚCIA!

– Strażnik – powiedział Kit. – Malcolm Fade był Strażnikiem?

Julian skinął głową.

– To on wciągnął mojego ojca w tę całą sprawę z Wyznawcami i Teatrem Nocy – ciągnął Kit zamyślonym tonem. – To przez niego ojciec zginął.

Julian milczał. Johnny Rook nie był żadnym ósmym cudem świata, ale był

ojcem Kita. A ojca ma się tylko jednego.

Poza tym Kit miał rację.

Nagle Kit się poruszył i z całej siły uderzył pięścią w szyld, który po tym uderzeniu spadł na ziemię. Tuż przed tym, jak z grymasem bólu na twarzy cofnął rękę, Julian dostrzegł w nim coś z Nocnego Łowcy. Gdyby nie fakt, że Malcolm już nie żył, teraz Kit z pewnością by go zabił.

Gapie, którzy podążyli za nimi od straganu Hyacinth, stali tuż obok z wybałuszonymi oczami. Kiedy Julian położył Kitowi dłoń na ramieniu, ten nie próbował jej odtrącić.

– Chodźmy – powiedział Julian.

* * *

Emma starannie opłukała się pod prysznicem. Długie włosy u Nocnego Łowcy miały pewien minus: po walce człowiek nigdy nie był pewien, czy nie umazał ich krwią demonów. Kiedyś przez cały tydzień miała zazieleniony kark.

Włożyła spodnie od dresu i podkoszulek i wycierając włosy zielonym ręcznikiem, wyszła do sypialni, gdzie zastała Marka: leżał skulony w nogach łóżka i czytał *Przygody Alicji w Krainie Czarów*.

Miał na sobie bawełniane spodnie od piżamy, które Emma kupiła za trzy dolary od handlarki na poboczu Pacific Coast Highway. Od razu przypadły mu do gustu: luźne i lekkie, w pewien sposób przypominały mu spodnie, jakie nosił w Faerie. Jeżeli przeszkadzał mu deseń z zielonych koniczynek z nadrukowanymi słowami MASZ FART, to nie dawał tego po sobie poznać.

Na widok Emmy usiadł, przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się do niej.

Ten uśmiech potrafił człowiekowi złamać serce: rozpływał się po całej twarzy i zapalał w oczach niebieskie i złote ogniki.

– Niezwykły wieczór, zaiste – powiedział.

– Nie zaistuj mi tu.

Klapnęła obok niego. Upierał się, że nie będzie spał na łóżku, ale nie przeszkadzało mu to korzystać z niego w charakterze ogromnej kanapy. Odłożył książkę i oparł się plecami o deskę w nogach łóżka.

– Wiesz, co grozi za zaistowanie w moim pokoju – ciągnęła Emma. – Jak

również za używanie takich słów jak „atoli”, „biada” i „azaliż”.

– A co z „na rany”?

– Za „na rany” kara jest szczególnie surowa. Musiałbyś wykąpać się w oceanie na golasa na oczach Centurionów.

Mark zrobił zdziwioną minę.

– I co dalej?

– Przepraszam. – Emma westchnęła. – Zapomniałam. Większość z nas krępuje się rozbierać przed obcymi, uwierz mi.

– Serio? Nigdy nie kąpałaś się nago w oceanie?

– To właściwie nieco inna kwestia, ale nie, nie kąpałam się.

Wyciągnęła się obok niego.

– Powinniśmy to kiedyś zrobić – orzekł. – Wszyscy razem.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Idealny Diego zrzucił przy wszystkich łaszki i skoczył do wody. Być może zrobiłby to przed Cristiną, ale tylko być może.

Mark ześliznął się z łóżka na stos koców, który Emma przygotowała dla niego na podłodze.

– Wątpię – przyznał. – Założę się, że zawsze pływa w ubraniu. Inaczej musiałby zdjąć odznakę Centuriona.

Emma się roześmiała. Mark uśmiechnął się do niej, choć był to uśmiech człowieka zmęczonego. Rozumiała to. Nie męczyły jej codzienne obowiązki Nocnej Łowczyni, lecz cała ta maskarada owszem. Może nawet miało to sens, że oboje z Markiem potrafiliby się rozluźnić dopiero wieczorem, sam na sam, kiedy nie było już przed kim udawać. Były to dla niej jedyne chwile relaksu od dnia, w którym Jem powiedział jej o klątwie *parabatai* – o tym, że *parabatai* nie mogą sobie pozwolić na miłość, gdyż grozi to obłądem, który zniszczyłby ich samych i wszystkich, których kochają.

Wiedziała, że nie może do tego dopuścić; że nie może tego zrobić ani Julianowi, ani jego rodzinie, którą również pokochała. Nie mogła powściągnąć swojej miłości do niego, to było wykluczone, musiała więc sprawić, żeby to on przestał ją kochać.

Zaledwie kilka dni wcześniej Julian sam podsunął jej rozwiązanie tego dylematu: słowa, które wyszeptał jej do ucha w jednej z rzadkich chwil szczerości. Był zazdrosny o Marka, o to, że Mark umie z nią swobodnie rozmawiać i flirtować, podczas gdy on musiał zawsze ukrywać to, co do niej czuje.

Mark pólleżał obok niej z przymkniętymi oczami. Spod powiek wyzierały kolorowe półksiężycy tęczówek, rzęsy były o ton ciemniejsze od włosów. Przypomniała sobie, jak poprosiła go, żeby przyszedł do jej pokoju.

– Musisz udawać, że się spotykamy – powiedziała wtedy. – Że się w sobie zakochujemy.

Wyciągnął do niej rękę, a ona ujrzała burzę w jego oczach, płomień, który przypomniawszy jej, że Faerie to coś więcej niż zielona trawa i hulanki po świt, że jest tam też miejsce na dzikość, bezdusność, okrucieństwo, krew i łzy, na błyskawice, które tną nocne niebo niczym noże.

– Po co kłamać? – spytał.

W pierwszej chwili pomyślała, że pyta, dlaczego postanowiła kłamać w tej akurat sprawie, ale tak nie było. Chodziło mu o to, że zamiast kłamać, mogli sprawić, by to, co ich połączy, było prawdziwe.

Stała przed nim targana bólem, który przeszywał ją całą, do głębi; cierpiała całą duszą, każdym kawałeczkiem serca, z którego wyrwała Juliana, jakby oderwała sobie kończynę.

Mówiło się, że ludzie przyłączają się czasem do Dzikiego Polowania po tym, jak poniosą wielką stratę w życiu. Woleli wówczas wznosić pod niebiosa żałobny skowyt niż cierpieć w milczeniu w swoim szarym, nijakim żywocie. Przypomniało jej się, jak szybowali z Markiem w powietrzu: obejmował ją w talii, a wiatr unosił jej okrzyki, podekscytowanej podniebną wolnością, w której nie było bólu i trosk, tylko zapomnienie.

Mark był tuż obok niej, piękny w taki sam sposób, w jaki piękne jest nocne niebo, i w wyciągniętej ręce oferował jej tę samą wolność.

A gdybym mogła go pokochać? – pomyślała. Co wtedy? Co by było, gdybym zdołała przekuć to kłamstwo w prawdę?

Wtedy przestałoby być kłamstwem. Gdyby pokochała Marka, niebezpieczeństwo by zniknęło. Julian byłby bezpieczny.

Pokiwała wtedy głową i ujęła jego dłoń w swoją.

Przypomniała sobie teraz tamten wieczór w jej pokoju, wyraz jego oczu, gdy pytał: „Po co kłamać?”, jego ciepły uścisk, jego palce na swojej talii... Prawie potykali się o własne nogi, by jak najszybciej zbliżyć się do siebie. Zderzyli się niezgrabnie, jakby pomylili kroki w tańcu. Złapała go za ramiona i wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Po pobycie w Dzikim Polowaniu był szczupły i żylasty, nie tak muskularny

jak Julian; pod palcami Emma wyraźnie wyczuwała zarys jego obojczyków i łopatek. Skórę na karku miał gładką, gdy wsunęła mu dłoń za kołnierzyk i musnęła kręgi szyjne. Jego ciepłe usta przywarły do jej ust.

Smakował słodko-gorzko, był rozpalony, jakby w gorączce. Instynktownie przysunęła się bliżej. Nie zdawała sobie sprawy, że cała drży. Rozchylił usta, przycisnął je do jej ust, wargami badał jej wargi. Leniwe fale gorąca przepływały przez jej całe ciało. Pocałował kącik jej ust, musnął zuchwę, policzek.

Odsunął się.

– Em? – Zrobił zdziwioną minę. – Masz słony smak.

Cofnęła prawą dłoń oplecioną wokół jego szyi i dotknęła swojej twarzy. Miała wilgotną skórę. Płakała.

– Nie rozumiem. – Mark zmarszczył brwi. – Chcesz wmówić światu, że jesteśmy parą, a mimo to płaczesz, jakbym ci zrobił krzywdę. Skrzywdziłem cię? Julian mi tego nigdy nie wybaczy.

Niewiele brakowało, by na dźwięk imienia Juliana zupełnie się rozkleiła. Opadła na podłogę przy łóżku, podkuliła nogi i objęła kolana ramionami.

– Julian ma tyle spraw na głowie... – powiedziała. – Nie chcę, żeby martwił się jeszcze o mnie i mój związek z Cameronem.

W myślach przeprosiła Camerona Ashdowna, który na dobrą sprawę nie zrobił nic złego.

– To nie jest dobra relacja – ciągnęła. – Nie jest zdrowa. Ale za każdym razem kiedy się kończy, prędzej czy później znów wpadam w tę samą koleinę. Muszę przełamać ten schemat i nie chcę przysparzać trosk Julianowi. I bez tego ma dość zmartwień. Clave na pewno zainteresuje się skutkami śmierci Malcolma, zacznie badać nasze powiązania z Dworem...

– Ciii... – Mark usiadł obok niej. – Rozumiem.

Ściągnął z łóżka koc. Emma ze zdumieniem patrzyła, jak okrywa nim ich oboje i utyka go wokół jej ramion. Pomyślała o Dzikim Polowaniu, o przyjaźni Marka z Kieranem, o tym, jak kulili się w szałasach, zawijali w płaszcze dla ochrony przed zimnem...

Powiódł palcami po jej kości policzkowej, ale to był już tylko zwyczajny, przyjacielski gest. Żar towarzyszący wcześniejszym pocałunkom ulotnił się bez śladu. Emmie to odpowiadało; było coś niewłaściwego w odczuwaniu czegoś podobnego przy kimkolwiek innym już Julian.

– Tym, którzy nie są faerie, kłamstwa przynoszą ukojenie – powiedział Mark. – Nie mogę ich za to krytykować. Zrobię to dla ciebie, Emmo. Nie zostawię cię z tym samej.

Oparła się o jego ramię. Nagle poczuła się niezwykle lekko, tak bardzo jej ulżyło.

– Ale musisz powiedzieć Cristinie – dodał Mark. – Jest twoją najlepszą przyjaciółką, czegoś takiego nie możesz przed nią ukrywać.

Pokiwała głową. Od początku planowała podzielenie się sekretem z Cristiną. Tylko Cristina wiedziała, co naprawdę Emma czuje do Juliana, i na pewno nie dałaby się nabrać, że zamiast niego znienacka zakochała się w Marku. Z czysto praktycznych względów należało jej więc o wszystkim powiedzieć – i Emmie to odpowiadało.

– Mam do niej całkowite zaufanie – przyznała. – A teraz... opowiedz mi o Dzikim Polowaniu.

Mark zaczął mówić, snuć opowieść o życiu wśród chmur i w bezludnych, zagubionych rejonach świata; o miastach wydrążonych na dnie miedzianych wąwozów; o zgliszczach Oradour-sur-Glane, gdzie nocowali z Kieranem w na wpół spalonej stodole na siano; o piasku i zapachu morza na Cyprze, w pustym kurorcie, gdzie rosnące drzewa przebijały piętra porzuconych luksusowych hoteli. Emma z wolna osunęła się w sen; Mark obejmował ją i szeptał swoje opowieści.

Trochę się zdziwiła, gdy następnego wieczoru również do niej przyszedł. Tłumaczył, że dzięki temu ich związek będzie wyglądał bardziej przekonująco, ale po jego oczach poznawała, że zwyczajnie lubi jej towarzystwo – tak jak ona jego.

Od tamtej pory spędzali ze sobą wszystkie noce, leżąc w zrzucionej na podłogę pościeli i wymieniając się opowieściami: Emma opowiadała o Mrocznej Wojnie i o poczuciu zagubienia, jakie często ją ogarniało, odkąd nie musiała już szukać zabójcy swoich rodziców, a Mark o swoich braciach i siostrach, o tym, jak sprzecznali się z Ty'em i jak martwił się, że z jego winy młodszy brat mógł dojść do wniosku, że nie można na nim polegać, bo w każdej chwili może odejść.

– Po prostu powiedz mu, że rzeczywiście możesz odejść, ale że zawsze będziesz do niego wracał – poradziła Emma. – I że przepraszasz, jeśli przez ciebie kiedykolwiek czuł, że jest inaczej.

W odpowiedzi Mark tylko pokiwał głową. Nigdy nie powiedział, czy wziął sobie jej radę do serca, ale ona go posłuchała i powiedziała o wszystkim Cristinie. Odczuła ogromną ulgę i przepłakała w ramionach przyjaciółki kilka godzin. Uzyskała nawet od Juliana pozwolenie na zapoznanie Cristiny z sytuacją wuja Arthura; to wystarczyło, żeby stało się oczywiste, jak bardzo Julian jest potrzebny tu, na miejscu, w Instytucie i przy rodzinie. Kiedy go prosiła, żeby pozwolił jej podzielić się z Cristiną tym sekretem, rozmowa wypadła dość niezręcznie, ale ostatecznie jemu chyba też ulżyło, że ktoś jeszcze zostanie dopuszczony do tajemnicy.

Miała ochotę go zapytać, czy zamierza w najbliższym czasie powiedzieć o Arthurze innym członkom rodziny, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Wokół Juliana wyrósł mur, który wydawał się równie nieprzebyty jak cierniowa ściana okalająca zamek Śpiącej Królowy. Emma się zastanawiała, czy Mark również go widzi i czy widzą go inni – czy może tylko ona to dostrzega.

Spojrzała teraz na niego. Spał na podłodze z policzkiem opartym na dłoni. Ześliznęła się z łóżka, umościła wśród koców i poduszek i skuliła obok niego.

Przy niej lepiej sypiał – tak w każdym razie twierdził, a ona mu wierzyła. Lepiej się również odzywał: szybko odbudowywał mięśnie i odzyskiwał rumieńce, a blizny na jego skórze blakły. Emma się z tego cieszyła. Ona mogła codziennie czuć, że umiera od wewnątrz, ale to był wyłącznie jej problem i sama musiała sobie z nim poradzić. Nikt nie musiał jej pomagać. Zresztą w pewien przewrotny sposób cieszyła się swoim bólem, bo oznaczał, że Julian nie cierpi w samotności, nawet jeśli tak mu się wydawało.

A jeżeli przy okazji zdołałaby pomóc Markowi, to by było coś naprawdę wielkiego. Kochała go w taki sposób, w jaki powinna była kochać Juliana; wuj Arthur nazwałby to uczucie *philią*, miłością przyjacielską. I chociaż wiedziała, że nigdy nie będzie mogła opowiedzieć Julianowi o tym, w jaki sposób pomagają sobie nawzajem z Markiem, czuła, że przynajmniej tyle powinna dla niego zrobić: sprawić, żeby jego brat był szczęśliwy.

Nawet jeśli on nigdy się o tym nie dowie.

Pukanie do drzwi wyrwało ją ze snu na jawie. Usiadła. W pokoju panował półmrok, ale udało jej się dostrzec rude włosy i zaciekawioną twarz Clary, kiedy ta wetknęła głowę za drzwi.

– Emma? Śpisz? Ale dlaczego na podłodze?

Emma zerknęła z ukosa na Marka: spał jak zabity, zakutany w koce i całkowicie niewidoczny dla Clary. Pokazała Clary dłoń z wyprostowanymi dwoma palcami, na co ta skinęła głową i zamknęła drzwi. Dwie minuty później Emma wyszła na korytarz, dopinając bluzę z kapturem.

– Gdzie mogłybyśmy porozmawiać? – zagadnęła ją Clary.

Była bardzo niska i łatwo się zapominało, że ma dwadzieścia kilka lat, zwłaszcza kiedy czesała się tak jak teraz, zaplatając warkoczyki.

– Na dachu – odparła Emma. – Chodź.

Poprowadziła Clary po schodach na górę, dalej do drabiny i klapy, przez którą wydostały się na czarną połać dachu. Nie była tu od czasu tamtej nocy, gdy przyszła po Marka. Ta chwila wydawała jej się teraz odległa o całe lata, mimo że przecież upłynęło zaledwie kilka tygodni.

Po upalnym dniu czarny dach był gorący i lepki, noc jednak nastąpiła chłodna – jak zawsze na pustyni, gdzie temperatura gwałtownie spada natychmiast po zachodzie słońca. Wiejący znad oceanu wiatr zmierzwił wilgotne włosy Emmy.

Przeszła po dachu do swojego ulubionego miejsca, skąd rozpościerał się widok na ocean, autostradę wrzynającą się w stok wzgórza poniżej Instytutu i majaczące w oddali niewyraźnie góry. Clary szła za nią. Emma usiadła na skraju dachu z podkulonymi nogami. Pustynne powietrze pieściło jej skórę i włosy, poświata księżycy srebrzyła blizny, zwłaszcza jedną, grubą, na wewnętrznej stronie prawego przedramienia – ślad po ranie odniesionej w Idrisie, kiedy pewnej nocy obudziła się z krzykiem, nawołując rodziców, a Julian, wiedząc, czego jej trzeba, włożył jej w dłonie Cortanę.

Clary usadowiła się obok niej, przekrzywiwszy głowę, jakby nasłuchiwała dyszenia oceanu, powolnego rytmu fal, które to wybiegały na brzeg, to znów się cofały.

– Jedno ci powiem: widoki macie tu o niebo lepsze niż my w Nowym Jorku – stwierdziła Clary i odwróciła się do Emmy. – Jem Carstairs i Tessa Gray przesyłają pozdrowienia.

– To od nich wiesz o Kicie? – spytała Emma.

Jem był jej bardzo odległym i bardzo starym krewnym (mimo że wyglądał na dwadzieścia pięć lat, miał bliżej stu dwudziestu pięciu), a Tessa była jego żoną i zarazem potężną czarownicą. To oni odkryli istnienie Kita i jego ojca tuż przed tym, jak Johnny Rook został zaszlachtowany przez demony.

Clary pokiwała głową.

– Wyruszyli na misję, ale nawet nie chcieli mi powiedzieć, czego szukają.

– A nie Czarnej Księgi?

– To możliwe. Wiem, że na początek udali się do Spiralnego Labiryntu. – Clary odchyliła się w tył i podparła rękami. – Wiem również, że Jem żałuje, że nie może być przy tobie, kiedy potrzebujesz kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać. Powiedziałam mu, że zawsze możesz porozmawiać ze mną, ale nie odzywałaś się od tamtej nocy, kiedy zginął Malcolm i...

– Malcolm nie zginął tak po prostu – przerwała jej Emma. – Ja go zabiłam.

Musiała sobie stale przypominać, że własnoręcznie zabiła Malcolma, że przeszyła go Cortaną; to wciąż wydawało jej się tak bardzo nieprawdopodobne. Wspomnienie bolało w taki sam sposób, w jaki boli niespodziewane otarcie się o drut kolczasty: zaskakujący ból, który bierze się nie wiadomo skąd. Fakt, że Malcom zasłużył na śmierć, niczego w tej kwestii nie zmieniał.

– Nie powinnam mieć z tego powodu wyrzutów sumienia, prawda? Był bardzo złym człowiekiem. Musiałam tak postąpić.

– Tak, był, i tak, musiałaś, ale czasem to nie wystarczy. – Clary ujęła Emmę pod brodę i odwróciła jej głowę ku sobie. – Posłuchaj mnie: jeżeli ktoś może cię w tym wypadku zrozumieć, to ja na pewno jestem taką osobą. Zabiłam Sebastiana. Pchnęłam nożem własnego brata.

Przez moment wydała się Emmie znacznie młodsza, niż naprawdę była; mogłaby niemal być jej rówieśniczką.

– Nadal o tym myślę – ciągnęła Clary. – Nadal czasem mi się to śni. Było w nim dobro, niewiele, okruch zaledwie, ale ta świadomość nie daje mi spokoju: że unicestwiłam ten potencjał.

– Sebastian był potworem! – wytknęła jej ze zgrozą Emma. – Był mordercą, gorszym niż Valentine, niż wszyscy inni. Musiałaś go zabić. Gdyby nie ty, zniszczyłby świat. Dosłownie.

– Wiem. – Clary spuściła głowę. – Dla Sebastiana nie było nadziei na odkupienie, ale to jakoś nie powstrzymuje moich snów. Widzę w nich czasem brata, jakiego mogłabym mieć, gdzieś, kiedyś, w jakimś innym świecie. Zielonookiego. Tak jak tobie może się teraz wydawać, że Malcolm mógłby być twoim przyjacielem. Kiedy ktoś umiera, nasze sny o tym, kim mógłby być, umierają wraz z nim. Nawet jeśli zginął z naszej ręki.

– Myślałam, że będę szczęśliwa – przyznała Emma. – Przez te wszystkie lata pragnęłam tylko zemsty, niczego innego. Zemsty na zabójcy moich rodziców. Teraz już wiem, co się z nimi stało, zabiłam Malcolma i czuję... pustkę.

– Też się tak czułam po Mrocznej Wojnie. Najpierw stale uciekałam, walczyłam, rozpaczałam, a potem nagle zapanował taki spokój... Nie ufałam mu. Przyzwyczajamy się do swojego życia, choćby było nie wiadomo jak ciężkie, i kiedy coś się w nim kończy, pozostaje pustka, którą w naturalny sposób próbujemy wypełnić naszymi obawami i lękami. Wypełnienie jej czymś dobrym wymaga czasu.

Patrząc na twarz Clary, Emma na moment jakby zajrzała w przeszłość i zobaczyła w niej dziewczynę, która najpierw znalazła ją w maleńkim pokoiku w Gard, a potem za nic nie chciała zostawić jej samej i pogrążonej w żalu, tłumacząc:

– Bohaterami nie zawsze są ci, którzy wygrywają. Czasami są nimi ci, którzy przegrywają, ale nie poddają się i nadal walczą. To właśnie czyni ich bohaterami.

Te słowa pozwoliły później Emmie przetrwać najgorsze chwile w życiu.

– Clary? Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie. O co tylko chcesz.

– Chodzi o Nightshade'a, wiesz, tego wampira...

– Najważniejszego wampira w L.A.? – Clary zrobiła zdziwioną minę. – Tego, który, jak odkryliście, parał się czarną magią?

– Naprawdę tak było? Naprawdę używał zakazanej magii?

– Ależ naturalnie. – Clary skinęła głową. – Nie ma co do tego wątpliwości, po tym, jak sprawdzono całą jego restaurację. Przecież gdyby było inaczej, nie siedziałby teraz w więzieniu! – Nakryła dłonią dłoń Emmy. – Wiem, że Clave bywa czasami beznadziejne, ale jest w nim mnóstwo ludzi, którzy starają się być w porządku. A Anselm naprawdę był bardzo złym człowiekiem.

Emma bez słowa pokiwała głową. Ostatecznie to nie Anselm budził jej wątpliwości.

Zwątpiła w Juliana.

Usta Clary wykrzywiły się w uśmiechu.

– No dobrze, wystarczy tego nudziarstwa. Opowiedz mi teraz coś

zabawnego. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio zwierzałaś mi się ze swoich spraw sercowych. Nadal spotykasz się z tym Cameronem Ashdownem?

Emma pokręciła głową.

– Nie, spotykam się... z Markiem.

– Z Markiem? – Clary zrobiła taką minę, jakby Emma włożyła jej do ręki dwugłową jaszczurkę. – Z Markiem Blackthornem?

– Nie, nie z Markiem Blackthornem, z innym Markiem. Oczywiście, że z Blackthornem! A co w tym złego? – spytała Emma podejrzliwie.

– Nic, po prostu... – Clary sprawiała wrażenie autentycznie oszołomionej.

– Jakoś nigdy przedtem nie wyobrażałam sobie was razem.

– A z kim mnie sobie wyobrażałaś? Z Cameronem?

– Nie, nie. Z nim nie. – Clary podciągnęła nogi do piersi i oparła brodę na kolanach. – Widzisz, rzecz w tym... To, z kim w myślach cię łączę, nie ma najmniejszego sensu. – Widząc zdezorientowane spojrzenie Emmy, spuściła wzrok. – Ale to nieważne. Jeżeli jesteś szczęśliwa z Markiem, to cieszę się twoim szczęściem.

– Clary... Czego mi nie mówisz?

Zapadło długie milczenie. Clary zapatrzyła się na mroczną wodę.

– Jace poprosił mnie o rękę – powiedziała w końcu.

– O rety! – Emma już, już miała rozłożyć szeroko ramiona i serdecznie wyściskać przyjaciółkę, gdy wtem jej uwagę zwrócił wyraz jej twarzy. Zamarła. – O co chodzi?

– Odmówiłam.

– Odmówiłaś?! – Emmie opadły ręce. – Ale przyjechaliście tutaj... we dwójkę... nadal jesteście...

Clary wstała i stanęła nieruchomo na krawędzi dachu, patrząc na ocean.

– Nadal jesteśmy razem – przytaknęła. – Powiedziałam Jace'owi, że muszę to sobie przemyśleć. Pewnie uznał mnie za wariatkę albo... Zresztą nie mam pojęcia, co sobie pomyślał.

– A musisz? Przemyśleć to sobie?

– Czy chcę wyjść za Jace'a? Nie, nie muszę się nad tym zastanawiać. Znam odpowiedź. Chcę, oczywiście, że chcę. Nigdy nie będzie dla mnie nikogo innego. Takie są fakty.

Rzeczowy ton głosu Clary przyprawiał Emmę o dreszcz. „Nigdy nie będzie dla mnie nikogo innego”. Ten dreszcz wyrażał jej duchowe

pokrewieństwo z Clary – a przy okazji także odrobinę lęku.

– To dlaczego tak powiedziałaś?

– Miałam kiedyś sny – odparła Clary wpatrzona w świetlisty szlak, jaki księżyc kreślił na powierzchni oceanu, jak białą krechę rozcinającą na pół czarne płótno. – Kiedy byłam w twoim wieku. Śniłam o przyszłości, o aniołach, o prorocत्वach... Po Mrocznej Wojnie sny się skończyły. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś wrócą, ale wróciły, niedawno, w ciągu ostatniego pół roku.

– Sny? – powtórzyła lekko zdezorientowana Emma.

– Nie są tak wyraziste, jak dawniej, za to dominuje w nich przeczucie... wiedza właściwie... że zbliża się coś bardzo złego. Jak ściana mroku i krwi. Jak cień, który rozpościera się nad światem i wszystko pochłania. – Clary przełknęła ślinę. – To nie koniec, nie ma więcej obrazów, ale jest taka... świadomość...

Emma wstała. Miała ochotę położyć Clary dłoń na ramieniu, ale coś ją powstrzymało. To nie była ta sama Clary, która pocieszała ją po śmierci rodziców. To była Clary, która weszła do Edomu, królestwa demonów, i zabiła Sebastiana Morgensterna. Clary, która stawiała czoło Razjelowi.

– Świadomość czego?

– Tego, że umrę. I to niebawem. Wkrótce.

– To ma jakiś związek z waszą misją? Myślisz, że coś ci się przydarzy?

– Nie, nie w tym rzecz. Trudno to wyjaśnić. Wiem, że to nastąpi, ale nie wiem kiedy ani w jaki sposób.

– Każdy boi się śmierci.

– Nie każdy, ja nie. Boję się natomiast, że Jace zostanie sam. Boję się, co się z nim wtedy stanie, i wydaje mi się, że nasz ślub tylko pogorszyłby sprawę. Małżeństwo zmienia wiele rzeczy. To obietnica, że się przy kimś będzie, a ja nie mogę obiecać, że długo z nim zostanę... – Clary spuściła wzrok. – Może to brzmi niedorzecznie, ale ja wiem swoje.

Milczenie się przedłużało. Ciszę mącił tylko szum oceanu w dole i zawodzenie wiatru na pustyni.

– Powiedziałaś mu? – spytała Emma.

– Tobie pierwszej mówię. – Clary spojrzała na nią z lękiem w oczach. – Chcę cię prosić o przysługę, i to nie byle jaką. – Wzięła głęboki wdech. – Jeżeli rzeczywiście umrę, chcę, żebyś im powiedziała, Jace'owi i całej reszcie, że

wiedziała, wiedziała, że umrę, i nie bałam się śmierci. I żebyś wytłumaczyła Jace'owi, że właśnie dlatego odrzuciłam jego oświadczyzny.

– Ale... Dlaczego ja?

– Nie znam nikogo innego, komu mogłabym to powiedzieć bez obawy, że zacznę świrować ze strachu albo pomyśli, że przechodzę załamanie nerwowe i wyśle mnie na terapię... Simon tak by się właśnie zachował. – Oczy Clary zabłyśły podejrzenie jasno, gdy wymówiła imię swojego *parabatai*.
– Ufam ci, Emmo.

– Zrobię to. I oczywiście możesz mi zaufać, że nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy, ale...

– Kiedy mówiłam o zaufaniu, nie chodziło mi o dochowanie tajemnicy. Chociaż w to również nie wątpię. W moich snach widzę cię z Cortaną w dłoniach. – Clary wyciągnęła się na całą wysokość, niemal wspięła na palce i pocałowała Emmę w czoło. – Ufam, że nie przestaniesz walczyć, Emmo. Że nigdy się nie poddasz.

* * *

Dopiero gdy wrócili do samochodu, Kit zauważył, że ma zakrwawione knykcie. Nie czuł bólu, kiedy uderzył pięścią w szyld, za to teraz czuł go bardzo wyraźnie.

Jason, który zamierzał właśnie uruchomić samochód, zawahał się.

– Mógłbym cię uleczyć – zaproponował. – Nałożyć ci *iratze*.

– Co?

– Run uzdrawiający. To jeden z najdelikatniej działających runów, więc nawet miałoby to sens, żeby był twoim pierwszym.

Tysiąc kąśliwych komentarzy przemknęło przez głowę Kita, ale był zbyt zmęczony, żeby któryś z nich wyartykułować.

– Nie chcę, żebyś mnie szturchał tą swoją czarodziejską różdżką – odparł.

– Chcę po prostu wrócić.

W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „do domu”.

Podczas jazdy milczał, gapiąc się przez przednią szybę. Ruch był niewielki, autostrada ciągnęła się przed nimi szara i pusta. Mignęły mu drogowskazy do Crenshaw i Fairfax. To nie było piękne Los Angeles z plażami i górami, zielonymi trawnikami i eleganckimi rezydencjami –

to było L.A. z popękany asfaltem, cherlawymi drzewami i niebem ciężkim od smogu. To miasto od zawsze było jego domem, ale kiedy teraz na nie patrzył, czuł do niego dziwny dystans, tak jakby Nocni Łowcy pomału odrywali go od wszystkiego, co znajome, i wciągali w swoją dziwną orbitę.

– Co ze mną będzie? – przerwał zniecierpliwione milczenie.

– Co mówiłeś? – Jason z marszem na czole zerknął w lusterko wsteczne.

Kitowi mignęły jego niebieskozielone oczy. To był naprawdę niesamowity odcień, w dodatku wszyscy Blackthornowie mieli takie oczy... No, Mark miał jedno. Wszyscy z wyjątkiem Ty'a.

– Czyli Jace jest moim prawdziwym krewnym – mówił dalej Kit – ale nie mogę u niego zamieszkać, bo razem z tą swoją seksowną laską wyrusza właśnie na jakąś tajną misję.

– Wygląda na to, że wszyscy Herondale'owie mają podobny gust – mruknął Julian.

– Co?

– Ona ma na imię Clary. Ale poza tym wszystko się zgadza: w tej chwili nie możesz zamieszkać z Jace'em, więc zatrzymasz się u nas. To żaden problem. Jedni Nocni Łowcy udzielają schronienia innym. Normalna rzecz.

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? No bo wiesz, i bez tego macie w domu niezły zamęt: wuj cierpi na agorafobię, twój brat jest trochę dziwny...

Julian mocniej ścisnął kierownicę, ale odparł tylko:

– Ty nie jest wcale dziwny.

– Miałem na myśli Marka – wyjaśnił Kit. – A Ty faktycznie nie jest dziwny – dodał po chwili krępującego milczenia – tylko po prostu autystyczny.

Tym razem milczenie trwało dłużej i Kit zaczął się zastanawiać, czy w jakiś sposób nie uraził Juliana.

– To nic takiego – odezwał się w końcu. – Kiedy jeszcze chodziłem do przyziemnej szkoły, były tam dzieciaki z różnych segmentów spektrum. Ty ma z nimi sporo wspólnego.

– Jakiego spektrum?

Kit spojrzął na Juliana ze zdziwieniem.

– Naprawdę nie wiesz, o czym mówię?

Julian pokręcił głową.

– Może jeszcze tego nie zauważyłeś, ale nie interesujemy się przyziemną kulturą.

– To nie żadna przyziemna kultura, tylko...

Neurobiologia. Nauka. Medycyna.

– Nie używacie rentgenów? Albo antybiotyków?

– Nie. Na drobiazgi, takie jak ból głowy, wystarczają runy uzdrawiające.

Z poważnymi sprawami zwracamy się do Cichych Braci, oni są naszymi lekarzami. Stosowanie przyziemnej medycyny jest kategorycznie zabronione, ale jeśli jest coś, co twoim zdaniem powinienem wiedzieć na temat Ty'a...

Chwilami Kit miał ochotę znienawidzić Juliana. Naprawdę, z całego serca. Julian kochał zasady; był nieugięty, denerwująco spokojny i dokładnie tak beznamiętny, jak to się mówiło o Nocnych Łowcach. Tyle że w rzeczywistości wcale taki nie był. Miłość w jego głosie, kiedy wypowiadał imię brata, zadawała kłam temu wizerunkowi.

Nagle poczuł dziwne napięcie w całym ciele. Wcześniejsza rozmowa z Jace'em pomogła mu się rozluźnić i częściowo wyzbyć lęku, który od czasu śmierci ojca nie dawał mu spokoju. Przy Jasie mógł myśleć, że życie wcale nie musi być takie skomplikowane; że w dalszym ciągu otacza ich świat, w którym można dać czemuś szansę i poczekać, co z tego wyniknie.

Kiedy teraz wpatrywał się w szarą nawierzchnię autostrady, nie pojmował, jak mógł się spodziewać, że zdoła żyć w świecie, który całą jego wiedzę stygmatyzował jako błędną, a wszystkie bliskie mu wartości – jakiegokolwiek wartości mógł mu wpoić człowiek znany jako Rook Kanciarz – wywracał do góry nogami. W świecie, w którym sojusz z krewniakami oznaczał, że ludzie, wśród których się wychował, serdecznie go znienawidzą.

– Nieważne – odparł. – Wcale nie chodziło o Ty'a. To tylko takie... przyziemne duperele.

– Przykro mi, Kit – powiedział Julian. Droga biegła tu skrajem oceanu, który ciągnął się w dal przecięty idealnie białą ścieżką światła okrągłego, odległego księżyca. – Z powodu tego, co się wydarzyło na Targu.

– Teraz mnie nienawidzą. Wszyscy, których kiedyś znałem. Nienawidzą mnie.

– Nie nienawidzą cię, tylko się ciebie boją. To co innego.

Być może, pomyślał Kit. Ale w tej chwili wcale nie był przekonany, że

ta różnica ma znaczenie.

Sfery, co we mgłach się promienia

Cristina stała na szczycie wzgórza, na którym niegdyś znajdował się dom Malcolma Fade'a, i wodziła wzrokiem po zgliszczach.

Malcolm Fade. Nie znała go tak jak Blackthornowie. Przez pięć lat był ich przyjacielem, przynajmniej za takiego go właśnie uważali. Mieszkał w odległości zaledwie paru mil, w imponującym domu ze szkła i stali wybudowanym wśród suchych wzgórz Malibu. Była tu kiedyś, jeden raz, z Dianą; Malcolm – ze swoją swobodą bycia i poczuciem humoru – wydał jej się wtedy czarujący. Żałowała nawet, że Najwyższy Czarownik Mexico City nie jest do niego podobny: mógłby być młodo wyglądającym, uroczym mężczyzną, a nie zrzędliwą starą kobietą z uszami nietoperza mieszkającą w Parque Lincoln.

Potem Malcolm okazał się mordercą i cała ta wizja rozpadła się na kawałki. Wyszedł na kłamcę, zawiódł pokładane w nim zaufanie, zagroził bezpieczeństwu Tavvy'ego. Na szczęście chłopca udało się uratować, a Emma rozprawiła się z Malcolmem, wraziwszy mu miecz w brzuch.

Z dołu dobiegał ryk pędzących autostradą samochodów. Musieli się wspiąć po stromym zboczu wzgórza, Cristina się spociła i teraz swędziała ją skóra na całym ciele. Stojąca na szczycie sterty gruzu Clary Fairchild trzymała w rękach niezwykle przedmiot, skrzyżowanie serafickiej klingi z maszyną, jakiej Przyziemni używają do wyszukiwania ukrytego w ziemi metalu. Mark, Julian i Emma kręcili się po różnych częściach zburzonego budynku, przeczesując szklano-metalowe szczątki.

Jace postanowił spędzić dzień z Kitem w sali treningowej. Cristina go za to podziwiała. Wychowano ją w poczuciu, że rodzina jest najważniejsza, a Kit i Jace byli ostatnimi ocalałymi Nocnymi Łowcami z rodu Herondale'ów. Poza tym Kit potrzebował przyjaciół. Na razie był małym samotnikiem,

za młodym, żeby go nazwać przystojnym, ale obdarzonym wielkimi niebieskimi oczami, dzięki którym ufałeś mu bezgranicznie, nawet gdy w tym samym czasie obrabiał ci kieszenie. Otaczała go aura szelmstwa, trochę podobnie jak niegdyś Jaimego, jej najlepszego przyjaciela z dzieciństwa, szelmstwa, które bardzo łatwo może pchnąć na drogę przestępstwa.

– ¿En que piensas? – zagadnął Diego, podszedłszy do niej od tyłu.

Miał na sobie dzinsy i ciężkie robocze buty. Cristina nie mogła nic poradzić na to, że irytuje ją, kiedy upiera się przy przypinaniu centuriońskiej odznaki nawet do rękawa zwyczajnego T-shirta. Był bardzo przystojny – prawdę powiedziawszy, znacznie przystojniejszy od Marka, gdyby zupełnie obiektywnie oceniać ich urodę. Miał regularniejsze rysy, bardziej kwadratową szczękę, szersze ramiona i pierś.

Odepchnęła na bok kilka odłamków pomalowanego tynku. We dwoje z Diego zostali przydzieleni do wschodniego sektora ruin, gdzie musiała się chyba znajdować sypialnia i garderoba Malcolma, bo Cristina co rusz znajdowała strzępy ubrań.

– Tak szczerze? Wspominałam Jaimego.

– Aha. – Spojrzał na nią współczująco. – Nie ma nic złego w tym, że za nim tęsknisz. Mnie też go brakuje.

– W takim razie powinieneś z nim porozmawiać.

Zdawała sobie sprawę, jak szorstko to zabrzmiało, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie była do końca pewna, dlaczego właściwie Diego działa jej na nerwy. Może tak długo obwiniała go o zdradę, że teraz już trudno jej było wyzbyć się tej złości. A może fakt, że w końcu przestała go obwiniać, oznaczał przerzucenie winy na barki Jaimego, co wydawało jej się nieuczciwe, bo nieobecny Jaime nie mógł się bronić.

– Nie wiem, gdzie go szukać – odparł Diego.

– Jak to nie wiesz? – Cristinie coś tu nie pasowało. Może dlatego że Diego nigdy o tym nie wspominał. – Nie wiesz, gdzie jest, czy nie wiesz, jak się z nim skontaktować?

– Jaime nie chce ze mną rozmawiać. Wszystkie moje ogniste wiadomości są blokowane, odbijają się bez odpowiedzi. Nie rozmawia z naszym ojcem. – Ich matka nie żyła. – Ani z kuzynami.

– To skąd w ogóle wiesz, że jeszcze żyje? – wypaliła Cristina i natychmiast

tego pożałowała.

– Nie przestał być moim młodszym bratem – odparł Diego z błyskiem w oku. – Zorientowałbym się, gdyby zginął.

– Centurionie! – zawołała Clary, wymachując ręką.

Diego natychmiast rzucił się biegiem w jej stronę. Cristina – w pełni świadoma, że go rozdrażniła, i targana z tego powodu wyrzutami sumienia – ze złością kopnęła kawał muru przebity na wylot prętem zbrojeniowym jak wykałaczką.

Kamienny odłamek przetoczył się na bok, odsłaniając skrywany do tej pory przedmiot. Cristina najpierw ze zdumieniem przyjrzała się znalezisku, a potem schyliła się i je podniosła. To była rękawiczka, męska rękawiczka ze skóry miękkiej jak jedwab, lecz tysiąc razy mocniejszej. Zdobiący ją nadruk przedstawiał przełamaną na dwoje koronę.

– Mark! – zawołała. – ¡*Necesito que veas algo!*

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że z zaskoczenia odruchowo przemówiła po hiszpańsku, ale nie miało to wielkiego znaczenia: Mark z gracją przebiegł po kamieniach w jej stronę i stanął tuż nad nią. Wiatr rozwiewał jego delikatne blade złote loki, odsłaniając lekko szpiczaste uszy.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

Podawała mu rękawiczkę.

– Czy to nie jest przypadkiem herb jednego z Dworów faerie?

Mark obrócił rękawiczkę w dłoniach.

– Złamana korona to symbol króla Ciemnego Dworu – przyznał półgłosem – który uważa się za prawowitego władcę obu Dworów, Ciemnego i Jasnego. Dopóki nie obejmie władzy nad nimi oboma, korona pozostanie przełamana. – Przekrzywił głowę jak ptak, który z bezpiecznej odległości bacznie przygląda się kotu. – Te rękawiczki... Kieran miał takie, kiedy zjawił się w Dzikim Polowaniu. Doskonała robota, ale mało kto z arystokratów je nosi. Prawdę mówiąc, w ogóle mało kto je nosi poza królewskimi synami.

– Nie myślisz chyba, że ta akurat należała do Kierana?

Mark pokręcił głową.

– Jego rękawiczki... uległy zniszczeniu. W Polowaniu. Ale to znalezisko oznacza, że Malcolm odwiedził albo ktoś zajmujący bardzo wysoką pozycję na Ciemnym Dworze, albo sam król.

Cristina zmarszczyła brwi.

– Dziwne, że ją tu zostawił.

Jej zaplecione włosy poluzowały się, oswobodziły i teraz, targane wiatrem, długimi lokami opadały jej na twarz. Mark wyciągnął rękę, odgarnął jeden z nich i zatknął go jej za ucho. Musnął przy tym palcami policzek dziewczyny. Jego oczy miały marzycielski, nieobecny wyraz.

Cristina wzdrygnęła się lekko poruszona intymnością tego gestu.

– Mark – powiedziała – przestań.

Opuścił rękę. Nie rozzłościł się, jak zrobiliby to wielu chłopców poproszonych, żeby nie dotykali dziewczyny. Sprawiał raczej wrażenie zdziwionego i odrobinę zasmuconego.

– Chodzi o Diego?

– I o Emmę – odparła niemal szeptem.

Mark jeszcze bardziej się zdziwił.

– Ale przecież wiesz, że to tylko...

– Mark! – rozległo się wołanie Emmy. – Cristina!

Obok niej zgromadzili się już Julian, Diego i Clary. Cristina ucieszyła się, że nie musi odpowiadać Markowi, i natychmiast zaczęła się wspinać po stercie szkła i kamieni. Strój bojowy skutecznie chronił ją przed otarciami i zranieniami o ewentualne ostre krawędzie.

– Znaleźliście coś? – spytała, podszedłszy bliżej.

– Chciałaś kiedyś obejrzeć z bliska taką naprawdę ohydłą mackę? – odpowiedziała pytaniem Emma.

– Nie – odparła Cristina.

Ostrożnie zwolniła kroku. Clary rzeczywiście nadziała na czubek swojej dziwacznej broni coś nieprzyjemnie miękkiego i wiotkiego, coś, co nawet jeszcze trochę podrygiwało, odsłaniając różowe przyssawki na zielonym cętkowanym tle.

– Nikt nigdy nie odpowiada twierdząco na to pytanie – zauważyła rozczarowana Emma.

– Magnus przedstawił mi kiedyś czarownika, który miał takie macki – przyznała Clary. – Nazywał się Marvin.

– Domyślam się, że to raczej nie są szczątki Marvina – zauważył Julian.

– To w ogóle nie są niczyje szczątki – odparła Clary. – Jeżeli chcesz rozkazywać morskim demonom, potrzebujesz albo Kielicha Anioła, albo właśnie czegoś takiego: części ciała potężnego demona, na którą można

by rzucić zaklęcie. Moim zdaniem właśnie znaleźliśmy ostateczny dowód na to, że śmierć Malcolma jest powiązana z ostatnimi atakami teuthid.

– Co teraz? – spytała Emma.

Obrzuciła mackę podejrzliwym spojrzeniem. Nie przepadała ani za samym oceanem, ani za zamieszkującymi go potworami, ale na suchym lądzie była gotowa stawić czoło wszystkiemu, co napotka.

– Teraz wrócimy do Instytutu i zastanowimy się, co dalej. Kto chce nieść mackę?

Ochotników nie było.

* * *

– Chyba żartujesz – powiedział Kit. – Mowy nie ma, żebym stąd skoczył.

– Przemyśl to jeszcze. – Jace pochylił się ku niemu ze swojego dźwigara. – Przekonasz się, że to zaskakująco łatwe.

– Spróbuj – zachęciła Kita Emma.

Przyszła do sali treningowej, gdy tylko wrócili z domu Malcolma, ciekawa postępów Kita. Ty i Livvy usadowili się na podłodze i obserwowali, jak Jace najpierw namawia Kita do rzucania nożami (na co ten chętnie przystał), a potem do nauki skakania i upadania (na co Kit przystać nie zamierzał).

– Ojciec mnie uprzedzał, że będziecie próbowali mnie zabić – powiedział.

Jace westchnął. Ubrany w strój bojowy balansował na jednym z tworzących skomplikowaną sieć dźwigarów pod stromym dachem sali. Wznosiły się od dwudziestu do trzydziestu stóp nad podłogą. Kiedy na przestrzeni lat Emma uczyła się z nich spadać, zdarzało jej się przy tym łamać kości.

Nocny Łowca musiał umieć się wspinać (demony – szybkie i często wielonogie – wspinały się po ścianach budynków jak pająki), ale nie mniej ważna była umiejętność właściwego upadania.

– Dasz radę! – zawołała.

– Tak? A co będzie, jak rozplaszczę się na podłodze?

– Będziesz miał uroczysty państwowy pogrzeb. Złożymy twoje ciało do łodzi i zepchniemy je z wodospadu, jak to robili wikingowie.

Kit spojrzał na nią spode łba.

– To scena z filmu.

Emma wzruszyła ramionami.

– Być może.

Jace stracił cierpliwość. Skoczył z najwyższej belki, zrobił salto w powietrzu i z gracją, bezszelestnie wylądował na ugiętych nogach, po czym wyprostował się i mrugnął do Kita porozumiewawczo.

Emma ukryła uśmiech. W wieku dwunastu lat okrutnie podkochiwała się w Jasie. Z czasem jej zauroczenie przeobraziło się w chęć bycia Jace'em, bo Jace był we wszystkim najlepszy – w walce, sztuce przetrwania, fachu Nocnego Łowcy.

Na razie jeszcze tego stanu nie osiągnęła – ale też bynajmniej nie zakończyła treningu.

Mimo swojej niechęci Kit nie zdołał ukryć podziwu dla wyczynu Jace'a, ale zaraz znów zmarszczył brwi. Przy Jasie wydawał się niezwykle drobny i kruchy. Wzrostem w przybliżeniu dorównywał Ty'owi i chociaż był od niego mniej wysportowany, po zarysie jego ramion i torsu było widać, że drzemie w nim wrodzony potencjał Nocnego Łowcy. Zresztą Emma widziała, jak walczył w sytuacji zagrożenia. Wiedziała, na co go stać.

– Dasz radę zrobić to samo – Jace wskazał najpierw na dźwigar, a potem na Kita – gdy tylko będziesz tego chciał.

Emma rozpoznała charakterystyczny błysk w oku Kita, błysk, który mówił: „A może nigdy nie będę tego chciał?”.

– Niech mi ktoś przypomni – odezwała się – jak brzmi motto Nefilim?

– Prochem i cieniem jesteśmy – odparł Ty, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Niektórzy z nas są bardzo atrakcyjnym prochem – dodał Jace, gdy drzwi otworzyły się z impetem i do sali zajrzała Clary.

– Chodźcie do biblioteki – powiedziała. – Macka zaczyna się roztopiać.

– Swoją seksowną gadką potrafisz mnie doprowadzić do szaleństwa – mruknął Jace i narzucił kurtkę.

– Ci dorośli – prychnął z niesmakiem Kit i wymknął się z sali.

Emma z rozbawieniem stwierdziła, że Ty i Livvy natychmiast poderwali się z podłogi i ruszyli za nim. Zastanawiała się, co dokładnie tak ich w nim intrygowało. Może wystarczyło, że byli rówieśnikami? Jace pewnie złożyłby to na karb legendarnej charyzmy Herondale'ów, chociaż z tego, co słyszała, przedstawiciele wcześniejszego pokolenia akurat przesadną charyzmą nie

grzeszyli.

W bibliotece panował lekki chaos. Macka istotnie zaczynała się rozplýwać w kałuży zielono-szarej lepkiej mazi (która Emmie w makabryczny sposób kojarzyła się z roztopionymi żelkami). W związku z tym – jak słusznie zwróciła uwagę Diana – zostało dramatycznie mało czasu na zidentyfikowanie demona. Ponieważ Magnus nie odbierał telefonu, a nikt nie chciał wtajemniczać w sprawę Clave, nie pozostało im nic innego jak stare, dobre przekopywanie się przez księgozbiór. Każdy otrzymał gruby stos opasłych tomiszczy traktujących o morskich potworach, po czym rozproszyli się po całej bibliotece, żeby w spokoju analizować obrazy, szkice, rysunki i z rzadka wpięte do akt zdjęcia.

Mijały godziny. W którymś momencie Jace uznał, że przyszedł czas na zamówienie jakiegoś chińskiego zarcia: najwidoczniej kurczak *kung pao* i makaron w sosie z czarnej fasoli były nieodłącznym rekwizytem wszelkich prac naukowych ekipy nowojorskiego Instytutu. Obiecał wszystkim najlepszą chińszczyznę na Manhattanie i zabrał Clary do pustego pokoju, żeby tam otworzyła bramę, czego żaden inny Nocny Łowca nie potrafił zrobić.

– Mam! – wykrzyknęła Cristina jakieś dwadzieścia minut po tym, jak drzwi się za nimi zamknęły. Uniosła grubą *Carta Marina*.

Wszyscy stłoczyli się przy głównym stole i Diana potwierdziła, że macka należy do morskiego demona zwanego makarą, który – jeśli wierzyć szkicom zamieszczonym wśród map *Carta Marina* – wyglądał jak pół ośmiornica, pół ślimak z ogromnym łbem pszczoły.

– Najbardziej niepokojący nie jest wcale fakt, że makara jest demonem morskim – powiedziała Diana, marszcząc brwi – tylko to, że na lądzie jej szczątki rozkładają się najdalej po dwóch dniach.

Jace wparował do biblioteki. Oboje z Clary byli objuczeni biało-zielonymi pudełkami do transportu jedzenia na wynos z napisem JADE WOLF.

– Ktoś pomoże?

Ekipa badawcza rozpierzchła się na chwilę, żeby wyłożyć jedzenie na podłużne biblioteczne stoły: *lo mein*, obiecanego kurczaka *kung pao*, *mapo tofu*, *zhajiangmian*, smażony ryż z jajkiem i przepyszne kuleczki sezamowe, które smakowały jak gorące cukierki.

Każdy dostał papierowy talerzyk, nawet Tavvy, którego pochłaniało

rozstawianie żołnierzyków za regałem. Diego z Cristiną usiedli na kozetce, a Jace i Clary, jedząc z jednej miski, na podłodze. Blackthornowie sprzeciali się o kurczaka – wszyscy poza Markiem, który zachodził w głowę, jak użyć pałeczek; Emma domyślała się, że w Faerie nie jada się pałeczkami. Julian usiadł przy stole naprzeciwko Livvy i Ty'a i mierzył rozkładającą się mackę ponurym spojrzeniem. O dziwo, jej widok zupełnie nie odbierał mu apetytu.

– Przyjaźnicie się z wielkim Magnusem Bane'em, prawda? – zagadnął Diego Jace'a i Clary po upływie sympatycznych kilku minut, podczas których każdy był bez reszty pochłonięty jedzeniem.

– Wielkim Magnusem Bane'em? – Jace zadławił się ryżem. Church przycupnął przy jego nogach i czujnie wypatrywał upuszczonych kawałków kurczaka.

– Owszem, przyjaźnimy się – przytaknęła Clary, uśmiechając się półgębkiem. – A co?

Jace sfioretował na twarzy. Clary grzmotnęła go w plecy. Church przysnął.

– Chciałbym przeprowadzić z nim wywiad – odparł Diego. – Byłby niezłym materiałem do artykułu dla Spiralnego Labiryntu.

– W tej chwili jest bardzo zajęty: Max, Rafael, sam rozumiesz... Chociaż oczywiście nie zaszkodzi zapytać...

– Kto to jest Rafael? – zainteresowała się Livvy.

– Ich drugi syn – wyjaśnił Jace. – Niedawno adoptowali w Argentynie chłopczyka, Nocnego Łowcę, który stracił rodziców w Mrocznej Wojnie.

– W Buenos Aires! – wykrzyknęła Emma. Odwróciła się do Juliana. – Kiedy spotkaliśmy Magnusa u Malcolma, powiedział, że Alec jest w Buenos Aires i że zamierza tam do niego dołączyć. Pewnie wtedy właśnie załatwiali tę sprawę.

Julian tylko skinął głową, ale nawet nie podniósł wzroku.

Nie powinnam była na to liczyć, upomniała się w duchu Emma. Julian nieprędko stanie się znów taki jak dawniej – o ile w ogóle kiedykolwiek to nastąpi. Poczowała, że się rumieni, chociaż tylko Cristina zwróciła na to uwagę i posłała jej zaniepokojone spojrzenie. Diego obejmował ją ramieniem, ona jednak obie ręce trzymała na kolanach i teraz dyskretnie skinęła Emmie dłonią, a właściwie jednym palcem.

– Wróćmy może do bieżących spraw – zaproponowała Diana. – Jeżeli

makary na suchym lądzie nie są w stanie przeżyć dłużej niż dzień lub dwa...

– To ten demon musiał być w domu Magnusa całkiem niedawno – dokończyła Livvy. – Po jego śmierci.

– Dziwne. – Julian zerknął do otwartej książki. – To demon głębinowy, bardzo niebezpieczny i bardzo duży. Ktoś powinien go zauważyć. Poza tym, czego miałyby szukać w ruinach?

– Któż może wiedzieć, czego pragną morskie demony? – spytał Mark.

– Ponieważ najprawdopodobniej nie chodziło mu o Malcolmową kolekcję eleganckich skarpetek na macki – ciągnął Julian – należy założyć, że został przez kogoś przywołany. Makary same z siebie nie wypełzają na ląd. Czatuja przy dnie morskim i czasem wciągają statki pod wodę.

– Czyli co, kolejny czarownik? – zasugerował Jace. – Jakiś wspólnik Malcolma?

– Catarina uważa, że Malcolm działał sam – przypomniała Diana. – Owszem, przyjaźnił się z Magnusem, ale poza tym był raczej typem samotnika. Ku czemu, jak teraz widzimy, miał doskonałe powody.

– Gdyby jednak współpracował z innym czarownikiem, raczej by się tym nie chwalił – zauważył Diego.

– Z całą pewnością wygląda na to, że zamierzał nam szkodzić dalej zza grobu, gdyby coś mu się stało – odparła Diana.

– Macka nie jest naszym jedynym znaleziskiem – wtrąciła Cristina. – Mark, pokaż im rękawiczkę.

Emma widziała już rękawiczkę w drodze powrotnej do Instytutu, ale teraz tak samo jak wszyscy wyciągnęła szyję, gdy Mark wyjął rękawiczkę z kieszeni kurtki i położył na stole.

– Godło króla Ciemnego Dworu – powiedział. – Takie rękawiczki to rzadkość. Kieran miał takie, kiedy dołączył do Polowania. Zdarzało się, że na ucztach rozpoznawałem jego braci po płaszczach i takich właśnie rękawiczkach.

– Dziwne, że akurat Malcolm ją miał – zauważyła Livvy.

Emma ze zdumieniem stwierdziła, że nie widzi przy niej Ty'a. Czyżby wrócił do książek?

– Żaden książę faerie nie rozstałby się z takim przedmiotem z własnej woli – powiedział Mark. – Chyba że miałyby to być oznaka jego szczególnej łaski lub symbol przypięczętowania przysięgi.

Diana spochmurniała.

– Wiemy, że Malcolm działał ręką w rękę z Iarlathem.

– Ale Iarlath nie był księciem, w ogóle nie był arystokratą. Obecność tej rękawiczki sugeruje, że Malcolm zawarł jakiś pakt bezpośrednio z Ciemnym Dworem.

– Wiemy o tym, że przed laty spotkał się z królem Ciemnego Dworu – przypomniała Emma. – Król przekazał mu wtedy rymowaną, która miała mu posłużyć do wskrzeszenia Annabel z martwych: „Najpierw ogień, potem woda...”.

– „A na końcu krew Blackthorna” – dokończył Julian.

Niewiele brakowało, żeby tak się to właśnie skończyło. Chcąc wskrzesić Annabel, Malcolm musiał złożyć ofiarę z krwi Blackthornów. Uprowadził więc Tavvy’ego i omal go nie zabił.

Na wspomnienie tamtych wydarzeń Emmę przeszedł dreszcz.

– Jednakże do niedawna taki rysunek wcale nie był symbolem króla – powiedział Mark. – Takie znaczenie nadano mu dopiero niedługo po zawarciu Zimnego Pokoju. W Faerie czas płynie inaczej, ale... – Pokręcił głową, jakby chciał dodać „nie aż tak inaczej”. – Boję się.

Jace i Clary spojrzeli po sobie. Lada moment mieli wyruszyć do Faerie, prawda? Emma pochyliła się w ich stronę, żeby zapytać, czy coś wiedzą na ten temat, ale zanim zdążyła się odezwać, rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach Instytutu.

Wszyscy spojrzeli po sobie zaskoczeni, ale to Tavvy pierwszy się odezwał. Podniósł wzrok znad zabawek i zapytał:

– Kto tam?

* * *

Jeżeli Kit był w czymś naprawdę dobry, to w dyskretnym wymykaniu się z pomieszczeń. Robił to przez całe życie, kiedy ojciec w pokoju gościnnym spotykał się z niecierpliwymi czarownicami i porywczymi wilkołakami.

Niepostrzeżone wyślizgnięcie się z biblioteki, kiedy wszyscy byli zajęci dyskusją i pochłanianiem chińszczyzny, nie przedstawiało więc dla niego specjalnego problemu. Clary naśladowała kogoś, kogo nazywali „Inkwizytorem”, wszyscy się śmiali, a Kit zastanawiał się, czy któremuś

z nich przyszło do głowy, jak bardzo niestosownie brzmi nazwa oficjalnego stanowiska, która niedwuznacznie kojarzy się z torturami.

Zdarzało mu się już wcześniej zaglądać do kuchni, było to jedno z jego ulubionych pomieszczeń w Instytucie, po domowemu przytulne ze swoimi błękitnymi ścianami i zlewem jak z wiejskiego domku. A i zawartość lodówki przypadła mu do gustu. Domyślał się, że Nocni Łowcy często bywają głodni, zważywszy na to, jak dużo trenowali. Zastanawiał się, czy jeśli zostanie Łowcą też będzie musiał tyle ćwiczyć i czy wyrobi sobie taką muskulaturę jak Jace i Julian – bo na razie był raczej chuderławy i bardziej niż tamtych dwóch przypominał Marka. Podwinął koszulkę i zagapił się na swój płaski brzuch: nie, ani śladu kaloryferka.

Puścił rąbek T-shirta i wyjął z lodówki pudełko z ciastkami. Może uda mu się pokrzyżować plany Łowców, jeśli będzie odmawiał treningów i obżerał się słodyczami.

Zobaczymy, kto wygra, pomyślał. Podważył kciukiem wieczko pojemnika i wrzucił sobie ciastko do ust. Swoją ochotą na słodycze rzucam wam wyzwanie, Nocni Łowcy.

Puszczane przez niego drzwi lodówki same się zamknęły, a wtedy Kit omal nie wrzasnął wniebogłosy. Odruchowo przełknął ciasteczko. Wybałuszył oczy.

Na środku kuchni stał Ty Blackthorn z rękami w kieszeniach i słuchawkami zsuniętymi na szyję.

– Niezłe są – powiedział Ty – chociaż ja i tak wolę te z kajmakiem.

Myśli o ciasteczkowej rebelii wywietrzały Kitowi z głowy. Ty sypiał wprawdzie pod drzwiami jego pokoju, ale do tej pory prawie się do niego nie odzywał. Najdłuższą przemowę wygłosił do niego w domu Rooków, grożąc mu nożem, a to chyba trudno byłoby uznać za prawdziwą interakcję społeczną.

Odstawił pudełko na blat. Znów uderzyło go, jak bardzo uważnie Ty mu się przygląda, jakby w myślach sumował jakieś wyimaginowane plusy i minusy czy coś w tym rodzaju. Z kimś innym Kit próbowałby nawiązać kontakt wzrokowy, ale wiedział, że Ty nie będzie chciał mu spojrzeć w oczy. Ta świadomość była na swój sposób kojąca.

– Masz krew na ręce – powiedział Ty. – Już wcześniej zauważyłem.

– No tak. – Kit spojrzął na swoje zakrwawione knykcie. – Skaleczyłem się

na Nocnym Targu.

Ty oparł się o blat.

– W jaki sposób?

– Zezłościłem się i walnąłem pięścią w szyld.

Ty uniósł brwi w geście zdumienia. Miał osobliwe brwi, szpiczasto zakończone, jak odwrócone litery V, i bardzo czarne.

– I co, poczułeś się od tego lepiej?

– Nie – przyznał Kit.

– Mogę ci pomóc.

Ty wyjął z kieszeni jeden z tych zaczarowanych ołówków, jakich używali Nocni Łowcy. Stele, tak je nazywali. Wyciągnął rękę.

Kitowi przeszło przez myśl, żeby odrzucić propozycję Ty'a, tak jak odmówił Julianowi, gdy ten zaproponował w samochodzie, że go uleczy, ale postanowił tego nie robić. Ufnie podstawił Ty'owi przedramię, wnętrzem dłoni ku górze, odsłaniając żyły na przegubie przed tym samym chłopcem, który nie tak dawno przystawiał mu nóż do gardła.

Chłodne palce wolnej ręki Ty'a ostrożnie ujęły nadgarstek Kita i go unieruchomiły. Miał długie palce; Kit już wcześniej zauważył, że wszyscy Nocni Łowcy takie mają. Może miało to coś wspólnego z koniecznością posługiwania się różną bronią. Te obserwacje zafascynowały go do tego stopnia, że tylko lekko się wzdrygnął, gdy stela sunęła po jego skórze, zostawiając po sobie wrażenie ciepła, jakby przesunął ręką nad płomieniem świecy.

Ty pracował ze spuszczoną głową, czarne włosy opadały mu skosem na twarz. W końcu cofnął stelę i puścił rękę Kita.

– Obejrzyj dłoń – powiedział.

Kit obrócił rękę. Rozcięcia zrastały się i goiły na jego oczach, skóra z czerwonej i poszarpanej stawała się blada i gładka. Na przedramieniu rozpościerał się czarny symbol. Przyprawiał go o dreszcze. Dowodził, że wszystko, co mu mówiono, było prawdą: naprawdę był Nocnym Łowcą.

Ciekawe, kiedy zaczniesz blaknąć, pomyślał.

– Super – powiedział. – Naprawdę potraficie w ten sposób wszystko wyleczyć? Na przykład cukrzycę? Albo raka?

– Niektóre choroby tak. Chociaż raka nie zawsze. Moja mama umarła na raka. – Ty schował stelę. – A twoja? Też była Nocną Łowczynią?

– Wątpię.

Ojciec opowiadał czasem Kitowi, że jego matka była tancerką z Vegas i zwała z domu krótko po tym, jak przyszedł na świat, ale od mniej więcej dwóch tygodni Kit zaczynał się oswajać z myślą, że ojciec mógł mu nie mówić całej prawdy na ten temat. Skoro nie mówił mu jej w innych sprawach...

– Ale już nie żyje – dodał nie dlatego, że tak myślał, ale dlatego, że nie miał ochoty o tym rozmawiać.

– Czyli obaj mamy nieżyjące matki – podsumował Ty. – Jak myślisz, będziesz chciał tu zamieszkać na stałe? Zostać Nocnym Łowcą?

Kit otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zawiesił głos, bo nagle po Instytucie poniósł się cichy, słodki dźwięk dzwonka.

– Co to? – spytał.

Ty uniósł głowę. Kitowi mignęły jego oczy: były szare, tak intensywnie szare, że niemal srebrne.

Zanim Ty zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do kuchni weszła Livvy z puszką gazowanego napoju w lewej ręce. Nie zdziwiła się bynajmniej na widok Ty'a i Kita; przepchnęła się między nimi, wskoczyła na stół i założyła nogę na nogę.

– Przyjechali Centurioni – obwieściła – i teraz wszyscy biegają po Instytucie jak kurczaki z oderzniętymi głowami. Diana wyszła ich przywitać, Julian wygląda, jakby chciał kogoś zamordować...

– A ty przyszłaś zapytać, czy pójdę z tobą ich pospiegować – dokończył Ty. – Mam rację?

Livvy pokiwała głową.

– Tylko proponuję wybrać takie miejsce, żeby nikt nas nie zobaczył, bo jak Diana nas złapie, to przez następne dwie godziny będziemy słać łóżka i składać ręczniki dla Centurionów.

To przeważało. Ty skinął głową i skierował się do wyjścia. Livvy zeskoczyła ze stołu i ruszyła za nim, zatrzymała się jednak z dłonią na futrynie drzwi i obejrzała przez ramię na Kita.

– Idziesz?

Kit uniósł brwi.

– Na pewno chcecie, żebym z wami poszedł?

Nie przyszło mu do głowy się napraszać: bliźnięta najwyraźniej tworzyły

doskonały, zamknięty zespół, jakby nie potrzebowały nikogo poza sobą nawzajem.

Livvy wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Odpowiedział jej niepewnym uśmiechem. Był przyzwyczajony do widoku dziewczyn, nawet bardzo ładnych dziewczyn, ale przy Livvy trochę się denerwował.

– Pewnie – przytaknęła. – Jest jeden warunek: obowiązkowe cięte i złośliwe komentarze na temat ludzi, których będziemy szpiegować. Oczywiście z wyłączeniem członków naszej rodziny.

– Za rozśmieszenie Livvy dostaniesz podwójne punkty – dodał już z korytarza Ty.

– W takim razie...

Kit dołączył do nich. Jak to powiedział Jace? Żaden Herondale nie oprze się rzuconemu mu wyzwaniu?

* * *

Cristina ze zgrozą obserwowała grupę około dwudziestu Centurionów stłoczonych przy potężnych drzwiach wejściowych do Instytutu. Miała niewiele czasu, żeby oswoić się z ideą poznania kolegów Diego ze Scholomancji, i z całą pewnością nie planowała wystąpienia przed nimi w zakurzonym stroju bojowym, z włosami zaplecionymi w warkoczyki.

Trudno. Wyprostowała się dumnie. Czasem fach Nocnej Łowczyny wymagał ubrudzenia sobie rąk; Centurioni na pewno nie oczekują, że będzie wyglądała idealnie. Chociaż – jak sobie uświadomiła, patrząc na nich – oni z pewnością tak właśnie się prezentowali. Centurioński mundur przypominał zwykły strój bojowy Nocnego Łowcy, na wierzch narzucili jednak kurtki opatrzone mnóstwem błyszczących guzików i przecięte na skos szarfą z deseniem winorośli oplatającej kostur. Na plecach ponaszywali sobie symbole rodowe: chłopak o piaskowych włosach miał wilka, brązowoskóra dziewczyna – krąg z gwiazd. Chłopcy strzygli się krótko, dziewczęta zaplatały warkocz albo wiązały włosy w kucyk. Wszyscy wyglądali czyściutko, fachowo i trochę niepokojąco.

Przy drzwiach Sanktuarium Diana rozmawiała z dwoma z nich: ciemnoskórym chłopakiem z insygniami Primi Ordines i tym z wilkiem na plecach. Obaj odwrócili się, żeby pomachać Diego, gdy zszedł

po schodach w towarzystwie Cristiny i pozostałych.

– Nie wierzę, że już tu są – mruknęła Emma.

– Bądź miła – upomniała ją szeptem Diana.

Łatwo jej mówić, pomyślała Cristina. Nie jest taka brudna jak my.

Diana jedną ręką złapała za nadgarstek Emmę, drugą Juliana i zaprowadziła oboje w tłumek Centurionów; Juliana wypchnęła na spotkanie ślicznej Hinduski ze złotą wkrętką w nosie, a Emmę podsunęła ciemnowłosej parze, chłopcu i dziewczynie, którzy zmierzyli ją zdumionym spojrzeniem. Byli tak podobni, że musieli być bliźniętami.

Na ich widok Cristina pomyślała o Ty'u i Livvy i odruchowo się rozejrzała, ciekawa, czy jak zwykle śledzą wydarzenia z balkonu na piętrze, ale nigdzie ich nie dostrzegła. Pewnie gdzieś się schowali, o co nie mogła mieć do nich pretensji. Na podłodze wały się rozrzucone bagaże. Ktoś będzie musiał zaprowadzić Centurionów do pokoi, przywitać ich, wymyślić, jak ich żywić...

– Nie zdawałem sobie sprawy – odezwał się Mark.

– Z czego? – spytał Diego. Pomachał w odpowiedzi chłopcom rozmawiającym wcześniej z Dianą, którzy teraz wyszli mu na spotkanie.

– Z tego, jak bardzo Centurioni przypominają żołnierzy. Chyba spodziewałem się, że będą bardziej jak... studenci.

– Jesteśmy studentami – odparował ostro Diego. – Nawet po ukończeniu Scholomancji nie przestajemy być naukowcami.

Zanim Mark zdążył coś odpowiedzieć, Centurioni podeszli bliżej. Diego poklepał ich po plecach i przedstawił:

– To jest Manuel, a to Rayan. Cristina, Mark.

– *Gracias* – powiedział blondyn. Jego włosy miały jasnobrązowy odcień i były poprzetykane rozjaśnionymi słońcem pasemkami. Miał sympatyczny, lekko krzywy uśmiech. – *Un placer conocerte.*

Cristinie zapało dech w piersi.

– Znasz hiszpański?

– *Es mi lengua materna.* – Manuel parsknął śmiechem. – Urodziłem się w Madrycie i wychowałem w tamtejszym Instytucie.

Rzeczywiście, przyznała w duchu Cristina, mówił z akcentem, który wzięła za hiszpański: to miękkie „c”, przez które „gracias” brzmiało jak „grathiath”... Urocze.

W głębi sali dostrzegła Dru, która – trzymając Tavvy'ego za rączkę (kazali jej zostać w bibliotece i opiekować się bratem, ale koniecznie chciała zobaczyć Centurionów) – podeszła do Emmy, pociągnęła ją za rękaw i szepnęła jej coś do ucha.

Cristina uśmiechnęła się do Manuela.

– Niewiele brakowało, a też przez rok studiowałabym w Madrycie.

– Ale tu są fajniejsze plaże – odparł i mrugnął porozumiewawczo.

Kątem oka zauważyła, jak Emma podchodzi do Juliana i niezręcznym gestem poklepuje go po ramieniu. Powiedziała coś, na co zareagował skinieniem głowy, i razem wyszli. Dokąd? Kusiło ją, żeby pójść za nimi, zamiast prowadzić uprzejmą pogawędkę ze znajomymi Diego, choćby byli nie wiadomo jak przemili.

– Konieczność stałego mówienia po angielsku potraktowałam jak wyzwanie, co bardzo mi odpowiadało... – zaczęła.

Wyraz twarzy Manuela nagle się zmienił, a Rayan chwycił Cristinę za rękaw i odciągnął na bok. W tej samej chwili ktoś znienacka doskoczył do Diego i złapał go za rękę.

Dziewczyna o bardzo jasnej skórze, z krągłą buzią i kasztanowymi włosami związanymi w ciasny kok, z impetem przywarła do piersi Diego, który nagle zbladł, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Zara?

– Niespodzianka! – Dziewczyna cmoknęła go w policzek.

Cristinie zakręciło się lekko w głowie; pewnie w ruinach domu Malcolma za dużo przebywała na słońcu.

Chociaż, prawdę mówiąc, słońce wcale tak bardzo wtedy nie prażyło.

– Nie wiedziałem, że przyjedziesz – powiedział wciąż wyraźnie wstrząśnięty Diego. Rayan i Manuel byli lekko skrępowani. – Mówiłaś... mówiłaś, że jedziesz na Węgry...

– Eee tam! – Zara zbyła to machnięciem ręki. – Wyszło na to, że to kompletna bzdura. Gromada Nefilim twierdziła, że ich stele i serafickie ostrza nie działają, jak należy, tymczasem okazało się, że to zwykła niekompetencja. Przyjazd tutaj był o wiele ważniejszy!

Ujęła Diego pod rękę i z promiennym uśmiechem odwróciła się do Marka i Cristiny. Nie wypuściła z uścisku ręki Diego, lecz jej uśmiech stężał, gdy Cristina z Markiem patrzyli na nią bez słowa. Diego wyglądał, jakby lada

chwila miał z wymiotować.

– Na pewno o mnie słyszeliście – powiedziała w końcu, przewracając oczami. – Jestem Zara Dearborn. Narzeczonego Diego.

I na ziemi, i na niebie

Emma prowadziła Juliana przez Instytut korytarzami, które mimo panującego w nich półmroku były im doskonale znajome. Żadne z nich się nie odzywało. Warkocze Emmy kołysały się miarowo przy każdym kroku i Julian przez chwilę skupił na nich wzrok. Myślał o tysiącach okazji, kiedy razem wychodzili z Instytutu, uzbrojeni, roześmiani, rozgadani i snujący plany odnośnie do czekającego ich spotkania. O tym, jak z lekkim sercem przekraczał próg gotowy wsiąść do samochodu i popędzić przed siebie autostradą, z wiatrem we włosach i słonawym osadem na skórze.

Kiedy teraz wyszli na płaski, piaszczysty teren na tyłach gmachu, to wspomnienie ciężkim brzemieniem przygniatało mu pierś.

Jace i Clary już na nich czekali, w kurtkach od stroju bojowego, każde z obszerną torbą w ręce. Pochyleni ku sobie, rozmawiali o czymś z ożywieniem. Ich cienie, nakreślone z idealną precyzją w świetle późnego popołudnia i ostre niczym brzytwa, zlewały się ze sobą.

Odsunęli się od siebie, gdy Emma zakaszła znacząco.

– Przykro nam, że się tak wymykamy – przyznała skrępowana Clary – ale pomyśleliśmy, że lepiej będzie nie czekać, aż Centurioni zaczną nas wypytywać o naszą misję. – Rozejrzała się. – Gdzie Kit?

– Z Livvy i Ty’em – odparła Emma. – Tak myślę. Posłałam po niego Drusillę.

– Jestem.

Kit – jasnowłosa cień z rękami wbitymi w kieszenie – pchnął barkiem tylne drzwi Instytutu.

Ma lekki chód, pomyślał Julian. To naturalna cecha Nocnych Łowców. Jego ojciec był złodziejem i kłamcą. Tacy też potrafią cicho stąpać.

– Mamy coś dla ciebie, Christopherze – zapowiedział Jace z niezwykłą dla

niego powagą. – To znaczy Clary coś ma.

– Proszę. – Clary zrobiła krok naprzód i upuściła w rozpostarte dłonie Kita coś, co błysnęło srebrzyście. – Rodzinny pierścień Herondale’ów. W przeszłości należał do Jamesa Herondale’a, zanim trafił w ręce Jace’a. Za życia James przyjaźnił się z Blackthornami.

Kit z nieprzeniknioną miną zacisnął palce na pierścieniu i skinął głową. Clary dotknęła jego policzka w matczynym geście i można było odnieść wrażenie, że twarz chłopaka na moment przybrała bezbronny wyraz. Nagle Julian uświadomił sobie, że nic nie wiedzą o jego matce.

– Dzięki – powiedział Kit.

Wsunął pierścień na palec i zrobił zdziwioną minę, kiedy się okazało się, że ten pasuje idealnie. Rodowe sygnety Nocnych Łowców zawsze dopasowywały się do właściciela. W tym między innymi wyrażał się ich magiczny charakter.

– Nie wiem, czy już myślisz o tym, żeby go sprzedać – odezwał się Jace – ale na twoim miejscu bym tego nie robił.

– Dlaczego? – Kit podniósł wzrok.

Niebieskie oczy napotkały spojrzenie złotych. Kolor oczu mieli różny, ale oprawę taką samą: kształt powiek, wyraziste kości policzkowe, czujne rysy.

– Po prostu bym tego nie robił – powtórzył z naciskiem Jace.

Kit wzruszył ramionami, skinął głową i wrócił do Instytutu.

– Chciałeś go nastraszyć? – zdziwiła się Emma, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi.

Jace tylko uśmiechnął się półgębkiem.

– Podziękuj Markowi za pomoc – powiedział.

Przytulił Emmę i zmierzwił jej włosy. Następne kilka chwil upłynęło na żywiołowych uściskach i pożegnaniach; Clary obiecywała, że gdy tylko zdołają, będą przysyłać ogniste wiadomości, a Jace upewnił się, że Emma i Julian mają numer telefonu Aleca i Magnusa, na wypadek, gdyby wpadli w kłopoty. Nikt nie zająknął się ani słowem, że – teoretycznie – na wypadek kłopotów zostaje im jeszcze Clave, ale Jace i Clary już w młodości nauczyli się traktować Clave z nieufnością, której najwyraźniej nie wyzbyli się z wiekiem.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam na dachu – przypomniała Clary Emmie, kładąc jej dłonie na ramionach i zniżając głos. – Co mi obiecałaś.

Emma z niezwykłą dla siebie powagą skinęła głową, a wtedy Clary odwróciła się do niej plecami i uniosła trzymaną w ręce stełę, szykując się do otwarcia bramy prowadzącej do Faerie.

W tej samej chwili gdy spod jej dłoni zaczęły wypływać kreślone w powietrzu kształty i w suchym powietrzu pojawił się migotliwy zarys przejścia, drzwi Instytutu otworzyły się z łoskotem.

Tym razem wypadła przez nie Dru. Z wyraźnie zaniepokojoną miną okręcała na palcu jeden ze swoich warkoczyków.

– Emmo? Lepiej chodź ze mną – powiedziała. – Cristinie coś się stało.

* * *

Kit nie zamierzał uczestniczyć w jakichś głupich przeszpiegach. Bliźnięta bawiły się doskonale wciśnięte w kąt balkonu na piętrze, skąd – bezpiecznie ukryte przed wzrokiem gapiów – mogły obserwować hol wejściowy. Zabawa polegała głównie na próbach odgadnięcia tego, co ludzie do siebie mówią, na podstawie ich mowy ciała i gestykulacji. Livvy była w tym niebywale kreatywna, tworzyła dramatyczne scenariusze wydarzeń rozgrywających się pomiędzy osobami, które z dużym prawdopodobieństwem rozprawią po prostu o pogodzie. I tak, na przykład, doszła już do wniosku, że śliczniutka dziewczyna z Azji Południowej z gwiazdkami na kurtce podkocha się w Julianie, a dwaj inni centurioni są tajnymi wysłannikami Clave.

Ty rzadziej zabierał głos, za to Kit miał wrażenie, że częściej ma rację. Miał dar do wychwytywania drobiazgów, takich jak symbole na kurtkach gości i ich związek z miejscem pochodzenia danego Centuriona.

– Co myślisz o Idealnym Diego? – spytała Livvy Kita, kiedy wrócił do nich po pożegnaniu z Clary i Jace’em. Podkulila długie nogi i objęła kolana ramionami. Spięte w kucyk falujące włosy opadały jej na ramiona.

– Zarozumiała łobuz. Na dodatek ma piękne włosy. Nie ufam ludziom, którzy mają takie włosy.

– Wydaje mi się, że ta dziewczyna z kokiem jest na niego zła – wtrącił Ty, przysunawszy się do barierki. Delikatne rysy jego twarzy wydawały się ostre i kanciaste.

Kit spojrzał w tym samym kierunku co on i zobaczył Diego pogrążonego

w rozmowie z jasnoskórą dziewczyną, która okropnie wymachiwała rękami.

– Ten pierścień!

Livvy złapała Kita za rękę i odwróciła ją dłonią ku sobie. Na palcu chłopaka lśnił sygnet Herondale'ów. Kit już wcześniej zwrócił uwagę na oplatający go misterny deseń z lecących ptaków.

– Jace ci go dał?

Kit pokręcił głową.

– Nie, Clary. Podobno należał do Jamesa Herondale'a.

– Do Jamesa...

Livvy zrobiła taką minę, jakby usilnie próbowała sobie coś przypomnieć, gdy wtem pisnęła i puściła rękę Kita.

Czyjś cień padł na całą trójkę.

Emma.

– No dobrze, moi mali szpiedzy. Gdzie jest Cristina? W pokoju jej nie ma, byłam już tam.

Livvy pokazała palcem na górę. Kit zmarszczył brwi: wydawało mu się, że wyżej jest już tylko poddasze.

– Ach tak... – mruknęła Emma. – Dzięki. – Strzepnęła rękami, żeby rozluźnić mięśnie. – Jak tylko dorwę Diego...

Z dołu dobiegł głośny okrzyk. Całą czwórką wychylili się przez barierkę i zobaczyli, jak jasnoskóra dziewczyna policzkuje Diego.

– Co się...? – Emmę ogarnęło zdumienie, ale już po chwili wściekła jak osa okręciła się na pięcie i skoczyła ku schodom.

Ty się uśmiechnął. Ze swoimi ciemnymi lokami i jasnymi oczami do złudzenia przypominał cherubinka na kościelnym fresku.

– Ależ się wkurzyła – powiedział zachwycony, że prawidłowo zinterpretował sytuację.

Kit wybuchnął śmiechem.

* * *

Niebo nad Instytutem jarzyło się kolorami: gorący róż, krwawa czerwień, głębokie złoto. Słońce zachodziło, pustynia pławiła się w wielobarwnym blasku. Sam Instytut mienił się i migotał, podobnie jak ocean, który w oddali czekał na ostateczny zachód słońca.

Emma zastała Cristinę dokładnie tam, gdzie spodziewała się ją znaleźć: siedziała jak zwykle skromnie, grzecznie, z nogą założoną na nogę, na rozpostartej na dachówkach kurtce.

– Nie przyszedł za mną – powiedziała, gdy Emma podeszła bliżej.

Wiatr rozwiewał czarne włosy Cristiny, perły w kolczykach mieniły się w świetle, wisiorek na szyi również błyszczał, a intensywny blask słońca podkreślał wygrawerowane na nim słowa: *Błogosławiony niech będzie Anioł, źródło mojej siły, który uczy moje dłonie wojny, a moje palce walki.*

Emma klapnęła na dach obok przyjaciółki, najbliżej, jak się dało. Ujęła dłoń Cristiny w swoją i ścisnęła ją mocno.

– Mówisz o Diego?

Cristina skinęła głową. Na jej twarzy nie było widać śladów łez, w ogóle bardzo dobrze się trzymała, zważywszy na to, co się wydarzyło.

– Pojawiła się ta dziewczyna i powiedziała, że jest jego narzeczoną – powiedziała. – Pomyślałam, że doszło do nieporozumienia. Nawet kiedy odwróciłam się i wybiegłam, nadal myślałam, że to jakaś pomyłka i Diego przyjdzie do mnie i wszystko mi wyjaśni. Ale nie przyszedł, a to znaczy, że został przez wzgląd na nią. Został, bo naprawdę jest jego narzeczoną i jest dla niego ważniejsza ode mnie.

– Nie pojmuję, jak mógł się tak zachować – przyznała Emma. – To naprawdę dziwaczne. Przecież tak bardzo cię kocha... Przyjechał tutaj specjalnie dla ciebie.

Cristina wydała jakiś stłumiony dźwięk.

– Przecież ty go nawet nie lubisz!

– Lubię... To znaczy lubiłam... czasem. Ta jego doskonałość chwilami mnie drażniła. Ale kiedy pomyślę, jak na ciebie patrzył... Czegoś takiego nie da się udawać.

– On ma narzeczoną, Emmo. Nie po prostu dziewczynę, tylko narzeczoną. Nawet nie wiemy, jak długo są zaręczeni, rozumiesz? Zaręczeni. Zamierzają się pobrać.

– Zepsuję im wesele – zapowiedziała Emma. – Wyskoczę z tortu, ale nie w jakiś seksowny sposób, tylko... z granatami w rękach na przykład.

Cristina prychnęła i odwróciła się od niej.

– Jaka ja jestem głupia... Okłamał mnie, ja mu wybaczyłam, a on znowu mnie okłamał. Przecież to trzeba być idiotką, prawda? Dlaczego w ogóle

pomyślałam, że mogę mu zaufać?

– Dlatego że chciałaś mu zaufać – wyjaśniła Emma. – Znasz go od dawna, Tino, a to nie jest bez znaczenia. Kiedy ktoś przez tyle lat stanowi część twojego życia, usunięcie go przypomina odcięcie korzeni żywej roślinie.

Cristina długo milczała.

– Wiem – odparła w końcu. – Wiem, że rozumiesz.

Emma przełknęła gorycz w ustach. W tej chwili powinna tu być dla Cristiny, a nie rozpamiętywać własne krzywdy i zmartwienia.

– Kiedy byłam mała – odezwała się – przychodziliśmy tu z Julesem prawie codziennie. Patrzyliśmy na zachód słońca i wypatrywaliśmy zielonego błysku.

– Czego?

– Zielonego błysku. Kiedy słońce zachodzi, tuż po tym, jak zniknie, można zobaczyć rozbłysk zielonego światła.

Obie zgodnie spojrzały na ocean. Słońce zapadało się pod widnokrąg, niebo było całe w czerwonych i czarnych smugach.

– Jeżeli wtedy pomyślisz sobie życzenie, spełni się – dodała Emma.

– Naprawdę? – spytała Cristina, nie odrywając wzroku od widnokręgu.

– Nie wiem. Pomyślałam sobie w życiu mnóstwo życzeń.

Słońce osunęło się o kolejne kilka milimetrów. Emma próbowała wymyślić jakieś życzenie. Nawet w dzieciństwie rozumiała, że pewnych rzeczy nie można sobie po prostu zażyczyć: pokoju na świecie, zmartwychwstania zabitych rodziców... Wszechświat nie wywracał się na nice tylko dlatego, że ktoś tego zapragnął. Życzenia musiały ograniczać się do drobiazgów: sen bez koszmarów, jednodniowa gwarancja bezpieczeństwa dla najbliższego przyjaciela, słoneczne urodziny.

– Pamiętasz, jak przed ponownym zejściem się z Diego mówiłaś, że powinniśmy wyjechać razem do Meksyku? Na roczną wymianę?

Cristina pokiwała głową.

– Na razie nie mogłabym wyjechać – ciągnęła Emma. – Dopiero w zimie skończę osiemnaście lat. Ale kiedy już skończę...

Wyjechać z Los Angeles. Spędzić rok w towarzystwie Cristiny. Uczyć się, trenować, podróżować.

Bez Julesa.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Będzie się musiała nauczyć żyć z tym bólem.

– Bardzo chętnie – powiedziała Cristina. Ze słońca został już tylko złoty rąbek. – To właśnie będzie moje życzenie. I może jeszcze żeby zapomnieć o Diego.

– Musiałabyś zapomnieć wszystko, te złe rzeczy, ale i te dobre. A ja wiem, że były także dobre. – Emma splotła palce z palcami Cristiny. – Nie jest właściwym człowiekiem dla ciebie. Nie jest wystarczająco silny. Co rusz cię zawodzi i rozczarowuje. Wiem, że cię kocha, ale to nie wystarczy.

– Wygląda na to, że nie mnie jedną kocha.

– Może zaczął się z nią spotykać, żeby zapomnieć o tobie. A potem cię odzyskał, chociaż wcale się tego nie spodziewał, i nie umiał z nią zerwać.

– Idiota. To znaczy byłby idiotą, gdyby to była prawda, a nie jest.

– No dobrze. – Emma parsknęła śmiechem. – Samej siebie też nie przekonałam. – Pochyliła się do Cristiny. – Posłuchaj, może spuszczę mu manto w twoim imieniu, co? Od razu poczujesz się lepiej.

– Nie, Emmo. Trzymaj ręce z dala od Diego. Mówię serio.

– Mogłabym go skopać. Moje nogi to zabójcza broń. – Emma poruszyła palcami stóp. – Oficjalnie, mam na to papier.

– Musisz mi obiecać, że nie tkniesz go palcem – powiedziała Cristina i zmierzyła ją tak surowym spojrzeniem, że Emma uniosła wolną rękę jak do przysięgi.

– Dobrze, już dobrze. Obiecuję. Nie tknę Idealnego Diego.

– I nie krzycz na Zarę. To nie jej wina. Założę się, że nie ma pojęcia o moim istnieniu.

– W takim razie jej współczuję, bo jesteś jedną z najwspanialszych osób, jakie znam.

Cristina zaczęła się uśmiechać. Słońce już prawie zupełnie zaszło.

Rok z Cristiną, pomyślała Emma. Rok z dala od wszystkich i wszystkiego, co przypominałoby jej o Julesie. Rok, żeby zapomnieć.

Jeśli tylko tyle wytrzyma.

Cristinie zaparło dech w piersi.

– Patrz! Jest!

Niebo rozbłysło zielenią. Emma zamknęła oczy i pomyślała życzenie.

* * *

Kiedy wróciła do swojego pokoju, ze zdumieniem zastała w nim Marka i Juliana. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi stali po przeciwnych stronach jej łóżka.

– Co z nią? – spytał Mark, gdy tylko drzwi zamknęły się za Emmą. – Z Cristiną, znaczy.

W jego oczach było widać niepokój. Julian, bardziej opanowany, miał obojętny, wyniosły wyraz twarzy, po którym Emma od razu poznała, że jest zły.

– Jest przygnębiona?

– Oczywiście, że jest przygnębiona – przytaknęła Emma. – Chociaż chyba nie dlatego, że od paru tygodni znów byli razem, tylko raczej dlatego, że tak długo się znają. Ich losy są nierozzerwalnie splecione.

– Gdzie jest teraz? – zainteresował się Mark.

– Pomaga Dianie i pozostałym przygotować pokoje dla Centurionów. Roznoszenie pościeli i ręczników nie powinno raczej przynosić otuchy, ale uparła się, że w jej przypadku tak właśnie będzie.

– W Faerie za coś takiego wyzwałbym Rosalesa na pojedynek – powiedział Mark. – Złamał obietnicę, i to obietnicę miłości. Zwarlibyśmy się w boju, gdyby tylko Cristina zgodziła się, żebym ją reprezentował.

– Masz pecha – powiedziała Emma. – Wymogła na mnie obietnicę, że nie tknę go palcem. Myślę, że do was dwóch też się to odnosi.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie możemy zrobić?

Mark spochmurniał, upodabniając się w tym do Juliana.

Jacy oni są do siebie podobni, pomyślała Emma. Mimo że jeden miał jasne włosy, a drugi ciemne, to w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek dotąd wyglądali jak bracia.

– Możemy pomóc w szykowaniu pokojów, żeby ona mogła się wcześniej położyć – zaproponowała. – Diego zamknął się z Zarą w jednym z pokojów w części biurowej, więc nie ma ryzyka, że Cristina się na niego napatoczy przez przypadek, ale odpoczynek na pewno dobrze jej zrobi.

– Zemścimy się na Diego poprzez składanie jego ręczników? – spytał Julian.

– To nie są jego ręczniki, ściśle rzecz biorąc – zauważyła Emma. – Należą do jego przyjaciół.

Skierowała się do wyjścia. Mark z Julianem bez entuzjazmu ruszyli za nią.

Było oczywiste, że obaj woleliby spotkać się z Diego na udeptanej ziemi i stoczyć walkę na śmierć i życie, zamiast nosić pościel Centurionom; Emmie też się do tego nie śpieszyło. Zresztą Julian znacznie lepiej od niej radził sobie z praniem i słaniem łóżek.

– Mogłabym się zająć Tavyym – zaproponowała. Mark ją wyprzedził i zrównała się z Julianem.

– Tavy śpi – odparł.

Nie wspomniał ani słowem o tym, jakim cudem w nawale zajęć znalazł czas na uśpienie brata; po prostu znalazł i już. Cały on.

– Wiesz, czego w tym wszystkim zupełnie nie rozumiem? – spytał.

– No?

– Diego musiał przewidzieć, że ta maskarada się wyda. Nawet jeżeli nie spodziewał się, że Zara przyjedzie dzisiaj z innymi Centurionami, to przecież oni wszyscy o niej wiedzą. Prędzej czy później któryś na pewno wspomniałby o jego narzeczonej albo zaręczynach.

– Słuszna uwaga. Diego może być nieuczciwy, ale nie jest idiotą.

– Są sposoby na to, żeby zrobić mu krzywdę, nie dotykając go – zauważył Julian.

Powiedział to bardzo cicho, tak że tylko Emma go usłyszała. Od mrocznych nut w jego głosie przeszły ją ciarki. Odwróciła się do niego, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili w korytarzu pojawiła się idąca w ich stronę Diana. Miała dokładnie taką minę, jak opiekunka, która przyłapała podopiecznych na obijaniu się.

Wysłała ich w różne krańce Instytutu: Juliana na poddasze, żeby sprawdził, jak się miewa Arthur, Marka do kuchni, a Emmę do biblioteki, żeby pomogła bliźniętom przy sprzątanii. Kit przepadł bez śladu.

– On wcale nie uciekł – uczynnie poinformował Emmę Ty. – Po prostu nie miał ochoty słać łóżek.

Zrobiło się późno, zanim uporali się ze sprzątanii, przydzielaniem sypialni Centurionom i zamawianiem jedzenia na następny dzień. Zorganizowali również rotacyjny patrol, który miał nocą strzec Instytutu przed morskimi demonami.

Wracając do siebie, Emma zwróciła uwagę, że spod drzwi pokoju Juliana sączy się światło. Co więcej, drzwi były lekko uchylone i dobiegała zza nich muzyka.

Sama nie wiedziała, jak i kiedy znalazła się przy drzwiach i podniosła rękę, żeby zapukać. Ba, już zapukała. Wstrząśnięta cofnęła rękę, ale Julian zdążył otworzyć.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Miał na sobie stare spodnie od pizamy, przez ramię przerzucił ręcznik, w jednej ręce trzymał pędzel. Na obnażonej piersi i we włosach miał ślady farby.

Nie musiał jej dotykać, żeby była świadoma bliskości jego ciała. Bijącego od niego ciepła. Czarnych Znaków, które wiły się spiralnie po jego torsie jak pnącza oplatające kolumnę. Niektóre sama mu nakładała – w dawnych czasach, kiedy od dotykania go nie trzęsły jej się ręce.

– Chciałaś coś? – spytał. – Jest późno. Zresztą Mark już pewnie na ciebie czeka.

– Mark? – Na chwilę prawie zapomniała o Marku.

– Widziałem, jak wchodził do twojego pokoju.

Farba skapnęła z pędzla na podłogę. Emma zajrzała w głąb pokoju; nie pamiętała już, kiedy ostatni raz była w środku. Foliowa płachta okrywała część podłogi, na ścianie wyróżniały się jaśniejsze miejsca, w których Julian przerabiał obiegający pół pokoju mural.

Pamiętała, jak malował go po powrocie z Idrisu. Po Mrocznej Wojnie. Nie spali, leżeli na łóżku, tak jak to często robili od czasów dzieciństwa. Emma opowiadała o książce z bajkami, którą znalazła w bibliotece – bajkami, jakie Przyziemni czytali przed wiekami: krwawymi, okrutnymi, przepelnionymi smutkiem. Opowiadała o otoczonym cierniami zamku Śpiącej Królowy i o tysiącu książąt, którzy usiłowali przedrzeć się przez tę zaporę, by uratować królową, lecz wszyscy ginęli zakłuci kolcami na śmierć, a słońce prażyło ich ciała i przemieniało je w szkielety.

Następnego dnia Julian pomalował pokój: zamek, mur z cierni, błysk pobielających kości, smutny książę ze złamanym mieczem u boku. Emma była pod wrażeniem.

Potem przez tydzień musieli oboje nocować u niej, zanim farba wyschła.

Nigdy nie zapytała, dlaczego ta historia tak bardzo trafiła mu do serca; wiedziała, że gdyby chciał jej to wyjaśnić, zrobiłby to.

Odkaszlnęła.

– Powiedziałeś, że mogłabym skrzywdzić Diego, nie dotykając go – przypomniała. – Co miałeś na myśli?

Palcami wolnej ręki przeczesał włosy. Był rozczochrany – i boleśnie piękny w tym rozczochraniu.

– Chyba lepiej będzie, jeśli ci nie powiem.

– Zranił Cristinę i na mój gust w ogóle się tym nie przejął.

Julian podrapał się po karku. Kiedy się tak przeciągnął, mięśnie piersi i brzucha zagrały mu pod skórą i Emma, nagle świadoma faktury jego skóry, pożałowała, że nie może w jakiś sposób cofnąć czasu i na powrót stać się tamtą dziewczyną, która nie rozpadała się na drobne kawałeczki na widok półnagiego Juliana – z którym przecież dorastała i którego milion razy widziała bez koszulki.

– Widziałem, jaką miał minę, kiedy Cristina wybiegła z holu – powiedział, kładąc dłoń na kłamce. – Chyba niepotrzebnie się martwisz, że nie cierpi. Nikt nie potrafi czytać ludziom w myślach i odgadywać ich prawdziwych motywów. Nawet ty, Emmo.

I zamknął jej drzwi przed nosem.

* * *

Mark leżał na podłodze u stóp łóżka, bosy i na wpół zakutany w koc. Wyglądał, jakby spał, jego zamknięte oczy odcinały się od jasnej skóry jak ciemne półksiężyce, ale gdy tylko Emma weszła do pokoju, uchylił jedno z nich, to niebieskie.

– Naprawdę wszystko z nią w porządku? – zapytał.

– Z Cristiną? Tak. – Emma usiadła obok niego i oparła się plecami o łóżko.

– Sytuacja jest przykra, ale dziewczyna da sobie radę.

– Tak sobie myślę... – powiedział Mark chrapliwym, zaspanym głosem. – Pewnie trudno by było sobie na nią zasłużyć, co?

– Lubisz ją, prawda?

Obrócił się na bok i posłał jej to pytające spojrzenie faerie, pod którym czuła się tak, jakby stała samotna wśród rozległych pól i patrzyła na kołysane wiatrem trawy.

– Oczywiście, że ją lubię.

Przeklęła w duchu specyfikę języka faerie. Słowo „lubić” nic dla nich nie znaczyło. Żyły w świecie skrajności i sprzeczności: miłości i nienawiści, pogardy i zachwyty.

– Coś do niej czujesz – poprawiła się. – W sercu.

Mark usiadł.

– To chyba niemożliwe, żeby ona czuła coś podobnego... wobec mnie.

– Niby dlaczego? Na pewno nie ma nic przeciwko faerie, przecież wiesz.

Poza tym cię lubi...

– Jest miła, łagodna, wielkoduszna, rozsądna, troskliwa, miła...

– „Miła” już było.

Mark spiorunował Emmę wzrokiem.

– Jest zupełnie inna niż ja – powiedział.

– Żeby kogoś kochać, nie musisz być taki sam jak on. Spójrz na nas: jesteśmy dość podobni, a nie darzymy się takimi uczuciami.

– Tylko dlatego że kogoś masz – zauważył rzeczowo Mark.

Emma posłała mu zdumione spojrzenie. Wie o Julesie, pomyślała, i na moment wpadła w panikę, zanim przypomniała sobie swoje kłamstwo o Cameronie.

– Trochę szkoda, co? – rzuciła niezobowiązująco, choć serce waliło jej jak młotem. – Ty i ja razem to by było takie... naturalne. Takie łatwe.

– Namiętność nigdy nie jest łatwa. Podobnie jak jej brak.

Przysunął się do niej, poczuła ciepły dotyk jego ramienia na swoim, przypomniała sobie ich pocałunek, swoje palce wplecione w jego miękkie włosy, jego ciało przywierające do jej ciała, silne i wrażliwe. A jednak, mimo że próbowała uczepić się tej wizji, ta przesypała się jej przez palce jak suchy piasek – jak piasek na plaży w tamtą noc, kiedy legli na nim z Julianem, w jedyną noc, którą spędzili razem.

– Jesteś smutna – zauważył Mark. – Przepraszam, że poruszyłem temat miłości. – Dotknął jej policzka. – Może w innym życiu. Ty i ja.

Emma oparła głowę o podnóże łóżka.

– W innym życiu.

Gdy wędrowiec się ukáže

Ponieważ kuchnia była za mała, żeby pomieścić stałych mieszkańców Instytutu i ponad dwadzieścioro Centurionów, śniadanie podano w jadalni. Portrety nieżyjących Blackthornów spoglądały z góry na jajka na bekonie i stosy tostów. Cristina przemieszczała się dyskretnie w tłumie, starając się nie rzucać w oczy. Chyba w ogóle nie zeszłaby na śniadanie, gdyby nie desperacka potrzeba napicia się kawy.

Rozglądała się w poszukiwaniu Emmy i Marka, ale żadne z nich jeszcze się nie pojawiło. Emma nigdy nie była rannym ptaszkiem, a Mark w dalszym ciągu prowadził raczej nocny tryb życia. Za to Julian był na posterunku i pałaszował, aż mu się uszy trzęsły. Jego twarz przybrała ten sam uprzejmy, niemal obojętny wyraz, jaki zawsze przybierała w towarzystwie obcych.

Wydało jej się to osobliwe, że zna go tak dobrze, żeby zdawać sobie sprawę z takich drobiazgów. Mieli ze sobą coś wspólnego – oboje kochali Emmę; różnica między nimi polegała na tym, że Cristina wiedziała o uczuciach Juliana, a on nie wiedział, że ona wie. On ukrywał swoje uczucie, ona zaś wiedzę o jego istnieniu. Chętnie okazałaby mu współczucie, ale tylko odsunąłby się od niej ze zgrozą...

– Cristino.

Mało nie wypuściła kawy z rąk. To był Diego. Wyglądał fatalnie: ściągnięta twarz, worki pod oczami, włosy w nieładzie. Miał na sobie zwyczajne ubranie. Zapodział gdzieś swoją centuriońską odznakę.

Uciszyła go gestem.

– *Aléjate de mí, Diego.*

– Wysłuchaj mnie...

Ktoś ich rozdzielił: jasnowłosy Hiszpan, Manuel.

– Słyszałeś, co powiedziała – powiedział po angielsku. Na razie nikt więcej

nie zwrócił na nich uwagi, wszyscy byli pochłonięci własnymi rozmowami. – Daj jej spokój.

Cristina odwróciła się i wyszła z pokoju.

Szła wyprostowana, celowo nieśpiesznym krokiem, ale nie przez wzgląd na gapiów. Pochodziła z rodziny Rosalesów. Nie zależało jej na litości Centurionów.

Pchnęła drzwi wejściowe i z tupotem zbiegła po schodach. Żałowała, że Emma jeszcze śpi; mogłyby pójść razem do sali treningowej i w ćwiczeniach dałaby upust swojej frustracji.

Szła na oślep przed siebie, dopóki omal nie zderzyła się z powykrecaną jarzębiną wciąż rosnącą w skąpej trawie przed wejściem do Instytutu. Wyrosła tam za sprawą faerie, którym posłużyła za pręgierz, i została na swoim miejscu nawet po tym, gdy czas chłosty przeminął, a deszcz spłukał krew Emmy z trawy i kamieni.

– Cristino, proszę...

Okręciła się na pięcie. Diego najwyraźniej postanowił zignorować słowa Manuela i poszedł za nią. Naprawdę źle wyglądał. Cienie pod oczami wyglądały jak trwale wycięte w skórze.

Przypomniała sobie, jak zaledwie dwa tygodnie wcześniej niósł ją po tej trawie po tym, jak została zraniona. Tulił ją mocno, w kółko powtarzał jej imię... I przez cały ten czas był zaręczony z inną.

Oparła się plecami o pień drzewa.

– Naprawdę nie rozumiesz, dlaczego nie chcę cię widzieć?

– Oczywiście, że rozumiem. Ale to nie jest tak, jak myślisz.

– Serio? To znaczy, że co, nie jesteś zaręczony? Nie planujesz ślubu z Zarą?

– Zara jest moją narzeczoną, ale... Cristino, to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Nie rozumiem, jak to możliwe.

– Napisałem do niej list po tym, jak ty i ja znów się zeszliśmy. Napisałem, że to koniec.

– Chyba go nie dostała.

Diego złapał się za głowę.

– Przeciwnie, dostała. Powiedziała mi, że go przeczytała i właśnie dlatego postanowiła przyjechać. Uwierz mi, nie przyszłoby mi do głowy, że to zrobi.

Kiedy się nie odezwała, myślałem, że to naprawdę koniec. Myślałem... że naprawdę jestem wolny.

– Więc dziś w nocy z nią zerwałeś?

Diego nie odpowiedział od razu i ta chwila zawahania wystarczyła, by wszelka nadzieja, jaką Cristina mogła żywić w najgłębszych zakamarkach serca, nieśmiała myśl, że wszystko okaże się zwykłym nieporozumieniem, ulotniła się jak mgła wypalona promieniami słońca.

– Nie zerwałem z nią. Nie mogę tego zrobić.

– Przecież przed chwilą powiedziałeś mi, że raz już to zrobiłeś, tyle że listownie...

– Sytuacja się zmieniła. Musisz mi zaufać, Cristino.

– Nie – odparła. – Nie muszę i nie zamierzam. Raz ci już zaufałam, mimo tego, co usłyszałam na własne uszy. Teraz już nie wiem, czy cokolwiek z tego, co wcześniej mówiłeś, było prawdą. Nie wiem, czy nie kłamałeś, mówiąc o kwestiach dotyczących Jaimego. Gdzie on jest?

Diego ze zrezygnowaną miną opuścił ręce.

– Pewnych rzeczy nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi, że mi nie wierzysz.

– Co się dzieje?

Wysoki, dźwięczny głos Zary przeciął powietrze. Szła w ich stronę, jej centuriońska odznaka lśniła w słońcu.

Diego spojrział na nią ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Rozmawiam z Cristiną.

– To widzę. – Usta Zary były zaciśnięte w skąpym uśmiechu, który stale gościł na jej twarzy. Omiotła Cristinę wzrokiem i położyła dłoń na ramieniu Diego. – Wracajmy. Dzielimy teren na kwadraty do przeszukania, a ty dobrze znasz okolicę. Przydasz się. Czas nagli. – Postukała w tarczę zegarka na rękę.

Diego jeszcze raz zerknął na Cristinę i odwrócił się do narzeczonej.

– Dobrze – odparł.

Zara spojrzała z wyższością na Cristinę, wsunęła dłoń w dłoń Diego i na wpół zaprowadziła go, na wpół zaciągnęła do Instytutu.

Cristina odprowadziła ich wzrokiem. Kawa burzyła jej się w żołądku niczym kwas.

Emma nie kryła rozczarowania, gdy goście odmówili zabrania któregoś z Blackthornów na poszukiwania zwłok Malcolma.

– Nie, dzięki – powiedziała Zara, wyrósłszy na kogoś w rodzaju samozwańczej przywódczyni Centurionów. – Mamy za sobą specjalnie przeszkolenie. Udział mniej doświadczonych Nocnych Łowców w takiej misji tylko by nas dekoncentrował.

Emma spojrzała wilkiem na stojącego obok Zary Diego. Odwrócił wzrok.

Nie było ich prawie przez cały dzień. Wrócili wieczorem, na kolację, której przygotowanie spadło na barki Blackthornów. Podano spaghetti, mnóstwo spaghetti.

– Tęsknię za pizzą od wampirów – mruknęła Emma, patrząc spode łba na gigantyczną miche czerwonego sosu.

Julian prychnął w odpowiedzi. Stał nad garnkiem z wrzątkiem; buchająca znad gotującej się wody para sklejała mu włosy w mokre loki.

– Może przynajmniej powiedzą nam, czy coś znaleźli.

– Wątpię – odezwał się Ty.

Szykował się do nakrycia stołu. Od dziecka było to jedno z jego ulubionych zajęć: uwielbiał układanie sztućców i talerzy w precyzyjny, powtarzalny wzór. Livvy mu pomagała. Kit znowu się zmył i nigdzie nie było go widać; chyba najgorzej ze wszystkich znosił obecność Centurionów, czemu Emma nawet niespecjalnie się dziwiła: już wcześniej, przed najazdem obcych, o których potrzeby należało zadbać, z trudem adaptował się do życia w Instytucie.

Ty miał poniekąd rację. Przy kolacji dużo się działo. Zara jakimś cudem wyrugowała Dianę z krzesła u szczytu stołu i wcisnęła się na jej miejsce, po czym pokrótce streściła wydarzenia dnia: przeszukano określone segmenty oceanu, nie znaleziono niczego istotnego, chociaż ślady czarnej magii wskazywały drogę w głąb, gdzie gromadziły się morskie demony.

– I jutro tam właśnie się wybierzemy – zapowiedziała Zara, elegancko nawijając spaghetti na widelec.

– W jaki sposób prowadzicie poszukiwania? – zainteresowała się Emma, w której chęć poznania zaawansowanych technik Nocnych Łowców przeważała nad niechęcią do Zary. Cristina miała w gruncie rzeczy rację: to nie Zara ponosiła winę za nieprzyjemną sytuację, tylko Diego. – Macie jakiś specjalny sprzęt?

– Przykro mi, to informacja zastrzeżona dla absolwentów Scholomancji – odparła z chłodnym uśmiechem Zara. – Niedostępna nawet dla kogoś, kto podobno jest najlepszym Nocnym Łowcą w swoim pokoleniu.

Emma poczerwieniała i opadła na siedzenie krzesła.

– Co to niby ma znaczyć?

– Wiesz, co się mówi o tobie w Idrisie. – Ton głosu Zary był beztroski, ale jej oczy przypominały dwa sztylety. – Że niby masz być nowym Jace’em Herondale’em.

– Przecież cały czas mamy starego Jace’a Herondale’a – zauważył zagubiony Ty.

– Tak się mówi – wyjaśnił mu półgłosem Julian – o kimś, kto jest równie dobry.

W innej sytuacji zaproponowałby Ty’owi, że mu to narysuje. Wizualne przedstawienia nieoczywistych idiomów, takich jak „pękać ze śmiechu” czy „proste jak konstrukcja cepa”, w wykonaniu Juliana przyjmowały postać przezabawnych rysunków tłumaczących ich prawdziwe znaczenie.

Tym razem jednak nie wyszedł z taką propozycją i Emma spojrzała na niego podejrzliwie. W obecności Centurionów był nienaturalnie spięty. Kiedy Julian komuś nie ufał, automatycznie uruchamiał się w nim instynkt ochronny: ukrywał talent Livvy do komputerów, niezwykły sposób przetwarzania informacji przez Ty’a, zamiłowanie Dru do horrorów. A także skłonność Emmy do łamania zasad.

Z idealnie sztucznym uśmiechem na ustach wziął do ręki swoją szklanę z wodą.

– A nie powinno być tak, że między sobą Nefilim dzielą się wszystkimi informacjami? – zapytał. – Walczymy z tymi samymi demonami. Dlaczego jeden odłam Nefilim ma mieć przewagę nad innym? To nie fair.

– Niekoniecznie – odparła Samantha Larkspear, żeńska połowa pary bliźniąt, na które Emma już poprzedniego dnia zwróciła uwagę. Jej brat miał na imię Dane. Mieli takie same szczerze twarze, jasną skórę i proste ciemne włosy. – Niektóre narzędzia nie są dla każdego. Broń, którą nie umiesz się posługiwać, marnuje się w twoich rękach.

– Każdy może się nauczyć nią władać – powiedział Mark.

– Może zatem i ty pewnego dnia wstąpisz do Scholomancji i przejdiesz odpowiedni trening – odparowała Centurionka z Bombaju, Divya Joshi.

– To mało prawdopodobne, żeby do Scholomancji przyjęto kandydata, w którego żyłach płynie krew faerie – zauważyła Zara.

– Clave jest bardzo konserwatywne – przyznał Diego.

– Nie lubię tego określenia – odparła Zara. – Wolę słowo „tradycjoniści”. Clave usiłuje przywrócić odwieczny podział na Podziemnych i Nocnych Łowców. Zacieranie go wprowadza zamęt.

– Pomyślcie o Alecu Lightwoodzie i Magnusie Banie – powiedziała Samantha, gestykulując widelcem. – Wszyscy wiedzą, że Magnus wykorzystuje swoje wpływy wśród Lightwoodów, żeby Podziemnym łatwiej było uniknąć inkwizytorskich wyroków. Nawet za morderstwo.

– Magnus nigdy by czegoś takiego nie zrobił – zaproponowała Emma. Przestała jeść, chociaż kiedy siadali do stołu, umierała z głodu.

– Poza tym Inkwizytor nie sądzi Podziemnych, tylko Nocnych Łowców – zauważył Julian. – Robert Lightwood nie mógłby ułaskawić żadnego Podziemnego, nawet gdyby tego chciał.

– Mniejsza z tym – odezwała się Jessica Beausejours. Mówiła z lekkim francuskim akcentem i nosiła pierścienie na wszystkich palcach. – Sojusz Podziemnych z Nocnymi Łowcami i tak już długo nie przetrwa.

– Nikt nie zamierza go zrywać – wtrąciła Cristina, zaciskając usta w wąską krechę. – To plotki.

– Skoro o plotkach mowa... – odezwała się znów Samantha. – Podobno Bane użył magii, żeby rozkochać w sobie Aleca Lightwooda. – Jej oczy zabłyśły, jakby nie mogła się zdecydować, czy taka idea jest atrakcyjna, czy odrażająca.

– To nieprawda. – Serce Emmy zabiło żywiej. – To zwyczajne kłamstwo.

Manuel uniósł brew. Dane wybuchnął śmiechem.

– W takim razie ciekaw jestem, co będzie, gdy namiętność ostygnie – powiedział. – Podziemni nie będą mieli lekko, kiedy Inkwizytor przestanie być wobec nich łaskawy.

Ty był kompletnie zdezorientowany. Emma wcale mu się nie dziwiła. Towarzysze Zary najwyraźniej za nic mieli fakty.

– Nie słyszałeś, co powiedział Julian? – odezwał się Ty. – Inkwizytor nie rozsądza spraw, w których to Podziemni naruszyli Porozumienia. Nie ma...

Livvy położyła mu dłoń na nadgarstku.

– Tutaj wszyscy przestrzegamy Porozumień – powiedział Manuel,

rozsiadłszy się wygodniej.

– Były doskonałym pomysłem – przyznała Zara – lecz tak jak każde narzędzie od czasu do czasu wymaga naostrzenia, tak i Porozumienia należałoby udoskonalić. Na przykład czarownicy. Coś trzeba z nimi zrobić; są zbyt potężni i zbyt niezależni. Mój ojciec zamierza przedłożyć Radzie projekt wprowadzenia rejestru czarowników. Każdy z nich musiałby zgłosić się do Clave, które następnie monitorowałoby jego poczynania. Jeżeli to się sprawdzi, nadzór zostanie rozciągnięty na wszystkich Podziemnych. Nie można dopuścić do tego, żeby biegali samopas, bez żadnej kontroli z naszej strony. Spójrzcie, co się stało z Malcolmem Fade'em.

– To niedorzeczne, Zaro – odparł Jon Cartwright.

Należał do grona starszych Centurionów. Emma oceniała go na jakieś dwadzieścia dwa lata, byłby więc w wieku Jace'a i Clary. Jedyne, co o nim wiedziała, to że ma dziewczynę, Marisol.

– Zachowujesz się jak podstarzała członkini Rady, która boi się zmian – dodał.

– To prawda – zgodził się z nim Rayan. – Jesteśmy studentami i wojownikami, nie prawodawcami. Cokolwiek robi twój ojciec, nie ma to nic wspólnego ze Scholomancją.

– To tylko rejestr... – zaczęła urażona Zara.

– Czy tylko ja jeden czytałem *X-Menów* i rozumiem, dlaczego to by był zły pomysł? – wtrącił Kit.

Emma nie miała zielonego pojęcia, kiedy zszedł na kolację, ale siedział teraz przy stole i nieśpiesznie nawijał makaron na widelec.

Zara zmarszczyła brwi, ale szybko rozpromieniła się w uśmiechu.

– To ty jesteś Kit Herondale. Zaginiony Herondale.

– Nic nie wiem o swoim zaginięciu. Nigdy nie czułem, żebym zaginał.

– To musi być coś niesamowitego tak nagle odkryć, że jesteś Herondale'em – dodała Zara.

Emma ugryzła się w język, żeby nie wytknąć jej, że kiedy nie wiesz za wiele o Nocnych Łowcach, odkrycie, że jesteś Herondale'em, jest tak samo ekscytujące, jak odkrycie, że jesteś nowym gatunkiem ślimaka.

– Spotkałam kiedyś Jace'a Herondale'a – dodała Zara, rozglądając się wyczekująco.

– No, no... – mruknął Kit.

Prawdziwy Herondale, pomyślała Emma. W te dwa słowa udało mu się przelać godne Jace'a zasoby obojętności i sarkazmu.

– Na pewno nie możesz się doczekać, kiedy wstąpisz do Akademii – ciągnęła Zara. – Jako Herondale na pewno będziesz świetny. Mogłabym się za tobą wstawić, szepnąć dobre słowo, komu trzeba...

Kit nie odpowiedział.

Diana odkaszlnęła.

– Zaro, Diego... Jakie macie plany na jutro? Czy Instytut może wam w czymś pomóc?

– Skoro już o tym mówimy – powiedziała Zara – to byłoby dobrze...

Wszyscy, nawet Kit, z zainteresowaniem nadstawili ucha.

– ...gdybyście pod naszą nieobecność przeprali nam ciuchy – dokończyła Zara. – Morska woda bardzo niszczy materiał, prawda?

* * *

Noc przyszła nagle jak cienie rozlewające się po pustyni, ale mimo dobiegającego zza okna usypiającego szumu fal Cristina nie mogła zasnąć.

Nie potrafiła się opędzić od myśli o domu, matce, kuzynostwie, o dawnych, lepszych dniach w towarzystwie Diego i Jaimego. Przypomniała sobie weekend, który spędzili razem, tropiąc demona w podupadłym miasteczku-widmie Guerrero Viejo. Otaczał ich krajobraz jak ze snu: na wpół zatopione domy, delikatne trzciny, budynki odbarwione od stojącej latami wody. Ona i Jaime leżeli na kamieniu pod niebem usianym niezliczonymi gwiazdami i zwierzali się sobie nawzajem, czego pragną najbardziej na świecie: ona – zakończenia Zimnego Pokoju, on – przywrócenia honoru swojemu rodowi.

Poirytowana wstała i zeszła na parter, przyświecając sobie runicznym kamieniem. Na schodach panowała cisza i ciemność. Cristina bezszelestnie wymknęła się z Instytutu tylnym wyjściem.

Księżycowa poświata zalewała mały nieutwardzony parking, na którym stał należący do Instytutu samochód. Dalej rozciągał się ogród; wyrastające z pustynnych piasków klasyczne rzeźby z białego marmuru wyglądały cokolwiek absurdalnie.

Cristina nagle zatęskniła za ogrodem różanym matki; za zapachem

kwiatów słodszy niż woń pustynnej bylicy; za widokiem matki przechadzającej się wśród schludnych rabat. Żartowała kiedyś, że mamie musi chyba pomagać jakiś czarownik, skoro róże w jej ogrodzie kwitną nawet w samym środku upalnego lata.

Zaczęła się oddalać od Instytutu, idąc w stronę rosnących w rzędach olch i śliw ostrolistnych. Z bliska dostrzegła wśród nich jakiś cień... i zamarła bez ruchu, uświadomiwszy sobie nagle, że nie ma przy sobie żadnej broni. Jaka ja jestem głupia, pomyślała. Na pustyni roiło się od niebezpieczeństw, z których tylko część miała charakter nadprzyrodzony. Pумы nie odróżniały Przyziemnych od Nefilim.

Ale to nie była puma: cień się przybliżył, Cristina napięła wszystkie mięśnie... i odprężyła się. To był Mark.

W świetle księżyca jego włosy były srebrzystobiałe. Wystające spod rąbka dzinsów stopy miał bose. Na widok Cristiny najpierw się zdziwił, ale zaraz potem podszedł do niej i dłonią dotknął jej policzka.

– Jesteś wytworem mojej wyobraźni? – zapytał. – Myślałem o tobie... i oto jesteś.

To było bardzo w jego stylu tak wprost powiedzieć, co czuje.

To przez to, pomyślała Cristina, że faerie nie umieją kłamać, a on wychował się wśród nich i nauczył się mówić o miłości od Kierana, który, choć wyniosły i arogancki, był także prawdomówny. W odróżnieniu od ludzi faerie nie kojarzyły prawdy ze słabością i bezbronnością.

Ta refleksja dodała jej odwagi.

– Ja też o tobie myślałam – powiedziała.

Mark ujął ją pod brodę i delikatnie pogładził kciukiem po policzku. Jego dłoń była ciepła.

– Co dokładnie?

– Przypominałam sobie wyraz twojej twarzy przy kolacji, kiedy Zara i jej znajomi mówili o Podziemnych. Twoje cierpienie...

Zaśmiał się niewesoło.

– Mogłem się tego spodziewać. Gdybym przez ostatnie pięć lat był aktywnym Nocnym Łowcą, na pewno przywykłbym do takiej gadki.

– Masz na myśli Zimny Pokój?

Mark skinął głową.

– Kiedy władza podejmuje tego rodzaju oficjalną decyzję, ośmiela tych,

którzy już wcześniej żywili jakieś uprzedzenia, do wyrażania wprost swojej najgłębszej nienawiści. Wydaje im się, że są po prostu odważni i mówią głośno to, co wszyscy myślą.

– Mark...

– Zara nienawidzi takich jak ja – ciągnął Mark. Cień skrywał jego oczy. – Jestem przekonany, że jej ojciec należy do stronnictwa, które upiera się przy przedłużaniu uwięzienia Helen na Wyspie Wrangla.

– Helen wróci. Po tym, jak ty wróciłeś do domu i lojalnie walczysz po stronie Nocnych Łowców, na pewno ją zwolnią.

Mark pokręcił głową.

– Przykro mi z powodu Diego – powiedział.

Nakryła jego dłoń swoją. Palce miał delikatne i chłodne jak wierzbowe witki. Nagle zapragnęła go dotknąć bardziej, mocniej, sięgnąć pod koszulę, zbadać fakturę skóry na żuchwie, której nigdy nie golił, bo nie musiał.

– Nie – powiedziała. – Wcale nie jest ci przykro. Mam rację?

– Cristino... – wyszeptał bez tchu. – Czy mogę...

Uciszyła go przeczącym ruchem głowy; gdyby dała mu dokończyć pytanie, nie umiałaby odmówić.

– Nie możemy – odparła. – Emma.

– Wiesz, że to nie jest naprawdę. Kocham Emmę, ale nie w taki sposób.

– Ale to ważne, co ona robi. – Odsunęła się od niego. – To musi wyglądać wiarygodnie. Dla Juliana.

Dopiero widząc jego pytające spojrzenie, przypomniała sobie, że Mark nie zna prawdy. Nie wiedział o kłątwie, o tym, że Julian kocha Emmę, ani o tym, że ona tę miłość odwzajemnia.

– I w ogóle dla wszystkich – dodała pośpiesznie. – Poza tym jest jeszcze Kieran, dopiero co się z nim rozstałeś. Tak jak ja z Diego.

Zrobił jeszcze bardziej zdziwioną minę. Najwidoczniej faerie nie przyswoiły sobie koncepcji, w myśl której człowiek potrzebuje czasu i samotności, żeby dojść do siebie po rozpadzie związku.

A może to była głupia koncepcja? Może miłość to miłość i należy ją chwycić od razu, gdy tylko się na nią natrafi? Jej ciało z całą pewnością wrzeszczało na umysł, żeby ten się zamknął i pozwolił mu działać. Miała ochotę rzucić się Markowi na szyję, objąć go i pozwolić mu się objąć, przytulić się do jego piersi i poczuć, jak oddycha.

Coś trzasnęło w ciemności, jakby gdzieś w oddali złamała się jakaś potężna gałąź. Po chwili rozległ się przeciągły odgłos wleczenia czegoś po ziemi. Cristina odskoczyła i odruchowo sięgnęła po nóż... który został w Instytucie, na stoliku obok łóżka.

– Myślisz, że to Centurioni na patrolu? – zapytała Marka szeptem.

On również mrużył oczy i próbował przeszyć wzrokiem ciemność.

– Nie – odparł. – Człowiek nie wydaje takich odgłosów. – Wyjął dwa serafickie noże i wcisnął jeden w dłoń Cristiny. – Zwierzę też nie.

Ciężar broni w ręce był znajomy i kojący. Cristina poświęciła chwilę na nałożenie sobie runu Nocnego Widzenia i w ślad za Markiem zagłębiła się w pustynne cienie.

* * *

Kit uchylił drzwi swojej sypialni i wyjrzał na zewnątrz.

Korytarz był pusty. Ty nie siedział pod drzwiami z nosem w książce ani nie leżał tuż obok ze słuchawkami na uszach. Spod innych drzwi nie sączyło się światło. Ciemność rozjaśniała tylko słaba poświata białych lamp na suficie.

Skradając się przez wymarły dom, a potem otwierając drzwi wejściowe, cały czas spodziewał się przeraźliwego jazgotu alarmu i powodzi świateł, ale nic takiego nie nastąpiło. Ciężkie drzwi zaskrzypiały cichutko i zamknęły się za jego plecami.

Stał na ganku na szczycie schodów prowadzących na spłacheć zdeptanej trawy przed Instytutem i dalej na drogę schodzącą do autostrady. Widoczny ze szczytu urwiska ocean pławił się w świetle księżyca, srebrno-czarny, przecięty na dwoje białą ścieżką blasku.

Kit zarzucił torbę na ramię.

Piękne miejsce, pomyślał. Ale nie dość piękne, żeby zostać. Nie można zamienić wolności na piękną panoramę plaży.

Zszedł na schody. Ledwie jego stopa stanęła na pierwszym stopniu, coś szarpnęło go do tyłu. Stracił równowagę, torba pofrunęła w powietrze. Ktoś trzymał go za ramię, i to mocno. Kit szarpnął się w bok, omal przy tym nie spadając ze schodów, i machnął ręką na oślep. Natrafił na coś twardego i usłyszał stłumione stęknięcie. Jakaś ledwie widoczna postać, cień wśród

cieni, majaczyła nad nim i przesłaniała księżyc.

Sekundę później oboje upadli: Kit wylądował na plecach, mroczny cień opadł na niego z góry. Ostre kolana i łokcie przygwoździły Kita do ziemi. Chwilę później rozbłysło światło, jedna z tych ich głupich lampek, które Nocni Łowcy nazywali runicznymi kamieniami.

– Kit! – rozległ się głos Tiberiusa. – Nie szarp się.

Ty odrzucił włosy opadające mu na twarz. Klęczał nad Kitem – a właściwie siedział mu na splocie słonecznym, poważnie utrudniając oddychanie – ubrany w całości na czarno, tak jak Nocni Łowcy ubierali się do walki. Tylko odsłonięta twarz i dłonie odcinały się bielą w ciemności.

– Chciałeś uciec? – zapytał.

– Chciałem się przejść – odparł Kit.

– Kłamiesz. – Ty spojrzał na jego torbę. – Chciałeś uciec.

Kit z westchnieniem opuścił głowę. Głucho stuknął potylicą o podłogę ganku.

– Dlaczego tak się interesujesz tym, co robię?

– Jestem Nocnym Łowcą. My pomagamy ludziom.

– Teraz to ty kłamiesz – odparł z przekonaniem Kit.

Ty się uśmiechnął. Jego szczerzy, rozświetlający całą twarz uśmiech przypomniał Kitowi ich pierwsze spotkanie. Ty nie siedział mu wtedy na piersi, ale za to przystawił mu nóż do gardła – a Kit tylko na niego spojrzał i natychmiast zapomniał o nożu i całej reszcie.

Piękny, pomyślał.

Ty był piękny jak światło księżyca skrzące się na ostrych krawędziach potłuczonego szkła, piękny w ten sam sposób, w jaki piękni byli wszyscy Nocni Łowcy – piękni i okrutni, jak okrutni bywają tylko ludzie bezgranicznie przekonani o słuszności swojej sprawy.

– Jesteś mi potrzebny – powiedział Ty. – Chociaż pewnie zaskoczyłem cię tym wyznaniem.

– Owszem, zaskoczyłeś – przyznał Kit. Zastanawiał się, czy zaraz ktoś przybiegnie, ale jakoś nie słyszał ani tupotu stóp, ani podniesionych głosów. – Gdzie są ci goście z nocnego patrolu?

– Pewnie pół mili stąd. Mają nie dopuścić demonów w pobliże Instytutu, a nie powstrzymać cię przed ucieczką. Chcesz się dowiedzieć, do czego jesteś mi potrzebny, czy nie?

Kit musiał przyznać wbrew sobie, że zżera go ciekawość. Podparł się na łokciach i skinął głową. Ty siedział na nim niedbale jak na sofie, ale jego palce – długie, szybkie i, o czym Kit doskonale pamiętał, świetnie radzące sobie z nożem – cały czas znajdowały się w pobliżu pasa z bronią.

– Jesteś przestępcą – powiedział Ty. – Twój ojciec był oszustem, a ty chciałeś pójść w jego ślady. Podejrzewam, że masz w tej torbie sporo przedmiotów skradzionych z Instytutu.

– Możesz... – zaczął Kit, ale zawiesił głos, gdy Ty wyciągnął rękę, otworzył zapinaną na suwak torbę i obrzucił spojrzeniem kolekcję kradzionych sztyletów, szkatulek, pochew, świeczników i innych zabranych przez Kita drobiazgów. – Mieć rację – dokończył. – Ale co ci do tego? Przecież to nie są twoje rzeczy.

– Chcę rozwiązywać zagadki kryminalne, jak detektyw, ale tutaj nikogo to nie interesuje.

– Przecież dopiero co złapaliście mordercę, prawda?

– Malcolm przysłał list – jęknął Ty rozczarowany, że swoim wyznaniem Malcolm pozbawił go całej frajdy z bycia detektywem. – A potem na dodatek jeszcze się przyznał.

– No tak, to poważnie zawężyło grono podejrzanych – przyznał Kit. – Posłuchaj: jeżeli chcesz mnie dla zabawy aresztować, to muszę ci zwrócić uwagę, że taki numer przejdzie tylko raz. Więcej nie.

– Nie chcę cię aresztować. Potrzebuję współnika, kogoś, kto zna się na przestępstwach i ludziach, którzy je popełniają. Ktoś taki mógłby mi pomagać.

W głowie Kita zaświeciła się mała żaróweczka.

– Chcesz mieć... Czekaj, sypiałeś pod drzwiami mojego pokoju, bo twój Sherlock Holmes potrzebuje swojego Watsona?

Oczy Ty'a zabłyśły. Nadal badawczo prześlizgiwały się po Kicie, jakby nieustannie badały go, sprawdzały i unikały przy tym oczu Kita, ale w tej chwili wyraźnie błyszczały z ekscytacji.

– Słyszałeś o nich?

„Cały świat o nich słyszał”, chciał odpowiedzieć Kit, ale ugryzł się w język.

– Nie będę niczym Watsonem – odparł. – Nie mam zamiaru rozwiązywać zagadek kryminalnych. Przestępstwa mnie nie interesują. Jest mi obojętne, czy ktoś je popełnia, czy nie...

– Nie myśl o nich jak o przestępstwach, tylko jak o zagadkach właśnie. Poza tym, co innego mógłbyś zrobić? Uciec? Ale dokąd?

– Nie obchodzi mnie...

– Ależ przeciwnie, obchodzi. Chcesz żyć jak każdy. Po prostu nie chcesz żyć w potrzasku.

Ty przekrzywił głowę. W poświęceniu runicznego kamienia – który po tym, jak księżyc schował się za chmurą, pozostał jedynym źródłem światła – jego oczy wydawały się białe i płytkie.

– Skąd wiedziałeś, że będę chciał dzisiaj uciec?

– Przyzwyczaiłeś się do Instytutu, do nas też, ale Centurioni nie przypadli ci do gustu. Livvy pierwsza to zauważyła. A kiedy Zara powiedziała dziś o Akademii... Po czymś takim musiałeś dojść do wniosku, że nie będziesz miał nic do powiedzenia.

Było to nadzwyczaj celne spostrzeżenie. Zaskakująco celne. Kit nie umiał znaleźć słów, które należycie wyraziłyby to, jak poczuł się przy kolacji. Jakby zostanie Nocnym Łowcą oznaczało wepchnięcie do maszyny, która go przeżuje i wypluje gotowego Centuriona.

– Patrząc na nich – odezwał się – i myślę: „Nie zdołam być taki jak oni, a oni nie zdzierzą nikogo innego”.

– Wcale nie musisz iść do Akademii. Możesz z nami zostać, jak długo zechcesz.

Kit powątpiewał w to, by Ty był władny składać tego rodzaju obietnice, ale docenił szlachetność jego słów.

– Przynajmniej dopóki będę ci pomagał rozwiązywać zagadki – powiedział. – Często ci się jakieś trafiają? Czy będę musiał czekać, aż jakiś następny czarownik zeświruje?

Ty oparł się o kolumnkę ganku. Jego dłonie trzepotały u boków jak para ciem.

– Prawdę mówiąc, mamy taką jedną zagwozdkę w tej chwili.

Ciekawość wzięła w Kicie górę.

– Jaką? – zapytał.

– Wydaje mi się, że nie podali prawdziwej przyczyny swojego przybycia. Moim zdaniem coś knują. Poza tym nas okłamują, rzecz jasna.

– Kto?

– Centurioni – odparł Ty z błyskiem w oku. – Któż by inny?

– A potem na dodatek jeszcze się przyznał.

– No tak, to poważnie zawężyło grono podejrzanych – przyznał Kit. – Posłuchaj: jeżeli chcesz mnie dla zabawy aresztować, to muszę ci zwrócić uwagę, że taki numer przejdzie tylko raz. Więcej nie.

– Nie chcę cię aresztować. Potrzebuję współnika, kogoś, kto zna się na przestępstwach i ludziach, którzy je popełniają. Ktoś taki mógłby mi pomagać.

W głowie Kita zaświeciła się mała żaróweczka.

– Chcesz mieć... Czekaj, sypiałeś pod drzwiami mojego pokoju, bo twój Sherlock Holmes potrzebuje swojego Watsona?

Oczy Ty'a zabłysły. Nadal badawczo prześlizgiwały się po Kicie, jakby nieustannie badały go, sprawdzały i unikały przy tym oczu Kita, ale w tej chwili wyraźnie błyszczały z ekscytacji.

– Słyszałeś o nich?

„Cały świat o nich słyszał”, chciał odpowiedzieć Kit, ale ugryzł się w język.

– Nie będę niczym Watsonem – odparł. – Nie mam zamiaru rozwiązywać zagadek kryminalnych. Przestępstwa mnie nie interesują. Jest mi obojętne, czy ktoś je popełnia, czy nie...

– Nie myśl o nich jak o przestępstwach, tylko jak o zagadkach właśnie. Poza tym, co innego mógłbyś zrobić? Uciec? Ale dokąd?

– Nie obchodzi mnie...

– Ależ przeciwnie, obchodzi. Chcesz żyć jak każdy. Po prostu nie chcesz żyć w potrzasku.

Ty przekrzywił głowę. W poświęconym runicznemu kamieniu – który po tym, jak księżyc schował się za chmurą, pozostał jedynym źródłem światła – jego oczy wydawały się białe i płytkie.

– Skąd wiedziałeś, że będę chciał dzisiaj uciec?

– Przyzwyczaiłeś się do Instytutu, do nas też, ale Centurioni nie przypadli ci do gustu. Livvy pierwsza to zauważyła. A kiedy Zara powiedziała dziś o Akademii... Po czymś takim musiałeś dojść do wniosku, że nie będziesz miał nic do powiedzenia.

Było to nadzwyczaj celne spostrzeżenie. Zaskakująco celne. Kit nie umiał znaleźć słów, które należycie wyraziłyby to, jak poczuł się przy kolacji. Jakby zostanie Nocnym Łowcą oznaczało wepchnięcie do maszyny, która go przeżuje i wypluje gotowego Centuriona.

– Patrę na nich – odezwał się – i myślę: „Nie zdołam być taki jak oni, a oni nie zdzierzą nikogo innego”.

– Wcale nie musisz iść do Akademii. Możesz z nami zostać, jak długo zechcesz.

Kit powątpiewał w to, by Ty był władny składać tego rodzaju obietnice, ale docenił szlachetność jego słów.

– Przynajmniej dopóki będę ci pomagał rozwiązywać zagadki – powiedział. – Często ci się jakieś trafiają? Czy będę musiał czekać, aż jakiś następny czarownik zeświruje?

Ty oparł się o kolumnkę ganku. Jego dłonie trzepotały u boków jak para ciem.

– Prawdę mówiąc, mamy taką jedną zagwozdkę w tej chwili.

Ciekawość wzięła w Kicie górę.

– Jaką? – zapytał.

– Wydaje mi się, że nie podali prawdziwej przyczyny swojego przybycia. Moim zdaniem coś knują. Poza tym nas okłamują, rzecz jasna.

– Kto?

– Centurioni – odparł Ty z błyskiem w oku. – Któż by inny?

* * *

Następny dzień, potwornie upalny, był jednym z tych, kiedy powietrze ani drgnie, a bliskość oceanu nie przynosi żadnej ulgi. Kiedy Emma zeszła spóźniona na śniadanie, rzadko włączane wiatraki na suficie pracowały na pełnych obrotach.

– Co to było? Piaskowy demon? – zapytał Dane Cristinę. – Na pustyni często spotyka się akwany i iblisy.

– Wiemy o tym – odparł Julian. – I Mark już powiedział, że to był demon morski.

– Uciekł, kiedy padło na niego światło runicznego kamienia – dodał Mark – ale zostawił po sobie odór morskiej wody i mokrą plamę na piasku.

– Nie chce mi się wierzyć, że nie macie tu obwodowych zaklęć ochronnych – odezwała się Zara. – Dlaczego nikt tego nie dopilnował? Powinnam zapytać pana Blackthorna...

– Zaklęcia ochronne nie zatrzymały Sebastiana Morgensterna –

przypomniała Diana. – Później zaniechano ich stosowania jako mało skutecznych.

Ton jej głosu sugerował, że z najwyższym trudem panuje nad sobą. Emma wcale jej się nie dziwiła.

Zara spojrzała na Dianę z wyższością i politowaniem.

– Zważywszy na tę inwazję morskich demonów, której, nawiasem mówiąc, nie byłoby, gdyby ciało Malcolma Fade’a nie poniewierało się gdzieś w głębinach, należałoby chyba przemyśleć ich ponowne wprowadzenie. Nie sądzicie?

Odpowiedział jej zbiorowy pomruk. Większość Centurionów – wszyscy z wyjątkiem Diego, Jona i Rayana – zgodziła się z Zarą.

Kiedy zaczęli snuć plany postawienia ochronnych zapór, Emma próbowała spojrzeć Julianowi w oczy, żeby dać mu do zrozumienia, że podziela jego irytację, on jednak odwrócił się do Marka i Cristiny.

– Co wyście w ogóle robili w nocy na dworze?

– Nie mogliśmy zasnąć – odparł Mark. – I przypadkiem się na siebie napatoczyliśmy.

– Ależ oczywiście – powiedziała z uśmiechem Zara i odwróciła się do Samantha, żeby szepnąć jej coś do ucha. Obie parsknęły śmiechem.

Cristina zarumieniła się ze złości. Julian mocniej ścisnął widelec w dłoni, po czym powoli odłożył go na stół obok swojego talerza.

Emma przygryzła wargę. Jeżeli Mark i Cristina chcieli zacząć się spotykać, była gotowa dać im swoje błogosławieństwo i zaaranżować „zerwanie” z Markiem. Ich rzekomy związek i tak spełnił już zamierzoną rolę: Julian prawie nie mógł na nią patrzeć. Tego właśnie chciała, czyż nie?

Nie sprawiał jednak wrażenia zachwyconego, że między nią i Markiem wszystko może być skończone. Ani trochę. Ciekawe, czy w ogóle o tym pomyślał. Kiedyś potrafiła bezbłędnie czytać mu w myślach, teraz umiała wychwycić co najwyżej powierzchowne emocje. Jego głębsze odczucia pozostawały przed nią skutecznie ukryte.

Diego spojrzał na Marka, potem na Cristinę, gwałtownie wstał od stołu, szurając krzesłem, i wyszedł z jadalni. Chwilę później Emma odrzuciła serwetkę na talerz i podążyła za nim.

Gniewnym krokiem przemierzył korytarz prowadzący do tylnego wyjścia i zdążył wyjść na parking, zanim się zorientował, że ktoś za nim idzie.

Zważywszy na jego doskonałe wykształcenie, była to niedwuznaczna oznaka wielkiego wzburzenia.

Odwrócił się do niej z błyskiem w oku.

– Emma – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, że chcesz mnie złać, i to od paru dni, ale to nie jest dobry moment.

– A jaki moment byłby dobry? Chcesz to sobie zapisać w terminarzu pod hasłem „na święty nigdy”? – Emma uniosła brew. – Tak myślałam... Chodź.

Skręciła za róg budynku. Diego bez entuzjazmu ruszył za nią, aż doszli do dobrze znanego Emmie miejsca, gdzie wśród kaktusów wznosił się niewielki pagórek.

– Stań tutaj – poleciła, wskazując wzniesienie. Diego spojrział na nią z niedowierzaniem. – Tutaj nie będzie nas widać z okien – wyjaśniła.

Dopiero wtedy jej posłuchał, chociaż zrobił marudną minę. Skrzyżował ramiona na piersi.

– Emmo, nie rozumiesz i nie zrozumiesz, a ja nie mogę ci wytłumaczyć...

– Z pewnością – weszła mu w słowo. – Posłuchaj, dobrze wiesz, że nigdy za tobą nie przepadałam, ale mimo to miałam o tobie znacznie lepsze mniemanie.

Mięsień drgnął na jego twarzy, kiedy zacisnął kurczowo szczęki.

– Tak jak powiedziałem: nie zrozumiesz, a ja nie mogę ci tego wytłumaczyć.

– Od biedy bym zrozumiała, gdybyś po prostu grał na dwa fronty, co i tak uważam za nikczemne. Ale Zara? Przecież to przez nią tu trafiłeś. Wiesz, że nie jesteśmy... Wiesz, że Julian musi zachować najwyższą ostrożność.

– Julian niepotrzebnie się martwi – odparł beznamietnie Diego. – Zarę interesuje tylko to, co może jej przynieść osobistą korzyść. Wątpię, żeby zaciekały ją tajemnice Arthura. Zależy jej wyłącznie na pochwałach Rady za pomyślnie zakończoną misję.

– Łatwo ci tak mówić.

– Mam swoje powody, Emmo, dla których robię to, co robię. Być może Cristina na razie ich nie rozumie, ale pewnego dnia pozna je i doceni.

– Każdy ma jakieś swoje powody, Diego. Każdy. Malcolm też miał.

Diego zacisnął wargi.

– Nie porównuj mnie z Malcolmem Fade'em.

– Dlaczego? Dlatego że był czarownikiem? – spytała Emma, groźnie

zniżając głos. – Dlatego że podzielasz zapatrywania swojej narzeczonej w kwestii Zimnego Pokoju, czarowników, faerie... w kwestii Marka?

– Dlatego, że był mordercą – wycodził Diego przez zęby. – Możesz myśleć o mnie, co chcesz, Emmo, ale nie jestem bezmyślnym fanatykiem. Nie uważam, że Podziemni są od nas gorsi; nie uważam, że należy prowadzić ich rejestr ani że wolno ich torturować...

– Przyznajesz jednak, że Zara tak właśnie myśli.

– Nigdy nic jej nie powiedziałem.

– Może w takim razie rozumiesz, dlaczego nie pojmuję, jak możesz przedkładać ją nad Cristinę?

Diego spiął się cały... i krzyknął. Emma zapomniała, że mimo zwodniczo krępej postury potrafi być niewiarygodnie szybki. Odskokzył wstecz, klnąc jak szewc i wierzgając lewą nogą. W końcu udało mu się strząsnąć but.

Kolumna mrówek maszerowała mu po stopie, okolicach kostki i wspinała się po podudziu.

– Biedactwo... – uzalała się nad nim Emma. – Chyba stanąłeś na mrowisku. Zupełnie przypadkowo, ma się rozumieć.

Klnąc, na czym świat stoi, Diego strząsnął z siebie insekty i kopniakiem strącił czubek pagórka. Z ziemi wyroiła się masa mrówek.

Emma cofnęła się o krok.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Nie są jadowite.

– Wrobiłaś mnie we wdepnięcie w mrowisko?!

Wzuł but z powrotem, ale Emma dobrze wiedziała, że ślady po ukąszeniach będą mu dokuczały przez kilka najbliższych dni. Chyba że nałoży sobie *iratze*.

– Cristina wymogła na mnie obietnicę, że nie tknę cię palcem, więc musiałam się trochę wysilić – wyjaśniła. – Trzeba było nie okłamywać mojej najlepszej przyjaciółki. *Desgraciado mentiroso*.

Diego wybałuszył oczy.

Emma westchnęła.

– Mam nadzieję, że to znaczy to, co mi się wydaje, że znaczy. Kiepsko by było, gdybym wyzwała cię od zardzewiałych kubłów albo w coś w ten deseń.

– Nie, nie. – Ku jej zdumieniu w głosie Diego znużenie przemieszało się z rozbawieniem. – To było dokładnie to, co chciałaś, żeby było.

– To dobrze.

Zawróciła w stronę Instytutu. Zdążyła się oddalić niemal poza zasięg głosu, gdy Diego zawołał ją po imieniu. Odwróciwszy się, stwierdziła, że nie ruszył się z miejsca, najwyraźniej zobojętniały na mrówki i prażące bez litości słońce.

– Uwierz mi, Emmo – przemówił na tyle głośno, żeby go usłyszała – że w tej chwili nikt nie nienawidzi mnie bardziej, niż ja sam.

– Naprawdę tak myślisz?

W przeciwieństwie do niego nie podniosła głosu, nie miała jednak wątpliwości, że jej słowa do niego dotarły. Długo patrzył na nią w milczeniu, zanim w końcu sobie poszła.

* * *

Upał trwał do późnego popołudnia, kiedy to nad ocean nadciągnęła burza. Centurioni wyruszyli przed południem i Emmie nie pozostało nic innego, jak nerwowo popatrywać przez okna na słońce ginące na horyzoncie w gęstej masie szaroczarnych, przesywanych piorunami chmur.

– Nic im się nie stanie? Jak myślisz? – niepokoila się Dru, obracając w dłoniach nóż do rzucania. – Wy płynęli łodzią? Zapowiada się paskudny sztorm.

– Nie wiemy, co dokładnie robią – przypomniała jej Emma.

Miała ochotę dodać, że snobizm Centurionów, który kazał im zatajać swoje działania przed mieszkańcami Instytutu, bardzo utrudniłby ich ratowanie, gdyby naprawdę stało się coś złego, ale na widok wyrazu twarzy Dru ugryzła się w język. Dru wprost uwielbiała Diego i mimo niedawnych wydarzeń na pewno nie przestała go lubić.

Emma odczuła przelotne ukłucie wyrzutów sumienia z powodu mrówek.

– Nic im nie będzie – zapewniła Cristina. – Centurioni są bardzo ostrożni.

Livvy zaproponowała Dru, że poćwiczy z nią szermierkę, i Dru powłokła się do maty treningowej, gdzie czekali już Ty, Kit i Livvy. Kita udało się jakimś sposobem namówić do włożenia stroju treningowego, w którym wyglądał – jak z rozbawieniem skonstatowała Emma – jak miniatura Jace’a: miał takie same blond loki i ostro zarysowane kości policzkowe. Za ich plecami Diana pokazywała Markowi właściwą pozycję treningową...

Emma aż zamrugnęła powiekami. Była absolutnie pewna, że jeszcze przed chwilą był z nimi Julian.

– Poszedł zajrzeć do wuja – wyjaśniła Cristina. – Podobno nie lubi burz.

– Wcale nie, to Tavvy nie lubi...

Emma zawiesiła głos. Tavvy siedział w kącie sali i czytał książkę. Nagle przypomniała sobie te wszystkie chwile, gdy Julian w czasie burzy gdzieś zniknął, usprawiedliwiając się koniecznością opieki nad Tavvym. Wsunęła Cortanę do pochwy.

– Zaraz wracam.

Cristina odprowadziła ją zaniepokojonym spojrzeniem, ale poza tym chyba nikt nie zauważył, jak wymknęła się na korytarz.

Przez ogromne okna wpadało niezwykle szare światło, powietrze mieniło się srebrnymi punkcikami. Dotarła do drzwi prowadzących na poddasze i wbiegła po schodach. Nie próbowała się skradać, lecz mimo to ani Julian, ani Arthur nie zwrócili na nią uwagi, gdy weszła do głównego pomieszczenia na górze.

Okna były tu szczelnie pozamykane i zalepione papierem – wszystkie poza jednym, znajdującym się przy biurku, przy którym w tej chwili siedział Arthur. Z tego okna papier został zdarty i było przez nie widać pędzące po niebie chmury, które zderzały się i rozsnuwały niczym gęste kłębki szarej i czarnej przędzy.

Na innych biurkach wały się tace z niedojedzonymi posiłkami, w całym pokoju śmierdziało pleśnią i zgnilizną. Emma z wysiłkiem przełknęła ślinę. Przyszło jej do głowy, że mogła popełnić błąd, przychodząc tutaj.

Arthur oklapł bezwładnie na krzesło, rzadkie włosy opadały mu na oczy.

– Chcę, żeby sobie poszli – mówił właśnie. – Nie chcę ich tutaj.

– Wiem – odparł Julian zdumiewająco łagodnym tonem.

Jak on był w stanie się nie złościć? Emma była wściekła, wściekła na wszystko, co sprzysięgło się przeciwko niemu, zmusiło go do przedwczesnego dorostania i pozbawiło dzieciństwa. Jak on mógł patrzeć na Arthura i o tym nie myśleć?

– Ja też bym chciał, żeby sobie poszli, ale nie mogę nic zrobić, żeby ich do tego zmusić. Musimy być cierpliwi.

– Potrzebuję swojego lekarstwa – wyszeptał Arthur. – Gdzie Malcolm?

Emma wzdrygnęła się na widok wyrazu twarzy Juliana i chyba właśnie

wtedy Arthur ją zauważył. Podniósł głowę i wbił w nią spojrzenie... Nie, nie w nią. W jej miecz.

– Cortana – powiedział. – Dzieło Waylanda Kowala. Legendarnego twórcy Excalibura i Durendala. Podobno sama wybiera sobie właściciela. Kiedy Ogier wzniosł ją, żeby w bitwie zgładzić syna Karola Wielkiego, objawił mu się anioł, który złamał miecz i przemówił: „Miłosierdzie jest lepsze od zemsty”.

Emma spojrzała na Juliana. Na poddaszu panował półmrok, ale dostrzegła, że zaciska pięści. Czyżby złościł się na nią, że za nim przyszła?

– Ale Cortana nigdy nie została złamana – zauważyła.

– To tylko taka opowieść – powiedział Julian.

– W każdej opowieści tkwi ziarno prawdy – wtrącił Arthur. – Tak samo jak w każdym z twoich obrazów, chłopcze, w zachodzie słońca, w dwuwierszu Homera... Fikcja jest prawdą, nawet jeśli nie jest faktem. Jeżeli będziesz wierzył tylko w fakty i odrzucisz opowieści, twój umysł przetrwa, lecz serce umrze.

– Rozumiem, wuju – odparł znużonym tonem Julian. – Wpadnę później. Zjedz coś, proszę, dobrze?

Arthur ukrył twarz w dłoniach i pokręcił głową. Julian ruszył do wyjścia; w połowie drogi złapał Emmę za przegub dłoni i pociągnął za sobą.

Nie użył przesadnej siły, lecz i tak za nim poszła zmuszona do posłuszeństwa odczuciem fizycznego kontaktu. Ostatnio dotykał jej tylko po to, żeby nałożyć jej runy. Brakowało jej przyjaznego dotyku, do jakiego przez lata przywykła: muśnięcia dłoni na ramieniu, poklepania po plecach, ich tajemnego sposobu porozumiewania się poprzez kreślenie liter i słów na skórze, bezgłośnego i niezauważalnego dla osób postronnych. Wydawało jej się, że trwa to całe wieki.

A teraz iskry przebiegły w górę ręki od miejsca, w którym jej dotknął: gorące, bolesne, dezorientujące. Julian objął jej nadgarstek palcami.

Dopiero kiedy wyszli głównymi drzwiami, puścił ją i spojrzał jej w oczy. Powietrze, ciężkie i gęste, mocno przywierało do skóry Emmy. Autostrada ginęła we mgle. W dole było widać wzburzone powierzchnie szarych fal uderzających z łoskotem o brzeg. Z tej wysokości wydawały się wielkie jak grzbiety wielorybów. Księżyc ledwie wyzierał spomiędzy chmur.

Julian dyszał ciężko, jakby przed chwilą przebiegł sprintem kilka dobrych

mil. W wilgotnym powietrzu koszula kleiła mu się do piersi. Oparł się plecami o mur.

– Po co przyszedłeś na poddasze? – zapytał.

– Przepraszam – odparła sztywno.

Nie cierpiała zachowywać się tak oficjalnie przy Julesie; rzadko im się zdarzało, żeby kłótnia nie skończyła się zdawkowymi przeprosinami albo nie została obrócona w żart.

Miała poczucie, że jestem ci potrzebna, odparła w myślach. Nie mogłam nie przyjść.

– Rozumiem, że się złościysz... – dodała.

– Wcale się nie złościę. – Piorun zaskwierczał nad oceanem, rozświetlając niebo bielą. – To właśnie jest najgorsze, wiesz? Nie mogę się złościć. Mark o nas nie wie, nie próbuje mnie zranić, nie ma w tym w wszystkim ani krzty jego winy. A ty postąpiłaś właściwie. Nie mogę cię za to nienawidzić. – Julian odepchnął się od ściany i zrobił kilka niespokojnych kroków. Nagromadzona energia burzy skrzyła na jego skórze. – Ale trudno mi to znieść. Co mam zrobić, Emmo? – Rozcapierzonymi palcami przecesał włosy, które w wilgotnym powietrzu skręcały się w loki i kleiły mu do palców. – Nie możemy tak żyć.

– Wiem. Dlatego wyjadę. Niedługo, za kilka miesięcy, kiedy skończę osiemnaście lat. Na roczną wymianę pojedziemy osobno. Zapomnimy.

– Czyżby? – Julian wykrzywił usta w uśmiechu niedowierzania.

– Nie mamy wyboru.

Emma zadrżała. Zrobiło się zimno. Chmury kłębiły się jak dym ulatujący z płonącego nieba.

– Nie powinienem był cię dotykać – powiedział Julian. Przysunął się do Emmy, a może to ona przysunęła się do niego, chcąc wziąć go za rękę, tak jak zawsze to robiła. – Nigdy bym nie pomyślał, że to, co mamy, może się tak łatwo rozpaść.

– Nic się nie rozpadło – odparła szeptem Emma. – Popelniliśmy błąd, ale nie było nim bycie razem.

– Większość ludzi popełnia błędy, Emmo, i wcale nie rujnuje sobie przez to życia.

Zamknęła oczy, lecz mimo to nadal go widziała. Czuła jego obecność, ciepło jego oddalonego o kilka cali ciała, zapach goździków, którym

przesiąkły jego ubranie i włosy. To ją doprowadzało do szaleństwa, nogi się pod nią uginały, jakby przed chwilą wysiadła z kolejki górskiej.

– Nasze życie wcale nie zostało zrujnowane – powiedziała.

Objął ją. Przeszło jej przez myśl, że powinna stawić opór, była jednak zmęczona, potwornie zmęczona opieraniem się temu, czego pragnęła. Nie myślała, że kiedyś jeszcze tego doświadczy – objąć Juliana, mięśni grających pod skórą, silnych dłoni malarza gładzących ją po plecach, palców kreślących litery, słowa na jej skórze.

J-A J-E-S-T-E-M R-U-I-N-Ą.

Wstrząśnięta otworzyła oczy. Twarz Juliana była tak blisko, że rozmazała się w plamę światła i cienia.

– Emmo... – powiedział, pętając ją ramionami i przyciągając z całej siły.

Zaczął ją całować, zaczęli całować się nawzajem. Przycisnął ją do siebie, a ona dopasowała się do niego: wklęsłości i wypukłości, twardość mięśni i miękkość ciała. Otwartymi ustami chłonał jej usta, jego język błędził delikatnie po jej zaciśniętych wargach.

Rozchyliła usta i jeszcze mocniej przywarła do niego. Zarzuciła mu rękę na szyję. Smakował jak ogień, jak korzenne przyprawy. Przesunął dłońmi po jej bokach, po biodrach, i jeszcze mocniej ją zagarnął. Z jego gardła dobył się zdławiony dźwięk, w którym udreka mieszała się z pożądaniem.

Trwało to całą wieczność. Trwało to mgnienie oka. Jego dłonie formowały jej łopatki, kreśliły krzywiznę ciała poniżej klatki piersiowej, kciuki obrysowywały szczyty kości biodrowych. Podniósł ją i przycisnął do siebie, jakby mogli nawzajem wypełnić swoje puste przestrzenie. Słowa płynęły z jego ust pośpiesznie i gorączkowo:

– Emmo... Potrzebuję cię, stale o tobie myślę, bez przerwy, chciałem cię mieć przy sobie na tym przeklętym poddaszu, odwróciłem się i oto byłaś, jakbyś mnie usłyszała, jakbyś zawsze była przy mnie, kiedy cię potrzebuję...

Znów uderzył piorun i rozświetlił świat; Emma zobaczyła swoje dłonie zaciśnięte na rąbku koszuli Juliana. Co ona sobie wyobrażała, do diabła? Zamierzała rozebrać ich oboje na ganku Instytutu? Rzeczywistość wzięła górę nad fantazją i Emma z bijącym sercem odsunęła się od Juliana.

– Em?

Oszołomiony Julian posłał jej spojrzenie jednocześnie rozmarzone i pożądlive. Z wysiłkiem przełknęła ślinę, ale jego słowa tętniły jej echem

w głowie: pragnął jej, a ona przyszła, jakby usłyszała jego wołanie. Poczwała to jego pragnienie, rozpoznała je i nie potrafiła się powstrzymać.

Przez te wszystkie tygodnie wmawiała sobie, że łącząca ich więź *parabatai* słabnie, a on jej teraz mówi, że praktycznie czytają sobie nawzajem w myślach.

– Mark – powiedziała.

Było to tylko jedno słowo, ale zarazem słowo najwłaściwsze, brutalne przypomnienie realiów. Rozmarzenie zniknęło z oczu Juliana, który pobladł i znieruchomiał jak rażony gromem. Uniósł rękę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć – usprawiedliwić się, przeprosić – a wtedy niebo rozdarło się na dwoje.

Oboje zadarli głowy, gdy dokładnie nad nimi rozstąpiły się chmury. W powietrzu rósł jakiś cień, przybliżał się i mroczniał z każdą chwilą, by przyjąć kształty potężnie zbudowanego mężczyzny w zbroi jadącego na oklep na spienionym, czerwonoookim, cętkowanym rumaku, czarnoszarym jak kłębiące się w górze burzowe chmury.

Julian wykonał taki ruch, jakby chciał zasłonić Emmę i zepchnąć ją w tył, ale ona nie zamierzała ustąpić. Stała i patrzyła, jak koń, rżąc i wierzgając kopytami, hamuje u stóp schodów. Jeździec podniósł na nich wzrok.

Miał oczy w dwóch różnych kolorach, podobnie jak Mark, tyle tylko, że w jego wypadku jedno oko było błękitne, a drugie czarne. Jego twarz była przerażająco znajoma: to był Gwyn ap Nudd, wódz i władca Dzikiego Polowania. Wyglądał na bardzo niezadowolonego.

Bezbrzeżnych mórz lazury

Zanim Julian lub Emma zdążyli się odezwać, drzwi Instytutu otworzyły się z łoskotem i w progu stanęła Diana. Tuż za nią stał Mark, wciąż jeszcze ubrany w strój treningowy. Diana, w białym kostiumie, wyglądała pięknie i groźnie, jak zawsze.

Cętkowany wierzchowiec Gwyna stanął dęba, gdy Mark wyszedł na ganek i zatrzymał się u szczytu schodów. Mark bardzo się zdziwił na widok idących w jego stronę Emmy i Juliana. Emma miała wrażenie, że policzki płoną jej żywym ogniem, za to Julian, kiedy na niego spojrzała, wydawał się jak zawsze spokojny i niewzruszony.

Równocześnie z Dianą stanęli obok Marka. Czwooro Nocnych Łowców spojrzało z góry na Myśliwego. Oczy rumaka, którego dosiadał, były krwistoczerwone, tak samo jak jego zbroja z utwardzanej szkarłatnej skóry, w kilku miejscach poznaczona śladami pazurów i broni.

– Ze względu na Zimny Pokój nie jesteś tu mile widzianym gościem – odezwała się Diana. – Co cię sprowadza, Gwynie Myśliwy?

Prastare oczy Gwyna zmierzyły Dianę od stóp do głów. Nie było w jego spojrzeniu złośliwości ani arogancji, tylko typowy dla faerie podziw dla rzeczy pięknych.

– Piękna pani – przemówił. – My się chyba nie znamy.

– Diana Wrayburn – odparła skonsternowana Diana. – Jestem tu wykładowcą.

– Nauczyciele cieszą się wielkim szacunkiem w Krainie Pod Wzgórzem – odparł Gwyn.

Pod pachą trzymał ogromny hełm przyozdobiony jelenim porożem. Na łęku siodła położył swój róg myśliwski.

Emma osłupiała. Czyżby Gwyn podrywał Dianę? Nie wiedziała nawet, czy

faerie w ogóle mają takie zwyczaje.

Mark burknął coś z irytacją.

– Bądź pozdrowiony, Gwynie – powiedział. – Moje serce raduje się na twój widok.

Emma nie była pewna, czy cokolwiek w tych słowach jest prawdą. Zdawała sobie sprawę, że stosunek Marka do Gwyna nie jest jednoznaczny; czasem jej o tym opowiadał, wieczorem, leżąc obok jej łóżka z głową opartą na dłoni. Dzięki temu stworzyła sobie o wiele klarowniejszy obraz Dzikiego Polowania niż kiedykolwiek przedtem; lepiej rozumiała jego cudowność i zgrozę, lepiej pojmowała naturę tej dziwnej drogi wśród gwiazd, do której przebycia Mark został przymuszony.

– Chciałbym móc odpowiedzieć ci w podobnym duchu – odparł Gwyn – przynoszę jednak mroczne wieści z Ciemnego Dworu. Bliski twemu sercu Kieran...

– Kieran nie jest już bliski memu sercu – odparował natychmiast Mark.

Obaj użyli wyrażenia charakterystycznego dla faerie: słowa „bliski memu sercu” oznaczały – w przybliżeniu – „ukochanego”.

– Kieran Myśliwy został uznany za winnego zamordowania Iarlatha – wyjaśnił Gwyn. – Stał przed sądem na Ciemnym Dworze. Proces nie trwał długo.

Mark poczerwieniał i wyczekująco napiął wszystkie mięśnie.

– Jaki zapadł wyrok?

– Śmierć. Jeżeli nic się nie wydarzy, Kieran umrze jutro o wschodzie księżyca.

Mark stał nieruchomo. Emma zastanawiała się, czy powinna coś zrobić: przysunąć się do niego, pocieszyć go, wziąć za rękę? Nie umiała jednak odgadnąć wyrazu jego twarzy. Jeżeli malowała się na niej żaloba, to dla niej była ona zupełnie nieczytelna; jeżeli był to gniew, to nigdy przedtem nie widziała, żeby Mark złościł się w taki sposób.

– To smutna nowina – odezwał się w końcu.

Julian pierwszy się poruszył: podszedł, stanął u boku brata i położył mu dłoń na ramieniu. Emma przyjęła jego gest z wielką ulgą.

– To wszystko? – spytał Gwyn. – Nie masz nic więcej do powiedzenia?

Mark pokręcił głową. Jaki on kruchy, pomyślała z troską Emma. Miała wrażenie, że prawie widać mu kości przez skórę.

– Kieran mnie zdradził – odparł. – Dziś jest dla mnie niczym.

Gwyn spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Kochał cię, stracił i próbował odzyskać. Chciał, żebyś znów dołączył do Polowania. Ja również tego chciałem, byłeś jednym z naszych najlepszych. Czy to źle?

– Widziałeś, co się stało.

Gniew, wyraźnie teraz słyszalny w głosie Marka, obudził w Emmie wspomnienia: powykręcana jarzębina, o którą opierała się, gdy Iarlath chłostał najpierw Juliana, a potem ją. Kieran, Mark i Gwyn patrzyli. Ból i krew, smagnięcia bicia jak liżnięcie płomieni, ale i tak największy ból sprawiało jej cierpienie Juliana.

– Iarlath wychłostał mojego brata i moją przyjaciółkę – ciągnął Mark. – Przez Kierana. Wychłostał Emmę i Juliana.

– Dla nich zrezygnowałeś z Polowania. – Spojrzenie dwukolorowych oczu Gwyna spoczęło na Emmie. – W ten sposób się zemściłeś, jeżeli to właśnie zemsty pragnąłeś. Ale gdzie się podziało twoje współczucie?

– Czego chcesz od mojego brata? – wtrącił stanowczym tonem Julian. Cały czas trzymał rękę na ramieniu Marka. – Ma opłakiwać Kierana w taki sposób, żeby sprawić ci przyjemność? Po to przyjechałeś?

– Śmiertelnicy... Wydaje wam się, że wiecie tak dużo, podczas gdy w rzeczywistości wiecie tak niewiele. – Mocniej ścisnął hełm. – Nie chcę, żebyś opłakiwał Kierana. Chcę, żebyś go ocalił, Marku Myśliwy.

* * *

W oddali przetoczył się grzmot, lecz przed wejściem do Instytutu panowała cisza głęboka jak krzyk.

Nawet Dianie odebrało mowę. Emma wyraźnie słyszała głosy i śmiech Livvy i pozostałych, ćwiczących w sali treningowej.

Jules z beznamietnym, wyrachowanym wyrazem twarzy zacisnął dłoń na ramieniu brata.

„Chcę, żebyś go ocalił, Marku Myśliwy”.

Gniew wezbrał szybko w sercu Emmy, która w przeciwieństwie do Julesa nie zamierzała go tłumić.

– Mark nie należy już do Dzikiego Polowania – odparowała zapalczywie. –

Nie nazywaj go Myśliwym, bo nim nie jest.

– Jest Nocnym Łowcą, czyż nie? – spytał Gwyn. Odkąd wyraził swoją niezwykłą prośbę, wyraźnie się odprężył. – Raz myśliwy, zawsze myśliwy. Poniekąd.

– I co, mam zapolować na Kierana? Tego właśnie chcesz? – zapytał Mark, dziwnie cedząc słowa, jakby wściekłość utrudniała mu wysłowienie się. – Dlaczego ja, Gwynie? Dlaczego nie ty? Dlaczego nie ktokolwiek inny z was?

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Kieran jest więźniem swojego ojca, samego króla Ciemnego Dworu, który przetrzymuje go w dworskich lochach.

– A Mark jest niezniszczalny, tak? Twoim zdaniem może stawić czoło Ciemnemu Dworowi, chociaż Dzikie Polowanie nie jest w stanie tego zrobić? – To była Diana. Zeszła jeden stopień niżej. Pustynny wiatr rozwiewał jej ciemne włosy. – Jesteś sławny, Gwynie ap Nudd. Należysz do Dzikiego Polowania od setek lat wedle rachuby śmiertelnych. Stałeś się bohaterem wielu opowieści. Nigdy jednak nie słyszałam, żeby wódz Polowania popadł w szaleństwo.

– Dzikie Polowanie nie podlega władzy Dworów – przyznał Gwyn – co nie znaczy, że się ich nie lęka. Szaleństwem byłoby się ich nie bać. Kiedy Dwory upomniały się o Kierana, ja i wszyscy moi Myśliwi musieliśmy przysiąc na własne życie, że nie będziemy utrudniać procesu ani kwestionować wyroku sądu. Dla nas próba ocalenia Kierana równałaby się śmierci.

– Więc to dlatego do mnie przyszedłeś – powiedział Mark. – Dlatego, że nie złożyłem takiej przysięgi, a nawet gdybym ją złożył, to mógłbym skłamać. Potrzebujesz kłamcy i złodzieja, ot co.

– Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać. Kogoś nie związanego przysięgą. Kogoś, kto ośmieli się stawić czoło Dworowi.

– Nie chcemy zatargu z tobą – zastrzegł się Julian. Zapanowanie nad głosem wymagało od niego wysiłku, którego chyba nikt poza Emmą nie zauważył. – Musisz jednak zrozumieć, że Mark nie może spełnić twojej prośby. To zbyt niebezpieczne.

– My, Powietrzny Lud, nie lękamy się niebezpieczeństwa ni śmierci – odparł Gwyn.

– Skoro nie lękacie się śmierci – powiedział Julian – to niech Kieran wyjdzie jej na spotkanie.

Gwyn aż się wzdrygnął, słysząc oschły ton jego głosu.

– Kieran nie ma jeszcze dwudziestu lat!

– Mark też. Jeżeli myślisz, że się ciebie boimy, to masz rację. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy się nie bali. Ja wiem, jaki naprawdę jesteś, Gwynie. Wiem, że zmusiłeś kiedyś człowieka, żeby zjadł serce własnego ojca. Wiem, że odebrałeś Polowanie Herne’owi podczas bitwy w Cadair Idris. Zdziwiłbyś się, jak wiele wiem. Ale jestem bratem Marka i nie pozwolę, żeby znowu ryzykował życie w Faerie.

– W Dzikim Polowaniu również jesteśmy braćmi – zauważył Gwyn. – Jeżeli nie możesz się zmusić do tego, by pomóc Kieranowi z miłości, Marku, zrób to przez wzgląd na waszą przyjaźń.

– Dość tego! – warknęła Diana. – Szanujemy cię, Gwynie Myśliwy, ale ta dyskusja została zakończona. Nie damy odebrać sobie Marka.

– A jeśli sam zechce odejść? – zadudnił basem Gwyn.

Wszyscy popatrzyli na Marka. Nawet Julian odwrócił się w jego stronę i powoli cofnął dłoń z ramienia brata. W jego oczach Emma dostrzegła strach; przypuszczała, że jej oczy wyglądają teraz podobnie. Jeżeli Mark w dalszym ciągu choć trochę kochał Kierana...

– Nie zechcę – powiedział Mark. – Nie chcę tego, Gwynie.

Gwyn zacisnął usta.

– Nie masz honoru – powiedział.

Światło przebiło się przez spowijające niebo chmury. Burza przesuwiała się ku górom. Szare światło odbiło się w oczach Marka, skutecznie maskując ich wyraz.

– Miałem cię za przyjaciela – powiedział, po czym odwrócił się i wszedł do Instytutu. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Gwyn zaczął zsiadać z konia, ale Diana powstrzymała go gestem wyciągniętej ręki.

– Nie możesz wejść do Instytutu.

Gwyn znieruchomiał. Przez chwilę patrzył na Dianę bez słowa, a jego twarz nagle wydała się pobrużdżona i stara, chociaż Emma dobrze wiedziała, że Gwyn się nie starzeje.

– Kieran nie ma nawet dwudziestu lat – powtórzył. – To jeszcze chłopiec.

Wyraz twarzy Diany złagodniał, zanim jednak zdążyła przemówić, wierzchowiec stanął dęba. Gwyn rzucił coś, co spadło na schody u stóp

Diany, po czym pochylił się nad szyją konia, który dosłownie eksplodował ruchem. Jego grzywa i ogon zlały się w jeden biały płomień, który wystrzelił ku niebu i zniknął wśród chmur zdobiących wieczorne niebo niczym misterny ornament.

* * *

Julian pchnął barkiem drzwi Instytutu.

– Mark?! – zawołał. – Mark!

Obrócił się w miejscu, aż pusty hol wejściowy zawirował wokół niego. Lęk o brata odbierał jak fizyczny napór na skórze, zaciskanie się naczyń krwionośnych, spowolnienie przepływu krwi. Nie umiałby powiedzieć, czego dokładnie się boi: Gwyn odjechał, Mark był bezpieczny. To była prośba, nie porwanie.

– Jules. – Mark wyszedł z garderoby pod schodami, gdzie najwidoczniej odwiesił kurtkę. Miał potargane włosy i zaskoczoną minę. – Odjechał?

– Tak, odjechał – przytaknęła Emma, wszedłszy do środka w ślad za Julianem. Idąca za nią Diana zamykała właśnie drzwi wejściowe.

Mark podszedł do Emmy i chwycił ją w ramiona.

Zazdrość zaparła Julianowi dech w piersi.

Wydawało mu się, że przyzwyczaił się już do takich scen z ich udziałem, zwłaszcza że nie należeli do ludzi, którzy obnosiliby się ze swoim uczuciem; nie całowali się i nie obściskiwali na oczach innych. Emma by tego nie chciała, pomyślał. To nie w jej stylu. Była zdeterminowana, rzeczowa i robiła to, co musiała zrobić, ale nie była okrutna.

Dlatego najczęściej to Mark pierwszy wyciągał do niej rękę. To były drobiazgi: dłoń na ramieniu, zdjęcie rzesy z policzka, przelotny uścisk. Takie sceny sprawiały Julianowi okrutny ból, gorszy, niż gdyby zatracili się w namiętym uścisku; kiedy człowiek umiera z pragnienia, marzy o łyku wody, nie o wypiciu całego wiadra.

Ale teraz... Wspomnienie objęć Emmy było tak nieodległe; wciąż jeszcze czuł na ustach jej smak, a w nozdrzach jej różaną woń. Wiedział, że będzie wielokrotnie odtwarzał w pamięci scenę ich pocałunku, aż ta zblednie i rozpadnie się na kawałki jak zdjęcie, które ktoś zbyt wiele razy na przemian składał i rozkładał.

Na razie jednak scena ta była nazbyt bliska, jak świeżo odniesiona rana, i widok Emmy w ramionach Marka przypominał chlapnięcie kwasem na podrażnioną skórę. Brutalnie przypominał mu, że nie może sobie pozwolić na sentymenty ani myśleć o Emmie jak o należącej do niego, nawet w jakiejś odległej, wyimaginowanej przyszłości. Samo rozważanie możliwości oznaczało otwarcie się na ból. Tymczasem powinien się skupić na rzeczywistości i obowiązkach wobec najbliższych. Inaczej zwariuje.

– Myślisz, że wróci? – Emma odsunęła się od Marka.

Julian miał wrażenie, że posłała mu nerwowe spojrzenie z ukosa, ale nie miał pewności. Zresztą nie było sensu się nad tym zastanawiać. Brutalnie stłumił nurtującą go ciekawość.

– Gwyn? – upewnił się Mark. – Nie. Odmówiłem mu. Nie będzie mnie błagał, żebym zmienił zdanie. Nie wróci.

– Jesteś pewien? – spytał Julian.

Mark się skrzywił.

– Nie dajcie mu się zwieść. Jeżeli ja mu nie pomogę, znajdzie sobie kogoś innego albo zrobi to sam. Kieranowi nic się nie stanie.

Emma odetchnęła z ulgą. Julian milczał pogrążony w rozmyślaniach o Kieranie. Doskonale pamiętał, jak ten chłopiec z Faerie wychłostał Emmę do krwi i złamał Markowi serce – ale pamiętał również, jak pomógł im pokonać Malcolma. Bez niego nie mieliby szans.

Pamiętał również, co Kieran powiedział mu przed bitwą z Malcolmem:

– Nie jesteś łagodny. Masz bezwzględne serce.

Gdyby mógł ocalić Kierana, ryzykując swoje bezpieczeństwo, zrobiłby to. Nie zamierzał jednak ryzykować życia brata. Jeżeli to właśnie czyniło go bezwzględnym, trudno, niech i tak będzie. Jeśli Mark się nie mylił, Kieranowi i tak włos z głowy nie spadnie.

– Diano? – odezwała się Emma. Diana stała oparta o zamknięte drzwi wejściowe i wpatrywała się w coś, co trzymała na dłoni. – Co Gwyn ci rzucił?

Diana wyciągnęła rękę. Na tle jej brązowej skóry lśnił mały złoty żołędź.

– Piękny dar – przyznał zdumiony Mark. – Jeżeli rozłupiesz ten żołędź, Gwyn przybędzie ci na pomoc.

– Po co dał Dianie taki prezent? – zdziwiła się Emma.

Mark wszedł na schody. Na jego twarzy błąkał się cień uśmiechu.

– Zachwycił się nią – odparł. – Niewiele razy zdarzyło mi się widzieć, żeby

Gwyn zachwycił się kobietą. Myślałem nawet, że w jego sercu nie ma miejsca na takie rzeczy.

– Gwyn zabujał się w Dianie? – spytała Emma z błyskiem w oku. – Nie zrozum mnie źle, Diano, jesteś bardzo atrakcyjna, po prostu... to takie niespodziewane...

– Faerie takie są – wtrącił Julian.

Prawie współczuł Dianie. Nigdy wcześniej nie widział jej tak wstrząśniętej. Kiedy przygryzła dolną wargę, nagle uświadomił sobie, że wcale nie jest stara. Mogła mieć jakieś dwadzieścia osiem lat, niewiele więcej niż Jace i Clary.

– To nic nie znaczy – powiedziała. – Poza tym mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Upuściła żołędź na dłoń Marka.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do środka wparował tłumek Centurionów. Wszyscy, co do jednego, byli potargani, wymięci i przemoczeni do suchej nitki. Diana – której wyraźnie ulżyło, że nie musi dłużej rozmawiać o swoim życiu uczuciowym – poszła po koce i ręczniki; runy suszące spisywały się doskonale, kiedy trzeba było wysuszyć skórę Nocnego Łowcy, były jednak bezradne wobec jego ubrania.

– Znaleźliście coś? – zaciekała się Emma.

– Wygląda na to, że udało nam się zlokalizować miejsce, w którym prawdopodobnie zatoneło ciało – odparł Manuel – ale przy tak wzburzonym morzu nie mogliśmy nurkować, żeby je wyciągnąć. Będziemy musieli spróbować jutro.

– Manuelu... – rzuciła ostrzegawczym tonem Zara, jakby Manuel zdradził Emmie tajne hasło, które otworzy im pod stopami bramy piekieł.

Manuel i Rayan zgodnie przewrócili oczami.

– Zaro, daj spokój. Przecież wiedzą, czego szukamy.

– Metody stosowane w Scholomancji są tajne. – Zara wcisnęła swoją mokrą kurtkę w rękę Diego i odwróciła się do Emmy i Juliana. – No dobrze – powiedziała. – Co jest na kolację?

* * *

– Nie umiem ich rozróżnić – przyznał Kit. – Przez te ich mundury. Dla

mnie wszyscy wyglądają w nich tak samo. Jak mrówki.

– Nie wszystkie mrówki wyglądają tak samo – zaoponował Ty.

Siedzieli na krawędzi balkonu, skąd mieli oko na hol wejściowy. Przemoczeni Centurioni biegali chaotycznie w różne strony. Kit patrzył, jak Julian, Emma i Diana próbują nawiązać rozmowę z tymi spośród nich, którzy nie udali się prosto do jadalni, żeby tam suszyć się i grzać przy kominku.

– Możecie mi jeszcze raz opowiedzieć, kto jest kim? – poprosił Kit. – I skąd pochodzi?

– Dane i Samantha Larkspearowie – odparła Livvy, wskazując parę ciemnowłosych Centurionów. – Atlanta.

– Bliźnięta – dodał Ty.

– Jak śmia... – Livvy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Kit obawiał się z początku, że nie będzie zachwycona planem Ty'a, który postanowił uwzględnić go w swoich planach detektywistycznych, ale kiedy podeszli do niej w sali treningowej i wyjaśnili, o co chodzi, uśmiechnęła się kpiąco i odparła:

– Witaj w klubie.

Teraz wskazała następnego z Centurionów.

– Manuel Casales Villalobos, z Madrytu. Rayan Maduabuchi, Instytut w Lagos. Divya Joshi, Instytut w Bombaju. Ale nie każdy jest związany z konkretnym Instytutem, na przykład Diego nie jest. Zara też nie, tak jak jej przyjaciółka Jessica, która, nawiasem mówiąc, chyba jest Francuzką. Tak mi się wydaje. Są jeszcze Jon Cartwright, Gen Whitelaw i Thomas Aldertree, wszystko absolwenci Akademii. – Przekrzywiła głowę. – I żaden nie ma dość oleju w głowie, żeby się schować przed deszczem.

– A teraz powiedzcie mi jeszcze raz, dlaczego uważacie, że coś knują – powiedział Kit.

– Dobrze – zgodził się Ty.

Kit zwrócił już uwagę, że Ty reaguje wprost na skierowane do niego słowa, zupełnie pomijając intonację i ton głosu mówiącego. Co nie zmieniało faktu, że chętnie znów usłyszy, dlaczego przesiadują na piętze i gapią się na bandę bałwanów.

– Dziś rano siedziałem przed drzwiami twojego pokoju – mówił Ty – gdy zobaczyłem, jak Zara zakrada się do biura Diany. Poszedłem za nią

i zobaczyłem, że grzebie w papierach.

– Może miała powód? – podsunął Kit.

– Żeby ukradkiem przeglądać dokumenty Diany? Jaki to mógłby być powód? – spytała Livvy tak stanowczym tonem, że Kit musiał przyznać rację Ty'owi: jeżeli zachowanie Zary wyglądało podejrzanie, to najprawdopodobniej takie właśnie było.

– Wysłałam Simonowi esemesa z pytaniem o Cartwrighta, Whitelaw i Aldertree. – Livvy oparła brodę na niższej poprzeczce balustrady. – Twierdzi, że Gen i Thomas są w porządku, a Cartwright to zasadniczo drygłup, ale nieszkodliwy.

– Zresztą nie wszyscy muszą być w to zamieszani – powiedział Ty. – Musimy ustalić, którzy są i czego chcą.

– Kto to jest „drygłup”? – zaciekał się Kit.

– Skrzyżowanie dryblasas z przygłupem – odparła Livvy. – Tak mi się przynajmniej wydaje. No wiesz: wysoki jak brzoza, a głupi jak koza.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, gdy padł na nich czyjś cień: Cristina stanęła nad nimi z rękami na biodrach, unosząc ze zdumieniem brwi.

– Co wy tu robicie? – spytała.

Kit darzył Cristinę Rosales zdrowym szacunkiem. Wyglądała przeuroczo, ale na własne oczy widział, jak rzuconym nożem motylkowym trafia w cel z odległości pięćdziesięciu stóp.

– Nic – odparł.

– Wyzłośliwiamy się na Centurionach – dodała Livvy.

Przez chwilę Kit obawiał się, że Cristina ich złaja. Zamiast tego usiadła obok Livvy.

– Ja też chcę – powiedziała z uśmiechem.

Ty, który siedział z rękami opartymi na poprzeczce balustrady, obrzucił Kita przelotnym spojrzeniem burzowo szarych oczu.

– Jutro – powiedział – będziemy ich śledzić. Zobaczymy, dokąd pójda.

Kit ze zdumieniem stwierdził, że już nie może się doczekać tej chwili.

* * *

Wieczór wypadł trochę krępująco. Centurioni – nawet po wysuszeniu – byli wyczerpani i niechętni do opowiadania o tym, co robili przez cały dzień.

Kiedy jednak zebrali się w jadalni, rzucili się na podane tam jedzenie jak wygłodniałe wilki.

Kit, Ty i Livvy przepadli bez śladu. Emma wcale im się nie dziwiła. Posiłki w towarzystwie Centurionów z czasem stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. Divya, Rayan i Jon Cartwright starali się wprawdzie, jak mogli, zagaić przyjacielską pogawędkę o tym, gdzie kto zamierza spędzić planowaną roczną wymianę, ale Zara szybko im przerwała rozwlekłą opowieścią o tym, co robiła na Węgrzech, zanim przybyła do Instytutu.

– Banda Nocnych Łowców poskarżyła się, że ich stele i serafickie ostrza przestają działać w walce z niektórymi faerie. – Przewróciła oczami. – Wy tłumaczyliśmy im, że to zwykłe złudzenie; faerie po prostu walczą nieczysto. Powinni tego uczyć w Akademii.

– Faerie wcale nie walczą nieczysto – wtrącił Mark. – Przeciwnie, ściśle przestrzegają kodeksu honorowego.

– Kodeksu honorowego? – Samantha i Dane jednocześnie wybuchnęli śmiechem. – Ty nie masz pojęcia, co to honor, miesz...

Dane – bo to on się odezwał – urwał w pół słowa. Samantha się zarumieniła. Niewypowiedziane słowo zawisło w powietrzu: mieszańcu.

Mark odsunął krzesło, wstał od stołu i wyszedł.

– Przepraszamy – odezwała się Zara, przerywając milczenie. – Ale nie powinien być taki wrażliwy. Nasłucha się gorszych epitetów, jeśli uda się do Alicante. Zwłaszcza na zebraniu Rady.

– To ma być usprawiedliwienie? – Emma z niedowierzaniem wybałuszyła oczy. – Fakt, że może usłyszeć coś przykrego od bigotów z Rady, nie znaczy wcale, że najpierw ma się nasłuchać takich epitetów w domu.

– Zwłaszcza w domu – zawtórowała jej Cristina, której policzki przybrały intensywnie pąsowy odcień.

– Nie próbujcie obudzić w nas wyrzutów sumienia – warknęła Samantha. – Całymi dniami staramy się posprzątać bałagan, którego narobiliście, zaufawszy Malcolmowi Fade'owi. Tak jakby w ogóle można było zaufać Podziemnemu. Mroczna Wojna niczego was nie nauczyła? Faerie dźgnęły nas w plecy. Tak właśnie postępują Podziemni. Mark i Helen zrobią to samo, jeśli nie będziecie się mieć na baczności.

– Nic nie wiecie o moim bracie i siostrze – odparował Julian. – Powstrzymajcie się więc, proszę, od wypowiedzania ich imion.

Diego, który w absolutnym milczeniu siedział obok Zary, w końcu postanowił zabrać głos.

– Taka ślepa nienawiść nie przystoi godności i mundurowi Centuriona – powiedział.

Zara podniosła kieliszek, mocno ścisnąwszy palcami jego smukłą nóżkę.

– Wcale nie nienawidzę Podziemnych – odparła z lodowatym spokojem. Jej słowa zabrzmiały groźniej, niż gdyby wypowiedziała je w zapamiętaniu. – Porozumienia się nie sprawdziły. Zimny Pokój nie spełnia swojej roli. Podziemni nie przestrzegają naszych zasad, nie przestrzegają w ogóle żadnych zasad, które nie są im na rękę. Łamią postanowienia Zimnego Pokoju, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. A my jesteśmy wojownikami. Demony powinny się nas bać i tak samo powinni się nas bać Podziemni. Kiedyś byliśmy wielcy: budziliśmy lęk i mieliśmy pełnię władzy. Dziś jesteśmy cieniem samych siebie z tamtych lat. Zmierzam do tego, że jeżeli system się nie sprawdził i sprowadził nas do naszej obecnej pozycji, potrzebny nam jest nowy, lepszy system.

Uśmiechnęła się, wcisnęła zbłąkany kosmyk włosów w idealnie upięty kok i napiła się wody. Reszta kolacji upłynęła w milczeniu.

* * *

– Kłamie! – Emma nie posiadała się ze złości. – Siedzi jak gdyby nic przy stole i kłamie, jakby jej opinie były faktami!

Po kolacji zaszyły się z Cristiną w pokoju tej drugiej, gdzie usiadły na łóżku.

– Bo są – odparła Cristina, bawiąc się kosmykiem ciemnych włosów. – Dla niej i dla takich jak ona. Ale chyba nie powinnyśmy zajmować się Zarą. Kiedy szłyśmy na górę, powiedziałaś, że masz mi coś do powiedzenia...

Najzwięźlej, jak się dało, Emma zrelacjonowała wizytę Gwyna. Na twarzy Cristiny z każdą chwilą malowało się coraz większe zatroskanie.

– Z Markiem wszystko w porządku?

– Chyba tak... Nie wiem, czasem trudno mi go rozgryźć.

– Należy do tych ludzi, u których w głowie dużo się dzieje. Pytał cię kiedyś? O ciebie i Juliana?

Emma stanowczo pokręciła głową.

– Wątpię, żeby przeszło mu przez myśl, że łączy nas cokolwiek więcej, niż mogłoby łączyć dwoje *parabatai*. Znamy się z Julesem od tak dawna... – Rozmasowała skronie. – Zakłada, że Julian czuje do mnie to samo, co on: traktuje mnie jak siostrę.

Cristina podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami.

– Jakie to dziwne, że na niektóre rzeczy potrafimy być tacy ślepi...

– Próbowałaś się skontaktować z Jaimem? – zapytała Emma.

– Wysłałam mu ognistą wiadomość. – Cristina przekrzywiła głowę i oparła policzek na kolanie. – Nie odpowiedział.

– Był twoim najlepszym przyjacielem, na pewno się odezwie. – Emma skrzywiła w palcach rąbek koca. – Wiesz, czego mi najbardziej brakuje, jeśli chodzi o mnie i Julesa? Takiego zwykłego bycia *parabatai*. Bycia Emmą i Julianem. Tęsknię za moim najlepszym przyjacielem; za człowiekiem, któremu zawsze wszystko mówiłam; który wszystko o mnie wiedział, te dobre rzeczy i te złe.

Przed oczami stanął jej Julian – taki, jaki był podczas Mrocznej Wojny, szczupły w ramionach, z błyskiem determinacji w oczach.

Pukanie do drzwi poniosło się echem po pokoju. Emma spojrzała na przyjaciółkę pytająco – czyżby spodziewała się gości? – ale Cristina była nie mniej zaskoczona od niej.

– *Pasa!* – zawołała Cristina.

To był Julian.

Emma nie posiadała się ze zdumienia, gdy młodszy Julian z jej wspomnień płynnie przeszedł w tego terażniejszego, który stanął w progu: prawie dorosły, wysoki, muskularny, z potarganymi włosami i cieniem zarostu na szczęce.

– Nie wiecie, gdzie jest Mark? – spytał bez zbędnych wstępów.

– A nie ma go w pokoju? – zdziwiła się Emma. – Nie dokończył kolacji, myślałam, że...

Julian pokręcił głową.

– Nie. Może jest u ciebie?

Emma odniosła wrażenie, że zadanie tego pytania przyszło mu z wyraźnym trudem. Widząc, jak Cristina przygryzła wargę, modliła się w duchu, żeby Julian niczego nie zauważył. Nie mógł się dowiedzieć, jak dużo wie Cristina.

– Nie – odparła Emma. – Zamknęłam drzwi na klucz. – Wzruszyła ramionami. – No co? Nie ufam Centurionom.

Julian z roztargnieniem przeczesał włosy palcami.

– Posłuchajcie... Martwię się o niego. Chodźcie, coś wam pokażę. Zrozumiecie, o co mi chodzi.

We troje udali się do pokoju Marka. Drzwi były otwarte na oścież. Julian wszedł pierwszy, potem Emma, na końcu Cristina; dziewczęta rozglądały się trwożliwie na boki, jakby się spodziewały, że Mark wyskoczy na nie z szafy.

Od czasu powrotu Marka z Faerie jego sypialnia bardzo się zmieniła. Wcześniej była to zakurzona, ewidentnie nieużywana przestrzeń, którą przez wzgląd na pamięć o właścicielu opróżniono i zachowano w niezmiennym stanie. Wszystkie rzeczy Marka trafiły do schowka. Okryte warstwą kurzu zasłony były stale zaciągnięte.

Teraz pokój wyglądał zupełnie inaczej. Mark trzymał ubrania schludnie poskładane na podłodze u stóp łóżka; tłumaczył kiedyś Emmie, że nie widzi sensu posiadania szafy ani komody, których jedynym celem jest ukrywanie ubrań przed właścicielem. Na parapetach znajdowało się mnóstwo drobiazgów ze świata przyrody: kwiaty w różnych stadiach zasuszenia, liście, igły kaktusów, znalezione na plaży muszle. Łóżko było posłane. Było oczywiste, że Mark w ogóle w nim nie sypia.

Julian odwrócił wzrok od nazbyt schludnego łóżka.

– Jego buty zniknęły – stwierdził. – Miał tylko jedną parę; mieli mu dostać więcej z Idrisu, ale jeszcze nie zdążyli.

– Nie ma też kurtki – zauważyła Emma. To była jedyna gruba kurtka Marka, dżinsowa, podbita owczym runem. – I torby... Miał sportową torbę, prawda?

Cristinie zaparło dech w piersi. Emma i Julian natychmiast odwrócili się w jej stronę, ona zaś wyciągnęła rękę po kartkę papieru, która zmaterializowała się w powietrzu zawieszona na wysokości barków. Ognista wiadomość była złożona i opieczętowana lśniąącymi runami, które zbladły, gdy Cristina złapała ją w rękę.

– Zaadresowana do mnie – powiedziała i złamała pieczęć. – Od Marka.

Przebiegła wzrokiem treść listu, pobladła i bez słowa oddała kartkę. Julian wziął ją od niej. Emma czytała mu przez ramię.

*Moja droga Cristino,
wiem, że pokażesz tę wiadomość właściwym ludziom we właściwym momencie. Zawsze mogę Ci ufać, że zrobisz to, co konieczne.*

Z pewnością wiesz już o aresztowaniu Kierana. Mimo że nasza znajomość nie zakończyła się najlepiej, przez wiele lat opiekował się mną w Faerie i zaciągnąłem u niego dług wdzięczności. Nie mogę dopuścić do tego, by zginął na posępnym dworze ojca. Jeszcze dziś udam się księżycowym szlakiem do Faerie. Powiedz moim braciom i siostram, że wrócę do nich tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Powiedz Emmie, że na pewno wrócę. Raz już porzuciłem dla nich Krainę Pod Wzgórzem. Uczynię to ponownie.

Mark Blackthorn

Julian gwałtownym gestem zmiażdżył kartkę w drżącej dłoni.

– Ruszam za nim.

Emma odruchowo wyciągnęła rękę, żeby złapać go za ramię, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Idę z tobą.

– Nie. Nie rozumiesz, co Mark próbuje zrobić? Nie może w pojedynkę najechać Ciemnego Dworu. Król w okamgnieniu kazałby go zgładzić.

– Ależ oczywiście, że rozumiem. Właśnie dlatego musimy dogonić Marka, zanim przekroczy granice Faerie. Kiedy już się tam znajdzie, złapanie go stanie się praktycznie niewykonalne.

– Do tego dochodzą problemy z czasem – przypomniała Cristina. – W Faerie czas będzie płynął dla niego inaczej. Wróci do nas za trzy dni albo za trzy tygodnie...

– Albo za trzy lata – mruknęła posępnie Emma.

– I dlatego powinienem natychmiast wyruszyć w pogoń – podsumował Julian. – Zanim Mark wyląduje w Faerie i czas stanie się naszym wrogiem.

– Mogę coś na to zaradzić – powiedziała Cristina.

Kiedy dorastała, podczas nauki specjalizowała się w Faerie i jego mieszkańcach. Przyznała się kiedyś Emmie, że zainteresowała się nimi po części z powodu Marka i tego, czego dowiedziała się o nim w dzieciństwie. Zafascynował ją młody Nocny Łowca wprowadzony przez faerie podczas Mrocznej Wojny.

Dotknęła zawieszzonego na szyi złotego wisiorka z wizerunkiem Razjela.

– To amulet pobłogosławiony przez faerie – ciągnęła. – W mojej rodzinie jest takich... – Zawahała się. – Dużo. Dawno temu nasz ród przyjaźnił się z faerie i do dzisiaj pozostało nam wiele dowodów tej bliskości i ich szacunku. Rzadko o tym wspominamy, bo stosunek Clave do ludzi, którzy przyjaźnią się z faerie, jest... – Rozejrzała się po pokoju Marka. – Sami wiecie najlepiej, jaki jest.

– Co ten amulet robi? – zainteresowała się Emma.

– Spowalnia upływ czasu dla śmiertelników w Faerie.

Trzymając wisiołek w palcach, Cristina spojrzała pytająco na Julesa, tak jakby chciała powiedzieć, że ma w zanadrzu więcej niespodzianek, gdyby tylko był nimi zainteresowany.

– To tylko jeden wisiołek – zauważył Julian. – Nie ochroni nas wszystkich.

– Jeżeli to ja go założę, roztoczy swoją ochronną aurę także na ciebie, Emmę i Marka, o ile tylko nie będziecie się za bardzo ode mnie oddalać.

Julian z westchnieniem oparł się o ścianę.

– Domyślam się, że nie zamierzasz po prostu mi go oddać, żebym mógł go założyć i sam pójść do Faerie?

– Mowy nie ma – odparła sztywno Cristina. – To rodzinne dziedzictwo.

Emma miała ochotę ją wyciąłować, ale ograniczyła się do porozumiewawczego mrugnięcia okiem. Kącik ust Cristiny uniósł się leciuteńko.

– W takim razie pójdziemy we troje – zarządziła Emma.

Julian chyba już się zorientował, że nie ma sensu protestować. Kiedy skinął głową na zgodę, miał w oczach coś z jej dawnego *parabatai*: takie spojrzenie, jakby się spodziewał, że wkrótce znajdą się w niebezpieczeństwie. Razem.

– Wisiołek pozwoli nam także podążać księżycowym szlakiem – dodała Cristina – mimo że zwykle mogą go przemierzać tylko te istoty, w których żyłach płynie krew faerie. – Wyprężyła pierś. – Mark się nie spodziewał, że za nim pójdziemy. Dlatego przysłał wiadomość.

– Księżycowy szlak? – powtórzył Julian. – A co to właściwie jest?

Cristina się uśmiechnęła. To był dziwny uśmiech, nie do końca szczęśliwy (na to, domyślała się Emma, Cristina była zbyt zmartwiona), ale za to z odrobiną zachwytu, jak u kogoś, kto wie, że za chwilę przeżyje coś cudownego, czego nigdy nie spodziewał się przeżyć.

– Pokażę wam – odparła.
go zgładzić.

– Ależ oczywiście, że rozumiem. Właśnie dlatego musimy dogonić Marka, zanim przekroczy granice Faerie. Kiedy już się tam znajdzie, złapanie go stanie się praktycznie niewykonalne.

– Do tego dochodzą problemy z czasem – przypomniała Cristina. – W Faerie czas będzie płynął dla niego inaczej. Wróci do nas za trzy dni albo za trzy tygodnie...

– Albo za trzy lata – mruknęła posępnie Emma.

– I dlatego powinienem natychmiast wyruszyć w pogoń – podsumował Julian. – Zanim Mark wyląduje w Faerie i czas stanie się naszym wrogiem.

– Mogę coś na to zaradzić – powiedziała Cristina.

Kiedy dorastała, podczas nauki specjalizowała się w Faerie i jego mieszkańcach. Przyznała się kiedyś Emmie, że zainteresowała się nimi po części z powodu Marka i tego, czego dowiedziała się o nim w dzieciństwie. Zafascynował ją młody Nocny Łowca wprowadzony przez faerie podczas Mrocznej Wojny.

Dotknęła zawieszzonego na szyi złotego wisiorka z wizerunkiem Razjela.

– To amulet pobłogosławiony przez faerie – ciągnęła. – W mojej rodzinie jest takich... – Zawahała się. – Dużo. Dawno temu nasz ród przyjaźnił się z faerie i do dzisiaj pozostało nam wiele dowodów tej bliskości i ich szacunku. Rzadko o tym wspominamy, bo stosunek Clave do ludzi, którzy przyjaźnią się z faerie, jest... – Rozejrzała się po pokoju Marka. – Sami wiecie najlepiej, jaki jest.

– Co ten amulet robi? – zainteresowała się Emma.

– Spowalnia upływ czasu dla śmiertelników w Faerie.

Trzymając wisiorek w palcach, Cristina spojrzała pytająco na Julesa, tak jakby chciała powiedzieć, że ma w zanadrzu więcej niespodzianek, gdyby tylko był nimi zainteresowany.

– To tylko jeden wisiorek – zauważył Julian. – Nie ochroni nas wszystkich.

– Jeżeli to ja go założę, roztoczy swoją ochronną aurę także na ciebie, Emmę i Marka, o ile tylko nie będziecie się za bardzo ode mnie oddalać.

Julian z westchnieniem oparł się o ścianę.

– Domyślam się, że nie zamierzasz po prostu mi go oddać, żebym mógł go założyć i sam pójść do Faerie?

– Mowy nie ma – odparła sztywno Cristina. – To rodzinne dziedzictwo.

Emma miała ochotę ją wyciąłować, ale ograniczyła się do porozumiewawczego mrugnięcia okiem. Kącik ust Cristiny uniósł się leciuteńko.

– W takim razie pójdziemy we troje – zarządziła Emma.

Julian chyba już się zorientował, że nie ma sensu protestować. Kiedy skinął głową na zgodę, miał w oczach coś z jej dawnego *parabatai*: takie spojrzenie, jakby się spodziewał, że wkrótce znajdą się w niebezpieczeństwie. Razem.

– Wisiorek pozwoli nam także podążyć księżycowym szlakiem – dodała Cristina – mimo że zwykle mogą go przemierzać tylko te istoty, w których żyłach płynie krew faerie. – Wyrężyła pierś. – Mark się nie spodziewał, że za nim pójdziemy. Dlatego przysłał wiadomość.

– Księżycowy szlak? – powtórzył Julian. – A co to właściwie jest?

Cristina się uśmiechnęła. To był dziwny uśmiech, nie do końca szczęśliwy (na to, domyślała się Emma, Cristina była zbyt zmartwiona), ale za to z odrobiną zachwyty, jak u kogoś, kto wie, że za chwilę przeżyje coś cudownego, czego nigdy nie spodziewał się przeżyć.

– Pokażę wam – odparła.

* * *

Szybko się spakowali. Nierówne oddechy licznych śpiących lokatorów w niecodzienny sposób ożywiały pogrążony w ciemności Instytut. Julian szedł korytarzem i dociągał paski plecaka, gdy ujrzał Ty'a pod drzwiami pokoju Kita: spał w pozycji półsiedzącej, z brodą opartą na dłoni. Przed nim na podłodze leżała otwarta książka.

Przed drzwiami na poddasze Julian przystanął z wahaniem. Mógł zostawić liścik i odejść, tak byłoby najłatwiej – zwłaszcza że miał mało czasu: musieli dogonić Marka, zanim ten dotrze do Faerie. To nie byłoby wcale tchórzostwo, tylko pragmatyzm. Tyle że...

Otworzył drzwi i wbiegł po schodach. Zastał Arthura dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawił: przy biurku. Ostry blask księżyca wpadał do środka przed świetlik.

Arthur wypuścił długopis i odwrócił się do gościa. Szpakowate włosy

okalały twarz i wyzierające z niej zmęczone oczy Blackthorna. Julian miał wrażenie, że ogląda niewyraźny portret ojca, którego twórca nie popisał się i zniekształcił znajome rysy.

– Wyjeżdżam na parę dni – oznajmił Julian. – Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, poproś Dianę. Z nikim innym nie rozmawiaj, tylko z Dianą.

Oczy Arthura się zaszkliły.

– A ty... Dokąd się wybierasz, Julianie?

Julian zastanawiał się, czy nie skłamać. Był w tym dobry, kłamstwa przychodziły mu z łatwością, ale z jakiegoś powodu nie chciał oszukiwać wuja.

– Mark... wrócił – odparł. – Chcę go zatrzymać i sprowadzić z powrotem. Mam nadzieję, że zdążę, zanim przekroczy granice Faerie.

Arthur się wzdrygnął.

– Udajesz się do Faerie śladem brata? – wychrypiął.

Julian przypomniał sobie skąpe strzępy informacji o losach wuja – o tym, jak razem z Andrew, ojcem Juliana, zostali pojmani w Faerie, gdzie następnie byli przetrzymywani przez długie lata; jak Andrew zakochał się w arystokratce, z którą następnie spłodził Helen i Marka; jak zostali z Arthurem rozdzieleni; jak Arthur trafił do lochu, gdzie poddano go magicznym torturom.

– Tak. – Julian przerzucił plecak na jedno ramię.

Arthur wyciągnął rękę, jakby chciał ująć dłoń Juliana w swoją. Zaskoczony Julian cofnął się odruchowo. Wuj nigdy go nie dotykał.

Arthur opuścił rękę.

– W republice rzymskiej każdemu generałowi, który wygrał wojnę, przydzielano służącego. Kiedy generał jechał ulicami i przyjmował wyrazy uznania i szacunku ze strony wdzięcznego ludu, sługa miał za zadanie szeptać mu do ucha: „*Respice post te. Hominem te esse memento. Memento mori*”.

– Patrz wstecz – przełożył Julian. – Pamiętaj, że jesteś człowiekiem. Pamiętaj o śmierci.

Przeszedł go lekki dreszcz.

– Jesteś młody, ale nie nieśmiertelny. Jeżeli trafisz do Faerie, choć ja będę się modlił, żeby tak się nie stało, bo jeśli piekło kiedykolwiek istniało, to właśnie tam... Jeśli tam trafisz, nie słuchaj niczego, co będą ci mówić faerie. Nie dawaj wiary ich obietnicom. Przysięgnij mi, Julianie.

Julian wypuścił powietrze z płuc. Myślał o dawno nieżyjącym generale, napominanym, żeby nie zapominał przeszłości i nie pozwolił, by sława uderzyła mu do głowy. Wszystko przemija. Szczęście. Ból po stracie. Wszystko.

Wszystko poza miłością.

– Przysięgam – powiedział.

* * *

– Musimy poczekać na właściwy moment – tłumaczyła Cristina. – Kiedy ślad księżyca na wodzie będzie wyglądał jak lita ścieżka. To jak z zielonym błyskiem: można go zobaczyć, jeśli się człowiek bardzo postara.

Stali we troje w szeregu na brzegu oceanu. Cristina uśmiechnęła się do Emmy stojącej pomiędzy nią i Julesem. Wiatru prawie nie było, przed nimi rozpościerał się czarny, gęsty bezmiar wody, obrzeżony bielą w miejscach, gdzie fale stykały się z lądem. Piana z łamiących się fal zostawiała na piasku jasny ślad, wypchnąwszy na plażę odłamki muszelek i strzępy wodorostów.

Niebo rozpogodziło się po niedawnej burzy, blask wysoko zawieszzonego księżyca kładł się na wodzie idealną, nieprzerwaną krechę ciągnącą się aż po widnokrąg. Fale szemrały jak szepty, obmywając stopy Emmy odziane w nieprzemakalne buty.

Julian patrzył na zegarek lśniący mu nadgarstku – duży, mechaniczny, pamiątka po ojcu. Emma z niejakim zaskoczeniem stwierdziła, że nadal nosi bransoletkę z morskiego szkła, którą dla niego zrobiła.

– Dochodzi północ – powiedział. – Ciekawe, jak dużą przewagę Mark ma nad nami.

– To zależy, jak długo musiał czekać na właściwy moment, żeby wejść na szlak – odparła Cristina. – To są ulotne chwile. Północ jest tylko jedną z nich.

– Jak zamierzamy go pojmać? – zainteresowała się Emma. – Rzucimy się na niego kupą i obalimy go na ziemię? A może odwrócimy jego uwagę potęgą tańca i złapiemy go na lasso?

– Żarty nie pomagają – odparł wpatrzony w wodę Julian.

– Żarty zawsze pomagają – odparowała Emma. – Zwłaszcza kiedy nie

mamy nic lepszego do roboty, bo czekamy, aż woda skrzepnie...

– Idziemy! – zawołała nagle Cristina. – Szybko!

Emma ruszyła pierwsza i przeskoczyła ponad drobną falą, która rozbiła jej się u stóp. Połowa mózgu cały czas podszeptowała jej, że zaraz rzuci się do wody i z pluskiem w niej pograży, tym większym wstrząsem było więc dla niej zderzenie podeszew butów z twardą powierzchnią.

Przebiegłszy kilka kroków, odwróciła się w stronę plaży. Stała na lśniącej ścieżce, która wyglądała jak ułożona z cienkiego niczym szkło górskiego kryształu. Światło księżyca na wodzie naprawdę się zestaliło.

Julian już szedł za nią, balansując na smudze blasku. Za jego plecami Cristina wskoczyła na ścieżkę i Emma wyraźnie usłyszała, jak zaparło jej dech w piersi. Jako Nocni Łowcy napatrzyli się na przeróżne cudowności, ale tutaj mieli do czynienia z magią charakterystyczną dla Faerie i jej mieszkańców, magią, która działała w pustych przestrzeniach materialnego świata, pomiędzy światłem i cieniami, pomiędzy jedną chwilą a drugą. Byli Nefilim, istnieli w swojej własnej przestrzeni, a to... to było Pomiędzy.

– Chodźmy – ponaglił towarzyszkę Julian.

Emma ruszyła przed siebie. Szlak, dość szeroki, giął się i wił pod ich stopami w rytm ruchu fal. Czuła się jak na moście zawieszonym nad przepastnym wąwozem – z tą różnicą, że kiedy spojrzała w dół, nie zobaczyła wcale pustej przestrzeni, lecz coś o wiele bardziej przerażającego: mroczną głębię oceanu, w której unosiły się ciała jej rodziców, zanim fale wyrzuciły je na brzeg. Przez lata wyobrażała sobie, jak walczyli i umierali pod wodą, całkowicie osamotnieni, zewsząd otoczeni milami morskiej wody. Teraz nieco lepiej znała okoliczności ich śmierci, wiedziała, że nie żyli już, kiedy Malcolm Fade powierzył ich ciała morzu – ale ze strachem nie da się racjonalnie rozmawiać. Powiedzenie mu prawdy niczego nie zmienia. Strach żyje w kościach.

Znajdowali się już dość daleko od brzegu i Emma spodziewała się, że woda nie będzie tu przejrzysta, tymczasem w świetle księżyca jarzyła się wewnętrznym blaskiem. Wzrok bez wysiłku przenikał głębiny jak wodę w akwarium. Było widać pióropusze glonów tańczące w rytmie poruszających nimi prądów; migotliwe ławice rybek; dwa większe, mroczniejsze cienie; wrażenie ruchu czegoś ogromnego i ciężkiego, może wieloryba, a może czegoś jeszcze większego i groźniejszego (morskie

demony osiągały rozmiary boisk futbolowych). Emma wyobraziła sobie, jak księżycowy szlak załamuje się nagle pod jej stopami, pęka i wszyscy troje spadają w ciemne głębie, które otaczają ich ze wszystkich stron, zimne, zabójcze, pełne ślepych, zębatych potworów i jeden Anioł wie, czego jeszcze...

– Nie patrz w dół. – To był Julian. Prawie ją dogonił. Cristina została nieco z tyłu i z zachwytem wodziła wzrokiem dookoła. – Patrz przed siebie, na horyzont. Idź w jego kierunku.

Podniosła głowę. Czowała tuż obok obecność Julesa, ciepło bijące od jego skóry przyprawiało ją o ciarki.

– Wszystko w porządku – zapewniła.

– Wcale nie – odparł beznamiętnym tonem. – Wiem, jak reagujesz na bliskość oceanu.

Odległy ląd stał się wąską świetlistą smugą: autostrada była wstęgą ruchomych świateł, przybrzeżne domy i restauracje mieniły się światłami.

– Okazuje się, że moi rodzice wcale nie zginęli w oceanie – powiedziała Emma drżącym głosem. – Nie utonęli.

Julian spojrzał w jej stronę.

– Sama ta wiedza nie zatrze tak łatwo wspomnień wieloletnich koszmarów.

Tarmoszone wiatrem pasemka włosów kleiły mu się do policzków. Emma przypomniała sobie, jak zanurzała dłonie w tych włosach; jak bliskość Julesa pozwalała jej zakotwiczyć się nie tylko w tym świecie, lecz także w sobie samej.

– Nie cierpię się tak czuć – przyznała, choć w pierwszej chwili sama nie bardzo wiedziała, o co jej chodzi. – Nie cierpię się bać. Nie lubię czuć, że jestem słaba.

– Każdy się czegoś boi, Emmo. – Julian przybliżył się jeszcze bardziej. Szturchnął ją barkiem w bark. – Boimy się, bo na różnych rzeczach nam zależy. Boimy się kogoś stracić, bo go kochamy. Boimy się śmierci, bo cenimy sobie życie. Nie narzekaj, że się boisz; gdybyś nie czuła strachu, niczego byś nie czuła.

– Jules...

Mówił z takim przejęciem... Zaskoczona Emma odwróciła się do niego, gdy wtem rozległy się przyspieszone kroki Cristiny i jej podniesiony głos:

– Mark!

U tych rzek

Emma natychmiast go dostrzegła: cień majaczący na lśniącej drodze przed nimi, jasne włosy mieniające się w blasku księżyca. Chyba jeszcze ich nie zauważył.

Puściła się biegiem. Cristina z Julesem deptali jej po piętach. Szlak falował i uskakiwał jej spod nóg, ale przywykła do biegania po plaży, gdzie miękki piasek również poddawał się pod naporem jej stóp. Teraz już wyraźnie widziała Marka: zatrzymał się i zaskoczony odwrócił w ich stronę.

Zamiast stroju bojowego miał na sobie ubranie podobne do tego, w jakim przybył do Instytutu, tyle że niezniszczone i czyste: płótno, miękko wyprawiona skóra, wysokie sznurowane buty. Przez plecy przewiesił sobie torbę sportową. Z bliska Emma dostrzegła odbicie gwiazd w jego szeroko otwartych oczach.

Rzucił torbę na ziemię i zmierzył prześladowców oskarżycielskim spojrzeniem.

– Co wy tu robicie?

– Żarty sobie stroisz? – Julian odkopnął torbę na bok i złapał brata za ramiona. – Powiedz nam lepiej, co ty tutaj robisz?

Był wyższy od Marka, co zawsze wydawało się Emmie dziwne – przecież przez całe lata to Mark był wyższy od Juliana, nie odwrotnie. Wyższy i starszy. To się zmieniło. W porównaniu z lepiej zbudowanym i silniejszym bratem wyglądał w półmroku jak jasna, wąska klinga miecza; jakby w każdej chwili mógł się rozpuścić w księżycowym blasku i zniknąć bez śladu.

Spojrzał na Cristinę.

– Dostałaś moją ognistą wiadomość.

Pokiwała głową. Ciemne pasemka włosów spiętych z tyłu głowy wysadzaną klejnocikami spinką okalały jej twarz.

– Wszyscy ją czytaliśmy.

Mark zamknął oczy.

– Nie przyszło mi do głowy, że wejdziecie za mną na księżycowy szlak.

– Ale weszliśmy. – Julian zacisnął dłonie na jego barkach. – Nie puścimy cię do Faerie, a już na pewno nie puścimy cię tam samego.

– Robię to dla Kierana.

– Kieran cię zdradził.

– Oni go zgładzą, Jules, i to będzie moja wina. To przeze mnie Kieran zabił Iarlatha. – Mark otworzył oczy i spojrzał bratu w twarz. – Nie powinienem był odchodzić tak bez słowa, to było nieuczciwe z mojej strony. Wiedziałem, że będziesz próbował mnie zatrzymać i że mam mało czasu. Nigdy nie wybaczę Kieranowi tego, co przydarzyło się tobie i Emmie, ale nie zamierzam zostawić go samego, kiedy grożą mu tortury i śmierć.

– Faerie za tobą nie przepadają – zauważył Julian. – Były zmuszone cię nam oddać, a nie znoszą oddawać czegoś, co zagarnęły. Jeżeli pójdziesz do ich krainy, spróbują cię tam zatrzymać za wszelką cenę. To nie będzie łatwe i będą gotowe wyrządzić ci krzywdę, jeśli okaże się to konieczne. Nie pozwolę na to.

– I co, bracie, uwięzisz mnie? – Mark wyciągnął przed siebie rękę zwrócone wnętrzem dłoni ku górze. – Skujesz moje nadgarstki zimnym żelazem? Spętasz mi kostki nóg cierniami?

Julian się wzdygnął. Było za ciemno, żeby dało się coś wyczytać z rysów Marka Blackthorna lub wyrazu jego dwukolorowych oczu; w półmroku bracia wyglądali po prostu tak, jakby naprzeciw siebie stanęli Nocny Łowca i faerie, odwieczni wrogowie.

– Emmo? – Julian opuścił rękę. W jego głosie desperacja mieszała się z goryczą. – Mark cię kocha. Może ty zdołasz go przekonać.

Jego rozgoryczenie było dla niej jak tkwiące pod skórą ciernie. W głowie znów zabrzmiały jej słowa Marka: „Uwięzisz mnie, bracie?”.

– Nie będziemy cię zatrzymywać – powiedziała. – Pójdziemy z tobą.

Nawet w słabym księżycowym świetle było widać, jak Mark zbladł.

– Nie. Widać, że jesteście Nefilim. Macie na sobie stroje bojowe, nie próbujecie ukryć runów... Nocni Łowcy nie są kochani w Krainie Pod Wzgórzem.

– Za to Kieran jak najbardziej – odparł Julian. – Ma szczęście, że zasłużył

sobie na twoją lojalność. Bo my nie.

Mark poczerwieniał i odwrócił się do brata z gniewnym błyskiem w oczach.

– Dobra, przestańcie. – Emma zrobiła krok w ich stronę. Migotliwa woda ugięła się i falowała jej pod stopami. – Przestańcie, powiedziałam. Obaj.

– Kto przybywa szlakiem księżycowej poświaty?

Basowy głos zbliżającej się postaci zadudnił ponad falami oceanu. Julian oparł dłoń na rękojeści zatkniętego za pas sztyletu. Emma wyciągnęła seraficki nóż. Cristina trzymała już w dłoni nóż motylkowy. Mark odruchowo sięgnął do szyi, gdzie dawniej nosił elfi grot otrzymany od Kierana w prezencie. Teraz go nie znalazł, ale po chwili rozluźnił się, gdy rozpoznał przybysza.

– To phouka – wyjaśnił półgłosem. – Zwykle są niegroźne.

Nieznajomy – wysoki faerie w obszarpanych spodniach przepasanych sznurem – był coraz bliżej. Wplecione w ciemne włosy złote pasemka odcinały się od jego ciemnej skóry. Był boso.

Kiedy przemówił, jego głos brzmiał jak przyływ o zachodzie słońca:

– Czy chcecie przejść przez Bramę Lir?

– Tak – odparł Mark.

Spojrzenie złotych metalicznych oczu pozbawionych tęczówek i źrenic prześliznęło się najpierw po nim, a następnie po Cristinie, Julianie i Emmie.

– Tylko jedno z was jest faerie – stwierdził phouka. – Pozostali to ludzie... nie, nie ludzie: Nefilim. – Wąskie wargi wykrzywiły się w uśmiechu. – To niespodzianka. Ile z was chce przejść przez bramę do Krainy Cieni?

– Wszyscy – odpowiedziała Emma. – Cała czwórka.

– Jeżeli król lub królowa was znajdą, zabiją was – uprzedził phouka. – Od czasu Zimnego Pokoju faerie nie są przyjaźni tym, w których żyłach płynie anielska krew.

– Jestem półkrwi faerie – powiedział Mark. – Moją matką była lady Nerissa z Ciemnego Dworu.

Phouka uniósł brwi.

– Jej śmierć zasmuciła nas wszystkich.

– To mój brat i moje siostry – ciągnął Mark, który zwietrzył swoją szansę. – Będą mi towarzyszyć, a ja będę ich chronił.

Phouka wzruszył ramionami.

– Wasze dalsze losy w Krainie Cieni nie są moim zmartwieniem. Najpierw jednak musicie zapłacić myto.

– Żadnych opłat. – Julian zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. – Żadnego myta.

– Pozwól na stronę – zaproponował z uśmiechem phouka. – Pomówmy na osobności, a potem sam zdecydujesz, czy zechcesz zapłacić cenę, której zażądam. Do niczego nie będę cię zmuszał.

Julian spochmurniał i odszedł z phouką na bok. Emma wyteńczyła słuch, ale szum wiatru i fal oddzielił ją od nich. Za ich plecami powietrze kłębiło się i mętniało; miała wrażenie, że dostrzega w nim jakiś kształt, łukowato zwieńczony, przypominający drzwi.

Julian stał zupełnie nieruchomo, słuchając słów phouki, Emma zauważyła jednak nerwowe drżenie mięśnia na jego policzku. Chwilę później zdjął z przegubu dłoni ojcowski zegarek i upuścił go na dłoń phouki.

– Pierwsza zapłata – oznajmił głośno phouka. Julian odsunął się od niego.
– Kto będzie następny?

– Ja – powiedziała Cristina.

Ostrożnie przecięła księżycowy szlak i stanęła przed phouką. Julian wrócił do Marka i Emmy.

– Groził ci? – spytała szeptem Emma. – Jules, czy on ci groził? Bo jeśli tak...

– Nie groził mi. Gdyby tak było, nie pozwoliłbym Cristinie się do niego zbliżyć.

Emma odwróciła się i patrzyła, jak Cristina zdejmuje ozdobną spinkę. Włosy rozsypały jej się kaskadą po plecach i ramionach, czarniejsze niż nocny ocean. Oddała spinkę phouce i oszołomiona wróciła do przyjaciół.

– Mark Blackthorn będzie ostatni – zapowiedział phouka. – Teraz niech podejdzie złotowłosa.

Czując na sobie spojrzenia pozostałej trójki (przede wszystkim Juliana), Emma ruszyła w stronę strażnika. Przypomniała sobie swój portret namalowany przez Julesa, na którym jej ciało, utkane z gwiazd, unosiło się nad oceanem.

Ciekawe, pomyślała, co on zrobił z tymi wszystkimi obrazami. Wyrzucił je? Spalił? Aż ją serce zabolalo na tę myśl. To były takie piękne dzieła, każde pociągnięcie pędzla jak szept. Jak obietnica.

Stanęła przed phouką, który uśmiechał się chytrze, jak to faerie miały

w zwyczaju, kiedy coś je bawiło. Dookoła rozpościerał się ocean, czarny i srebrny. Phouka pochylił się, żeby przemówić. Owionął ich wiatr i nagle znaleźli się w samym środku wiru chmur. Emma straciła przyjaciół z oczu.

– Jeżeli zamierzasz mi grozić – odezwała się, nim phouka zdążył zabrać głos – wiedz, że będę cię za to ścigać, jeśli nie teraz, to później. A kiedy cię dopadnę, to nie będzie szybka śmierć.

Phouka parsknął śmiechem. Zęby też miał złote, ze srebrnymi zakończeniami.

– Widzę, że niewiele wiesz o phoukach, Emmo Carstairs. Jesteśmy uwodzicielami, nie tyranami. Kiedy powiem ci to, co zamierzam, sama zapragniesz udać się do Faerie i dać mi to, o co poproszę.

– A o co prosisz?

– O to. – Phouka wskazał stelę, którą nosiła zatkniętą za pasek.

Wszystko w Emmie buntowało się przeciw temu żądaniu. W Idrisie, dawno temu, po zakończeniu Mrocznej Wojny, Jace dał jej tę stelę, która z czasem stała się symbolem wszystkiego, co po wojnie wydarzyło się w jej życiu. Od Clary pogrążona w żałobie dziewczynka dostała słowa, które wysoko sobie ceniła; od Jace'a stelę, a wraz z nią nowy cel w życiu. Kiedy jej dotykała, stela szeptała do niej:

Przyszłość należy do ciebie. Zrobisz z nią, co zechcesz.

– Po co faerie stela? – spytała. – Nie rysujecie runów, które zresztą i tak działają tylko na Nocnych Łowców.

– Sama stela rzeczywiście do niczego mi się nie przyda. Co innego jej rękojęść wykonana z cennej kości demona. Ta może być niezwykle użyteczna.

Emma pokręciła głową.

– Wybierz coś innego.

Phouka pochylił się nad nią. Pachniał solą i wyprażonymi przez słońce wodorostami.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Jeżeli wejdiesz do Faerie, znów zobaczysz twarz kogoś, kogo kochasz. Kogoś nieżyjącego.

– Co takiego? – Wstrząs przeszył Emmę jak nóż. – Kłamiesz!

– Przecież wiesz, że nie mogę kłamać.

Emmie zaschło w ustach.

– Nie wolno ci powtórzyć moich słów pozostałym, bo wtedy zapowiedź się

nie spełni – mówił tymczasem phouka. – Ja zaś nie mogę ci powiedzieć, co dokładnie oznaczają. Jestem tylko posłańcem, lecz wiadomość, którą przekazuję, jest prawdziwa. Jeżeli chcesz ponownie zobaczyć twarz kogoś, kogo kochałaś i straciłaś, jeżeli chcesz usłyszeć jego głos, musisz przejść przez Bramę Lir.

Emma wyjęła stelę zza pasa i z ukłuciem bólu oddała ją phouce. Kiedy odwróciła się do niego plecami, jego słowa wciąż dźwięczały jej w uszach. Ledwie zarejestrowała fakt, że Mark – ostatni w kolejce do rozmowy z wodnym faerie – przeszedł obok niej. Serce waliło jej jak młotem.

Ktoś, kogo kochałaś i straciłaś.

Było ich wielu, bardzo wielu takich, którzy zginęli w Mrocznej Wojnie. Rodzice... Ale o nich nie śmiała nawet myśleć; bała się, że jeżeli to zrobi, postrada zmysły i chęć do życia. Ojciec Blackthornów, Andrew. Jej dawna nauczycielka, Katerina. A może...

Szum wiatru i fal ucichł. Mark stał przed phouką w milczeniu błady jak płótno. Zarówno on, jak i Julian z Cristiną mieli znękanie, zbolełe twarze i Emma wiele by dała, żeby dowiedzieć się, co takiego powiedział im faerie. Czym mógł przekonać Julesa, Marka albo Cristinę do współpracy?

Phouka wyciągnął przed siebie rękę.

– Brama Lir stoi otworem. Przejdźcie przez nią albo natychmiast zawróćcie na ląd; księżycowy szlak już zaczyna się rozpadać.

Rozległ się trzask przywodzący na myśl pękający lód topniejący w wiosennym słońcu. Emma spuściła wzrok: błyszczącą ścieżkę pod ich stopami pocięły szczeliny, z których przezierała czarna woda.

Julian złapał ją za rękę.

– Musimy iść.

Za plecami Marka, który stał nieco z przodu, materializowało się utworzone z wody łukowate przejście. Lśniło srebrzyście, a jego wnętrze się kłębiło.

Phouka zaśmiał się, zeskoczył ze ścieżki i elegancko zanurkował w fale. Emma zdała sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia, co dał mu Mark, ale w tej chwili i tak nie miało to żadnego znaczenia. Droga pomiędzy nimi rozpadała się błyskawicznie, jej odłamki do złudzenia przypominały krę pływającą po arktycznym morzu.

We troje z Julesem i stojącą z drugiej strony Cristiną ruszyli naprzód,

przeskakując z jednego ocalałego kawałka szlaku na drugi. Mark ponaglał ich gestami i okrzykami; brama za jego plecami stawała się coraz bardziej materialna, po jej drugiej stronie Emma widziała już zieloną trawę, poświatę księżycy, drzewa. Pchnęła Cristinę naprzód. Mark ją złapał i oboje zniknęli za bramą.

Emma zrobiła krok do przodu, lecz w tej samej chwili ścieżka załamała się pod jej stopami. Przez chwilę, która zdawała się trwać o wiele więcej niż zaledwie kilka sekund, spadała na spotkanie czarnej wody... a potem Julian ją złapał. Objęci ramionami przelecieli razem przez portal.

* * *

Cienie na poddaszu się wydłużały. Arthur siedział nieruchomo i przez obdarte z papieru okno patrzył na księżyc nad oceanem. Domyślał się, gdzie w tej chwili są Julian i pozostali; znał księżycowy szlak, tak jak znał inne drogi w Faerie. Przemierzał je wszystkie pędzony przez pohukujące gromady piksów i goblinów, którym przewodzili nieziemsko piękni książęta i księżniczki. Kiedyś zdarzyło mu się upaść w lesie; była zima, przy upadku rozbił skuwającą staw skorupę lodu. Pamiętał, jak jego krew rozplywała się w srebrzystej wodzie.

– Jakie to piękne... – zauważyła w zadumie pewna dama, gdy krew Artura wciekała w lód.

Czasem myślał w ten sposób o swoim umyśle, jak o strzaskanej lustrzanej powierzchni odbijającej obraz niepełny i niedoskonały. Wiedział, że jego obłąd nie jest ludzkim obłądem. Pojawiał się i znikał – chwilami znikał tak całkowicie, że Arthur zaczynał żywić nadzieję, że został wyleczony. Wtedy jednak następował nawrót choroby, miazdzący go pochodami ludzi, których nikt inny nie widział, i chórami głosów, których nikt inny nie słyszał.

Lekarstwo pomagało, ale w końcu go zabrakło. To Julian zawsze mu je podawał, od dawna, od czasów, gdy był jeszcze małym chłopcem. Arthur nie był do końca pewien, ile Julian ma teraz lat. Na pewno wystarczająco dużo. Zastanawiał się czasem, czy go kocha; czy kocha którekolwiek z dzieci brata. Bywały okresy, w których budził się z twarzą mokrą od łez z koszmarów, w których jego bratankom przydarzały się okropne rzeczy.

To jednak mogły być wyrzuty sumienia. Zabrakło mu zarówno

umiejętności, żeby ich wychować, jak i odwagi, by pozwolić Clave wyznaczyć innego, lepszego opiekuna w jego zastępstwie. Tylko kto by wtedy dopilnował, żeby byli razem? Może nikt. A przecież rodzinna powinna trzymać się razem.

Skrzypnęły drzwi u stóp schodów. Arthur odwrócił się z zaciekawieniem. Może Julian przemyślał swój szalony plan i jednak się wycofał? Księżycowy szlak był niebezpieczny, ocean zdradziecki... Arthur dorastał nad morzem, w Kornwalii, i pamiętał zamieszkujące je potwory.

Gorzka jak krew jest morską pianą grzywaczy, które są jak żarłoczne zęby. A może nigdy nie było żadnych potworów?

Stała u szczytu schodów i zmierzyła go spokojnym spojrzeniem. Włosy miała związane tak mocno, że skóra wydawała się nienaturalnie naciągnięta. Przekrzywiła głowę, rozglądając się po zapuszczonym i zagraconym pokoju i zaklejonych papierem oknach. Miała w twarzy coś, co trąciło jakąś strunę w pamięci Arthura...

Zalała go lodowata fala zgrozy. Zacisnął dłonie na podłokietnikach. Przez głowę przetaczały mu się urywki starej poezji.

Biel skóry jakby trądem chora:

Życiem się w Śmierci zwie ta zmora[2].

– Arthur Blackthorn, jak mniemam? – przemówiła, uśmiechając się skromnie. – Jestem Zara Dearborn. Jeśli się nie mylę, znałeś mojego ojca.

* * *

Emma – spleciona w uścisku z Julianem – z impetem spadła w gęstą trawę. Julian na chwilę zawisł nad nią oparty łokciami o ziemię. Światło księżyca wydobyło z mroku jego bladą twarz. W otaczającym ich zimnym powietrzu jego ciało emanowało ciepłem. Wyraźnie poczuła napór jego piersi, gdy wziął głęboki wdech, i podmuch powietrza na policzku, kiedy gwałtownie odwrócił głowę. Sekundę później stał już na nogach i wyciągał rękę, żeby pomóc jej wstać.

Wstała bez jego pomocy. Okręciła się w miejscu i stwierdziła, że znaleźli się na polanie wśród drzew. Księżyc świecił dostatecznie jasno, żeby rozeznała intensywnie zielony kolor trawy i dostrzegła kolorowe owoce, od których ciężaru ugięły się gałęzie: fioletowe śliwki, czerwone jabłka,

nieznane owoce w kształcie róż i gwiazdek. Nieopodal, pod drzewami, stali Mark z Cristiną.

Mark podwinął rękawy koszuli i wyciągnął przed siebie ręce, jakby próbował dotknąć powietrza w Faerie, poczuć je na skórze. Odchylił głowę i rozchylił lekko usta.

Na jego widok Emma zarumieniła się lekko, jakby stała się niechcący świadkiem intymnej sceny, powitania dawno rozdzielonych kochanków.

– Emmo? – szepnęła Cristina. – Spójrz.

Wskazała na niebo.

Gwiazdy były inne. Tworzyły wirujące konstelacje, których Emma nie poznawała, i miały różne kolory: lodowato błękitny, mroźno zielony, migotliwie złoty, połyskliwie srebrny.

– Jakie piękne... – wyszeptała.

Julian spojrzał na nią pytająco, ale to Mark pierwszy się odezwał. Otrząsnął się ze swojego momentu zatracenia, nadal jednak sprawiał wrażenie lekko oszołomionego, jakby powietrze w Faerie było winem, którego za dużo się opił.

– Dzikie Polowanie przemierzało czasem niebo ponad Faerie – powiedział. – Gwiazdy na niebie wyglądają jak pokruszone klejnoty, sproszkowane rubiny, szmaragdy, diamenty.

– Słyszałam o gwiazdach w Faerie – przyznała z podziwem Cristina – ale nie sądziłam, że kiedyś zobaczę je na własne oczy.

– Nie powinniśmy odpocząć? – zasugerował Julian. Spacerował po obwodzie polany, zerkając w głąb lasu, między drzewa. Cały on: zawsze pragmatyczny. – Nabrać sił przed jutrzejszą podróżą?

Mark pokręcił głową.

– Nie możemy tego zrobić, musimy wędrować nocą. Nie umiem nawigować w Krainie Cieni inaczej niż według gwiazd.

– W takim razie przydadzą nam się runy Energii – zarządziła Emma.

Podsunała rękę Cristinie. Nie zamierzała w ten sposób utrzymać nosa Julesowi (runy nałożone przez *parabatai* zawsze miały większą moc), ale wciąż jeszcze nazbyt dobrze pamiętała zetknięcie ich ciał po upadku; wciąż czuła instynktowny skurcz w trzewiach, gdy owionął ją jego oddech. W tej chwili lepiej było się do niego nie zbliżać, nie patrzeć mu w oczy. Przypomniała sobie, jak Mark patrzył na niebo nad Faerie, i domyślała się, że

sama wygląda podobnie, gdy patrzy na Juliana.

Dotyk Cristiny był ciepły i kojący, a ruchy jej steli szybkie i wprawne, gdy kreśliła run Energii. Puściła nadgarstek Emmy, która czekała na znajomy przyptyk palącego gorąca, jak po przyjęciu podwójnej dawki kofeiny.

Nic się nie stało.

– Nie działa – powiedziała, marszcząc brwi.

– Czekaj, niech spojrzę... – Cristina podeszła bliżej, spojrzała na jej rękę i wytrzeszczyła oczy. – Patrz!

Znak – czarny jak atrament, gdy nakładała go na skórę Emmy – bladł i przyjmował srebrny odcień. Rozpływał się na ich oczach jak roztopiający się szron. Po kilku sekundach zniknął bez śladu.

– Co się...? – zaczęła Emma.

Julian odwrócił się gwałtownie do Marka.

– Czy runy działają w Faerie?

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłyby nie działać – odparł zaskoczony Mark. – Nikt mi o tym nie mówił.

– Przez lata specjalizowałam się w wiedzy na temat Faerie – przypomniała Cristina – i nigdy nie natknęłam się na żadną wzmiankę o tym, by runy miały tu nie działać.

– Kiedy ostatni raz próbowałeś tutaj użyć jakiegoś runu? – zapytała Marka Emma.

Pokręcił głową, blond loki opadły mu na oczy. Odgarnął je gestem smukłych palców.

– Nie pamiętam. Nie miałem steli, złamali mi ją... Za to moje magiczne światło zawsze funkcjonowało bez zarzutu.

Wyjął z kieszeni okrągły, wypolerowany kamień runiczny. Wszyscy z zapartym tchem czekali na pojawienie się światła, które rozlałoby się z jego dłoni na polanę.

Nic takiego nie nastąpiło.

Julian zaklął pod nosem i dobył z pochwy jedno ze swoich serafickich ostrzy. Adamas błysnął matowo w świetle księżyca. Julian obrócił klingę płazem do góry, tak że odbiła wielobarwne światło gwiazd.

– Michael – powiedział.

Światło rozbłysło w ostrzu, słabe i ulotne, i zaraz zgasło. Julian patrzył na nie z niedowierzaniem. Serafickie ostrze, którego nie dało się ożywić,

było mniej więcej tak samo użyteczne jak jednorazowy plastikowy nożyk, a przy tym tępe, ciężkie i krótkie.

Ze złością cisnął nóż w trawę. Podniósł wzrok. Emma wyraźnie wyczuwała dręczące go napięcie, czuła się jak sparalizowana, nawet oddychanie przychodziło jej z trudem.

– A zatem będziemy podróżować po Faerie, gdzie Nocni Łowcy nie są mile widziani, kierując się wyłącznie światłem gwiazd – podsumował Julian. – Na dodatek nie możemy używać runów, serafickich ostrzy ani kamieni runicznych. Czy tak mniej więcej wygląda nasza sytuacja?

– Nawet nie mniej więcej – odezwał się Mark. – Dokładnie tak wygląda.

– Poza tym wybieramy się na Ciemny Dwór – dodała Emma – który zapowiada się jak sceneria jednego z tych horrorów, które Dru tak uwielbia, tylko jest, no wiecie, mniej zabawny.

– Będziemy więc wędrować nocami. – Cristina wskazała wyciągniętą ręką w dal. – Na mapach Faerie widziałam różne punkty orientacyjne. Widzicie tę odległą grań rysującą się na tle nieba? To chyba będą Góry Cierniowe. W ich cieniu rozciągają się ziemie należące do Ciemnego Dworu. To niedaleko.

Emma zauważyła, że na dźwięk rozsądnych słów Cristiny Mark wyraźnie się rozluźnił, natomiast Julian jakby w ogóle ich nie usłyszał: cały czas kurczowo zaciskał zęby i opuszczone pięści.

Problem nie polegał na tym, że Julian nigdy się nie złościł, bo to nie była prawda. Jednakże zwykle nie dawał tego po sobie poznać i wszyscy brali go za spokojnego, opanowanego człowieka. Było to jednak złudzenie. Emma przypomniała sobie, co przeczytała kiedyś na temat wulkanów: że wyróżniają się bujnością pięknej zieleni na stokach, bo pulsujący w ich wnętrzu żar nie pozwala ziemi zamarznąć, ale kiedy w końcu wybuchną, przynoszą zniszczenie i zagładę w promieniu wielu mil.

– Jules – odezwała się. Spojrzał na nią ze złością w oczach. – Może nie mamy magicznego światła ani runów, ale nie przestaliśmy być Nocnymi Łowcami. A to nie jest byle co. Damy radę. Uwierz mi.

Ta przemowa wypadła cokolwiek nieporadnie, ale wściekłe płomyki w oczach Juliana przygasły.

– Masz rację – powiedział. – Przepraszam.

– A ja przepraszam, że was tu wszystkich ściągnąłem – dodał Mark. – Gdybym wiedział o tych runach... To musi być jakaś świeża sprawa, nawet

bardzo świeża.

– Wcale nas tutaj nie ściągnąłeś – zaproponowała Cristina. – Sami za tobą przyszliśmy. A poza tym przeszliśmy przez bramę nie tylko dla ciebie, lecz także ze względu na to, co powiedział nam phouka. Mam rację?

„Ktoś, kogo kochałaś i straciłaś”.

– W moim wypadku tak właśnie było – przytaknęła Emma. Spojrzała w niebo. – Powinniśmy ruszać, za parę godzin zacznie świtać. A ponieważ nie mamy runów Energii, będziemy musieli czerpać energię z bardziej tradycyjnych źródeł.

– Narkotyki? – zdumiał się Mark.

– Czekolada – odparła Emma. – Wzięłam ze sobą czekoladę, Mark. Skąd ty w ogóle bierzesz takie pomysły?

Mark uśmiechnął się półgębkiem i wzruszył jednym ramieniem.

– Poczucie humoru faerie?

– Myślałem, że faerie nabijają się z siebie nawzajem i robią kawały Przyziemnym – powiedział Julian.

– Czasem opowiadają też bardzo długie rymowane historie, które wydają im się przezabawne. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie rozumiałem, co je w nich śmieszy.

– To chyba najgorsze, co w życiu słyszałem na temat Ciemnego Dworu – przyznał z westchnieniem Julian.

Mark spojrzał na niego z wdzięcznością, jakby chciał powiedzieć, że docenia, że Julian powstrzymał swój gniew, dzięki czemu będą mogli bez przeszkód kontynuować podróż i znaleźć Kierana, a Julian – jak zawsze – będzie im przewodził.

– Chodźcie – powiedział Mark i się odwrócił. – To tam. Rzeczywiście powinniśmy już ruszać. Do świtu zostało niewiele czasu.

I pierwszy wszedł w zalegający pod drzewami cień. Pasma mgły czepiały się gałęzi jak srebrno-białe sznury, poruszone wiatrem liście szemrały im nad głowami. Julian zrównał się z bratem i Emma usłyszała, jak pyta Marka:

– A gry słowne? Obiecuj mi przynajmniej, że nie będzie gier słownych.

– Chłopcy w bardzo dziwny sposób mówią sobie nawzajem, że się kochają – zauważyła Cristina, wraz z Emmą uchyliwszy się przed obwisłą gałęzią. – Nie mogą sobie tego powiedzieć wprost? To aż takie trudne?

Emma wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Kocham cię, Cristino. I cieszę się, że udało ci się odwiedzić Faerie, nawet jeśli okoliczności tej wizyty są dość niezwykle. Może znajdziesz sobie jakiegoś atrakcyjnego faerie i zapomnisz o Nieidealnym Diego.

– Ja też cię kocham, Emmo – odparła z uśmiechem Cristina. – I może rzeczywiście kogoś takiego znajdę.

* * *

Lista pretensji Kita do Nocnych Łowców urosła do takich rozmiarów, że zaczął je spisywać.

Są głupi i narwani, zapisał. Nie pozwolą mi nawet wrócić do domu po rzeczy.

Nie chcą mi nic powiedzieć na temat tego, co to znaczy naprawdę zostać Nocnym Łowcą. Czy będę musiał gdzieś wyjechać i tam się szkolić?

Nie chcą mi też powiedzieć, jak długo mogę tutaj zostać, ciągle tylko „Tak długo, jak to konieczne”. Nie powinienem w końcu pójść do szkoły? Jakiegokolwiek szkoły?

Nie mówią mi nic o Zimnym Pokoju i o tym, jaki jest beznadziejny.

Nie pozwalają mi jeść ciasteczek.

Przemyślał ten ostatni zarzut, po czym go wykreślił. Pozwalali mu jeść ciasteczka, ale przypuszczał, że po cichu go za to krytykują.

Nie mają pojęcia, czym jest autyzm, choroba psychiczna, terapia ani leczenie farmaceutyczne. Czy wierzą w takie rzeczy jak chemioterapia? Co będzie, jeśli dostanę raka? Chociaż pewnie nie dostanę. Ale gdybym dostał...

Nie chcą mi powiedzieć, w jaki sposób Jem i Tessa znaleźli mojego tatę. Ani dlaczego tata tak serdecznie nienawidził Nocnych Łowców.

Z zapisaniem tego ostatniego miał największy kłopot. Zawsze myślał o ojcu jak o drobnym oszuście, uroczym łajdaku, którego nie sposób nie lubić, takim Hanie Solo, który w wędrówce przez galaktykę kantuje, kogo trzeba. Tyle że uroczy łajdacy nie ginęli rozszarpani przez demony w tej samej chwili, gdy zawiodły ich skomplikowane zaklęcia ochronne. I chociaż nie do końca rozumiał, co się właściwie wydarzyło na Nocnym Targu, jednego był pewien: tata w niczym nie przypominał Hana Solo.

Czasami w bezsenne noce zastanawiał się, kogo sam najbardziej przypomina.

A skoro o bezsennych nocach mowa... Dopisał do listy kolejny zarzut:

Każą mi wcześniej wstawać.

Diana, którą oficjalnie tytułowano „nauczycielką”, lecz która w rzeczywistości pełniła rolę dyrektorki szkoły i opiekunki młodzieży, obudziła go wcześniej rano i zabrała – wraz z Ty’em i Livvy – do narożnego pokoju z rozległym widokiem i ogromnym biurkiem ze szklanym blatem. Wyglądała na wkurzoną. Dorośli często tak wyglądają, kiedy złością się na kogoś innego, a zamierzają się wyładować na tobie.

Ze swoim spostrzeżeniem trafił w dziesiątkę: Diana była wściekła na Juliana, Emmę, Marka i Cristinę, którzy – jeśli wierzyć Arthurowi – w środku nocy wyprawili się do Faerie, żeby ratować niejakiego Kierana, którego Kit w życiu na oczy nie widział. Z dalszej dyskusji wynikało, że Kieran jest synem króla Ciemnego Dworu i dawnym chłopakiem Marka. Obie te informacje Kit uznał za niezwykle ciekawe i warte zapamiętania.

– Źle się stało – podsumowała Diana. – Zwłaszcza że Nefilim nie mają prawa odwiedzać Faerie bez specjalnego pozwolenia.

– Ale wrócą, prawda? – spytał Ty z wyraźnym napięciem w głosie. – Mark wróci?

– Oczywiście, że wrócą – zapewniła go Livvy. – To zwykła misja ratunkowa. – Zwróciła się do Diany: – Czy Clave nie zrozumie, że naprawdę musieli się tam udać?

– Żeby uratować jakiegoś faerie? Nie, nie zrozumie. – Diana pokręciła głową. – Zgodnie z zapisami Porozumień faerie nie mają prawa do naszej ochrony. Centurioni nie mogą się o tym dowiedzieć. Clave by się wściekło.

– Ja im nie powiem – obiecał Ty.

– Ja też nie – zapewniła Livvy. – To się rozumie samo przez się.

Oboje spojrzeli na Kita.

– Nie mam pojęcia, po co mnie tu ściągnęliście – powiedział.

– Słuszna uwaga. – Livvy spojrzała na Dianę. – Po co go przyprowadziłaś?

– I tak o wszystkim się dowiadujesz – powiedziała Diana, zwracając się do Kita. – Masz na to swoje sposoby. Doszłam do wniosku, że lepiej będzie kontrolować docierające do ciebie informacje i wymóc na tobie obietnicę.

– Że nikomu nie powiem? Oczywiście, że nie powiem. Ja nawet nie lubię tych całych Centurionów, są jak...

Jak Nocni Łowcy z moich wyobrażeń, dodał w myślach. Ale wy tacy nie jesteście. Jesteście... inni.

– To palanty – dokończył.

– Nie mogę uwierzyć – odezwała się Livvy – że Julian i pozostali znaleźli sobie fajną przygodę, a nas zostawili tutaj, w Instytucie, żebyśmy zmieniali Centurionom ręczniki.

– Spodziewałam się raczej, że będziesz się niepokoić – przyznała zaskoczona Diana. – Może nawet martwić.

Livvy pokręciła głową, aż zafurkotały jej długie włosy.

– Ale czym? Tym, że będą się dobrze bawić i zwiedzą sobie Faerie, kiedy my tu harujemy od świtu do zmierzchu? Kiedy wrócą, będę miała z Julianem do pogadania.

– O czym? – zdumiał się zdezorientowany Ty. Dopiero po chwili się rozpogodził. – Ach, już rozumiem. Zamierzasz go skłąć.

– Użyję wszystkich brzydkich słów, jakie znam – zapowiedziała Livvy – a może nawet specjalnie nauczę się paru nowych.

– Naprawdę u was wszystko w porządku? – spytała Diana, przygryzłszy wargę.

Ty skinął głową.

– Cristina to specjalistka od Faerie – przypomniał – Mark należał do Dzikiego Polowania, a Julian i Emma są bystrzy i odważni. Na pewno sobie poradzą.

Diana sprawiała wrażenie lekko oszołomionej. Kit musiał przyznać, że też jest zaskoczony. Blackthornowie jako rodzina byli tak mocno ze sobą związani, że nie znajdował na to właściwych słów. Mimo to zagniewana Livvy pogodnie wyjaśniła Dru i Tavvy'emu, że ich starsi bracia wyprawili się po coś do Akademii Nocnych Łowców. Była w tym zresztą bardzo przekonująca; dodała, że Cristina pojechała z nimi, ponieważ wizyta w Akademii od niedawna stanowi obowiązkowy element rocznej wymiany. Tę samą bajeczkę przedstawili nachmurzonemu Diego i grupie Centurionów, w tym także jego narzeczonej, którą Kit w myślach zaczął nazywać Zarazą.

– Może się jeszcze okazać, że będziecie musieli sami pracować ręczniki – zakończyła słodkiutkim głosem Livvy. – A teraz wybaczcie, ale razem z Ty'em zabieramy Kita na obchód i przegląd.

– Przegląd? – Zara uniosła pytająco brew. – Przegląd czego?

– Waszych zaklęć ochronnych – odparowała Livvy i wymaszerowała

na dwór.

Nie musiała fizycznie wywlekać za sobą Ty'a i Kita, bo samą siłą swojej osobowości uzyskała dokładnie taki sam efekt. Zbiegała po schodach, zanim jeszcze drzwi Instytutu dobrze się za nimi zamknęły.

– Widzieliście miny Centurionów? – zapytała, gdy skręcili za róg budynku.

Miała wysokie buty i krótkie szorty odsłaniające jej długie, opalone nogi. Kit starał się udawać, że wcale się nie gapi.

– Nie spodobało im się chyba to, co powiedziałaś o praniu sobie ręczników – zauważył Ty.

– Może powinnam im była narysować mapę ze wskazówkami, jak znaleźć proszek do prania. Sami wiecie, że uwielbiają wszelkie mapy.

Kit parsknął śmiechem. Livvy obejrzała się na niego podejrzliwie.

– No co?

Minęli parking na tyłach Instytutu i znaleźli się przed niskim żywopłotem z bylicy, za którym rozciągał się ogród z posągami: gipsowi greccy dramaturdzy i historycy stali w różnych pozach, z wieńcami laurowymi w rękach. Ogród wyglądał cokolwiek dziwnie w tym otoczeniu, ale na dobrą sprawę całe Los Angeles składało się z obiektów, które są nie na swoim miejscu.

– Po prostu wydało mi się to zabawne – odparł Kit. – Tyle.

Livvy się uśmiechnęła. Błękit koszulki pasował jej do oczu, miedzianorude pasemka w kasztanowych włosach mieniły się w słońcu. Początkowo Kit czuł się trochę nieswojo wśród Blackthornów, którzy byli do siebie tak bardzo podobni (wszyscy z wyjątkiem Ty'a, rzecz jasna), ale w końcu musiał przyznać, że w kategoriach wspólnych cech rodzinnych błyszczące błękitno-zielone oczy i falujące ciemne włosy nie są wcale takie najgorsze. Jego z ojcem łączyły tylko burkliwość i zamiłowanie do kradzieży. Jeśli zaś chodzi o matkę...

– Ty! – krzyknęła Livvy. – Natychmiast stamtąd złaź!

Oddalili się od Instytutu i znaleźli na porośniętej niskimi krzewami półpustyni. Kit bywał wcześniej w Górach Santa Monica bardzo rzadko, wyłącznie na wycieczkach szkolnych. Z tamtych wypraw zapamiętał zachłyśnięcie się świeżym powietrzem pachnącym bylicą i solą, a także nieruchomy pustynny żar. Szybkie zielone jaszczurki wykwiwały wśród

karłowatych kaktusów niczym rozwijające się zniecka liście, po czym znikwały równie szybko, jak się pojawiły. Wszędzie dookoła leżały olbrzymie głazy porzucone przed milionem lat przez szybko przemieszczający się lodowiec.

– Zaraz zejść – odparł Ty.

Wspinał się na jedną z górujących nad okolicą skałek, po mistrzowsku wyszukując dogodnie stopnie i chwyt. W końcu podciągnął się, stanął na szczycie i swobodnie rozpostarł ramiona, żeby nie stracić równowagi. Wyglądał, jakby zamierzał zerwać się do lotu. Jego rozwiane włosy do złudzenia przypominały rozpostarte ciemne skrzydła.

– Nie robi sobie krzywdy? – zaniepokoił się Kit.

– Umie się wspinać – uspokoiła go Livvy. – Chociaż kiedy byliśmy młodszy, okropnie się o niego bałam. Nie potrafił wyczuć, czy grozi mu niebezpieczeństwo, czy nie. Bałam się, że spadnie ze skał w parku Leo Carillo i rozbije sobie głowę. Ale Jules wszędzie z nim chodził, Diana pokazywała mu, jak się wspinać, i w końcu się nauczył.

Z uśmiechem spojrzała na brata, który wspinał się tymczasem na palce i zapatrzył na ocean. Oczami wyobraźni Kit zobaczył go na jakiejś odludnej równinie, odzianego w łopoczącą czarną pelerynę niczym jakiś bohater książki fantasy. Odetchnął głęboko.

– Nie powiedziałaś Dianie prawdy – zwrócił się do Livvy, która spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – Kiedy mówiłaś, że wcale nie martwisz się o Juliana i pozostałych.

– Skąd ten pomysł? – spytała z udawaną obojętnością.

– Obserwuję cię. Obserwuję was wszystkich.

– Wiem o tym. – Z lekkim rozbawieniem zmierzyła go spojrzeniem błękitnych oczu. – Wyglądasz, jakbyś robił notatki w pamięci.

– Siła przyzwyczajenia. Tato mnie nauczył, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: tych, których można oszukać, i tych, których nie można. Dlatego należy ich obserwować, próbować odgadnąć, czego pragną. Co ich nakreca.

– Nakreca?

– Jak skomplikowaną maszynę. Wy, Blackthornowie, jesteście ze sobą bardzo związani. Kiedy jedno z was się poruszy, choćby nieznacznie, reszta natychmiast reaguje. Jeżeli poruszy się w przeciwnym kierunku, dzieje się to samo. Nie spotkałem jeszcze tak mocno zintegrowanej rodziny. Nie

wmówisz mi, że nie martwisz się o Juliana i pozostałych, bo ja wiem, że to fałsz. Wiem, co naprawdę myślicie o faerie.

– Że są złe? Uwierz mi, to o wiele bardziej skomplikowane. – Livvy znów przeniosła wzrok na brata, który położył się na wznak na szczycie skały i prawie zniknął im z oczu. – Dlaczego miałabym okłamywać Dianę?

– Julian kłamie, żeby chronić was wszystkich. Jeżeli nie ma go w pobliżu, ty zaczynasz kłamać, żeby chronić młodsze rodzeństwo. Nie ma powodów do zmartwień, Julian z Markiem udali się na Ciemny Dwór, może przyślą nam kartkę, szkoda, że nie możemy tam z nimi być.

Livvy jakby zawisała w pół drogi między irytacją i ulgą: złościło ją, że Kit domyślił się prawdy, ale zarazem jej ulżyło, bo wreszcie znalazła kogoś, przed kim nie musiała udawać.

– Jak myślisz, przekonałam Dianę? – zapytała w końcu.

– Moim zdaniem uwierzyła, że ty się nie martwisz, ale sama wcale nie przestała się niepokoić. Przypuszczam, że w tej chwili próbuje użyć wszelkich swoich wpływów, żeby ich jakoś namierzyć.

– Jak pewnie zauważyłeś, nie jesteśmy przesadnie wpływowi. W ogóle w kategorii Instytutów jesteśmy raczej dziwni.

– Prawdę mówiąc, nie mam porównania. Ale wierzę ci.

– A wiesz, nie powiedziałaś mi w końcu. – Livvy zatknęła kosmyk włosów za ucho. – Czy jesteśmy ludźmi, których można oszukać, czy nie?

– Nie. Chociaż nie dlatego, że jesteście Nocnymi Łowcami, tylko dlatego, że naprawdę troszczycie się o swoich najbliższych bardziej niż o siebie. Trudno byłoby was przekonać do egoizmu.

Livvy odeszła kilka kroków i dotknęła małego czerwonego kwiatka na szczycie srebrno-zielonego żywopłotu. Kiedy odwróciła się do Kita, wiatr zdmuchnął jej włosy na twarz, oczy zabłyśły jej nienaturalnie i Kit wystraszył się, że zaraz albo się rozplacze, albo na niego nakrzyczy.

– Pocałuj mnie – powiedziała.

Nie umiałby wcześniej powiedzieć, ku czemu zmierza ich rozmowa, ale takiej kulminacji na pewno się nie spodziewał. Jakimś cudem udało mu się nie zakrztusić.

– Że co?

– Słyszałeś.

Powoli, z rozmysłem ruszyła w jego stronę. Niepatrzenie na jej nogi

kosztowało go sporo wysiłku.

– Poprosiłam, żebyś mnie pocałował.

– Dlaczego?

Livvy zaczynała się uśmiechać. Za jej plecami Ty gapił się na ocean.

– Co ty, nigdy się z nikim nie całowałaś?

– Całowałam, ale to chyba nie ma związku z twoją prośbą, żebym pocałował cię tu i teraz.

– Na pewno jesteś Herondale’em? Bo ja jestem pewna, że w takiej sytuacji prawdziwy Herondale nie wahałby się ani chwili. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Jest jakiś powód, dla którego nie chcesz mnie pocałować?

– Chociażby taki, że masz przerażającego starszego brata.

– Wcale nie mam przerażającego starszego brata.

– Słusznie: masz ich dwóch.

– W porządku. – Livvy opuściła rękę i odwróciła się do Kita plecami. – Jak nie chcesz, to...

Kit położył jej dłoń na ramieniu. Ciepło jej ciała było wyraźnie wyczuwalne przez cienki materiał koszulki.

– Ale ja chcę – powiedział.

Ze zdziwieniem skonstatował, że naprawdę chce. Jego świat się rozpadał, on sam miał wrażenie, że spada na spotkanie czegoś mrocznego, nieznanego, najeżonego niechcianymi wyborami – a tu śliczna dziewczyna oferowała mu coś, czego mógłby się uchwycić i trzymać, podsuwała mu zapomnienie, choćby tylko tymczasowe.

Jej puls zatrzepotał mu pod palcami, zanim częściowo odwróciła się do niego. Jej włosy musnęły mu palce.

– Dobrze – powiedziała.

– Ale najpierw coś mi powiedz. Dlaczego ja? Dlaczego właśnie mnie wybrałaś?

– Nigdy się z nikim nie całowałam – przyznała Livvy, zniżywszy głos. – Żyję w Instytucie, prawie nie poznaję nowych ludzi. Jesteśmy tylko my, sami przeciw światu. Nie mam nic przeciwko temu, dla rodziny zrobię wszystko, ale czuję, że przegapiam różne okazje. A ty jesteś w moim wieku, jesteś Nocnym Łowcą, nie działasz mi na nerwy... Nie mam wielkiego wyboru.

– Mogłabyś pocałować Centuriona – zauważył Kit.

Odwróciła się do niego z oburzoną miną. Nie cofnął dłoni z jej ramienia.

– No dobrze – zmitygował się – może z tą sugestią trochę przesadziłem.

Nagle chęć pocałowania jej stała się nieodparta, poddał się więc, objął Livvy ramieniem i przyciągnął do siebie. Jej oczy się rozszerzyły i odchyliła głowę, podsuwając mu swoje usta. Ich wargi zetknęły się ze zdumiewającą delikatnością.

Pocałunek był miękki, słodki, ciepły. Livvy weszła w krąg zakreślony ramieniem Kita, jej dłonie spoczęły – z początku niepewnie, później z większym przekonaniem – na jego barkach. Ścisnęła go mocniej, przyciągnęła do siebie i zamknęła oczy oślepione roziskrzonym błękitem odległego oceanu. Kit zapomniał o ziemi pod stopami, otaczającym go świetle i w ogóle wszystkim poza uczuciem ukojenia, jakie dawało znalezienie się w czyichś czułych ramionach.

– Livvy! Ty! Kit!

To był głos Diany.

Kit otrząsnął się i wypuścił Livvy z objęć. Odsunęła się od niego zaskoczona i dotknęła dłonią warg.

– Cała trójka! – nawoływała tymczasem Diana. – Wracać mi tu zaraz! Jesteście mi potrzebni!

– I jak? – spytał Kit. – Może być jak na pierwszy raz?

– Nieźle. – Livvy opuściła rękę. – Naprawdę się przyłożyłeś. Tego się nie spodziewałam.

– Herondale’owie nie bawią się w jakieś tam zdawkowe całuski.

Zauważyli gwałtowny ruch: to Ty ześliznął się ze skały, na którą wcześniej się wspiał, i szedł przez zarośla w ich stronę.

Livvy zaśmiała się cicho.

– Chyba pierwszy raz słyszę, żebyś mówił o sobie jako Herondale’u.

Ty dołączył do nich z nieprzeniknionym wyrazem twarzy; Kit nie miał pojęcia, czy widział, jak się całowali z Livvy, czy nie. Chociaż gdyby nawet widział, to co by go to mogło obchodzić?

– Zapowiada się pogodna noc – powiedział Ty. – Nie widać żadnych chmur.

Livvy powiedziała coś o tym, że dobra pogoda ułatwi śledzenie podejrzliwych Centurionów, zrównała się z bratem, tak jak zawsze to robiła, i razem ruszyli z powrotem do Instytutu. Kit szedł za nimi z rękami w kieszeniach dzinsów. Rodowy sygnet Herondale’ów nagle zaciążył mu na

palcu.

* * *

Kraina Pod Wzgórzem. Cudowna Równina. Kraj Pod Falami. Ziemia Wiecznej Młodości.

Emma przypominała sobie wszystkie zasłyszane w przeszłości określenia Faerie. Godziny wlekły się niemiłosiernie, coraz mniej rozmawiali, aż w końcu zupełnie umilkli wyczerpani. Cristina bez słowa dreptała obok niej. Jej wisiołek mienił się w świetle księżyca. Mark szedł pierwszy, co rusz sprawdzając przebieg ścieżki w blasku gwiazd. Góry Cierniowe, początkowo odległe, przybliżały się i rysowały coraz wyraźniej, surowe i niezapomniane na tle nieba o barwie poczerńiałego szafiru.

Rzadko było je jednak widać, bo ścieżka wiodła przeważnie wśród gęsto rosnących drzew o nisko zwieszonych, splatających się konarach. Emma kilkakrotnie dostrzegła migające w mroku ślepiea, a kiedy, słysząc szelest poruszonych gałęzi, podnosiła wzrok, w koronach drzew śmigały chyże sylwetki. Śmiech snuł się za nimi niczym pasma mgły.

– To kraina dzikich faerie – wyjaśnił Mark. Trakt okrążał wzgórze. – Arystokraci wolą przebywać na Dworach, czasem co najwyżej wypuszczą się do miasta. Lubią wygody.

Tu i ówdzie było widać oznaki, że okolica jest – lub była – zamieszkana: omszałe resztki starych kamiennych murów, drewniane płoty postawione bez użycia gwoździ. W ostatniej godzinie przed świtem minęli kilka wiosek; wszystkie domy były ciemne i puste, okna powybijane lub zamknięte okiennicami. Im bardziej zagłębiali się w Faerie, tym częściej widywali coś jeszcze. Za pierwszym razem Emma stanęła jak wryta i aż krzyknęła: trawa, po której szli, nagle rozplynęła się jej pod stopami i w powietrze niczym popiół wzbil się obłok białoszarego pyłu.

Rozejrzawszy się ze zdumieniem, stwierdziła, że jej przyjaciele również wytrzeszczają z niedowierzaniem oczy. Znaleźli się na skraju w przybliżeniu okrągłego obszaru porażonego jakąś chorobą, który Emmie kojarzył się z oglądanymi na zdjęciach kręgami w zbożu. Wszystko w obrębie kręgu miało chorobliwie szarobiały kolor: trawa, drzewa, w ogóle wszystkie rośliny. Wśród zszarzałej roślinności wały się rozrzucone kostki małych zwierząt.

– Co to takiego? – zdziwiła się. – Skutki jakiejś czarnej magii faerie?

Mark pokręcił głową.

– Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Nie podoba mi się to. Chodźmy stąd.

Nikt nie protestował, ale idąc przez kolejne wymarłe wioski wśród wzgórz, jeszcze kilkakrotnie natknęli się na podobne ślady plagi.

W końcu, gdy brzask zaczął rozpalać niebo, niemal padając z wyczerpania, zeszli z traktu i znaleźli się w pofalowanej, zadrzewionej okolicy.

– Tu możemy odpocząć – orzekł Mark. Wskazał nieodległy pagórek, którego szczyt ginął wśród kamiennych kopczyków. – Dadzą nam schronienie i ukryją przed niepożądanymi spojrzzeniami.

– Słyszę wodę. – Emma zmarszczyła brwi. – Płynie tu gdzieś strumień?

– Dobrze wiesz, że nie wolno nam pić tutejszej wody – przypomniał jej Julian, gdy ruszyła w dół zbocza, w kierunku, z którego dobiegało bulgotanie wody opływającej kamienie i korzenie drzew.

– Wiem, ale moglibyśmy się przynajmniej obmyć...

Emma urwała w pół zdania. Rzeczywiście znalazła strumień płynący doliną między dwoma niskim wzniesieniami, lecz zamiast wody płynęła w nim gęsta szkarłatna ciecz przelewająca się leniwie wśród czarnych pni drzew.

– „Albowiem wszelka na ziemi przelana krew tryska ze źródeł tej krainy” – przypomniał Mark, stanąwszy obok niej. – Sama cytowałaś mi te słowa.

Julian przyklęknął na brzegu strumienia i szybkim gestem zanurzył w nim palce. Kiedy je wyciągnął, były całe czerwone.

– Krzepnie – stwierdził, marszcząc brwi z fascynacją i niesmakiem jednocześnie. Wytarł ręce o trawę. – To naprawdę ludzka krew?

– Tak mówią – przytaknął Mark. – Nie wszystkie rzeki w Faerie tak wyglądają, ale mówi się, że krew pomordowanych w świecie ludzi wypływa ze źródeł w tych lasach i płynie w tutejszych strumieniach.

– Kto tak mówi? – zainteresował się Julian. Wstał. – Kogo masz na myśli?

– Kieran – odparł bez ogródek Mark.

– Ja też o tym słyszałam – poparła go Cristina. – Są różne wersje tej legendy, słyszałam wiele z nich; większość potwierdza, że to krew ludzi. Krew Przyziemnych.

Wzięła rozbieg, długim susem przesadziła strumień i z kilkustopowym zapasem wylądowała na jego drugim brzegu. Pozostali poszli w jej ślady, po czym wspięli się na płaski trawiasty szczyt pagórka, skąd roztaczała się rozległa panorama. Emma domyślała się, że kamienne kopczyki są pozostałościami stojącej tu w przeszłości wieży wartowniczej.

Rozwinęli koce, wyciągnęli się na nich i przykryli pelerynami, kuląc się pod nimi dla ochrony przed chłodem. Mark natychmiast zasnął kamiennym snem. Cristina ostrożnie układała się do snu, otulona granatową peleryną, z długimi włosami osypującymi się na podpierającą głowę dłoń. Emma znalazła wygodny kawałek murawy i zrobiła sobie z kurtki poduszkę. Nie miała się czym przykryć i zadrżała z zimna, kładąc się na ziemi. Ostrożnie odłożyła Cortanę na pobliski głąz.

– Emmo?

Leżący tuż obok Julian odwrócił się w jej stronę. Do tej pory leżał całkowicie nieruchomo, myślała więc, że śpi. Nie przypominała sobie zresztą, żeby wybrała miejsce tak blisko niego. W świetle przedświt jego oczy jarzyły się jak kawałki morskiego szkła.

– Mam dwa koce – powiedział. – Weź jeden.

Była to szara, miękka narzutka, którą zwykle kładł w poprzek w nogach łóżka. Emma wysiłkiem woli odsunęła wspomnienia chwil, w których budziła się z zakutymi w nią stopami, ziewając i przeciągając się w słonecznym pokoju Juliana.

– Dzięki – wyszeptała i wśliznęła się pod koc. Trawa robiła się mokra od porannej rosy.

Julian podłożył sobie zgiętą rękę pod głowę i wpatrywał się w Emmę.

– Jules? – zagadnęła go. – Jeżeli nie działają tu nasze kamienie runiczne, serafickie ostrza ani runy... to co to może znaczyć?

– Kiedy przechodziliśmy przez jedno z tych wymarłych miasteczek – odparł, ważąc słowa – zajrzałem do gospody. Ktoś narysował tam na ścianie anielski run, który później został pomazany krwią i częściowo zatarty. Nie wiem, co się tu wydarzyło po nastaniu Zimnego Pokoju, ale wiem, że nas tu nie lubią.

– A myślisz, że wisiołek Cristiny będzie działał?

– Wydaje mi się, że tylko magia Nocnych Łowców jest tu nieskuteczna. Jej wisiołek to prezent od faerie. Powinien działać, jak trzeba.

Emma pokiwała głową.

– Dobranoc, Jules.

Uśmiechnął się lekko.

– Jest ranek, Emmo.

Nie odpowiedziała, po prostu zamknęła oczy – ale nie do końca. Obserwowała go spod zmrużonych powiek. Nie spali tak blisko siebie od tamtego okropnego dnia, kiedy Jem powiedział jej o *parabatai* i ciężącej na nich klątwie. Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo jej tego brakuje. Była wyczerpana, ale w miarę, jak jej ciało się odprężyło, znużenie wyciekało z kości i wsiąkało w ziemię. Zapomniała, jakie to uczucie powoli osuwać się w nieświadomość, gdy leży się obok człowieka, któremu ufa się jak nikomu innemu na świecie. Nawet tutaj, w Faerie, gdzie Nocni Łowcy byli znienawidzeni, czuła się w tej chwili bezpieczniej niż wcześniej w swojej sypialni w Instytucie – bo Jules był obok niej, blisko, na wyciągnięcie ręki.

Oczywiście nie mogła wyciągnąć ręki i go dotknąć, ale przynajmniej oddychali w jednym rytmie, gdy jej świadomość rozpadała się na kawałki. W końcu Emma odepchnęła jawę i gdy o brzasku dnia spadła w otchłań snów, towarzyszył jej obraz Juliana.

Nasze światy

Kit wkrótce mógł dopisać kolejną pozycję do długiej listy pretensji do Nocnych Łowców:

Budzą mnie w środku nocy.

Konkretnie to Livvy go obudziła i wyrwała ze snu o mantydach. Usiadł zadyszany na łóżku, ściskając w ręce jeden ze sztyletów wykradzionych ze zbrojowni. Sztylet trzymał, jak zwykle, na nocnym stoliku; nie przypominał sobie, żeby po niego sięgał.

– Niekiepsko – przyznała Livvy. Stała obok łóżka, ledwie widoczna w półmroku, ubrana w strój bojowy. Włosy związała w koński ogon. – Masz niezły refleks.

Nie drgnęła, mimo że czubek sztyletu znieruchomiał o cal od jej piersi. Kit wypuścił go z ręki. Broń zaklekotała na stoliku.

– Nie rób sobie żartów – powiedział.

– Wstawaj. Przed chwilą Ty widział, jak Zara wymyka się głównym wyjściem z Instytutu. Tropimy ją.

– Co robicie?

Kit ziewnął i wstał. Livvy natychmiast wcisnęła mu w dłonie naręcze ciemnych ciuchów. Na widok jego bokserek uniosła brwi, ale powstrzymała się od komentarza.

– Włóż to – poleciła. – Wszystko wyjaśnimy ci po drodze.

Wyszła z pokoju, żeby Kit mógł się przebrać. Zawsze się zastanawiał, jakie to będzie uczucie włożyć strój bojowy Nocnego Łowcy. Wysokie buty, spodnie, koszula i kurtka z grubego ciemnego materiału oraz ciężki pas na broń sprawiały wrażenie niewygodnych, ale w rzeczywistości wcale takie nie były. Strój mało ważył i był niezwykle elastyczny, a przy tym twardy: kiedy Kit wziął ze stolika sztylet i spróbował naciąć rękaw kurtki, ostrze

w ogóle nie naruszyło tkaniny. Buty pasowały na niego idealnie, podobnie jak wcześniej pierścien Herondale'ów. Pas z bronią lekko, lecz zarazem solidnie opiął mu biodra.

– Dobrze wyglądam? – spytał, wyszedłszy na korytarz.

Ty gapił się w zadumie na swoją zaciśniętą prawą pięść. Na jej wierzchniej stronie mienił się jakiś run.

Livvy pokazała Kitowi uniesiony kciuk.

– Z pewnością nie załapałbyś się do dorocznego kalendarza Najprzystojniejszych Nocnych Łowców – powiedziała.

– Jak to nie załapałbym się? – obruszył się Kit, gdy zeszli na schody.

Oczy Livvy zatańczyły wesoło.

– Jesteś za młody – wyjaśniła.

– Nie ma takiego kalendarza – wtrącił się Ty. – A teraz bądźcie cicho. Musimy dyskretnie wymknąć się z domu.

Wyśliznęli się tylnym wyjściem i drogą zeszli na plażę, unikając spotkania z nocnym patrolem. Livvy szeptem wyjaśniła Kitowi, że Ty trzyma w ręce spinkę do włosów, którą Zara zostawiła na stole i która teraz naprowadza go na jej trop. Wyglądało na to, że Zara również zeszła na plażę i dalej poszła po piasku: Livvy wskazała odciski stóp, z wolna zacierane przez postępujący przyływ.

– To mógł być jakiś Przyziemny – sprzeciwił się Kit dla zasady.

– Który szedł dokładnie tak jak my teraz? Przyjrzyj się, my nawet powtarzamy wszystkie jej zygzaki.

Trudno było dyskutować z tym argumentem, Kit skoncentrował się więc na tym, by nadążyć za Ty'em mknącym jak na skrzydłach wśród przybrzeżnych wydm, głazów i skał, których przybywało z każdą chwilą, w miarę jak posuwali się coraz dalej na północ. W pewnym momencie wspiął się na niepokojąco wysoką chropowatą skalną ścianę i zeskoczył po jej drugiej stronie; niewiele brakowało, żeby idący za nim Kit potknął się i zarył twarzą w piasek.

W ostatniej chwili udało mu się złapać równowagę. Odetchnął z ulgą. Nie był pewien, przed kim bardziej nie chciałby wyjść na durnia – przed Ty'em, czy przed Livvy. Może pół na pół?

– Tam – szepnął Ty.

Wyciągniętą ręką wskazał ciemny otwór w urwisku oddzielającym plażę

od autostrady. Skalne osypisko ciągnęło się w głąb oceanu, srebrno-biała piana z fal roztrzaskujących się na głazach pryskała wysoko w powietrze.

Piasek ustąpił miejsca skalistej rafie, na której wszyscy troje musieli uważnie patrzeć pod nogi. Ty pochylił się nad pozostawioną przez przyływ kałużą, po czym wyprostował się z triumfalną miną... i rozgwiązdą w ręce.

– Ty... – odezwała się Livvy. – Jeżeli nie zamierzasz rzucić nią w Zareę, to lepiej od razu odłóż ją z powrotem.

– Taka piękna rozgwiązda się zmarnuje... – mruknął Kit.

Ty się roześmiał. W słonym powietrzu jego proste czarne włosy posklejały się i zmierzwiły. Oczy błyszczały mu jak księżyc odbijający się w wodzie. Ostrożnie włożył rozgwiązdę do wody. Kit gapił się na niego z kompletną pustką w głowie. Nic mądrego nie przychodziło mu na myśl.

Już bez dalszych przystanków dla podziwiania fauny i flory dotarli do wylotu jaskini. Livvy pierwsza weszła do środka, Ty i Kit trzymali się tuż za nią. Kit zatrzymał się, gdy zagłębili się w ciemność.

– Nic nie widzę – powiedział.

Zmagał się z narastającą paniką. Nienawidził ciemności – ale czy ktoś ją lubi?

Nagle światło otoczyło go ze wszystkich stron, jakby tuż obok rozbłysła spadająca gwiazda: to Ty wyciągnął przed siebie rękę z runicznym kamieniem.

– Chcesz run Nocnego Widzenia? – zaproponowała Livvy.

Kit pokręcił głową.

– Żadnych runów – odparł stanowczo.

Nie był do końca pewien, dlaczego tak upiera się przy swoim. Przecież *iratze* w ogóle nie bolało. Chyba traktował runy jak ostatnią barierę na drodze do przyznania się, że jest Nocnym Łowcą, a nie zwykłym chłopakiem, w którego żyłach płynie krew Łowców i który tylko tymczasowo postanowił zatrzymać się w Instytucie, zanim obmyśli inny, lepszy plan.

Jakikolwiek miałby ten plan być. Starał się nad tym nie dumać zbyt wiele, gdy zapuszczali się coraz głębiej w mroczne tunele.

– Myślicie, że to część węzła geomantycznego? – usłyszał szept Livvy.

Ty pokręcił głową.

– Nie. W nadbrzeżnych urwiskach zawsze było pełno jaskiń. Domyślam się, że można tu znaleźć rózne rzeczy, włącznie z gniazdami demonów czy

wampirów, ale nie wydaje mi się, żeby miało to cokolwiek wspólnego z Malcolmem. Poza tym nigdzie w pobliżu nie przebiegają linie geomantyczne.

– Naprawdę musiałeś wspominać o tych gniazdach demonów? – mruknął Kit. – Nagle zacząłem o nich myśleć jak o pająkach.

– Niektóre demony są pająkami – odparł Ty. – Największy, jakiego widziano, miał dwadzieścia stóp wzrostu i długie na jard żuwaczki.

Kit przypomniał sobie gigantyczne demony-modliszki, które rozszarpały jego ojca na strzępy. Trudno powiedzieć coś dowcipnego o olbrzymim pająku, kiedy człowiek widział biel odsłoniętych żeber ojca.

– Cii... – Livvy uciszyła ich gestem. – Słyszę jakieś głosy.

Kit nadstawił ucha, ale niczego nie usłyszał; domyślał się, że brakuje mu jakiegoś innego runu, który obdarzyłby go słuchem Supermana. Dostrzegł za to światło, które poruszało się w oddali, za zakrętem tunelu.

Kiedy znów ruszyli naprzód, trzymał się z tyłu, za plecami Ty'a i Livvy. Tunel wyprowadził ich do rozległej komory o spękanych granitowych ścianach i podłodze z ubitej ziemi. Śmierdziało w niej pleśnią i rozkładem. Sufit ginął w ciemnościach.

Na środku stały dwa krzesła i drewniany stół. Jedynym źródłem światła były leżące na stole kamienie runiczne. Na jednym z krzeseł siedziała Zara. Kit odruchowo przycisnął się plecami do ściany; naprzeciw niego Livvy i Ty zrobili to samo.

Zara – ubrana nie w strój bojowy, lecz w zwyczajny czarny kostium, z włosami związanymi w niewiarygodnie ciasny kok – przeglądała rozłożone na stole dokumenty. Obok niej stały butelka wina i kieliszek.

Kit wyteżył wzrok, usiłując się zorientować, jakie papiery Zara ma przed sobą, ale stał za daleko. Udało mu się za to odczytać słowa wyryte na blacie stołu: OGIENŃ CHCE PŁONAĆ. Nie miał zielonego pojęcia, co mogłyby znaczyć.

Nawiasem mówiąc, Zara nie robiła niczego szczególnie interesującego – mogła przecież przychodzić do jaskini tylko po to, żeby w spokoju poczytać. Może miała serdecznie dość Idealnego Diego i chciała się przed nim ukryć? Kit wcale by się jej nie dziwił.

Nagle podniosła wzrok i zmarszczyła brwi. Ktoś się zbliżał. Kit usłyszał pośpieszne kroki i w przeciwległym krańcu pomieszczenia pojawiła się

rozczochna postać w dżinsach.

– To Manuel – szepnęła Livvy. – Może mają romans?

– Manu – odezwała się Zara z marsową miną. Nie brzmiała jak zakochana. – Spóźniłeś się.

– Przepraszam. – Manuel uśmiechnął się rozbijając, chwycił wolne krzesło, odwrócił je tyłem do stołu i usiadł, przerzuciwszy ręce przez oparcie.

– Nie złość się, Zaro. Musiałem odczekać, aż Rayan i Jon zasną, a im się zebrało na pogaduchy. Nie chciałem, żeby ktoś widział, jak wymykam się z Instytutu. – Wskazał leżące na stole papiery. – Co tam masz?

– Nowiny od ojca. Jest rozczochny wynikiem ostatniego zebrania Rady. Ja go rozumiem: jak można było pozwolić, żeby ten mieszaniec Mark Blackthorn pozostał wśród porządnym Nefilim? To obelga dla nas wszystkich.

Manuel wziął do ręki kieliszek Zary. Wino zalśniło rubinowo.

– Powinniśmy patrzeć w przyszłość – powiedział. – Kiedy się tu wybieraliśmy, pozbycie się Marka nie było naszym głównym celem. Jego obecność, podobnie jak obecność jego rodzeństwa, to tylko drobna niedogodność, nic więcej.

Zdezorientowani Ty, Kit i Livvy spojrzeli po sobie. Na twarzy Livvy malował się gniew. Twarz Ty'a niczego nie wyrażała, za to jego dłonie podrygiwały nerwowo u boków.

– To prawda. Pierwszym krokiem powinien być Rejestr. – Zara przyglądała papiery. Zaszleściły pod jej dotykiem. – Ojciec twierdzi, że Kohorta ma w Idrisie duże wpływy. Uznał również, że Instytut w Los Angeles dojrzał do przejęcia. Incydent z Malcolmem zasiał poważne wątpliwości co do trzeźwości sądów mieszkańców Zachodniego Wybrzeża, a fakt, że zarówno Najwyższy Czarownik Los Angeles, jak i szef miejscowego klanu wampirów parali się czarną magią...

– To nie była nasza wina – wyszeptała Livvy. – Skąd mogliśmy wiedzieć...

Ty ją uciszył, ale jej szept zdążył zagłuszyć końcówkę wypowiedzi Zary. Kitowi pozostał tylko jej uśmiech przecinający twarz jak krwawa rana.

– ...nie cieszysz się wielkim zaufaniem – dokończyła.

– A Arthur? – spytał Manuel. – Domniemany szef Instytutu? Na oczy go jeszcze nie widziałem.

– Jest obłąkany. Ojciec twierdzi, że już wcześniej się tego domyślał. Znają

się z Akademii. Rozmawiałam z Arthurem; wziął mnie za jakąś „Amatis”.

Kit spojrział pytająco na Livvy, która – nie mniej od niego zaskoczona – tylko wzruszyła ramionami.

– Postawienie go przed obliczem Rady i udowodnienie, że jest szalony, będzie banalnie proste – ciągnęła Zara. – Nie jestem pewna, kto go zastępuje w roli szefa, zapewne Diana, ale gdyby chciała sama zawładnąć Instytutem, dawno by to zrobiła.

– Czyli plan jest taki, że twój ojciec wkracza na scenę, dzięki Kohorcie wygrywa głosowanie i przejmuje Instytut.

– Razem go przejmujemy – poprawiła Manuela Zara. – Będę mu asystować. On mi ufa. Stworzymy zgrany zespół.

Jej słowa nie zrobiły wielkiego wrażenia na Manuelu. Prawdopodobnie słyszał je już wcześniej.

– I wtedy przyjdzie czas na Rejestr.

– Tak jest. Bezzwłocznie przedstawimy stosowny projekt modyfikacji Prawa, a kiedy zostanie zatwierdzony, rozpocznie się proces identyfikacji. – Oczy Zary zabłyśły. – Każdy Podziemny będzie nosił piętno.

Żołądek podszedł Kitowi do gardła. Plany Zary tak bardzo przypominały wydarzenia z historii Przyziemnych, że odbiło mu się złością.

– Moglibyśmy zacząć od Nocnego Targu – kontynuowała swój wywód Zara. – Te stwory lubią się tam zbierać. Jeżeli aresztujemy ich dostatecznie dużo za jednym zamachem, resztę powinno się udać szybko przymusić do rejestracji.

– A gdyby nie chciały się zarejestrować po dobroci – podjął Manuel – z łatwością się je do tego przekona. Wystarczy odrobina bólu.

Zaraz zmarszczyła z niepokojem brwi.

– Mam wrażenie, że torturowanie sprawia ci przyjemność, Manu.

Manuel pochylił się i oparł łokcie na stole. Jego twarz przybrała absolutnie szczery, czarujący wyraz.

– Tak jak i tobie, Zaro. Widziałem, jak podziwiałaś moje dzieło. – Rozluźnił i zacisnął pięści. – Po prostu nie chcesz się do tego przyznać przed Idealnym Diego.

– Serio? – zdumiał się półgłosem Kit. – Oni też go tak nazywają?

Zara pokręciła gniewnie głową, ale Manuel nadal się uśmiechał.

– Prędzej czy później będziesz musiała mu ujawnić plany Kohorty –

mówił dalej. – Dobrze wiesz, że mu się nie spodobają. Kocha Podziemnych jak mało kto.

Zara prychnęła z niesmakiem.

– Bzdura. W niczym nie przypomina tego odrażającego Aleca Lightwooda, demonicznego pomiotu, z którym się związał, i tego ich głupiego Sojuszu. Blackthornowie są kretynami i sympatyzują z faerie, ale Diego jest po prostu... zagubiony.

– A co z Emmą Carstairs?

Zara zaczęła zbierać kartki ojcowskiego listu. Nie patrzyła na Manuela.

– Czemu o nią pytasz?

– Wszyscy mówią, że jest najlepszym Nocnym Łowcą od czasów Jace’a Herondale’a. A ja wiem, że od dawna sama pożądasz tego tytułu.

– Vanessa Ashdown twierdzi, że Emma to zdzira. Myśli tyłkiem zamiast głową.

Ostre słowa Zary poniosły się echem wśród kamiennych ścian. Kit przypomniał sobie Emmę z mieczem w dłoni, Emmę ratującą mu życie, Emmę obejmującą Cristinę, Emmę mierzącą Juliana takim wzrokiem, jakby to on osobiście zawiesił księżyc na niebie... Zastanawiał się, czy nadeptanie Zarze na nogę przy najbliższym spotkaniu uszłoby mu płazem.

– Zresztą na mnie też nie zrobiła najlepszego wrażenia. Jest zupełnie zwyczajna.

– Z pewnością – zgodził się Manuel. Zara wstała, ściskając plik papierów.

– Nadal nie rozumiem, co ty widzisz w Diego.

– Tu nie ma nic do rozumienia. To sojusz dwóch rodów.

– Aranżowane małżeństwo? Jakie to przyziemne i średniowieczne. – Manuel zgarnął ze stołu kamienie runiczne. Światło w jaskini zatańczyło dziki taniec blasków i cieni. – To co, wracamy?

– Powinniśmy. Jeżeli ktoś nas zobaczy, możemy powiedzieć, że sprawdzaliśmy stan zaklęć ochronnych. – Zara zmięła w dłoni list ojca i wepchnęła go do kieszeni. – Niedługo kolejne zebranie Rady. Ojciec odczyta na nim mój list, stwierdzi niezdolność Arthura do kierowania Instytutem i zgłosi swoją kandydaturę.

– Nawet się nie zorientują, skąd nastąpił atak. – Manuel włożył rękę do kieszeni. – A kiedy będzie po wszystkim, oczywiście...

– Nie martw się – ucięła zirytowana Zara. – Dostaniesz to, czego chcesz.

Chociaż nie zaszkodziłoby, gdybyś wykazał więcej zaangażowania.

Odwróciła się plecami do Manuela, którego oczy błysnęły złowieszczo spomiędzy rzęs, gdy na nią spojrział. Wyraz jego twarzy miał w sobie coś dziwnego, jakieś nieprzyjemne pożądanie – chociaż Kit nie umiałby stwierdzić, czy jego przedmiotem jest sama Zara, czy coś innego, znacznie bardziej tajemniczego.

– Ależ ja jestem zaangażowany. Tak samo jak ty, Zaro, chcę ujrzeć świat, z którego zostanie wypalone całe plemię Podziemnych. Po prostu nie wierzę w robienie czegoś za nic.

Zara obejrzała się jeszcze przez ramię, nim zagłębiła się w korytarz, którym przyszedł Manuel.

– To nie będzie „nic”, Manu – odparła. – Obiecuję.

Oboje zniknęli. Oszołomieni Kit, Ty i Livvy kulili się u wylotu tunelu, nie wiedząc, co powiedzieć.

* * *

Dźwięk, który obudził Cristinę, był tak cichy, że w pierwszej chwili wzięła go za wytwór swojej wyobraźni. Leżała nieruchomo, wciąż wyczerpana, i mrużyła oczy oślepione przefiltrowanym przez mgłę słonecznym blaskiem. Zastanawiała się, ile zostało czasu do zachodu słońca, kiedy znów będą mogli nawigować podług gwiazd.

Dźwięk się powtórzył: odległe, słodkie wołanie. Usiadła i odrzuciła opadające na twarz włosy. Były mokre od rosy. Przeczesała je palcami; żałowała, że nie ma ich czym spiąć. Rzadko nosiła je rozpuszczone i przeszkadzało jej, że czuje na karku ich ciężar.

Emma i Julian spali obok skuleni na ziemi, ale gdzie się podział Mark? Zostały po nim tylko buty i porzucony koc. Na widok butów Cristina zerwała się na równe nogi: na wszelki wypadek wszyscy położyli się spać w butach. Dlaczego Mark swoje zdjął?

Przyszło jej do głowy, żeby obudzić Emmę, ale doszła do wniosku, że byłoby to niemądre. Mark pewnie poszedł się przejść i tyle. Wyjęła zza paska nóż motylkowy i zaczęła schodzić po zboczu wzgórza. Po drodze wyminęła leżących Emmę i Juliana i z ukłuciem zazdrości zauważyła, że trzymają się za ręce; jakimś sposobem odnaleźli się we śnie. Pomyślała, że może powinna

wyciągnąć rękę i ich rozdzielić, ale nie mogła tego zrobić. Nie było sposobu, żeby delikatnie rozdzielić Emmę i Juliana. Każda próba ich rozdzielania byłaby aktem przemocy, rozdarciem w materii świata.

Wszędzie zalegała gęsta mgła, którą w paru miejscach z trudem przebijały promienie słońca, tworząc lśniący, nieprzejrzysty, biały woal.

– Mark? – zawołała półgłosem Cristina. – Mark, gdzie jesteś?

Znów dobiegł ją ten sam odgłos, co przed chwilą. Tym razem jednak rozbrzmiał wyraźniej. To była muzyka: piszczałki fletni, struna harfy... Cristina wyteńczyła słuch... i omal nie wrzasnęła z przerażenia, gdy coś dotknęło jej ręki. Okręciła się na pięcie i ujrzała Marka: stał przed nią z rękami uniesionymi w takim geście, jakby próbował jej do siebie nie dopuścić.

– Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział.

– Mark... – wyszeptała. Zawiesiła głos. – Mark, to ty? Faerie umieją tkać iluzje, prawda?

Przekrzywił głowę, blond włosy opadły mu na czoło. Pamiętała czasy, gdy sięgały mu aż do ramion; wyglądał wtedy jak elfi książę z ilustracji w książce z bajkami. Teraz były krótsze, miękkie i lekko kręcone. Sama mu je przystrzygła i zafundowała tę nowoczesną fryzurę, która nagle tutaj, w Faerie, wydała jej się dziwnie nie na miejscu.

– Nie słyszę głosu swojego serca – powiedział. – Nie wiem, co chce mi powiedzieć. Słyszę tylko wiatr.

To były jedne z pierwszych słów, jakie kiedykolwiek do niej skierował.

– To naprawdę ty – skonstatowała z ulgą. – Ale co ty właściwie robisz? Dlaczego nie śpisz? Musimy wypocząć, jeśli mamy dotrzeć na Ciemny Dwór przed wschodem księżyca.

– Nie słyszysz muzyki? – Rzeczywiście rozbrzmiewała coraz głośniejsze; dźwięki skrzypiec i fletów mieszały się z odgłosami tańca, tupotem, śmiechem. – Trwa zabawa.

Serce Cristiny na moment przestało bić. O ucztach faerie krążyły legendy: faerie tańczyły do wtóru zaczarowanej muzyki, piły zaczarowane wino... Zabawa czasami trwała wiele dni bez przerwy. Od podawanego na niej jedzenia można było zacząć majaczyć, popaść w obłąd, zakochać się... Echo takiej uczyt potrafiło nawet osiągnąć człowieka we śnie.

– Powinnaś iść spać – powiedział Mark. – Takie zabawy bywają

niebezpieczne.

– Zawsze chciałam zobaczyć coś takiego – odparła buntowniczo Cristina.

– Podejdę bliżej.

– Nie rób tego – ostrzegł ją z zapartym tchem.

Odwróciła się od niego i ruszyła dalej w dół stoku.

– Ta muzyka... każe ci tańczyć...

Okręciła się na pięcie. Ciemny kosmyk włosów przylgnął jej do wilgotnego policzka.

– To ty nas tu ściągnąłeś – przypomniała i znów ruszyła w kierunku, z którego dobiegały dźwięki.

Muzyka przybrała na sile. Cristina ledwie słyszała Marka, który, klnąc, ruszył za nią.

Zeszła na łąkę u stóp pagórka i stanęła jak wryta na widok rozmazanych w ruchu kolorowych sylwetek. Przenikliwie słodka muzyka rozbrzmiewała dookoła niej.

Wszędzie było pełno faerie. W samym środku zajęli miejsce muzykanci; w zapamiętaniu odchyłili głowy w tył i przytupywali rytmicznie. Wśród tańczących były zielonoskóre leśne faerie o sękatych ramionach i oczach błyszczących żółto jak żywica drzew; szmaragdowe, migotliwe faerie wodne, których włosy opadały aż do ziemi niczym półprzejryste sieci; piękne dziewczęta z kwiatami we włosach, na szyjach i wokół talii, które zamiast stóp miały kopyta; śliczni chłopcy w łachmanach, z oczami płonącymi jak w gorączce, którzy trzymali wirujące w tańcu dziewczyny za ręce.

– Chodź i tańcz! – nawoływali ją wszyscy. – Tańcz z nami, o piękna, *chica bella*. Chodź i tańcz!

Cristina ruszyła ku nim, w stronę muzyki i tańca. Mgła otulała łąkę, białe pasma snuły się po ziemi i przesłaniały błękit nieba, połyskliwe i aż gęste od nieznanych, intensywnych woni owoców, wina, kadzidlanego dymu.

Zaczęła tańczyć, poruszać się w rytm muzyki. Z każdym kolejnym oddechem ogarniało ją coraz większe uniesienie. Nie była już dziewczyną, która nie raz, lecz dwa razy dała się wykiwać Diego Rosalesowi; dziewczyną, która zawsze przestrzega zasad i ufa ludziom, dopóki ci nie zawiodą jej zaufania z taką samą łatwością, z jaką mogliby zrzucić szklankę ze stołu; dziewczyną, która zawsze stała z boku, patrzyła, jak jej przyjaciele bawią się i szaleją, i była gotowa ich złapać, gdyby upadli. Teraz to ona upadała.

Czyjeś ręce złapały ją i okręciły w miejscu. Mark. Oczy mu błyszczały. Przyciągnął ją, objął ramionami, lecz ten niezłomny uścisk wyrażał złość.

– Co ty wyrabiasz, Cristino? – spytał półgłosem. – Znasz się na faerie, wiesz, jakie to niebezpieczne.

– Właśnie dlatego to robię – odparła.

Nie widziała go tak rozeźlonego od czasu, gdy do Instytutu przybyli Kieran z Gwynem i Iarlathem. Poczwała w piersi delikatne ukłucie podniecenia. Ucieszyła się, że potrafi go tak rozzłościć.

– Zapomniałaś już, że tubylcy nienawidzą Nocnych Łowców?

– Nie wiedzą, że jestem Nocną Łowczynią.

– Wiedzą. – Mark nachylił się ku niej tak blisko, że czuła przy uchu jego gorący oddech. – Uwierz mi, wiedzą.

– W takim razie jest im to obojętne. Trwa zabawa! Czytałam o nich. Faerie tak samo jak ludzie potrafią się zatracić w muzyce. Tańczą i zapominają, tak jak my.

Ręce Marka oploty ją w talii. Tłumaczyła sobie, że to zwyczajny opiekuńczy gest, ale jej serce i tak zabiło żywiej. Kiedy Mark zjawił się w Instytucie, był chudy jak patyk, miał zapadnięte policzki i cienie pod oczami. Teraz wyraźnie wyczuwała prężące się pod skórą mięśnie i czuła ich siłę.

– Nigdy cię o to nie zapytałem – powiedział.

Zagłębili się w tłum i znaleźli blisko dwóch tańczących dziewcząt o włosach upiętych w ozdobne korony przybrane jagodami i żółędziami. Miały rdzawo-brązowe sukienki i wstążki na szczupłych szyjach; zamiatając spódnicami, odsunęły się od Marka i Cristiny. Drwiły z ich nieporadności.

Cristinie zupełnie to nie przeszkadzało.

– Dlaczego faerie? – ciągnął Mark. – Dlaczego postanowiłaś się w nich specjalizować?

– Przez ciebie.

Odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Na jego ekspresyjnej twarzy odmalowało się zaskoczenie, w kącikach ust zarysował się cień zdumienia.

– Przez ciebie, Marku Blackthornie – powiedziała.

– Przeze mnie? – poruszył bezgłośnie wargami.

– Byłam w ogrodzie różanym mojej matki, kiedy usłyszałam, co się z tobą stało. Miałam trzynaście lat. Mroczna Wojna dobiegała końca, zawarto

Zimny Pokój. Wszyscy Nocni Łowcy wiedzieli o tym, że twoja siostra została wygnana, a ty porzucony; mnie powiedział o tym mój stryjeczny dziadek. W rodzinie zawsze żartowano, że mam miękkie serce i łatwo doprowadzić mnie do płaczu. Dziadek wiedział, że się o ciebie martwię... i powiedział mi bez ogródek: „Twój zaginiony chłopiec już nigdy się nie odnajdzie”.

Mark z wysiłkiem przełknął ślinę. Emocje przepływały w jego oczach jak burzowe chmury. Typowe dla Juliana rezerwa i opanowanie były mu zupełnie obce.

– I co? – zapytał. – Mieli rację?

– Z czym?

– Płakałaś?

Nadal tańczyli, ale ich ruchy stały się niemal mechaniczne. Cristina zapomniała kroków, istniał dla niej tylko Mark w jej ramionach, jego oddech, jej palce splecione na jego karku.

– Nie, nie płakałam. Postanowiłam natomiast, że wszystkie siły poświęcę unicestwieniu Zimnego Pokoju. Wtedy nie był dobrym Prawem i dziś też nim nie jest.

Usta Marka się rozchyliły.

– Cristino...

– Czego się państwo napiją? – przerwał im głos jak trzepot gołębic skrzydeł, miękki i lekki. – Coś dla ochłody?

Stał przed nimi faerie o twarzy kota, włochatej i opatrzonej długimi wąsami, odziany w złachmaniony edwardiański garnitur. Na złotej tacy niósł liczne małe kieliszki wypełnione napitkami w różnych kolorach: niebieskim, czerwonym, bursztynowym.

– Czy są zaczarowane? – spytała bez tchu Cristina. – Czy będę po nich miała dziwne sny?

– Ugaszą pragnienie, pani – zapewnił faerie. – Ja zaś w zamian proszę tylko o jeden pani uśmiech.

Cristina wybrała kieliszek z bursztynowym płynem. Smakował jak passiflora, zarazem słodko i cierpko; zdążyła przełknąć jeden łyk, zanim Mark wytrącił jej kieliszek z ręki. Kieliszek spadł z brzękiem na ziemię, napój ochlapał dłoń Marka, który zlizzał go ze skóry, mierząc Cristinę spojrzeniem spode łba.

Cofnęła się przed nim. Czuła rozlewające się w jej piersi przyjemne ciepło.

Sprzedawca napojów klócił się z Markiem, który dał mu na odczepnego monetę – zwykłego przyziemnego centa – i ruszył za Cristiną.

– Zatrzymaj się – powiedział. – Zwolnij, Cristino. Zmierzasz w sam środek zabawy, tam muzyka rozbrzmiewa jeszcze głośniej...

Zatrzymała się i wyciągnęła do niego rękę. W tej chwili nie znała strachu. Wiedziała, że powinna się bać: wypila napój faerie, nie wiedziała, co będzie dalej, ale na razie czuła się tak, jakby leciała w powietrzu. Szybowała swobodnie i tylko Mark trzymał ją na uwięzi.

– Zatańcz ze mną – poprosiła.

Dogonił ją. Nadal się na nią złościł, ale objął ją mocno.

– Wystarczy ci już tańca. Picia też.

– Dość tańca?

Znowu te dziewczyny w rdzawych sukienkach, z czerwonymi wargami, roześmiane. Gdyby nie różny kolor oczu, byłyby prawie nie do odróżnienia. Jedna z nich zdjęła ozdobną wstążkę z szyi. Cristina wybałuszyła z niedowierzaniem oczy: jej szyja była okrutnie pobliźniona, jakby w przeszłości niemal odcięto jej głowę.

– Tańczcie razem – powiedziała. Wypluła te słowa niczym klątwę. Oplotła wstążką nadgarstki Marka i Cristiny i związała ich ze sobą. – Miłego związania, Myśliwy.

Wyszczrzyła w uśmiechu zęby. Były czarne, jakby pomalowane, i ostre jak igły.

Cristinie zaparło dech w piersi. Zatoczyła się do tyłu i pociągnęła za sobą związanego z nią Marka. Łącząca ich wstążka nie pękła, nie zaczęła się strzępić, lecz rozciągnęła się jak guma. Mark doskoczył do Cristiny i złapał ją za rękę. Ich palce się splotły.

Teraz to on pociągnął ją za sobą. Szedł szybko i pewnie po nierównym gruncie, wyszukując obszary rzadszej mgły. Przepchnęli się pomiędzy tancerzami do miejsca, w którym mieli pod stopami świeżą, niezdeptaną trawę. Muzyka przycichła.

Mark skręcił w stronę niewielkiego zagajnika, uchylił się przed gałęziami drzew i rozgarnął te najniższe, przygięte pod ciężarem owoców aż do ziemi, żeby ułatwić przejście Cristinie. Kiedy weszła za nim, puścił przytrzymywane gałęzie i znaleźli się na skrawku przestrzeni zupełnie ukrytym przed światem. Wtedy usiadł i wyciągnął zza pasa nóż.

– Podejdz – polecił.

Cristina usiadła obok, a wtedy ujął ją za przegub dłoni i drugą ręką przeciął łączącą ich wstążkę.

Wstążka wydała cichy odgłos, jakby pisk zranionego zwierzątka, wystrzępiła się, w końcu pękła do końca. Mark puścił rękę Cristiny i wypuścił nóż. W sączącym się z góry słabym świetle wstążka na jego nadgarstku wyglądała jak krew.

Drugi jej kawałek oplatał nadgarstek Cristiny, wolny koniec ciągnął się po ziemi. Cristina tak długo skubała wstążkę paznokciem (palce co rusz ślizgały jej się po skórze – pewnie przez ten napój faerie, pomyślała), aż ta ustąpiła i spadła.

Spojrzała na Marka. Miał ściągniętą, zbolaną twarz. Nie widziała jego oczu.

– To się mogło bardzo źle skończyć – powiedział, odrzucając strzęp wstążki. – Tego rodzaju zaklęcie potrafi związać ze sobą dwoje ludzi, a potem wpędzić jedno z nich w obłęd, sprawić, że się utopi i pociągnie za sobą drugie.

– Przepraszam, Mark. Powinnam była cię posłuchać, lepiej ode mnie znasz się na urządzanych przez faerie zabawach. Ty masz doświadczenie, a ja tylko przeczytane książki.

– To nie tak – zaproponował Mark. – Ja też chciałem tam pójść. I świetnie mi się z tobą tańczyło. Miło było być tam z kimś, kto jest...

– Człowiekiem? – podsunęła Cristina.

Ciepło, które czuła w piersi, przeobraziło się w uczucie dziwnego szczypania, palące napięcie, który nasilało się, ilekroć spojrzała na Marka, na zarys jego kości policzkowych, zagłębienia skroni... Spod rozpiętej pod szyją luźnej koszuli koloru pszenicy wyzierało to miejsce, które zawsze uważała za najpiękniejsze w męskim ciele: gładki mięsień powyżej obojczyka i zagłębienie tuż pod nim.

– Tak, człowiekiem – przytaknął. – Niby wszyscy jesteśmy ludźmi, wiem, ale naprawdę niewiele znałem istot tak bardzo ludzkich jak ty.

Cristina zaniemówiła. To zalegająca w Faerie mgła odbiera mi mowę, pomyślała. Mgła i wszechobecna magia.

– Jesteś dobrym człowiekiem – ciągnął Mark. – Mało spotkałem ludzi, którzy byliby tak pełni dobroci. W Dzikim Polowaniu nie było miejsca

na dobroć. Kiedy pomyślę, że w chwili ogłoszenia Zimnego Pokoju tysiąc mil od Idrisu żył ktoś, kto nigdy mnie nie spotkał, lecz mimo to oplakiwał porzuconego chłopca...

– Przecież powiedziałam, że nie płakałam – przypomniała łamiącym się głosem Cristina.

Dłoń Marka była jak jasna plama w ciemności. Poczwała jego palce na policzku. Kiedy je cofnął, były wilgotne i lśniące w przefiltrowanym przez mgłę świetle.

– Teraz płaczesz.

Złapała jego dłoń, mokrą od jej łez, a gdy pochyliła się ku niemu we mgle i go pocałowała, poczuła w ustach słony smak.

Kiedy zaskoczony Mark znieruchomiał, Cristinę przeszła lodowata włócznia lęku, zgrozy gorszej, niż mogłaby ją porazić na widok najstraszliwszego demona, myśl, że mógłby tego nie chcieć, że jej zachowanie go przeraziło...

– Cristino... – wykrztusił, gdy odsunęła się od niego. Uklęknął, objął ją odrobinę nieporadnym gestem, drugą dłoń wsunął w jej włosy. – Cristino – powtórzył łamiącym się, chrapliwym z żądz głosem.

Ujęła go obiema rękami za twarz, kładąc dłonie na zapadniętych policzkach. Zdumiała ją miękkość jego skóry w porównaniu z szorstkim zarostem Diego. Tym razem nie stawiała oporu, gdy zamknął ją w kręgu zakreślonym przez lewe ramię i przywarł wargami do jej warg.

Gwiazdy eksplodowały jej pod powiekami, i to nie były jakie gwiazdy, lecz wielobarwne gwiazdy Faerie. Zobaczyła mgławice i konstelacje. Poczwała smak nocnego powietrza na ustach Marka, które poruszały się gorączkowo przyciśnięte do jej ust. Nadal szeptał jej imię, niezrozumiałe pomiędzy jednym pocałunkiem i drugim. Wolną ręką przesunął w górę od jej talii. Jęknął, gdy jej palce wśliznęły się za kołnierzyk jego koszuli, powiodły po obojczyku, dotknęły pulsu bijącego na szyi.

Powiedział wtedy coś w języku, którego nie znała, a potem już leżał na wznak na ziemi, ona leżała na nim, a on przyciągał ją do siebie, położywszy zapalczywe dłonie na jej plecach i barkach. Zastanawiała się, czy tak to właśnie wyglądało, kiedy był z Kieranem, czy był tak samo porywczy i niedelikatny. Przypomniała sobie, jak widziała ich całujących się na pustyni na tyłach Instytutu – to był dziki, gorączkowy akt, zderzenie dwóch ciał. Ten

widok obudził w niej wtedy płomień pożądania, a teraz jego wspomnienie miało ten sam efekt.

Mark wygiął plecy w łuk i stęknął, gdy Cristina zsunęła się niżej, całując go najpierw w szyję, a potem – przez koszulę – w pierś. Kiedy jej palce dotknęły guzików, zaśmiał się bezgłośnie, wyszeptał jej imię i powiedział:

– Nie sądziłem, że kiedyś zechcesz choćby spojrzeć na mnie. Ktoś taki jak ty, arystokratka wśród Nocnych Łowców, prawie jak księżniczka...

– To niesamowite, jaki efekt daje odrobina zaczarowanego napoju faerie – odparła.

Chciała, żeby wypadło to lekko i prowokacyjnie, ale Mark nagle znieruchomiał, a kiedy po chwili się poruszył, szybko i zwinnie wysliznął się spod niej, odsunął i podniósł ręce, jakby chciał ją odepchnąć.

– Napoju faerie? – powtórzył.

– Tego słodkiego napitku, który podała mi mężczyzna o twarzy kota – wyjaśniła zaskoczona Cristina. – Przecież też go spróbowałeś.

– Nie było w nim niczego niezwykłego – odparował Mark z nietypową dla siebie gwałtownością. – Zorientowałem się, gdy tylko przytknąłem usta do skóry. To był zwykły sok jeżynowy.

Cristina wzdrygnęła się lekko zarówno na widok jego gniewu, jak i uświadomiwszy sobie nagle, że tego, co przed chwilą zrobiła, nie może usprawiedliwić zamazującym granice rzeczywistości działaniem magii.

– Myślałam...

– Myślałaś, że mnie całujesz, bo jesteś wstawiona. Nie dlatego, że tego chciałaś czy że naprawdę ci się podobam.

– Ale ty naprawdę mi się podobasz. – Cristina dźwignęła się na kolana, ale Mark zdążył przez ten czas wstać. – Od samego początku, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłam.

– To dlatego zesłałaś się z Diego? – Mark pokręcił głową, odsuwając się coraz dalej. – Może ja tego po prostu nie potrafię.

– Czego nie potrafisz? – Cristina również wstała. Zatoczyła się lekko.

– Być człowiekiem, który kłamie – odparł niewzruszony.

– Przecież już kłamałeś – zauważyła. – Kłamałeś, że jesteś z Emmą.

– Współuczestniczyłaś w tym kłamstwie.

– Ponieważ było to koniecznością. Musieliśmy kłamać dla dobra ich obojga. Gdyby Julian nie kochał Emmy, nie trzeba by go oszukiwać, że...

Cristina urwała w pół słowa. Mark zbladł.

– Co powiedziałaś?

Zakryła usta dłonią. Uczucie łączące Emmę z Julianem stanowiło nieodłączną część jej wiedzy na ich temat i czasami łatwo jej było zapomnieć, że nie wszyscy o tym wiedzą. Przecież każde ich słowo i każdy gest zdradzały prawdę, nawet teraz. Jak Mark mógł nie wiedzieć?

– Przecież są *parabatai* – wykrztusił zaskoczony. – To wbrew prawu. Kara za coś takiego... Julian by tego nie zrobił. Po prostu nie i już.

– Przepraszam, powiedziałam za dużo. Ale myślałam...

– Nic nie myślałaś.

Mark odwrócił się plecami, rozgarnął gałęzie i wyszedł spomiędzy drzew.

Ruszyła za nim. Musiała mu wytłumaczyć, że za żadne skarby nie może nic powiedzieć Julianowi. Zdrada ciążyła jej jak kamień na sercu. Poczucie niedawnego upokorzenia rozpląnęło się w lęku o Emmę i w świadomości tego, co właśnie zrobiła. Suche krawędzie liści nieprzyjemnie podrapały jej skórę, a gdy sekundę później znalazła się na zielonym zboczu wzgórza, zobaczyła Juliana.

* * *

Muzyka obudziła Juliana, muzyka i wrażenie wszechogarniającego ciepła. Dawno już nie było mu ciepło, nawet kiedy nocą zawijał się w koce.

Zamrugał i otworzył oczy. Z oddali dobiegały dźwięki muzyki snującej się pod niebem lekko jak pasemka delikatnej mgły. Spojrzał w bok, gdzie powitał go przyjemnie znajomy widok: tuż obok spała Emma z kurtką podłożoną pod głowę. Nadal trzymali się za ręce, jego opalone palce oplatały się wokół jej palców, jaśniejszych i drobniejszych.

Z bijącym sercem wyplątał dłoń z uścisku Emmy i zerwał się na nogi. Zastanawiał się, czy to on przez sen wyciągnął rękę do niej, czy ona do niego. Nie, ona na pewno by tego nie zrobiła, miała przecież Marka. Mogła całować się z nim, Julianem, ale wymówiła imię Marka.

Wyobrażał sobie, że nic złego się nie stanie, jeżeli położą się tak blisko siebie, ale najwyraźniej się mylił. Dłoń wciąż paliła go żywym ogniem, za to resztą ciała znów odczuwał dokuczliwy chłód. Emma zamruczała coś i odwróciła się; jasne włosy opadły jej na zwróconą ku górze dłoń, jakby

wyciągniętą do niego.

Nie mógł tego znieść. Podniósł z ziemi kurtkę, narzucił ją na ramiona i poszedł na szczyt pagórka, żeby się rozejrzeć; może uda mu się stwierdzić, jak blisko gór się znajdują i ile czasu potrzeba, by dotrzeć na Ciemny Dwór i zakończyć tę nierozważną misję. Nie miał pretensji do Marka, naprawdę. Kieran był dla Marka jak rodzina, a Julian rozumiał znaczenie rodziny lepiej niż prawie wszystko inne na świecie.

Zaczynał się już martwić o rodzeństwo pozostawione w Instytucie; zastanawiał się, czy się złością, czy boją. I czy mu wybaczą. Nigdy przedtem nie zostawiał ich samych. Nigdy.

Wiatr zmienił kierunek, muzyka rozbrzmiała głośniejsze, a Julian złapał się na tym, że stoi na krawędzi zbocza i patrzy z góry na porośniętą zieloną trawą równinę, tu i ówdzie upstrzoną zagajnikami i schodzącą ku rozległej odkrytej przestrzeni, na której poruszały się kolorowe plamy.

Tancerze. Poruszali się w rytm muzyki, która zdawała się wzbierać z wnętrza ziemi; natarczywa i nieznosząca sprzeciwu wzywała, żeby się jej poddać, dołączyć do tańca, dać się jej porwać niczym morskiej fali, która wyniesie cię na brzeg.

Wyraźnie czuł jej zew, choć na razie dostatecznie odległy, by nie sprawiać przykrości. Zatręsknił za swoimi pędzlami. Gdziekolwiek obrócił wzrok, dostrzegał takie bogactwo kolorów i ruchu, że najchętniej od razu przeniósłby się do swojej pracowni i stanął przed sztalugami. Miał wrażenie, że ogląda specjalnie spreparowane obrazy, w których ktoś podkreślił nasycenie barw do maksimum. Liście i trawa były intensywnie, niemal zjadliwie zielone; owoce skrzyły się jaśniej od klejnotów; nurkujące i śmigające w powietrzu ptaki miały takie kolory, jakby nie musiały się obawiać żadnych naturalnych wrogów i po prostu pyszniły się swoim upierzeniem.

– Co się dzieje?

Odwrócił się i zobaczył ją tuż za sobą, na grzbiecie wzgórza. Emma. Rozpuszczone długie włosy okalały jej głowę jak arkusz cieniutko wyklepanej blachy. Serce od razu żywiej mu zabiło. Ten zew był o wiele silniejszy niż wabiące nuty muzyki faerie.

– Nic – odparł głosem bardziej ochryplym niż planował. – Szukam Marka i Cristiny. Gdy tylko ich znajdę, powinniśmy ruszać. Czeka nas jeszcze długi

marsz.

Emma z tęsknym wyrazem twarzy podeszła bliżej. Przeświecające przez chmury słońce nadawało jej włosom intensywnie szafranowy odcień. Julian z całej siły zacisnął pięść, żeby powstrzymać odruch, który kazał mu wyciągnąć rękę i zanurzyć rozcapierzone palce w tych włosach, które rozpuszczała zwykle tylko na noc. Przypominały mu się te chwile spokoju pomiędzy zmierzchem i nocą, gdy dzieci szły już spać, a on zostawał sam na sam z Emmą; chwile ściszonych głosów i bliskości, dalece poprzedzające czasy, w których zdał sobie sprawę, że łączy ich coś więcej niż więź właściwa *parabatai*. W jej rysach, kiedy spała, w opadających na twarz włosach, w cieniach rzęs na policzkach odnajdywał spokój, jakiego rzadko udawało mu się zaznać.

– Słyszysz tę muzykę? – zapytała.

Zrobiła kolejny krok w jego stronę. Znaleźli się na tyle blisko, że mogli się dotknąć. Julian zastanawiał się, czy tak właśnie czują się ludzie uzależnieni od narkotyków: pragną czegoś, o czym wiedzą, że nie powinni tego mieć; myślą: „Ten jeden raz nic nie zmieni”.

– Nie rób tego, Emmo – powiedział. Nie był pewien, o co właściwie prosi. Nie zbliżaj się do mnie, nie mogę tego znieść.

Nie patrz tak na mnie.

Nie bądź wszystkim, czego pragnę, ale nie mogę mieć.

Nie każ mi zapomnieć, że należysz do Marka, zwłaszcza że i tak nigdy nie mogłabyś należeć do mnie.

– Proszę... – Spojrzała na niego szeroko otwartymi, zbolalymi oczami. – Proszę cię, muszę...

Ta częśćka Juliana, która nigdy nie potrafiła znieść świadomości, że jest potrzebny, kazała mu rozluźnić ręce i przesunąć stopy. W okamgnieniu znalazł się tuż przy niej, ich ciała niemal się zderzyły. Dotknął jej policzka. Z lekkim zdumieniem stwierdził, że nie przypięła Cortany do pasa. Dlaczego ją porzuciła?

Jej oczy zabłyśły. Wspięła się na palce i zadarła lekko głowę. Jej wargi się poruszyły, ale nie usłyszał słów, zagłuszonych tętnieniem krwi w uszach. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś powaliła go fala w oceanie, przygniotła do dna, bez tchu. Nie mógł wstać przejęty zgrozą, ale zarazem pogodzony z losem: oto dał się ponieść czemuś, co było od niego silniejsze, i nie musiał

już walczyć.

Oplotła rękami jego szyję i przywarła wargami do jego warg. Przestał walczyć. Poddał się. Wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się, serce zabiło mocniej, jakby zamierzało eksplodować, krew i energia zatętniły mu w żyłach. Złapał ją, tulącą się do niego, drobną i silną w jego ramionach. Zaparło mu dech w piersi. Poczłł słodko-ostry smak krwi.

Ale nie poczuł znajomego smaku Emmy, nie poczuł także jej znajomej woni; ulotniła się słodycz nagrzonej słońcem skóry, ziołowy zapach mydła i szamponu, aromat stroju bojowego, złota, dziewczyny.

Kiedy dorastasz w czyimś towarzystwie, kiedy jest w twoim życiu ktoś, o kim śnisz i kto kształtuje twoją duszę i odciska swoje piętno na twoim sercu – to niemożliwe, byś nie rozpoznał tej osoby podczas pocałunku.

Julian szarpnął się do tyłu i otarł usta wierzchem dłoni. Miał krew na knykcjach.

Przed nim stała kobieta faerie o skórze jasnej i gładkiej jak nieskalane, niepomarszczone płótno. Miała intensywnie czerwone usta i uśmiechała się szeroko. Jej włosy miały kolor pajęczyny... nie, one po prostu były pajęczyną – szarą, delikatną, unoszoną wiatrem pajęczyną. Mogła być w dowolnym wieku. Jej jedyny strój stanowiła czarna wystrzępiona halka. Była zarazem piękna i odrażająca.

– Zachwycasz mnie, Nocny Łowco – zagadnęła śpiewnie. – Nie wrócisz w me ramiona, by znów skosztować moich pocałunków?

Wyciągnęła do niego ręce.

Zatoczył się do tyłu. Nigdy w życiu nie całował nikogo poza Emmą i teraz było mu niedobrze, na ciele i na duszy jednocześnie. Chciał sięgnąć po serafickie ostrze, wypalić rozdzielające ich powietrze, poczuć, jak znajome gorąco rozlewa się w górę ramienia, w głąb żył i wypala te mdłości. Ledwie jednak zacisnął dłoń na rękojeści, przypomniał sobie, że seraficka broń nie działa w Faerie.

– Zostaw go! – zawołał ktoś. – Zostaw w spokoju mojego brata, *leanansídhe!*

Mark wynurzył się z zagajnika ze sztyletem w dłoni. Cristina deptała mu po piętach.

Faerie parsknęła śmiechem.

– Wasza broń nie działa w tym królestwie, Nocny Łowco.

Coś pstryknęło: to Cristina otworzyła swój nóż motylkowy.

– Podejdz i rzuć wyzwanie mojemu nożowi, kobieto z kurhanu.

Faerie cofnęła się, sycząc głośno. Julian dostrzegł krew na jej zębach. Swoją krew. Z obrzydzenia i złości zakręciło mu się w głowie, a kobieta okręciła się na pięcie, puściła się biegiem i w okamgnieniu stała się szaroczną plamą pędzącą w dół zbocza.

Słońce zachodziło, cienie gęstniały na ziemi. Muzyka ucichła i tancerze zaczęli się rozchodzić. Noc najwidoczniej nie sprzyjała tej akurat hulance.

– Julian... – Mark z troską w oczach pośpieszył na spotkanie brata. – Źle wyglądasz. Usiądź, napij się wody...

Z góry dobiegło ciche gwizdnięcie. Julian odwrócił się i zobaczył Emmę: stała na grani i przypinała Cortanę do pasa. Na ich widok na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

– Tak się właśnie zastanawiałam, gdzie się podzialiście. – Zbiegła do nich, uśmiechając się z nadzieją. – Bałam się, że pojedliście owoców faerie i teraz biegacie na golasa po trawie.

– Żadnych golasów – odparł Julian. – Żadnego biegania po trawie.

Emma mocniej zapięła pas z Cortaną. Włosy zaplotła w długi warkocz, z którego wymknęło się parę jasnych pasemek. Powiodła wzrokiem po zaniepokojonych twarzach przyjaciół.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytała.

Julian wciąż jeszcze czuł na sobie dotyk palców *leanansídhe*. Wiedział, kim są *leanansídhe*: dzikimi faerie, które przyjmowały kształty takie, jakie ich ofiara najbardziej chciała zobaczyć, uwodziły ją, a następnie żywiły się jej krwią i skórą. Całe szczęście, że tylko on jeden oglądał ją jako Emmę; Mark i Cristina od razu ujrzeli jej prawdziwą postać, co oszczędziło mu upokorzenia.

– Wszystko gra – zapewnił Emmę. – Pora ruszać. Gwiazdy już wschodzą, a przed nami jeszcze daleka droga.

* * *

– No dobrze – powiedziała Livvy, stanąwszy przed wąskimi drewnianymi drzwiami, które wyraźnie się wyróżniały się na tle reszty wnętrza Instytutu, nowoczesnego gmachu ze szkła i metalu. Wyglądały jak ostrzeżenie. –

Jesteśmy na miejscu.

Nie paliła się do otworzenia drzwi.

Postanowili (we dwoje z Ty'em, bo Kit pełnił głównie rolę milczącego widza) udać się prosto do gabinetu Arthura Blackthorna. Nawet jeśli była druga w nocy, a Arthur nie chciał sobie zawracać głowy Centurionami, musiał się dowiedzieć, co planuje Zara.

Zara chce przejąć Instytut, tłumaczyła Livvy, gdy wracali plażą do punktu wyjścia. To dlatego powiedziała o Arthurze to, co powiedziała. Była gotowa opowiedzieć każdą bzdurę.

Kit nigdy nie poświęcał wiele uwagi Instytutom. Trochę przypominały mu tętniące życiem komisariaty, w których Nocni Łowcy sprawowali pieczę nad określonymi miejscami – chociaż w rzeczywistości bardziej przypominały miniaturowe miasta-państwa: władały pewnym niewielkim terenem, a na ich czele stały rody wyznaczone przez obradującą w Idrisie Radę.

– Naprawdę istnieje całe prywatne państwo zamieszkane w całości przez Nocnych Łowców? – nie mógł się nadziwić Kit, gdy szli drogą w stronę Instytutu, którego cień rysował się na tle nieodległych gór.

– Tak – przytaknęła lakonicznie Livvy, co miało oznaczać: „Zamknij się i słuchaj”.

Kit miał wrażenie, że tłumacząc mu instytutowe zawiloci, sama układa sobie wydarzenia w głowie i próbuje je zrozumieć. Trzymał więc język za zębami i słuchał.

Każdy Instytut miał szefa, który mieszkał w nim wraz z rodziną. Instytut zapewniał także dach nad głową członkom rodzin nieżyjących Nefilim oraz sierotom po Nocnych Łowcach. Szefowie mieli wielką władzę; z ich grona wybierano większość Konsulów, a ci mieli prawo zgłaszania projektów ustaw, które – po ewentualnym uchwaleniu – stawały się obowiązującym Prawem.

Wszystkie Instytuty ziały pustką, nie tylko ten w Los Angeles, w którym, prawdę mówiąc, za sprawą obecności Centurionów zapanował akurat absolutnie wyjątkowy ścisk. Ale tak to właśnie miało wyglądać: puste gmachy mogły w każdej chwili przyjąć cały pułk Nocnych Łowców, gdyby tylko zaszła taka potrzeba. Instytut nie miał personelu z prawdziwego zdarzenia, bo go mieć nie musiał: przydzieleni do niego Nocni Łowcy, tworzący tak zwane

Konklawe, mieszkali w swoich domach rozproszeni po całym mieście.

Chociaż Nocnych Łowców w ogóle pozostało niewiele, ciągnęła ponuro Livvy. Bardzo wielu poległo w zakończonej przed pięcioma laty wojnie. Gdyby jednak ojciec Zary stanął na czele Instytutu w Los Angeles, nie tylko mógłby forsować swoje bigoteryjne przepisy, ale automatycznie wyrzuciłby na bruk Blackthornów, którym nie pozostałoby nic innego, jak udać się do Idrisu.

– A czy w tym Idrisie jest tak źle? – zapytał Kit, gdy weszli na schody.

Nie chciał zostać odesłany do Idrisu, zdążył się już przyzwyczaić do Instytutu w L.A. Chociaż gdyby ojciec Zary przejął władzę, Kit nie miałby również ochoty zostawać na miejscu. Zwłaszcza jeśli ojciec choć trochę przypominał córkę.

Livvy zerknęła na Ty'a, który podczas całej jej przemowy nie odezwał się ani słowem.

– Idris jest w porządku. Ba, jest całkiem fajny. Ale to tutaj jest nasz dom.

Wtedy właśnie stanęli przed drzwiami pokoju Arthura i zapadła cisza. Kitowi przyszło do głowy, że może to on powinien otworzyć drzwi i pierwszy wejść do środka; zupełnie się nie przejmował tym, czy zdenerwuje Arthura Blackthorna, czy nie.

– Nie powinniśmy przeszkadzać wujowi Arthurowi. – Ty z niepokojem spojrzął na drzwi. – Obiecaliśmy Julianowi.

– Musimy – odparła Livvy i popchnęła drzwi.

Wąskie schodki prowadziły do ciemnego pokoju na poddaszu. Stało w nim kilka biurek, każde z własną lampą. Było ich tyle, że kiedy wszystkie lampy zostały zapalone, tak jak w tej chwili, pokój był jasno oświetlony. Ostre światło padało na każdą książkę, każdy zapisany skrawek papieru, każdy talerz z niedojedzonym posiłkiem.

Przy jednym z biurek siedział mężczyzna. Miał bosa stopy, na wystrzępiony sweter i dzinsy narzucił szlafrok, który kiedyś był zapewne niebieski, z czasem jednak sprął się i przybrał brudnobiały odcień. Mężczyzna bez wątpienia był Blackthornem: siwiejące włosy podkręcały mu się tak samo jak Julianowi, a błyszczące oczy miały ten sam niebiesko-zielony kolor.

Jego spjrzenie prześliznęło się teraz po Livvy i Ty'u i spoczęło na Kicie.

– Stephen – powiedział mężczyzna i wypuścił pióro z ręki. Spadło

na podłogę, kałuża atramentu rozlała się na deskach.

Livvy stała z rozdziawionymi ustami, a Ty cofnął się pod ścianę.

– Wujku, to jest Kit – powiedziała Livvy. – Kit Herondale.

Arthur zaśmiał się oschle.

– Herondale jak się patrzy – przyznał.

Jego oczy płonęły jak w gorączce. Wstał i podszedł do Kita, by spojrzeć na niego z góry.

– Dlaczego poszedłeś za Valentine’em? – zapytał. – Ty, który miałeś wszystko? „Czyż sam Apollo, z włosami złotymi i takąż harfą, nie jest zgorzkniałym bogiem, gdy się za nim podąża, pięknym zaś, gdy się na niego patrzy?”.

Roztaczał gorzki aromat starej kawy. Kit odsunął się od niego.

– Jakim Herondale’em będziesz? – zapytał Arthur szeptem. – Williamem czy Tobiasem? Stephenem czy Jace’em? Pięknym, zgorzkniałym, a może jednym i drugim jednocześnie?

– Wuju? – odezwał się Ty. Jego głos, choć podniesiony, lekko drżał. – Musimy z tobą porozmawiać. O Centurionach. Chcą przejąć Instytut. Nie chcą, żebyś dalej nim kierował.

Arthur odwrócił się do niego z zajadłą miną, zmierzył go prawie wrogim spojrzeniem... ale tylko prawie. Wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę? – zapytał. – Czy to prawda?

Jego śmiech narastał, był coraz gwałtowniejszy, aż zaczął do złudzenia przypominać szloch. Arthur odwrócił się i z powrotem usiadł przy biurku.

– Co za żart – mruknął z goryczą.

– To nie żart – powiedziała Livvy.

– Chcą mi odebrać Instytut, tak jakbym go trzymał. Nigdy w życiu nie kierowałem Instytutem, moje dzieci. To on wszystkim się zajmuje: prowadzi korespondencję, planuje spotkania, rozmawia z Radą.

– Kto? – odezwał się Kit, chociaż miał świadomość, że nie powinien się wtrącać do tej rozmowy. – Kto to wszystko robi?

– Julian – zabrzmiał głos Diany. Stała u szczytu schodów na poddasze i rozglądała się po pokoju takim wzrokiem, jakby zaskoczyła ją intensywne iluminacja. Na jej twarzy malowała się rezygnacja. – Mówi o Julianie.

Tak chce Pan

Znajdowali się w biurze Diany. Ocean za oknem wyglądał jak pofalowane aluminium oświetlone czarnym światłem.

– Przykro mi, że musieliście dowiedzieć się prawdy o wuju – powiedziała Diana.

Stała oparta tyłem o biurko. Mimo że była ubrana w zwyczajne dzinsy i sweter, nadal wyglądała nieskazitelnie. Zaczesane do tyłu włosy spięła skórzaną klamrą.

– Miałam nadzieję... Julian miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Kit stał pod przeciwległą ścianą, Ty i Livvy przysiedli na blacie biurka, wyraźnie oszołomieni, jakby jeszcze nie doszli do siebie po ciosie w splot słoneczny. W tej chwili jak nigdy przedtem wyglądali na parę bliźniąt, mimo zupełnie różnej karnacji.

– Czyli przez te wszystkie lata to Julian kierował Instytutem – podsumowała Livvy. – Wszystkim się zajmował i jeszcze dodatkowo krył Arthura.

Kit przypomniał sobie wypad z Julianem na Nocny Targ. Niewiele spędził czasu w towarzystwie drugiego w kolejności starszeństwa z Blackthornów, ale Julian zawsze wydawał mu się przerażająco dorosły, jakby był znacznie starszy, niżby to wynikało z jego metryki.

– Powinniśmy się byli domyślić. – Dłoń Ty'a na przemian skręcała i rozkręcała przewód zawieszonych na szyi słuchawek. – Ja powinienem był się domyślić.

– Często nie dostrzegamy tego, co dzieje się najbliżej nas – odparła Diana. – Taka już ludzka natura.

– Ale Jules... – wyszeptała Livvy. – Miał zaledwie dwanaście lat. Musiało mu być strasznie ciężko.

Jej twarz zalsniła. W pierwszej chwili Kit pomyślał, że po prostu odbija się w niej światło zza okna, ale kiedy przyjrzał się jej uważniej, stwierdził, że jest mokra od łez.

– Zawsze bardzo was kochał – wyjaśniła Diana. – Dlatego tego właśnie chciał.

– Potrzebujemy go – powiedział Ty. – Potrzebujemy go tu i teraz.

– Powiniennem sobie pójść – odezwał się Kit.

Nigdy przedtem nie czuł się tak skrępowany. No, może nie nigdy (w tym momencie przypomniał sobie pięć pijanych wilkołaków i klatkę z traszkami na Nocnym Targu), ale z pewnością bardzo rzadko.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Zapłakana Livvy posłała mu złowieszcze spojrzenie. – Jesteś nam potrzebny, żeby opowiedzieć Dianie o Zarze.

– Z jej przemowy rozumiałem może co drugie słowo – zaprotestował Kit. – Było tam coś o szefach Instytutów, o rejestrach...

Ty odetchnął głęboko.

– Ja wszystko wyjaśnię.

Szczegółowa relacja z niedawnych wydarzeń działała na niego uspokajająco: wyrecytował fakty jak na defiladzie, jeden za drugim.

Kiedy skończył, Diana podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

– Czy któreś z was pamięta coś jeszcze? – zapytała, odwróciwszy się ponownie w ich stronę. – Cokolwiek?

– Jedną rzecz – przyznał Kit nieco zaskoczony, że może coś dodać od siebie. – Zara powiedziała, że do najbliższego zebrania Rady zostało niewiele czasu.

– Domyślam się, że to właśnie na tym spotkaniu chcą powiedzieć wszystkim o Arthurze – powiedziała Livvy – i wykonać pierwszy ruch na drodze do przejęcia Instytutu.

– Kohorta ma w Clave ogromne wpływy – przyznała Diana. – To paskudni dranie święcie przekonani, że każdego Podziemnego przyłapanego na łamaniu Porozumień należy skazywać na tortury. Bezwarunkowo popierają Zimny Pokój. Gdybym wcześniej wiedziała, że ojciec Zary też do nich należy... – Pokręciła głową.

– Zara nie może przejąć Instytutu – powiedziała Livvy. – Po prostu nie może i już. To nasz dom.

– Im nie chodzi o sam Instytut – przypomniał Kit – tylko o władzę, jaką

może im dać.

Pomyślał o znajomych Podziemnych z Nocnego Targu, wyobraził sobie, jak zostają aresztowani i napiętnowani, jak Clave nadaje im numery identyfikacyjne...

– Kohorta ma przewagę – zauważyła Livvy. – Zara wie o Arthurze, a my nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ktoś jeszcze się o nim dowiedział. Bo Zara ma rację: jeśli to wyjdzie na jaw, Clave odda Instytut w inne ręce.

– Wiemy coś na temat Dearbornów albo całej Kohorty? – zainteresował się Kit. – Coś, co pozwoliłoby ich zdyskredytować? Uniemożliwić im przechwycenie Instytutu, gdyby rzeczywiście go wam odebrano?

– Tak czy inaczej, stracimy Instytut – wytknął mu Ty.

– To prawda, ale Kohorta nie mogłaby wprowadzić rejestru Podziemnych. Pomysł może się wydawać nieszkodliwy, ale to się nigdy tak łatwo nie kończy. Zarze jest obojętne, czy Podziemni będą żyli, czy umrą: wystarczy, że wszyscy zostaną namierzeni i będą musieli się jej meldować, wtedy Kohorta uzyska pełnię władzy nad nimi. – Kit westchnął ciężko. – Naprawdę powinniście czasem czytać przyziemne książki historyczne.

– Może powinniśmy jej zagrozić, że powiemy o wszystkim Diego? – podsunęła Livvy. – On o niczym nie wie i... Wiem, wobec Cristiny zachował się jak palant, ale nie wierzę, żeby pozostał obojętny na plany Zary. Gdyby się dowiedział, rzuciłby ją. A tego wołałaby uniknąć.

Diana zmarszczyła brwi.

– Nie jest to wielki atut w naszych rękach – przyznała – ale lepsze to niż nic. – Wróciła do biurka, sięgnęła po długopis i kartkę. – Napiszę list do Aleca i Magnusa. Stoją na czele Sojuszu Podziemnych z Nocnymi Łowcami. Jeżeli ktoś coś wie o Kohorcie i sposobach na jej pokonanie, to oni na pewno.

– A jeśli nie?

– To spróbujemy z Diego – powiedziała Diana. – Chciałabym go darzyć większym zaufaniem, ale... – Westchnęła. – Lubię go, ale Manuela też lubiłam. Pozory mogą mylić.

– Czy nadal mamy wszystkim mówić, że Julian i pozostali wyprawili się do Akademii? – spytała Livvy.

Zeskoczyła z biurka. Miała podkrążone oczy, Ty garbił się ze zmęczenia, a Kit czuł się trochę tak, jakby oberwał w głowę workiem z piaskiem.

– Jeżeli ktoś się dowie, że poszli do Faerie, nie będzie miało znaczenia, co zrobimy w sprawie Zary – dodała Livvy. – Tak czy siak, odbiorą nam Instytut.

– Miejmy nadzieję, że niedługo wrócą. – Diana spojrzała na księżyc odbijający się w oceanie. – A jeżeli nadzieja nie wystarczy, będziemy się o to modlić.

* * *

Las się skończył, zmierzch się pogłębił i przeszedł w noc, czworo Nocnych Łowców przemierzało widmową krainę zielonych pól porozdzielanych niskimi kamiennymi murkami. Od czasu do czasu we mgle majaczyły im kolejne porażone plagą skrawki ziemi. Czasem dostrzegali w oddali wioskę i przemykali obok niej w milczeniu, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

Jeszcze przed wyruszeniem ze wzgórza zjedli większość zabranych z domu zapasów; nie było tego wiele, ale Emma nie czuła głodu. Jej żołądek zwinął się w kłębek nerwów i nieszczęścia.

Nie potrafiła zapomnieć tego, co zobaczyła po przebudzeniu.

Uniosła się lekko i rozejrzała w poszukiwaniu Juliana. Nie było go nigdzie w pobliżu, nawet wyleżana przez niego trawa zaczynała się już podnosić. Od gęstego, ciężkiego, szaro-złotego powietrza zakręciło jej się w głowie, gdy wspięła się na grań, żeby stamtąd zawołać Juliana po imieniu.

I wtedy go zobaczyła. Stał w połowie długości zbocza, wilgotny wiatr rozwiewał mu włosy i targał rękawy koszuli... Nie był sam. Towarzyszyła mu dziewczyna faerie w obszarpanej czarnej halce. Jej opadające do ramion włosy miały szaro-różowy kolor przypalonych płatków róży.

Emma miała wrażenie, że w pewnym momencie dziewczyna spojrzała na nią i się uśmiechnęła – ale mogło być i tak, że to tylko wyobraźnia spletała jej figła. Była jednak pewna, że to nie wyobraźnia podsunęła jej następną scenę, kiedy to faerie przytuliła się do Juliana i zaczęła go całować.

Nie była pewna, czego powinna oczekiwać. Jakaś jej cząstka spodziewała się, że Jules odepchnie dziewczynę. Zamiast tego objął ją i wplątał dłoń w jej lśniące włosy, a kiedy przyciągnął ją do siebie, żołądek wywrócił się Emmie na nice. Jules mocno obejmował faerie, ich usta poruszały się w jednym

rytmie, jej dłoń ześliznęła się z jego ramion w dół pleców.

Cała ta scena miała w sobie jakieś makabryczne piękno. Wspomnienie pocałunków Julesa przeszło Emmę na wylot. Nie okazywał teraz ani cienia wahania, niepewności, niechęci, nie hamował się, nie próbował zachować dla niej żadnego skrawka swojej istoty, bez reszty oddał się temu pocałunkowi. Jego widok wydał jej się równie piękny, jak okropna była świadomość, że naprawdę na dobre go straciła.

Miała wrażenie, że serce dosłownie pękło jej na dwoje, jak zrobione z kruchej porcelany.

Nagle dziewczyna faerie odsunęła się od Juliana, pojawili się Mark z Cristiną... Emma nie była w stanie dłużej patrzeć, odwróciła się i osunęła na trawę, z trudem powstrzymując wymioty. Oparła dłonie o ziemię i zacisnęła pięści.

Wstawaj! – ponagliła się ze złością. Przynajmniej tyle była Julesowi winna. On nie obnosił się ze swoim cierpieniem, kiedy z nim zerwała. Teraz ona powinna zachować się tak samo.

Jakoś udało jej się wstać, z przyklejonym do twarzy uśmiechem zejść do pozostałych, normalnie z nimi rozmawiać, kiwać głową, kiedy usiedli, żeby przed wymarszem podzielić się resztką jedzenia (w końcu wzeszły gwiazdy i Mark stwierdził, że będzie w stanie się nimi kierować), i udawać obojętność, gdy ruszyli w drogę: Julian ramię w ramię z bratem, Emma z Cristiną nieco z tyłu. W takim szyku przemierzali kręte, nieoznakowane ścieżki Faerie.

Każda z kolorowych gwiazd kreśliła własną barwną ścieżkę na firmamencie. Cristina, dziwnie milcząca, co rusz kopała napotykaną po drodze kamyki. Mark z Julianem wysforowali się naprzód i znaleźli poza zasięgiem słuchu.

– ¿*Qué onda?*? – spytała Cristina, zerkając na Emmę z ukosa.

Emma słabo mówiła po hiszpańsku, ale nawet ona zrozumiała pytanie: „Co się dzieje?”.

– Nic – odparła.

Czuła się fatalnie z tym, że okłamuje przyjaciółkę, ale jeszcze gorzej czuła się w tej chwili ze swoimi uczuciami. Gdyby zaczęła się nimi dzielić, tylko przydałaby im realności.

– To dobrze – powiedziała Cristina – bo muszę ci coś powiedzieć. – Wzięła

głęboki wdech. – Pocałowałam Marka.

– No, no... – mruknęła Emma, zapominając o swoich troskach. – No, no, no!

– Czy ty właśnie powiedziałaś „no, no, no”?

– Tak. Ale z czym właściwie mamy do czynienia? Sytuacją z gatunku „przybij-piątkę-wyszło-super” czy raczej „o-mój-Boże-i-co-my-teraz-zrobimy”?

Cristina nerwowo skubnęła niesforny kosmyk włosów.

– Sama nie wiem... On mi się bardzo podoba, ale... W ogóle na początku to myślałam, że całuję go tylko dlatego, że wypłam drinka faerie...

Emmie zaparło dech w piersi.

– Napiałś się ich wina? Cristino! To najprostsza droga, żeby stracić przytomność i obudzić się dzień później pod mostem z tatuażem „KOCHAM HELIKOPTERY”!

– To nawet nie było wino, tylko zwykły sok!

– Dobra, rozumiem. – Emma zniżyła głos. – Chcesz, żebym zerwała z Markiem? To znaczy... wiesz, żeby cała rodzina się dowiedziała, że nic nas nie łączy?

– A Julian? – zaniepokoiła się Cristina. – Co z Julianem?

Emma na moment zaniemówiła. Przed oczami stanął jej Julian w chwili, gdy śliczna faerie szła przez trawę w jego stronę; przypomniała sobie, jak ta dziewczyna go dotykała, jak on ją objął w odpowiedzi...

Nigdy wcześniej nie targała nią taka zazdrość. Odczuwała ją jak fizyczny ból starej, zabliznionej rany, ból, który w jakiś dziwny sposób był jej miły. Zasługiwała na niego. Jeżeli Julian cierpiał, to i ona powinna cierpieć – i powinna go uwolnić: miał prawo całować dziewczęta z Faerie, szukać miłości i być szczęśliwy. Nie robił nic złego.

Przypomniała sobie, co radziła jej Tessa: jeżeli chce, żeby Julian przestał ją kochać, musi go przekonać, że ona nie kocha jego. Wyglądało na to, że go przekonała.

– Wydaje mi się, że przedstawienie, które odegraliśmy z Markiem, spełniło swoją rolę – powiedziała. – Więc jeśli chcesz...

– Sama nie wiem – przyznała Cristina, biorąc głęboki wdech. – Muszę ci coś powiedzieć: pokłóciłam się z Markiem. Nie chciałam tego, ale...

– Stójcie! – zawołał z przodu Mark. Obaj z Julianem się odwrócili. Mark

podniósł rękę w ostrzegawczym geście. – Słyszeliście to?

Emma wyteńczyła słuch. Żałowała, że nie można samemu sobie nakładać Znaków: brakowało jej teraz runów ulepszających słuch, refleks i szybkość ruchów.

Pokręciła głową. Mark zdążył się przebrać w strój, który chyba nosił w Dzikim Polowaniu, ciemniejszy i bardziej znoszony od tego, w jakim wyruszył. Wtarł sobie nawet trochę ziemi w twarz i włosy. Jego różnokolorowe oczy błysnęły w półmroku.

– Posłuchajcie – powtórzył. – Jest coraz głośniejsza.

Nagle Emma usłyszała. To była muzyka, ale takiej muzyki nigdy przedtem nie słyszała – upiorne i nieharmoniczne dźwięki przyprawiały ją o ciarki, jakby nerwy związały jej się i rozkurczały pod skórą.

– Dwór jest już blisko – mówił dalej Mark. – To grają królewscy dudziarze. – Zszedł ze ścieżki w leśny gąszcz. – Chodźcie! – ponaglił pozostałych.

Ruszyli za nim. Emma szła tuż za Julianem, który wyjął miecz, żeby wyrąbywać sobie przejście w gęstwinie. Liście i gałązki obsypane drobnymi kwiatami koloru krwi spadały jej pod nogi.

Szli gęstym lasem. Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej. Błędne ogniki rozświetlały korony drzew nad ich głowami, a niżej z gałęzi zwieszały się kolorowe latarnie, prowadząc ich w głąb największej gęstwiny.

Ciemny Dwór wyrósł przed nimi znienacka. Towarzyszyła mu eksplozja jeszcze głośniejszej muzyki i oślepiających światła, które boleśnie raziły przyzwyczajone do ciemności oczy Emmy. Nie była już teraz pewna, jak wyobrażała sobie Ciemny Dwór – może spodziewała się zobaczyć potężny kamienny zamek, a w nim surową i ponurą salę tronową? A może komnatę elegancką jak mroczny klejnot zawieszoną pod szczytem wieży, na którą prowadzą kręcone szare schody? Przypomniała sobie cienie i półmrok zalegający w Mieście Kości, panującą tam martwą ciszę i chłód.

Tymczasem Ciemny Dwór wcale nie był budynkiem, lecz zbiorowiskiem namiotów, pawilonów i straganów nieco przypominającym Nocny Targ, a rozstawionym na polanie okolonej grubymi drzewami. Naczelne miejsce zajmował ogromny pawilon przybrany gdzie tylko się dało proporcami z aksamitu przedstawiającymi złoty znak złamanej korony. W środku znajdował się wysoki tron z gładkiego, połyskliwego czarnego kamienia. Był pusty. Na oparciu wyrzeźbiono dwie połówki korony zawieszane ponad

słońcem i księżycem.

W pobliżu tronu krzątała się gromadka arystokratów faerie. Mieli ciemne peleryny ozdobione insygniami królewskimi i dłonie obleczone grubymi rękawiczkami – takimi jak ta, którą Cristina znalazła w ruinach domu Malcolma. Większość z nich była młoda, niektórzy mieli nie więcej niż czternaście, piętnaście lat.

– Synowie króla Ciemnego Dworu – wyszeptał Mark. Przykucnęli za skupiskiem głazów i z bronią w rękach rozglądali się po okolicy. – Przynajmniej niektórzy.

– Co on? Nie ma córek? – mruknęła Emma.

– Nie są mu potrzebne – wyjaśnił Mark. – Podobno każe zabijać dziewczynki zaraz po urodzeniu.

Emma nie umiała powstrzymać gniewnego grymasu twarzy.

– Niech no ja go dorwę... – mruknęła. – Pokażę mu, do czego przydają się dziewczyny.

Nagle muzyka zagrała głośniejsze i wszystkie faerie poczęły schodzić się do pawilonu z tronem. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni byli odziani w przepyszne stroje w odcieniach złota, zieleni, błękitu i ognistej czerwieni.

– Już prawie czas. – Mark wyciągał szyję, żeby lepiej widzieć. – Król wezwał arystokratów do siebie.

Julian się wyprostował bezpieczny wśród ogromnych głazów.

– W takim razie musimy działać – powiedział. – Sprawdź, czy da się podejść bliżej. – Jego miecz zaśnił w świetle księżyca. – Chodź ze mną, Cristino.

Zaskoczona Cristina po chwili wahania skinęła głową.

– Naturalnie.

Wyjęła nóż, posłała Emmie ukradkowe, przepaszające spojrzenie i razem z Julianem zniknęła wśród drzew.

Mark oparł się o wielki głaz zasłaniający ich przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów na polanie.

– Nie dam rady – powiedział półgłosem, nie patrząc na Emmę. – Nie mogę dłużej okłamywać brata.

Emma zamarła.

– Okłamywać go? W jakiej sprawie? – spytała, chociaż wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

– W naszej. Nie chcę kłamać, że się kochamy. Musimy to zakończyć.

Emma zamknęła oczy.

– Wiem. Ty i Cristina...

– Powiedziała mi – wszedł jej w słowo Mark. – Powiedziała, że Julian się w tobie kocha.

Emma nie musiała otwierać oczu, żeby wciąż widzieć – pod powiekami – ognie pochodni płonących wokół polany i pawilonu.

– To nie jej wina, Emmo – mówił dalej Mark. – To się stało przypadkiem, ale kiedy powiedziała to, co powiedziała, od razu zrozumiałem. Cameron Ashdown od początku nie miał z tym nic wspólnego, prawda? Starłaś się chronić Juliana przed jego własnymi uczuciami. Jeżeli cię kocha, musisz go przekonać, że ty nie możesz tej miłości odwzajemnić.

Jego współczucie omal nie złamało jej serca. Otworzyła oczy; zamykanie ich było aktem tchórzostwa, a Carstairsowie nie byli tchórzami.

– Znasz Prawo, Mark. Znasz też tajemnicę Juliana, prawdę o Arthurze i Instytucie. Wiesz, co by się stało, gdyby ktoś się dowiedział, co by z nami zrobili, jaki los czekałby naszą rodzinę.

– Wiem, wcale nie jestem na ciebie zły. I gdybyś chciała do spółki z kimś innym okłamać Juliana, poparłbym cię bez wahania; czasem jesteśmy zmuszeni oszukiwać ludzi, których kochamy. Ale nie mogę być narzędziem, które sprawia mu ból.

– Nie ma nikogo innego. Myślisz, że zwróciłabym się do ciebie, gdybym miała jakiś wybór? – spytała desperackim tonem Emma.

Mark spochmurniał.

– Jak to nie ma nikogo innego?

– Nie ma nikogo innego, o kogo Julian byłby zazdrosny.

Zaskoczony Mark otworzył szeroko oczy... i w tej samej chwili za plecami Emmy trzasnęła gałązka. Emma okręciła się w miejscu, błysnęła Cortana.

To był Julian.

– Nie powinnaś chyba wyciągać miecza przeciw swojemu *parabatai* – zauważył, uśmiechając się półgębkiem.

Opuściła broń. Czy Julian słyszał, o czym rozmawiali? Nie sprawiał takiego wrażenia.

– A ty nie powinieneś tak hałasować – odparowała.

– Nie mamy runów Bezszelstności – przypomniał Julian. Przeniósł

wzrok na Marka. – Znaleźliśmy dogodne stanowisko bliżej tronu, Cristina już...

Mark stał jak skamieniały i patrzył na coś, czego Emma nie widziała. Julian ze zgrozą spojrział jej w oczy. Tymczasem Mark zaczął się przedzierać przez gąszcz.

Rzucili się za nim w pogoń. Emma czuła, jak pot spływa jej po plecach; starała się nie nastąpić na żadną delikatną gałązkę, żaden kruchy liść. Nagła świadomość tego, jak bardzo Nefilim przywykli do polegania na runach, była przykra i upokarzająca.

Bardzo szybko musiała się zatrzymać i omal nie wpadła przy tym na Marka, który nie odszedł daleko: stanął na skraju lasu, gdzie paprocie nadal zapewniały mu schronienie.

Z tego miejsca nic już nie przesłaniało im widoku na polanę. Emma doskonale widziała zgromadzone przed tronem faerie z Ciemnego Dworu: była ich co najmniej setka, jeśli nie więcej, wszyscy odziani w oszałamiająco piękne stroje, o wiele bardziej eleganckie, niż się spodziewała. Ciemnoskóra kobieta miała na sobie suknię z łabędzich piór, surową i białą; puchowy naszyjnik podkreślał zarys jej smukłej szyi. Dwaj mężczyźni o jasnej skórze narzucili różowe jedwabne peleryny na kamizelki ze skrzydeł błękitnika. Do pawilonu zbliżała się właśnie kobieta o skórze w pszenicznym odcieniu i włosach z płatków róż, ubrana w misterną suknię z kostek drobnych zwierząt powiązanych nicią uprzedziona z ludzkich włosów.

Mark nie patrzył jednak na żadne z nich, nie interesował go również pawilon, w którym zebrała się większość królewskich synów. Jego uwagę przyciągnęło dwóch książąt w czarnych jedwabiach. Jeden z nich – wysoki i brązowoskóry – nosił na szyi pozlacaną czaszkę kruka. Drugi miał jasną skórę, czarne włosy, pociągłą twarz i nosił brodę. Wlekli pomiędzy sobą bezwładnego więźnia w zakrwawionych szatach. Tłum rozstępował się przed nimi, mamrocząc cicho.

– Kieran – wyszeptał Mark i odruchowo ruszył przed siebie.

Julian złapał go za koszulę i zacisnął dłoń z taką siłą, że zbieleły mu knykcie.

– Jeszcze nie teraz – syknął.

Jego błyszczące oczy pały bezwzględnością i okrucieństwem, o których Emma kiedyś mu powiedziała, że ją przerażają. Nie bała się jednak wtedy

o siebie, lecz o niego.

Książęta podeszli do wysokiego drzewa o białej korze rosnącego przed pawilonem, nieco na lewo od wejścia. Brodaty pchnął Kierana, który z impetem uderzył o pień. Ten drugi, z czaszką kruka na szyi, powiedział coś ostrym tonem i pokręcił głową, ale brodacze zbył go śmiechem.

– Ten z brodą to książę Erec – wyjaśnił Mark. – Ulubieniec króla. Ten drugi to książę Adaon. Kieran mówił, że Adaon nie lubi krzywdzić ludzi, za to Erec to uwielbia.

Rzeczywiście tak to właśnie wyglądało. Erec wyjął upleciony z ciernistych pnączy sznur i podał go Adaonowi, który jednak pokręcił głową i poszedł do pawilonu. Wzruszywszy ramionami, Erec sam zaczął przywiązywać Kierana do pnia drzewa. Dla ochrony dłoni nosił grube rękawice, za to Kieran – ubrany tylko w rozdartą koszulę i spodnie – musiał boleśnie odczuwać ukłucia kolców wbijających mu się w przeguby dłoni i kostki stóp, a później także w szyję, gdy Erec oplótł ją sznurem i ścisnął mocno. W końcu Kieran obwisł bezwładnie, z półprzymkniętymi oczami, zobojętniały na dalsze cierpienie.

Mark instynktownie napiął wszystkie mięśnie, ale Julian go nie puszczał. Przez ten czas dołączyła do nich Cristina; z dłonią przyciśniętą do ust patrzyła, jak Erec kończy krępować Kierana i odsuwa się od drzewa.

Krew wezbrała w zadanych przez ciernie ranach. Głowa Kierana opadła w tył i oparła się o pień; Emma widziała teraz oboje jego przymkniętych oczu, srebrne i czarne. Jego jasna skóra pociemniała od krwiaków na policzku i z boku, powyżej biodra, gdzie miał rozdartą koszulę.

W pawilonie wybuchło małe zamieszanie i nagle ryk rogu rozdarł ciszę na polanie, dotąd maconą jedynie dyskretnym szmerem rozmów. Obok tronu stanęła wysoka postać – mężczyzna w stroju białym jak sól, w kamizelce z białego jedwabiu i rękawicach z białej kości. Z głowy wyrastała mu para białych zakrzywionych rogów, ostro kontrastujących z kruczymi włosami. Na czole nosił złotą przepaskę.

– To król – wyszeptała bez tchu Cristina.

Emma widziała go z profilu. Był piękny, wyrazisty i precyzyjny jak rysunek albo obraz przedstawiający coś doskonałego. Nie umiałaby opisać kształtu jego oczu, zarysu kości policzkowych ani konturu ust, brakowało jej też talentu Julesa, żeby je namalować, ale zdawała sobie sprawę, że są

nieziemsko piękne. Do końca życia miała zapamiętać oblicze króla Ciemnego Dworu Faerie.

Odwrócił się i teraz mogli zobaczyć jego twarz w pełnej krasie. Emma wyraźnie usłyszała, jak na ten widok Cristinie zapało dech w piersi. Twarz króla była przedzielona pionowo na dwie połowy: prawa jej część należąca do młodego mężczyzny promieniowała elegancją i pięknem, mimo że tkwiące w niej oko miało ogniste czerwona barwę; lewa połowa królewskiego oblicza była nieludzką maską z kości opiętych szarą, suchą skórą, a pusty, czarny oczodół przecinały okrutne blizny.

Przywiązany do drzewa Kieran spojrzął przelotnie na potworną twarz ojca i odwrócił wzrok. Opuścił głowę, splątane czarne włosy opadły mu na oczy. Erec pośpieszył do pawilonu, gdzie dołączył do Adaona i reszty książąt zebranych wokół władcy.

– Twarz króla Ciemnego Dworu... – Mark dyszał ciężko. – Kieran mi o niej opowiadał, ale...

– Spokojnie – odszepnął Julian. – Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Król jakby tylko na to czekał, bo w tej samej chwili przemówił:

– Ludu Ciemnego Dworu. Zebraliśmy się tutaj w smutnym celu: aby stać się świadkami wymierzenia sprawiedliwości jednemu z nas, który sięgnął po broń i zabił innego faerie w miejscu, gdzie powinien panować pokój. Kieran Myśliwy został uznany za winnego zamordowania jednego z moich rycerzy, Iarlatha z Ciemnego Dworu. Zabił go swoim mieczem tutaj, na ziemiach podległych władzy Ciemnego Dworu.

Tłum zaszemrał w odpowiedzi.

– Panujący wśród nas pokój ma swoją cenę – ciągnął król głosem dźwięcznym jak brzmienie dzwonka, pięknym i donośnym.

Coś dotknęło ramienia Emmy: dłoń Juliana, ta druga, wolna, którą nie przytrzymał wyrrywającego się do przodu Marka. Obejrzała się na niego zdumiona, ale on nie patrzył na nią, tylko przed siebie, na polanę.

– Żaden faerie z Ciemnego Dworu nie może podnosić ręki na swoich pobratymców. Kara za takie nieposłuszeństwo musi być sprawiedliwa. Za śmierć płaci się śmiercią.

Palce Juliana zatańczyły na ramieniu Emmy. Przez cienki materiał koszulki odczytała stary język ich wspólnego dzieciństwa:

Z-O-S-T-A-Ń T-U-T-A-J.

Odwróciła się do niego, ale on już zaczął się oddalać. Usłyszała syk Marka i złapała go za przegub dłoni, żeby nie pobiegł za bratem.

W świetle gwiazd Julian wyszedł na polanę pełną arystokratów Ciemnego Dworu. Emma z bijącym sercem ścisnęła nadgarstek Marka. Wszystko w niej wyrywało się, żeby pobic za jej *parabatai*, ale ponieważ kazał jej zostać, zostanie i będzie pilnować Marka – zwłaszcza że Julian szedł przed siebie z taką determinacją, jakby miał jakiś plan, a skoro miał plan, to jej nie pozostało nic innego, jak uwierzyć w możliwość jego powodzenia.

– Co on wyrabia? – jęknęła w napięciu Cristina.

Emma tylko pokręciła głową. Pierwsze faerie, stojące na obrzeżach polany, dostrzegły już Juliana i z zapartym tchem rozstępowały się przed nim. Nie próbował w żaden sposób ukrywać czarnych, permanentnych Znaków na skórze; naniesiony na wierzchu dłoni run Wzroku wyglądał, jakby łypał złowieszczo na krzykliwie wystrojone faerie.

– Nocny Łowca! – wykrzyknęła piskliwym głosem kobieta w kościanej sukni.

Król wyprostował się na tronie. Sekundę później kordon rycerzy faerie w czarno-srebrnych pancerzach otoczył Juliana kręgiem. Byli wśród nich obaj książęta, którzy zawlekli Kierana pod drzewo. Miecze ze srebra, złota i mosiądzu wzniosły się nad jego głową jak w posępnym hołdzie.

Kieran uniósł głowę i wybałuszył oczy wstrząśnięty widokiem Juliana.

Król wstał. Jego przedzielona na dwoje twarz sprawiała makabryczne wrażenie.

– Przeprowadźcie do mnie tego szpiega Nocnych Łowców, abym mógł własnoręcznie go zabić – polecił.

– Nie zabijesz mnie – odparł Julian spokojny i pewny siebie. – Nie jestem szpiegiem, lecz wysłannikiem Clave. Zabicie mnie oznaczałoby wypowiedzenie wojny.

Król się zawahał. Na jego twarzy odmalowało się zwątpienie.

Emma odczuła dziką chęć roześmiania się w głos. Julian skłamał z takim przekonaniem, że niewiele brakowało, by sama mu uwierzyła.

Mój *parabatai*, pomyślała, patrząc na Julesa, który dumnie wyprostowany stał przed królem. Jedyne siedemnastoletnie dziecko na świecie, które umie sprawić, żeby król Ciemnego Dworu zwątpił w słuszność swojej decyzji.

– Dlaczego Clave przysłało akurat ciebie? Dlaczego nie oficjalnego

posłańca?

Julian skinął głową, jakby spodziewał się tego pytania – bo najprawdopodobniej się spodziewał.

– Nie było czasu – odparł. – Kiedy dowiedzieliśmy się o zagrożeniu dla Kierana Myśliwego, wiedzieliśmy, że musimy natychmiast działać.

Z ust Kierana dobył się zdławiony dźwięk. Spod oplatającego szyję ciernistego sznura krew pociekła mu na obojczyk.

– Dlaczego Clave albo Konsul mieliby się interesować losem chłopca z Dzikiego Polowania? – zdumiał się król. – Chłopca, który na dodatek jest przestępcą?

– Jest także twoim synem – przypomniał Julian.

Król się uśmiechnął. Był to przedziwny widok: jedna połowa jego twarzy rozpromieniła się, druga wykrzywiła w upiornym grymasie.

– Nikt więc nie oskarży mnie o nepotyzm, gdy Ciemny Dwór wymierzy mi sprawiedliwość.

– Człowiek, którego zabił, Iarlath, był bratobójcą. Spiskował z Malcolmem Fade'em; razem planowali morderstwa faerie.

– Tych z Jasnego Dworu – podkreślił król. – Nie z naszego ludu.

– Utrzymujesz przecież, że jesteś władcą obu Dworów. Czy twoi przyszli poddani nie mają prawa oczekiwać po tobie sprawiedliwości i miłosierdzia?

Tłum ponownie zaszemrał, tym razem nieco ciszej. Król zmarszczył brwi.

– Iarlath zabijał także Nefilim – ciągnął Julian. – Kieran ocalił życie wielu z nich. Jesteśmy mu więc coś winni, a my zawsze spłacamy swoje długi. Nie pozwolimy wam odebrać mu życia.

– A jak zamierzasz nas powstrzymać? – warknął Erec. – Jesteś sam przeciw nam wszystkim.

Julian się uśmiechnął. Ten uśmiech zmroził Emmę do kości, mimo że przecież znała Juliana od dziecka i był dla niej jak część jej samej.

– Nie jestem sam – odparł.

Emma puściła Marka, który nie oglądając się za siebie wyszedł na polanę. Emma z Cristiną ruszyły za nim. Nikt nie dobył broni, ale wszyscy musieli widzieć Cortanę przewieszoną przez plecy Emmy. Tłum rozstał się przed nimi i pozwolił im dołączyć do Juliana. Dopiero znalazłszy się w utworzonym przez gwardzistów kręgu, Emma zdała sobie sprawę, że Mark nadal jest boso: jego stopy na tle długiej, ciemnej trawy przywodziły

na myśl łapy białego kota.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia, nawet na bosaka Mark był budzącym respekt wojownikiem. Kto jak kto, ale ona doskonale o tym wiedziała.

Król spojrział na nich z uśmiechem, który bardzo się Emmie nie spodobał.

– A to co znowu? Poselstwo dziecięce?

– Jesteśmy Nocnymi Łowcami – odparła Emma. – Mamy mandat Clave.

– Tak przynajmniej twierdzicie – powiedział książę Adaon. – Czego chcecie?

– To dobre pytanie – przyznał król.

– Próby walki – odparł Julian.

Król parsknął śmiechem.

– Na Ciemnym Dworze tylko faerie mają prawo podjąć próbę walki.

– Ja należę do ludu faerie – odparł Mark. – Mogę walczyć.

Kieran zaczął się szarpać w więzach.

– Nie! – wykrzyknął. Krew ciekła mu po piersi, rękach, skapywała z palców. – Nie.

Julian nawet na niego nie spojrział; owszem, przybyli tu po to, by go ocalić, ale gdyby w tym celu musieli go torturować, Julian nie wahałby się ani chwili. „Jesteś chłopcem, który robi to, co musi, bo nikt inny tego nie zrobi”, powiedziała mu kiedyś Emma. Miał wrażenie, że od tamtej pory upłynęły całe lata.

– Jesteś Myśliwym z Dzikiego Polowania – wytknął Markowi Erec – a także półkrwi Nocnym Łowcą. Nie podlegasz żadnym prawom i jesteś winien lojalność wyłącznie Gwynowi, nie sprawiedliwości. Nie możesz walczyć. – Uśmiechnął się drapieżnie. – A pozostali nie są faerie.

– To nie do końca prawda – zaoponował Julian. – Często się mówi, że dzieci i szaleńcy są jak faerie; że łączy ich szczególna więź. A my jesteśmy dziećmi.

– Co za bzdura! – prychnął Erec. – Jesteście dorośli.

– Sam król nazwał nas dziećmi – przypomniał mu Julian. – „Poselstwo dziecięce”, powiedział. Zarzucasz kłamstwo swojemu władcy?

Wszyscy wstrzymali oddech. Erec pobałdł.

– Mój panie. – Odwrócił się do króla. – Ojczy...

– Milcz, Erecu, dość już powiedziałeś – uciszył go król. Patrzył na Juliana

błyszczącym czerwonym okiem i pustym oczodołem. – To ci dopiero ciekawostka – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Chłopiec, który wygląda jak Nocny Łowca, a przemawia jak prawdziwy arystokrata. – Wstał. – Odbędzie się próba walki. Rycerze, opuście broń.

Lśniaca ściana metalu otaczająca Emmę i jej przyjaciół zniknęła, jej miejsce zajęły zawzięte twarze. Książęta, podobnie jak Kieran, mieli wyraziste, choć zarazem delikatne rysy. Niektórzy nosili blizny – ślady dawnych bitew. Wielu skrywało twarze pod kapturami i woalami. Za ich plecami kłębił się tłum arystokratów rozmawiających podekscytowanymi głosami. Nad polaną niosły się powtarzane słowa „próba walki”.

– Odbędzie się próba walki – powtórzył król – ale to ja zdecyduję o tym, kto będzie was reprezentował.

– Wszyscy jesteśmy do tego gotowi – zapewniła Cristina.

– Nie wątpię, taka jest natura Nocnych Łowców: zawsze skłonni do głupich poświęceń. – Król odwrócił się do Kierana. Szkieletowa połowa jego twarzy zarysowała się ostro na tle pochodni. – Jak dokonać wyboru? Już wiem. To będzie zagadka.

Emma poczuła, jak Julian cały się spina. Zabawa w zagadki na pewno mu się nie spodoba, za wiele w niej przypadku. A on nie lubił sytuacji, których nie mógł kontrolować.

– Podejdźcie. – Król skinął na nich palcem.

Skórę miał bladą jak biała kora drzewa. Tuż poniżej knykci wyrastały mu z palców krótkie haczyki do złudzenia przypominające szpony. Tłum się rozstał i Nocni Łowcy przybliżyli się do pawilonu. Emma poczuła nagle dziwną woń w powietrzu, intensywną, słodko-gorzka, kojarzącą się z żywicą drzewa. Zapach się nasilał w miarę, jak zbliżali się do tronu. Kiedy przed nim stanęli, postać króla wzniosła się nad nimi niczym posąg. Oddzielał ich od niego szereg rycerzy w maskach wykutych ze złota, srebra i mosiądzu; niektóre miały kształt szczurzych pysków, inne przypominały złote lwy, jeszcze inne srebrne pantery.

– Prawdę można znaleźć w snach – powiedział król, patrząc z góry na przybyszów.

Widząc go z tej perspektywy, Emma dostrzegła, że podział jego twarzy sięga tylko do gardła, które dalej było okryte zwyczajną skórą.

– Posłuchajcie, Nocni Łowcy – ciągnął król. – Wchodźcie do jaskini.

Znajdujecie w niej pulsujące jajo pałające wewnętrzną poświatą. Wiecie, że tętnią w nim wasze sny, nie te jednak, które śnicie za dnia, lecz te nocne, na wpół zapamiętane po przebudzeniu. Jajo pęka. Co wyjdzie ze środka?

– Róża – odparł Mark. – Z kolcami.

Zaskoczona Cristina zerknęła na niego z ukosa, ale poza tym się nie poruszyła.

– Anioł – powiedziała. – Anioł o zakrwawionych dłoniach.

– Nóż – powiedziała Emma. – Czysty i nieskalany.

– Kraty – odparł Julian. – Kraty więziennej celi.

Wyraz twarzy króla nie zmienił się ani na jotę. Dobiegające zewsząd przyciszone głosy faerie dowodziły raczej ich dezorientacji niż złości albo zaintrygowania. Król wyciągnął przed siebie długą szponiastą rękę.

– Ty – powiedział – jasnowłosa. Ty będziesz reprezentowała wasz lud.

Emma poczuła obezwładniającą ulgę. Padło na nią, nikt inny nie będzie musiał ryzykować. Nagle zrobiło jej się lżej na sercu, jakby odzyskała zdolność swobodnego oddychania.

Cristina spojrzała na nią ze zbolaną miną. Mark całą siłą woli powstrzymał się od gwałtownej reakcji. Julian złapał Emmę za rękę i podszedł, żeby szepnąć jej coś na ucho. Każdy jego ruch zdradzał, że ma jej do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Stała nieporuszona, patrząc mu w oczy. Panujące na Dworze zamieszanie opływało ją z boków. Nie odczuwała go, bo z wolna zaczynał już ogarniać ją bojowy chłód, ziąb tłumiący emocje, przy którym wszystko oprócz nadchodzącej walki przestawało się liczyć. Julian też był częścią tego procesu, elementem chłodnego początku starcia i jego późniejszej gwałtowności. To właśnie jego twarz chciała oglądać tuż przed walką; to ten widok najlepiej ją uspokajał; to dzięki niemu najpełniej czuła się Nocną Łowczynią.

– Pamiętaj – szeptał jej do ucha Julian – przelewałaś już wcześniej krew faerie, w Idrisie. Gdybyś wtedy tego nie zrobiła, faerie by cię zabiły. Zabiłyby nas wszystkich. To też jest bitwa. Nie okazuj litości, Emmo.

– Jules.

Nie była pewna, czy usłyszał, jak wypowiedziała jego imię, bo rycerze ich nagle rozdzielili i jej dłoń wyśliznęła się z jego uścisku. Zdażyła tylko posłać ostatnie spojrzenie trójce przyjaciół, zanim rycerze popchnęli ją w stronę

szybko pustoszejącego skrawka ziemi przed pawilonem.

Zagrał róg, jego przenikliwy dźwięk przeciął noc jak nóż. Spoza pawilonu wyszedł jeden z książąt, prowadząc zamaskowanego rycerza. Rycerz miał gruby szary pancerz przypominający zwierzęcą skórę oraz hełm, który zasłaniał mu całą twarz. Z przodu hełmu widniały topornie namalowane usta rozwarte w szerokim uśmiechu i para dużych oczu. Ktoś musiał dotknąć hełmu rękami brudnymi od świeżej farby, bo zostawił na nim z boków czerwone smugi przydające złowieszczej aury wizerunkowi, który w innych okolicznościach byłby zwyczajnie błazeński.

Książę odprowadził rycerza na wyznaczone miejsce na placu, naprzeciw Emmy, i tam go zostawił. Rycerz był uzbrojony w miecz wykuty przez faerie: srebrną klingę ze złotym deseniem osadzoną w rękojeści wysadzanej szlachetnymi kamieniami. Ostrze lśniło jak brzytwa.

Miecz był solidny, ale żadna broń nie mogła się równać z Cortaną. Emma była pewna, że jej oręż jej nie zawiedzie. Zawieść mogła najwyżej ona sama.

– Znacie zasady – przemówił znudzonym tonem król. – Kiedy pojedynek się rozpocznie, nikt nie może pomagać uczestnikom. Walczycie do śmierci jednego z was; zwycięzcą będzie ten, kto przeżyje.

Emma dobyte Cortany, która załśniła jak zachodzące słońce tuż przed tym, jak zapadnie się w oceanie.

Rycerz w malowanym hełmie nie zareagował w żaden sposób. Emma zwróciła baczniejszą uwagę na jego postawę. Był od niej wyższy, miał więc większy zasięg ramion. Celowo stanął w lekkim rozkroku. Może i nosił durny hełm, ale znał się na walce mieczem.

Sama również przyjęła postawę: lewa stopa z przodu, prawa z tyłu, dominująca połowa ciała zwrócona w stronę przeciwnika.

– Zaczynajcie – polecił król.

Rycerz rzucił się z mieczem na Emmę jak wyścigowy koń wypuszczony z boks startowego. Zaskoczona jego szybkością zdążyła tylko uskoczyć przed cięciem. Spóźniła się, nie zdążyła w porę unieść Cortany do zasłony. Liczyła na wsparcie ze strony runu Celności, ale ten przecież nie działał. Przeszyła ją dawno nieodczuwana zgroza, gdy czubek miecza z szeptem przeciął powietrze kilka cali od jej boku.

Przypomniała sobie, co powiedział ojciec, gdy dopiero zaczynała naukę walki mieczem:

– Atakuj przeciwnika, nie jego broń.

Większość walczących brała na cel oręż przeciwnika. Dobry wojownik celował w ciało.

Miała więc do czynienia z dobrym wojownikiem, ale czyż mogła się spodziewać, że będzie inaczej? Przecież król osobiście go wybrał. Teraz pozostało tylko mieć nadzieję, że król zarazem zlekceważył ją.

Dwa szybkie uniki zaprowadziły ją na niskie trawiaste wzniesienie; może dzięki temu zniweluje przewagę wzrostu przeciwnika. Trawa zaszeleściła. Emma nie musiała podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że rycerz ruszył do kolejnego natarcia. Wykręciła piruet, tnąc Cortaną po łuku.

Rycerz prawie nie zareagował. Ostrze rozorało jego grubą skórzaną zbroję, wycinając w niej szeroką wyrwę, ale on się nie zachwiał, nie zwolnił, a już na pewno nie sprawiał wrażenia zranionego. Kiedy zaatakował, Emma przykucnęła z poślizgiem i miecz tylko świsnął jej nad głową. Przy następnym wypadzie przeciwnika odskoczyła w tył.

Słyszała swój oddech, głośny i chrapliwy w chłodnym leśnym powietrzu. Rycerz faerie był naprawdę dobry w swoim fachu, a ona nie mogła liczyć ani na runy, ani na moc serafickich ostrzy – tradycyjnych rekwizytów bojowych Nocnych Łowców. Czyżby zmęczenie dopadło ją przedwcześnie? Może ta mroczna kraina wysysała moc wprost z jej krwi?

Sparowała kolejne cięcie, odskoczyła i nagle – o dziwo – przypomniała sobie pogardliwą uwagę Zary:

– Faerie walczą nieczysto.

I ripostę Marka:

– Faerie wcale nie walczą nieczysto. Przeciwnie, ściśle przestrzegają kodeksu honorowego.

Ugięła nogi i cięła na wysokości kostek. Rycerz podskoczył, prawie zawisł w powietrzu, jakby lewitował, i chlasnął mieczem z góry na dół. W tej samej chwili Emma wyprostowała się, nabrawszy garść piachu i liści, i cisnęła nimi w szczeliny w skrywającym jego twarz hełmie.

Zakrztusił się i zatoczył do tyłu. Trwało to zaledwie sekundę, ale wystarczyło. Emma cięła go po nogach, raz-dwa, a potem w poprzek przez pierś. Krew zaczęła wsiąkać w pancerz na piersi, nogi ugięły się pod rycerzem i runął na wznak z łoskotem, jaki mogłoby wydać ścięte drzewo.

Emma przydepnęła jego miecz. Tłum ryknął. Słyszała, jak Cristina, Julian

i Mark skandują jej imię. Z walącym sercem stała nad nieruchomym rycerzem, który nawet teraz – leżąc na ziemi z rozrzuconymi rękami i brocząc krwią na trawę – nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Zdejmij mu hełm i zakończ sprawę – polecił król. – Taką mamy tradycję.

Emma wzięła głęboki wdech. Cała jej natura Nocnej Łowczyni buntowała się przeciw temu – przeciw odebraniu życia bezbronnemu przeciwnikowi leżącemu u jej stóp.

Przypomniała sobie, co powiedział jej Julian tuż przed walką: „Nie okazuj litości”.

Czubek Cortany z metalicznym szczęknięciem zahaczył o hełm. Wcisnęła go pod dolną krawędź i podważyła.

Hełm spadł. Mężczyzna leżący na trawie nie był faerie, lecz człowiekiem. Miał niebieskie oczy i przetykane siwizną blond włosy. Jego twarz Emma знаła lepiej niż swoją własną.

Ręka z bronią opadła jej bezwładnie, Cortana zwiśla w zdrtwiałych palcach.

To był jej ojciec.

Na czarnym tronie

Kit siedział na schodach Instytutu i patrzył na wodę.

To był długi, nieprzyjemny dzień. Napięcie pomiędzy Centurionami i mieszkańcami Instytutu osiągnęło bezprecedensowy poziom, chociaż Centurioni nie mieli pojęcia dlaczego.

Diana heroicznym wysiłkiem próbowała prowadzić lekcje, jakby nic się nie zmieniło, ale nikt się nie mógł skupić; przynajmniej raz Kit, mimo że nie miał zielonego pojęcia o różnicach pomiędzy serafickimi alfabetami, nie był najbardziej nieuważnym uczniem w sali. Ponieważ jednak głównym celem lekcji było zachowanie pozorów na użytek Centurionów, wszyscy zaciskali zęby i zgodnie się mozolili.

Kolacja nie wypadła wiele lepiej. Po długim, mokrym dniu, podczas którego niczego nie znaleźli, Centurioni zrobili się drażliwi. Nie pomagali im bynajmniej fakt, że Jon Cartwright wściekł się nie wiadomo o co i przepadł bez śladu; sądząc po tym, jak Zara zaciskała usta, musiał się z nią pokłócić. Kit mógł tylko zgadywać, czego miałyby ta kłótnia dotyczyć – zapewne poszło o moralny aspekt zamykania czarowników w obozach albo torturowania faerie.

Diego i Rayan stawali na głowie, żeby zagaić jakąś pogodną rozmowę przy stole. Bez powodzenia. Przez większość posiłku Livvy mierzyła Diego wilczym wzrokiem, najprawdopodobniej snując plany wykorzystania go przeciwko Zarze. Chyba wyprowadzało go to trochę z równowagi, bo dwa razy spróbował kroić stek łyżką. Jakby tego było mało, Dru i Tavvy zarazili się nerwową atmosferą i przez całą kolację zasypywali Dianę pytaniami o powrót Juliana i współuczestników jego „misji”.

Kiedy posiłek dobiegł wreszcie końca, Kit z ulgą wymknął się na dwór; uniknął w ten sposób zmywania naczyń i znalazł sobie cichy kąt pod

frontowym gankiem. Znad pustyni wiał chłodny, wonny wiatr, a ocean – połąć głębokiej czerni obrębiona ciągiem łamiących się białych fal – skrzył się w świetle gwiazd.

Po raz tysięczny zadał sobie pytanie, co go właściwie tutaj trzyma. Głupio byłoby odejść tylko z tego powodu, że rozmowa przy kolacji się nie kleiła, ale ten dzień uświadomił mu z całą wyrazistością, że problemy Blackthornów nie są jego problemami i nigdy nie powinny się nimi stać. Co innego być synem Johnny'ego Rooka – a zupełnie co innego być Herondale'em.

Musnął srebrny pierścień na palcu. Był chłodny w dotyku.

– Nie wiedziałem, że tu będziesz.

Kit nie musiał podnosić głowy, od razu rozpoznał głos Ty'a, który wyszedł zza węgła budynku i przyglądał mu się z zaciekawieniem. Miał coś na szyi, nie były to jednak jego tradycyjne słuchawki. Kiedy wszedł na schody – szczupły cień w dżinsach i swetrze – Kit stwierdził, że to coś na jego szyi ma oczy.

Przywarł plecami do ściany.

– Czy to jest fretka?

– Dzika. – Ty oparł się o balustradę ganku. – Fretki są udomowione, więc, ściśle rzecz biorąc, to jest tchórz, ale gdybym go oswoił, byłby fretką.

Kit szeroko otwartymi oczami obserwował tchórza, który zamrugał i poruszył łapkami.

– No, no... – wykrztusił Kit z niekłamanym podziwem.

Tchórz zbiegł Ty'owi po rękę, zeskoczył na barierkę i przepadł w ciemnościach.

– Fretki to bardzo miłe zwierzaki – powiedział Ty. – Zaskakująco wierne. To znaczy, dla wielu ludzi ich przywiązanie jest zaskakujące, bo dla mnie nie. Poza tym są czyste, ciche i w ogóle są trochę jak zabawki. I można je nauczyć... – Zawiesił głos. – Nudzę cię?

– Nie! – odparł poruszony Kit. Czyżby zrobił znudzoną minę? Przyjemnie słuchało mu się Ty'a, kiedy mówił tak ciekawie i z ożywieniem. – Czemu pytasz?

– Julian mówi, że nie wszyscy chcą wiedzieć na niektóre tematy tak dużo, jak ja. Dlatego należy zapytać.

– To chyba dotyczy każdego, nie tylko ciebie.

– Nie – Ty pokręcił głową. – Ja jestem inny.

Nie sprawiał wrażenia, jakby się tym przejmował albo martwił – to był po prostu fakt odnoszący się do jego osoby i tyle. Kit złapał się na tym, że zazdrości mu tej spokojnej pewności siebie. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie czegoś zazdrościł Nocnemu Łowcy.

Ty wszedł na ganek i usiadł obok niego. Pachniał lekko pustynią, piaskiem i bylicą. Kit zastanawiał się, dlaczego tak bardzo lubi go słuchać. Rzadko zdarzało mu się rozmawiać z kimś, komu zwykle dzielenie się wiedzą sprawiałoby taką frajdę. Niewykluczone, że w ten sposób Ty próbował sobie poradzić z niedawnymi przykrymi doświadczeniami, takimi jak wizyta Centurionów czy zniknięcie Juliana i pozostałych.

– Po co tu wyszedłeś? – zainteresował się Ty. – Znowu myślisz o ucieczce?

– Nie – odparł Kit.

Naprawdę nie myślał o ucieczce. No, może troszeczkę. Ale kiedy teraz patrzył na Ty'a, odechciewało mu się takich myśli. Miał za to ochotę znaleźć jakąś tajemnicę i sprezentować ją Ty'owi do rozwiązania, tak jak wielbicielowi słodyczy można by podarować bombonierkę.

– Szkoda, że wszyscy nie możemy stąd uciec – przyznał z rozbijającą szczerością Ty. – Długo trwało, zanim po Mrocznej Wojnie poczuliśmy się tu bezpiecznie. A teraz znowu mam wrażenie, że w Instytucie roi się od wrogów.

– Masz na myśli Centurionów?

– Nie podoba mi się, że tu przyjechali. Ja w ogóle nie lubię tłumów, nie lubię, kiedy dużo ludzi mówi jednocześnie, robią hałas... Ale najgorszy jest tłum, zwłaszcza w takich miejscach jak na molo w Santa Monica... Byłeś tam kiedyś? – Ty się skrzywił. – Te wszystkie światła, ci ludzie, ten zgiełk... Czuję się tam, jakbym miał głowę pełną potłuczonego szkła.

– A co z walką? – zapytał Kit. – Bitwy z demonami też są przecież zgiełkliwe.

Ty pokręcił głową.

– Walka to co innego. Nocni Łowcy są do niej stworzeni. To tkwi w moim ciele, nie w umyśle. Jeśli tylko mogę włożyć słuchawki...

Urwał w pół zdania. Z oddali dobiegł stłumiony trzask, jakby gdzieś daleko porywisty wiatr stłukł szybę w oknie.

Ty zerwał się na równe nogi, omal nie rozdeptując przy tym Kita, i wyciągnął zza pasa seraficki nóż. Ściskając go w dłoni, wpatrywał się

w ocean z miną równie posępną i niewzruszoną jak posągi w ogrodzie na tyłach Instytutu.

Kit również wstał.

– Co się stało? – Zapytał. Serce waliło mu jak młotem. – Co to był za odgłos?

– Zakłęcia ochronne postawione przez Centurionów zostały przełamane, to był właśnie ten dźwięk. Coś się zbliża. Coś groźnego.

– Mówiłeś, że Instytut jest bezpieczny!

– Bo zwykle jest. – Ty uniósł nóż. – Adriel! – powiedział.

Wewnętrzny blask rozpałił ostrze i rozświetlił noc. Dopiero teraz Kit dostrzegł, że na drodze prowadzącej do Instytutu wprost roi się od poruszających się sylwetek – i nie były to sylwetki ludzkie: w górę drogi parła fala mrocznych istot, wilgotnych, oślizłych, falujących i poprzedzanych falą smrodu, od której zrobiło mu się niedobrze. Przypomniało mu się, jak pewnego razu na Venice Beach znalazł gnijące truchło foki oplecione rojącymi się od robaków wodorostami. Ten odór był podobny, tyle że gorszy.

– Trzymaj – powiedział Ty i wcisnął rozjarzony seraficki nóż w dłoń Kita.

Jakby złapał przewód pod napięciem. Nóż zdawał się pulsować i wić jak żywy; Kit ledwie był w stanie go utrzymać.

– Nigdy nie miałem czegoś takiego w ręce!

– Mój brat zawsze powtarza, że od czegoś trzeba zacząć.

Ty wyjął z za pasa sztylet: krótki, ostry i – na oko – znacznie mniej groźny niż seraficki nóż.

Który brat? zastanawiał się Kit, ale nie dane mu było o to zapytać, bo nagle rozległy się krzyki i tupot nóg, z czego ogromnie się ucieszył, bo fala tych stworów przebyła już niemal całą drogę. Obrócił dłoń w nadgarstku w sposób, który jeszcze przed chwilą wydawał mu się niemożliwy, i nóż nagle się uspokoił. Jarzył się, ale nie nagrzewał, jakby zrobiono go z tej samej materii, która tworzy gwiazdy i księżyc.

– Skoro wszyscy się już obudzili – odezwał się Kit – to pewnie nie wycofamy się do wnętrza?

Ty, stanąwszy na ganku w lekkim rozkroku, wyciągał właśnie słuchawki z kieszeni.

– My nie uciekamy – odparł. – Jesteśmy Nocnymi Łowcami.

Księżyc wyszedł z za chmur w tej samej chwili, gdy drzwi za plecami Kita

i Ty'a otworzyły się z impetem i wypadła przez nie gromada Nocnych Łowców. Część Centurionów przyniosła ze sobą runiczne kamienie, które rozświetliły noc, i nagle Kit naprawdę zobaczył, jak stwory rozpraszają się po trawniku i czyniąc potworną wrzawę zacierają w stronę budynku. Zebrani na ganku Łowcy unieśli broń.

– Morskie demony.

Kit rozpoznał ponury głos Diany i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że czy mu się to podoba, czy nie, za moment weźmie udział w pierwszej prawdziwej bitwie w swoim życiu.

Odwrócił się. Otaczało go światło i zgiełk. Serafickie ostrza błyszczą jasno w ciemnościach, co było zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. Zobaczył Livvy i Dianę z bronią w rękach, tuż za nimi stał Diego uzbrojony w ogromny topór. Towarzyszyli im Zara i reszta Centurionów.

Z drugiej strony miał morskie demony, które okazały się znacznie bardziej przerażające, niż się spodziewał. Niektóre wyglądały jak prehistoryczne jaszczury okryte kamienną łuską, o martwych ślepiach i pyskach najeżonych ostrymi jak igły, ociekającymi śluzem zębami. Inne przypominały opatrzone zębatymi paszczami grudy pulsującej galarety, w której tkwiły ohydne organy wewnętrzne: zdeformowane serca i przezroczyste żołądki; w jednym z nich było jeszcze widać resztki niedawnego posiłku demona, resztki, które miały ludzkie ręce i nogi... Były też olbrzymie kalmary o odrażających pyskach i mackach uzbrojonych w przyssawki, z których zielony kwas skapywał na ziemię i wypalał martwe placki w trawie.

W porównaniu z nimi demony, które zabiły jego ojca, prezentowały się całkiem atrakcyjnie.

– Na Anioła... – zakłęła szeptem Diana. – Stańcie za mną, Centurioni.

Zara posłała jej nienawistne spojrzenie. Większość Centurionów tłoczyła się na ganku z rozdziawionymi ustami, tylko Diego sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy rzuci się do walki. Żyły wystąpiły mu na czole, dłonie drżały z nienawiści.

– Jesteśmy Centurionami – odparowała Zara. – Nie słuchamy rozkazów...

Diana odwróciła się do niej gwałtownie.

– Zamknij się, głupia małolato – ucięła lodowatym ze złości głosem. –

Co robili Dearbornowie w czasie Mrocznej Wojny, hę? Kulili się ze strachu w Instytucie w Zurychu! W odróżnieniu ode mnie nigdy nie brałaś udziału w prawdziwej bitwie, więc ani słowa więcej!

Wstrząśnięta Zara obejrzała się do tyłu, ale nikt z Centurionów nie próbował jej bronić. Nawet Samantha i Manuel milczeli.

Demony – skrzecząc, trzepocząc i sunąc po trawie – prawie dotarły już na ganek. Kit poczuł, jak Livvy przysuwa się do niego, zobaczył Ty'a, który wysunął się naprzód... i nagle uświadomił sobie, że próbują go zasłonić. Ochronić. Najpierw poczuł falę wdzięczności, a zaraz potem rozdrażnienia. Za kogo oni go mieli? Za jakiegoś bezbronego Przyziemnego?

Walczył już wcześniej z demonami. Coś drgnęło w jego duszy, coś, od czego seraficki nóż w jego dłoni rozjarzył się jaśniejszym blaskiem. Coś, dzięki czemu zrozumiał wyraz twarzy Diego, gdy ten spojrzał pytająco na Dianę i zagadnął:

– Jakie rozkazy?

– To oczywiste – odparła. – Zabić je wszystkie.

Centurioni runęli w dół schodów. Diego rozrząbał pierwszego demona, jaki się nawinął; runy na ostrzu topora rozbłysły jasno, gdy werżnęło się w galaretę i przelało szaro-czarną krew.

Kit również rzucił się naprzód. Na trawie u stóp schodów zapanował bitewny chaos. Teraz mógł docenić pełną moc serafickich ostrzy, gdy Centurioni cięli i dźgali nimi na wszystkie strony, a w powietrze uniósł się odór krwi demonów. Nóż w jego ręce też płonął wściekle...

Ktoś złapał go za przegub dłoni i osadził w miejscu, zanim Kit zdążył zbiec po schodach.

Livvy.

– Nie – powiedziała. – Nie jesteś gotowy, żeby...

– Nic mi nie będzie – przerwał jej.

Ty zdążył już pokonać połowę długości schodów i właśnie rzucił trzymany w ręce sztyletem. Ostrze trafiło prosto w ogromne, płaskie ślepię stojącego dęba demona z rybim łbem. Wyłupione oko mrugnęło i zamknęło się na zawsze.

Ty obejrzał się na siostrę i Kita.

– Livvy! – zawołał. – Daj mu...

Drzwi znów otworzyły się z hukiem i Kit z zaskoczeniem rozpoznał

stojącego w progu Arthura Blackthorna. Nadal był w dżinsach i szlafroku, ale przynajmniej włożył jakieś buty. Z dłoni zwisał mu stary, zmatowiały miecz.

Diana – zwarta w pojedynku z jaszczurodemonem – ze zgrozą podniosła wzrok.

– Arthurze! – zawołała. – Nie!

Arthur dyszał ciężko. Na jego twarzy malowało się przerażenie, ale także coś jeszcze, jakaś dziwna zaciekłość. Zbiegł po schodach i rzucił się na pierwszego z brzegu demona – czerwonawą bestię z mnóstwem frędzli, ogromną paszczą i długim kolcem jadowym. Kiedy kolec uderzył z góry, Arthur przeciął go na dwoje. Potwór wrzasnął, zafurkotał w powietrzu jak balon, z którego uchodzi powietrze, i przepadł w mroku.

Livvy zagapiła się z niedowierzaniem na wuja i puściła rękę Kita, który odwrócił się, zamierzając zbiec po schodach, lecz w tej samej chwili demony poczęły się wycofywać. Dlaczego? Wśród Centurionów podniosły się wiwaty, gdy plac przed Instytutem zaczął pustoszeć, Kit nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że nastąpiło to zbyt szybko. Demony wcale nie przegrywały – może i nie wygrywały, ale na odwrót na pewno było jeszcze za wcześnie.

– Coś się dzieje. – Spojrzał najpierw na Livvy, a potem na Ty'a, którzy podobnie jak on czekali na schodach na dalszy rozwój wypadków. – Coś tu nie gra...

Śmiech poniósł się w powietrzu. Demony zamarły, utworzywszy półokrąg wokół Instytutu; zablokowały w ten sposób zejście do drogi, ale nie napierały. Na środek półokręgu wyszła postać rodem z horroru.

Ten ktoś był kiedyś człowiekiem – i nadal zachował w przybliżeniu ludzkie kształty, lecz jego skóra przybrała szarozielony odcień rybiego brzucha, a po tym, jak coś odgryzło mu większość jednej ręki i znaczną część torsu, szedł przechylony i utykał. Okrywała go podarta koszula, spod której wyzierały objedzone do czysta żebra i strzępy szarej skóry wokół ran. Stracił niemal wszystkie włosy, a ich ocalałe resztki stały się białe jak kość. Miał obrzmiałą twarz topielca i oczy zasnuwane bielmem, wyżarte przez morską wodę. Uśmiechał się, chociaż prawie nie miał warg. W dłoni ścisnął czarny worek upstrzony ciemnymi plamami wilgoci.

– Nocni Łowcy – powiedział. – Ależ się za wami stęskniłem.

To był Malcolm Fade.

* * *

W ciszy, która zapadła po zdjęciu maski rycerza Ciemnego Dworu, Julian wyraźnie słyszał, jak serce łomocze mu o żebra. Run *parabatai* piekł go wściekle, palił żywym ogniem. Tak odczuwał ból Emmy.

Chciał do niej podejść. Stała w pozie, jaką przyjmowali rycerze na obrazach, z pochyloną głową i opuszczonym mieczem, w zakrwawionym stroju bojowym, z opadającymi na ramiona na wpół rozpuszczonymi włosami. Widział, jak porusza ustami; nie musiał słyszeć jej głosu, żeby wiedzieć, co powiedziała. Jej słowa obudziły w nim wspomnienie Emmy, którą znał – zdałoby się – przed tysiącem lat, widok małej dziewczynki, która wyciąga rączki do ojca, żeby ten wziął ją na ręce.

– Tato?

Król parsknął śmiechem.

– Poderżnij mu gardło, dziewczynko. Chyba że nie jesteś w stanie zabić własnego ojca, co?

– Ojca? – powtórzyła jak echo Cristina. – O co mu chodzi?

– To John Carstairs – wyjaśnił Mark. – Ojciec Emmy.

– Ale jak...

– Nie wiem – odparł Julian. – To niemożliwe.

Emma osunęła się na kolana i wsunęła Cortanę do pochwy. Pochyliła się nad ojcem. W świetle księżyca wyglądali jak para cieni.

Król zarechotał. Wraz z nim śmiał się cały Ciemny Dwór, głośno dając upust swojej wesołości.

Wszyscy zapomnieli o stojących na środku polany trojgu Nocnych Łowcach.

Julian rozpaczliwie pragnął podbiec do Emmy, ale przywykł do tego, że w życiu nie zawsze robimy i dostajemy to, czego pragniemy. Odwrócił się do Marka i Cristiny.

– Idź do niej – polecił Cristinie. Otworzył szerzej oczy. – A ty do niego – ponaglił Marka.

Mark skinął głową i przepadł w tłumie, cień wśród cieni.

Cristina również zniknęła, zanurzywszy się w ciżbę po drugiej stronie. Dworzanie pokładali się ze śmiechu, który rozbrzmiewał coraz głośniejsze i wypełniał noc.

Ludzkie emocje są dla nich niemądre, a ludzkie serca i umysły – niezwykle kruche, pomyślał Julian.

Wyjął z za pasa sztylet – nie żaden nóż seraficki, nie runiczne ostrze, ale sztylet z zimnego żelaza, który dobrze leżał w dłoni. Stojący wśród rycerzy książęta patrzyli w stronę pawilonu i śmiali się razem ze wszystkimi. Kilkoma krokami zbliżył się do nich, złapał księcia Erecę od tyłu i przystawił mu ostrze do gardła.

* * *

Pierwsza, niezbyt spójna myśl, jaka przyszła Kitowi do głowy, była następująca:

To by tłumaczyło, dlaczego nie udało im się znaleźć ciała Malcolma.

Zaraz potem pojawiły się wspomnienia. Najwyższy Czarownik, stały bywalec Nocnego Targu, przyjaźnił się z ojcem Kita; dopiero znacznie później wyszło na jaw, że byli nie tylko dobrymi znajomymi, lecz także współnikami w zbrodni. Tak czy inaczej, żwawy, fioletowooki czarownik cieszył się na Targu wielką popularnością i czasem przynosił Kitowi ciekawe słodycze, pochodzące, jak utrzymywał, z dalekich stron, które odwiedził w swoich podróżach. Kit pamiętał, że zdziwił się trochę na wieść o tym, że sympatyczny czarownik był w rzeczywistości mordercą.

Teraz zdziwił się jeszcze bardziej, gdy zobaczył, co stało się z Malcolmem. Pozbawiony dawnego wdzięku czarownik nierównym krokiem brnął przez trawnik. Nocni Łowcy natychmiast ustawili się w szyku, jak dawni rzymscy legionieści; zwartym szeregiem stanęli naprzeciw Malcolma, wysunawszy broń do przodu. Tylko Arthur trzymał się z boku. Patrzył na Malcolma i bezgłośnie poruszał ustami.

Trawa przed Instytutem była szaro-czarna od palącej krwi demonów.

Malcolm uśmiechnął się pogardliwie, na tyle, na ile było to możliwe z tak pokiereszowaną twarzą.

– Arthurze – powiedział na widok skulonego człowieczka w zakrwawionym szlafroku. – Ty też na pewno za mną tęskniłeś. Wydaje mi się, że nie radzisz sobie najlepiej bez swojego lekarstwa, oj nie.

Arthur przywarł plecami do ściany budynku. Wśród Centurionów rozległ się szmer, który ucichł, gdy Diana zabrała głos.

– Czego chcesz, Malcolmie? – zapytała. Zważywszy na okoliczności, była zdumiewająco spokojna.

Malcolm zatrzymał się w niewielkiej odległości od Centurionów, nie na tyle jednak blisko, żeby mogli go zaatakować.

– Dobrze się bawiliście, szukając mojego ciała? Bo dla mnie obserwowanie was było wspaniałą rozrywką; pluskaliście się jak dzieci w tej waszej niewidzialnej łajbie, bez pojęcia czego właściwie szukacie i gdzie można by to znaleźć. Ale trudno się wam dziwić, bez czarowników zawsze byliście praktycznie bezużyteczni, czyż nie?

– Milcz, plugawcze. – Zara wibrowała jak przewód pod napięciem. – Ty...

Divya szturchnęła ją łokciem.

– Przestań – szepnęła. – Daj mówić Dianie.

– Sytuacja się zmieniła, Malcolmie – podjęła Diana. – Tym razem mamy poparcie Clave i dysponujemy jego zasobami. Wiemy, kim jesteś, a z czasem dowiemy się także, gdzie jesteś. Musisz być głupcem, skoro przychodzisz do nas i odkrywasz karty.

– Moja ręka, gdzie się podziała moja ręka... – zadumał się na głos Malcolm. – Ach, już wiem: mam ją tutaj, w worku.

Sięgnął do worka, który przyniósł, i wyjął z niego odciętą ludzką głowę.

Zgroza odebrała Łowcom mowę.

– Jon! – wychrypiał w końcu Diego.

– Na Boga, biedna Marisol – załamał się Gen Aldertree. – Na Boga...

Zara gapiła się na Malcolma z szeroko rozdziawionymi ustami, lecz nie próbowała do niego podejść. Diego zrobił krok naprzód, ale Rayan złapał go za rękę.

– Centurioni! – warknęła Diana. – Trzymać szyk!

Kiedy Malcolm rzucił odciętą głowę Cartwrighta na trawę, rozległ się taki odgłos, jakby ktoś z trudem powstrzymał się od wymiotów. Kit dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to właśnie on ten odgłos wydał. Gapił się na obnażony górny odcinek kręgosłupa Jona, intensywnie biały na ciemny tle.

– Słusznie – zwrócił się Malcolm do Diany. – Najwyższa pora przestać udawać, nie uważasz? Wy znacie moje słabe punkty, ja znam wasze. Na zabicie go – skinął na szczątki Cartwrighta – potrzebowałem raptem kilku sekund; na unieszkodliwienie waszych zaklęć ochronnych jeszcze

mniej. Naprawdę myślisz, że zdobycie czegoś, na czym mi zależy, zajmie mi więcej czasu?

– A co to takiego? – odpowiedziała pytaniem Diana. – Czego chcesz, Malcolmie?

– Tego, co zawsze. Chcę Annabel i tego co niezbędne, żeby ją odzyskać. – Malcolm roześmiał się gardłowo, bulgotliwie. – Przyszedłem po krew Blackthorna.

* * *

Emma nie pamiętała, kiedy osunęła się na kolana, ale w tej chwili już klęczała. Otaczała ją zdeptana ziemia i opadłe liście. Rycerz faerie – jej ojciec – leżał na plecach w rozlewającej się coraz szerzej kałuży krwi, która wsiąkając w i tak już ciemny grunt, nadawała mu niemal czarną barwę.

– Tato – wyszeptała Emma. – Tato, proszę, spójrz na mnie.

Od dawna nie wypowiadała słowa „tato”, prawdopodobnie odkąd skończyła siedem lat.

W pobliżnionej twarzy otworzyły się niebieskie oczy. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała: jasny zarost w miejscach, gdzie zapomniał się ogolić, zmarszczki czułości wokół oczu... Na policzku miał kropelki zakrzepłej krwi. Patrzył na Emmę szeroko otwartymi oczami.

Król się roześmiał.

– Poderżnij mu gardło. Chyba że nie jesteś w stanie zabić własnego ojca, dziewczynko?

John Carstairs poruszył wargami, ale spomiędzy nich nie dobył się żaden dźwięk.

„Jeżeli wejdiesz do Faerie, znów zobaczysz twarz kogoś, kogo kochasz”, powiedział jej phouka. „Kogoś nieżyjącego”.

Ale czegoś takiego się nie spodziewała.

Złapała ojca za rękę obleczoną skórzaną zbroją.

– Poddam się – wychrypiała rwącym się głosem. – Poddam się, tylko mu pomóżcie...

– Poddała się – orzekł król.

Cały Ciemny Dwór wybuchnął głośnym śmiechem, którego Emma prawie nie słyszała. Jakiś wewnętrzny głosik szeptał jej, że coś tu jest nie

w porządku, bardzo nie w porządku, ale widok ojca huczał jej w głowie jak przewalająca się ogromna fala. Sięgnęła po stelę – jak by nie patrzeć, ojciec był przecież Nocnym Łowcą – ale w ostatniej chwili opuściła bezradnie rękę. Iratze nie zadziała w tym miejscu.

– Nie zostawię cię – obiecała. Szumiało jej w głowie. – Nie zostawię cię samego. – Mocniej ujęła rękę ojca, przykucnięta przed królewskim pawilonem, boleśnie świadoma spojrzenia władcy i dobiegającego zewsząd śmiechu. – Zostanę z tobą.

* * *

Arthur pierwszy się poruszył: odskoczył od ściany, dopadł do Livvy i Ty'a, złapał ich za ręce i pociągnął w stronę wejścia. Próbowali mu się wyrwać, ale okazał się zdumiewająco silny. Livvy wykręciła się w jego uścisku i zawołała Kita. Arthur kopniakiem otworzył drzwi i wepchnął oboje bratanków do Instytutu. Kit usłyszał jeszcze wrzask Livvy, zanim drzwi zamknęły się za nimi z łoskotem.

Diana spojrzała pytająco na Malcolma.

– Krew Blackthorna, powiadasz? – powtórzyła, unosząc brwi.

Malcolm westchnął.

– Ech, te zwariowane psy i Anglicy... Czasem spotyka się kogoś, kto jest jednym i drugim jednocześnie. A wydawałoby się, że to niemożliwe.

– Chcesz powiedzieć, że możesz wejść do Instytutu? – spytał ostro Diego.

– Chcę powiedzieć, że to bez znaczenia. Zaplanowałem to wszystko, zanim jeszcze Emma mnie zabiła. Moja śmierć... Albowiem jestem martwy, choć nie na długo; czyż Czarna Księga nie jest cudowna? Zatem moja śmierć uwolniła morskie demony wszędzie wzdłuż wybrzeża. Te, które mi dzisiaj towarzyszą, to zaledwie ułamek nieprzeliczonych rzesz posłusznych moim rozkazom. Albo dacie mi Blackthorna, albo pošlę je na ląd, żeby tam niszczyły i zabijały Przyziemnych.

– Powstrzymamy cię – odparła Diana. – Clave cię powstrzyma. Przyślą Nocnych Łowców...

– Jest was za mało – przerwał jej z nieskrywaną satysfakcją Malcolm. Zaczął się przechadzać tam i z powrotem przed śliniącą się za jego plecami demoniczną sforą. – Na tym polega piękno Mrocznej Wojny. Zważywszy

na wasz obecny stan liczebny, zwyczajnie nie jesteście w stanie powstrzymać wszystkich demonów zamieszkujących Ocean Spokojny. Nie zrozumcie mnie źle: nie twierdzę, że ostatecznie nie wygracie. Owszem, wygracie. Pomyślcie jednak o krwawym zniwie, jakie wcześniej się dokona. Czy naprawdę jeden marny Blackthorn jest tego wart?

– Nie oddamy ci jednego z naszych, Fade, żebyś mógł go zabić – powiedziała Diana. – Dobrze o tym wiesz.

– Nie reprezentujesz Clave, Diano. A Clave chętnie rozważy poświęcenie jednego ze swoich. – Malcolm spróbował się uśmiechnąć. Jedna przegniła warga pękła, czarna ciecz spłynęła mu na podbródek. – Jedna ofiara zamiast tysięcy.

Diana miała przyspieszony oddech, jej ramiona unosiły się i opadały gwałtownie.

– Co potem? Ogrom zniszczeń i cierpienia... A co ty z tego będziesz miał?

– Wy również ucierpicie i to na razie w zupełności mi wystarczy: Blackthornowie będą cierpieć. – Obrzucił złowrogim spojrzeniem zgromadzonych przed nim Nocnych Łowców. – A gdzie Julian i Emma? Gdzie Mark? Stchórzyli? Nie chcą mi stawić czoła? – Zaśmiał się cicho. – Szkoda. Chętnie zobaczyłbym minę Emmy na mój widok. Możesz jej powiedzieć, że mam nadzieję, że klątwa strawi ich oboje.

To znaczy kogo? – zdziwił się w duchu Kit.

Wzrok Malcolma spoczął na nim i mlecznobiałe oczy czarownika zabłysły.

– Przykro mi z powodu twojego ojca, Herondale'u. Nic się nie dało zrobić.

Kit wzniósł Adriela nad głowę. Serafickie ostrze parzyło go w dłoń i migotało, ale rzuciło nieco więcej światła, dostatecznie dużo, miał nadzieję, żeby czarownik zobaczył, jak pluje w jego stronę.

Oczy Malcolma znów przybrały beznamiętny wyraz. Odwrócił się do Diany.

– Daję wam czas na decyzję do jutra wieczór. Wtedy wrócę. Jeżeli nie dacie mi Blackthorna, wybrzeże zostanie spustoszone. A tymczasem... – Pstryknął palcami i w powietrzu zapłonął bladofioletowy ognik. – Życzę wam miłej zabawy w towarzystwie moich przyjaciół.

I zniknął w tej samej chwili, gdy morskie demony rzuciły się na Centurionów.

U tych gór

Mark przepychał się przez tłum arystokratów. Wcześniej bywał wśród nich tylko z okazji uczt i hulanek, kiedy akurat napotkał przenoszący się z miejsca na miejsce Ciemny Dwór. Przeciskając się przez gęstą ciżbę, czuł w powietrzu zapach krwi, strachu, nienawiści. Ci faerie nienawidzili Nocnych Łowców. Król próbował ich uciszyć, ale tłuszcza nawoływała Emmę do przelania krwi ojca.

Nikt nie pilnował Kierana, który osunął się na kolana, napinając przy tym cierniowe sznury krępujące go jak drut kolczasty. Krew sączyła się leniwie z ran na nadgarstkach, szyi i kostkach.

Mark roztrącił ostatnich dworzan. Z bliska widział już, że Kieran nosi na szyi zawieszony na łańcuszku przedmiot. Elfi grot. Elfi grot, który należał do Marka.

Coś ścisnęło go w żołądku.

– Kieran... – Przyłożył dłoń do policzka Kierana.

Kieran zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Twarz miał szarą z bólu i zniechęcenia, za to uśmiech łagodny i miły.

– Tyle snów... – powiedział. – To koniec? Przyszedłeś mnie zabrać do Świetlistej Krainy? Nie mogłeś sobie wybrać lepszej twarzy.

Mark sprawdził kolczaste więzy. Były twarde. Seraficki nóż mógłby sobie z nimi poradzić, ale ponieważ serafickie ostrza tutaj nie działały, został mu tylko zwyczajny sztylet. Nagle przyszło mu coś do głowy.

Zaczął ostrożnie zdejmować zawieszony na szyi Kierana elfi grot.

– Nie wiem, jakim bogom to zawdzięczam, ale cieszę się, że w swojej łaskawości w moich ostatnich chwilach sprowadzili mi tego, którego kocha moja dusza – wyszeptał Kieran. Oparł głowę o pień drzewa, odsłaniając ciągi szkarłatnych ran po cierniach. – Mojego Marka.

Marka ścisnęło w gardle.

– Cii... – wyszeptał.

Elfi grot był bardzo ostry: Mark przeciął nim najpierw sznur na szyi Kierana, a potem ten na przegubach dłoni. Kiedy opadły, Kieran aż sapnął z ulgi.

– Więc to prawda, co mówią – powiedział. – Kiedy umierasz, przestajesz odczuwać ból.

Mark rozciął więzy krępujące mu kostki i wstał.

– Dość tego – powiedział. – Naprawdę jestem Markiem, nie tylko jego złudzeniem, a ty wcale nie umierasz, Kieranie. Ty żyjesz. – Ujął Kierana za nadgarstek i pomógł mu wstać. – I właśnie uciekasz.

Kieran sprawiał wrażenie na wpół oślepionego blaskiem księżyca. Wyciągnął ręce i oparł dłonie na ramionach Marka. Przez jeden krótki moment Mark miał jeszcze szansę się odsunąć, zamiast tego jednak wyszedł Kieranowi na spotkanie, poczuł smak krwi i porozcinanych sznurów i już się całowali.

Kształt ust Kierana był dla Marka tak samo znajomy jak smak cukru albo ciepło promieni słońca – tyle że tu nie było cukru ani słońca, nie było słodczy ani jasności, tylko mroczny napór poddanych króla Ciemnego Dworu i zapach krwi. Mimo to jego ciało zareagowało automatycznie na ciało Kierana: przyparł go do pnia drzewa, chwycił, przesunął dłońmi po jego skórze, wyczuwając pod palcami blizny i świeże rany.

Nagle poczuł, że unosi się i wyzwala z ciała i znów znalazł się w Dzikim Polowaniu, wczepił dłonie w grzywę Lotnej Włóczni, pochylił się pod wiatr, który targał mu włosy, palił w gardle i unosił jego śmiech. Czuł obejmujące go ramiona Kierana – jedyną ciepłą rzecz w zimnym świecie – i jego usta na swoim policzku.

Coś świsnęło mu koło ucha. Odskokzył od Kierana. Znów coś przeleciało tuż obok. Odruchowo przyparł Kierana do pnia i zasłonił.

Strzały. Strzały z płonącymi grotami frunęły ponad Ciemnym Dworem niczym zabójcze świetliki. Jeden z książąt pędził w stronę Marka i Kierana, unosząc łuk do strzału.

Wszystko wskazywało na to, że w końcu zostali zauważeni.

* * *

Trawa przed Instytutem niemal się zagotowała, gdy masy demonów zwały się na niej z Centurionami w kłębowisku smagających macek i serafickiej broni. Kit rzucił się w dół schodów i niemal zderzył z Samanthą, która wraz z bratem bliźniakiem stawiała czoło groteskowej szarej bestii o ciele pokrytym czerwonymi paszczami.

– Uważaj, jak chodzisz! – zrugła Kita i nagle krzyknęła z bólu, gdy macka oplotła jej pierś.

Kit chlasnął Adrielem i przeciął mackę tuż powyżej barku Samanthy. Demon wrzasnął wszystkimi paszczami jednocześnie i zniknął.

– Ohydztwo – mruknęła Samantha zbryzgana gęstą, szarawą, demoniczną posoką.

Nadal była nachmurzona, co wydało się Kitowi niewdzięcznością z jej strony, nie miał jednak czasu, żeby długo się nią przejmować, bo w następnej chwili odwrócił się i wzniosł miecz przeciwko wieloramiennemu demonowi o skórze gruzłowatej jak u rozgwiazdy.

Przypomniał mu się uśmiechnięty Ty, który złapał na plaży rozgwiazdę, i to wspomnienie wprawiło go w furję. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo demony przypominają piękne stworzenia, które zostały w odrażający sposób zdeformowane.

Ostrze spadło. Demon wrzasnął przeraźliwie, cofnął się odruchowo... ale zdążył jeszcze opleść Kita ramionami i zaczął go wlec za sobą.

Pierwsza zareagowała Diana, od stóp do głów zlaną krwią – zarówno ludzką, jak i demoniczną. Złapała Kita za rękę i pociągnęła w stronę schodów i Instytutu.

– Nic mi nie jest... – wysapał, wijąc się w jej uścisku. – Nie musisz mi pomagać...

Wyrwała mu z ręki Adriela i rzuciła go Diego, który złapał miecz w locie, skręcił tułów i dźgnął grube cielsko galaretowatego demona; w tej samej chwili zadał mu cios trzymanym w drugiej ręce toporem.

Bardzo to było wszystko imponujące, ale wściekły Kit miał to w nosie.

– Nie potrzebuję pomocy! – wykrzyczał. Diana wciągnęła go na schody. – Nie trzeba mnie ratować!

Okręciła go w miejscu i spojrzała mu w oczy. Jeden rękaw miała przesiąknięty krwią, na szyi nosiła krwawy ślad po zerwanym naszyjniku, ale pozostała władcza i nieprzejednana jak zawsze.

– Ciebie nie – zgodziła się – ale trzeba ratować Blackthornów. Dlatego im pomożesz.

Oszołomiony Kit przestał się wyrywać. Diana puściła go, barkiem pchnęła drzwi Instytutu i ostrożnie przeszła przez próg. Kit obejrzał się jeszcze raz przez ramię i ruszył za nią.

* * *

Po tym, jak Julian złapał Ereca i przystawił mu sztylet do gardła, zapanował chaos. Zgromadzone wokół pawilonu faerie zawyły zgodnie, przejęci zgrozą rycerze odstąpili, król coś krzyczał.

Julian starał się skupić na tym, co najważniejsze. Nie wypuszczaj więźnia, powtarzał sobie w myślach. Trzymaj mu nóż na gardle. Jeżeli ci się wymknie, zostaniesz z niczym. Jeżeli zabijesz go zbyt szybko, zostaniesz z niczym. Jest twoim jedynym atutem. Wykorzystaj go.

Na wydany przez króla rozkaz rycerze się rozstąpili, tworząc przed Julianem szpaler, w który wszedł, prowadząc przed sobą Ereca. Szpaler prowadził prosto do tronu. Król stał na skraju pawilonu, wiatr rozwiewał mu biały płaszcz.

Erec nie próbował się wyrywać, tylko, kiedy podeszli do pawilonu, wykręcił szyję, żeby spojrzeć na ojca. Julian wyraźnie wyczuł moment, w którym ich oczy się spotkały.

– Nie poderzniesz gardła mojemu synowi. – Król spojrzał na Juliana z pogardą. – Jesteś Nocnym Łowcą. Przestrzegasz kodeksu honorowego.

– Mylisz mnie z dawnymi Łowcami – odparł Julian. – Ja dorastałem w czasie Mrocznej Wojny. Przeszedłem chrzest krwi i ognia.

– Jesteś miękkki. Łagodny jak aniołowie.

Julian mocniej przycisnął ostrze do gardła Ereca. Księżę faerie roztaczał woń strachu i krwi.

– Zabiłem własnego ojca – powiedział Julian. – Naprawdę myślisz, że nie zabiję twojego syna?

Na twarzy króla odmalowało się zaskoczenie.

– Mówi prawdę – odezwał się Adaon. – W Sali Anioła było wielu świadków. On naprawdę jest bezwzględny.

– Milcz, Adaonie – mruknął król z marsową miną. Było widać, że się

zaniepokoił. W jego oczach przemknął cień. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką cenę przyjdzie ci zapłacić za przelanie krwi mojego rodu na Ciemnym Dworze – dodał pod adresem Juliana. – Zresztą nie tobie jednemu. Całe Clave za to zapłaci.

– W takim razie nie zmuszaj mnie do tego. Pozwól nam odejść w pokoju. Zabierzemy ze sobą Ereca; uwolnimy go miłą stąd. Niech nikt nas nie śledzi. Jeżeli zorientujemy się, że ktoś za nami idzie, zabijemy go. Ja go zabiję.

Erec zaklął i splunął.

– Pozwól mu mnie zabić, ojczu. Niech moja krew roznieci wojnę, o której i tak wiemy, że jest nieuchronna.

Wzrok króla spoczął na synu. „Ulubieniec króla”, tak nazwał Ereca Mark, ale Julian zastanawiał się w tej chwili, czy król nie przejmuje się bardziej perspektywą bliskiej wojny niż losem syna.

– Wydaje wam się, że anioły są łagodne – odezwał się. – Nic z tych rzeczy. Anioły wymierzają sprawiedliwość w powodzi krwi i niebiańskiego ognia. Niosą pomstę pięścią i żelazem. Ich chwała, lodowata i okrutna, wypaliłaby wam oczy, gdybyście je ujrzeli. – Spojrzał królowi w oczy: jedno pałające gniewem, drugie puste. – Przyjrzyj mi się dobrze, jeśli wątpisz w moje słowa. Spójrz mi w oczy. Podobno faerie wszystko widzą. Jak myślisz, czy mam jeszcze coś do stracenia?

naszyjniku, ale pozostała władcza i nieprzejednana jak zawsze.

– Ciebie nie – zgodziła się – ale trzeba ratować Blackthornów. Dlatego im pomożesz.

Oszołomiony Kit przestał się wyrywać. Diana puściła go, barkiem pchnęła drzwi Instytutu i ostrożnie przeszła przez próg. Kit obejrzał się jeszcze raz przez ramię i ruszył za nią.

* * *

Po tym, jak Julian złapał Ereca i przystawił mu sztylet do gardła, zapanował chaos. Zgromadzone wokół pawilonu faerie zawyły zgodnie, przejęci zgrozą rycerze odstąpili, król coś krzyczał.

Julian starał się skupić na tym, co najważniejsze. Nie wypuszczaj więźnia, powtarzał sobie w myślach. Trzymaj mu nóż na gardle. Jeżeli ci się wymknie, zostaniesz z niczym. Jeżeli zabijesz go zbyt szybko, zostaniesz z niczym. Jest

twoim jedynym atutem. Wykorzystaj go.

Na wydany przez króla rozkaz rycerze się rozstąpili, tworząc przed Julianem szpaler, w który wszedł, prowadząc przed sobą Ereca. Szpaler prowadził prosto do tronu. Król stał na skraju pawilonu, wiatr rozwiewał mu biały płaszcz.

Erec nie próbował się wyrywać, tylko, kiedy podeszli do pawilonu, wykręcił szyję, żeby spojrzeć na ojca. Julian wyraźnie wyczuł moment, w którym ich oczy się spotkały.

– Nie poderzniesz gardła mojemu synowi. – Król spojrzał na Juliana z pogardą. – Jesteś Nocnym Łowcą. Przestrzegasz kodeksu honorowego.

– Mylisz mnie z dawnymi Łowcami – odparł Julian. – Ja dorastałem w czasie Mrocznej Wojny. Przeszedłem chrzest krwi i ognia.

– Jesteś miękki. Łagodny jak aniołowie.

Julian mocniej przycisnął ostrze do gardła Ereca. Księżę faerie roztaczał woń strachu i krwi.

– Zabiłem własnego ojca – powiedział Julian. – Naprawdę myślisz, że nie zabiję twojego syna?

Na twarzy króla odmalowało się zaskoczenie.

– Mówi prawdę – odezwał się Adaon. – W Sali Anioła było wielu świadków. On naprawdę jest bezwzględny.

– Milcz, Adaonie – mruknął król z marsową miną. Było widać, że się zaniepokoił. W jego oczach przemknął cień. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką cenę przyjdzie ci zapłacić za przelanie krwi mojego rodu na Ciemnym Dworze – dodał pod adresem Juliana. – Zresztą nie tobie jednemu. Całe Clave za to zapłaci.

– W takim razie nie zmuszaj mnie do tego. Pozwól nam odejść w pokoju. Zabierzemy ze sobą Ereca; uwolnimy go miłą stąd. Niech nikt nas nie śledzi. Jeżeli zorientujemy się, że ktoś za nami idzie, zabijemy go. Ja go zabiję.

Erec zaklął i splunął.

– Pozwól mu mnie zabić, ojcze. Niech moja krew roznieci wojnę, o której i tak wiemy, że jest nieuchronna.

Wzrok króla spoczął na synu. „Ulubieniec króla”, tak nazwał Ereca Mark, ale Julian zastanawiał się w tej chwili, czy król nie przejmuje się bardziej perspektywą bliskiej wojny niż losem syna.

– Wydaje wam się, że anioły są łagodne – odezwał się. – Nic z tych rzeczy.

Anioły wymierzają sprawiedliwość w powodzi krwi i niebiańskiego ognia. Niosą pomstę pięścią i żelazem. Ich chwała, lodowata i okrutna, wypaliłaby wam oczy, gdybyście je ujrzeli. – Spojrzał królowi w oczy: jedno pałające gniewem, drugie puste. – Przyjrzyj mi się dobrze, jeśli wątpisz w moje słowa. Spójrz mi w oczy. Podobno faerie wszystko widzą. Jak myślisz, czy mam jeszcze coś do stracenia?

* * *

Zgromadzili się w holu wejściowym: Ty, Livvy, Arthur i dwoje najmłodszych: Dru trzymała Tavvy'ego na rękach. Na widok Diany i Kita rozpromienili się, chociaż Kit nie umiałby powiedzieć, czyj widok napełnił ich ulgą – jego czy Diany. Arthur – który siedział na schodach milczący, ze wzrokiem wbitym w plamy krwi na szlafroku – poderwał się na nogi, ale musiał złapać się poręczy, żeby nie stracić równowagi.

– Wszystko słyszeliśmy – powiedziała Livvy. Była wstrząśnięta, popielata na twarzy. Trzymała Ty'a za rękę. – Malcolm chce dostać krew Blackthorna i ma armię demonów...

– I pewnie kiedy mówi o „krwi Blackthorna”, to nie ma co liczyć na to, że zadowolili się... uncją? – zasugerował Kit. – Albo pintą?

Wszyscy zmrozili go wzrokiem.

Wszyscy poza Ty'em, który spojrzał na niego z zachwytem.

– Też o tym pomyślałem – przyznał. – Kłopot w tym, że zaklęcia są zapisywane archaicznym językiem, w którym „krew Blackthorna” oznacza po prostu życie Blackthorna.

– Nie dostanie tego, czego chce – zapowiedziała Diana. Zdjęła zakrwawioną kurtkę i rzuciła ją na podłogę. – Musimy otworzyć Bramę. Jak najszybciej.

Wyjęła telefon z kieszeni džinsów i zaczęła wybierać numer.

– Nie możemy tak po prostu zniknąć! – zaprotestowała Livvy. – Malcolm wypuści wtedy wszystkie demony! Zginą ludzie!

– Z Malcolmem nie można się targować – odparła Diana. – Jest kłamcą. Równie dobrze mógłby dostać krew Blackthorna, a potem i tak uwolnić demony. Dlatego najlepiej będzie odstawić was w bezpieczne miejsce, a potem wrócić i go zaatakować.

– Ale...

– Ona ma rację – poparł Dianę Kit. – Mojemu tacie Malcolm naobiecował mnóstwo rzeczy, między innymi to, że go ochroni. Tymczasem okazało się, że załatwił wszystko w taki sposób, żeby mieć pewność, że kiedy coś mu się stanie, mój ojciec też zginie.

– Catarina? – Diana odwróciła się, przycisnąwszy telefon do ucha. – Muszę cię prosić o przysługę, i to nie byle jaką.

– Zostaniemy uznani za tchórzy – zmartwiła się Dru. – Kiedy tak po prostu uciekniemy...

– Jesteście dziećmi – wtrącił Arthur. – Nikt od was nie oczekuje, żebyście zostali i walczyli.

Podszedł do okna. Nikt nie poszedł za nim; wystarczyły im dobiegające z zewnątrz odgłosy walki. Tavvy wtulił buzię w ramię siostry.

– Do Londynu? – powiedziała Diana. – W porządku. Dziękuję, Catarino. Rozłączyła się.

– Londyn? – powtórzyła Livvy. – Dlaczego akurat Londyn?

– Może przenieśmy się do Idrisu? – zasugerowała Dru. – Emma i Jules tam są.

– Catarina nie może otworzyć Bramy do Idrisu – odparła Diana, nie patrząc jej w oczy. – Ma natomiast dobre układy z Instytutem w Londynie.

– W takim razie powinniśmy się z skontaktować z Clave! – nie ustępowała Dru.

Nagle odskoczyła w tył, gdy tuż obok niej powietrze zaczęło się mienić i migotać.

– Musimy się spakować – zauważył Tavvy, wpatrując się z niepokojem w coraz większą świetlistą plamę. Rozrastała się i wirowała niczym wielobarwny wiatraczek. – Nie możemy tak odejść bez niczego.

– Nie mamy czasu – powiedziała Diana. – Tak jak nie mamy czasu, żeby odezwać się do Clave. W Londynie są domy należące do Blackthornów, bezpieczne schronienia, znajomi ludzie...

– Ale po co to wszystko? – nie ustępowała Livvy. – Gdyby Clave...

– Nie jest wcale wykluczone, że Clave wolałoby przehandlować jedno z was Malcolmowi – odezwał się Arthur. – Nie to właśnie miałaś na myśli, Diano?

Diana nie odpowiedziała. Kolorowy wiatraczek rósł w oczach i stopniowo

przybierał kształt wysokich, szerokich drzwi okolonych świetlistymi runami.

– Centurioni zresztą również – odezwała się w końcu Diana. – Przynajmniej niektórzy. Dlatego uciekamy nie tylko przed Malcolmem, lecz także przed Centurionami. Zostało nam niewiele czasu, lada chwila rozprawią się z demonami.

– Diego nigdy by się... – zaczęła wyniośle Dru.

– Diego nie ma tu nic do gadania – ucięła Diana.

Forma Bramy się ustaliła: po drugiej stronie miarowo falujących otwartych drzwi Kit widział pokój gościnny o ścianach wyłożonych wyblakłą kwiecistą tapetą. Ten widok wydał mu się skrajnie absurdalny.

– Pośpieszcie cię. Drusillo, ty pierwsza...

Drusilla – choć zdesperowana i rozzłoszczona – posłusznie przecięła hol i przeszła przez Bramę, nie wypuszczając Tavvy'ego z objęć. Kit ze zdumieniem odprowadził ich wzrokiem, aż zniknęli po drugiej stronie.

Livvy z Ty'em podeszli do Bramy, trzymając się za ręce. Livvy przystanąła jeszcze na chwilę, od emanującej z Bramy magicznej energii włosy stanęły jej dęba.

– Nie możemy zostawić Instytutu na pastwę Zary i Kohorty – zaprotestowała, odwróciwszy się do Diany. – Nie możemy im go oddać...

– Lepsze to niż śmierć kóregoś z was. Idźcie już.

Ty również się zawahał.

– Kit idzie z nami, prawda? – spytał.

Diana spojrzała pytająco na Kita.

Nie wiadomo dlaczego ścisnęło go w gardle.

– Tak, idę – przytaknął.

Patrzył, jak Ty i Livvy przepadają w kolorowej pustce. Następna była Diana. W końcu Kit podszedł do Bramy, ale przystanął jeszcze i obejrzał się na Arthura.

– Chcesz przejść pierwszy? – zapytał.

Arthur pokręcił głową. Miał dziwną minę, dziwną nawet jak na niego. Chociaż tak w ogóle, pomyślał Kit, to dzisiaj zachowuje się całkiem normalnie. Tak jakby w sytuacji zagrożenia wziął się w garść i panował nad sobą znacznie lepiej niż na co dzień.

– Powiedz im... – odezwał się Arthur. Mięśnie twarzy drgnęły mu nerwowo. Drzwi wejściowe za jego plecami zadygotały pod uderzeniem:

ktoś próbował wejść do środka. – Powiedz...

– Sam im za chwilę powiesz – wszedł mu w słowo Kit.

Czuł siłę przyciągania Bramy, wydawało mu się nawet, że słyszy głosy Ty'a i Livvy. Mimo to tkwił nieruchomo tam, gdzie się zatrzymał.

– Coś się stało? – zapytał.

Arthur przybliżył się do Bramy. Kit odprężył się nieco, widząc, że najprawdopodobniej razem przejdą na drugą stronę, ale zamiast tego poczuł na ramieniu dłoń Arthura.

– Podziękuj ode mnie Julianowi – powiedział Arthur i z całej siły popchnął Kita.

Kit wpadł w wirującą, bezdźwięczną nicość.

– Nie jest wcale wykluczone, że Clave wolałoby przehandlować jedno z was Malcolmowi – odezwał się Arthur. – Nie to właśnie miałaś na myśli, Diano?

Diana nie odpowiedziała. Kolorowy wiatraczek rósł w oczach i stopniowo przybierał kształt wysokich, szerokich drzwi okolonych świetlistymi runami.

– Centurioni zresztą również – odezwała się w końcu Diana. – Przynajmniej niektórzy. Dlatego uciekamy nie tylko przed Malcolmem, lecz także przed Centurionami. Zostało nam niewiele czasu, lada chwila rozprawią się z demonami.

– Diego nigdy by się... – zaczęła wyniośle Dru.

– Diego nie ma tu nic do gadania – ucięła Diana.

Forma Bramy się ustaliła: po drugiej stronie miarowo falujących otwartych drzwi Kit widział pokój gościnny o ścianach wyłożonych wyblakłą kwiecistą tapetą. Ten widok wydał mu się skrajnie absurdalny.

– Pośpieszcie cię. Drusillo, ty pierwsza...

Drusilla – choć zdesperowana i rozzłoszczona – posłusznie przecięła hol i przeszła przez Bramę, nie wypuszczając Tavvy'ego z objęć. Kit ze zdumieniem odprowadził ich wzrokiem, aż zniknęli po drugiej stronie.

Livvy z Ty'em podeszli do Bramy, trzymając się za ręce. Livvy przystanąła jeszcze na chwilę, od emanującej z Bramy magicznej energii włosy stanęły jej dęba.

– Nie możemy zostawić Instytutu na pastwę Zary i Kohorty – zaprotestowała, odwróciwszy się do Diany. – Nie możemy im go oddać...

– Lepšie to niż śmierć któregoś z was. Idźcie już.

Ty również się zawahał.

– Kit idzie z nami, prawda? – spytał.

Diana spojrzała pytająco na Kita.

Nie wiadomo dlaczego ścisnęło go w gardle.

– Tak, idę – przytaknął.

Patrzył, jak Ty i Livvy przepadają w kolorowej pustce. Następna była Diana. W końcu Kit podszedł do Bramy, ale przystanął jeszcze i obejrzał się na Arthura.

– Chcesz przejść pierwszy? – zapytał.

Arthur pokręcił głową. Miał dziwną minę, dziwną nawet jak na niego. Chociaż tak w ogóle, pomyślał Kit, to dzisiaj zachowuje się całkiem normalnie. Tak jakby w sytuacji zagrożenia wziął się w garść i panował nad sobą znacznie lepiej niż na co dzień.

– Powiedz im... – odezwał się Arthur. Mięśnie twarzy drgnęły mu nerwowo. Drzwi wejściowe za jego plecami zadygotały pod uderzeniem: ktoś próbował wejść do środka. – Powiedz...

– Sam im za chwilę powiesz – wszedł mu w słowo Kit.

Czuł siłę przyciągania Bramy, wydawało mu się nawet, że słyszy głosy Ty'a i Livvy. Mimo to tkwił nieruchomo tam, gdzie się zatrzymał.

– Coś się stało? – zapytał.

Arthur przybliżył się do Bramy. Kit odprężył się nieco, widząc, że najprawdopodobniej razem przejdą na drugą stronę, ale zamiast tego poczuł na ramieniu dłoń Arthura.

– Podziękuj ode mnie Julianowi – powiedział Arthur i z całej siły popchnął Kita.

Kit wpadł w wirującą, bezdźwięczną nicość.

* * *

Książę faerie strzelił z łuku.

Kieran zareagował tak szybko, że Mark nie wierzył własnym oczom: błyskawicznie obrócił się w miejscu i zasłonił Marka własnym ciałem. Strzała przecięła powietrze, świergocząc jak zabójczy ptak. Mark zdążył jeszcze złapać Kierana i go odepchnąć, ale w tej samej chwili pocisk dosięgnął celu: strzała trafiła Kierana w plecy tuż poniżej łopatki.

Osunął się wsparty na ramieniu Marka, który wolną ręką wyciągnął z za pasa sztylet i rzucił. Książę zawył i upadł, ściskając tkwiący w udzie sztylet.

Mark zaczął się wycofywać z polany, ciągnąc Kierana za sobą. Grad strzał ustał, ale proporce z herbem przełamanej korony zdążyły się zająć ogniem. Zebrani na polanie arystokraci krzyczeli, miotali się bez ładu i składu, niektórzy rzucali się do ucieczki.

Przytrzymując Kierana, Mark zniknął w lesie.

* * *

– Emmo... – wyszeptała Cristina.

Polana tętniła zgiełkiem, śmiechem, gwizdami i drwiącymi okrzykami. Z daleka Cristina zobaczyła Juliana grożącego Erecowi nożem. Faerie wstrzymały oddech, gdy Julian zaczął się przeciskać w stronę królewskiego pawilonu. Zająty Emmą król na razie jeszcze nie zorientował się w sytuacji.

Emma klęczała na ziemi, ściskając rękę zranionego wojownika faerie. Kiedy podniosła wzrok na Cristinę, oczy jej błyszczały.

– Pomóż mi z tatą – poprosiła.

Próbowała zarzucić sobie jego ramię na szyję, on jednak leżał nieruchomo i w pierwszej chwili Cristina przestraszyła się, że nie żyje.

Wstał jednak z wysiłkiem i na drżących nogach odsunął się od Emmy. Był szczupły, wysoki i podobieństwo rodzinne nie ulegało wątpliwości: miał takie same rysy jak Emma, taki sam kształt oczu... Tyle że jego oczy były białe i puste.

– Puść mnie, Nefilim – powiedział. – Puść mnie, suko. To zaszło za daleko.

Te słowa zmroziły Cristinę. Król znów wybuchnął śmiechem. Cristina złapała Emmę za rękę.

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co widzisz!

– To jest mój ojciec – odparła z naciskiem Emma. Czowała tętnienie krwi pod ściskającymi jej nadgarstek palcami Cristiny. Wyciągnęła drugą rękę. – Tato? Chodź ze mną, proszę.

– Jesteś Nefilim – odparł. Na szyi nosił wyblakłe ślady po starych Znakach.

– Jeżeli mnie dotkniesz, zawlokę cię przed oblicze mojego króla, a on każe cię zgładzić.

Dookoła nich faerie śmiały się do rozpuku wsparte na sobie nawzajem.

Świadomość, że przedmiotem ich drwin jest dezorientacja i zgroza Emmy, napełniała Cristinę morderczą furją. Mogła uczyć się o faerie, mogła czytać o tym, że odczuwają emocje inaczej niż ludzie; że te wychowane na Ciemnym Dworze znajdują przyjemność w cierpieniu innych; że potrafią pochwycić człowieka w sieć utkaną ze słów i kłamstw, by potem z uśmiechem patrzeć, jak dławi się ich sztuczkami.

Ale zobaczyć to wszystko na własne oczy? O, to było coś zupełnie innego.

Nagle wybuchło zamieszanie i król przebiegł przez pawilon na jego drugą stronę. Tam zaczął pokrzykiwać i wydawać rozkazy. Jego rycerze się rozpierzchli.

Julian, domyśliła się Cristina. I rzeczywiście, po chwili zobaczyła Juliana, który – trzymając przed sobą Erecę – przystanął przed pawilonem. Celowo odciągnął króla od niej i Emmy.

– Łatwo to rozstrzygnąć – powiedziała i wyjęła zza pasa nóż motylkowy. – Weź go – poleciła wojownikowi faerie.

– Cristino, co ty... – zdziwiła się Emma.

– To zimne żelazo – wyjaśniła Cristina.

Zrobiła kolejne dwa kroki w stronę wojownika. Jego twarz zmieniała się gwałtownie, coraz mniej przypominała teraz twarz Emmy, coraz bardziej zaś coś zupełnie innego, jakby jakieś plugastwo żyło pod jej skórą...

– Twój ojciec jest Nocnym Łowcą – dodała Cristina. – Zimne żelazo nie zrobi mu krzywdy.

Podeszła jeszcze bliżej, a wtedy wojownik, który wyglądał jak John Carstairs, zmienił się nie do poznania. Jego twarz zafalowała, ciało rozciągnęło się i przeobraziło, skóra przybrała kolor szarozielony i obsypała się cętkami. Wargi nabrzmiały, oczy rozszerzyły się makabrycznie i żółkły, włosy zniknęły, odsłaniając gruzłowatą, błyszczącą czaszkę.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał ojciec Emmy, widniał teraz rycerz faerie o krępych ciele i głowie ropuchy. Emma pobladła i wytrzeszczyła oczy, gdy szeroki pysk rozwarł się i dobiły się z niego chrypliwe słowa:

– Nareszcie! Nareszcie mogę odrzucić tę obrzydliwą iluzję, nie muszę udawać ohydneho Nefilim...

Nie skończył zdania. Emma chwyciła Cortanę, skoczyła naprzód i przeszła mu gardło.

Faerie mlasnął, rozdziawił pysk i plunął szeroką strugą krwi o barwie

ropy. Zatoczył się i cofnął, lecz Emma podążyła za nim. Przekręciła rękojeść miecza. Smród posoki i wilgotne cmoknięcia rozdzieranego ostrzem ciała przyprawiały Cristinę o mdłości.

– Emmo! – zawołała. – Emmo!

Emma wyciągnęła miecz z rany i dźgnęła ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze, zanim w końcu Cristina złapała ją za ramiona i odciągnęła. Nieżywy rycerz faerie osunął się na ziemię. Zbryzgana ohydną posoką Emma dygotała na całym ciele i ledwie trzymała się na nogach.

– Chodź. – Cristina złapała ją za rękę i zaczęła odciągać od pawilonu. W tej samej chwili powietrze eksplodowało dźwięcznym szelestem.

Strzały. Ich płonące groty nad polaną tworzyły upiorną, ruchomą poświatę. Cristina odruchowo się uchyliła i głośne *klang!* rozległo się kilka cali od jej głowy. To Emma odbiła pocisk ostrzem Cortany. Strzała rozpadła się na kawałki.

Cristina przyśpieszyła kroku.

– Musimy się stąd wydostać...

Płonąca strzała przeleciała tuż obok i przeszła proporzec zawieszony na maszcie królewskiego pawilonu. Proporzec zajął się trzaskającym ogniem i oświetlił książąt wybiegających z pawilonu i przepadających w mroku poza skrajem polany. Tylko król stał przed tronem jak skamieniały i patrzył w pustkę. Gdzie się podzieli Jules i Erec?

Zbliżały się do brzegu polany, gdy jak spod ziemi wyrosła przed nimi faerie w kościanej sukni. Jej pozbawione źrenic oczy, zielone w świetle gwiazd, połyskiwały oleiście. Cristina z całej siły nadepnęła jej na nogę. Okrzyk bólu kobiety utonął w ogólnym jazgocie Ciemnego Dworu, a Cristina solidnym kuksańcem zepchnęła ją ze swojej drogi. Faerie zderzyła się z pawilonem, drobne kosteczki osypały się jej z sukni jak zdeformowane płatki śniegu.

Cristina cały czas ścisnęła rękę Emmy, zimną jak lód.

– Chodźmy – ponagliła przyjaciółkę i razem wbiegły między drzewa.

* * *

Mark nie chciał uciekać za daleko, dopóki Julian, Emma i Cristina wciąż znajdowali się na Ciemnym Dworze. Zaciągnął Kierana w cień grubego dębu

i tam go posadził. Kieran oparł się o pień.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Mark. – Boli cię coś??

Kieran spojrzał na niego z irytacją i zanim Mark zdążył go powstrzymać, sięgnął ręką za plecy, chwycił drzewce strzały i ją wyszarpnął. Cieknąca z rany krew przesiąkła koszulę na plecach.

– Jezu, Kieran, co ty sobie...

– Cóż to, Marku? Wzywasz teraz cudzoziemskich bogów na pomoc? Jeśli się nie mylę, powiedziałeś przecież, że wcale nie umieram.

– Bo tak było. – Mark ściągnął płócienną kamizelkę i zwinął ją w kłęb, po czym przycisnął do pleców Kierana. – Za to teraz sam mam ochotę cię zabić za twoją głupotę.

– Myśliwi szybko wracają do zdrowia – wysapał Kieran. – Mark... To naprawdę ty. – Oczy mu błyszczały. – Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz.

Mark milczał. Starał się skoncentrować na zatamowaniu krwotoku, ale niepokój rozpierał go od wewnątrz. Nie rozstali się z Kieranem w przyjaźni, dlaczego więc Kieran spodziewał się, że Mark po niego przyjdzie? Przecież niewiele brakowało, żeby tego nie zrobił.

– Kier...

Odsunął kamizelkę. Kieran miał rację, krew sączyła się już tylko leniwą strużką. Mark odrzucił zakrwawiony kłębek materiału i dotknął policzka Kierana. Był rozpalony jak piec hutniczy.

– Gorączkujesz.

Chciał mu zawiesić elfi grot na szyi, ale Kieran go powstrzymał.

– Dlaczego noszę twój naszyjnik? – Zmarszczył brwi. – Ty go powinieneś mieć.

– Oddałem ci go z powrotem – wyjaśnił Mark.

Kieran zaśmiał się chrapliwie.

– Coś takiego bym zapamiętał. – Nagle otworzył szerzej oczy. – Nie pamiętam, żebym zabił Iarlatha. Chociaż wiem, że to zrobiłem. Powiedzieli mi. A ja uwierzyłem, bo Iarlath był łajdakiem. Ale nie pamiętam. Nie pamiętam niczego od momentu, gdy zobaczyłem cię przez okno w Instytucie, w kuchni. Rozmawiałeś z tą dziewczyną, Cristiną.

Mark zmartwiał. Odruchowo zarzucił sobie łańcuszek na szyję. Poczul na piersi ciężar elfiego grotu. Kieran naprawdę nic nie pamiętał? To by

znaczyło, że nie pamięta też, jak zdradził Marka, jak ujawnił Dziakiemu Polowaniu, że Mark zdradził Nefilim tajemnice faerie, jak Julian i Emma zostali ukarani.

I nie pamięta, że Mark z nim zerwał i zwrócił mu naszyjnik.

Nic dziwnego, że oczekiwał przybycia Marka z odsieczą.

– Ta dziewczyna Cristina jest tutaj – zabrzmiał głos nad ich głowami.

Cristina dołączyła do nich w cieniu dębu. Była rozczochrana i w nieładzie, ale nie aż tak jak Emma, która nie dość, że była obryzgana krwią faerie, to jeszcze krwawiła z podłużnego draśnięcia na policzku.

Mark zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?! Jesteście ranne?

– Nie... – odparła Emma. – Nic nam nie będzie.

Była oszołomiona, jej głos brzmiał niepokojąco beznamiętnie.

– Emma zabiła wyznaczonego przez króla wojownika – wyjaśniła Cristina... i ugryzła się w język.

Mark wyczuł instynktownie, że nie powiedziała mu całej prawdy, ale postanowił nie naciskać.

Emma zamrugnęła i z wysiłkiem zogniskowała wzrok na Marku i Kieranie.

– A, to ty, Szczurza Gębo – powiedziała na widok tego drugiego. Znów brzmiała prawie jak stara, dobra Emma. – Dopuściłeś się ostatnio jakiejś potwornej zdrady?

Kieran zdębiał. Ludzie zwykle nie zwracają się w ten sposób do książąt Ciemnego Dworu, a poza tym, jak przypuszczał Mark, Kieran zwyczajnie nie pamiętał, że Emma ma powody się na niego złościć i oskarżać go o zdradę.

– Zabrałeś ją ze sobą, kiedy przyszedłeś mnie ratować? – spytał z niedowierzaniem Kieran, zwracając się do Marka.

– Wszyscy przyszedliśmy cię uratować – wtrącił Julian, ledwie widoczny spoza Ereca, którego popychał przed sobą.

Emma głośno sapnęła z ulgi. Julian zerknął na nią przelotnie, ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. To musiało być to, co Mark zawsze nazywał w myślach „spojrzeniem *parabatai*”: szybki rzut oka, który pozwalał się upewnić, że to drugie jest tuż obok, całe i zdrowe. Znał już prawdę o uczuciu, jakim Julian darzył Emmę, ale zastanawiał się, czy ich związek nie ma drugiego dna.

Erec krwawił z rany na szyi, gdzie sztylet najwyraźniej omsknął się

Julianowi. Z wykrzywioną gniewnie twarzą toczył dookoła wilczym wzrokiem.

– Zdrajca krwi – rzucił pod adresem Kierana i splunął. – Bratobójca.

– Iarlath nie był mi bratem – odparł znużonym głosem Kieran.

– Był bardziej niż te potwory tutaj. – Erec obrzucił spojrzeniem otaczających go Nocnych Łowców. – Nadal nas z nimi zdradzasz.

– Tak jak ty zdradziłeś mnie przed królem, naszym ojcem? – odparował Kieran. Kuląc się wśród korzeni drzewa, wyglądał niepozornie, ale gdy uniósł głowę, by spojrzeć na Erec, jego oczy zaśniły twardo jak dwa klejnoty. – Myślisz, że nie wiem, kto powiedział królowi, że zabiłem Iarlatha? Że nie wiem, kogo mam winić za wygnanie mnie do Dzikiego Polowania?

– Co za arogancja... Zawsze byłeś aroganckim szczeniakiem. Wyobrażałeś sobie, że twoje miejsce jest na dworze, wśród nas, ale to ja jestem ulubieńcem króla, nie ty. Nie zaskarbiłeś sobie łask ani ojca, ani Ciemnego Dworu.

– A mimo to woleli mnie niż ciebie – przypomniał półgłosem Kieran. – Wcześniej, zanim...

– Dość tego – uciął Julian. – Ciemny Dwór płonie, ale gdy tylko chaos zostanie opanowany, rycerze ruszą naszym tropem. Nie możemy tak tu stać i przerzucać się ploteczkami, to szaleństwo.

– To poważne sprawy dworskie – warknął Erec. – Nie żadne ploteczki.

– Dla mnie to ploteczki. – Julian spojrział między drzewa. – Na pewno jest tu jakiś skrót na ziemie podległe Jasnemu Dworowi. Możesz nas tam zaprowadzić?

Erec nie odpowiedział.

– Może. – Kieran wstał chwiejnie. – Nie może skłamać i powiedzieć, że to niemożliwe. Dlatego milczy.

Emma spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Bywasz zdumiewająco pomocny, Szczurza Gębo, gdy tylko najdzie cię ochota.

– Wolałbym, żebyś się tak nie spoufalala – odparł z dezaprobatą Kieran.

Erec stęknął – to Julian mocniej przycisnął mu sztylet do gardła. Zaciśnięta na rękojeści dłoń drżała lekko. Mark przypuszczał, że trzymanie Erec w szachu wymaga sporego wysiłku, ale domyślał się, że drzenie ręki Juliana ma jeszcze inne przyczyny: potrafił być bezwzględny w obronie tych,

których kochał, ale w gruncie rzeczy nie miał natury oprawcy.

– Zabiję cię, jeżeli nie poprowadzisz nas we właściwym kierunku – zapowiedział Julian. – I nie będę się z tym śpieszył.

– Obiecałeś mojemu ojcu...

– Nie jestem faerie. Mogę kłamać.

Malująca się na twarzy Erec'a posępna wściekłość zaniepokoiła Marka; faerie słynęły z tego, że potrafią bardzo długo chować urazę. Erec ruszył jednak przed siebie i wszyscy poszli za nim. Rozświetlająca polanę pomarańczowa luna została za ich plecami.

Zagłębili się w ciemny las. Drzewa rosły gęsto, grube korzenie wiły się po czarnej ziemi, niskie gałęzie były obsypane kwiatami w intensywnych odcieniach krwistej czerwieni i jadowitej zieleni. Minęli leśną faerie, która – usadowiona w rozwidleniu konarów i odziana jedynie w misterną siateczkę ze srebrnych drucików – zachichotała na ich widok i mrugnęła do Marka porozumiewawczo. Kieran wspierał się ciężko na ramieniu Marka, który podtrzymywał go dłonią podłożoną pod krzyż.

Ciekawe, zastanawiał się Mark, czy inni zastanawiają się lub dziwią, co nas łączy. Cristina rzuciła mu przelotne spojrzenie, ale z jej twarzy nie udało mu się niczego wyczytać.

Prowadził Julian z Erekiem, dalej szły Emma i Cristina, blisko siebie. Mark nie mógł się wyzbyć dręczącego go niepokoju. Za łatwo udało im się wymknąć. Król Ciemnego Dworu pozwolił im odejść i zabrać swojego ukochanego syna...

– Gdzie są pozostali? – zapytał Erec, gdy drzewa się przerzedziły, odsłaniając widok na cudownie wielobarwne niebo. – Gdzie reszta waszych przyjaciół?

– Przyjaciół? – powtórzył zdziwiony Mark. – jakich przyjaciół?

– Mówię o łucznikach – wyjaśnił Erec. – Te płonące strzały na dworze... Muszę przyznać, że to było bardzo sprytne. Zastanawialiśmy, jak sobie poradzić bez broni po tym, jak odebraliśmy wam wasze anielskie moce.

– Jak tego dokonaliście? – zainteresował się Mark. – Przekleńliście całą okolicę?

– To by nic nie dało – zauważyła Emma. – Runy działają nawet w królestwach demonów. To jest coś dziwniejszego.

– I jeszcze ta plaga – przypomniał sobie Mark. – Co oznacza?

Wielokrotnie napotykalismy porażone zarazą tereny na ziemiach Ciemnego Dworu.

– Nie zamierzam o tym z wami rozmawiać – odwarknął Erec. – I nie próbujcie mi grozić, prędzej umrę, niż wam powiem.

– Uwierz mi, mnie też już męczy groźenie ci – powiedział Julian.

– To mnie wypuść. Jak długo zamierzacie mnie trzymać w niewoli? W nieskończoność? Bo tylko wtedy bylibyście bezpieczni przed zemstą mojego ojca i jego rycerzy, którzy w przeciwnym razie znajdą was i poderzną wam gardła.

– Powiedziałem, że mnie to męczy, a nie że zamierzam przestać. – Jules postukał palcem w rękojeść sztyletu. Stanęli na skraju lasu. Dalej rozciągały się pola. – Dokąd teraz?

Erec wyszedł na pole. Ruszyli za nim. Kieran jeszcze mocniej niż dotychczas oparł się na Marku. W świetle księżyca wyglądał bardzo blado. Blask gwiazd uwypuklał niebieskie i zielone nuty w jego włosach. Jego matka pochodziła z morskich faerie, przez co we włosach i oczach syna zachowała się odrobina cudownej migotliwości wody.

Mark podświadomie objął go mocniej ramieniem. Tak, był na niego zły, ale tutaj, w Faerie, pod wygwieżdżonym wielobarwnym niebem trudno mu było nie wracać pamięcią do przeszłości, do tych wszystkich nocy, kiedy tulił się do Kierana w poszukiwaniu bliskości i ciepła; kiedy byli tylko oni dwaj i Mark myślał czasem, że może już zawsze tak będzie; kiedy uważał się za szczęściarza, że ktoś taki jak Kieran, piękny książę, w ogóle chciał na niego spojrzeć.

Szept Kierana był jak delikatna pieśczoć na jego szyi:

– Lotna Włócznia...

Tak nazywała się kłacz Kierana, z którą przybył z Ciemnego Dworu i dołączył do Dzikiego Polowania.

– Co się z nią stało? – zapytał Mark. – Gdzie jest teraz?

– W Polowaniu – odparł Kieran i się rozkaszał. – Dostałem ją od Adaona, kiedy jeszcze byłem mały.

Mark nigdy dotąd nie poznał przyrodnych braci Kierana, dziesiątków książąt zrodzonych z różnych matek, którzy rywalizowali o tron Ciemnego Dworu. Z opowieści Kierana kojarzył Adaona jako jednego z życzliwszych i łagodniejszych. Erec był jego przeciwieństwem, uprzykrzał Kieranowi życie

swoją brutalnością i Kieran nie umiał o nim mówić bez złości w głosie.

– Wydawało mi się, że słyszałem tętent jej kopyt – wyjaśnił Kieran. – Nadal słyszę.

Mark nadstawił ucha. Z początku niczego nie słyszał; nie miał tak wyostrzonych zmysłów jak Kieran i inne faerie czystej krwi, a teraz nie mógł dodatkowo wspomóc się runami. Musiał więc nieźle wytężyć słuch, żeby w końcu wychwytać dźwięk, o którym mówił Kieran: istotnie, był to tętent kopyt, ale inny niż Lotnej Włóczni. W ogóle nie był to tętent jednego tylko konia, lecz łoskot dziesiątków pędzących wierzchowców. Dobiegał z lasu, zza ich pleców.

– Julian! – zawołał Mark.

W jego głosie była wyraźnie słyszalna panika. Julian wychwytał to i błyskawicznie się odwrócił, przez co rozluźnił uchwyt unieruchamiający Erecę. Ten natychmiast skorzystał z okazji, wyrwał mu się i popędził przez pole. Z trzepoczącą wokół ramion peleryną wpadł między drzewa.

– Szkoda – mruknęła Emma. – Taki uroczy kompan... Te jego teksty: „Nefilim, utoniecie w morzu swojej krwi” były na swój sposób orzeźwiające. – Zawiesiła głos. Usłyszała tętent kopyt. – Co to...

Cortana jakby sama wskoczyła jej do ręki. Julian nadal ścisnął sztylet w dłoni. Cristina wyjęła nóż.

– Królewska kawaleria – orzekł zaskakująco spokojnym tonem Kieran. – Nie możecie z nimi walczyć.

– Musimy uciekać – dodał Mark. – Ale już!

Nikt się z nim nie spierał. Puścili się biegiem.

Przebiegli przez pole i przeskoczyli ograniczający je murek; Mark musiał prawie przenieść Kierana na drugą stronę. Ziemia zaczęła tymczasem drżeć od tętentu zbliżających się koni. Julian kłął półgłosem – to był równy, miarowy stek przekleństw i Mark doszedł do wniosku, że widocznie w Instytucie jego brat nie może sobie poprzeklinać tyle, ile by chciał.

Poruszali się szybko, ale nie dość szybko i ocalić ich mogło tylko rychłe znalezienie jakiegoś zagajnika lub innej kryjówki. W zasięgu wzroku nie było jednak niczego widać, a zerknięcie w gwiazdy niewiele Markowi pomogło; był tak wyczerpany, że od ich widoku tylko zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że Kieran – który bez jego pomocy nie byłby w stanie nie tylko iść, ale nawet ustać na nogach – zabiera mu połowę sił.

Dotarli do kolejnego murku, zbyt niskiego, by zatrzymać konie, ale dostatecznie wysokiego, żeby sprawić kłopot pieszym. Emma go przeskoczyła. Julian poszedł w jej ślady i tylko musnął czubkami palców koronę muru, zanim znalazł się po drugiej stronie.

Kieran pokręcił głową.

– Nie dam rady.

– Kier... – zezłościł się Mark.

Kieran tylko zwiesił głowę jak zbity pies. Zlepione potem włosy opadły mu na twarz. Koszulę i górną część spodni miał przesiąknięte krwią.

– Znowu krwawisz – zauważył Mark. – Podobno miałeś się uzdrowić.

– Wydawało mi się, że zdrowieję – odparł półgłosem Kieran. – Zostaw mnie tutaj...

Cristina schowała nóż i położyła Markowi rękę na ramieniu. Spojrzała mu w oczy.

– Pomogę ci go przenieść przez mur.

– Dzięki.

Kieran nie miał dość siły nawet na to, żeby spiorunować Cristinę wzrokiem. Wspięła się na szczyt muru i wyciągnęła ręce w dół. Do spółki z Markiem zdołali przeciągnąć Kierana na drugą stronę, po czym zeskoczyli na trawę obok Emmy i Juliana, którzy czekali na nich wyraźnie zaniepokojeni. Kieran osunął się na ziemię.

– Nie da rady dalej biec – orzekł Mark.

Julian wyrwał ponad murem. Tętent kopyt rozbrzmiewał bardzo głośno, jak przewalający się im nad głowami grzmot. Było już widać pierwszy szereg kawalerzystów – ciemną, poruszającą się linię.

– Musi – powiedział. – Inaczej nas zabiją.

– Zostawcie mnie – powiedział Kieran. – Niech mnie zabiją.

Julian przyklęknął na jedno kolano, podsunął Kieranowi rękę pod policzek i zmusił go do spojrzenia mu w oczy. Jego palce odcinały się bielą od zakrwawionej skóry.

– Nazwałeś mnie bezwzględny i nie ma we mnie litości dla ciebie, Kieranie. Sam jesteś sobie winien. Jeśli jednak myślisz, że przeżyliśmy taki szmat drogi tylko po to, żeby cię ocalić, a potem patrzeć, jak kładziesz się na ziemi i umierasz, to musisz być głupszy, niż sądziłem. – Złapał Kierana za rękę i zaczął go podnosić. – Pomóż mi, Mark.

Razem postawili Kierana na nogi i podtrzymując go z obu stron, ruszyli dalej. Przerazenie i potworny wysiłek związany z holowaniem Kierana skutecznie przytępiły myśliwskie zmysły Marka, który co rusz potykał się na kamieniach i korzeniach, aż w końcu na oślep wparował w gęsty zagajnik, gdzie gałęzie chłostały go po skórze i szarpały za ubranie. W połowie drogi wśród drzew Kieran zwiotczał mu w ramionach. Zemdłał.

– Jeżeli umrze... – zaczął Mark.

– Nie umrze – uciął zawziętym tonem Julian.

– Moglibyśmy go zostawić, ukryć, a potem po niego wrócić...

– To nie jest zapasowa para butów – wysyczał Julian. – Nie możemy go porzucić byle gdzie i oczekiwać, że po powrocie zastaniemy go w tym samym miejscu.

– Czy moglibyście się... – zaczęła Emma. Nagle zaparło jej dech w piersi. – Och!

Wynurzyli się spomiędzy drzew. Przed nimi wznosił się gładki zielony pagórek. Mogliby się na niego wspiąć i zejść z drugiej strony, ale był stromy i musieliby wejść na szczyt na czworakach. Z Kieranem nie mieli co o tym marzyć.

Nawet Julian stanął jak wryty. Przerzucona przez jego kark ręka Kierana opadła i zwisała swobodnie. Mark odniósł niejasne, makabryczne wrażenie, że Kieran już nie żyje; chciał położyć go na trawie, sprawdzić mu puls, przycisnąć go do serca. Tak powinien odejść prawdziwy Myśliwy.

Zamiast tego odwrócił się i spojrzał wstecz. Cristina z zamkniętymi oczami ścisnęła w dłoniach wisiołek i poruszała ustami w bezgłośnej modlitwie. Emma z obnażoną Cortaną wodziła dookoła czujnym wzrokiem; będzie ich bronić do końca, wszystkich, Kierana także – i zginie pod kopytami królewskich jeźdźców.

A ci byli coraz bliżej. Widział ich, cienie wśród drzew. Widział konie jak czarny dym, ślepia żarzące się jak czerwone węgle, kopyta podkute srebrem i ognistym złotem. Ogień i krew dawały im życie. To były okrutne, zabójcze rumaki.

Wydawało mu się, że widzi też jadącego na czele króla we własnej osobie, w hełmie rytym w deseń z krzyczących twarzy. Osłona z przodu okrywała tylko piękniejszą, ludzką połowę królewskiego oblicza; druga połowa, okryta szarą skórą, była odsłonięta. Jedyne oko płonęło jadowitą czerwienią.

Odgłos wydawany przez zbliżającą się konnicę przypominał łoskot cielącego się lodowca. Ogłuszający. Śmiercionośny. Mark pożałował nagle, że nie słyszy słów cichej modlitwy Cristiny. Patrzył, jak porusza ustami: „Aniele, ochroń nas, pobłogosław nas, ocal nas”.

– Mark. – To Julian odwrócił się do niego. Jego zielononiebieskie oczy pały szczerym ogniem, jakby zamierzał powiedzieć coś, co od dawna chciał wyznać. – Jeżeli...

Pagórek przed nimi rozpękł się, kwadratowy płat zbocza oddzielił się od reszty i otworzył niczym drzwi. Mark rozdziawił usta. Słyszał o takich miejscach, o wzgórzach z drzwiami prowadzącymi do środka, ale nigdy nie widział czegoś takiego na własne oczy.

Z wnętrza wzgórza padało światło. Za drzwiami zaczynał się kręty korytarz. W progu stała młoda kobieta faerie o lekko szpiczastych uszach. Jasne włosy miała przewiązane sznurem z kwiatów, w jednej ręce trzymała lampę, drugą wyciągnęła do Nocnych Łowców.

– Chodźcie – powiedziała z akcentem charakterystycznym dla Jasnego Dworu. – Pośpieszcie się, zanim was dogonią. Jeźdźcy króla to dzikie bestie, nie oszczędzą was.

– A ty? – spytał z rezerwą Julian. – Ty nam na pewno dobrze życzysz?

Tylko Julian może się spierać z Opatrznością, pomyślał Mark. Z drugiej strony Julian ufał tylko swoim najbliższym, a i to nie zawsze.

Kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Nazywam się Nene – powiedziała. – Pomogę wam i nie zrobię krzywdy, ale musicie się pośpieszyć.

Mark usłyszał szeptane podziękowania Cristiny, a potem znów zaczęli biec na złamanie karku, nie wając się obejrzeć przez ramię. Jedno za drugim wskoczyli za drzwi i wylądowali na klepisku w korytarzu; Mark i Julian biegli ostatni, niosąc Kierana. Markowi jeszcze raz mignęli jeźdźcy, usłyszał ich wściekły, zawiedziony wrzask, a potem drzwi do wzgórza zatrzasnęły się z hukiem.

Kraina snu

Emma powiodła dookoła zdumionym wzrokiem. Wnętrze nie wyglądało wcale jak wykopane w ziemnym pagórku: ściany były wyłożone popielatym kamieniem, sufit zaś niebieskim marmurem przyozdobionym złożonymi gwiazdami. Tunel prowadził w głąb wzgórza.

Pełna fruujących światełek lampa w rękach Nene rzucała słabą poświatę na niewielką grupkę uciekinierów. Julian zaciskał zawzięcie zęby, Cristina ścisnęła w dłoniach wisiołek, Mark ostrożnie kładł Kierana na ziemi. Emma dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Kieran jest nieprzytomny. Ubranie miał całe we krwi, głowa opadła mu bezwładnie.

– Jesteśmy teraz na ziemiach Jasnego Dworu – wyjaśniła Nene. – Możecie tu używać swoich runów i magicznych kamieni. – Spojrzała z troską na Kierana. – Możecie też uzdrowić waszego przyjaciela.

– Nie – odparł Julian. – Nie możemy. – Wyjął z kieszeni runiczny kamień. Jego blask był dla Emmy jak łyk wody dla spragnionego wędrowca na pustyni. – Nie jest Nocnym Łowcą.

Nene podeszła bliżej, unosząc jasne brwi w grymasie dezorientacji. Mark klęczał, podtrzymując Kierana, którego twarz zbieleła jak lód. Zamknięte oczy odcinały się od niej dwoma jasnymi półksiężycami.

– To Myśliwy? – spytała Nene.

– Obaj jesteśmy... – zaczął Mark.

– Możesz mu jakoś pomóc? – weszła mu w słowo Emma, zanim Mark zdążył powiedzieć za dużo.

– Tak.

Nene przyklękła obok Kierana i odstawiła lampę na podłogę. Z wewnętrznej kieszeni białej futrzanej kamizelki, którą nosiła narzuconą na sukienkę, wyjęła małą buteleczkę. Spojrzała pytająco na Marka.

– Tobie to nie będzie potrzebne? Nie jesteś ranny?

Zaskoczony Mark pokręcił głową.

– Nie. Czemu pytasz?

– Przyniosłam to dla ciebie.

Nene otworzyła buteleczkę, przytknęła ją do ust Kierana i zamamrotała coś pod nosem w nieznanym Emmie języku. Kieran rozchylił wargi i przełknął; jasnozłota ciecz pociekła mu z kącików ust. Zatrzepotał powiekami, otworzył usta i usiadł. Przełknął drugi łyk, potem trzeci. Spojrzał na Nene ponad krawędzią buteleczki i odwrócił wzrok. Otarł usta rękawem.

– Resztę możesz zatrzymać – wychrypiał. – Mnie wystarczy.

Z pomocą Marka wstał chwiejnie na nogi. Pozostali właśnie chowali stele. Na ręce Emmy płonął świeży run uzdrawiający i run Energii, lecz mimo to bolały ją głowa i całe ciało. Przed oczami cały czas miała obraz ojca leżącego przed nią na trawie.

To nie był on, nie tak naprawdę, ale ta świadomość wcale nie przytępiła bólu.

– Chodźcie. – Nene schowała buteleczkę. – Napój przywrócił mu siły, ale nie na długo. Musimy jak najszybciej dotrzeć na Jasny Dwór.

Ruszyli za nią korytarzem. Mark pomagał iść osłabionemu Kieranowi. Julian oświetlał drogę runicznym kamieniem. Z daleka ściany wyglądały jak ozdobione misterną mozaiką, z bliska było jednak widać, że są pokryte przezroczystą żywicą, w której zatopiono płatki kwiatów i skrzydła motyli.

– Pani? – odezwała się Cristina. Podobnie jak Emma, we włosach miała mnóstwo zaplątanych liści i rzepów. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że przyniosłaś ten napój dla Marka? Skąd wiedziałaś, że tu będzie?

– Mieliśmy gości na Jasnym Dworze – odparła Nene. – Dwoje Nocnych Łowców: dziewczynę o rudych włosach i jej jasnowłosego towarzysza.

– Jace Herondale i Clary Fairchild – domyśliła się Emma.

– Powiedzieli mi o Blackthornach. Znam to nazwisko. Moja siostra, Nerissa, pokochała Blackthorna i urodziła dwoje jego dzieci, a potem umarła z tęsknoty, kiedy od niej odszedł.

Mark stanął jak wryty. Kieran syknął z bólu.

– Jesteś siostrą mojej matki? – spytał z niedowierzaniem Mark.

– Zwykle taką osobę nazywa się ciotką – zauważyła Emma.

Mark spiorunował ją wzrokiem.

– To ja zaniiosłam ciebie i twoją siostrę do waszego domu rodzinnego i zostawiłam was na progu, żeby ojciec się wami zaopiekował – potwierdziła Nene. – Jesteśmy spokrewnieni.

– Zaczynam się zastanawiać, czy jest wśród was ktoś, kto nie ma dawno zaginionego krewniaka w Faerie – mruknął Kieran.

– Ja nie mam – odparła rozżalona Cristina.

– Nie zapominaj, że połowa rodziny Marka to faerie – przypomniała Emma. – Gdzie indziej mieliby mieszkać, jeśli nie tutaj?

– Skąd wiedziałaś, że będę potrzebował pomocy? – zagadnął Mark Nene.

– Phouka, który przepuścił was przez księżycową bramę, to mój stary znajomy. Powiedział mi o waszym przybyciu, domyślał się też, jaki jest cel waszej misji. Wiedziałałam, że bez mojej pomocy nie wyjdziecie cało ze spotkania z podstępny Władcą Cieni.

– Płonące strzały – domyślił się Julian.

Kamienne okładziny na ścianach i suficie skończyły się i szli teraz tunelem wyrytym w zbitej ziemi i litej skale. Ze sklepienia zwieszały się korzenie oplecione rozjaśniającymi mrok migotliwymi kwiatkami. Żyły minerałów mieniły się blaskiem. Emma miała wrażenie, że zmieniają się na jej oczach.

– To byłaś ty – dodał Julian.

Nene skinęła głową.

– Ja i kilkoro członków gwardii królowej. Potem wystarczyło już tylko nieco was wyprzedzić i otworzyć wam drzwi. Nie było to łatwe, ale z włości króla do ziem Jasnego Dworu prowadzi wiele przejść. O niektórych nawet król nie ma pojęcia. – Spojrzała z ukosa na Kierana. – Nikomu o tym nie powiesz, prawda, Myśliwy?

– Myślałem, że bierzesz mnie za Nefilim.

– Brałam, dopóki nie zobaczyłam twoich oczu. Podobnie jak mój siostrzeniec, ty także jesteś sługą Gwyna. – Nene westchnęła cicho. – Gdyby Nerissa wiedziała, że na jej synu spocznie taka klątwa, złamałoby jej to serce.

Julian się nachmurzył, ale zanim zdążył zabrać głos, przed nimi zamajaczyła jakaś postać. Korytarz dochodził w tym miejscu do okrągłej sali, z której oszłamiająca liczba wyjść prowadziła we wszystkich kierunkach. Na ich drodze stał rycerz faerie: wysoki mężczyzna o skórze koloru pszenicy i surowym wyrazie twarzy, odziany w długą szatę narzuconą na kubrak

z mieniającej się wielobarwnej tkaniny.

– Fergusie – przemówiła Nene – przepuść nas.

Mężczyzna uniósł brwi i wygłosił w odpowiedzi tyradę w dziwnie brzmiącym, jakby ptasim języku; nie był może zły, ale z pewnością poirytowany. Nene uciszyła go gestem podniesionej ręki i odpowiedziała coś ostrym tonem. Emma miała wrażenie, że dostrzega w niej rodzinne podobieństwo do Marka – mieli nie tylko podobnie jasne włosy, ale także delikatne rysy i zdecydowane ruchy.

Rycerz z westchnieniem zszedł im z drogi.

– Możemy przejść – powiedziała Nene – ale o brzasku mamy się stawić na audiencji u królowej. Pośpieszcie się, musimy zaprowadzić Myśliwego do jakiejś komnaty.

Emmie cisnęło się na usta mnóstwo pytań, chociażby o to, po czym mają poznać nadejście brzasku, skoro znajdują się pod ziemią, dlaczego Nene pała taką niechęcią do Dzikiego Polowania, a także – co oczywiste – dokąd ich prowadzi. Zachowała je jednak dla siebie.

Doszli wreszcie do końca korytarza, gdzie w gładkich skalnych ścianach mieniły się półszlachetne kamienie: tygrysie oczy, azuryty, jaspisy. Wykute w skale wnęki przesłonięto długimi aksamitnymi zasłonami haftowanymi błyszczącą nicią.

Nene odgarnęła jedną z nich, odsłaniając pokój, którego gładkie ściany zakrzywiały się łagodnie ku wysklepionemu kopulasto sufitowi. Opadające z góry białe zasłony częściowo przesłaniały łoże zrobione z oplecionych kwiatami grubych gałęzi.

Nene odstawiła lampę.

– Połóżcie tam Myśliwego.

Odkąd znaleźli się na Jasnym Dworze, Kieran się nie odzywał. Teraz też bez słowa dał się Markowi zaprowadzić do łóżka. Zdaniem Emmy wyglądał naprawdę kiepsko, kiedy Mark pomagał mu się ułożyć na materacu. Zastanawiała się, ile razy robił coś takiego, gdy Kieran wracał wyczerpany z łowów – albo ile razy Kieran robił coś takiego dla niego. Życie Myśliwego bywa ryzykowne; nawet nie próbowała zgadywać, ile Mark z Kieranem naoglądali się nawzajem swojej krwi.

– Macie na dworze uzdrowiciela? – zapytał Mark, prostując się znad łóżka.

– Ja jestem uzdrowicielką. Chociaż rzadko pracuję sama, zwykle mam

pomocników. Jest jednak późno, dwór jest na wpół pusty... – Wzrok Nene spoczął na Cristinie. – Ty mi pomożesz.

– Ja? – Cristina nie kryła zaskoczenia.

– Otacza cię aura uzdrowicielki. – Nene otworzyła drzwiczki drewnianej szafki, w której obok wiszących sznurów suszonych kwiatów stały słoiki z ziołami i fiolki pełne kolorowych płynów. – Rozpoznajesz coś?

– Tiarella – odparła natychmiast Cristina. – Klajtonia, konwalijka dwulistna, clintonia.

Nene była pod wrażeniem. Wyjęła z szuflady naręczce ręczników i równo pociętych bandaży i podała je Cristinie.

– Niepotrzebny tłum tylko utrudni zdrowienie. Ja zabiorę stąd gapiów, ty rozbierz Kierana.

Cristina się zarumieniła.

– Mark może to zrobić.

Nene przewróciła oczami.

– Jak chcesz.

Odwróciła się do łóżka. Kieran osunął się ciężko na poduszki. Mark miał ślady krwi na skórze i koszuli, ale chyba zupełnie mu to nie przeszkadzało.

– Skruszcie trochę tiarelli i podajcie mu z wodą – zaleciła Nene. – Na razie jeszcze nic nie bandażujcie, musimy obejrzeć ranę.

Pośpiesznie wyszła z komnaty. Emma z Julianem wybiegli za nią. Dosłownie po kilku krokach stanęli przed ciemnoczerwoną zasłoną, za którą znajdowały się otwarte drzwi. Nene odgarnęła ją na bok i gestem zaprosiła ich do środka.

Emmie zaparło dech w piersi. Ta sala prezentowała się o wiele wspanialej od poprzedniej. Wysoko sklepiony sufit ginął w mroku. Rozświetlone od wewnątrz ściany ze srebrzystego kwarcu emanowały łagodną poświatą. Kwiaty – kremowobiałe i w odcieniu kości słoniowej – spływały kaskadami po ścianach, napędzając powietrze ogrodowymi woniami. Na podwyższeniu, do którego prowadziło kilka schodków, stało obszerne łóżko z mnóstwem aksamitnych poduszek i ozdobną narzutą.

– Nada się? – spytała Nene.

Emma ledwie zdołała skinać głową, na nic więcej nie było jej stać. Jeden kraniec pokoju był odgradzony żywopłotem z kwitnącymi na szczycie różami, za którym wśród kamieni spływał wodospad. Zajrzawszy

za żywoplot, Emma stwierdziła, że woda gromadzi się w skalnym oczku wyłożonym zielonymi i niebieskimi kamieniami tworzącymi wzór w kształcie motyla.

– Nie tak luksusowo jak w Instytucie, ale może być – odezwał się Julian.

– Czyj to pokój? – zainteresowała się Emma. – Królowej?

Nene się roześmiała.

– Nie, z całą pewnością nie są to królewskie apartamenty. To pokój Fergus, który cieszy się wielkimi łaskami na dworze. Ma dwie takie komnaty do dyspozycji i nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyście tu zanocowali. I tak pełni dzisiaj nocną wartę.

Odwróciła się, podeszła do wyjścia, ale tuż przed zasłoną przystanęła i obejrzała się przez ramię.

– Jesteście bratem i siostrą mojego siostrzeńca? – zapytała.

Emma już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Mark był dla niej jak brat, z pewnością. Na pewno bardziej niż Julian.

– Tak – przytaknął Julian, wyczuwając jej wahanie.

– Kochacie go – dodała Nene.

– Jeżeli poświęcisz nieco czasu, żeby lepiej go poznać, przekonasz się, że trudno go nie kochać – odparł Julian.

Serce Emmy zabiło żywiej. Nagle zapragnęła zobaczyć Julesa z Markiem szczęśliwych i roześmianych, tak jak szczęśliwi i roześmiani powinni być bracia. Jej uwagi nie uszło też nieme wyzwanie, jakie Julian rzucił Nene, spojrzawszy jej w oczy:

„Jesteś mojemu bratu winna miłość, na którą zasłużył. Jeżeli mu jej nie okażesz, odwrócę się do ciebie plecami”.

Nene odkaszlęła.

– A co z moją siostrzenicą? Co z Alessą?

– Teraz nosi imię Helen – odparł Julian.

Emma widziała, że waha się, czy opowiedzieć ze szczegółami o sytuacji Helen – i zobaczyła, jak odrzuca tę ewentualność: nie ufał Nene w wystarczającym stopniu. Jeszcze nie.

– Jest moją siostrą i kocham ją nie mniej niż Marka – dodał. – Ich oboje łatwo jest pokochać.

– Łatwo ich pokochać... – powtórzyła w zadumie Nene. – Niewielu jest w naszym ludzie takich, o których mogłabym to powiedzieć. Muszę iść,

zanim młody Myśliwy wyda ostatnie tchnienie – dodała i wyszła.

Julian spojrział na Emmę, unosząc wysoko brwi.

– Jest bardzo...

– Owszem – zgodziła się z nim Emma. Nie potrzebowała słuchać dalszego ciągu, żeby wiedzieć, co Jules ma na myśli. Prawie zawsze zgadzali się w ocenie ludzi.

Poczuła, że uśmiecha się do niego, wbrew wszystkiemu, jakby niepomna niewiarygodnie ciężkich nocnych przeżyć.

A przecież zagrożenie wcale nie minęło, pomyślała.

Rozejrzała się po pokoju. Rzadko zdarzało jej się bywać w tak pięknych miejscach jak to. Słyszała o hotelach w Kapadocji i Grecji, gdzie wykute w skałach luksusowe komnaty obwieszano jedwabnymi i aksamitnymi draperiami, ale tutaj najbardziej poruszyły ją kwiaty, białe kwiaty pachnące śmietanką z cukrem i emanujące własnym światłem, podobnie jak w Idrisie.

No i to łoże... Poniewczasie i z niejakim zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że zostali z Julianem sami w diabelnie romantycznym pokoju wyposażonym w tylko jedno bardzo duże i bardzo wygodne łóżko.

O tak, zagrożenie z pewnością jeszcze nie minęło.

* * *

Nene ostrożnie oczyściła ranę Kierana wilgotną szmatką, delikatnie przyciskając jej krawędzie. Kieran siedział sztywno na skraju łóżka, całkowicie nieporuszony, jakby w ogóle nie zauważał, co się dzieje. Tylko wygięta w podkówkę dolna warga zdradzała, że cierpi.

Mark był skrajnie wyczerpany. Nawet nie trzymał Kierana za rękę, po prostu siedział przy nim oparty barkiem o jego bark. Prawdę mówiąc, pomyślała Cristina, ci dwaj nigdy nie przepadali za trzymaniem się za rączki. W Dzikim Polowaniu takie łagodne wyrazy uczucia nie były mile widziane.

– Grot strzały był posmarowany tojadem – powiedziała Nene, uporawszy się z czyszczeniem rany.

Wyciągnęła rękę, w którą Cristina włożyła jej świeży bandaż, i zaczęła bandażować szczupły tors Kierana. Już wcześniej włożył czyste spodnie, złożona świeża koszula leżała obok niego na łóżku. Blizny na jego plecach

(całkiem podobne do blizn, jakie nosił Mark) sięgały barków i schodziły aż na przedramiona. Był chudy, ale sprawiał wrażenie silnego; na jego rękach i piersi mięśnie rysowały się wyraźnie pod skórą.

– Gdybyś był człowiekiem albo nawet zwykłym faerie, tojad by cię zabił – dodała Nene. – Ale Myśliwi są przed nim chronieni. Wyżyjesz.

– Tak – przytaknął Kieran, arogancko unosząc głowę.

Cristina miała wątpliwości. Nie powiedział „Tak, wiedziałem, że wyżyję”, prawdopodobnie miał jednak wątpliwości. Bał się, że może umrzeć.

Nic nie mogła poradzić na to, że podziwia jego odwagę.

Nene znów przewróciła oczami i dokończyła bandażowanie. Kiedy Kieran wkładał koszulę i powoli, drżącymi palcami zapinał guziki, postukała Cristinę w ramię i wskazała jej stojącą na nocnym stoliku płytką marmurową misę, w której w zielonkawym płynie moczyły się kawałki materiału.

– Te kompresy zapobiegają infekcji – wyjaśniła. – Trzeba je zmieniać co dwie godziny.

Cristina pokiwała głową. Nie wiedziała na razie, skąd weźmie budzik, czy bez budzika zdoła się budzić co dwie godziny ani czy nie przyjdzie jej po prostu siedzieć przy Kieranie do rana i nie spać, ale była pewna, że da sobie radę.

– Proszę. – Nene podała Kieranowi kolejną buteleczkę. – Wypij to. Nie zaszkodzi ci, a pomoże.

Kieran zawahał się, ale posłusznie wypił, po czym nagle rozkaszał się i odepchnął buteleczkę.

– Jak śmiesz...? – zaczął.

Oczy uciekły mu w głąb czaszki i osunął się bezwładnie. Mark złapał go, zanim dotknął plecami materaca, i razem z Nene ostrożnie położyli go na boku.

– Nie przejmuj się – powiedział Mark, widząc zaciśnięte kurczowo szczęki Nene. – Zawsze tak pokrzykuje przed zaśnięciem.

– Potrzebuje odpoczynku – odparła tylko Nene i pośpiesznie wyszła.

Mark z zatroskaną miną odprowadził ją wzrokiem.

– Nie tak wyobrażałem sobie moją rodzinę, kiedy marzyło mi się, że mógłbym mieć krewnych w Faerie – przyznał. – Przez tyle lat szukałem i rozpytywałem, nikt nic nie wiedział, aż w końcu dałem sobie spokój.

– Dołożyła wielu starań, żeby cię znaleźć i uratować – przypomniała

mu Cristina. – Lubi cię.

– Nie zna mnie. Więzy krwi mają dla faerie ogromne znaczenie, dlatego nie mogła dopuścić do tego, żebym wpadł w ręce króla Ciemnego Dworu. Cokolwiek przydarzy się jednemu krewniakowi, rzutuje na cały ród.

„Dotknęła twoich włosów”, chciała powiedzieć Cristina. To było dosłownie mgnienie oka: kiedy Nene zaczęła bandażować plecy Kierana, czubkami palców musnęła delikatne końcówki włosów Marka. On niczego nie zauważył, a Cristina powątpiewała w to, czyby jej uwierzył, gdyby mu teraz o tym powiedziała.

Usiadła w nogach łóżka. Kieran kulił się i wiercił niespokojnie. Mark siedział oparty plecami o wezglowie. Bose nogi wyciągnął na łóżku, stopami prawie dosięgnął Cristiny, podobnie zresztą jak jedną wyciągniętą ręką z wyprostowanymi palcami.

Nie odrywał wzroku od Kierana.

– On nie pamięta – powiedział.

– Kieran? Czego nie pamięta?

Mark przyciągnął kolana do piersi. Podarte i zakrwawione ubranie upodabniało go do obszarpańca, jakim był, gdy został uwolniony z Dzikiego Polowania.

– Na Ciemnym Dworze był bity i torturowany. Spodziewałem się tego, tak się tam traktuje więźniów. Ale kiedy go uwolniłem i wyciągnąłem poza polaną, zdałem sobie sprawę, że skrzywdzili go w jeszcze inny sposób, który sprawił, że zapomniał o zabójstwie Iarlatha. W ogóle nie pamięta niczego od tamtej nocy, kiedy widział nas rozmawiających w kuchni.

– Nie pamięta chłosty? Nie pamięta, co się stało z Julesem i Emmą?

– I nie pamięta, że z tego powodu od niego odszedłem – odparł posępnie Mark. – Powiedział mi, że wiedział, że po niego przyjdę, tak jakby między nami nadal było... tak jak przedtem.

– A jak było przedtem? – Cristina uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie zadała tego pytania. – Składaliście sobie przysięgę? Macie na to jakieś specjalne słowo, takie jak *novio*?

– To znaczy „chłopak”? Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu coś między nami było, a potem się skończyło. Dlatego że byłem na niego zły. – Mark posłał Cristinie udręczone spojrzenie. – Ale jak mogę się złościć na kogoś, kto nie pamięta, co zrobił?

– Masz prawo do swoich uczuć. A Kieran zrobił to, co zrobił, nawet jeśli dziś tego nie pamięta. – Cristina zmarszczyła brwi. – Czy to zabrzmiało okrutnie? Bo nie chciałam, żeby tak wyszło. Ale opiekowałam się później Emmą, opatrywałam jej rany po biczu.

– A teraz pomogłaś opatrzyć Kierana. – Mark odetchnął głęboko. – Przepraszam cię, Cristino. Pewnie myślisz... Nie, nawet sobie nie wyobrażam, co sobie myślisz, kiedy siedzisz tu ze mną i z nim...

– Chodzi ci o...

„O to, jak się całowaliśmy wtedy na zabawie?” – dokończyła Cristina w myślach i oblała się rumieńcem. Zajrzała w głąb swojego serca w poszukiwaniu zazdrości, rozgoryczenia, złości na Marka. Niczego nie znalazła, nawet takiej wściekłości, jaką obudził w niej Diego, gdy obok pojawiła się Zara.

Jakież to wszystko wydawało się teraz odległe i nieistotne. Zara mogła sobie wziąć Diego i zachować na własność.

– Wcale się nie złościę – zapewniła. – Zresztą nie powinieneś się przejmować tym, co ja czuję. Oboje powinniśmy się skoncentrować na tym, że Kieran jest bezpieczny i możemy wracać.

– Ale ja nie mogę się przestać przejmować tym, co czujesz. W ogóle nie mogę przestać o tobie myśleć.

Serce Cristiny zaczęło walić jak młotem.

– Nie powinniśmy traktować Jasnego Dworu jak bezpiecznego azylu, w którym możemy wypocząć – ciągnął Mark. – Jest takie powiedzenie: jedyna różnica między Ciemnym i Jasnym Dworem polega na tym, że ci pierwsi czynią zło otwarcie, a ci drudzy się z tym kryją. – Spojrzał na Kierana, który spał spokojnie i miarowo oddychał. – Poza tym nie wiem, co zrobić z Kieranem. Odesłać go z powrotem do Polowania? Wezwać Gwyna? On w tej chwili nie zrozumie, dlaczego nie chcę z nim być.

– A nie chcesz?

Mark nie odpowiedział.

– Rozumiem – powiedziała Cristina. – Naprawdę rozumiem. Zawsze tak bardzo potrzebowałeś Kierana, że nigdy przedtem nie miałaś okazji zastanowić się nad tym, dlaczego właściwie go potrzebujesz.

Mark mruknął coś pod nosem i wziął ją za rękę. Cały czas patrzył na Kierana.

Jego uścisk był bardzo silny, ale Cristina nie cofnęła dłoni.

* * *

Julian siedział na obszernym łożu Fergususa. Nie widział ukrytej za wysokim żywopłotem Emmy, ale słyszał, jak pluska się w stawiku. Chlupot wody odbijał się echem od lśniących ścian.

I działał mu na nerwy. Kiedy Emma skończy się kąpać, wróci do sypialni i położą się do łóżka. Ze sto razy spali w jednym łóżku, może nawet i tysiąc, ale nie miało to żadnego znaczenia kiedy byli dziećmi. Później zaś, kiedy dorośli, tłumaczył sobie, że nadal nie ma to znaczenia – nawet kiedy budził się w środku nocy i patrzył, jak niesforne pasemka włosów łaskoczą Emmę w policzek; nawet kiedy ona wstawiała wcześniej rano, żeby pobiegać po plaży, a on wtulał się w wygrzane przez nią miejsce i zaciągał się różanym zapachem jej skóry.

„Oddychaj”, polecił sobie. Wbił palce w aksamitną poduszkę, trzymaną na kolanach. „Pomyśl o czymś innym”.

Przecież naprawdę miał o czym myśleć. Oto znaleźli się na Jasnym Dworze, nie do końca jako więźniowie, ale i niezupełnie jako goście. Wymknąć się z Faerie było równie trudno, jak się do niego dostać, a oni na razie nie mieli żadnego planu ucieczki.

Był jednak wykończony. Pierwszy raz znalazł się z Emmą sam na sam w sypialni, odkąd z nim zerwała. W tej niezwykłej chwili myślał sercem zamiast mózgiem.

– Jules? – zawołała Emma.

Przypomniawszy mu się tamten krótki okres, w którym nazywała go „Julianem”, a na dźwięk tego imienia w jej ustach serce dosłownie eksplodowało mu z rozkoszy.

– Nene zostawiła dla mnie sukienkę, ale ta sukienka jest... – Emma westchnęła ciężko. – Sam zobacz.

Wynurzyła się zza skrywającego oczko wodne żywopłotu z rozpuszczonymi włosami, ubrana w sukienkę. Stroje noszone przez faerie były albo skrajnie skromne, albo niezwykle wręcz ozdobne. Ta sukienka należała do tej pierwszej kategorii. Cienkie paski krzyżowały się na ramionach, całość była uszyta z jedwabistej białej tkaniny, która opinała

wilgotne ciało Emmy niby druga skóra, podkreślając talię i biodra.

Julianowi zaschło w ustach. Dlaczego Nene zostawiła jej sukienkę? Dlaczego Emma nie mogła położyć się do łóżka w brudnym stroju bojowym. Dlaczego wszechświat go nienawidził?

– Jest biała – stwierdziła z dezaprobatą Emma.

„Biel na śmierć i żałobę”.

Biały był u Nocnych Łowców kolorem pogrzebów. Na szczególnie uroczyste pochówki wkładano białe stroje bojowe, a zmarłym przed spaleniem na stosie przewiązywano oczy szarfą z białego jedwabiu.

– Dla faerie biały nic nie znaczy – odparł Julian. – Dla nich to kolor kwiatów i natury.

– Wiem, po prostu...

Emma westchnęła i bosy weszła na podwyższenie, na którym stało łóżko. Policzki miała jeszcze zaróżowione od ciepłej wody. Obejrzała ogromny materac i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– No dobrze – powiedziała – może Fergus mnie nie zachwyił przy pierwszym spotkaniu, ale musisz przyznać, że gdyby chciał, to mógłby prowadzić kapitalny pensjonacik. Pewnie co noc wsuwałby gościom miętówki pod poduszkę.

Kiedy gramoliła się na łóżko, sukienka rozchyliła się lekko i Julian uświadomił sobie ze zgrozą, że jest z boku rozcięta niemal do wysokości biodra. Długie nogi Emmy odcinały się od ciemnego materiału narzuty, gdy się na niej mościła.

Wszechświat nie tyle go nienawidził, ile po prostu próbował go zabić.

– Daj mi parę poduszek – zażyczyła sobie Emma i wyszarpnęła spod niego dwie pierwsze, zanim zdążył się ruszyć.

Nie wypuszczając z rąk tej trzymanej na kolanach, zmierzył Emmę beznamiętnym wzrokiem.

– Tylko żebyś nie ściągała koca na swoją stronę.

– W życiu!

Ułożyła sobie z poduszek wygodne podparcie. Mokre włosy – długie jasnozłote loki – kleiły jej się do ramion i karku. Oczy miała zaczerwienione, jakby niedawno płakała. A Emma rzadko płakała. Nagle Julian zdał sobie sprawę, że całe to jej szczebiotanie, odkąd znaleźli się w sypialni, to fałszywa oznaka wesołości. Powinien był wcześniej ją przejrzeć, nikt przecież nie znał

jej tak jak on.

– Em? – zagadnął, nie mogąc się powstrzymać. – Wszystko w porządku? – spytał łagodnym tonem. – To, co się wydarzyło na Ciemnym Dworze...

– Czuję się jak idiotka.

Wszelka brawura ulotniła się z jej głosu. Pod tym fałszywym wizerunkiem kryła się prawdziwa Emma, jego Emma, z całą jej siłą, inteligencją i odwagą. I ta Emma była zdruzgotana.

– Wiem, że faerie są podstępne. Wiem, że kłamią, nie kłamiąc. Ale phouka mi powiedział... powiedział, że jeżeli wejdę do Faerie, znów zobaczę twarz kogoś, kogo kochałam i straciłam.

– Bardzo w stylu faerie... – mruknął Julian. – Zobaczyłaś twarz swojego ojca, ale to nie był naprawdę on, tylko iluzja.

– Nie potrafiłam tego ogarnąć. Umysł miałam jak zaćmiony, myślałam tylko o tym, że oto odzyskałam ojca.

– Prawdopodobnie naprawdę miałaś zaćmiony umysł. Faerie znają mnóstwo subtelnych zaklęć, które potrafią zamącić człowiekowi w głowie. Na dodatek wszystko wydarzyło się tak szybko. Ja też nie wiedziałem, że to złudzenie. Nie słyszałem jeszcze o tak mocnej iluzji.

Emma milczała. Kiedy tak siedziała podparta z tyłu na rękach, biała sukienka uwypuklała kontur jej ciała. Julian doświadczył czegoś na kształt bólu, jakby miał wbudowany w ciało klucz, którego każde przekręcenie coraz bardziej napinało mu skórę. Wspomnienia przypuściły bezlitosny szturm na jego umysł: przypomniał sobie dotyk swoich dłoni na jej ciele; jej zęby skubiące jego dolną wargę; łuk jej ciała dopasowany do łuku jego ciała, podwójny półksiężyc, rozpleciony symbol nieskończoności.

Zawsze mu się wydawało, że pożądanie powinno być przyjemne; nie przyszłoby mu do głowy, że może ciąć jak podskórne brzytwy. Przed tamtą nocą z Emmą na plaży wydawało mu się, że pragnie jej bardziej, niż ktokolwiek pragnął czegokolwiek w dziejach świata, i obawiał się, że to pragnienie może go zabić. Teraz jednak wiedział, że wszelkie wyobrażenia blakną wobec rzeczywistości. Że nawet kiedy przelewał swoje żądze farbami na płótno, nie miał najmniejszych szans uchwycić intensywności jej dotyku ani słodko-gorącego smaku ust. Wiedział już, że pragnienie go nie zabije, ale świadomość tego, co traci, już może go zabić.

Zacisnął pięści i z całej siły wbił paznokcie w skórę. Niestety zdążył je tak

bardzo obgryźć, że nie czynił sobie wielkiej krzywdy.

– Kiedy zobaczyłam, że to coś jednak nie jest moim ojcem, zdałam sobie sprawę, jak długo żyłam złudzeniami. Poświęciłam mnóstwo czasu na poszukiwanie zemsty, a kiedy ją wreszcie znalazłam, wcale nie dała mi szczęścia. Cameron też mi go nie dał. Myślałam, że te wszystkie rzeczy mnie uszczęśliwią, tymczasem okazały się ułudą. – Emma odwróciła się do Juliana z szeroko otwartymi, niewiarygodnie ciemnymi oczami. – Jesteś jedną z niewielu prawdziwych rzeczy w moim życiu, Julianie.

Bicie serca czuł teraz w całym ciele. Wszystkie inne uczucia – zazdrość o Marka, ból po rozstaniu z Emmą, niepokój o młodsze rodzeństwo, lęk przed tym, co zgotuje im Jasny Dwór – zbladły. Emma patrzyła na niego, miała zaczerwienione policzki, rozchylone usta... Gdyby się ku niemu nachyliła, gdyby w ogóle choć trochę go pragnęła, poddałby się, rozkleił i rozpadł na kawałki. Nawet gdyby oznaczało to zdradzenie własnego brata, zrobiłby to. Przyciągnąłby ją do siebie i zanurzył się w niej całej, w jej włosach, skórze i ciele.

Późniejsze wspomnienie tej chwili byłoby bolesne jak cięcia rozpalonych do białości ostrzy. Jeszcze wyraźniej przypominałoby o wszystkim, czego nigdy tak naprawdę nie mógł mieć. Na dodatek znienawidziłby samego siebie za to, że zranił Marka.

Żadna z tych rzeczy nie była jednak w stanie go powstrzymać. Znał granice swojej siły woli; wiedział, że właśnie zostały przekroczone. Drżał na całym ciele, miał przyśpieszony oddech. Wystarczy, że wyciągnie rękę...

– Chcę, żebyśmy znów byli *parabatai* – powiedziała Emma. – Tak jak przedtem.

Te słowa gruchnęły mu pod czaszką, jakby oberwał obuchem w głowę. Emma wcale go nie pragnęła; chciała w nim widzieć swojego *parabatai*, to wszystko. Jeszcze przed momentem siedział i rozmyślał nad tym, czego pragnie i jak wiele bólu będzie w stanie znieść, a teraz to wszystko nie miało znaczenia, bo ona go nie chciała. Jak mógł być takim głupcem?

– Zawsze będziemy *parabatai*, Emmo – odparł spokojnie. – To więc na całe życie.

– Jest jakoś dziwnie, odkąd... odkąd zaczęłam się spotykać z Markiem – odparła, patrząc mu w oczy. – Ale to nie przez Marka, tylko przez nas. Przez to, co zrobiliśmy.

– Wszystko będzie dobrze. Nie ma do tego żadnych podręczników, wskazówek, jak to się powinno robić. Najważniejsze, że nie chcemy się nawzajem krzywdzić. Będzie dobrze.

– Byli w przeszłości tacy *parabatai*, którzy z czasem zaczęli nienawidzić siebie nawzajem. Pomyśl o Lucianie Graymarku i Valentinie Morgensternie.

– Nam to nie grozi. Wybraliśmy siebie, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi, a potem wybraliśmy ponownie, mając po czternaście lat. Ja wybrałem ciebie, ty mnie. O to właśnie chodzi w ceremonii *parabatai*, prawda? O potwierdzenie obietnicy, w myśl której zawsze będę wybierał ciebie.

Oparła się o jego ramię. Było to najdelikatniejsze z możliwych dotknięć, lecz i tak eksplodowało w jego ciele jak fajerwerki nad moło w Santa Monica.

– Jules?

Skinął głową. Bał się głośno odezwać, nie ufał swojemu głosowi.

– Ja też zawsze będę wybierała ciebie – powiedziała Emma.

Oparła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

* * *

Cristina przebudziła się gwałtownie z niespokojnego snu. W pokoju panował półmrok. Leżała zwinięta w kłębek w nogach łóżka. Nafaszerowany medykamentami Kieran spał na poduszkach. Zawinięty w koce Mark leżał na ziemi.

Dwie godziny, powiedziała Nene. Powinna sprawdzać stan Kierana co dwie godziny.

Zerknęła na Marka, postanowiła go nie budzić i z westchnieniem usiadła na łóżku. Przysunęła się do księcia faerie.

Wielu ludzi wyglądało we śnie spokojnie – ale nie Kieran. Dyszał ciężko, jego oczy poruszały się niespokojnie pod powiekami, ręce tańczyły na kocu. Nie obudził się jednak, gdy niezgrabnymi palcami podwinęła mu koszulę na plecach.

Był rozpalony, ale musiała przyznać, że widziany z bliska jest po prostu prześliczny: wydatne kości policzkowe podkreślające podłużne oczy, rzęsy gęste jak puch, włosy tak czarne, że niemal granatowe.

Szybko zmieniła kompres; stary był przesiąknięty krwią. Kiedy pochyliła się nad Kieranem, żeby obciągnąć mu koszulę, jego dłoń zacisnęła się na jej

nadgarstku z siłą imadła. Dwoje oczu spojrzało na nią: czarne i srebrne.

Kieran poruszył spierzchniętymi wargami.

– Wody... – wyszeptał.

Jakoś udało jej się jedną ręką nalać wody ze stojącego na nocnym stoliku dzbanka do cynowego kubka, który następnie podała Kieranowi. Wypił wodę, nie puszczać jej ręki.

– Możesz mnie nie pamiętać – powiedziała. – Nazywam się Cristina.

Odstawił kubek i spojrzał na nią z uwagą.

– Wiem, kim jesteś – odparł po chwili. – Myślałem... ale nie. Jesteśmy na Jasnym Dworze.

– Owszem – przytaknęła Cristina. – Mark śpi – dodała na wypadek gdyby Kieran martwił się jego losem.

On jednak myślami błądził bardzo daleko od tego miejsca.

– Myślałem, że dziś umrę. Byłem na to przygotowany. Byłem gotowy.

– Nie wszystko wydarza się wtedy, kiedy się tego spodziewamy – odparła Cristina.

Własne słowa wydały jej się nieprzekonujące, ale Kieranowi chyba przyniosły ulgę. Wyczerpanie zasnęło mu twarz jak firanka przesłaniająca okno. Mocniej ścisnął jej rękę.

– Zostań ze mną – powiedział.

Zaskoczona Cristina chciała coś odpowiedzieć, może nawet odmówić, ale nie zdążyła. Kieran już spał.

* * *

Julian nie spał.

Chciałby zasnąć. Był wykończony, miał wrażenie, że zmęczenie przenika mu w głąb ciała i kości, ale w pokoju było za jasno, a bliskość śpiącej Emmy doprowadzała go do szaleństwa. Czuł bijące od niej ciepło. Częściowo odrzuciła przykrycie, sukienka zsunęła jej się z ramienia i odsłoniła run *parabatai*.

Przypomniawszy sobie burzowe chmury na niebie nad Instytutem. Pocałowała go wtedy, na schodach, zanim przybył Gwyn. Chociaż nie, powinien być ze sobą szczerzy: zanim odsunęła się i wypowiedziała imię jego brata. To wtedy wszystko się skończyło.

Może nazbyt łatwo było poddać się niewłaściwym emocjom, gdy znaleźli się tak blisko. Jakaś jego część chciała zapomnieć o Emmie i żyć szczęśliwie; inna chciała, żeby ona pamiętała w taki sam sposób, w jaki on pamiętał – jakby wspomnienie ich bycia razem stanowiło żywy składnik jego krwi.

Niespokojnie przeczesał włosy palcami. Im usilniej starał się ukryć takie myśli, z tym większym uporem wypływały na powierzchnię, jak bańki powietrza w oczku wodnym za żywoplotem. Miał ochotę wyciągnąć rękę, przyciągnąć Emmę do siebie i pochwycić jej usta pocałunkiem, pocałować prawdziwą Emmę i zatrzeć wspomnienie *leanansídhe*, ale zadowoliliby się nawet zwinięciem się u jej boku, wtuleniem się w nią i poczuciem, jak jej ciało rozszerza się i kurczy w rytmie oddechu. Zadowoliliby się wspólnie przespaną nocą, podczas której ledwie stykaliby się palcami.

– Julianie – zabrzmiał cichy głos. – Zbudź się, synu cierni.

Usiadł. U stóp łóżka stała kobieta niebędąca Nene ani Cristiną. Nigdy przedtem nie widział jej na żywo, ale znał ją z licznych wizerunków. Była tak szczupła, że można by ją nazwać wychudzoną, lecz mimo to piękna. Miała pełne wargi, błyszczące niebieskie oczy i opadające do pasa rude falujące włosy. Jej sukienka sprawiała wrażenie pochodzącej z czasów, gdy jej właścicielka nie była jeszcze taka zagłodzona, ale i tak wyglądała przepięknie: uszyta z tkaniny łączącej biel z intensywnym błękitem, przybrana delikatnym deseniem z piórek, otulała ciało miękko niczym puch. Ręce kobiety były długie i jasnoskóre, usta czerwone, uszy lekko szpiczaste. Na głowie miała zatknięty misterny złoty diadem królewski, dzieło rzemieślników faerie.

– Julianie Blackthornie – powiedziała królowa Jasnego Dworu – zbudź się i chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Przez zaćmione szkło

Królowa w milczeniu szła przodem i idący boso Julian musiał nieźle wyciągać nogi, żeby za nią nadążyć.

Niełatwo było ogarnąć topografię Faerie, z jej nieustannie zmienną rzeźbą terenu i zawieraniem się większych obszarów w mniejszych. Było z nią trochę tak, jakby ktoś wziął odwieczne pytanie filozofów o to, ile aniołów zmieści się na czubku szpilki, i przeniósł je na krajobraz.

Po drodze mijali innych arystokratów. Mieszkańcy Jasnego Dworu pałali mniejszym zapalem do mrocznego powabu wnętrzości, kości i krwi. Ich zielone stroje odzwierciedlały kolor drzew, krzewów i trawy. Wszędzie było też pełno złota – na złotych męskich kaftanach i złotych sukniach kobiet, jakby w ten sposób chcieli przenieść pod ziemię nieobecne w ich królestwie światło słońca.

W końcu skręcili z korytarza do obszernej okrągłej sali pozbawionej wszelkich sprzętów. Gładkie kamienne ściany zakrzywiały się ku górze, gdzie w szczyt sklepienia był wprawiony kryształ. Dokładnie pod nim znajdował się olbrzymi kamienny postument, na którym stała złota misa.

– To moje magiczne zwierciadło – wyjaśniła królowa. – Jeden ze skarbów faerie. Zechcesz w nie spojrzeć?

Julian się zawahał. Nie miał takiej wiedzy i doświadczenia jak Cristina, ale wiedział, czym jest magiczne zwierciadło: w jego lustrzanej powierzchni – najczęściej prawdziwego lustra albo naczynia z wodą – odbijały się wydarzenia rozgrywające się w innych miejscach. Bardzo chciałby sprawdzić, jak sobie radzą jego najbliżsi, ale nie zamierzał przyjmować od faerie żadnych darów, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

– Nie, dziękuję, moja pani – odparł.

Złowrogi błysk w jej oczach trochę go zaskoczył; spodziewał się, że będzie

umiała lepiej panować nad emocjami. Złość przeminęła jednak błyskawicznie zamaskowana królewskim uśmiechem.

– Jeden z Blackthornów zamierza wystawić swoje życie na ogromne niebezpieczeństwo – powiedziała królowa. – Czy to nie wystarczający powód, żeby zajrzeć w zwierciadło? Nie chcesz wiedzieć, kiedy twojej rodzinie dzieje się krzywda? Twoim krewnym? – ciągnęła śpiewnie. – Wiele o tobie słyszałam, Julianie, synu cierni, i wiem, że takie zachowanie nie leży w twojej naturze.

Julian zacisnął pięści. Blackthorn w niebezpieczeństwie? Czyżby Ty odkrył jakąś niepożądaną tajemnicę? A może Livvy, uparta i nierozważna? Dru? Tavy?

– Niełatwo cię skusić – mówiła tymczasem królowa.

Jej głos stał się cichszy i bardziej uwodzicielski, oczy jej zabłyśły. Ona to lubi, uświadomił sobie Julian. Bawi ją ta gra. Ten pościg.

– To niezwykle – dodała – u kogoś tak młodego.

Z rozbawieniem, któremu niedaleko było do rozpacz, Julian przypomniał sobie, jak bliski był niedawno załamania w obecności Emmy. Cóż, chwila słabości każdemu mogła się przydarzyć. Lata odmawiania sobie wszystkiego w imię dobra rodziny zahartowały jego wolę w stopniu, który zadziwiał nieraz jego samego.

– Nie będę mógł sięgnąć w głąb zwierciadła i zmienić biegu wydarzeń, prawda? – zauważył. – Czy zatem oglądanie ich nie byłoby dla mnie zwykłą torturą?

Królowa wykrzywiła usta.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Sama nie wiem, co się wydarzy. Jeśli jednak nie spojrzysz w zwierciadło, nigdy się tego nie dowiesz. Z doświadczenia zaś wiem, że ludzie i Nefilim nadzwyczaj ciężko znoszą niewiedzę. – Spojrzała w głąb misy z wodą. – O proszę, już jest przy węźle.

Tym razem Julian nie zdołał się powstrzymać: w okamgnieniu znalazł się przy postumencie i również spojrzął do wody. To, co tam zobaczył, wstrząsnęło nim.

Woda wyglądała jak gładkie szkło, jak ekran telewizora wyświetlającego obraz z niemal przerażającą wyrazistością. Zwierciadło przedstawiało noc w Górach Santa Monica. Widok był tak znajomy, że tęsknota przeszła serce Juliana niczym strzała.

Księżyc wschodził nad ruinami węzła geomantycznego. Na porośniętej suchą trawą równinie ciągnącej się aż do urwiska, która opadało stromo do widocznego w oddali, granatowo-czarnego oceanu, walały się porozrzucane głazy. Wśród nich Julian dostrzegł idącego Arthura.

Nie pamiętał, kiedy poprzednio widział wuja poza murami Instytutu. Arthur, ubrany w wysokie buty i grubą kurtkę, niósł w ręce emanujący słabą poświatą magiczny kamień. Nigdy przedtem do tego stopnia nie kojarzył się Julianowi z Nocnym Łowcą, nawet kiedy znajdowali się w Sali Anioła.

– Malcolm! – zawołał Arthur. – Przybywaj, Malcolmie Fade! Jestem tutaj i mam krew Blackthorna!

– Przecież Malcolm nie żyje... – mruknął Julian, wpatrując się z niedowierzaniem w misę. – Malcolm zginął.

– To jedna ze słabości waszej rasy – odparła królowa z wyraźną uciechą w głosie. – Śmierć wydaje wam się taka ostateczna. Niestuszenie, zwłaszcza w przypadku czarowników.

Strach przeszył Juliana niczym włócznia. Opuszczając Instytut, był pewien, że jego rodzinie nic nie grozi, ale jeżeli Malcolm rzeczywiście przybył znów do miasta w poszukiwaniu krwi Blackthorna... Chociaż sądząc po tym, że Arthur próbował mu ją zaoferować, Malcolm jeszcze jej nie zdobył. Z drugiej strony Arthurowi nie można było do końca ufać...

– Cii... – powiedziała królowa, jakby słyszała zgiełk panujący w jego myślach. – Patrz.

– Malcolmie! – zawołał Arthur. Jego głos poniósł się echem wśród gór.

– Jestem tutaj. Pośpieszyłeś się.

Głos należał do cienia – poskręcane, zdeformowanego cienia. Julian z wysiłkiem przełknął ślinę, gdy Malcolm stanął w plamie księżycowego światła i stało się oczywiste, jaki los go spotkał, czy raczej jaki los sam na siebie ściągnął.

Woda w misie zmętniała. Julian odruchowo wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć obrazu, ale w ostatniej chwili się zmytygował.

– Gdzie oni są? – spytał ochryplym głosem. – I co robią?

– Cierpliwości. Muszą się udać w pewne miejsce. Malcolm zaprowadzi tam twojego stryja.

Królowa Jasnego Dworu triumfowała. Julian przypuszczał, że w tej chwili wydaje jej się, że ma go w garści, i serdecznie jej za to nienawidził. Zanurzyła

długie palce w wodzie, w której zawirowała mozaika scen: wejście do Instytutu w Nowym Jorku, Jace i Clary śpiący gdzieś na zielonym polu, Jem z Teresą w jakimś mrocznym miejscu. A potem obraz znów się wyostrzył.

Arthur i Malcolm znajdowali się w staroświeckim kościele z witrażowymi oknami i rzeźbionymi ławkami dla wiernych. Na ołtarzu leżało coś nakrytego czarną płachtą, coś, co poruszało się niepewnie i niespokojnie jak budzące się ze snu zwierzę.

Malcolm z uśmiechem na zmasakrowanej twarzy obserwował Arthura. Wyglądał jak wywleczony z jakichś zatopionych odmetów piekła. Oczy miał matowobiałe, stracił połowę siwych włosów, odsłoniętą skórę pokrywały plamy i strupy. Miał na sobie biały garnitur; krwawe rozdarcia skóry, nie do końca nim zasłonięte, odcinały się od drogich wyłogów i mankietów.

– W każdym krwawym rytuale krew oddana dobrowolnie jest lepsza od takiej odebranej przemocą – powiedział Arthur. Stał zgarbiony, w swojej tradycyjnej pozie, z rękami w kieszeniach dżinsów. – Oddam ci swoją krew z własnej woli, jeżeli przysięgniesz, że zostawisz moją rodzinę w spokoju.

Malcolm oblizał wargi. Miał siny język.

– Tylko tego chcesz? Mojej obietnicy?

Arthur skinął głową.

– Nie chcesz Czarnej Księgi? – Malcolm zabębnił palcami w wolumin zatknięty za pasek spodni. – Albo zapewnienia, że nigdy nie skrzywdzę żadnego Nefilim?

– Twoja zemsta interesuje mnie tylko o tyle, o ile mogłaby zaszkodzić mojej rodzinie – odparł Arthur, a pod Julianem kolana ugięły się z ulgi. – Krew Blackthorna, którą ode mnie dostaniesz, powinna zaspokoić twoje pragnienie, czarowniku.

Malcolm się uśmiechnął. Zęby miał zdeformowane i ostre jak rekin.

– Czy jeżeli przystanę na taki układ, to wykorzystam twoją słabość, zważywszy na fakt, że jesteś obłąkany? – zadumał się na głos. – Być może twój zmałowany umysł źle ocenił sytuację. Jesteś zdezorientowany? Oszołomiony? Wiesz, kim jestem?

Arthur się wzdrygnął.

Julian odczuł nagły przyływ współczucia dla wuja i nienawiści wobec Malcolma.

Zabij go, ponaglił Arthura w myślach. Powiedz mi, wuju, że zabrałeś ze sobą serafickie ostrze, i przesyj go nim na wylot.

– Twój wuj raczej nie jest uzbrojony – powiedziała królowa. – Fade na pewno tego dopilnował. – Z zapalem i zachwytem śledziła rozwój sytuacji. – Obląkany Nefilim i szalony czarownik... Jak w bajce.

– Jesteś Malcolm Fade – odparł Arthur. – Zdrajca i morderca.

– Co za niewdzięczność wobec kogoś, komu przez tyle lat zawdzięczałeś swoje lekarstwa – mruknął Malcolm.

– Lekarstwa?! Raczej tymczasowe kłamstwa. Robiłeś to, co było konieczne, żeby oszukiwać Juliana.

Julian wzdrygnął się na dźwięk swojego imienia.

– Przekazywałeś mu przeznaczone dla mnie lekarstwo, żeby zaskarbić sobie jego zaufanie. Moja rodzina cię pokochała, i to bardziej niż mnie kiedykolwiek wcześniej. A ty wbiłeś im nóż w serce.

– Ha! – odmruknął Malcolm. – Żeby tylko.

– Wolę swój obłąd od twojego – ciągnął Arthur. – Miałeś tak wiele: miłość, władzę, nieśmiertelność... Odrzuciłeś to wszystko, tak jak można by wyrzucić śmieci na pobocze drogi. – Zerknął na poruszający się obiekt na ołtarzu. – Ciekaw jestem, czy będzie cię kochała takiego, jakim się stałeś.

Paskudny grymas wykrzywił twarz Malcolma.

– Dość tego!

Po zmęczonej i wymizerowanej twarzy Arthura przemknął wyraz triumfu. Na swój sposób zdołał przechytryć Malcolma.

– Masz moją obietnicę – ciągnął Malcolm. – A teraz podejdź tutaj.

Arthur się przybliżył, a wtedy Malcolm złapał go za kołnierz i pociągnął w stronę ołtarza. Przyniesiony przez Arthura kamień runiczny gdzieś zniknął, ale w lichtarzach na ścianach płonęły świece rzucające żółtawy, migotliwy blask.

Malcolm jedną ręką przygiął Arthura do ołtarza, a drugą odrzucił czarną płachtę, odsłaniając ciało Annabel.

– Rety... – szepnęła królowa. – Kiedyś musiała być naprawdę piękna.

Kiedyś – ale nie teraz. Annabel wyglądała jak szkielet, chociaż nie taki biały i objedzony z wszelkich resztek ciała, jakie widuje się na obrazach i w filmach. Zaszuszonej skóra opinała kości, podziurawiona przez rojące się niegdyś w ciele robactwo. Żołądek podszedł Julianowi do gardła. Annabel

była otulona białym całunem, ale ręce i nogi miała odsłonięte. W niektórych miejscach skóra odeszła płatami, a kości i ścięgna porosły mchem. Z czaszki osypywały się kruche ciemne włosy.

Na widok Malcolma poruszyła żuchwą i z jej zasuszonego gardła dobył się jęk. Wyglądało na to, że próbuje poruszyć głową.

– Nie martw się, najdroższa – powiedział Malcolm. – Mam to, czego ci trzeba.

– Nie! – wykrzyknął Julian.

Stało się dokładnie to, czego się obawiał: w żaden sposób nie mógł powstrzymać rozgrywających się na jego oczach wydarzeń.

Malcolm chwycił leżący obok Annabel nóż i poderżnął Arthurowi gardło.

Fontanna krwi trysnęła na ciało Annabel i jej kamienny katafalk. Arthur złapał się za szyję. Julian kurczowo wczepił się palcami w krawędzie misy z wodą i z najwyższym trudem powstrzymywał się od wymiotów.

Spowijający Annabel całun poczerwieniał. Ręce Arthura opadły bezwładnie. Stał już tylko dlatego, że Malcolm go podtrzymywał. Krew wsiąkała w mizerne włosy Annabel i jej wysuszoną skórę. Cały przód garnituru Malcolma przybrał szkarłatną barwę.

– Wuju Arthurze... – wyszeptał Julian.

Poczuł na ustach smak soli i przez moment ogarnął go lęk, że popłakał się na oczach królowej. Dopiero po chwili stwierdził z ulgą, że po prostu przygryzł sobie wargę do krwi. Przełknął metaliczny posmak.

Arthur zwiotczał i Malcolm zniecierpliwionym gestem odepchnął go na bok. Ciało osunęło się na podłogę przy ołtarzu i tam znieruchomiało.

– Annabel – wyszeptał Malcolm.

Annabel zaczęła się poruszać.

Pierwsze poszły w ruch kończyny: nogi się przeciągnęły, ręce wyciągnęły, dłonie chwyciły pustkę. Przez moment Julian pomyślał, że coś się stało z wodą w misie, która zaczynała mienić się jakimś dziwnym odbiciem, ale zmiana zachodziła w samej Annabel: oblała ją biała poświata... Nie, nie poświata: to była skóra oblekająca nagie kości i naprężone ścięgna. Trup puchł w oczach, gdy nabierał ciała, jakby ktoś naciągnął na szkielet gładziutką, wytworną rękawiczkę. Szarość i biel przechodziły w róż. Bose stopy i odsłonięte łydki odzyskały naturalny ludzki wygląd; na czubkach palców wyrosły nawet wyraźne półksiężycy paznokci. Skóra rozpełzała się

po ciele, wślizgiwała pod całun, obrastała pierś i obojczyki, spływała w dół po rękach. Dłonie rozcapierzyły się jak rozgwiazdy, palce się rozprostowały, jakby badały powietrze. Ciemne włosy skłębiły się tak gwałtownie, że szyja wygięła się w łuk. Piersi urosły, zapadnięte policzki się wypełniły, oczy się otworzyły.

To były oczy Blackthornów, niebiesko-zielone i migotliwe jak morze.

Annabel usiadła, przyciskając do piersi strzępy krwawego całunu. Pod nimi miała ciało młodej kobiety. Gęste włosy osypały się na bladą owalną twarz, wargi były pełne i czerwone. Annabel ze zdumieniem spjrzała na Malcolma.

On też się zmieniał. Okrutne rany poczęły zanikać i przez chwilę Julian zobaczył go takim, jakim musiał być za młodu, kiedy się zakochał. Otaczała go cudowna aura słodczy, kiedy tak stał jak wmurowany i z twarzą promieniejącą zachwytem patrzył, jak Annabel zsuwa się z ołtarza. Stała na podłodze obok skulonego ciała Arthura.

– Annabel – powiedział Malcolm. – Moja Annabel. Tak długo na ciebie czekałem, tak wiele musiałem zrobić, żeby sprowadzić cię z powrotem. – Zrobił chwiejny krok w jej stronę. – Moje kochanie. Mój aniele. Spójrz na mnie.

Ale Annabel patrzyła w dół, na Arthura. Schyliła się powoli i wzięła do ręki leżący przy ciele nóż, a kiedy wyprostowała się i wbiła spojrzenie w Malcolma, po jej twarzy płynęły łzy. Jej wargi ułożyły się w wypowiedziane szeptem słowo. Julian wyciągnął szyję i nadstawił ucha, ale nie zdołał jej usłyszeć. Powierzchnia zwierciadła wzburzyła się i zaczęła drżeć jak morze tuż przed sztormem.

– Nie płacz – próbował ją pocieszyć zdruzgotany Malcolm. – Moja najdroższa Annabel.

Wyciągnął do niej ręce. Podeszła bliżej, unosząc głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Pochylił się nad nią, jakby zamierzał ją pocałować.

W tej samej chwili wykonała ruch ręką od dołu ku górze i pchnęła Malcolma nożem.

Malcolm z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy i krzyknął. Nie był to po prostu krzyk bólu, lecz skowyt człowieka zrozpaczonego, którego zdradzono w sposób ostateczny i któremu złamano serce; wycie, które mogło rozedrzeć wszechświat na dwoje i strącać gwiazdy z firmamentu.

Zatoczył się do tyłu, lecz Annabel nie ustępowała: niczym mordercze widmo podążyła za nim w czerwonym od krwi grobowym całunie i cięła go na ukos przez pierś.

Malcolm upadł, ale w dalszym ciągu nie próbował się bronić ani zasłaniać, gdy nad nim stanęła.

– Annabel... – stęknął. – Moja ukochana, moja najdroższa...

Dźgnęła nożem z całej siły, mierząc w serce. Ciałem Malcolma wstrząsnął spazm, głowa opadła mu bezwładnie, oczy zapadły się w głąb czaszki. Annabel z obojętną miną pochyliła się nad nim i wyrwała mu zza pasa Czarną Księgę, po czym, nie zaszczyciwszy go już ani jednym spojrzeniem, odwróciła się, wyszła z kościoła i zniknęła z pola widzenia magicznego zwierciadła.

– Dokąd poszła? – zapytał Julian. Ledwie rozpoznał własny głos, tak bardzo był odmieniony. – Musisz ją śledzić, użyć zwierciadła...

– Zwierciadło jest bezradne wobec takiego natężenia czarnej magii – odparła królowa. Jej twarz promieniała, jakby królowa zobaczyła coś cudownego.

Julian wzdrygnął się i odsunął; to był odruch, nic nie mógł na to poradzić. Najchętniej przekradłby się gdzieś do kąta i z wymiotował, ale taka oznaka słabości nie uszłaby uwagi królowej. Podszedł więc tylko do ściany.

Królowa – z jedną dłonią opartą o skraj misy i uśmiechem na twarzy – odprowadziła go wzrokiem.

– Widziałeś to? Fade w ogóle się nie bronił. To właśnie jest miłość, synu cierni. Przyjmujemy jej najokrutniejsze ciosy, a kiedy zaczynamy od nich krwawić, szeptem za nie dziękujemy.

Julian oparł się o ścianę.

– Po co mi to pokazałaś?

– Chciałabym dobić z tobą targu, a kiedy do tego dojdzie, wołałabym, żebyś miał świadomość pewnych faktów.

Julian spróbował się uspokoić, okiełznać przyśpieszony oddech, sięgnąć w głąb pamięci po najgorsze drzemające tam wspomnienia.

Był w Sali Anioła, miał dwanaście lat i właśnie zabił ojca. Był w Instytucie i przed chwilą stwierdził, że Malcolm porwał Tavvy'ego. Był na pustyni, Emma mówiła mu, że kocha Marka – Marka, nie jego.

– Jakiego targu? – zapytał głosem niewzruszonym jak skała.

Królowa pokręciła głową, rude włosy jak aureola okoliły jej ściągniętą, wymizerowaną twarz.

– Chciałabym, żebyście byli przy tym wszyscy, Nocny Łowco. Cała wasza grupa.

– Nie zamierzam się z tobą układać. Zimny Pokój...
Parsknęła śmiechem.

– Podeptaliście go tysiące razy, moje dziecko. Nie myśl, że nic nie wiem o tobie i twojej rodzinie. Mimo zawarcia Zimnego Pokoju i mimo wszystkiego, co wówczas straciłam, nie przestałam być królową Jasnego Dworu.

Ciekawe, pomyślał Julian, co ma na myśli, mówiąc o „wszystkim, co straciła”. Co dokładnie straciła? Czy mogło jej chodzić tylko o hańbę klęski w Mrocznej Wojnie i surowe postanowienia Zimnego Pokoju?

– Poza tym – podjęła królowa – nie wiesz jeszcze, co zamierzam wam zaproponować. Nie wiedzą tego również twoi przyjaciele, a wydaje mi się, że mogliby być tym żywo zainteresowani. Zwłaszcza twoja urocza *parabatai*.

– Masz coś dla Emmy? – spytał ostro Julian. – To dlaczego tylko mnie tu przyprowadziłaś?

– Chciałam ci coś powiedzieć. I możliwe, że nie chcesz, by ona się o tym dowiedziała.

Na usta królowej zabłąkał się dyskretny uśmiezek. Podeszła o krok. Z bliska Julian wyraźnie widział deseń z piórek na jej sukni i kropelki krwi, dowodzący, że to ciernie wyszarpały piórka z ciała ptaka.

– Chodzi o klątwę *parabatai* – dodała królowa. – Wiem, jak ją przełamać.

Julianowi nagle zabrakło tchu w piersi. Właśnie coś takiego powiedział mu phouka przy bramie: „Znajdziesz w Faerie kogoś, kto wie, jak zerwać więź łączącą *parabatai*”.

Od tamtej pory nosił tę wiedzę w sercu i zastanawiał się, kim będzie ta osoba. Okazało się, że to królowa. Oczywiście, jakżeby inaczej: ktoś, komu absolutnie nie powinien ufać.

– Klątwę? – powtórzył półgłosem, z udawanym zaskoczeniem, jakby nie rozumiał, dlaczego użyła tego właśnie słowa.

Coś trudnego do określenia odbiło się w jej oczach.

– Więż *parabatai*, powinnam była powiedzieć. Ale dla ciebie to jest klątwa, nieprawdaż?

Złapała go za rękę i odwróciła ją dłonią do góry. Półksiężycowate ślady po wbitych w skórę obgryzionych paznokciach zbladły, ale wciąż były widoczne.

Julian pomyślał o magicznym zwierciadle. O królowej podglądającej jego i Emmę w pokoju Fergusa. Oczywiście, że to zrobiła. Dobrze wiedziała, kiedy Emma zasnęła, a on stał się zupełnie bezbronny. Wiedziała, że kocha Emmę. Mógł to ukrywać przed rodziną i przyjaciółmi, ale królowa Jasnego Dworu, nawykła do wyłuskiwania u innych słabych punktów i okrutnie wyczulona na nieprzyjemne prawdy, przejrzała go na wylot.

– Jak już mówiłam – odezwała się z uśmiechem – rany miłosne nie są nam niemiłe, prawda?

Julian był wściekły, ale ciekawość wzięła w nim górę. Cofnął rękę.

– Mów – powiedział. – Mów, co wiesz.

* * *

Rycerze faerie w zielono-złoto-czerwonych barwach przyszli po Emmę i zaprowadzili ją do sali tronowej. Była trochę oszołomiona nieobecnością Juliana, dopiero widok spotkanych na korytarzu Marka i Cristiny, otoczonych podobną eskortą, dodał jej otuchy. Mark zdradził jej półgłosem, że podsłuchiwał, jak jeden ze strażników mówił, że Julian już na nich czeka.

Emma przeklinała się w duchu za swoje zmęczenie. Jak mogła nie zauważyć, kiedy Julian wymknął się z pokoju? Zmusiła się do zaśnięcia, nie mogąc dłużej znieść tego, że znajduje się tak blisko niego, a zarazem nie może go nawet objąć. W dodatku on był taki spokojny, zupełnie spokojny; patrzył na nią z przyjacielskim dystansem, nawet z życzliwością, kiedy zapewniał, że ich przyjaźń nie jest zagrożona, a ona odczuwała wtedy wściekły ból i nie mogła się doczekać, kiedy skrajne wyczerpanie ją znieczuli i pozwoli o wszystkim zapomnieć.

Dotknęła rękajeści przewieszanej przez plecy Cortany. Resztę rzeczy swoich i Juliana miała w plecaku. Czuła się trochę głupio, nosząc broń do zwiewnej sukienki, ale nie zamierzała się przebierać na oczach królewskich gwardzistów. Kiedy zaproponowali, że poniosą jej miecz, odmówiła. Nikt oprócz niej nie będzie dotykał Cortany.

Cristina prawie podrygiwała z podniecenia.

– Sala tronowa królowej Jasnego Dworu! – wyszeptała. – Czytałam o niej, ale nie myślałam, że kiedyś ją zobaczę. Podobno dostosowuje się wyglądem do zmian nastroju władczyni.

Emma przypomniała sobie, co Clary opowiadała jej o Jasnym Dworze, o lodowo-śnieżnej komnacie, w której królowa nosiła złoto i srebro, o zasłonie z trzepoczących motyli... Kiedy jednak dotarli na miejsce, wszystko wyglądało nieco inaczej. Tak jak zapowiedział Mark, Julian już na nich czekał. Sala tronowa była owalna, pusta i pełna szarego dymu, który snuł się nad podłogą i skwierczał pod sufitem przeszywany malutkimi czarnymi błyskawicami. W komnacie nie było okien i dym układał się pod ścianami w ozdobne desenie: łąkę martwych kwiatów, łamiącą się falę, szkielet jakiejś skrzydlatej istoty.

Julian siedział na stopniach prowadzących na szczyt ogromnego kamiennego postumentu, na którym stał królewski tron. Jego ubranie składało się z przypadkowo dobranych elementów stroju bojowego i zwyczajnych części garderoby; na koszulę narzucił kurtkę, którą musiał znaleźć tutaj, w Faerie: mieniła się metaliczną nicią i okruchami brokatu i miała wywinięte rękawy odsłaniające przedramiona. Na przegubie jego dłoni skrzyła się bransoletka z morskiego szkła.

Kiedy weszli, podniósł wzrok. Nawet na bezbarwnym tle było widać, że oczy mu się zaświeciły.

– Zanim coś powiecie, najpierw ja muszę wam coś powiedzieć – odezwał się.

Emma słuchała go jednym uchem. Nade wszystko była zaskoczona tym, jak dziwnie spokojny i opanowany jej się wydał.

Julian opanowany zawsze był Julianem najgroźniejszym.

Na razie jednak mówił, a gdy sens jego słów zaczął się przebijać do jej świadomości, nowiny nią wstrząsnęły. Malcolm – martwy, żywy, znów martwy? Arthur zamordowany? Annabel zmartwychwstała? Czarna Księża przepadła?

– Ale przecież Malcolm już nie żył – zauważyła otępiała. – Sama go zabiłam. Widziałam, jak jego ciało unosiło się na wodzie. Był martwy.

– Królowa poradziła mi, żebym nie traktował śmierci jako czegoś ostatecznego i nieodwracalnego. Zwłaszcza w przypadku czarowników.

– Za to Annabel żyje – przypomniał Mark. – Czego chce? Po co zabrała

Czarną Księgę?

– To są bardzo dobre pytania, Miach – zabrzmiał głos z drugiego końca sali.

Wszyscy odwrócili się w tę stronę, zaskoczeni – wszyscy poza Julianem.

Wynurzyła się z szarego cienia odziana w szarości: długą suknię utkana ze skrzydeł ciem i popiołu, z szerokim dekoltem odsłaniającym sterczące obojczyki. W ściągniętej, trójkątnej twarzy dominowały błyszczące niebieskie oczy. Rude włosy szesała w tył i upięła w ciasnej srebrnej siatce. Królowa. Trudno byłoby stwierdzić, czy błysk w jej oku znamionuje złą wolę, czy obłąd.

– Kto to jest Miach? – zainteresowała się Emma.

Królowa ruchem ręki wskazała Marka.

– On. Siostrzeniec mojej służącej Nene.

Mark zrobił zdziwioną minę.

– Nene nazwała Helen „Alessą” – przypomniała Emma. – Czyli... Alessa i Miach to imiona faerie?

– Nie pełne imiona, bo pełne mają wielką moc, ale znacznie bardziej harmonijnie brzmiące niż Mark i Helen, nie uważacie?

Uniósłszy w jednej dłoni rąbek powłóczystej sukni, królowa podeszła do Marka i drugą ręką dotknęła jego twarzy.

Mark nawet nie drgnął, wyglądał jak skuty lodem. Od lat wpajano mu lęk przed arystokratami faerie, a już szczególnie przed ich monarchami. Dlatego to nie Mark, lecz Julian zmrużył gniewnie oczy, gdy palce królowej musnęły policzek jego brata.

– Piękny chłopcze – powiedziała – zmarnowali cię w tym Dzikim Polowaniu. A mogłeś służyć u mnie na dworze.

– Oni mnie uprowadzili – przypomniał Mark. – Wy nie.

Nawet królowa była trochę skonsternowana tą odpowiedzią.

– Miach...

– Mam na imię Mark.

Powiedział to bez cienia arogancji czy wrogości w głosie, po prostu stwierdził fakt. Emma dostrzegła błysk w oczach Juliana: był dumny z brata.

Królowa opuściła rękę, weszła po schodkach i zasiadła na tronie. Julian zszedł ze stopni i dołączył do przyjaciół na dole.

Królowa uśmiechnęła się do nich, a wtedy cienie zatańczyły wokół niej jak

na zawołanie: kłębiły się, rozsnuwały, tworzyły szare kwiaty.

– Julian powiedział wam wszystko, co musicie wiedzieć – oznajmiła. – Teraz możemy negocjować.

Emmie nie podobało się to, w jaki sposób królowa wymówiła imię Julesa: zaborcze, niemal ospałe „Julian”. Zastanawiała się też nad tym, gdzie podziewała się królowa, kiedy Julian relacjonował im niedawne wydarzenia. Na pewno była w zasięgu słuchu, to nie ulegało wątpliwości; gdzieś blisko, żeby móc go słuchać i obserwować ich reakcje.

– Sprowadziłaś nas tu wszystkich, pani, w sobie tylko wiadomym celu – powiedział Julian. Po jego twarzy było widać, że nie ma pojęcia, o co królowa zamierza ich prosić, ale tak samo było widać, że wcale nie jest zdecydowany jej odmówić. – Czego od nas chcesz?

– Chcę, żebyście znaleźli Annabel Blackthorn i odzyskali dla mnie Czarną Księgę.

Spojrzeli po sobie. Różnych rzeczy mogli się spodziewać, ale na pewno nie czegoś takiego.

– Interesuje cię tylko sama Czarna Księga? – upewniła się Emma. – Annabel nie?

– Tylko książka – przytaknęła królowa. – Osoba Annabel jest istotna tylko o tyle, że w tej chwili Czarna Księga znajduje się w jej rękach. Zważywszy ile czasu minęło od jej śmierci, po wskrzeszeniu jest najprawdopodobniej kompletnie obłąkana.

– Co tylko przyda atrakcyjności poszukiwaniu jej – zauważył Julian. – Dlaczego nie pošlesz kogoś z Jasnego Dworu, żeby w twoim imieniu przeczesał przyziemny świat?

– Zimny Pokój poważnie mi to utrudnia – odparowała cierpko królowa. – Ja i każdy z moich podwładnych zostalibyśmy natychmiast zatrzymani. Co innego wy, ulubieńcy Rady.

– Bez przesady – zaproponowała Emma. – Nie nazwałabym nas „ulubieńcami Rady”.

– Powiedz nam, z łaski swojej, po co królowej faerie Czarna Księga Umarłych? – zapytał Mark. – To zabawka dla czarowników.

– Która w niewłaściwych rękach może się stać niezwykle niebezpieczna – odparła królowa. – Nawet gdyby to były ręce faerie. Od czasu zawarcia Zimnego Pokoju król Ciemnego Dworu rośnie w siłę. Skalał podległe

mu ziemie złem i nappełnił rzeki krwią. Sami widzieliście, że w jego krainie nie przetrwa żadne dzieło Anioła.

– To prawda – zgodziła się Emma – ale dlaczego tak ci przeszkadza, że z jego powodu ziemie Czarne Dworu stały się niegościnne dla Nocnych Łowców?

Królowa posłała jej uśmiech, który nie dosięgnął oczu.

– Wcale mi to nie przeszkadza – odparła lodowatym tonem – ale król uprowadził jednego z moich poddanych, członka mojego dworu, osobę bardzo mi bliską. Trzyma ją w niewoli, a ja chcę ją odzyskać.

– I w jaki sposób Czarna Księga ma ci w tym pomóc?

– Czarna Księga nie ogranicza się do nekromancji. Zawiera także zaklęcia, które pozwolą mi odbić więźnia z Ciemnego Dworu.

Cristina pokręciła głową.

– Pani – zaczęła. W jej słodkim, stanowczym głosie nie było ani śladu lęku. – Współczujemy ci wprawdzie z powodu tej straty, ale udzielenie ci pomocy wymagałoby od nas ogromnego zachodu i wiązało się z wielkim niebezpieczeństwem. Wydaje mi się zatem, że jeżeli zależy ci na naszej współpracy, twoja propozycja dla nas powinna być naprawdę nietuzinkowa.

– Jak na tak młodą osobkę, jesteś bardzo zdeterminowana – zauważyła rozbawiona królowa. Pierścionki zabłyśły jej na palcach, gdy zaczęła gestykulować. – Musicie zrozumieć, że nasze interesy są zbieżne. Nikt z nas nie chce, żeby Czarna Księga wpadła w ręce króla Czarne Dworu. Tutaj, na moim dworze, będzie bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej na świecie. Król też będzie jej szukał, dlatego tylko tutaj, w samym sercu Jasnego Dworu, możemy ją spokojnie przechować.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie wykorzystasz jej przeciwko Nocnym Łowcom? – zaniepokoiła się Emma. – Nie tak dawno wojska Jasnego Dworu zaatakowały Alicante.

– Czasy się zmieniają, a wraz z nimi zmieniają się sojusze. W tej chwili król jest dla mnie większym zagrożeniem niż Nefilim. Ja zaś mam sposób, by dowieść wam swojej lojalności. – Królowa odchyliła głowę, na której zalśniła korona. – Proponuję wam zakończenie Zimnego Pokoju i obiecuję, że Alessa, twoja siostra – tu skinęła w stronę Marka – wróci do domu.

– Nie masz na to żadnego wpływu – wytknął jej Mark.

Nie był jednak w stanie ukryć instynktownej reakcji na imię siostry. Jego

oczy zabłysły, podobnie zresztą jak oczy Juliana. Alessa. Helen.

– Owszem, mam. Przyniescie mi Czarną Księgę, a wtedy ja zaoferuję Radzie pełną współpracę. Razem pokonamy króla.

– A jeśli Rada odmówi?

– Nie odmówi – odparła królowa z ogromną pewnością siebie. – Zrozumie, że tylko zawarcie takiego sojuszu pozwoli pokonać króla Ciemnego Dworu, a zanim do tego dojdzie, Zimny Pokój będzie musiał przejść do historii. Jeżeli dobrze zrozumiałam, twojej siostrze wymierzono typową wśród Nefilim karę banicji za to, że jest półkrwi faerie. Inkwizytor jest władny cofnąć taki wyrok. Kiedy Zimny Pokój dobiegnie końca, Alessa będzie wolna.

Emma wiedziała, że królowa nie może kłamać, nie mogła się jednak wyzbyć przeświadczenia, że w jakiś sposób próbuje ich oszukać. Spojrzawszy po twarzach przyjaciół, zorientowała się, że nie ją jedną dręczy takie podejrzenie.

Mimo to...

– Chcesz zagarnąć ziemie należące do Ciemnego Dworu? – zapytał Julian.

– I Clave miałyby ci w tym pomóc?

Królowa machnęła od niechcienia ręką.

– Na co mi ziemie Ciemnego Dworu? Nie kieruje mną żądza podboju. Ktoś inny zastąpi na tronie Władcę Cieni, ktoś lepiej rozumiejący interesy Nefilim. To powinno was zainteresować.

– Masz na myśli kogoś konkretnego, pani? – zaciekawiał się Julian.

Tym razem królowa się uśmiechnęła, naprawdę się uśmiechnęła. Widząc ten uśmiech, można było zapomnieć, jak chude i wynędzniałe ma ciało. Była przepiękna, kiedy się tak uśmiechała.

– Owszem – przytaknęła i spojrzała w cień zalegający za jej plecami. – Przyprowadzić go – poleciła.

Jeden kawałek cienia wyodrębnił się z szarej masy. Emma rozpoznała Fergusa, który wyszedł łukowato sklepionym przejściem, by po chwili wrócić.

Zdaniem Emmy nikt chyba nie powinien być zaskoczony widokiem gościa, którego przyprowadził – mrugającego powiekami, zaskoczonego i nadąsanego jak rzadko.

– Kieran? – zdziwił się Mark. – Kieran królem Ciemnego Dworu?

Kieranowi udało się sprawić wrażenie wystraszonego i urażonego jednocześnie. Miał na sobie świeże ubranie – płócienną koszulę, także spodnie i płowej barwy kamizelkę, wciąż jednak był bardzo blady, a spod koszuli przezierwały spowijające mu pierś bandaże.

– Nie – powiedział. – Mowy nie ma!

Królowa parsknęła śmiechem.

– Nie Kieran – powiedziała. – Jego brat. Adaon.

– Adaon się nie zgodzi – odparł Kieran. Fergus trzymał go mocno za rękę, on jednak, czepiając się resztek godności, usilnie udawał, że nic takiego się nie dzieje. – Jest lojalny wobec króla.

– A zatem niespecjalnie przychylny Nefilim – zauważyła Emma.

– Adaon nienawidzi Zimnego Pokoju – powiedziała królowa. – Wszyscy o tym wiedzą, tak jak wszyscy wiedzą, że pozostaje wierny królowi Ciemnego Dworu i akceptuje wszystkie jego decyzje, ale tylko dopóki król żyje. Gdyby Ciemny Dwór uległ przed sojuszem Nocnych Łowców i Jasnego Dworu, nietrudno będzie osadzić na tronie naszego własnego kandydata.

– Kiedy o tym mówisz, pani, rzeczywiście brzmi to bardzo prosto – przyznał Julian. – Ale skoro nie zamierzasz koronować Kierana na króla, po co kazałaś go tu sprowadzić?

– Mam dla niego inne zadanie. Potrzebuję posła, którego tożsamość jest powszechnie znana. – Królowa odwróciła się do Kierana. – Będiesz moim posłańcem do Clave. Przysięgniesz wierność jednemu z tych oto Nocnych Łowców. Dzięki temu, a także z racji tego, że jesteś królewskim synem, kiedy wystąpisz przed Radą, będą wiedzieli, że przemawiasz w moim imieniu i że nie zostaną oszukani, jak to się zdarzyło z tym kłamcą Meliornem.

– Kieran musi przystać na ten plan – uparł się Mark. – To musi być jego decyzja.

– To jest jego decyzja, naturalnie. Jeżeli się nie zgodzi na moją propozycję, to własny ojciec każe go zabić. Król nie lubi, kiedy skazańcy wymykają mu się z rąk.

Kieran mruknął coś pod nosem i odparł:

– Przysięgnę wierność Markowi. Zrobię, co mi każe. Przez wzgląd na niego pojednam się z Nefilim. Poprę waszą sprawę i przedstawię ją Adaonowi, lecz ostateczna decyzja będzie należała do niego.

– Nie. – Coś zabłyśło w oczach Juliana. – Nie zrobisz tego dla Marka.

Mark posłał mu zaskoczone spojrzenie. Kieran wyraźnie się spiął.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Miłość wszystko komplikuje – odparł Julian. – Taka przysięga powinna być wolna od wszelkich pobocznych zobowiązań.

Kieran wyglądał tak, jakby miał zaraz wybuchnąć. Włosy całkiem mu szerniały. Zmierzył Juliana wrogim spojrzeniem, ale podszedł do Nocnych Łowców... i uklęknął przed Cristiną.

Wszyscy byli zdumieni, a najbardziej sama Cristina. Kieran odgarnął włosy i z wyzywającą miną spojrzał jej w oczy.

– Przysięgam ci wierność, Pani Róż.

– Kieran Królotwórca – powiedział Mark.

Z nieprzeniknioną twarzą patrzył na Cristinę i Kierana. Emma doskonale go rozumiała: z pewnością cały czas czekał na chwilę, w której Kieran odzyska pamięć, i lękał się bólu, jaki te odzyskane wspomnienia sprawią im obu.

– Nie robię tego dla Adaona ani dla Zimnego Pokoju – powiedział Kieran.

– Robię to, bo pragnę śmierci mojego ojca.

– Budujące – mruknął Julian.

Kieran wstał.

– Zatem postanowione – podsumowała z zadowoleniem królowa. – Tylko żebyśmy się dobrze zrozumieli: dajcie Radzie do zrozumienia, że może liczyć na moją pomoc i dobrą wolę, ale dopóki nie dostanę Czarnej Księgi, nie przystąpię do wojny z Królestwem Cieni.

– A jeśli to król pierwszy wypowie ci wojnę? – zaniepokoił się Julian. – Co wtedy?

– Najpierw wystąpi przeciwko wam. Tego jestem pewna.

– A jeżeli jej nie znajdziemy? – spytała Emma. – Księgi, znaczy.

Dłoń królowej przecięła powietrze w leniwym geście.

– Clave nadal będzie mogło liczyć na moją życzliwość. Po prostu moja armia nie wzmocni jego sił, dopóki Czarna Księga nie znajdzie się w moich rękach.

Emma spojrzała na Juliana, który wzruszył ramionami, jakby nie spodziewał się usłyszeć od królowej niczego innego.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział Julian. – Helen. Nie chcę czekać z jej odzyskaniem do zakończenia Zimnego Pokoju.

Na twarzy królowej odmalowała się przelotna irytacja.

– Na niektóre rzeczy naprawdę nie mam wpływu, mój mały Nefilim – odwarknęła.

To były jej pierwsze słowa, w które Emma naprawdę uwierzyła.

– Ależ masz – zaproponował Julian. – Przysięgnij, że wywrzesz nacisk na Clave, żeby Helen i Aline zostały twoimi ambasadorkami. Kiedy Kieran wypełni swoją misję i przekaze wiadomość Radzie, jego rola się skończy. Będziesz potrzebowała nowego posłańca, łącznika pomiędzy Faerie i światem Przyziemnych. Niech takimi łącznikami zostaną Helen i jej żona. Wtedy Clave będzie musiała je ściągnąć z Wyspy Wrangla.

Królowa rozważyła jego słowa i skinęła lekko głową.

– Masz świadomość, że Clave wcale nie musi mnie posłuchać, dopóki nie uzna, że potrzebuje mojej pomocy? Ale zgoda: kiedy już odzyskacie Czarną Księgę, możecie postawić taki warunek dodatkowy mojej współpracy. Kieranie, upoważniam cię do przedstawienia tego żądania w stosownym momencie.

– Tak zrobię – przytaknął Kieran i spojrzał na Marka.

Emma prawie mogła wyczytać z jego oczu niewypowiedziane na głos słowa: „Ale nie dla ciebie”.

– Cudownie. Możecie się stać bohaterami, którzy położą kres Zimnemu Pokojowi.

Cristina zeszywniała. Emma przypomniała sobie jej wcześniejsze słowa:

– Zawsze miałam nadzieję, że pewnego dnia przyczynię się do wynegocjowania lepszego traktatu niż Zimny Pokój, uczciwszego dla Podziemnych i tych spośród Nocnych Łowców, którzy ich kochają.

Marzenie Cristiny. Siostra Marka i Juliana. Bezpieczeństwo Blackthornów po powrocie Helen i Aline. Królowa zaproponowała im wszystkim spełnienie najskrytszych marzeń i ziszczenie się najbardziej desperackich nadziei.

Emma nie lubiła się bać, ale w tej chwili królowa ją przerażała.

– Czy wszystko zostało ustalone, moje wybredne dzieci? – spytała królowa z błyskiem w oku. – Dogadaliśmy się?

– Wiesz, że tak. – Julian niemal wypluł te słowa. – Udamy się na poszukiwania Księgi, chociaż nie mamy pojęcia, gdzie zacząć.

– Ludzie chętnie udają się do miejsc, które mają dla nich szczególnie

znaczenie – zauważyła królowa, przekrzywiwszy głowę. – Annabel była Blackthornem. Wniknijcie w jej przeszłość. Wniknijcie w jej duszę. Macie wgląd do dokumentów rodowych niedostępnych dla nikogo innego. – Wstała z tronu. – Pewni moi poddani odwiedzili ich przed laty, kiedy Annabel i Fade byli jeszcze młodzi i szczęśliwi. Fade miał dom w Kornwalii. Może ten dom wciąż stoi? Jeśli tak, to tam można by coś znaleźć. – Ruszyła w dół po schodkach. – Czas na was. Musicie wrócić do przyziemnego świata, nim będzie za późno.

Znalazszy się na dole, odwróciła się w stronę wejścia, imponująca w wytwornym stroju i emanująca aurą władzy.

– Wejdźcie! – zawołała. – Czekaliśmy na was.

W drzwiach pojawiły się sylwetki dwojga gości, którym towarzyszyli dwaj rycerze w dworskich uniformach. W jednym z przybyszów Emma rozpoznała Nene, która przekroczyła próg sali tronowej z wyrazem szacunki i lęku na twarzy. Towarzyszył jej imponujący jak zawsze Gwyn ap Nudd. Elegancki kaftan z ciemnego aksamitu trzeszczał pod naporem jego szerokich ramion.

Gwyn wbił w Marka spojrzenie czarnego i niebieskiego oka. Pęczniał z dumy.

– Ocaliłeś Kierana – powiedział. – Nie powinienem był w ciebie wątpić. Zrobiłeś wszystko, o co mogłem cię prosić, a nawet więcej. Teraz po raz ostatni dołączysz do mnie i Dzikiego Polowania. Zabiorę was do waszych najbliższych.

Emma spojrzała na Juliana, który wzruszył ramionami, jakby nie spodziewał się usłyszeć od królowej niczego innego.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział Julian. – Helen. Nie chcę czekać z jej odzyskaniem do zakończenia Zimnego Pokoju.

Na twarzy królowej odmalowała się przelotna irytacja.

– Na niektóre rzeczy naprawdę nie mam wpływu, mój mały Nefilim – odwarknęła.

To były jej pierwsze słowa, w które Emma naprawdę uwierzyła.

– Ależ masz – zaoponował Julian. – Przysięgnij, że wywrzesz nacisk na Clave, żeby Helen i Aline zostały twoimi ambasadorkami. Kiedy Kieran wypełni swoją misję i przekaze wiadomość Radzie, jego rola się skończy. Będziesz potrzebowała nowego posłańca, łącznika pomiędzy Faerie

i światem Przyziemnych. Niech takimi łącznikami zostaną Helen i jej żona. Wtedy Clave będzie musiała je ściągnąć z Wyspy Wrangla.

Królowa rozważyła jego słowa i skinęła lekko głową.

– Masz świadomość, że Clave wcale nie musi mnie posłuchać, dopóki nie uzna, że potrzebuje mojej pomocy? Ale zgoda: kiedy już odzyskacie Czarną Księgę, możecie postawić taki warunek dodatkowy mojej współpracy. Kieranie, upoważniam cię do przedstawienia tego żądania w stosownym momencie.

– Tak zrobię – przytaknął Kieran i spojrzał na Marka.

Emma prawie mogła wyczytać z jego oczu niewypowiedziane na głos słowa: „Ale nie dla ciebie”.

– Cudownie. Możecie się stać bohaterami, którzy położą kres Zimnemu Pokojowi.

Cristina zeszywniała. Emma przypomniała sobie jej wcześniejsze słowa:

– Zawsze miałam nadzieję, że pewnego dnia przyczynię się do wynegocjowania lepszego traktatu niż Zimny Pokój, uczciwszego dla Podziemnych i tych spośród Nocnych Łowców, którzy ich kochają.

Marzenie Cristiny. Siostra Marka i Juliana. Bezpieczeństwo Blackthornów po powrocie Helen i Aline. Królowa zaproponowała im wszystkim spełnienie najskrytszych marzeń i ziszczenie się najbardziej desperackich nadziei.

Emma nie lubiła się bać, ale w tej chwili królowa ją przerażała.

– Czy wszystko zostało ustalone, moje wybredne dzieci? – spytała królowa z błyskiem w oku. – Dogadaliśmy się?

– Wiesz, że tak. – Julian niemal wypluł te słowa. – Udamy się na poszukiwania Księgi, chociaż nie mamy pojęcia, gdzie zacząć.

– Ludzie chętnie udają się do miejsc, które mają dla nich szczególne znaczenie – zauważyła królowa, przekrzywiwszy głowę. – Annabel była Blackthornem. Wniknijcie w jej przeszłość. Wniknijcie w jej duszę. Macie wgląd do dokumentów rodowych niedostępnych dla nikogo innego. – Wstała z tronu. – Pewni moi poddani odwiedzili ich przed laty, kiedy Annabel i Fade byli jeszcze młodzi i szczęśliwi. Fade miał dom w Kornwalii. Może ten dom wciąż stoi? Jeśli tak, to tam można by coś znaleźć. – Ruszyła w dół po schodkach. – Czas na was. Musicie wrócić do przyziemnego świata, nim będzie za późno.

Znalazszy się na dole, odwróciła się w stronę wejścia, imponująca w wytwornym stroju i emanująca aurą władzy.

– Wejdźcie! – zawołała. – Czekaliśmy na was.

W drzwiach pojawiły się sylwetki dwojga gości, którym towarzyszyli dwaj rycerze w dworskich uniformach. W jednym z przybyszów Emma rozpoznała Nene, która przekroczyła próg sali tronowej z wyrazem szacunki i lęku na twarzy. Towarzyszył jej imponujący jak zawsze Gwyn ap Nudd. Elegancki kaftan z ciemnego aksamitu trzeszczał pod naporem jego szerokich ramion.

Gwyn wbił w Marka spojrzenie czarnego i niebieskiego oka. Pęczniał z dumy.

– Ocaliłeś Kierana – powiedział. – Nie powinienem był w ciebie wątpić. Zrobiłeś wszystko, o co mogłem cię prosić, a nawet więcej. Teraz po raz ostatni dołączysz do mnie i Dzikiego Polowania. Zabiorę was do waszych najbliższych.

* * *

Całą piątką podążyli za królową, Nene i Gwynem przez labirynt korytarzy, który doprowadził ich w końcu do pochyłego tunelu, gdzie powitał ich świeży, rześki powiew. Tunel wyprowadził ich na łąkę. W zasięgu wzroku nie było drzew, przetykana kwiatami trawa ciągnęła się po horyzont. W górze rozpościerało się niebo osnute wirującymi kolorowymi chmurami. Emma zastanawiała się, czy trwa jeszcze noc, w którą przybyli na Jasny Dwór, czy też spędzili pod ziemią cały dzień, ale nie miała jak tego rozstrzygnąć. Czas w Faerie płynął jak taniec, którego kroków nie znała.

Na łące stało pięć koni. W jednym z nich Emma rozpoznała Lotną Włóczęgę, wierzchowca Kierana, na którym ten ruszył do starcia z Malcolmem. Na widok Kierana Włóczęga zarżała i stanęła dęba.

– To właśnie obiecał mi phouka – powiedział półgłosem Mark. Stał za plecami Emmy, wpatrując się w Gwyna i konie. – Że jeśli wejdę do Faerie, jeszcze raz pojedę w Dzikim Polowaniu.

Emma ścisnęła jego dłoń. Przynajmniej dla Marka obietnica phouki spełniała się bez żadnych przykrych ukrytych podtekstów. Miała nadzieję, że podobnie rzecz się ma w przypadku Juliana i Cristiny.

Cristina podeszła do gniadego deresza, który grzebał kopytem w ziemi. Zaszepiała do niego kojąco, a kiedy się uspokoił, wskoczyła mu na grzbiet i poklepała go po szyi. Julian, całkowicie niewzruszony, wspiał się na grzbiet karej klaczy o upiornie zielonych ślepiach. Oczy Cristiny błyszczały z zachwyty; spojrzała na Emmę i wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jakby nie posiadała się z radości. Emma mogła się tylko zastanawiać, od jak dawna jej przyjaciółka marzyła o takiej przejażdżce w towarzystwie zastępów faerie.

Sama nie wyrywała się naprzód, czekała, aż Gwyn wywoła ją po imieniu. Zresztą dlaczego koni było tylko pięć, a nie sześć?

Odpowiedź na to pytanie stała się oczywista, gdy Mark dosiadł Lotnej Włóczni i wyciągnął rękę do Kierana, żeby wciągnąć go na koński grzbiet. Elfi grot na jego szyi zaśnił w wielobarwnym świetle gwiazd. Nene podeszła do Włóczni i nie zwracając uwagi na Kierana, ujęła dłonie Marka w swoje. Emma nie słyszała, co ciotka szepcze siostrzeńcowi, ale na jego twarzy odmalował się ból, a jego palce zacisnęły się przez moment na jej palcach. W końcu Nene rozluźniła uścisk, odwróciła się i wycofała w głąb tunelu.

Kieran bez słowa usadowił się za plecami Marka, nie dotykając go. Mark odwrócił się do niego bokiem.

– Martwisz się czymś? – zapytał.

– Nie. – Kieran pokręcił głową. – Nie, bo jestem z tobą.

– O tak. – Twarz Marka stężała. – Jesteś.

Stojąca obok Emmy królowa zaśmiała się cicho.

– Tyle kłamstwa w zaledwie trzech słowach – mruknęła. – A nawet nie powiedział „Kocham cię”.

– Znasz się na kłamstwach jak nikt inny – odparowała Emma, czując ukłucie gniewu. – Moim zdaniem największym kłamstwem w ustach faerie jest twierdzenie, jakoby nigdy nie kłamały.

Królowa wyprostowała się i nagle Emma odniosła wrażenie, że władczyni patrzy na nią z wielkiej wysokości. Nad jej głową wirowały gwiazdy: niebieskie, zielone, fioletowe, czerwone.

– Dlaczego się złościś, dziewczyno? Zaproponowałam wam uczciwy układ. Obiecałam wszystko, czego mogliście pragnąć. Podjęłam was jak gości. Nawet ubrania, które nosicie, pochodzą z Faerie.

– Nie ufam ci – odparła bez ogródek Emma. – Pertraktowaliśmy z tobą, bo nie mieliśmy innego wyjścia, ale ty manipulowałaś nami na każdym

kroku. Nawet sukienka, którą mam na sobie, jest elementem twoich machinacji.

Królowa uniosła brew.

– Poza tym w przeszłości sprzymierzyłaś się z Sebastianem Morgensternem i pomagałaś mu w Mrocznej Wojnie. To przez tę wojnę Czarna Księga trafiła do rąk Malcolma, a moi rodzice zginęli. Dlaczego nie miałabym właśnie ciebie o to obwiniać?

Królowa zmierzyła ją wzrokiem, w którym Emma nagle dostrzegła wszystko to, co monarchini skrzętnie starała się ukryć: bezmiar gniewu i nienawiści.

– To dlatego zostałam samozwańczym obrońcą Blackthornów? Nie zdołałaś ocalić rodziców, więc przynajmniej uratujesz swoją rodzinę zastępczą?

Emma długo patrzyła królowej w oczy, zanim odparła:

– A żebyś wiedziała.

I nie oglądając się więcej na władczynię Jasnego Dworu, podeszła do koni.

* * *

Julian nie przepadał za końmi, chociaż – podobnie jak większość Nocnych Łowców – nauczył się na nich jeździć. W Idris, gdzie samochody nie działały, konie nadal pozostawały głównym środkiem lokomocji. Uczył się jazdy konnej na wrednym kucyku, który nieustannie wydymał złośliwie boki i nurkował pod nisko zwieszającymi się gałęziami, żeby zrzucić jeźdźca z grzbietu.

Złowieszcze spojrzenie zielonych ślepi rumaka, którego sprezentował mu Gwyn, również nie wróżyło nic dobrego. Julian przygotował się w duchu na wierzgnięcie i gwałtowny podskok, ale kiedy Gwyn wydał rozkaz, koń płynnie uniósł się w powietrze jak ciągnięta na sznurku zabawka.

Zaskoczony Julian sapnął głośno i z całej siły wczepił się rękami w końską grzywę. Pozostali – Cristina, Gwyn, Emma i Mark z Kieranem – wzlecieli obok niego i na moment wszyscy zawiśli nieruchomo, cienie w świetle księżycy.

A potem konie ruszyły z kopyta. Niebo rozmyło się nad ich głowami, gwiazdy przemieniły się w migotliwe smugi kolorowej farby i nagle Julian

uświadomił sobie, że się uśmiecha, naprawdę uśmiecha od ucha do ucha, jak rzadko od czasów dzieciństwa. Nic nie mógł na to poradzić. Chyba każdy człowiek w skrytości ducha marzy o lataniu, pomyślał, mknąc przez noc – i to lataniu nie w taki sposób, jak robią to Przyziemni, zamknięci we wnętrzu metalowej rury, lecz właśnie o takim lataniu, kiedy pędzisz wśród chmur miękkich niczym puch, a wiatr pieści twoją skórę.

Obejrzał się na Emmę: nisko pochylona, przytulona do szyi konia obejmowała jego boki długimi nogami, a włosy trzepotały za nią na wietrze jak porzecz. Obok niej jechała Cristina, która rozpostarła ręce na boki i pokrzykiwała wesoło.

– Emma! – zawołała. – Emma, patrz! Bez trzymanki!

Emma zerknęła na nią i wybuchnęła śmiechem.

Mark, swobodnie dosiadający Lotnej Włóczni, z Kieranem przytrzymującym się jedną ręką jego pasa, nie był ubawiony.

– Złap się grzywy! – krzyknął. – Cristino! To nie kolejka górską!

– Nefilim są szaleni! – zawołał Kieran, odgarniając niesforne włosy z twarzy.

Cristina tylko zaśmiała się w odpowiedzi. Emma patrzyła na nią z uśmiechem, a oczy błyszczały jej jak gwiazdy, które przemieniły się tymczasem w srebrnobiałe gwiazdy przyziemnego świata.

Przed nimi zamajaczyły wysokie cienie w kolorach bieli, czerni i błękitu. Urwiska Dover, domyślił się Julian. Zrobiło mu się trochę przykro, że ta jazda tak szybko się kończy. Spojrzał na brata. Mark dosiadał Lotnej Włóczni w tak naturalny sposób, jakby urodził się na końskim grzbiecie. Wiatr rozwiewał mu jasne włosy i odsłaniał szpiczaste uszy. On również się uśmiechał, dyskretnym, tajemnym uśmiechem kogoś, kto robi to, co kocha.

Daleko w dole wirował świat, srebrno-szara szachownica pól, mrocznych wzgórz i krętych świetlistych rzek. Widok był przepiękny, ale Julian nie potrafił oderwać oczu od Marka.

Zatem tak właśnie wygląda Dzikie Polowanie, pomyślał. Wolność, przestrzeń, szal radości. Pierwszy raz dotarło do niego, że decyzja Marka o pozostaniu z rodziną mogła wcale nie być taka prosta. I pierwszy raz zrozumiał, jak bardzo brat musi go kochać, jeżeli dla niego postanowił porzucić niebo.

Część druga

Thule

Drogie widma

Kiedyś Kitowi nie mieściło się w głowie, że mógłby się znaleźć choćby w jednym Instytucie Nocnych Łowców. Teraz miał za sobą posiłki i noclegi już w dwóch. W tym tempie wkrótce się od takich wizyt uzależni.

Instytut w Londynie był dokładnie taki, jak by go sobie wyobraził, gdyby kazano mu go sobie wyobrazić – co, naturalnie, nigdy nie nastąpiło. Mieścił się w ogromnym kamiennym kościele i daleko mu było do efektownej nowoczesności Instytutu w Los Angeles, a w dodatku wyglądał, jakby od osiemdziesięciu lat nie był remontowany. Ściany w pokojach, pomalowane w edwardiańskie pastelowe barwy, wyblakły z czasem i przybrały bliżej nieokreślony mętny kolor. Ciepła woda pojawiała się i znikwała, materace były zbrylone i gruzłowate, na większości mebli zalegał kurz.

Sądząc z zasłyszanych tu i ówdzie urywków rozmów, londyński Instytut gościł dawniej znacznie większą liczbę Nocnych Łowców. Po tym jednak, jak podczas Mrocznej Wojny został zaatakowany przez Sebastiana Morgensterna, większość dawnych mieszkańców już do niego nie wróciła.

Szefowa Instytutu wydawała się równie wiekowa jak on sam. Nazywała się Evelyn Highsmith. Kit miał niejasne wrażenie, że Highsmithowie to grube ryby w społeczności Nocnych Łowców, chociaż nie tak grube jak Herondale'owie. Evelyn była wysoką, dostojną, siwowłosą osiemdziesięciolatką, nosiła długie sukienki w stylu lat czterdziestych, podpierała się laską o srebrnej główce i czasem rozmawiała z nieistniejącymi ludźmi.

Poza nią w Instytucie mieszkała jeszcze tylko jedna osoba, jej pokojówka – i w przybliżeniu rówieśniczka – Bridget; farbowała włosy na jasnorudy kolor, a poza tym miała tysiąc drobnych zmarszczek na twarzy i dar do pojawiania

się w najmniej oczekiwanych miejscach, rzecz szczególnie niewygodną dla Kita, który znów rozglądał się za czymś, co można by ukraść. Nie szło mu to zbyt dobrze: najwartościowsze wydawały się meble, a nie bardzo wiedział, jak miałby się wymknąć niepostrzeżenie z Instytutu, dźwigając na plecach kredens. Broń była trzymana pod kluczem, na ulicznym handlu lichtarzami się nie znał, a kiedy nawet w ogromnej bibliotece natykał się na cenne pierwsze wydania rozmaitych książek, okazywało się, że niejaki „Will H.”, dureń skończony, pogryzmołił większość z nich.

Otworzyły się drzwi i do jadalni weszła Diana. Było widać, że oszczędza jedną rękę; Kit odkrył już, że niektóre obrażenia Nocnych Łowców, zwłaszcza poparzenia demonicznym jadem lub krwią, mimo nakładania runów uzdrawiających goją się niezwykle powoli.

Livvy podniosła wzrok. Rodzina zebrała się na kolacji przy długim stole w obszernej wiktoriańskiej jadalni. Dawniej sufit zdobiły wizerunki aniołów, z czasem jednak malowidło zniknęło pod warstwą kurzu i sadzy.

– Są jakieś wieści od Aleca i Magnusa?

Diana pokręciła głową i usiadła naprzeciw Livvy. Livvy miała na sobie niebieską sukienkę, która wyglądała jak podkradziona z planu serialu kostiumowego BBC. Opuściwszy w wielkim pośpiechu Los Angeles, nie przywieźli ze sobą dosłownie nic, ale okazało się, że w Londynie czekają na nich całe szafy pełne ubrań – aczkolwiek nie było wśród nich niczego, co wyglądałoby na kupione później niż w roku 1940. Evelyn, Kit i Blackthornowie tworzyli więc przy stole niezwykłą mieszankę stylów: Ty i Kit wystąpili w spodniach i koszulach z długim rękawem, Tavvy w bawełnianej koszulce i szortach, a Drusilla w sukni z czarnego aksamitu, która zachwyciła ją swoim gotyckim charakterem. Diana, której nic nie przypadło do gustu, po prostu przeparała sobie w rękach bluzkę i dzinsy.

– A co z Clave? – zainteresował się Ty. – Rozmawiałaś z Clave?

– Czy oni kiedykolwiek do czegoś się przydają? – mruknął Kit.

Wydawało mu się, że nikt go nie słyszał, ktoś jednak musiał go usłyszeć, bo nagle Evelyn wybuchnęła śmiechem.

– Ach, Jessamine... – powiedziała do nikogo. – Dajże spokój, to naprawdę jest w złym guście.

Blackthornowie zgodnie unieśli brwi i spojrzeli po sobie, nikt jednak się nie odezwał, bo w tej samej chwili weszła Bridget, niosąc parujące talerze

mięsa i jarzyn, rozgotowanych do tego stopnia, że straciły wszelki smak.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy po prostu wrócić do domu. – Dru była niepokieszona. – Skoro Centurioni, jak twierdzą, pokonali wszystkie morskie demony...

– To jeszcze nie znaczy, że Malcolm nie wróci – powiedziała Diana. – A chodzi mu przecież o krew Blackthorna. Dlatego zostanieie tutaj i nie ma dyskusji.

Kit zemdłał podczas makabrycznego śmignięcia przez lodowatą pustkę, które tamci nazywali niewinnie „przejściem przez Bramę”, i przegapił scenę, jaka musiała się rozegrać tuż po przybyciu do londyńskiego Instytutu, kiedy to Diana najwidoczniej zapowiedziała, że przyjechali na dłużej.

Diana zawiadomiła wprawdzie Clave o skierowanych przeciw Blackthornom groźbom Malcolma, ale Zara ją uprzedziła: zdążyła zapewnić Radę, że Centurioni panują nad sytuacją i bynajmniej nie obawiają się Malcolma i jego armii. Clave chętnie przyjęła jej słowa za dobrą monetę.

Zapewnienia Zary musiały mieć czarodziejską moc, bo Malcolm więcej się nie pojawił i żadne demony nie naprzykrzały się mieszkańcom Zachodniego Wybrzeża. Minęły dwa dni, a wciąż nie było żadnych wieści o kataklizmie.

– Nie mogę znieść myśli o tym, że Zara i Manuel są w naszym Instytucie, a my nie możemy im patrzeć na ręce! – Livvy ze złością odrzuciła widelec. – Im dłużej tam przebywają, tym głośniejszą będą się dopominać, żeby Kohorta przejęła Instytut!

– To niedorzeczne – odparła Evelyn. – Szefem Instytutu jest Arthur. Nie popadaj w paranoję, drogie dziecko – dodała z silnym brytyjskim akcentem.

Livvy się wzdrygnęła. Mimo że wszyscy, włącznie z Dru i Tavvym, zostali szczegółowo poinformowani o aktualnej sytuacji, w tym także o chorobie Arthura i faktycznym celu misji Juliana i pozostałych, uznano, że lepiej będzie nie wtajemniczać w sprawę Evelyn. Nie była ich sojusznikiem; nie miała żadnego powodu, żeby się z nimi sprzymierzyć, nawet jeśli demonstrowała daleko posuniętą obojętność wobec prowadzonej przez Radę polityki. Zresztą, prawdę mówiąc, najczęściej sprawiała wrażenie, że w ogóle ich nie słucha.

– Zara twierdzi, że po naszym zniknięciu Arthur zamknął się u siebie w gabinecie i nie wychodzi – powiedziała Diana.

– Też bym tak zrobiła, gdybym musiała się zadawać z Zarą – przyznała

Dru.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Arthur nie przybył tu z wami – prychnęła Evelyn. – Mieszkał kiedyś u nas w Instytucie, można by myśleć, że chętnie go znów odwiedzi.

– Są i dobre strony tej sytuacji, Livvy – powiedziała Diana. – Kiedy Julian i pozostali wrócą z... stamtąd, dokąd się udali, prawdopodobnie skierują się prosto do Los Angeles. Chciałabyś, żeby zastali tam pusty Instytut?

Livvy w milczeniu dzióbnęła jedzenie widelcem. Była blada i wymizerowana, pod oczami miała sine cienie. W pierwszą noc po przybyciu do Londynu Kit wymknął się z sypialni, myśląc, że może Livvy będzie miała ochotę się z nim spotkać, ale kiedy położył dłoń na klamce drzwi do jej pokoju, usłyszał, że płacze. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Coś ścisnęło go dziwnie w piersi. Ktoś, kto tak płakał, raczej nie pragnął w tej chwili towarzystwa drugiej osoby, zwłaszcza takiej osoby jak on.

Teraz tak samo ścisnęło go w piersi, gdy spojrzawszy ponad stołem na Ty'a, przypomniał sobie, jak Ty wyleczył mu rękę. Miał taką chłodną skórę... Ty też się denerwował: przeprowadzka do Londynu poważnie zaburzyła jego ustalony plan dnia i było widać, że źle to znosi. Dużo czasu spędzał w sali treningowej, która miała niemal identyczny rozkład jak ta w Los Angeles. Czasami, kiedy był szczególnie podenerwowany, Livvy brała go za rękę i mocno je ścisnęła. Taki fizyczny kontakt wyraźnie go rozluźniał. Jednak w tej chwili zamknął się w sobie spięty i strapiony.

– Moglibyśmy pojechać na Baker Street – zaproponował Kit, zanim się zorientował, co właściwie chce powiedzieć. – Jesteśmy w końcu w Londynie...

Ty od razu podniósł głowę. Oczy mu się zaświeciły. Odsunął talerz z jedzeniem. Livvy wspominała Kitowi o tym, że Ty długo się przyzwyczaja do nowych smaków i zapachów. Na razie w Londynie jego jadłospis ograniczał się niemal wyłącznie do ziemniaków.

– Baker Street 221B? – zapytał.

– Gdy tylko sprawa z Malcolmem ostatecznie się wyjaśni – wtrąciła Diana. – Do tego czasu żaden Blackthorn nie wyściubi nosa z Instytutu. Żaden Herondale zresztą również nie. Nie podobało mi się to, jak Malcolm patrzył na Kita. – Wstała od stołu. – Będę w salonie, muszę nadać ognistą wiadomość.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Tavvy – który wpatrywał się w powietrze obok swojego krzesła z miną, która szczerze niepokoiła Kita – zachichotał. Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Najmłodszy z Blackthornów ostatnio rzadko się śmiał.

Trudno było mieć o to do niego pretensje. Julian zastępował mu ojca. Kit dobrze wiedział, co to znaczy, kiedy ojca nie ma w domu, a nie miał już przecież siedmiu lat.

– Jessie! – odezwała się karcącym tonem Evelyn. Kit aż się rozejrzał po pokoju ciekaw, do kogo się zwróciła. – Zostaw dzieciaka w spokoju. Przecież on cię nawet nie zna. – Spojrzała na siedzących przy stole gości. – Wszystkim się wydaje, że umieją postępować z dziećmi; mało jest takich, którzy mają świadomość, że nie są w tym dobrzy. – Odgryzła kawałek marchewki. – Na przykład ja – ciągnęła z pełnymi ustami. – Zawsze serdecznie nie znosiłam dzieci.

Kit przewrócił oczami. Tavvy spojrzął na Evelyn takim wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy nie rzucić w nią talerzem.

– Dru? – wtrąciła pośpiesznie Livvy. – Połóż Tavvy’ego spać. Kolacja skończona.

– Chętnie, czemu nie? Przecież rano wcale nie przyszykowałam dla niego świeżego ubrania, a wczoraj nie kładłam go do snu – warknęła Dru. – Równie dobrze mogłabym być służącą.

Zabrała Tavvy’ego i wyszła, ciągnąc młodszego brata za sobą.

Livvy złapała się za głowę.

– Nie musisz się wszystkim opiekować, wiesz? – próbował ją pocieszyć Ty.

Pociągnęła nosem i spojrzała na niego z ukosa.

– Tylko że... no... jak nie ma Juliana, to ja tu jestem najstarsza. Między tobą i mną jest tylko parę minut różnicy, ale zawsze.

– Diana jest najstarsza – zauważył przytomnie Ty.

Nikt nie wspomniał o Evelyn, która założyła okulary i zagłębiła się w lekturze gazety.

– Ale ona ma mnóstwo innych spraw na głowie – zaproponowała Livvy. – Nie może się nami zajmować, to znaczy zajmować się drobiazgami. Nigdy przedtem nie myślałam o tym, ile Julian naprawdę dla nas robi, ale to jest masa rzeczy. A on zawsze ze wszystkim daje sobie radę, i jeszcze się nami

opiekuje, a ja nawet nie wiem, jak...

Gdzieś z góry dobiegł odgłos jakby eksplozji. Ty zmartwił. Po jego minie było widać, że słyszał ten dźwięk już wcześniej.

– Livvy? – odezwał się. – Sala Anioła...

Dźwięk się powtórzył, tym razem jednak mniej przypominał wybuch, bardziej zaś zwykły grzmot przewalający się po niebie. Jakby coś rozdzierało chmury niczym tkaninę.

Do jadalni wparowała Dru. Tavvy deptał jej po piętach.

– To oni! Nie uwierzycie, co widziałam! Chodźcie, szybko. Widziałam, jak lecieli... pobiegłam na dach...

– Ale kto? – Livvy zerwała się na równe nogi, podobnie jak wszyscy inni poza Evelyn, która nie przerywała lektury. – Kto jest na dachu, Dru?

Dru porwała Tavvy'ego w ramiona.

– Wszyscy! – odparła z błyskiem w oku.

* * *

Kryty łupkiem dach Instytutu był szeroki, rozległy i obramowany kutą żelazną balustradą sięgającą dorosłemu człowiekowi do pasa. Słupki balustrady były zwieńczone żelaznymi kwiatami lilii. W oddali Kit rozpoznał rozświetloną kopułę katedry Świętego Pawła, znaną mu z tysięcy filmów i programów telewizyjnych.

Ciężkie chmury metalicznej barwy kłębiły się wokół dachu niczym wokół górskiego szczytu. Ulice były ledwie widoczne, powietrze skwierczało jak przed letnią burzą.

Wybiegli na dach – wszyscy poza Evelyn i Bridget. Diana też tu była, osłaniając zranioną ręką zdrową. Ty wpatrywał się w niebo.

Na oczach Kita czar został zdjęty. Miało się wrażenie, jakby ożył obraz albo filmowa stopklatka, tyle że filmom brakowało takiego pomieszania zachwytu i strachu; brakowało zapachu magii w powietrzu, trzasków piorunów i cieni rzucanych przez gromadę szybujących pod niebem istot; brakowało powodzi światła gwiazd na jasnych włosach dziewczyny, która – krzycząc ze szczęścia i podniecenia – zsunęła się z końskiego grzbietu wprost na dach Instytutu; brakowało wyrazu twarzy Blackthornów na widok powracających braci i przyjaciółek.

Livvy rzuciła się Julianowi na szyję. Mark zeskoczył z konia, prawie przeturlał po ziemi i stwierdził, że tonie w objęciach Dru i Tavvy'ego. Ty był bardziej powściągliwy, ale twarz miał tak samo opromienioną szczęściem. Począł, aż Livvy skończy przyduszać brata, po czym podszedł i uściskał Julianowi dłoń.

Wtedy zaś Julian, którego Kit zawsze uważał za na wpół przerażający wzorzec opanowania i dystansu, porwał brata w objęcia i przytulił z całej siły, zaciskając ręce na koszuli na jego plecach. Miał zamknięte oczy.

Kit odwrócił wzrok, żeby nie widzieć wyrazu jego twarzy. Nie miał w życiu nikogo bliskiego poza ojcem, ale był absolutnie pewien – pewien w sposób, którego nie wyrażą słowa – że ojciec nigdy go tak nie kochał.

Mark podszedł do braci. Ty odwrócił się do niego i powiedział:

– Wcale nie byłem pewien, że wrócisz.

Mark położył mu dłoń na ramieniu i odparł szorstko:

– Zawsze będę do ciebie wracał, Tiberusie. Przepraszam, jeśli kiedykolwiek dałem ci powody do myślenia, że może być inaczej.

Blackthornom towarzyszyli jeszcze dwaj przybysze, których Kit nie znał: cudownie nadąsany chłopak o granatowo-czarnych włosach, które falami okalały jego kanciastą twarz, oraz potężnie zbudowany, szeroki w barach męczyzna w budzącym grozę hełmie ze sterczącymi na boki rzeźbionymi rogami jelenia. Obaj siedzieli na koniach w milczeniu, jakby nie zamierzali z nich zsiadać. Eskorta z faerie odprowadzająca Blackthornów do domu? Ale co takiego Blackthornowie zrobili, żeby zasłużyć na taką uprzejmość?

Z drugiej strony – jeśli ktoś miał coś takiego załatwić, to właśnie Julian Blackthorn. Ojciec Kita mawiał czasem o niektórych przestępcach, że gdyby zstąpili do piekła, to po powrocie sam diabeł byłby im winny przysługę. Taki właśnie był Julian.

Zapłakana Diana wyściskała najpierw Emmę, a potem Cristinę. Kit, czując się dziwnie nie na miejscu na tym rodzinnym spotkaniu, dyskretnie odsunął się pod balustradę. Chmury się rozproszyły i było widać oświetlony kolorami tęczy Millenium Bridge. Turkoczący po innym moście pociąg odbijał się w wodzie.

– Kim jesteś? – zabrzmiał głos za jego plecami, nieco z boku.

Zaskoczony Kit odwrócił się i zobaczył jednego z faerie, którzy już wcześniej zwrócili jego uwagę, tego nadąsanego. Jego widziane z bliska

włosy wydawały się mniej czarne, a bardziej ciemnozielono-granatowe. Odgarnął ich kosmyk z twarzy i zmarszczył brwi. Miał pełne, lekko asymetryczne usta, ale najciekawsze i tak były jego oczy – podobnie jak u Marka, w dwóch różnych kolorach: jedno srebrne jak wypolerowana do połysku rycerska tarcza, drugie tak czarne, że prawie nie było widać źrenicy.

– Jestem Kit – odparł Kit.

Chłopiec o włosach jak ocean skinął głową.

– A ja jestem Kieran. Kieran Myśliwy.

Kit wiedział, że „Myśliwy” nie jest prawdziwym nazwiskiem faerie, którzy zresztą i tak nie mieli w zwyczaju podawać swoich prawdziwych, pełnych imion, ponieważ imiona miały moc. „Myśliwy” określał więc tylko jego przynależność, tak jak u niks przydomek „Wodorodzony”. Kieran należał do Dzikiego Polowania.

– Aha... – mruknął Kit, przypomniawszy sobie o Zimnym Pokoju. – Jesteś więźniem?

– Nie – odparł faerie. – Jestem kochankiem Marka.

O rety, pomyślał Kit. To po niego Mark poszedł do Faerie. Żeby go uratować.

Starał się nie okazać rozbawienia sposobem wystawiania się faerie. Na poziomie czysto intelektualnym zdawał sobie sprawę z tradycyjnego, staroświeckiego znaczenia słowa „kochanek”, ale nic nie mógł poradzić na to, że pochodzi z Los Angeles i z jego punktu widzenia Kieran powiedział mniej więcej coś takiego: „Cześć, bzykam się z Markiem Blackthornem. A ty?”.

– Wydawało mi się, że Mark spotyka się z Emmą – zauważył Kit.

Kieran się zmieszał. Kilka pasemek włosów nagle mu ściemniało, chociaż pewnie była to zwykła gra światła.

– Myślę, że się mylisz – odparł.

Kit uniósł brew. Jak blisko byli z Markiem? Może połączył ich tylko przelotny romans? Chociaż po co Mark miałby wlec do Faerie połowę rodziny, żeby go uratować, pozostawało dla Kita tajemnicą.

Zanim jednak zdążył zareagować, uwagę Kierana przyciągnęło coś innego.

– To musi być piękna Diana – powiedział, wskazując nauczycielkę

Blackthornów. – Gwyn był nią oczarowany.

– Gwyn? Ten duży, w rogatym hełmie? – upewnił się Kit.

Kieran pokiwał głową. Gwyn zsiadł z konia i wdał się w rozmowę z Dianą, która – choć wysoka jak na kobietę – wyglądała przy nim drobno i niepozornie.

– Opatrzność znów skrzyżowała nasze ścieżki – powiedział Gwyn.

– Nie wierzę w Opatrzność – odparła Diana. Skrępowana i zaniepokojona tuliła zranioną rękę do piersi. – Ani w interwencjonistyczne Niebo.

– „Są takie rzeczy w niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom”^[3].

Kit prychnął. Diana osłupiała.

– Cytujesz Szekspira? Poważnie? Jeśli już, to prędzej spodziewałabym się *Snu nocy letniej*.

– Faerie nie znoszą *Snu nocy letniej* – mruknął Kieran. – Szekspir wszystko pomieszał.

Kąciki ust Gwyna drgnęły w uśmiechu.

– Skoro już mowa o snach... Często widuję cię we śnie.

Diana była oszołomiona. Blackthornowie przerwali hałaśliwe powitania i z nieskrywaną ciekawością obserwowali ją i Gwyna. Julian nawet lekko się uśmiechał. Trzymał na rękach Tavvy'ego, który uczeplił się jego szyi jak koala matki.

– Chciałbym doprowadzić do naszej oficjalnej prezentacji – ciągnął Gwyn.

– Wtedy mógłbym zacząć starać się o twoją rękę.

Jego ogromne dłonie poruszały się niespokojnie i Kit ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że ten potężny, muskularny olbrzym, wódz Dzikiego Polowania, denerwuje się.

– Moglibyśmy wspólnie zabić lodowego olbrzyma albo pożreć jelenia – dodał Gwyn.

– Nie pragnę żadnej z tych rzeczy – odparła Diana po chwili.

Gwyn zrobił strapioną minę.

– Ale chętnie się z tobą umówię – dodała, rumieniąc się. – Najlepiej w jakiejś miłej restauracji. Przynies kwiaty. I przyjdź bez hełmu.

Blackthornowie zaśmiali się z aprobatą. Kit oparł się o ścianę obok Kierana, który z niedowierzaniem kręcił głową.

– Tak oto dumny wódz Dzikiego Polowania został pokonany przez miłość – powiedział Kieran. – Mam nadzieję, że ktoś kiedyś napisze o tym balladę.

Kit obserwował Gwyna, który – obojętny na aplauz i wiwaty – szykował konie do drogi.

– Nie przypominasz innych Blackthornów – zauważył Kieran. – Masz niebieskie oczy, ale nie jak ocean, tylko bardziej jak niebo.

Kit poczuł się w jakiś niejasny sposób urażony.

– Nie jestem Blackthornem – odparł. – Nazywam się Herondale. Christopher Herondale.

Czekał. Przywykł już, że nazwisko Herondale wywołuje gwałtowne reakcje u większości mieszkańców Podziemnego Świata, tymczasem ten chłopak o włosach jak ocean nawet nie mrugnął okiem.

– To co tu robisz, skoro nie należysz do rodziny? – zapytał.

Kit wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chociaż wiem jedno: to nie miejsce dla mnie.

Kieran uśmiechnął się półgębkiem.

– No to jest nas dwóch.

* * *

Ostatecznie wszyscy zebrali się w salonie, najcieplejszym pomieszczeniu w całym budynku. Evelyn już tam była: siedziała przy kominku i mamrotała coś pod nosem. Był wprawdzie schyłek lata, ale w londyńskim powietrzu dało się wyczuć nieprzyjemnie wilgotną, chłodną nutę. Bridget podała kanapki z tuńczykiem, kukurydzą, kurczakiem i bekonem. Nowo przybyli rzucili się na nie jak wygłodniałe wilki. Julian był zmuszony jeść lewą ręką, nieporadnie, bo prawą przytrzymywał siedzącego mu na kolanach Tavy'ego.

Salon postarzał się wdzięczniej od większości innych pomieszczeń w Instytucie. Wesoła tapeta w kwiaty tylko trochę wyblakła, a prześliczne zabytkowe meble dobrano z wyjątkową starannością: piękne biurko, delikatny sekretarzyk i zgromadzone przy kominku aksamitne fotele i sofy. Krata kominka, zrobiona z kutego żelaza, przedstawiała czaple w locie; podświetlona od wewnątrz płomieniami rzucała na ściany cienie jakby przelatujących ptaków.

Kieran wykazał większą wstrzemięźliwość przy jedzeniu: dziobał kanapki podejrzliwie, rozbierał je na czynniki pierwsze i wyjadał tylko pomidory.

Julian tymczasem opowiadał o wydarzeniach w Faerie, podróży na Jasny Dwór, spotkaniu z królową, pladze dręczącej ziemię Ciemnego Dworu.

– Trawa była tam zupełnie wypalona – wtrącił wyraźnie poruszony Mark.
– Biała jak popiół. Jak powierzchnia Księżyca.

Kit bardzo starał się skupić na ich opowieści, ale równie dobrze mógłby jechać kolejką górską, w której wysiadły hamulce: takie określenia jak „magiczne zwierciadło”, „wojownik faerie” czy „Czarna Księga Umarłych” co rusz wytrącały go z toru.

– Ile czasu tam dla nich upłynęło? – spytał w końcu szeptem Ty’a, siedzącego pomiędzy nim i Livvy na kozetce, która była stanowczo za mała dla trzech osób.

– Wychodzi na to, że parę dni mniej niż tutaj – odparł Ty. – Tak że różnica jest, ale niewielka. Naszyjnik Cristiny zadziałał.

Kit zagwizdał cicho przez zęby.

– A kto to jest Annabel?

– Kobieta z rodu Blackthornów. Umarła, ale Malcolm sprowadził ją z powrotem.

– Wskrzesił ją?! Ale to... – zająknął się Kit. – To jest nekromancja.

– Malcolm był nekromantą – przypomniał mu Ty.

– Cicho.

Livvy szturchnęła łokciem Kita, który zdążył już popaść w zadumę. Na Nocnym Targu nekromancja była nie tylko zakazaną sztuką, lecz w ogóle zakazanym tematem rozmów. Karą za wskrzeszanie zmarłych była śmierć. Gdyby nie złapali cię Nocni Łowcy, zrobiliby to Podziemni i zgotowaliby ci naprawdę paskudną śmierć. Johnny Rook zawsze powtarzał, że wskrzeszanie umarłych wypacza materię życia w taki sam sposób, jak uzyskiwanie przez ludzi przywileju nieśmiertelności. Wystarczyło raz zaprosić śmierć do siebie, by została na dobre. Kit zapytał kiedyś ojca, czy ktoś, jakiś przepotężny mag, mógłby wskrzesić umarłego w taki sposób, żeby uszło mu to na sucho.

– Bóg – odparł wtedy Johnny Rook. – Bóg mógłby tego dokonać. Ktoś, kto wskrzesza zmarłych, może się uważać za Boga, ale prędzej czy później przekona się, że to zwykłe kłamstwo, któremu dał się zwieść.

– Szef Instytutu w Los Angeles nie żyje?! – wykrzyknęła Evelyn i upuściła niedojedzoną kanapkę na zabytkowy, najpewniej bardzo drogi stół.

Kit nie dziwił się jej zaskoczeniu. Blackthornowie nie zachowywali się jak rodzina oplakująca śmierć ukochanego wuja, byli raczej zdziwieni i oszołomieni. Z drugiej strony miało się czasem wrażenie, że traktują Arthura niemal jak obcego człowieka.

– To dlatego chciał zostać w Los Angeles? – spytała Livvy. Policzki jej poczerwieniały. – Żeby się dla nas... poświęcić?

– Na Anioła... – Diana oparła dłoń na piersi. – Nie odpowiadał na moje wiadomości, ale to jeszcze nie było nic niezwykłego. Ale żeby Zara niczego nie zauważyła...

– Może zauważyła, a może nie – ucięła Livvy. – Dla niej i dla jej planów na pewno lepiej, że Arthur zniknął.

– Jakich planów? – zainteresowała się Cristina. – O jakich planach Zary mówisz?

Przyszła pora na kolejne przydługie wyjaśnienia, tym razem dotyczące spraw, o których Kit już wiedział. Evelyn zasnęła przed kominkiem i pochrapywała w najlepsze. Kit zastanawiał się, ile może być warta główka jej laski. I czy jest z litego srebra, czy tylko posrebrzana.

– Na Anioła – powiedziała tym razem Cristina, gdy wyjaśnienia dobiegły końca.

Julian milczał. Emma powiedziała coś, co nie nadawałoby się do druku.

Mark z rumieńcami na policzkach pochylił się nad stołem.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem – przyznał. – Zara z ojcem chcą przejąć władzę nad Instytutem w Los Angeles, żeby przeforsować swój plan odnośnie do Podziemnych. Ich nowe prawo prawdopodobnie obejmie także mnie i Helen, a już na pewno Magnusa, Catarinę... Wszystkich Podziemnych, których znamy, nawet tych najbardziej lojalnych.

– Ja znam tę ich grupę – powiedziała Diana. – Nie wierzą w istnienie lojalnych Podziemnych.

– A co to za grupa? – zainteresowała się Emma.

– Kohorta. Dobrze znana frakcja w Radzie. Podobnie jak większość ugrupowań, dla których nienawiść jest racją bytu, oni też uważają, że reprezentują milczącą większość i że w gruncie rzeczy wszyscy pogardzają Podziemnymi tak jak oni. Według nich sprzeciwianie się Zimnemu Pokojowi to albo dowód moralnego tchórzostwa, albo, w najlepszym razie, skowyt tych, którym Pokój jest nie na rękę.

– Nie na rękę? – powtórzył Kieran. Wypowiedziane beznamiętnym tonem słowa zawisły w powietrzu.

– Nie są przesadnie inteligentni – ciągnęła Diana – są natomiast głośni i bezwzględni. Wielu ludzi udało im się zastraszyć i zmusić do milczenia. Nie ma w ich gronie żadnego szefa Instytutu, ale gdyby jakiś był...

– Niedobrze – wtrąciła Emma. – Do niedawna musieliby wykazać, że Arthur nie nadaje się do kierowania Instytutem, a teraz... Po śmierci Arthura zrobił się wakat. Wystarczy, że na najbliższym zebraniu Rady przedstawią swojego kandydata.

– Który będzie miał duże szanse na zwycięstwo. – Diana wstała od stołu i zaczęła się przechadzać po jadalni. – Clave jest pod ogromnym wrażeniem Zary Dearborn; myśli, że to ona i jej Centurioni bez żadnej pomocy odparli najazd morskich demonów.

– Ale przecież demony zniknęły tylko dlatego, że Malcolm zginął! – rozzłościła się Livvy. – Zginął po raz drugi, tym razem na dobre, miejmy nadzieję. Zara nie zrobiła niczego nadzwyczajnego. Przypisuje sobie zasługi Arthura!

– A my nic nie możemy na to poradzić – powiedział Julian. – Przynajmniej na razie. Wkrótce odkryją, że Arthur zginął albo przepadł bez śladu; sam fakt, że zszedł z posterunku, będzie wystarczającym powodem, by wyznaczyć kogoś nowego na jego miejsce. My zaś nie możemy dać po sobie poznać, że wiemy, jak i dlaczego zginął.

– Ponieważ tę wiedzę zawdzięczamy królowej Jasnego Dworu – uzupełniła półgłosem Emma, spojrzawszy na drzemiącą Evelyn.

– Annabel jest kluczem do znalezienia Czarnej Księgi – powiedział Julian. – Musimy się tym zająć jak najszybciej. Jeżeli Clave nas uprzedzi, nie będziemy mogli dostarczyć Księgi królowej.

– Przystając na warunki królowej, nie wiedzieliśmy o Kohorcie – zauważył stroskany Mark. – Co zrobimy, jeżeli Kohorta wykona swój ruch, zanim uda nam się odnaleźć Księgę?

– Nic. Po prostu musimy być od nich szybsi. Nie możemy otwarcie stawić czoła Dearbornom na posiedzeniu Rady. Według Clave Zara nie zrobiła nic złego. Arthur faktycznie nie nadawał się na szefa Instytutu. Wielu członków Rady nienawidzi Podziemnych. Zara chce przejąć Instytut, żeby przeforsować niegodziwe prawo? Nie ona pierwsza. Ona nie łamie żadnych

reguł, my tak.

Kita przeszedł dreszcz. Przez moment wydawało mu się, że słyszy swojego ojca. Johnny Rook mawiał: „Świat nie jest taki, jaki byś chciał, żeby był. Świat jest, jaki jest”.

– Czyli co, mamy udawać, że nie wiemy, co Zara knuje? – Emma zmarszczyła brwi.

– Nie – odparła Diana. – Pojadę do Idrisu. Spotkam się z panią Konsul.

Wszyscy wybałuszyli z niedowierzaniem oczy – wszyscy poza Julianem, który nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, i Kieranem, który łypał podejrzliwie na kolejną kanapkę.

– Propozycja Zary oznacza, że córka Jii zostanie żoną zarejestrowanej Podziemnej. Jia ma świadomość, do czego to doprowadzi, dlatego wiem, że się ze mną spotka. Jeśli zdołam jej przemówić do rozsądku...

– Poparła wprowadzenie Zimnego Pokoju – przypomniał Kieran.

– Nie miała wyboru. Gdyby została wcześniej uprzedzona, czym to się może skończyć, wierzę, że zachowałyby się inaczej. I tym razem zostanie uprzedzona. Poza tym mamy dla niej konkretną ofertę.

– Otóż to – przytaknął Julian i skinął na Kierana. – Propozycję zakończenia Zimnego Pokoju przekazaną przez posła królowej Jasnego Dworu.

Drzemiąca przy kominku Evelyn zerwała się na równe nogi.

– Dość tego! – Spiorunowała Kierana wzrokiem. – Mogę się pogodzić z obecnością Blackthorna w tym domu, nawet Blackthorna z szemranym rodowodem. Dla Blackthornów drzwi Instytutu zawsze stoją otworem. Ale faerie czystej krwi, przysłuchujący się naradom Nefilim? Na to nigdy się nie zgodzę.

Zaskoczony Kieran wstał. Mark również zaczął odsuwać krzesło. Julian ani drgnął.

– Kieran jest częścią naszego planu...

– Bzdura! Bridget?! – zawołała Evelyn i służąca, która musiała czatować na korytarzu przed jadalnią, wetknęła głowę przez drzwi. – Odprowadź, proszę, to książątka do jednej z sypialni dla gości. A ty, faerie, dasz mi teraz słowo, że nie opuścisz swojego pokoju, dopóki nie otrzymasz na to pozwolenia.

– A ty, pani? – Kieran spojrzał pytająco na Cristinę. – Czego ty sobie

życzysz?

Kit nic z tego nie rozumiał. Dlaczego Kieran, królewski syn, miałby słuchać rozkazów Cristiny?

Cristina się zarumieniła.

– Nie musisz przysięgać, że zostaniesz w pokoju – odparła. – Ufam ci.

– Serio? – spytała zafascynowana Emma, gdy Kieran ukłonił się sztywno i wyszedł.

Wszyscy słyszeli pomrukiwanie Bridget prowadzącej Kierana do sypialni.

– Faerie w Instytucie, też coś. Duchy, owszem. Czarownicy, też rozumiem. Ale nigdy jeszcze za moich czasów...

– Co Kieran tu robi? – zdziwiła się Drusilla, gdy tamci dwoje wyszli. – Wydawało mi się, że go nie lubimy. Znaczący nie przepadam za nim. Wiem, że ocalił nam życie, ale to palant, w gruncie rzeczy.

Odpowiedział jej pomruk ściszonego głosu. Kit przypomniał sobie, jak dzień czy dwa wcześniej podsłuchiwał rozmowę Dru z Livvy, która złościła się na Marka, że wyprawia się do Faerie, żeby pomóc komuś, kto go skrzywdził. Komuś, kto skrzywdził Emmę i Juliana. Ot, kolejny element łamigłówki, jaką był Kieran. Kit nie wiedział, co dokładnie się wydarzyło, ale na pewno nic dobrego.

Emma przysiadła się do Cristiny na sofie. Przybyła do Instytutu w zwiewnej jak pajęczyna sukience; Kit widywał takie na Nocnym Targu. Wyglądała w niej krucho i elegancko, ale on doskonale pamiętał ten błysk stali, gdy u niego w domu siekła mieczem demony-modliszki z takim spokojem, z jakim panna młoda mogłaby kroić weselny tort.

Julian w milczeniu przysłuchiwał się rozmowom przy stole. Nie patrzył wprawdzie na Emmę, ale powietrze między nimi niemal skwierczało od łączącej ich niewidzialnej energii. Kit przypomniał sobie, jak pierwszy raz usłyszał ją na Nocnym Targu rozmawiającą z ojcem.

– To nie miejsce dla Juliana – powiedziała wtedy, a on odniósł wrażenie, że jej głos czule tuli każdą sylabę tego imienia.

Związek *parabatai* był dziwny – niby tak bliski, a przy tym różny zarówno od małżeństwa, jak i od najserdeczniejszej przyjaźni. Nie miał dobrego odpowiednika w przyziemnym świecie. Pociągała go ta idea, myśl, że mógłby być z kimś tak związany; była atrakcyjna w taki sam sposób, jak wszystkie niebezpieczne i piękne aspekty bycia Nocnym Łowcą.

Może Ty...

Julian wstał. Posadził Tavvy'ego na fotelu, a sam się przeciągnął, aż zatrzeszczały ścięgna.

– Sęk w tym – powiedział – że Kieran jest nam potrzebny.

– Książę faerie potrzebny do czegokolwiek? – prychnęła Evelyn. – Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

Julian szepnął coś Tavvy'emu na ucho i wyprostował się.

– Panno Highsmith, mój młodszy braciszek jest zmęczony, ale nie wie, gdzie znajduje się jego pokój. Mogłaby go pani tam zaprowadzić?

Evelyn z irytacją przeniosła wzrok na Tavvy'ego. Chłopiec posłał jej anielski uśmiech, przy którym robiły mu się urocze dołeczki w policzkach.

– Nie możesz go sam odprowadzić?

– Dopiero przybyłem. Nie znam rozkładu tutejszych pomieszczeń.

Julian także uśmiechnął się promiennie. Kiedy chciał, potrafił roztaczać naprawdę niezwykły urok osobisty.

Evelyn rozejrzała się w poszukiwaniu ochotników, którzy by ją wyręczyli, a kiedy nikt nie ruszył się z miejsca, prychnęła z niesmakiem i pstryknęła palcami na Tavvy'ego.

– Chodź, dziecko – powiedziała i we dwoje wyszli z jadalni.

Uśmiech Juliana stał się bardziej przebiegły. Kit nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Julian najpierw wykorzystał Evelyn do pozbycia się Kierana, a następnie użył Tavvy'ego, by pozbyć się Evelyn – a przy tym zrobił to tak zręcznie, że nikt by mu niczego nie udowodnił. Gdyby kiedyś chciał zostać zawodowym oszustem, byłby w tym mistrzem.

– Kieran jest nam potrzebny do negocjacji z Clave – podjął Julian, jakby nic się nie wydarzyło. – Kiedy znaleźliśmy go w Faerie, ojciec właśnie zamierzał go zabić. Kieran uciekł, ale nie będzie bezpieczny, dopóki jego ojciec zasiada na tronie Ciemnego Dworu. – Niespokojnym gestem przeczesał włosy.

Kit nie mógł wyjść z podziwu, jak on to wszystko ogarnia w głowie: plany, spiski, prawdę, fałsz.

– Królowa chętnie by go zdetronizowała – powiedziała Emma. – Pomoże nam osadzić na tronie brata Kierana, ale Kieran musiał obiecać, że pomoże go przekonać.

– I ten brat Kierana miałby być lepszym królem od tego, którego teraz

mają? – spytała Dru.

– Tak – przytaknęła stanowczo Emma. – Może wam się to wydać dziwne, ale tak.

– Kieran wystąpi również na forum Rady – mówił dalej Julian. – Przedstawi ofertę królowej, która jest gotowa sprzymierzyć się z nami, żebyśmy wspólnymi siłami pokonali króla. Potwierdzi doniesienia o poczynaniach króla na ziemiach Ciemnego Dworu...

– Sam mógłbyś im o tym opowiedzieć – zauważył Kit.

– Tak, ale wtedy ściągnęlibyśmy na siebie gniew Clave za to, że udaliśmy się do Faerie. A gdyby nawet uszło nam to płazem, nie byłoby dla nas litości, gdyby wyszło na jaw, że zawarliśmy układ z królową.

Kit musiał przyznać Julianowi rację. Pamiętał, jak niewiele brakowało, by Blackthornowie znaleźli się w poważnych tarapatkach po tym, jak wynegocjowali z poselstwem faerie oddanie im Marka. Na tym tle dogadywanie się z królową Jasnego Dworu było przestępstwem zupełnie innego kalibru. Tak jakby ktoś, kto dostał mandat za przechodzenie na czerwonym świetle, następnego dnia wrócił i wysadził całą ulicę w powietrze.

– Kieran jest dla was przepustką na wyjście z więzienia – podsumował Kit.

– Nie chodzi tylko o nas – odparła Emma. – Jeżeli Rada go posłucha, może to oznaczać zakończenie Zimnego Pokoju. Prawdę mówiąc, rada nie będzie miała innego wyjścia jak mu uwierzyć: Kieran nie może kłamać. A jakoś nie wydaje mi się, żeby Clave potrafiło odrzucić złożoną przez królową propozycję sojuszu i wspólnego wystąpienia przeciwko Ciemnemu Dworowi.

– Dlatego musimy zadbać o bezpieczeństwo Kierana – powiedział Julian.

– A także zrobić, co w naszej mocy, żeby go do siebie nie zrazić.

– Robi to dla Marka, tak? – domyśliła się Dru.

– Ale przecież Mark z nim zerwał – wtrąciła Livvy i nagle rozejrzała się z niepokojem. Koniec jej kucyka musnął ramię Kita. – Nie powinnam była tego mówić?

– Nie, nie – uspokoił ją Mark. – Nic się nie stało. Powiedziałaś prawdę, tyle że... Kieran tego nie pamięta. Kiedy był torturowany na Ciemnym Dworze, częściowo stracił pamięć. Nie pamięta poselstwa do Instytutu, chłosty Juliana i Emmy ani zagrożenia, jakie sprowadził na nas przez swą

porywczość i gniew. – Spuścił wzrok na swoje splecione dłonie. – Nie możemy mu o tym powiedzieć.

– Ale Emma... – Livvy nie rozumiała. – Mamy udawać, że Emma i Mark nie są...

Kit przysunął się do Ty'a. Chłopiec pachniał atramentem i wełną.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznał Kit.

– Ja też – odszepnął Ty. – To bardzo skomplikowane.

– Jeśli chodzi o mnie i Marka... – Emma spojrzała Markowi w oczy. – Rozstaliśmy się.

Kit nie był pewien, czy Mark o tym wiedział; z pewnością nie potrafił teraz ukryć swojego zaskoczenia.

– Nie układało się nam – ciągnęła Emma. – Mark jest wolny, może robić, co chce.

– Rozstali się? – wyszeptła z niedowierzaniem Livvy.

Zdezorientowany Ty wzruszył tylko ramionami. Livvy z wyraźnym niepokojem popatrywała to na Emmę, to na Marka.

– Czyli Kieran ma myśleć, że nadal jest z Markiem, tak? – upewnił się Ty.

Kit też się w tym pogubił. Chociaż z drugiej strony Henryk VIII z powodów politycznych ściał głowy kilku swoim żonom. Najwidoczniej życie miłosne często przeplatało się z polityką w trudny do zrozumienia sposób.

– Ukrywanie prawdy przed Kieranem nie jest rozwiązaniem idealnym – przyznał Julian, wsunawszy ręce do kieszeni. – Jest mi bardzo przykro, że każę wam kłamać. Chyba najlepiej będzie po prostu unikać tego tematu. Niestety nie ma innego sposobu na to, żeby zagwarantować sobie jego wystąpienie przed Clave.

Mark z roztargnieniem wodził palcami po głowie.

– Nic mi nie jest – mruknął do Cristiny. – Naprawdę. Czuję się świetnie.

Kit poczuł nagły przypływ współczucia, nie dla Marka jednak, lecz dla Kierana, który nie wiedział, że jego chłopak wcale nie jest jego chłopakiem i że spędzi tę noc w domu, którego inni mieszkańcy – choć z pozoru bardzo mu przyjaźni – okłamują go, bo chcą, żeby dał im to, czego potrzebują.

Przypomniał sobie oziębłość okazywaną przez Juliana na Nocnym Targu – Juliana, który był gotowy poświęcić Kierana, a może nawet i własnego brata, żeby dostać to, czego pragnie. Co z tego, że pragnął czegoś dobrego,

czegoś takiego jak zakończenie Zimnego Pokoju. Kiedy Kit patrzył na niego, wpatzonego niezgłębionymi oczami w ogień na kominku, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Julianowi chodzi o coś więcej.

Że w przypadku Juliana Blackthorna zawsze chodzi o coś więcej.

3 Przeł. Władysław Tarnawski.

Gdy wędrowiec się ukáže

Mark ruszył do pokoju Kierana, zbierając siły do kłamstwa.

Niepokój i wyczerpanie wygoniły Marka z salonu. Pozostali, równie zmęczeni, rozeszli się do swoich sypialni. Cristina wymknęła się tak, że Mark nawet tego nie zauważył, chociaż zaraz odczuł jej nieobecność jako swoisty skurcz w piersi.

Był nieco zaszokowany oświadczeniem Emmy, że kończą z udawaniem pary. Wiedział, co powiedział jej w Faerie, i że zrobiła tylko to, o co poprosił, ale mimo to czuł się teraz trochę zagubiony, samotny i nie wiedział, jak ma patrzeć Kieranowi w oczy i nie mówić mu prawdy.

Nie lubił kłamać. Nie robił tego w Dzikim Polowaniu i czuł się z fałszem niezręcznie. Chciał porozmawiać o tym z Cristiną, ale wątpił, by chciała słuchać o jego skomplikowanych uczuciach do Kierana. Julian skupiłby się całkowicie na tym, co konieczne i co trzeba zrobić, bez względu na to, jak bardzo by to bolało. I nie mógł już porozmawiać z Emmą. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ich związek – nawet jeśli był udawany – zbliżył ich do prawdziwej przyjaźni. Zastanawiał się teraz, czy to też straci.

A co do Kierana... Mark oparł głowę o ścianę obok drzwi do jego pokoju. Korytarze oklejono tapetą w kolorze zmatowiałego złota ze wzorem z płożących się winorośli i treliazy. Ściana była chłodna w dotyku. Kieran był ostatnią osobą, z którą Mark mógł porozmawiać.

Oczywiście walenie głową w ścianę nic nie pomoże. Wyprostował się i otworzył cicho drzwi. Pokój, który wybrano dla Kierana, znajdował się daleko od pozostałych sypialni, szło się do niego w górę krótkimi schodami. Najpewniej kiedyś wykorzystywano go jako schowek. Był wąski, z łukowatymi oknami, które wychodziły na ściany sąsiednich budynków. Pośrodku pokoju stało masywne łóżko z kolumnkami i ogromna szafa –

choć Mark nie miał pojęcia, co zdaniem gospodarzy Kieran mógłby do niej włożyć.

Z łóżka zdjęto narzutę, a Kierana nigdzie nie było widać. Marka ogarnął niepokój. Kieran na swój sposób obiecał Cristinie, że zostanie. Gdyby postanowił nie dotrzymać słowa, znaleźliby się w opałach.

Mark westchnął i zamknął oczy. Czuł się głupio, bezradnie stojąc na środku pokoju z zamkniętymi oczami, ale znał Kierana.

– Kier – powiedział – nic nie widzę. Wyjdź i porozmawiaj ze mną.

Chwilę potem silne ręce złapały go pod boki, uniosły i cisnęły na łóżko. Ciężar Kierana wgniótł go w materac. Mark otworzył oczy i zobaczył nad sobą Kierana. Wyglądał dziko i dziwnie w swoim stroju arystokraty. Zarys bandaży Kierana odciskał się na piersi Marka, ale poza tym jego ciężar był pod każdym względem znajomy. Jego ciało powitało go z radością.

Kieran patrzył na niego, a jego oczy – srebrne i czarne – były jak nocne niebo.

– Kocham cię – powiedział. – I złożyłem obietnicę, ale jeśli będę nieustannie zawstydzany i odsyłany, to nie odpowiadam za swoje czyny.

Mark odgarnął pukiel jego włosów. Pasemka przesypywały mu się przez palce jak gęsty jedwab.

– Dopilnuję, żeby traktowali cię z większym szacunkiem. Muszą po prostu do ciebie przywyknąć.

Oczy Kierana zabłyśły.

– Zrobiłem coś, żeby zasłużyć na ich nieufność?

O, żebyś wiedział, pomyślał Mark. Zrobiłeś i wszyscy o tym pamiętają, oprócz ciebie.

– Pomogli mi cię uratować – powiedział jednak. – Nie bądź niewdzięczny.

Kieran uśmiechnął się na te słowa.

– Wolałbym raczej wyobrazić sobie, że tylko ty odpowiadasz za mój ratunek.

Pochylił się i trącił nosem jego gardło.

Mark przymknął oczy. Własne rzęsy załaskotały go w policzki. Ciężar Kierana przesunął się na nim. Kieran pachniał jak zwykle – oceanem. Mark przypomniał sobie wzgórze w zielonej krainie, wilgotny kopiec kamieni, z którego sturlał się z Kieranem. Ręce w jego włosach i na jego ciele, gdzie od tak dawna nikt go nie dotykał. Płonął wtedy i drżał. Zadrżał i teraz. Czym

był dla niego Kieran? Czym on był dla Kierana? Czym byli dla siebie?

– Kier, posłuchaj...

– To nie czas na rozmowy – odparł Kieran, muskając go ustami lekko jak piórko. Powędrował wzdłuż pulsna na szyi, wzdłuż szczęki, aż pochwycił jego wargi.

Ta chwila przeciągała się w wieczność – chwila, w której Mark spadł między gwiazdy rozpadające się wokół niego. Usta Kierana były miękkie i chłodne, smakowały jak deszcz. Mark przywarł do niego w ciemnym, potrzaskanym miejscu na dnie nieba.

Wsunął palce we włosy Kierana, zacisnął je, a na ustach poczuł jego gorący oddech. Kieran przycisnął się do niego mocniej, a potem przesunął palcami po jego karku i zaplątał je w łańcuszek, na którym Mark nosił elfi grot.

To było jak gwałtowne przebudzenie. Mark przeturlał się, porywając ze sobą Kierana i teraz leżeli obok siebie na łóżku. Z powodu tego ruchu przerwali pocałunek i Kieran patrzył na niego na poły rozdrażniony, a na poły oszołomiony.

– Miach – powiedział.

Jego głos zamienił to słowo w przywołującą pieszczotę, zaproszenie do niewyobrażalnych rozkoszy świata faerie.

– Nie – powiedział Mark – nie nazywaj mnie tak.

Kieran nabrał powietrza.

– Jest między nami coś niedobrego, prawda? Mark, powiedz mi, proszę, co to takiego. Wyczuwam dystans, ale nie rozumiem powodu.

– Ty o tym nie pamiętasz, ale się pokłóciliśmy. O moje pozostanie z rodziną. To dlatego oddałem ci elfi grot.

Kieran się zdumiał.

– Ale przecież ja zawsze mówiłem, że możesz zostać z rodziną. Nie tego chciałem, ale musiałem się z tym pogodzić. Pamiętam przebudzenie na Ciemnym Dworze. Nie pamiętam, żebyś czuł do mnie gniew.

– To nie była bardzo poważna kłótnia... – Mark przełknął ślinę – ...ale nie spodziewałem się... ciebie w moim świecie. Wszystkie te komplikacje polityczne.

– Nie chcesz mnie tutaj? – Twarz Kierana się nie zmieniła, ale w jego puklach przy skroniach nagle pojawiły się białe pasemka.

– To nie tak. W Dzikim Polowaniu myślałem, że każdej nocy mogę zginąć. Chciałem wszystkiego, w każdej chwili, gotów byłem ryzykować wszystko, bo nikt ode mnie nie zależał. A potem pojawiłeś się ty i polegaliśmy na sobie nawzajem, ale...

Mark pomyślał o Cristinie. Powróciły do niego jej słowa i nie mógł się powstrzymać, żeby się nimi nie posłużyć, chociaż to było niemal jak zdrada. Cristina, którą całował w radosnym zatraceniu w tych chwilach niedługo przed ucztą, zanim zdał sobie sprawę, co o nim myśli... Że jest kimś, kogo pocałowałaaby tylko pijana albo gdyby zwariowała...

– Zawsze cię potrzebowałem, Kieranie – powiedział. – Potrzebowałem cię, żeby żyć. Zawsze potrzebowałem cię tak bardzo, że nigdy nie miałem okazji zastanowić się, czy jesteśmy dla siebie dobrzy.

Kieran usiadł. Milczał, ale Mark zobaczył – ku swojej uldze – że białe pasma zniknęły z jego włosów, które wróciły do zwykłego niebiesko-czarnego koloru.

– To szczerze słowa – powiedział wreszcie. – Nie mogę cię za nie winić.

– Kieranie...

– Ile czasu potrzebujesz? – Kieran wyprostował się i był teraz dumnym księciem Faerie.

Mark pomyślał o tych wszystkich razach, kiedy z oddali widział Kierana na ucztach. Widział pomniejszych faerie rozbiegające się przed nim. Dziewczeta i chłopców czepiających się jego rąk, mających nadzieję na słowo lub spojrzenie, bo przychylność nawet okrytego hańbą księcia była dobrą walutą. A Kieran nikomu nie udzielał ani słów, ani spojrzeń, bo słowa i spojrzenia miał tylko dla Marka. Wszystko z powodu tego, co było między nimi, kiedy Dzikie Polowanie nie patrzyło...

– Może parę dni – powiedział Mark. – Jeśli zdobędziesz się na tyle cierpliwości.

– Mogę być cierpliwy przez kilka dni.

– Dlaczego wybrałeś Cristinę? – zapytał nagle Mark. – Kiedy musiałeś złożyć przysięgę komuś z nas. Dlaczego ona? Zrobiłeś to, żeby mnie zdenerwować?

Kieran uśmiechnął się szeroko.

– Nie we wszystkim, jak to się mawia, chodzi o ciebie. – Odchylił się. Jego włosy były bardzo czarne na tle olśniewająco białej pościeli. – Nie powinieneś

już iść?

– Nie chcesz, żebym został? Z tobą?

– Póki oceniasz moje zalety, jakbym był koniem, którego zakup rozważasz? Nie. Wracaj do swojego pokoju, Marku Blackthornie. A jeśli samotność nie da ci zasnąć, to nie szukaj mnie. Na pewno istnieje jakiś run na bezsenność.

Nie istniał, ale Mark uznał, że mówienie tego teraz nie jest dobrym pomysłem. Oczy Kierana błyszczały niebezpiecznie. Mark wyszedł, zastanawiając się, czy popełnił straszliwy błąd.

* * *

Pokój Cristiny w Instytucie Londyńskim wyglądał jak pokoje, które widziała na zdjęciach z innych Instytutów na całym świecie: proste umeblowanie pod postacią ciężkiego łóżka, szafy, toaletki i biurka. Mała, czysta łazienka z prysznicem, z którego już skorzystała.

Teraz leżała na niewygodnym materacu, z kocami naciągniętymi po pierś i obolałą ręką. Nie bardzo wiedziała, dlaczego ją boli. Rozkoszowała się każdą chwilą lotu z Dzikim Polowaniem. Jeśli coś sobie zrobiła, to w ogóle tego nie pamiętała. Nie zrobiła sobie krzywdy ani kiedy dosiadała konia, ani kiedy jechali, zresztą z pewnością zapamiętałaby taki ból, prawda? Czy mogła zrobić sobie krzywdę w inny sposób?

Obróciła się na bok i sięgnęła po kamień runiczny na nocnym stoliku. Rozjarzył się delikatną poświatą, oświetlając pokój: ogromne angielskie łóżko, ciężkie dębowe meble. Ktoś nabazgrał inicjały JB+LH na ścianie przy oknie.

Spojrzała na rękę. Wokół nadgarstka miała pas bledszej skóry delikatnie zaczerwienionej na brzegach – jak blizna po ognistej bransoletce.

* * *

– Dacie sobie radę? – odezwała się Diana; było to po części stwierdzenie, a po części pytanie.

Diana, Julian i Emma stali przy wejściu do Instytutu Londyńskiego. Drzwi Instytutu były otwarte i ciągnął się za nimi ciemny dziedziniec;

padało wcześniej, więc kamienne płyty wyglądały jak świeżo umyte. Julian widział łuk słynnej metalowej bramy przed Instytutem i wpisane w nią słowa: „PROCHEM I CIENIEM JESTEŚMY”.

– Nic nam nie będzie – powiedział Julian.

– Malcolm nie żyje. Znowu. Nikt nie próbuje nas zabić – odpowiedziała Emma. – To praktycznie wakacje.

Diana poprawiła torbę na ramieniu. Zamierzała pojechać taksówką do opactwa westminsterskiego, skąd dostępny tylko dla Nocnych Łowców tunel prowadził do Idrisu.

– Niechętnie was zostawiam.

Julian się zdziwił. Diana zwykle przyjeżdżała i wyjeżdżała, kierując się własnym widzimisię.

– Nic nam nie będzie – zapewnił ją. – Jest tu Evelyn, a Clave znajduje się raptem o jeden telefon stąd.

– Telefon, którego nie chcecie wykonać – odparła Diana. – Wyślę jeszcze jedną wiadomość do Magnusa i Aleca, i pozostanę z nimi w kontakcie z Alicante. – Zamilkła. – Gdybyście ich potrzebowali, wyślijcie ognistą wiadomość, a przyjadą.

– Poradzę sobie – powiedział Julian. – Znacznie dłużej radziłem sobie z gorszymi rzeczami.

Diana spojrzała mu w oczy.

– Zgłosiłabym się, gdybym mogła. Wiesz to. Przejęłabym Instytut, gdyby to było możliwe. Stałabym przeciwko Dearbornom.

– Wiem – odpowiedział Julian i, co dziwne, naprawdę to wiedział. Nawet jeśli nie miał pojęcia, co powstrzymuje Dianę przed wysunięciem własnej kandydatury, to wiedział, że w grę wchodzi coś ważnego.

– Gdyby to mogło cokolwiek zmienić – dodała Diana. – Niestety nie przesłabym nawet przez rozmowę wstępną. To na nic by się nie zdało, a potem nie mogłabym z wami zostać ani wam pomóc.

Sprawiała wrażenie, że próbuje przekonać samą siebie. Emma, jak zwykle impulsywna, wyciągnęła do niej rękę.

– Diano, wiesz przecież, że nigdy nie pozwolilibyśmy, żeby nam cię odebrano.

– Emma! – Julian powiedział to ostrzej, niż zamierzał. Złość, którą tłumił, odkąd Emma powiedziała, że zerwała z Markiem, znowu w nim narastała

i nie wiedział, jak długo nad nią zapanuje. – Diana wie, co mówi.

Emma była zaskoczona jego zimnym tonem. Diana popatrzyła po nich.

– Słuchajcie, wiem, że to strasznie stresujące musieć opuścić w taki sposób dom, ale postarajcie się nie kłócić. Będziecie musieli trzymać się razem, dopóki nie wrócę z Idrisu.

– To tylko dzień albo dwa – powiedziała Emma, nie patrząc na Juliana. – I nikt się nie kłóci.

– Pozostań w kontakcie – dodał Julian pod adresem Diany. – Mów nam, co mówi Jia.

Skinęła głową.

– Nie wracałam do Idrisu od końca Mrocznej Wojny. To będzie ciekawe. – Pochyliła się, pocałowała szybko w policzek Juliana, a potem Emmę. – Pilnujcie się. Mówię serio.

Założyła kaptur kurtki i wyszła na zewnątrz. Cienie natychmiast ją połknęły. Emma przycisnęła się przelotnie ramieniem do Juliana, kiedy podniosła rękę, żeby pomachać na pożegnanie. Julian usłyszał w oddali brzęk bramy.

– Jules – powiedziała Emma, nie odwracając głowy. – Wiem, że mówiłeś, że Diana nie chce przejąć Instytutu, ale wiesz dlaczego...?

– Nie. – To było jedno słowo, ale krył się w nim jad. – A skoro mowa o wyznaniach, zamierzasz wyjawic reszcie rodziny Marka, dlaczego rzuciłaś ich brata bez słowa ostrzeżenia?

Emma wyglądała na zdumioną.

– Jesteś zły, bo rozstaliśmy się z Markiem?

– Właściwie to rzuciłaś dwóch braci, skoro już tak liczymy – powiedział, jakby nie odezwała się słowem. – Kto będzie następny? Tiberius?

Natychmiast zrozumiał, że za daleko się zapędził. Ty był jej młodszym bratem, tak samo jak jego. Emma znieruchomiała.

– Wal się, Julianie Blackthornie – powiedziała, obróciła się na pięcie i weszła po schodach.

* * *

Ani Julian, ani Emma nie spali dobrze tej nocy, chociaż każde z nich myślało, że tylko jego dotyczy ten problem, a drugie pewnie śpi jak suseł.

* * *

– Myślę, że nadszedł czas, żebyś otrzymał swój pierwszy Znak – powiedział Ty.

Tylko ich trójka – Livvy, Ty i Kit – została w salonie. Pozostali poszli spać. Kit domyślał się, widząc mrok na zewnątrz, że dochodzi trzecia, może czwarta nad ranem, ale nie był zmęczony. Możliwe, że to kwestia zmiany stref czasowych, czy jakie tam skutki może mieć podróż przez Bramę. A może zaraźliwa ulga pozostałych, kiedy wreszcie znowu wszyscy znaleźli się w jednym miejscu.

A może wpływ mniej więcej sześćsetnej filiżanki herbaty.

– Dostałem już Znak – powiedział Kit. – Narysowałeś mi *iratze*.

Livvy sprawiała wrażenie nieco zaciekawionej, ale nie zapytała. Wyciągała się w fotelu przy kominku, z nogami przerzuconymi przez podłokietnik.

– Mówię o trwałym Znaku – wyjaśnił Ty. – Pierwszym prawdziwym Znaku, jaki wszyscy dostajemy. – Uniósł prawą dłoń o długich palcach, pokazując Kitowi ładny run w kształcie oka, po którym można było rozpoznać wszystkich Nocnych Łowców. – Run Wzroku. Poprawia Widzenie.

– I bez tego widzę Świat Cieni – zauważył Kit. Odgryzł kęs czekoladowego herbatnika pełnoziarnistego. Była to jedna z nielicznych naprawdę świetnych rzeczy do jedzenia, jakie jego zdaniem miała do zaoferowania Anglia.

– Pewnie nie widzisz wszystkiego, co mógłbyś – powiedziała Livvy, a potem uniosła rękę, żeby zaznaczyć swoją neutralność. – Ale rób, jak uważasz.

– To najbardziej bolesny run, ale wart tego – powiedział Ty.

– Jasne – odparł Kit, bezwiednie zjadając następnego herbatnika. Livvy zwałowała całą paczkę ze spiżarni. – Dla mnie bomba.

Podniósł zaskoczony wzrok, kiedy chwilę potem padł na niego cień Ty'a. Stał za nim ze stelą w ręku i błyszczącymi oczami.

– Jesteś praworęczny – powiedział – więc podaj mi prawą rękę.

Zaskoczony Kit zakrztusił się ciastkiem. Livvy błyskawicznie usiadła prosto.

dłaczego rzuciłaś ich brata bez słowa ostrzeżenia?

Emma wyglądała na zdumioną.

– Jesteś zły, bo rozstaliśmy się z Markiem?

– Właściwie to rzuciłaś dwóch braci, skoro już tak liczymy – powiedział, jakby nie odezwała się słowem. – Kto będzie następny? Tiberius?

Natychmiast zrozumiał, że za daleko się zapędził. Ty był jej młodszym bratem, tak samo jak jego. Emma znieruchomiała.

– Wal się, Julianie Blackthornie – powiedziała, obróciła się na pięcie i weszła po schodach.

* * *

Ani Julian, ani Emma nie spali dobrze tej nocy, chociaż każde z nich myślało, że tylko jego dotyczy ten problem, a drugie pewnie śpi jak suseł.

* * *

– Myślę, że nadszedł czas, żebyś otrzymał swój pierwszy Znak – powiedział Ty.

Tylko ich trójka – Livvy, Ty i Kit – została w salonie. Pozostali poszli spać. Kit domyślał się, widząc mrok na zewnątrz, że dochodzi trzecia, może czwarta nad ranem, ale nie był zmęczony. Możliwe, że to kwestia zmiany stref czasowych, czy jakie tam skutki może mieć podróż przez Bramę. A może zaraźliwa ulga pozostałych, kiedy wreszcie znowu wszyscy znaleźli się w jednym miejscu.

A może wpływ mniej więcej sześćsetnej filiżanki herbaty.

– Dostałem już Znak – powiedział Kit. – Narysowałaś mi *iratze*.

Livvy sprawiała wrażenie nieco zaciekawionej, ale nie zapytała. Wyciągała się w fotelu przy kominku, z nogami przerzuconymi przez podłokietnik.

– Mówię o trwałym Znaku – wyjaśnił Ty. – Pierwszym prawdziwym Znaku, jaki wszyscy dostajemy. – Uniósł prawą dłoń o długich placach, pokazując Kitowi ładny run w kształcie oka, po którym można było rozpoznać wszystkich Nocnych Łowców. – Run Wzroku. Poprawia Widzenie.

– I bez tego widzę Świat Cieni – zauważył Kit. Odgryzł kęs czekoladowego herbatnika pełnoziarnistego. Była to jedna z nielicznych naprawde

świątecznych rzeczy do jedzenia, jakie jego zdaniem miała do zaoferowania Anglia.

– Pewnie nie widzisz wszystkiego, co mógłbyś – powiedziała Livvy, a potem uniosła ręce, żeby zaznaczyć swoją neutralność. – Ale rób, jak uważasz.

– To najbardziej bolesny run, ale wart tego – powiedział Ty.

– Jasne – odparł Kit, bezwiednie zjadając następnego herbatnika. Livvy zwałowała całą paczkę ze szafki. – Dla mnie bomba.

Podniósł zaskoczony wzrok, kiedy chwilę potem padł na niego cień Ty'a. Stał za nim ze stelą w ręku i błyszczącymi oczami.

– Jesteś praworęczny – powiedział – więc podaj mi prawą rękę.

Zaskoczony Kit zakrzuszył się ciastkiem. Livvy błyskawicznie usiadła prosto.

– Ty, przestań – powiedziała. – On nie chce Znak. Tylko żartował.

– Ja... – Kit zaczął, ale Ty pobrał i jego twarz przybrała kolor starej kości słoniowej. Cofnął się skonsternowany. Patrzył to na Kita, to na Livvy, która zaczęła podnosić się z fotela.

– Nie, nie, oczywiście, że chcę – tłumaczył się Kit. – Chciałbym mieć Znak. Masz rację, najwyższy czas, żebyśmy dostali pierwszy prawdziwy Znak.

Chwila się przeciągała. Livvy do połowy wstała z fotela. Ty mrugał nerwowo. A potem uśmiechnął się odrobinę i serce Kita znowu zaczęło normalnie bić.

– Zatem twoja prawa ręka – powiedział Ty.

Kit wyciągnął rękę. Ty miał rację – nakładanie Znaku bolało. Kit wyobrażał sobie, że tak właśnie czuje się człowiek podczas robienia tatuazu: to było głęboko sięgające pieczenie. Zanim Ty skończył, Kitowi łzy napłynęły do oczu.

Poruszył palcami i spojrzał na swoją rękę. Już zawsze będzie miał ten run, oko na grzbiecie dłoni. Znak, który dał mu nikt inny, jak właśnie Tiberius. Nigdy nie zdoła go usunąć ani zmienić.

– Ciekawe – powiedział Ty, chowając stelę za pas – gdzie może znajdować się dom Malcolma w Kornwalii.

– Mogę wam powiedzieć, gdzie dokładnie się znajduje – odezwała się dziewczyna stojąca przy kominku. – W Polperro.

Kit zdębiał. Był absolutnie pewien, że jeszcze chwilę temu nie stała tam

żadna dziewczyna. To była bardzo młodziutka blondynka. W dodatku przezroczysta. Widział poprzez nią tapetę.

Nie mógł się powstrzymać. Wrzasnął.

* * *

Bridget zaprowadziła Emmę do sypialni, którą najwyraźniej wybrała dla niej zawczasu. Emma wkrótce odkryła dlaczego – na ścianie były dwa wykresy znaczące zmianę wzrostu, takie, jakie powstają, gdy stawiasz dzieciaka pod ścianą i rysujesz kreskę tuż nad jego głową, opatrując ją datą. Jeden był podpisany „Will Herondale”, a drugi „James Carstairs”.

Pokój Carstairsów. Emma złapała się za łokcie i wyobraziła sobie Jema, jego łagodny głos, ciemne oczy. Tęskniła za nim.

Jednakże to jeszcze nie było wszystko. Jem i Will mogli zaznaczać swój wzrost w dowolnym pokoju, ale na nocnym stoliku Emma znalazła garść starych fotografii, głównie z początku XX wieku.

Zdjęcia przedstawiały czterech chłopców na różnych etapach ich życia. Sprawiali wrażenie pełnej życia gromadki. Dwóch z nich – blondyn i brunet – byli razem na większości fotografii, obejmując się i śmiejąc. Była tam też szatynka, która ogromnie przypominała Tessę, ale nią nie była. Była też i sama Tessa, która nic a nic się nie zmieniła. Towarzyszył jej niesłychanie przystojny mężczyzna dobrze po dwudziestce. Słynny Will Herondale, domyśliła się Emma. Na zdjęciach była także dziewczyna o ciemnorudych włosach, śniadej skórze i poważnym spojrzeniu. Trzymała złoty miecz w rękach. Emma natychmiast rozpoznała broń, nawet bez inskrypcji na ostrzu: „Jestem Cortana, ta sama stal i hart, co Joyeuse i Durendal”.

Cortana. Kimkolwiek była dziewczyna na fotografii, wywodziła się z Carstairsów.

Na odwrocie ktoś nabazgrał coś, co wyglądało jak linijka z wiersza:

„Rana to miejsce, przez które wnika w ciebie Światło”.

Emma wpatrywała się w te słowa przez bardzo długi czas.

* * *

– Naprawdę nie ma powodu wrzeszczeć – powiedziała ze złością

dziewczyna. Mówiła z bardzo angielskim akcentem. – Jestem duchem, to wszystko. Zachowujesz się, jakbyś w życiu ducha nie widział.

– Bo nie widziałem – odpowiedział Kit.

Livvy wstała.

– Kit, co jest grane? Z kim rozmawiasz?

– Z duchem – powiedział Ty. – Kto to jest, Kit?

– Nazywam się Jessamine – przedstawiła się dziewczyna. – I to, że mnie wcześniej nie widziałeś, nie znaczy, że się nie starałam.

– Nazywa się Jessamine – zrelacjonował Kit. – I mówi, że starała się zwrócić naszą uwagę.

– Duch – powtórzył Ty, patrząc w stronę kominka. Ewidentnie nie widział Jessamine, a mimo to miał dobre pojęcie, gdzie ona stoi. – Podobno duch ocalił Instytut Londyński w czasie Mrocznej Wojny. To ona?

Kit posłuchał odpowiedzi i powtórzył.

– Mówi, że tak. Sprawia wrażenie bardzo zadowolonej z siebie.

Jessamine spiorunowała go wzrokiem.

– Mówi też, że wie, gdzie mieszkał Malcolm – dodał Kit.

– Naprawdę?! – Livvy podeszła do biurka, wzięła długopis i notes. – Powie nam?

– Polperro – powtórzyła Jessamine.

Była bardzo ładna. Miała blond włosy i ciemne oczy. Kit zastanawiał się, czy to dziwne uważać ducha za atrakcyjnego.

– To małe miasteczko w południowej Kornwalii. Malcolm opowiadał czasem o swoich planach związanych z domem, kiedy był w Instytucie. – Machnęła przezroczystą ręką. – Był z niego bardzo dumny. Dom znajdował się dokładnie nad słynnymi jaskiniami. Straszne, że Malcolm okazał się nikczemnikiem. I biedny Arthur – dodała. – Opiekowałam się nim czasem, gdy spał. Miał straszliwe koszmary na temat Faerie i brata.

– Co ona mówi? – zapytała Livvy z długopisem nad kartką.

– Polperro – powtórzył Kit. – Południowa Kornwalia. Malcolm był bardzo dumny z położenia domu. Przykro jej, że okazał się dupkiem.

Livvy wszystko zapisała.

– Na pewno nie powiedziała „duppek”.

– Musimy pójść do biblioteki – orzekł Ty. – Poszukać atlasu i rozkładu jazdy pociągów.

– Zapytaj ją o coś w moim imieniu – poprosiła Livvy. – Dlaczego po prostu nie powiedziała Evelyn, gdzie jest dom Malcolma?

Po chwili Kit odpowiedział:

– Mówi, że Evelyn jej nie słyszy. Często zmyśla różne rzeczy i udaje, że to Jessamine jej powiedziała.

– Ale wie, że Jessamine tu jest – wtrącił Ty. – Musi być wątłym duchem, skoro pozostali jej nie widzą.

– Ha! – naburmuszyła się Jessamine – wątły duch, też coś! Najwyraźniej żadne z was nie ma praktyki w obserwowaniu nieumarłych. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby zwrócić waszą uwagę. Zostało mi już tylko przywalenie komuś w łeb tabliczką Ouija.

– Ja cię po prostu nagle zobaczyłem. A nie mam praktyki w byciu Nocnym Łowcą.

– Jesteś Herondale – wyjaśniła Jessamine. – Oni widzą duchy.

– Herondale’owie zwykle widzą duchy – powiedział w tej samej chwili Ty. – To dlatego chciałem, żebyś dostał run Wzroku.

Kit obrócił się do niego.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś?

– Mogło się nie udać. Nie chciałem, żebyś źle się poczuł z tego powodu.

– Ale się udało – powiedziała Livvy. – Powinniśmy obudzić Juliana i mu powiedzieć.

– Starszego brata z brązowymi kręconymi włosami? – zapytała Jessamine.

– Nie śpi. – Zarechotała. – Miło znowu zobaczyć te śliczne oczy Blackthornów.

– Julian nie śpi – powtórzył Kit, postanawiając nie wspominać o tym, że duch durzy się w Julianie.

Ty dołączył do Livvy przy drzwiach.

– Idziesz, Kit?

Kit pokręcił głową, zaskakując samego siebie. Gdyby go zapytać kilka tygodni temu, czy chciałby zostać sam na sam z duchem, powiedziałby, że nie. I wcale nie zostawał z przyjemnością, ale z drugiej strony nieszczęśliwie mu to przeszkadzało. Jessamine pod żadnym względem nie była przerażająca. Sprawiała wrażenie starszej, niż wyglądała, trochę smutnej i w żadnym razie nie wydawała się martwa.

A jednak nie żyła. Uniosła się na przeciągu po zamknięciu drzwi,

opierając długie białe palce na półce nad kominkiem.

– Nie musisz ze mną zostawać – powiedziała do Kita. – Pewnie za minutę zniknę. Nawet duchy potrzebują odpoczynku.

– Chciałem o coś zapytać. – Z trudem przełknął ślinę. Kiedy nadszedł właściwy moment, zaschło mu w gardle. – Czy... Czy widziałaś kiedyś mojego ojca? Zmarł niedawno.

Jej ciemne oczy wypełniły się współczuciem.

– Nie. Większość ludzi nie zostaje duchami, jedynie ci, którzy zostawili jakąś niedokończoną sprawę na ziemi albo umarli, czując, że są komuś coś winni.

– Mój ojciec nigdy nie uważał, że jest komukolwiek coś winny – mruknął Kit.

– Lepiej, że go nie widziałam. To znaczy, że odszedł. Że odnalazł spokój.

– Odszedł dokąd? – Kit uniósł głowę. – Jest w niebie? Wiesz, wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– Christopher! – Jessamine była zaszokowana.

– Mówię serio. Nie znałaś go.

– Nie wiem, co dzieje się po śmierci – przyznała Jessamine. – Tessa przychodziła i pytała mnie o to. Chciała wiedzieć, gdzie jest Will. Jednak on nie został tutaj, umarł szczęśliwy i pogodzony, więc odszedł dalej. – Machnęła bezradnie rękami. – Nie jestem jak Charon, nie jestem przewoźnikiem. Nie potrafię powiedzieć, co leży po drugiej stronie rzeki.

– To może być coś okropnego – powiedział Kit, zaciskając pięść i czując pieczenie nowego Znak. – To mogą być wieczne tortury.

– Możliwe. – W eterycznym głosie Jessamine brzmiała mądrość. – Ale jakoś w to wątpię.

Pochyliła głowę, światło ognia oświetliło jej jasne włosy... i zniknęła. Kit został sam w pokoju. Miał jednak w dłoni coś, co zaszeleściło, gdy się poruszył.

To był zwinięty kawałek papieru. Rozwinął go i szybko przebiegł wzrokiem słowa. Napisano je delikatnym, kobiecym charakterem pisma:

Jeśli ukradniesz jakąś książkę z biblioteki, zorientuję się, a Ty tego pożałujesz.

Liścik opatrzone podpisem z kilkoma zawijaszami: *Jessamine Lovelace.*

* * *

Kiedy Livvy weszła do pokoju Juliana, leżał na łóżku jak porzucony kawałek tostu. Nawet się nie przebrał ani nie przykrył.

– Jules? – zapytała, stając w progu.

Natychmiast usiadł. Próbował uporządkować myśli, ale widok młodszego rodzeństwa w jego pokoju o tak później porze w okamgnieniu pozostawił jedynie natychmiastową, atawistyczną panikę.

– Coś się stało? Wszystko w porządku?

Livvy pokiwała głową.

– Mamy dobre wiadomości. Wiemy, gdzie jest dom Malcolma. Ten w Kornwalii.

– Co? – Julian przeczesał dłońmi włosy i potarł oczy, żeby oprzytomnieć. – Gdzie jest Ty?

– W bibliotece. – Usiadła na brzegu jego łóżka. – Okazuje się, że w Instytucie jest duch. Jessamine. Pamięta Malcolma i wie, gdzie znajduje się dom. Tiberius to sprawdza, ale nie ma powodu, żeby Jessamine się myliła. Evelyn mówiła do niej całymi dniami, ale my wątpiliśmy w jej istnienie. Za to Kit...

– Widzi duchy. Jasne. – Julian poczuł, że się rozbudził. – W porządku. Pojadę tam jutro i sprawdzę, czy czegoś nie znajdę.

– A my pójdziemy do domu Blackthornów. – To była jedna z dwóch nieruchomości Blackthornów. Mieli posiadłość w Idrisie i duży dom w Chiswick nad Tamizą, który dawno temu należał do Lightwoodów. – Sprawdzimy, czy nie zostały tam jakieś dokumenty, cokolwiek na temat Annabel. Kieran nie może na dobrą sprawę opuścić Instytutu, więc Mark zostanie z nim i Cristiną. Mogą poszukać czegoś w bibliotece.

– Nie.

Livvy zacisnęła zęby.

– Jules...

– Możecie iść do domu Blackthornów. Z pewnością zasłużyliście na tyle, ty, Tiberius i Kit. Ale Mark pójdzie z wami. Kieran może zająć się pleceniem wianków ze stokrotek albo pisaniem ballady.

Usta Livvy drgnęły.

– Mam poczucie, że to nie w porządku nabijać się z faerie.

- Z Kierana możemy. Już dość nam się przysłużył.
- Cristina pewnie mogłaby go popilnować.
- Chciałem ją poprosić, żeby pojechała ze mną do Kornwalii.
- Ty i Cristina? – Livvy się zdumiała.

Julian wcale jej się nie dziwił. To prawda, że ich grupa dzieliła się w ustalony sposób, zgodnie z wiekiem i zażyłością. Jules i Emma albo Jules i Mark – to miało sens; Jules i Cristina – nie bardzo.

- I Emma – dodał, klnąc w duchu.

Myśl o dłuższym czasie w towarzystwie Emmy, zwłaszcza teraz, była przerażająca. Tyle że uznano by za dziwne, gdyby wyjechał bez niej, swojej *parabatai*. Już nie wspominając o tym, że Emma też by się sprzeciwiła. Jak w banku.

Jednakże obecność Cristiny mogła pomóc. Stanowiłaby bufor. Pomysł stawiania kogoś między sobą a Emmą przyprawiał go o mdłości, ale na wspomnienie tego, jak warknął na nią przy wejściu do Instytutu, jeszcze bardziej go mdliło.

Zupełnie jakby patrzył, jak ktoś inny mówi do osoby, którą on kocha najbardziej na świecie. Ktoś inny celowo rani jego *parabatai*. Był w stanie jakoś poradzić sobie z uczuciami, kiedy była z Markiem, zmiażdżyć je i upchnąć głęboko pod skórę i świadomość. Czuł je, jak krwawią, niczym guz rozdzierający mu narządy wewnętrzne, ale przynajmniej ich nie widział.

A teraz znowu leżały przed nim na widoku. To było przerażające kochać kogoś, kogo nie wolno ci kochać. Czuć coś, o czym nigdy nie możesz mówić, coś strasznego dla niemal wszystkich, których znasz, coś, co może zniszczyć ci życie.

Pod pewnymi względami jeszcze bardziej przerażająca była świadomość, że twoje uczucia są niechciane. Kiedy myślał, że Emma też go kocha, przynajmniej nie tkwił całkiem sam w tym piekle. Gdy była z Markiem, wmawiał sobie, że to Mark ich rozdziela. A teraz okazywało się, że woli być sama niż z nim.

- Cristina sporo wie na temat Czarnej Księgi – powiedział Julian. Nie miał pojęcia, czy to prawda. Na szczęście Livvy nie drążyła tematu. – Będzie pomocna.

- Siedzibo Blackthornów, nadchodzimy! – powiedziała Livvy i wstała z łóżka.

Z powodu sukienki z bufiastymi rękawami wyglądała dla Juliana jak mała dziewczynka ze starej ilustracji. Może dla niego zawsze będzie wyglądała jak mała dziewczynka.

– Jules?

– Tak?

– My wiemy. Wiemy o Arthurze. Że był chory. Że to ty kierowałeś Instytutem. Wiemy, że zajmowałeś się tym od Mrocznej Wojny.

Julian miał wrażenie, że łóżko się pod nim przechyliło.

– Livia...

– Nie jesteśmy na ciebie źli – dodała szybko. – Przyszłam sama, bo chciałam porozmawiać z tobą na osobności, przed Ty’em i Dru. Chciałam ci coś powiedzieć.

Julian nadal wbijał palce w narzutę. Spodziewał się, że to musiał być szok. Przez tak wiele lat wyobrażał sobie tę chwilę, a kiedy w końcu nadeszła, nie wiedział, co powiedzieć.

– Dlaczego? – wykrztusił wreszcie.

– Zdałam sobie z czegoś sprawę. Chcę być taka jak ty. Nie w tej chwili, nie teraz, zaraz, ale pewnego dnia tak. Chcę opiekować się ludźmi, innymi Nocnymi Łowcami, tymi, którzy mnie potrzebują. Chcę prowadzić Instytut.

– Byłabyś w tym dobra. Livvy... Nie powiedziałem wam, bo nie mogłem. Nie z powodu braku zaufania. Nawet Emmie przyznałem się dopiero kilka tygodni temu.

Livvy tylko się uśmiechnęła i obeszła łóżko, żeby znaleźć się po tej samej stronie co Julian. Pochyliła się i pocałowała go w czoło. Zamknął oczy, przypominając sobie, że gdy była na tyle mała, że nosił ją rękach, chodziła za nim, wyciągając rączki i wołała: „Julian, weź mnie na ręce!”.

– Nie chciałam być podobna do nikogo innego – powiedziała. – Chcę, żebyś był ze mnie dumny.

Otworzył oczy i objął ją niezręcznie jedną ręką. Kiedy odsunęła się, zmierzwiła mu włosy. Julian się zachnął, a ona roześmiała się i ruszyła do drzwi, mówiąc, że jest wykończona. Wychodząc z pokoju, zgasła światło i zostawiła go w ciemności.

Przeturlał się pod koc. Livvy wiedziała. Wszyscy wiedzieli. Wiedzieli, ale go nie znienawidzili. Spadł mu z serca ciężar, o którym już prawie zapomniał, że go nosi.

Opętany

To był idealny angielski dzień. Niebo miało barwę porcelany Wedgwood – było równie gładkie i błękitne. Powietrze było ciepłe, słodkie i pełne nieodgadnionych możliwości. Julian stał na frontowych schodach Instytutu, próbując nie dopuścić, by najmłodszy brat zadusił go na śmierć.

– Nie jedź! – zawodził Tavvy. – Już raz pojechałeś. Nie możesz znowu wyjechać.

Evelyn Highsmith się skrzywiła.

– Za moich czasów dzieci nie było ani widać, ani słyhać, a już z pewnością nie ważyły się marudzić.

Stała w drzwiach z dłońmi sztywno złożonymi na główce laski. Ubrała się zdumiewająco, żeby pożegnać ich przed wyjazdem na stację kolejową: miała na sobie coś na kształt stroju do konnej jazdy, niewykluczone, że w grę wchodziły autentyczne bryczesy. Ptak, który zdobił jej kapelusz, ku rozczarowaniu Ty'a okazał się całkowicie martwy.

Wygrzebano skądś wiekowy czarny samochód należący do Instytutu. Obok auta czekała Bridget z Cristiną i Emmą. Ich plecaki włożono już do bagażnika (Mark z rozbawieniem odkrył, że w Anglii na bagażnik mówi się „kufer”). Dziewczyny rozmawiały podekscytowane. Włożyły dzinsy i T-shirty, bo w pociągu musiały uchodzić za Przyziemne, a Emma znowu zaplotła włosy w warkocz.

Julian cieszył się, że Cristina z nimi jedzie. W głębi serca czepiał się myśli, że będzie stanowić bufor między nim a Emmą. Emma tego ranka nawet w najmniejszy sposób nie zdradziła, że jest zła, i dobrze im się współpracowało, kiedy opracowywali trasę do Polperro, analizowali rozkłady jazdy pociągów i przetrząsali magazyn w poszukiwaniu ubrań. Zamierzali zatrzymać się w pensjonacie, najlepiej z kuchnią, w której sami mogliby

gotować, żeby jak najmniej stykać się z Przyziemnymi. Kupili nawet z wyprzedzeniem bilety kolejowe z Paddington. Całe planowanie było proste i łatwe – byli *parabatai*, nadal współpracowali, nadal lepiej radzili sobie razem niż w pojedynkę.

Jednakże nawet kiedy nałożył na siebie stalowe karby samodyscypliny, sama siła miłości i tęsknoty, kiedy patrzył na Emmę, była tak wielka, że czuł się tak, jakby raz za razem niespodziewanie uderzał w niego pociąg. Nie uważał, rzecz jasna, że spodziewane uderzenie pociągu byłoby znacząco łatwiejsze do zniesienia.

Najlepiej będzie odgrodzić się od tego, dopóki to nie przestanie mu się przydarzać. O ile kiedykolwiek przestanie... Ale na takie myśli sobie nie pozwalał.

To się musi pewnego dnia skończyć.

– Jules! – zawodził Tavy. Julian po raz ostatni przytulił brata i odstawił go na ziemię. – Dlaczego nie mogę jechać z tobą?

– Ponieważ – wyjaśnił Julian – musisz zostać tutaj i pomóc Drusilli. Ona cię potrzebuje.

Tavy spojrzał na niego z powątpiewaniem. Drusilla ubrana w za długą bawełnianą spódnicę, która sięgała jej do palców stóp, przewróciła oczami.

– Nie mogę uwierzyć, że jedziesz – powiedziała do Juliana. – Kiedy tylko znikasz, Livvy i Ty zaczynają traktować mnie jak służącą.

– Służącym się płaci – zauważył Ty.

– Widzisz? Widzisz, co mam na myśli? – Dru szturchnęła Juliana w pierś palcem wskazującym. – Lepiej szybko wracaj, bo zaczną się nade mną znęcać.

– Postaram się.

Julian napotkał spojrzenie Marka nad głową Dru. Uśmiechnęli się do siebie. Pożegnanie Emmy i Marka było dziwne, delikatnie rzecz ujmując. Emma objęła go pośpiesznie i z roztargnieniem, a potem zeszła po schodach. Markowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, dopóki nie zauważył, że Julian i pozostali gapią się na niego. Wtedy zbiegł po stopniach za Emmą, złapał ją za rękę i odwrócił do siebie.

– Lepiej, że jedziesz – powiedział – bo będę mógł zapomnieć twą piękną i okrutną twarz, uleczyć swe serce.

Emma wyglądała na zaszokowaną. Cristina mruknęła do Marka

znizonym głosem coś, co brzmiało jak „niepotrzebne”, a potem odciągnęła Emmę w stronę samochodu.

Ty i Livvy ostatni pożegnali się z Julesem. Livvy objęła go mocno, a Ty posłał mu łagodny, nieśmiały uśmiech. Julian zastanawiał się, gdzie podziewa się Kit. Odkąd znaleźli się w Londynie, nie odstępował Ty'a i Livvy na krok, ale zniknął na czas rodzinnego pożegnania.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Ty.

Podał Julianowi pudełko, które ten przyjął z pewnym zaskoczeniem. Ty nigdy nie zapominał o gwiazdkowych i urodzinowych prezentach, ale rzadko dawał upominki bez okazji. Zaciekawiony Julian otworzył pudełko i zobaczył zestaw kolorowych kredek ołówkowych. Nie znał tej marki, ale były nieużywane i wyglądały nieskazitelnie.

– Skąd je masz?

– Z Fleet Street – odpowiedział Ty. – Poszedłem po nie dziś rano.

Wzruszenie ścisnęło Juliana boleśnie za gardło. Przypomniał sobie czasy, kiedy Ty był dzieckiem, zawsze takim poważnym i cichym. Przez długi czas nie mógł zasnąć, jeśli nikt go nie tulił i chociaż Julian sam był jeszcze mały, pamiętał, jak obejmował Ty'a, pamiętał jego pulchne nadgarstki, proste, czarne włosy i długie rzęsy. Tak bardzo kochał brata, że serce mu omal nie eksplodowało.

– Dzięki. Brakowało mi rysowania – odpowiedział i schował pudełko do torby.

Zachował się, jak gdyby nigdy nic, bo Ty nie lubił przesadnych reakcji, ale wypowiedział te słowa najcieplej, jak tylko potrafił. Ty się rozpromienił.

Jules pomyślał o Livvy, o tym, jak pocałowała go w czoło. O jej podziękowaniu. Ty też podziękował mu na swój sposób.

– Uważajcie w domu Blackthornów – powiedział. Denerwował się tym, że tam pójdą, ale starał się tego nie okazać. Wiedział, że zachowuje się nierozsądnie. – Idźcie tam za dnia. Za dnia – powtórzył z naciskiem, kiedy Livvy się skrzywiła. – I postarajcie się nie wpakować w żadne kłopoty Drusilli i Tavy'ego. Pamiętajcie, Mark dowodzi.

– A on o tym wie? – spytała Livvy.

Julian rozejrzał się za Markiem w tłumie na schodach. Stał z dłońmi złożonymi za plecami, zerkając nieufnie na wyrzeźbionego w kamieniu gnoma.

– Nie zwiedzisz mnie swoim udawaniem, gnomie – mruknął. – Mam cię na oku.

Julian westchnął.

– Po prostu róbcie, co każe.

– Julian! – zawołała Emma. Stała obok samochodu. Cortana, na którą nałożono czar, żeby stała się niewidzialna dla Przyziemnych, błyszczała ponad jej prawym ramieniem. – Spóźnimy się na pociąg.

Julian skinął głową i uniósł dwa palce. Zszedł po schodach do Marka i złapał go za ramię.

– Dasz sobie radę?

Mark skinął głową. Julian zastanawiał się, czy nie zapytać, gdzie jest Kieran, ale uznał, że to nie ma sensu. Tylko jeszcze bardziej zestresowałby brata.

– Dzięki, że zaufałeś mi na tyle, żeby zostawić ich pod moją opieką – powiedział Mark. – Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się wcześniej. W kuchni.

W Los Angeles Julian zostawił rodzeństwo pod opieką Marka na jeden wieczór. Udało im się zdemolować kuchnię, wytarzać Tavvy'ego w cukrze i niemalże doprowadzić Juliana do załamania nerwowego.

– Naprawdę ci ufam.

Julian i Mark popatrzyli po sobie bez słowa. Potem Julian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Poza tym – dodał – to nie moja kuchnia.

Mark zaśmiał się cicho. Julian zszedł po schodach, a Emma i Cristina wsiadły do samochodu. Obszedł wóz, żeby wrzucić swoją torbę do bagażnika, i zamarł. Pomiedzy bagaże wcisnęła się drobna postać w ubrudzonym białym T-shircie.

Tavvy spojrzał mu w twarz wielkimi okrągłymi oczami.

– Ja też chcę jechać – oznajmił.

Julian westchnął i zaczął podwijać rękawy. Obowiązkom brata nigdy nie ma końca.

* * *

Jedną z zalet bycia Nocnym Łowcą, o których rzadko się rozmawia, pomyślała Emma, jest łatwość parkowania przy takich miejscach jak stacje

kolejowe albo kościoły. Często zostawiano wolne miejsce dla Nocnych Łowców, rzucając na nie czar, aby wyglądało jak coś, co Przyziemni zignorują – plac budowy albo stos koszy na śmieci. Bridget zatrzymała rozklekotanego czarnego austina metro na Praed Street, raptem kilka kroków od stacji Paddington. Nocni Łowcy wysiedli i zaczęli wyjmować bagaże, podczas gdy ona zamykała wóz.

Spakowali się szybko i minimalistycznie, tylko parę rzeczy na kilka dni. Broń, stroje bojowe, trochę ubrań poza tymi, które mieli na sobie – chociaż Emma nie miała wątpliwości, że Cristina i tak przez cały czas będzie wyglądać elegancko. Cristina spokojnie wsunęła nóż do kieszeni i schyliła się, żeby zarzucić plecak na ramię. Skrzywiła się.

– Nic ci nie jest? – zapytała Emma, zrównując z nią krok.

Ogromnie się cieszyła, że ma Cristinę, która oddziela ją od Julesa, że ma kogoś, kto wygładzi cierniste i niebezpieczne drogi ich rozmów.

Weszli na stację, która była jasno oświetlona i nowoczesna, a wzdłuż chodników znajdowały się takie lokale jak Body Shop albo Caffè Nero. Emma zerknęła przed siebie na Juliana, ale on pogrążył się w rozmowie z Bridget. Miał niesamowitą umiejętność rozmawiania dosłownie z każdym. Zastanawiała się, jaki mógł znaleźć temat do rozmowy z Bridget. Dziwne nawyki Evelyn? Historię Londynu?

– Miałaś okazję w ogóle porozmawiać z Markiem na temat, no wiesz, pocałunku? – zapytała Emma, kiedy mijaly piekarnię Upper Crust, z której pachniało masłem i cynamonem. Smakowite aromaty mieszały się z dymem z dworca. – Zwłaszcza teraz, przy tej sprawie z Kieranem.

Cristina pokręciła głową. Jej twarz była ściągnięta i blada, jakby dziewczyna nie spała zbyt dobrze.

– Kieran i Mark mają wspólną przeszłość. Jak Diego i ja. Nie mogę winić Marka za to, że pociąga go własna przeszłość. Z tego samego powodu mnie ciągnęło do Diego, a nie odczuwałam nawet połowy presji, jaka ciąży teraz na Marku.

– Nie wiem, jak to się skończy. Mark nie potrafi kłamać – powiedziała Emma. – Mówię to jako ktoś, kto sam nie jest w tym dobry.

Cristina posłała jej zbolaty uśmiech.

– Jesteś fatalną kłamczuchą. Patrzenie na was, jak oboje z Markiem udawaliście zakochanych, było jak patrzenie na dwójkę ludzi, którzy cały

czas się przewracają i mają nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

Emma zachichotała.

– Ogromnie mi pochlebiłaś.

– Mówię tylko, że dla dobra nas wszystkich Kieran musi wierzyć w uczucia Marka – odpowiedziała Cristina. – Faerie, który myśli, że nim wzgardzono lub z niego zaszydzono, może okazać niezwykle okrucieństwo.

Wzięła gwałtowny wdech i zgięła się wpół. Emma złapała przyjaciółkę, zanim ta osunęła się na ziemię, i spanikowana zaciągnęła ją w kąt między dwoma sklepami. Nie ośmieliła się krzyknąć; nie rzucono na nią czaru, więc Przyziemni by ją usłyszeli. Zerknęła jednak w stronę Juliana i Bridget, nadal pograżonych w rozmowie, i pomyślała, skupiając się najmocniej, jak potrafiła: Jules, Julian. Potrzebuję cię w tej chwili, przyjdź natychmiast, proszę!

– Emma... – Cristina skrzyżowała ręce na brzuchu, jakby ją bolał, ale to krew na jej koszuli naprawdę przeraziła Emmę.

– Cristina, skarbie, pokaż, daj mi obejrzeć. – Ciągnęła Cristinę za rękę, aż tamta ustąpiła.

Miała krew na prawej ręce i rękawie. Większość krwi najwyraźniej wypłynęła z ręki i tylko ubrudziła koszulę na brzuchu. Emma odetchnęła z pewną ulgą. Rana na rękę to coś mniej poważnego niż rana tułowia.

– Co się dzieje? – rozległ się głos Juliana.

Podszedł do nich razem z Bridget. Pobladł. Dostrzegła przerażenie w jego oczach i zdała sobie sprawę, co jest jego przyczyną. Pomyślał, że to jej, Emmie, coś się stało.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała odruchowo, wstrząśnięta wyrazem jego twarzy.

– Oczywiście, że nic ci nie jest – zniecierpliwiła się Bridget. – Daj mi podejść do dziewczyny. Przestań czepiać się jej tak kurczowo, na miłość boską.

Emma odsunęła się i patrzyła, jak Bridget klęka i odsuwa rękaw Cristiny. Wokół nadgarstka widniała bransoletka z krwi, a skóra była opuchnięta. Zupełnie jakby ktoś zacisnął niewidzialny drut wokół jej ręki, aż ten zaczął wrzynąć się w ciało.

– Na co czekacie? – zapytała ostro Bridget. – Nałóżcie dziewczynie run uzdrawiający.

Oboje sięgnęli po stele. Julian pierwszy wyjął swoją i narysował szybko *iratze* na skórze Cristiny. Emma pochyliła się, wstrzymując oddech.

Nic się nie stało. Jeśli już, to skóra wokół krwawiącego otoku jeszcze bardziej spuchła. Popłynęła świeża krew, pryskając na ubranie Bridget. Emma żałowała, że nie ma swojej starej steli; zawsze wierzyła, nawet jeśli to był tylko przesąd, że jest nią w stanie rysować mocniejsze runy. Teraz jednak jej stara stela znajdowała się w rękach faerie.

Cristina nawet nie jęknęła, była w końcu Nocną Łowczynią. Głos jej jednak zadrżał.

– Nie wydaje mi się, żeby *iratze* na to pomogło.

Emma pokręciła głową.

– Co to jest...?

– To wygląda na urok rzucony przez faerie – powiedziała Bridget. – Kiedy przebywaliście w Faerie, mieliście wrażenie, że ktoś rzucił na was czar? Czy kiedykolwiek związane wam nadgarstki?

Cristina uniosła się na łokciach.

– To... Chciałam powiedzieć, że to nie może być...

– Co się stało? – zapytała Emma.

– Podczas uczyty dwie dziewczyny związały nam wstążką nadgarstki, mnie i Markowi – odpowiedziała niechętnie Cristina. – Przecięliśmy ją, ale może magia w niej była silniejsza, niż myślałam. To mógł być jakiś czar wiążący.

– To pierwszy raz, kiedy oddaliłaś się od Marka, odkąd byliście w Faerie – powiedział Julian. – Myślisz, że to dlatego?

Cristina miała ponurą minę.

– Im bardziej się od niego oddalam, tym jest gorzej. Ostatnia noc to był praktycznie pierwszy raz, odkąd się rozdzieliliśmy i ręka już mnie bolała, paliła żywym ogniem. Kiedy odjeżdżaliśmy od Instytutu, ból się nasilał. Miałam nadzieję, że to minie, ale nic z tego.

– Musimy odwieźć cię z powrotem do Instytutu – powiedziała Emma. – Wszyscy pojedziemy. Chodź.

Cristina pokręciła głową.

– Ty i Julian musicie pojechać do Kornwalii – nalegała, wskazując zdrową ręką tablicę z rozkładem jazdy pociągów. Pociąg do Penzance odjeżdżał za pięć minut. – Musicie jechać. To konieczne.

– To może poczekać jeden dzień – zaprotestowała Emma.

– To magia faerie – odrzekła Cristina, a Bridget pomogła jej wstać. – Nie ma gwarancji, że da się to załatwić w jeden dzień.

Emma się zawahała. Nie mogła znieść myśli o zostawieniu Cristiny.

Bridget odezwała się ostrym tonem, zaskakując ich wszystkich:

– Jedźcie. Jesteście *parabatai*, a to najpotężniejsza drużyna, jaką mogą zaoferować Nefilim. Widziałam, co potrafią *parabatai*. Przestańcie się wahać.

– Ona ma rację – przyznał Julian. Schował stelę z powrotem za pas. – Chodź, Emmo.

Reszta była ciągiem rozmazanych obrazów. Emma pośpiesznie objęła Cristinę na pożegnanie, Julian złapał ją za rękę i odciągnął, we dwoje przebiegli na oślep przez dworzec, niemal przewrócili się, gdy wpadli na bramki biletowe, i wskoczyli do pustego wagonu pociągu Western Railway, kiedy ten już ruszał ze stacji z głośnym zgrzytem odblokowanych hamulców.

* * *

Z każdą milą, kiedy razem z Bridget zbliżały się do Instytutu, Cristina czuła się coraz lepiej. Na Paddington odczuwała w ręce potworny ból. Teraz przeszedł w tępe rwanie, które wgłębiało się w jej kości.

Wydawało się, że ten ból mówi „coś straciłam”, „czegoś mi brak.” Po hiszpańsku powiedziałyby *Me haces falta*. Już na początku nauki angielskiego zorientowała się, że nie istnieje w tym języku dosłowne tłumaczenie tej frazy. Po angielsku mówiło się „potrzebuję cię”, podczas gdy *me haces falta* znaczyło raczej „brak mi Ciebie”. To właśnie czuła – brak – jakby zabrakło akordu w piosence albo słowa na stronie.

Z piskiem hamulców zatrzymały się przed Instytutem. Cristina usłyszała, jak Bridget woła ją po imieniu, ale już wyskoczyła z samochodu i ściskając nadgarstek biegła do frontowych schodów. Nie mogła się powstrzymać. Jej umysł burzył się na myśl, że kontroluje ją coś, co znajduje się poza nią samą, ale jej własne ciało ciągnęło ją, popychało ku temu, czego potrzebowało, by znowu stać się całością.

Frontowe drzwi otworzyły się z hukiem. To był Mark.

On też miał krew na ręce. Przesiąkła przez jasnoniebieski rękaw swetra. Za nim słychać było głosy, ale on patrzył tylko na Cristinę. Jasne włosy miał

potargane, a jego oczy – niebieskie i złote – świeciły jak przydrożne neony.

Cristina pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała niczego równie pięknego.

Zbiegł po schodach – był boso – i złapał ją za rękę, przyciągając do siebie. Kiedy tylko zderzyli się ciałami, Cristina poczuła, że ból znika.

– To magia – szepnął jej we włosy Mark. – Jakiś czar wiążący, który nas spętał.

– Dziewczyny na uczcie... Jedna związała nam ręce, a druga się śmiała...

– Wiem. – Musnął ustami jej czoło. Czowała, jak wali mu serce. – Rozgryziemy to. Naprawimy to.

Skinęła głową i zamknęła oczy, ale najpierw zobaczyła, że kilka innych osób wyległo na frontowe schody i wpatruje się w nich. W środku grupy stał Kieran; jego piękna twarz była blada i zacięta, a wyraz oczu miał nieodgadniony.

* * *

Kupili bilety na pierwsza klasę, więc mieli cały przedział dla siebie. Zostawili za sobą szarość i brąz miasta i teraz pędzili przez zielone pola usiane polnymi kwiatami i zagajnikami zielonych drzew. Grafitowy kamień murków ciągnął się w górę i w dół wzdłuż pagórków, dzieląc ziemię na kawałki układanki.

– To trochę przypomina Faerie – powiedziała Emma, opierając się o szybę.
– No wiesz, tyle że bez rzek krwi i tańców, na których trup gęsto się ściele. Więcej babeczek, mniej śmierci.

Julian zerknął na nią. Trzymał szkicownik na kolanach i czarny piórniki z kredkami na siedzeniu obok.

– Chyba właśnie to hasło wypisano na frontowej bramie pałacu Buckingham – odpowiedział.

Jego słowa zabrzmiały spokojnie, zupełnie neutralnie. Julian, który warknął na nią przy wejściu do Instytutu, zniknął. To był uprzejmy, grzeczny Julian. Julian, który pokazuje tylko oficjalną fasadę.

Nie było sposobu, żeby zdołała komunikować się tylko z tym Julianem podczas całego ich pobytu w Kornwalii.

– Zatem... Nadal jesteś zły?

Patrzył na nią przez długą chwilę, a potem odłożył szkicownik na bok.

– Przepraszam – powiedział. – Moje słowa... Były okrutne i całkowicie nie do przyjęcia.

Emma wstała i oparła się o okno. Za szybą przelatywały wiejskie tereny – szarość, zieleń i szarość.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Byłem zły. – Widziała jego odbicie w szybie. Patrzył na nią. – Byłem zły z powodu Marka.

– Nie wiedziałam, że tak ci zależało na naszym związku.

– To mój brat. – Mówiąc, Julian dotknął nieświadomie twarzy, jakby chciał poczuć własne rysy, wysokie kości policzkowe i długie rzęsy tak podobne do rysów Marka. – On nie jest... Łatwo można go zranić.

– Nic mu nie jest. Zapewniam cię.

– Chodzi o coś więcej. – Patrzył na nią spokojnie. – Kiedy byliście razem, czułem przynajmniej, że każde z was jest z kimś, na kim mi zależy, komu mogę ufać. Kochałaś kogoś, kogo ja też kocham. Jaka istnieje szansa, że to znowu się wydarzy?

– Nie wiem, co może się wydarzyć – odpowiedziała Emma.

„Ale wiem, że nie musisz się niczym martwić”, dopowiedziała w myślach. „Nie kochałam Marka. Nigdy nie pokocham nikogo, kto nie jest tobą”.

– Wiem tylko, że na pewne rzeczy mamy wpływ, a na inne nie – dodała.

– Ehm, przecież mówimy o mnie – mruknął.

Odwróciła się od okna i przycisnęła plecy do zimnej szyby. Patrzyła wprost na Juliana, nie tylko na jego odbicie. I chociaż jego twarz nie zdradzała gniewu, patrzył na nią otwarcie i szczerze. Teraz to był prawdziwy Julian, nie fasada.

– Czyli przyznajesz, że musisz wszystko kontrolować?

Uśmiechnął się. To był słodki uśmiech, który trafił Emmę prosto w serce, ponieważ przypominał jej Juliana z jej dzieciństwa. Był jak słońce, ciepło, morze i plaża, wszystko zamknięte w jednym ciosie wymierzonym w samo serce.

– Do niczego się nie przyznaję.

– Jak chcesz.

Nie musiała mówić, że mu wybacza, i sama wiedziała, że on wybaczył jej. Oboje to wiedzieli. Zamiast tego usiadła naprzeciwko i wskazała na kredki

i szkicownik.

– Co rysujesz?

Obrócił szkicownik tak, żeby mogła zobaczyć jego pracę – cudny wizerunek kamiennego mostka, który minęli, otoczonego przez opadające konary dębów.

– Mógłbyś naszkicować mnie – powiedziała Emma i wyciągnęła się na siedzeniu, podpierając głowę na ręce. – Narysuj mnie jak jedną z tych swoich Francuzek – zacytowała.

Julian uśmiechnął się szeroko.

– Nie cierpię tego filmu. Dobrze to wiesz.

Oburzona Emma usiadła prosto.

– Popłakałeś się za pierwszym razem, kiedy oglądaliśmy Titanica.

– Miałem wtedy alergię.

Znowu zaczął rysować, ale uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Oto sedno tego, co ich łączyło, pomyślała Emma. Jego łagodne żarty, łatwość rozbawienia go. To ją niemal zaskoczyło. Jednak właśnie do tego zawsze wracali, do pociechy, jaką znajdowali w dzieciństwie, niczym ptaki wędrownie wciąż powracające do domu.

– Szkoda, że nie możemy skontaktować się z Jemem i Tessą – powiedziała. Rozmazane plamy zielonych pól rozbłyskiwały za oknem. Kobieta popychała wózek z przekąskami w tę i z powrotem korytarzem. – Ani z Jace'em i Clary. Żeby powiedzieć im o Annabel, Malcolmie i całej reszcie.

– Całe Clave wie o powrocie Malcolma. Oni na pewno też mają swoje sposoby, żeby się dowiedzieć.

– Ale tylko my tak naprawdę wiemy o Annabel.

– Narysowałem ją – powiedział Julian. – Pomyślałem, że gdybyśmy mogli na nią spojrzeć, to w jakiś sposób pomogłoby nam ją odnaleźć.

Odwrócił szkicownik. Emma stłumiła dreszcz. Nie z powodu brzydoty twarzy, bo ta nie była wstrętna. To była młoda, owalna twarz o harmonijnych rysach, niemal ginąca w chmurze ciemnych włosów. Jednak jakaś udreka, coś niemal dzikiego płonęło w oczach Annabel; przyciskała dłonie do szyi, jakby próbowała owinąć się okryciem, które zniknęło.

– Gdzie ona może być? – zastanawiała się na głos Emma. – Dokąd byś poszedł, gdybyś był tak smutny?

– Myślisz, że wygląda na smutną?

– A ty nie?

– Myślałem, że wygląda na rozgniewaną.

– Fakt, że zabiła Malcolma. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła, bo w końcu ją wskrzesił. Kochał ją.

– Może nie chciała, żeby ją wskrzeszać. – Julian nadal wpatrywał się w rysunek. – Może była szczęśliwa tam, gdzie przebywała. Konflikty, cierpienie, strata... To są rzeczy, których doświadczają żywi. – Zamknął szkicownik, kiedy pociąg zatrzymał się na małej białej stacyjce z tabliczką „Liskeard”. Dojechali na miejsce.

* * *

– To było zaplanowane? – zapytał Kieran. – To nie może być przypadek.

Mark uniósł brwi. Cristina z zabandażowanym nadgarstkiem siedziała na krawędzi jednego z łóżek w izbie chorych. Obrażenia Marka zniknęły pod rękawem swetra. Nikogo więcej nie było w pomieszczeniu. Tavvy zdenerwował się widokiem krwi, więc Dru zabrała go, żeby go uspokoić. Livvy i pozostali dwaj chłopcy wybrali się do domu Blackthornów, kiedy Cristina była jeszcze na dworcu.

– Co to ma znaczyć, do diabła? – zapytał Mark. – Myślisz, że dla zabawy zaplanowaliśmy z Cristiną zbryzganie krwią całego Londynu?

Cristina spojrzała na niego zaskoczona. Nigdy w życiu nie słyszała, żeby brzmiał równie ludzko.

– Taki czar wiążący... – powiedział Kieran. – Musieliście podsunąć do tego nadgarstki. Musielibyście siedzieć nieruchomo, kiedy was wiązano.

W jego głosie pobrzmiwało zdumienie, ból. W sercu Instytutu wyglądał całkiem nie na miejscu w swoich bryczesach i płóciennej koszuli, teraz bardzo pogniecionej. Wszędzie wokół nich stały szpitalne łóżka, szklane i miedziane słoje z tynkturami i proszkami, stopy bandaży i pokrytych runami instrumentów medycznych.

– To się wydarzyło podczas uczyty – tłumaczył Mark. – Nie mogliśmy się tego spodziewać. I nie spodziewaliśmy się. I nikt nie chciałby czegoś takiego, nikt nie doprowadziłby do tego celowo, Kieranie.

– Faerie mógłby to zrobić. To jest dokładnie coś takiego, na co zdołałby

się zdecydować ktoś z nas.

– Nie jestem faerie – odrzekł Mark.

Kieran się wzdrygnął, a Cristina dostrzegła ból w jego oczach. Ogarnęła ją fala współczucia dla niego. Taka samotność musiała być straszna.

Nawet Mark wyglądał na zbolełego.

– Nie to miałem na myśli – sprostował. – Jestem nie tylko faerie.

– I jakże się z tego cieszysz – zachnął się Kieran. – Jak się tym przechwalasz przy każdej okazji.

– Proszę, nie kłóćcie się – odezwała się Cristina. – Musimy stać po tej samej stronie.

Kieran spojrział na nią zdumiony. A potem podszedł do Marka i położył ręce na jego ramionach. Byli niemal takiego samego wzrostu. Mark nie odwrócił wzroku.

– Jest tylko jeden sposób, żebym miał pewność, że nie możesz kłamać – powiedział Kieran i pocałował Marka w usta.

Ból przeszył nadgarstek Cristiny. Nie miała pojęcia, czy to był przypadek, czy też odzwierciedlenie intensywności uczuć przeżywanych przez Marka. W żaden sposób nie mógł uniknąć pocałunku, jeśli nie chciał odrzucić Kierana i przerwać delikatnego łańcucha kłamstw, które wiązały z nim księcia faerie.

Chyba że chciał odwzajemnić pocałunek. Cristina nie miała pewności. Odwzajemnił pocałunek z żarliwością, jaką Cristina ujrzała w nim, kiedy pierwszy raz zobaczyła go z Kieranem. Teraz jednak kryło się w tym więcej gniewu. Złapał Kierana za ramiona, wbił palce w ciało. Siła pocałunku sprawiła, że głowa Kierana odchyliła się nieco. Mark złapał go za dolną wargę i ugryzł, a Kieran omal nie krzyknął.

Oderwali się od siebie. Kieran dotknął ust; miał krew na wargach, a w jego oczach płonął zwycięski żar.

– Nie odwróciłaś oczu – powiedział do Cristiny. – To było aż tak ciekawe?

– To był pokaz dla mnie. – Cristina czuła się dziwnie, dygotała i było jej gorąco, ale nie chciała tego okazać. Siedziała z rękami na kolanach i uśmiechała się do Kierana. – Uznałam, że odwrócenie wzroku byłoby niegrzeczne.

Wtedy rozgniewany Mark się roześmiał.

– Ona cię rozumie, Kieran.

– To był naprawdę świetny pocałunek – powiedziała – ale w tej chwili powinniśmy porozmawiać o kwestiach praktycznych. O zaklęciu wiążącym.

Kieran nadal wpatrywał się w Cristinę. Patrzył na większość ludzi z odrazą, wściekłością albo namysłem, ale kiedy przyglądał się Cristinie, sprawiał wrażenie zdumionego, jakby próbował poskładać ją jak układankę i nie potrafił.

Nagle odwrócił się na pięcie i wyszedł z izby chorych. Drzwi zamknęły się z nim z hukiem. Mark odwrócił się, kręcąc głową.

– Chyba jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś go aż tak zirytował – powiedział. – Nawet mnie się to nie udawało.

* * *

Diana miała nadzieję, że zobaczy się z Jią zaraz po przybyciu do Idrisu, ale biurokracja Clave była gorsza, niż to zapamiętała. Musiała wypełnić formularze, przekazać wiadomości, które powędrowały zgodnie z hierarchią służbową. Nie pomogło to, że odmówiła wyjawienia, z jaką sprawą się zjawiała. Informacji na temat delikatnej kwestii Kierana i wydarzeń w Faerie nie powierzyłaby nikomu poza samą panią Konsul.

Jej małe mieszkanie w Alicante znajdowało się nad sklepem z bronią na Flintlock Street, który należał do jej rodziny od wielu lat. Zamknęła go, kiedy przeniosła się z Blackthornami do Los Angeles. Niecierpliwość działała jej na nerwy. Zeszła na dół do sklepu i otworzyła okna, żeby wpuścić światło. Drobinki kurzu zatańczyły w jasnym, letnim powietrzu. Nadal bolała ją ręką, chociaż rana już prawie się wygoiła.

W sklepie czuć było stęchliznę, kurz leżał na niegdyś błyszczących ostrzach, ozdobnych skórzanych pochwach i rękojeściach toporów. Zdjęła kilka sztuk ulubionej broni i odłożyła je dla Blackthornów.

Dzieci zasłużyły na nową broń. Zapracowały na nią.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, zdołała już zająć czymś myśli i właśnie sortowała klingi według twardości metalu. Odłożyła na bok jedną z ulubionych sztuk – broń ze stali damasceńskiej – i podeszła otworzyć drzwi.

W progu stał Manuel, którego Diana widziała ostatni raz podczas walki z morskimi demonami na trawniku przed Instytutem. Uśmiechał się

znacząco. Nie miał na sobie stroju Centuriona, tylko modny czarny sweter i dżinsy. Nażelowane włosy układały mu się w pukle. Uśmiechnął się do niej krzywo.

– Panno Wrayburn – powiedział – przysłano mnie, żebym zaprowadził panią do Gard.

Diana zamknęła sklep i poszła z Manuelem, który ruszył Flintlock Street w kierunku północnej części Alicante.

– Co tu robisz? – zapytała. – Myślałam, że jesteś w Los Angeles.

– Zaproponowano mi pozycję w Gard – powiedział. – Nie mogłem odrzucić szansy na awans. W Los Angeles nadal jest mnóstwo Centurionów, którzy strzegą Instytutu. – Manuel spojrzał na Dianę z ukosa. Nic nie powiedziała. – Miło widzieć cię w Alicante – dodał. – Kiedy ostatni raz się spotkaliśmy, to, o ile się nie mylę, uciekałaś właśnie do Londynu.

Diana zazgrzytała zębami.

– Zabierałam dzieci, które powierzono mojej opiece, w bezpieczne miejsce. Nawiasem mówiąc, nic im nie jest.

– Zakładałem, że usłyszałbym coś, gdyby było inaczej – odparł nonszalancko Manuel.

– Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Jona Cartwrighta.

Manuel milczał. Dotarli do furtki na ścieżce prowadzącej do Gard. Kiedyś zamykano ją tylko na zasuwkę. Teraz Diana patrzyła, jak Manuel przesuwając nad nią ręką i zasuwka otwiera się ze szcękaniem.

Ścieżka była równie wyboista i poprzecinana korzeniami drzew jak w czasach, kiedy Diana była dzieckiem.

– Nie znałem Jona zbyt dobrze – powiedział Manuel, gdy zaczęli się wspinać. – Rozumiem, że jego dziewczyna, Marisol, jest bardzo przejęta.

Diana nic nie powiedziała.

– Niektórzy nie potrafią radzić sobie z żałobą w sposób, jaki przystoi Nocnym Łowcom – dodał. – Wielka szkoda.

– Niektórzy nie okazują empatii i tolerancji, jaka przystoi Nocnym Łowcom – odparła Diana. – To także wielka szkoda.

Dotarli do górnej części ścieżki. Alicante rozciągało się przed nimi jak mapa, a demoniczne wieże wznosiły się, przesywając słońce. Diana pamiętała, jak wspinała się tą ścieżką z siostrą, kiedy obie były dziećmi, pamiętała jej śmiech. Czasem tak bardzo za nią tęskniła, że czuła się tak,

jakby szpony zaciskały się na jej sercu.

W tym miejscu, pomyślała, patrząc na Alicante, byłam samotna. W tym miejscu musiałam ukryć osobę, o której wiedziałam, że tak naprawdę nią jestem.

Dotarli do Gard. Wznosiło się nad nimi – góra błyszczącego kamienia, jeszcze solidniejsza od czasu odbudowy. Ścieżka oświetlona magicznym światłem prowadziła do frontowej bramy.

– To była aluzja do Zary? – Manuel sprawiał wrażenie rozbawionego. – Jest bardzo popularna, wiesz? Zwłaszcza odkąd zabiła Malcolma. Czego Instytut w Los Angeles nie zdołał dokonać.

Wyrwana z zamyślenia Diana tylko popatrzyła na niego.

– Zara nie zabiła Malcolma – powiedziała. – To kłamstwo.

– Doprawdy? Chciałbym zobaczyć dowód. – Manuel posłał jej swój promienny, szeroki uśmiech i odszedł, a Diana odprowadziła go wzrokiem, mrużąc oślepione światłem oczy.

* * *

– Pokaż mi swój nadgarstek – powiedziała do Marka Cristina. Siedzieli obok siebie na łóżku w izbie chorych. Czuła ciepło jego ramienia przy swoim.

Odciągnął rękaw i bez słowa podsunął jej rękę. Cristina odwinęła bandaż i przysunęła nadgarstek. Popatrzyli w milczeniu na identyczne rany.

– Nic nie wiem na temat tego rodzaju magii – powiedział Mark. – I nie możemy iść do Clave albo Cichych Braci. Nie mogą się dowiedzieć, że byliśmy w Faerie.

– Przykro mi z powodu Kierana. Że jest rozgniewany.

Mark pokręcił głową.

– Niepotrzebnie. To moja wina. – Odetchnął głęboko. – Przepraszam, że byłem na ciebie zły w Faerie, po uczcie. Ludzie są skomplikowani. Ich sytuacja jest skomplikowana. Wiem, dlaczego ukrywałaś przede mną uczucia Juliana. Wiem, że ty i Emma nie miałyście dużego wyboru.

– A ja nie jestem już zła na ciebie – pośpiesznie zapewniła go Cristina. – Z powodu Kierana.

– Zmieniłem się. Przez ciebie. Kieran wyczuwa, że moje uczucia do niego w jakiś sposób się zmieniły, ale nie wie dlaczego. A ja nie mogę

mu powiedzieć. – Spojrzał na sufit. – To książę. Książęta są rozpuszczeni. Nie mogą znieść, gdy ktoś krzyżuje im plany.

– Musi czuć się bardzo samotny – powiedziała Cristina. Pamiętała, jak się czuła przy Diego. Czuła, że to, co kiedyś mieli, przepadło, a ona nie wie, jak to odzyskać. Jakby próbowała złapać dym, który rozproszył się w powietrzu.

– Jesteś tu jego jedynym sprzymierzeńcem, a on nie może zrozumieć, dlaczego czuje, że coś między wami zgasło.

– Złożył ci przysięgę. – Mark pochylił głowę, jakby wstydził się tego, co powie. – Możliwe, że gdybyś coś mu rozkazała, musiałby to zrobić.

– Nie chcę tego robić.

– Cristino.

– Mark, nie – odrzekła stanowczo. – Wiem, że ten czar wiążący wpływa także na ciebie. A zdenerwowanie Kierana może odbić się na jego gotowości do złożenia zeznań. Mimo to nie zmuszę go do niczego.

– A czy już tego nie robimy? Okłamując go tylko po to, żeby porozmawiał z Clave?

Cristina dotknęła zranionego nadgarstka. Skóra była dziwna w dotyku, gorąca i opuchnięta.

– A kiedy już złożysz zeznania? Powiesz mu wtedy prawdę, zgadza się?

Mark wstał.

– Na Anioła, oczywiście, że tak. Za kogo mnie bierzesz?

– Za kogoś, kto znalazł się w trudnej sytuacji. Jak my wszyscy. Jeśli Kieran nie złożysz zeznań, niewinni Podziemni mogą zginąć. Clave może jeszcze bardziej pogрузić się w korupcji. Rozumiem konieczność posłużenia się nieuczciwym sposobem. To nie znaczy, że to mi się podoba. Ani że podoba się tobie.

Mark skinął głową, nie patrząc na nią.

– Lepiej go poszukam – powiedział. – Jego pomoc to nasza największa szansa na załatwienie tej sprawy. – Wskazał swój nadgarstek.

Cristinę odrobinę to zabolalo. Zastanawiała się, czy zraniła Marka. Nie chciała.

– Przekonajmy się, na jaki zasięg działa wiązanie – powiedziała. – Jak bardzo możemy oddalić się od siebie, nim zaczniesz boleć.

Mark stanął w drzwiach. Ostre, wyraziste płaszczyzny jego twarzy wyglądały jak wycięte w szkło.

– Już wcześniej bolało mnie to, że znajduję się z dala od ciebie – powiedział. – Może na tym właśnie miał polegać cały dowcip.

Wyszedł, zanim Cristina zdążyła zareagować.

Wstała i podeszła do blatu, gdzie stały proszki i leki. Miała zgrubne pojęcie o medycynie Nocnych Łowców. Rozpoznała liście o właściwościach przeciwzapalnych, kataplazmy, które zmniejszały obrzęk.

Drzwi do izby chorych otworzyły się, kiedy odkręcała pokrywkę słoja. Podniosła wzrok. To był Kieran. Był zarumieniony i miał rozwiane włosy – jakby przebywał na dworze. Miał kolory na wyrazistych kościach policzkowych.

Był równie skonsternowany jej widokiem, jak ona jego. Cristina odstawiła ostrożnie słoje i czekała.

– Gdzie jest Mark? – zapytał.

– Poszedł cię poszukać.

Cristina oparła się o blat. Kieran milczał – w sposób typowy dla faerie, skryty, zadumany. Miała przeczucie, że wielu ludzi czułoby przymus, żeby wypełnić tę ciszę. Ona jej nie przerwała. Niech Kieran wciągnie tę ciszę w siebie, ukształtuje ją i odszyfruje.

– Powinienem cię przeprosić – powiedział w końcu. – To było nie na miejscu oskarżać ciebie i Marka, że zaaranżowaliście rzucenie czaru wiążącego. I niemądre. Nic byście na tym nie zyskali. Gdyby Mark nie chciał być ze mną, zwyczajnie by mi powiedział.

Cristina nie odpowiedziała. Kieran zrobił w jej kierunku ostrożny krok, jakby się bał, że ją przestraszy.

– Mogę jeszcze raz obejrzeć twoją rękę?

Wyciągnęła ją. Kieran ujął jej dłoń. Cristina zastanawiała się, czy kiedykolwiek wcześniej celowo jej dotknął. Jego dotyk był jak chłodna woda latem.

Przebiegł ją dreszcz po kręgosłupie, kiedy Kieran oglądał ranę. Zastanawiała się, jak wyglądał, kiedy obie tęczołki jego oczu były czarne. Były jeszcze bardziej olśniewające niż oczy Marka – kontrast między czernią a migotliwym srebrem przypominał lód i popiół.

– Kształt wstążki – powiedział. – Mówiliście, że związano was podczas uczt?

– Tak. Zrobiły to dwie dziewczyny. Wiedziały, że jesteśmy Nefilim. Śmiały

się z nas.

Kieran mocniej zacisnął rękę. Przypomniała sobie, jak przywarł do Marka na Ciemnym Dworze. Nie, jakby był słaby i potrzebował pomocy – to był silny uścisk, którym przytrzymał Marka na miejscu, uścisk, który mówił: „Zostań ze mną, rozkazuję”.

W końcu był księciem.

– Ten rodzaj czaru wiążącego należy do jednych z najstarszych – powiedział. – Najstarszych i najsilniejszych. Nie wiem, dlaczego ktoś spletałby wam takiego figła. To dość podłe.

– Ale wiesz, jak złamać ten czar?

Puścił jej rękę.

– Byłem niechcianym synem króla Ciemnego Dworu. Nie otrzymałem należytego wykształcenia. A potem oddano mnie Dzikemu Polowaniu. Nie znam się na magii.

– Nie jesteś bezużyteczny. Wiesz więcej, niż myślisz.

Kieran sprawiał wrażenie, jakby znowu go zaskoczyła.

– Mógłbym porozmawiać z moim bratem, Adaonem. Mam zapytać go, czy przejąłby tron. Mógłbym go przy okazji spytać, czy wie coś na temat czarów wiążących i sposobów ich przerwania.

– Jak myślisz, kiedy z nim porozmawiasz?

Powrócił do niej obraz tego, jak Kieran, śpiąc, przywarł do jej ręki na Jasnym Dworze. Starając się nie zarumienić, spojrzała na bandaż i zsunęła go na miejsce.

– Wkrótce – odrzekł. – Już próbowałem się z nim skontaktować, ale na razie bez powodzenia.

– Powiedz, gdybym mogła pomóc w jakikolwiek sposób.

Poruszył brwiami. Potem pochylił się i uniósł jej dłoń, tym razem po to, by złożyć na niej pocałunek; najwyraźniej nie przeszkadzały mu ani krew, ani bandaż. To był dworny gest z czasu, który dawno przeminął, ale nie w Faerie. Zaskoczona Cristina nie zaprotestowała.

– Lady Mendoza Rosales – powiedział – dziękuję za twą dobroć.

– Prawdę mówiąc, wołałabym, żebyś zwracał się do mnie per „Cristina”.

– „Prawdę mówiąc” – powtórzył. – My, faerie, nigdy tak nie mówimy. Każde słowo, które wypowiadamy, to szczerą prawdą.

– Nie posunęłabym się tak daleko. A ty?

W Instytucie rozległ się huk grzmotu. A przynajmniej tak to można było odczuć. Zadzwończyły szyby w oknach i zadrżały ściany.

– Zostań tu – powiedział Kieran. – Pójdę sprawdzić, co to było.

Cristina omal się nie roześmiała.

– Kieranie, naprawdę nie musisz mnie chronić.

Oczy mu rozbłysły. Drzwi do izby chorych otworzyły się raptownie i w progu stanął Mark z szeroko otwartymi oczami. Jeszcze bardziej je wytrzeszczył, kiedy zobaczył Kierana i Cristinę stojących razem obok blatu.

– Lepiej chodźcie – powiedział. – Nie uwierzycie, kto właśnie przeniósł się do salonu.

* * *

Miasteczko Polperro było maleńkie, malownicze i całe pobielone. Usadowiło się przy cichej przystani. Tam, gdzie port otwierał się na morze, rozpościerały się mile błękitu. Małe domki w pastelowych odcieniach tłoczyły się na stokach wzgórz, które wznosiły się stromo po obu stronach portu. Brukowane ulice wiły się wśród sklepów sprzedających ciastka i lody włoskie.

Nie było tu żadnych samochodów. Autobus z Liskeard wysadził ich pod miasteczkiem; gdy zbliżyli się do portu, przeszli po mostku u stóp mariny. Emma myślała o swoich rodzicach. O łagodnym uśmiechu ojca, słońcu na jego blond włosach. Kochał morze, mieszkanie na wybrzeżu, wszelki wypoczynek na plaży. Pokochałby takie miasteczko, gdzie powietrze pachniało wodorostami, palonym cukrem i kremem do opalania, gdzie kutry rybackie ciągnęły za sobą białe kilwatery na niebieskiej powierzchni odległego morza. Jej matce też by się spodobało – zawsze lubiła wylegiwać się w słońcu jak kot i patrzeć, jak ocean tańczy.

– A może tu? – zapytał Julian.

Emma powróciła do rzeczywistości. Zdała sobie sprawę, że rozmawiali o poszukaniu czegoś do zjedzenia, zanim przeszli po moście, a ona zatoneła w myślach.

Julian stał przed domem z muru pruskiego, z menu restauracyjnym wywieszonym w oknie z szybą podzieloną na romby. Minęła ich grupka

dziewczyn w szortach i górach od bikini. Szły do sklepu ze słodyczami po sąsiedzku. Zachichotały i szturchnęły się znacząco łokciami na widok Juliana.

Emma zastanawiała się, jak go odbierają. Na pewno uznają go za przystojnego, z jego zmierzwionymi przez wiatr brązowymi włosami i świetlistymi oczami, ale na pewno też za dziwnego, może nawet trochę nieziemskiego z racji Znaków i blizn.

– Pewnie – odpowiedziała. – W porządku.

Julian był dostatecznie wysoki, żeby musieć pochylić głowę, gdy przechodził pod niską futryną do zajazdu. Emma weszła za nim i kilka chwil później wesół, pulchna kobieta w kwiecistej sukience wskazała im stolik. Dochodziła piąta i w lokalu prawie nikogo nie było. Czuło się, że to miejsce jest przepojone historią, gdy widziało się nierówne deski podłogowe, zdobiące ściany pamiątki z czasów przemytniczych, stare mapy i wesółe wizerunki kornwalijskich piks – tutejszych szelmowskich faerie. Emma zastanawiała się, na ile miejscowi w nie wierzą. Podejrzewała, że pewnie nie tak mocno, jak powinni.

Zamówili colę i frytki dla Julesa oraz kanapkę i lemoniadę dla Emmy. Julian rozłożył mapę na stole. Obok położył telefon. Jedną ręką przewijał zdjęcia, drugą wskazywał punkty na mapie. Smugi od kredek zdobiły mu rękę, znajome ślady błękitu, żółci i zieleni.

– Wschodnia część portu nazywa się Warren – powiedział. – Mnóstwo domów, wiele z nich starych, ale większość wynajmuje się obecnie turystom. Żaden z nich nie znajduje się nad żadnymi jaskiniami. Zostają więc tereny wokół Polperro i na zachód stąd.

Zjawilo się ich jedzenie. Emma zaczęła pochłaniać kanapkę. Nie zdawała sobie sprawy, jaka jest głodna.

– Co to? – zapytała, wskazując coś na mapie.

– To Chapel Cliff, złociutka – odpowiedziała kelnerka, stawiając lemoniadę dla Emmy. Wypowiedziała słowo „chapel” z zabawnym akcentem. – Zaczyna się od ścieżki na wybrzeżu. Stąd możecie dojść aż do Fowey. – Zerknęła w stronę baru, gdzie właśnie usiadło dwóch turystów. – O, już idę!

– Jak znaleźć ścieżkę? – zapytał Julian. – Gdybyśmy mieli pójść nią dzisiaj, gdzie powinniśmy zacząć?

– O, do Fowey jest spory kawałek – odpowiedziała kelnerka – ale ścieżka zaczyna się za zajazdem Blue Peter. – Wskazała przez okno na drugą stronę portu. – Tam jest szlak, który prowadzi na wzgórze. Trzeba skrócić na ścieżkę nadmorską przy starej szopie na sieci, teraz całkiem zniszczonej, z łatwością ją wypatrzycie. Znajduje się tuż nad jaskiniami.

Emma uniosła brwi.

– Jaskiniami?

Kelnerka się roześmiała.

– Stare jaskinie przemytników. Pewnie przyjechaliście w czasie przyływu, co? Bo inaczej z pewnością byście je zauważyli.

Emma i Julian spojrzeli po sobie raz, a potem wstali. Nie zważając na protesty zdumionej kelnerki, wyszli na ulicę obok gospody.

Oczywiście kelnerka miała rację: zaczął się odpływ i teraz przystań wyglądała zupełnie inaczej, z łodziami stojącymi na łachach błotnistego piachu. Za portem wznosiła się wąska mierzeja zasypana szarymi skałami. Łatwo można było się zorientować, dlaczego klify nazwano Chapel Cliff, Kościelnym Urwiskiem. Na mierzei wznosiły się szare skały, które zwęzły się ku górze niczym wieże katedry.

Woda opadła na tyle, żeby odsłonić znaczną część klifu. Kiedy przyjechali, morze waliło wściekle o skały. Teraz pluskało cicho w porcie i cofało się, odsłaniając małą piaszczystą plażę, a za nią ciemne wejścia do kilku jaskiń.

Nad jaskiniami na stromej ścianie urwiska przysiadł dom. Kiedy przyjechali, Emma ledwie spojrzała na budynek – to był tylko jeden z wielu małych domów, które stały naprzeciwko Warren – ale teraz widziała, że znajduje się najbliżej końca mierzei. Właściwie to wznosił się w sporej odległości od pozostałych zabudowań, mały i samotny pomiędzy morzem i niebem.

Okna zabito deskami. Wapno odpadało szarymi płatami ze ścian. Gdyby jednak Emma spojrzała na dom oczami Nocnego Łowcy, dostrzegłaby coś więcej niż opuszczony budynek. Dostrzegłaby koronkowe białe firanki i nowe dachówki na dachu.

Do ogrodzenia przybito skrzynkę na listy. Namalowano na niej nazwisko – niechlujnymi białymi literami ledwie widocznymi z tej odległości. Z pewnością nie byłyby widoczne dla Przyziemnego, ale Emma je wypatrzyła.

FADE.

Mara przeszłych dni

Jia Penhallow siedziała za biurkiem w gabinecie Konsula oświetlonym promieniami słońca świecącego nad Alicante. Iglice demonicznych wież lśniły za oknem, czerwone, złote i pomarańczowe jak odłamki zakrwawionego szkła.

Miała ten sam ciepły wyraz twarzy, który Diana zapamiętała, ale wyglądała, jakby od Mrocznej Wojny upłynęło znacznie więcej niż tylko pięć lat. W jej czarnych włosach, elegancko upiętych na czubku głowy, pojawiła się siwizna.

– Miło cię widzieć, Diano – powiedziała, wskazując głową krzesło naprzeciwko biurka. – Bardzo nas zaciekawiły twoje tajemnicze wieści.

– Wyobrażam sobie. – Diana usiadła. – Miałam nadzieję, że to, co muszę powiedzieć, pozostanie między nami.

Jia nie wyglądała na zaskoczoną. Oczywiście nie okazałaby zaskoczenia, nawet gdyby je poczuła.

– Rozumiem. Zastanawiałam się, czy będziesz starać się o pozycję szefa Instytutu w Los Angeles. Zakładałam, że będziesz chciała go przejąć po śmierci Arthura Blackthorna. – Jej zręczne dłonie trzepotały, kiedy przeglądała i układała dokumenty, odkładała długopisy na stojaki. – To było bardzo odważne z jego strony, że zaatakował węzeł geomantyczny w pojedynkę. Ze smutkiem przyjął wiadomość o jego śmierci.

Diana skinęła głową. Z powodów, których żadne z nich nie znało, ciało Arthura znaleziono w pobliżu zniszczonego węzła, zlane krwią z jego podejrzanego gardła oraz demoniczną posoką, która była krwią Malcolma, jak wyjaśnił jej ponuro Julian. Nie było powodu, żeby zaprzeczać oficjalnemu domniemaniu, że Arthur powążył się w pojedynkę zaatakować węzeł i został zabity przez demony Malcolma.

Przynajmniej zostanie zapamiętany jako odważny człowiek, chociaż bolało ją, że został spalony i pochowany bez bratanków i bratanic, którzy by go oplakali. Nikt w świecie nie dowie się, że poświęcił się dla rodziny. Livvy powiedziała jej, że ma nadzieję, że uda im się urządzać pośmiertną uroczystość pożegnalną, kiedy wszyscy będą w Idrisie. Diana też miała taką nadzieję.

Milczenie Diany nie skonsternowało Jii.

– Patrick pamięta Arthura z czasów, kiedy byli chłopcami – powiedziała – ale niestety ja go nigdy nie poznałam. Jak radzą sobie dzieci?

Dzieci? Jak wyjaśnić, że drugim ojcem Blackthornów był ich własny najstarszy brat od chwili, kiedy skończył dwanaście lat? Że Julian, Emma i Mark tak naprawdę wcale nie są dziećmi, bo przecierpieli tyle, że dałoby się wypełnić bólem całe życie przeciętnego dorosłego? Że Arthur Blackthorn nigdy tak naprawdę nie kierował Instytutem i że cały pomysł zastąpienia go to rozbudowany i straszliwy żart?

– Są załamane – odpowiedziała. – Ich rodzina została rozbita, jak sama wiesz. Chcą wrócić do Los Angeles, do domu.

– Nie mogą jednak wrócić, dopóki nie ma szefa Instytutu. Dlatego właśnie myślałam, że ty...

– Nie chcę zostać szefową. Nie przyszłam tu prosić o tę posadę. Nie chcę też, żeby dostali ją Zara Dearborn i jej ojciec.

– Doprawdy? – Jia powiedziała to neutralnym tonem, ale jej oczy zabłyśły z zaciekawieniem. – Jeśli nie Dearbornowie, to kto?

– Gdyby pozwolono Helen Blackthorn wrócić...

Jia usiadła prosto.

– I pokierować Instytutem? Wiesz, że Rada nigdy nie pozwoliłaby...

– To niech Aline kieruje Instytutem. Helen mogłaby po prostu pozostać w Los Angeles jako jej żona i mieszkać z rodziną.

Jia zachowała spokojny wyraz twarzy, ale mocno zacisnęła ręce na biurku.

– Aline to moja córka. Myślisz, że nie chcę ściągnąć jej do domu?

– Nigdy nie wiedziałam, co myślisz. – Diana mówiła prawdę. Nie miała dzieci, ale gdyby to jej siostrę skazano na wygnanie, walczyłaby pazurami i zębami, żeby sprowadzić ją z powrotem.

– Kiedy Helen skazano na wygnanie i Aline zdecydowała się z nią wyjechać, zastanawiałam się, czy nie zrezygnować z pozycji Konsula –

powiedziała Jia, nadal zaciskając dłonie. – Wiedziałam, że nie mam takiej władzy, żeby cofnąć decyzję Clave. Konsul nie jest tyranem, który może narzucić swoją wolę. Normalnie powiedziałabym, że to dobrze. Powiem ci jednak, że od dawna żałuję, że nie jestem tyranem.

– Dlaczego więc nie złożysz rezygnacji?

– Obawiam się tego, kto mógłby mnie zastąpić – odpowiedziała bez ogródek Jia. – Zimny Pokój był bardzo popularny. Gdyby tylko Konsul, który nastąpiłby po mnie, zechciał, mogliby rozdzielić Aline i Helen, a chociaż pragnę powrotu córki do domu, nie chcę, żeby złamano jej serce. Mogliby też zrobić coś gorszego. Mogliby osądzić Aline i Helen za zdradę, zamienić wyrok Helen z wygnania na karę śmierci. Może Aline też skazano by na śmierć. Wszystko jest możliwe. – Jej wzrok był posępny i poważny. – Pozostaję na swoim stanowisku, żeby stać między córką a mrocznymi siłami w Clave.

– W takim razie czy nie stoimy po tej samej stronie? Nie chcemy tego samego?

Jia uśmiechnęła się ponuro.

– Dzieli nas, Diano, pięć lat. Pięć lat, podczas których próbowałam wszystkiego, żeby skłonić Radę do zmiany decyzji. Helen to dla nich przykład, ich sposób powiedzenia faerie: „Patrzcie, traktujemy Zimny Pokój tak poważnie, że karzemy nawet swoich”. Za każdym razem, kiedy powraca ta kwestia, zostaję przegłosowana.

– A gdyby pojawiły się nowe okoliczności?

– Co masz na myśli?

Diana poruszyła ramionami, czując narastające w plecach napięcie.

– Jace’a Herondale’a i Clary Fairchild wysłano z misją do Faerie. – Po części zgadywała. Kiedy ta dwójka była w Instytucie, Diana widziała przelotnie zawartość ich toreb. Były wypchane żelazem i solą.

– Owszem. Otrzymaliśmy od nich kilka wiadomości, odkąd wyruszyli.

– To znaczy, że ci powiedzieli. O pładze na ziemiach króla Ciemnego Dworu.

Jia zamarła z jedną ręką uniesioną nad biurkiem.

– Nikt nie wie, co mi powiedzieli, oprócz mnie samej i Inkwizytora. Skąd...

– To nieistotne. Wspominam o tym, ponieważ musisz uwierzyć, że wiem,

o czym mówię. Wiem, że król Ciemnego Dworu nienawidzi Nefilim i że odkrył jakąś moc, jakąś magię, która pozbawia nas siły. Sprawił, że w niektórych częściach jego królestwa runy nie działają, a serafickie noże nie rozbłyskują światłem.

Jia zmarszczyła brwi.

– Jace i Clary nie wspomnieli o niczym takim. I nie kontaktowali się z nikim oprócz mnie, odkąd wkroczyli do Faerie...

– Jest pewien chłopiec – wyjaśniła Diana – faerie, posłaniec z Jasnego Dworu. Kieran. Jest także księciem Ciemnego Dworu. Zna część planów ojca. Jest gotów zeznawać przed Radą.

Jia się zdumiała.

– Książę Ciemnego Dworu złożyłby zeznania na rzecz Jasnego Dworu? A jaki interes ma w tym Jasny Dwór?

– Królowa Jasnego Dworu nienawidzi króla Ciemnego Dworu, i to najwyraźniej bardziej, niż nienawidzi Nocnych Łowców. Jest gotowa skierować swoje siły do walki z Ciemnym Dworem, by pozbawić króla mocy i cofnąć skutki plagi na jego ziemiach.

– Z czystej dobroci serca? – Jia uniosła brew.

– W zamian za zakończenie Zimnego Pokoju.

Jia parsknęła śmiechem.

– Nikt się na to nie zgodzi. Clave...

– Wszyscy poza najbardziej ekstremalnymi bigotami mają dość Zimnego Pokoju. I wątpię, żeby którakolwiek z nas chciała, by ci bigoci zdobyli władzę.

Jia westchnęła.

– Masz na myśli Dearbornów. I Kohortę.

– W Instytucie spędziłam sporo czasu z Zarą Dearborn i jej zaprzyjaźnionymi Centurionami. Jej poglądy nie są przyjemne.

Jia wstała i odwróciła się w stronę okna.

– Ona i jej ojciec pragną przywrócić utracony złoty wiek Clave. Czasy, które nigdy nie istniały, kiedy Podziemni znali swoje miejsce, a Nefilim rządili w harmonii. Tak naprawdę przeszłość to brutalne czasy, kiedy Podziemni cierpieli, a ci Nefilim, którzy mieli odrobinę współczucia i empatii, byli torturowani i karani razem z nimi.

– Ilu ich jest? – zapytała Diana. – W Kohorcie?

– Ojciec Zary, Horace Dearborn jest ich nieoficjalnym przywódcą. Jego żona nie żyje. Wychował córkę tak, żeby poszła w jego ślady. Jeśli uda mu się przejąć kierownictwo nad Instytutem w Los Angeles, ona będzie szefować tam razem z nim. Są jeszcze inne, rozrzucone po całym świecie rodziny: Larkspearowie, Bridgestockowie, Crosskillowie...

– A ich celem jest ograniczenie praw Podziemnych. Chcą ich wszystkich zarejestrować, przydzielić im numery...

– Zakazać im małżeństw z Nocnymi Łowcami?

Diana wzruszyła ramionami.

– To wszystko jest częścią większej całości, prawda? Najpierw numerujesz ludzi, potem ograniczasz ich prawa i rozbijasz małżeństwa. A potem...

– Nie. – Głos Jii zabrzmiał twardo. – Nie możemy na to pozwolić. Niestety, ty nie rozumiesz... Zara zaczyna być uważana za nowego największego Nocnego Łowcę swojego pokolenia. Nowy Jace Herondale. A odkąd zabiła Malcolma...

Diana zerwała się z krzesła.

– Ta... Ta kłamliwa dziewczyna nie zabiła Malcolma.

– Wiemy, że Emmie się nie udało. Wrócił.

– Doskonale wiem, w jaki sposób zginął – powiedziała Diana. – Wskrzesił Annabel Blackthorn. To ona go zabiła.

– Co?! – Jia była zaszokowana.

– Oto cała prawda, pani Konsul.

– Diano, musisz udowodnić, że mówisz prawdę. Próba Miecza Anioła...

Największy lęk Diany.

– Nie.

Zdradziłyby nie tylko własne sekrety, ale i Juliana. I Emmy. Zniszczyłyby ich wszystkich.

– Musisz zrozumieć, jak to wygląda – powiedziała Jia. – Jakbyś usiłowała zachować kontrolę nad Instytutem w Los Angeles, próbując zdyskredytować Dearbornów.

– Sami się dyskredytują. – Diana spojrzała twardo na Jię. – Znasz Zarę. Naprawdę myślisz, że zabiła Malcolma?

– Nie – odparła Jia po chwili. – Nie myślę tak. – Podeszła do zdobionej rzeźbieniem szafki pod ścianą w biurze. Otworzyła szufladę. – Potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić. A na razie... – Wyciągnęła grubą

kremową teczkę wypełnioną papierami. – To raport Zary Dearborn na temat śmierci Malcolma Fade’a i ataku na Instytut w Los Angeles. Może znajdziesz jakieś nieścisłości, które pozwolą zdyskredytować jej historię.

– Dziękuję. – Diana wzięła teczkę. – A posiedzenie Rady? Istnieje szansa, żeby Kieran złożył zeznania?

– Porozmawiam z Inkwizytorem. – Nagle Jia wydała się starsza niż dotąd.
– Wracaj do domu. Wezwę cię jutro.

* * *

– Powinniśmy byli zabrać ze sobą Dru – powiedziała Livvy, stając za bramą domu Blackthornów. – To ucieleśnienie jej wszelkich fantazji rodem z filmów grozy.

Okazało się, że rezydencja Blackthornów znajduje się na przedmieściach Londynu niedaleko od Tamizy. Sąsiedztwo było całkiem zwyczajne: domy z czerwonej cegły, przystanki autobusowe oblepione plakatami filmowymi, dzieciaki jeżdżące na rowerach. Po wielu dniach uwięzienia w Instytucie nawet obcość Londynu była dla Kita jak powrót do rzeczywistości ze snu.

Na dom Blackthornów rzucono czar niewidzialności, więc Przyziemni nie mogli go zobaczyć. Kiedy pierwszy raz na niego spojrzął, widział jakby podwójnie. Zobaczył miły, ale nudny prywatny park, na który nakładał się obraz masywnego domostwa o wysokich ścianach i bramach, których kamieniarka pociemniała pod wpływem lat i zaniedbania.

Zmrużył mocno oczy. Park zniknął i pozostał tylko dom. Wznosił się nad nimi. Trochę przypominał Kitowi grecką świątynię z powodu kolumn podtrzymujących portyk i frontu z dwuskrzydłowymi, masywnymi drzwiami wykonanymi z takiego samego metalu jak ogrodzenie wokół posiadłości, wysokie i jeżące się ostrymi szpikulcami. Wejść można było jedynie przez bramę, z którą Ty szybko poradził sobie za pomocą jednego runu.

– A ten co znaczy? – zapytał Kit, kiedy brama otworzyła się ze skrzypieniem i wśród obłoczka rdzy.

Ty spojrzął na niego.

– „Otwórz się”.

– Sam mogłem zgadnąć – mruknął Kit.

Weszli do środka. Znalazłszy się na terenie rezydencji, Kit rozejrzał się ze zdumieniem. Ogrody popadły w ruinę, ale widział, gdzie znajdowały się różane altany, marmurowe balustrady z masywnymi kamiennymi dzbanami, z których wysypywały się kwiaty i chwasty. Wszędzie rosły polne kwiaty. Było to piękne na swój własny, zrujnowany sposób.

Dom przypominał mały zamek. Wieniec cierni, w którym Kit rozpoznał rodzinny herb Blackthornów, wybito w metalu frontowych drzwi i na szczytach kolumn.

– Wygląda jak nawiedzony – powiedziała Livvy, kiedy weszli głównymi schodami.

W oddali Kit widział czarny jak smoła krąg starej dekoracyjnej sadzawki. Wokół niej stały marmurowe ławki. Samotny posąg mężczyzny w todze spoglądał na niego pustymi, zatroskanymi oczami.

– Kiedyś stał tu cały zbiór różnych greckich i rzymskich dramaturgów i poetów – poinformowała go Livvy, kiedy Ty zajął się drzwiami. – Wuj Artur kazał większość przewieźć do Instytutu w L.A.

– Run Otwarcia nie działa – powiedział Ty, prostując się i patrząc na Kita, jakby wiedział, co dokładnie Kit myśli. Jakby wiedział wszystko, o czym Kit kiedykolwiek pomyślał. W znalezieniu się w centrum uwagi Tiberiusa było coś przerażającego i ekscytującego zarazem. – Będziemy musieli wymyślić inny sposób wejścia.

Przepchnął się obok Kita i siostry, żeby zejść po stopniach. Obeszli dom kamienistą ścieżką. Żywopłoty, które kiedyś pewnie były schludne i przycięte, wykrzywiły się eksplozją liści i kwiatów. W oddali migotały wody Tamizy.

– Może jest jakieś wejście od tyłu – powiedziała Livvy. – Okna też nie mogą być tak dobrze zabezpieczone.

– A te drzwi? – zapytał Kit.

Ty rozejrzał się, marszcząc brwi.

– Jakie drzwi?

– Te – odpowiedział zdumiony Kit.

Doskonale widział drzwi: wąskie, wysokie przejście z wyrzeźbionym dziwnym symbolem. Położył rękę na starym drewnie. Było szorstkie i ciepłe pod placami.

– Nie widzicie ich?

– Teraz je widzę – powiedziała Livvy – ale przysięgam, że nie było ich tu jeszcze sekundę temu.

– To jakiś podwójny urok? – zapytał Ty, podchodząc do Kita. Zdjął kaptur; jego twarz była bladym owalem między czernią włosów i bluzy. – Ale dlaczego Kit zdołał je zobaczyć?

– Może dlatego, że przywykłem do dostrzegania czarów na Nocnym Targu.

– Czarów, których nie rzucili Nocni Łowcy – powiedziała Livvy.

– Czarów, których Nocni Łowcy mieli nie przeniknąć – sprostował Kit.

Ty się zamyślił. Cechowała go pewna nieprzejrzystość, która sprawiała, że Kit nie potrafił orzec, czy Ty się z nim zgadza, czy też nie. Przyłożył jednak stelę do drzwi i zaczął rysować run Otwarcia.

To nie zamek szcęknął, tylko wyskoczyły zawiasy. Odskoczyli, kiedy drzwi prawie wypadły z futryny, zwieszając się krzywo i waląc w ścianę z głuchym łoskotem.

– Nie naciskaj tak mocno, kiedy rysujesz – upomniała brata Livvy.

Ty wzruszył ramionami.

Za drzwiami było na tyle ciemno, że bliźnięta zapaliły magiczne światła. Blask miał perłście białawy odcień, który wydawał się Kitowi przedziwnie piękny.

Znajdowali się w starym korytarzu wypełnionym kurzem i pajęczynami rozsnutymi przez pierzchające teraz pająki. Ty ruszył pierwszy, a Livvy za Kitem. Chłopak podejrzewał, że rodzeństwo go osłania, i to go urażało, ale wiedział, że nie zrozumieliby jego protestu, gdyby go wyraził.

Poszli korytarzem, a potem wspięli się długimi, wąskimi schodami, na których końcu próchniały szczątki drzwi. Za drzwiami znajdował się rozległy pokój z żyrandolem.

– Pewnie sala balowa – powiedziała Livvy, a jej głos rozległ się dziwnym echem w pustej przestrzeni. – Spójrzcie, ta część domu jest bardziej zadbana.

Rzeczywiście. Sala balowa była pusta, ale czysta, a kiedy ruszyli przez pozostałe pokoje, ujrzeli meble w pokrowcach od kurzu, okna zabite deskami dla ochrony szyb, pudła ustawione w korytarzach. Znajdowały się w nich ubrania pachnące mocno naftaliną. Livvy zakaszłała i pomachała ręką przed twarzą.

– Musi tu być biblioteka – powiedział Ty. – Miejsce, w którym przechowywano by rodzinne dokumenty.

– Nie mogę uwierzyć, że nasz ojciec bywał tu jako dorosły. – Livvy ruszyła przodem, rzucając za sobą wydłużony cień. Długie włosy i długie nogi drżące w blasku magicznego światła.

– Nie mieszkał tutaj? – zapytał Kit.

Livvy pokręciła głową.

– Dorastali w Kornwalii, nie w Londynie. Ale do szkoły chodził w Idrisie.

Idris. Kit czytał o tym miejscu w bibliotece Instytutu Londyńskiego. Legendarna ojczyzna Nocnych Łowców, miejsce pełne zielonych lasów, wysokich gór i lodowatych jezior, z miastem o szklanych wieżach. Musiał przyznać, że ta część jego osoby, która uwielbiała filmy fantasy i *Władcę Pierścieni*, pragnęła zobaczyć Idris.

Kazał tej części zamilknąć. Idris to sprawa Nocnych Łowców, a on jeszcze nie zdecydował, czy chce być Nocnym Łowcą. Właściwie to był względnie pewny, praktycznie całkowicie pewny, że nie chce.

– Biblioteka – oznajmił Ty.

Do Kita dotarło, że Ty nigdy nie wypowiada pięciu słów, kiedy wystarczy jedno. Stał przed drzwiami do sześciokątnej sypialni, a na ścianie za nim wisiały obrazy z żaglowcami. Niektóre były przekrzywione, jakby statki przechylały się na falach.

Ściany biblioteki pomalowano na ciemnoniebiesko, a jedynym dziełem sztuki, jakie się tam znajdowało, było marmurowe popiersie mężczyzny ustawione na kamiennej kolumnie. Masywne biurko z mnóstwem szuflad okazało się rozczarująco puste. Poszukiwania za regałami i pod dywanem także ujawniły jedynie kłęby kurzu.

– Może powinniśmy sprawdzić inne pomieszczenia – zaproponował Kit, wynurzając się spod sekretarzyka z kurzem w jasnych włosach.

Ty pokręcił głową wyraźnie sfrustrowany.

– Coś tu jest. Mam przecucie.

Kit nie był pewien, czy Sherlock Holmes opierał się na przecuciach, ale nic nie powiedział, tylko się wyprostował. A wtedy dostrzegł kawałek papieru wystający zza małego pulpitu do pisania. Pociągnął za rozek.

To był stary papier, tak zniszczony, że prawie przezroczysty. Kit zamrugał. Napisano na nim wielokrotnie jego nazwisko – Herondale.

Przeplatało się z drugim nazwiskiem tak, że oba słowa tworzyły powtarzający się wzór.

Drugie słowo brzmiało „Blackthorn”.

Ogarnął go głęboki niepokój. Szybko schował papier do kieszeni spodni, kiedy Ty powiedział:

– Przesuń się. Chcę podejść, żeby obejrzeć ten biust.

Dla Kita słowo „biust” miało tylko jedno znaczenie, a ponieważ jedyne piersi w tym pomieszczeniu należały do siostry Ty’a, odsunął się skwapliwie. Ty podszedł do popiersia na marmurowej kolumnie. Zdjął kaptur; włosy mu stały na głowie, miękkie jak puch czarnego łabędzia.

Dotknął małej tabliczki pod rzeźbą.

– Umrzeć za przyjaciela nie jest trudno. Trudno jest znaleźć takiego, za którego warto umrzeć – przeczytał.

– Homer – powiedziała Livvy.

Jakkolwiek wyglądała edukacja Nocnych Łowców, Kit musiał przyznać, że otrzymywali gruntowne wykształcenie.

– Najwyraźniej – zgodził się Ty, wyciągając sztylet.

Chwilę potem wbił ostrze w rzeźbiony oczodoł popiersia. Livvy krzyknęła.

– Tiberius, co ty...?

Brat wyszarpnął ostrze i zrobił to samo z drugim oczodołem. Tym razem coś okrągłego i lśniącego wypadło z dziury w gipsie z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Ty złapał to w lewą rękę.

Uśmiechnął się szeroko i to całkowicie odmieniło jego twarz. Kiedy była nieruchoma i pozbawiona wyrazu, miała w sobie intensywność, która fascynowała Kita. Gdy zaś Ty się uśmiechał, był nadzwyczajny.

– Co znalazłeś? – Livvy śmignęła przez pokój i stanęła z Kitem obok Tiberiusa, który trzymał w ręce wielofasetowy kryształ wielkości dziecięcej piąstki. – I skąd wiedziałeś, że to tam jest?

– Kiedy wypowiedziałaś imię Homera, przypomniałem sobie, że był ślepy. Niemal zawsze przedstawia się go z zamkniętymi oczami albo z przepaską na oczach. Ten posąg miał jednak otwarte oczy. Przyjrzałem się uważniej i zobaczyłem, że popiersie jest z marmuru, ale oczy są z gipsu. Potem to już...

– Elementarne? – podsunął Kit.

– Wiesz, w książkach Holmes nigdy nie mówi: „To elementarne, drogi Watsonie” – zauważył Ty.

– Przysięgłbym, że widziałem to na filmach – odrzekł Kit. – Albo może w telewizji.

– Kto by chciał oglądać filmy albo telewizję, kiedy są książki? – odparł z pogardą Ty.

– Czy ktoś mógłby się skupić? – zapytała Livvy, potrząsając z irytacją kucykiem. – Co właściwie znalazłeś?

– To kryształ *aletheia*. – Ty podniósł klejnot tak, żeby rozbłysnął w magicznym świetle siostry. – Spójrz.

Kit zerknął na fasety kamienia. Ku jego zdumieniu na powierzchni kryształu rozbłysła twarz jak obraz widziany we śnie. Twarz kobiety otoczona chmurą długich czarnych włosów.

– Rety! – Livvy zasłoniła usta ręką. – Trochę przypomina mnie. Ale jak...?

– Kryształ *aletheia* może pochwycić i przechować wspomnienia. Myślę, że ten jest związany z Annabel.

– *Aletheia* to greckie słowo – zauważyła Livvy.

– To imię greckiej bogini prawdy – powiedział Kit. Wzruszył ramionami, kiedy spojrzeli na niego. – Wypracowanie z lektury w dziewiątej klasie.

Ty uśmiechnął się kącikiem ust.

– Doskonale, Watsonie.

– Nie nazywaj mnie Watsonem.

Ty go zignorował.

– Musimy zorientować się, jak uzyskać dostęp do tego, co uwięziono w kryształach. Najszybciej jak się da. To może pomóc Julianowi i Emmie.

– Nie wiesz, jak się dostać do kryształu? – zapytał Kit.

Ty pokręcił głową, nie kryjąc niezadowolenia.

– To nie jest magia Nocnych Łowców. A my nie uczymy się o innych rodzajach magii. To zakazane.

Kita uderzyła głupota tej zasady. Jak masz zrozumieć, w jaki sposób działają wrogowie, jeśli zakazano ci uczenia się o tym?

– Powinniśmy już iść – powiedziała Livvy. – Zaczyna się ściemniać. Czas demonów.

Kit zerknął za okno. Niebo ciemniało, plama zmierzchu rozlewała się po błękicie. Cienie padały na Londyn.

– Mam pomysł – powiedział. – Może zaniesiemy kryształ na tutejszy Nocny Targ? Potrafię się poruszać po Targu. Mogę znaleźć czarownika albo

nawet wiedźmę, która pomoże nam dobrać się do tego, co siedzi w tym kryształach.

Bliźnięta spojrzały po sobie. Z wyraźnym wahaniem.

– Nie powinniśmy chodzić na Nocny Targ – rzekła Livvy.

– To powiedzcie im, że uciekłem na Targ, a wy musieliście mnie znaleźć. Gdybyście kiedykolwiek musieli się z tego tłumaczyć. Do czego nie dojdzie.

Żadne z nich się nie odezwało, ale Kit dostrzegł ciekawość w szarych oczach Ty'a.

– Dajcie spokój – powiedział, zniżając głos w sposób, w jaki nauczył go ojciec, kiedy przekonuje się ludzi, że mówi się coś na serio. – W domu Julian nigdzie was nie puszcza. Teraz macie szansę. Przecież zawsze chcieliście zobaczyć Nocny Targ, nie?

Livvy pierwsza się złamała.

– W porządku – powiedziała, zerknąwszy na brata, żeby upewnić się, że się z nią zgadza. – Pójdziemy, jeśli wiesz, gdzie Targ się odbywa.

Błada twarz Ty'a zapłonęła podnieceniem. Kit poczuł, że ta sama iskra zapłonęła i w nim. Nocny Targ. Jego dom, jego azyl, miejsce, gdzie się wychował.

W kwestiach demonów i artefaktów to Livvy i Ty wiedzieli wszystko, a on nic. Jednak na Nocnym Targu mógł zabłysnąć. Zaszokuje ich. Zaimponuje im.

A potem może zdoła się im wymknąć i uciec.

* * *

Cienie zdążyły się wydłużyć, zanim Julian i Emma skończyli lunch. Julian kupił trochę jedzenia i innych drobiazgów w małym sklepiku spożywczym, podczas gdy Emma pobiegła do sąsiedniego lokalu – sklepu w stylu New Age, w którym sprzedawano karty tarota i kryształowe gnomy, żeby tam kupić piżamy i T-shirty. Kiedy wyszła, szczyrzyła zęby w uśmiechu. Wyjęła niebiesko-fioletowy T-shirt ozdobiony uśmiechającym się jednorożcem. To był prezent dla Julesa, który spojrział na niego ze zgrozą. Schowała koszulkę skrupulatnie do jego plecaka, zanim ruszyli przez miasto, żeby znaleźć początek nadmorskiej ścieżki.

Wzgórza wznosiły się stromo nad wodą. To nie była łatwa wspinaczka.

Ścieżka oznaczona jedynie tabliczką „NA KLIFY” wiła się skrajem miasteczka i wśród domów, które niepewnie przycupnęły na stoku i wyglądały, jakby w każdej chwili mogły spaść do półksiężycowatej przystani.

Nocnych Łowców przygotowywano jednak do znacznie trudniejszych zadań, więc utrzymywali niezłe tempo. Wkrótce znaleźli się poza właściwym miasteczkiem i szli wąską ścieżką. Po ich prawej stronie wzgórza wnosiły się w niebo, po lewej opadały do morza.

Samo morze było świetliste, ciemnoniebieskie i jarzyło się jak lampa. Chmury w kolorze muszli wiły się po niebie. To było piękne w zupełnie inny sposób niż zachód słońca nad Pacyfikiem. Zamiast surowych kolorów morza i pustyni tu wszystko miało delikatne pastelowe odcienie – zielenie, błękity i róże.

Surowe zaś były same klify. Zbliźali się do „kościelnej” części urwiska – skalistego cypla, który wchodził w morze, ukoronowanego szpikulcami z szarego kamienia rysującymi się złowieszczo na tle różanego nieba. Wzgórze się skończyło, teraz znajdowali się na mierzei. Długie, szare płyty łupku wyglądały jak talia kart, którą przetasowano, a potem spiętrzone tak, że z obu stron osypywały się stromo do morza.

Dom, który widzieli z miasteczka, usadowił się wśród skał, a za nim wznosiła się szpiczasta korona kamiennego kościoła. Kiedy Emma się zbliżyła, poczuła siłę zaklęcia niczym odpychającą ją ścianę.

Jules też zwolnił.

– Tu jest tabliczka – powiedział. – Napisano, że to miejsce należy do National Trust. Zakaz wstępu.

Emma się skrzywiła.

– Zakaz wstępu oznacza zwykle, że miejscowe dzieciaki tam przesiadują i wszędzie walają się opakowania po batonikach i butelki po alkoholu.

– Sam nie wiem. Czar ochronny jest bardzo silny. Działa nie tylko na wzrok, ale i na poziomie emocjonalnym. Czujesz to, prawda?

Emma skinęła głową. Z chatki biły fale mówiące „trzymaj się z dala”, „niebezpieczeństwo” i „tu nie ma niczego do oglądania”. Trochę jakby rozniewany nieznajomy nawrzeszczał na ciebie w autobusie.

– Weź mnie za rękę – polecił Julian.

– Co?

Odwróciła się zaskoczona. Wyciągał do niej rękę. Widziała bladą smugę od kredki na jego skórze. Poruszył palcami.

– Razem lepiej sobie z tym poradzimy – wyjaśnił. – Skup się na odpychaniu zaklęcia.

Emma wzięła go za rękę. Poczowała wstrząs pod wpływem jego dotyku. Miał ciepłą i miękką skórę, chropowatą w miejscach odcisków. Zacisnął palce na jej dłoni.

Ruszyli przed siebie, minęli bramę i weszli na ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi. Emma wyobraziła sobie czar jako zasłonę, coś namacalnego. Wyobraziła sobie, jak odsuwa ją na bok. To było trudne jak podnoszenie ciężaru siłą woli, ale płynęła przez nią siła Juliana, przez palce i nadgarstek po jej ręce, do serca i płuc.

Natychmiast się skoncentrowała. Niemal bez wysiłku odsunęła czar na obok. Nagle ujrzała chatę wyraźnie – okien wcale nie zabito deskami, były całe i czyste, frontowe drzwi pomalowano niedawno na jasnoniebiesko. Nawet klamkę dopiero co wypolerowano na lśniący brąz. Julian złapał ją i pchnął drzwi, które otworzyły się, zapraszając ich do środka.

Wrażenie, że coś rozkazuje im opuścić chatę, zniknęło. Emma puściła dłoń Juliana i weszła do środka. Było tam za ciemno, żeby cokolwiek widzieć. Wyjęła runiczny kamień z kieszeni i spowiło ich światło.

Stojący za nią Julian zagwizdał cicho zaskoczony.

– Nie wygląda na opuszczony. Ani trochę.

To był mały, ładny pokój. Pod oknem z widokiem na wioskę w dole stało drewniane łóżko z baldachimem. Meble – ręcznie pomalowane w odcieniu błękitów, szarości i delikatnych morskich turkusów – stały pośród zatrzęsienia szmacianych dywaników.

Pod dwiema ścianami znajdowała się kuchnia ze wszystkimi nowoczesnymi udogodnieniami: ekspresem do kawy, kuchenką, zmywarką i granitowymi blatami. Dwoje drzwi wychodziło z głównego pokoju. Emma sprawdziła je i znalazła mały gabinet z ręcznie pomalowanym biurkiem oraz wyłożoną niebieskimi kafelkami łazienkę z wanną, prysznicem i umywalką. Przekręciła kurki prysznic z niedowierzaniem i krzyknęła, kiedy obryzgała ją woda. Wszystko najwyraźniej działało, jakby ktoś, kto mieszkał w tej chatce i dbał o nią z miłością, dopiero co ją opuścił.

– Chyba możemy tu zostać – powiedziała, wróciwszy do salonu, gdzie

Julian włączył elektryczne światło.

– Już dawno sam na to wpadłem, Carstairs – odrzekł, otwierając kuchenną szafkę i wykładając zakupy. – Ładne miejsce, za darmo, a poza tym stąd łatwiej będzie prowadzić poszukiwania.

Emma odłożyła runiczny kamień i rozejrzała się z namysłem.

– Wiem, że to daleko posunięte przypuszczenie, ale nie myślisz, że Malcolm prowadził w sekrecie podwójne życie jako dzierżawca precyzyjnie umeblowanych letniskowych domków?

– Albo może czar, który rzucono na to miejsce, jest jeszcze silniejszy i tylko wydaje się nam, że to precyzyjnie umeblowany letniskowy domek, podczas gdy tak naprawdę to dziura w ziemi pełna szczurów.

Emma padła na łóżko. Koc był miękki jak chmurka, a materac niebiański w porównaniu z nierównym materacem w Instytucie Londyńskim.

– Najwspanialszych szczurów na świecie – oznajmiła, ciesząc się, że nie będą musieli zatrzymać się w pensjonacie.

– Wyobraź sobie ich maleńkie włochate ciała wijące się wokół ciebie. – Julian odwrócił się do niej z półuśmiechem na twarzy. Kiedy Emma była mała, przeraźliwie bała się szczurów i innych gryzoni.

Usiadła i spiorunowała go wzrokiem.

– Dlaczego próbujesz popsuć mi zabawę?

– Szczerze mówiąc, to nie wakacje. Nie dla nas. To misja. Mamy szukać czegoś, co podpowie nam, dokąd mogła odejść Annabel.

– Sama nie wiem. Ten dom wygląda, jakby został kompletnie, od zera odnowiony. Wybudowano go tak dawno, że skąd będziemy wiedzieć, co zostało z oryginalnego budynku? I czy Malcolm nie zabrałby wszystkiego, co miało dla niego jakąś wagę, do domu w L.A.?

– Niekoniecznie. Myślę, że ten dom był dla niego specjalnym miejscem. – Julian zaczął kciuki o szlufki dżinsów. – Popatrz, jak o niego dbał. To miejsce miało dla niego osobiste znaczenie. To naprawdę był jego dom. Nie jak to pudło ze szkła i stali, w którym mieszkał w Los Angeles.

– No to lepiej zacznijmy szukać.

Emma starała się powiedzieć to z entuzjazmem, ale była wyczerpana. Brak snu poprzedniej nocy, długa podróż pociągiem i niepokój o Cristinę kompletnie pozbawiły ją energii.

Julian spojrział na nią krytycznie.

– Zaparzę herbatę. To pomoże.

Emma zmarszczyła nos.

– Herbatę? Herbata to twoje rozwiązanie? Nawet nie jesteś Brytyjczykiem! Spędziłeś dwa miesiące w Anglii! Jakim cudem zdążyli zafundować ci pranie mózgu?

– Nie lubisz kawy, a potrzebujesz kofeiny.

– Przyjmuję kofeinę w jedyny sposób, w jaki to robią prawomyślni ludzie.

– Emma uniosła ręce i wyszła do gabinetu. – W postaci czekolady!

Zaczęła wysuwać szuflady z biurka. Były puste. Sprawdziła półki. Tam też nie znalazła niczego interesującego. Ruszyła przez pokój do szafy, kiedy usłyszała skrzypienie. Odwróciła się i przyklęła, odsuwając na bok dywanik.

Podłogę zrobiono z dębowych desek. Dokładnie pod dywanikiem widniał kwadrat z nieco jaśniejszego drewna i ledwie widocznych czarnych linii znaczących zarys dawnej kłapy w podłodze. Emma wyjęła stelę i przytknęła jej czubek do podłogi.

– Otwórz się – szepnęła, rysując run.

Rozległ się odgłos rozrywania. Kwadrat drewna został wyrwany i rozpadł się na trociny, które wpadły do dziury odsłoniętej przez Emmę. Otwór był nieco większy, niż się spodziewała. W środku leżało kilka małych książek i wielki, oprawny w skórę tom, na który spojrzała ze zdumieniem. Czyżby jakaś księga z czarami?

– Wysadziłaś coś przed chwilą? – Julian wszedł do pokoju z policzkiem umazany na czarno. Zerknął ponad ramieniem Emmy i zagwizdał. – Klasyczna skrytka w podłodze.

– Pomóż mi to wyjąć. Bierz się za ogromne tomisko.

Emma wyjęła trzy mniejsze książki. Wszystkie były oprawione w podniszczoną skórę z napisem MFB na grzbiecie i miały nierówno przycięte stronice.

– To nie jest książka – powiedział nieco dziwnym głosem Julian. – To kolekcja rysunków, portfolio.

Wyjął je i zaniósł do salonu, a Emma poszła pośpiesznie za nim. Dwa parujące kubki herbaty stały na wyspie kuchennej, a na kominku płonął ogień. Emma zdała sobie sprawę, że czarna smuga na policzku Juliana to pewnie popiół. Wyobrazila go sobie, jak cierpliwy i troskliwy klęczy, rozpalając dla nich ogień, i ogarnęła ją fala czułości.

Stał przy wyspie i delikatnie otwierał portfolio. Zapało mu dech w piersi. Pierwsza praca to była akwarela przedstawiająca Chapel Cliff z oddali. Kolory i kształty były niezwykle żywe, Emma dosłownie czuła chłód morskiego powietrza na szyi i słyszała krzyki mew.

– Piękne – powiedziała, siadając naprzeciwko Juliana na wysokim stołku.

– To dzieło Annabel. – Dotknął podpisu w prawym rogu. – Nie miałem pojęcia, że była artystką.

– Pewnie talent malarski płynie w waszych żyłach – powiedziała Emma.

Julian nie podniósł wzroku. Ostrożnie, niemal z nabożeństwem obracał strony. Było tam wiele pejzaży. Annabel najwyraźniej uwielbiała morze i załomy lądu, które je ograniczały. Namalowała także dziesiątki wizerunków rezydencji Blackthornów w Idrisie, skupiając się na miękkości złotego kamienia, urodzie ogrodów, ciernistych pnączach spowijających bramę. „Jak mural w twoim pokoju”, chciała powiedzieć Emma, ale tego nie zrobiła.

Julian nie zatrzymał się jednak przy żadnym z tych rysunków. Zamiast tego skupił się na szkicu bez wątpienia przedstawiającym chatę, w której właśnie się znajdowali. Otaczało ją drewniane ogrodzenie, w oddali widać było Polperro i pełne domów Warren rozlewające się na przeciwległym wzgórzu.

Malcolm opierał się o ogrodzenie. Wyglądał wręcz niemożliwie młodo, najwyraźniej wtedy jeszcze nie przestał się starzeć. Chociaż szkic wykonano ołówkiem, jakimś cudem Annabel udało się uchwycić jasność jego włosów, niezwykłość oczu. Oddano je z taką miłością, że Malcolm wyglądał pięknie. Wyglądał, jakby właśnie miał się uśmiechnąć.

– Myślę, że mieszkali tu dwieście lat temu, pewnie ukrywali się przed Clave – powiedział Julian. – Jest coś szczególnego w miejscu, w którym żyło się z kimś, kogo się kocha. Nabiera znaczenia w twoim umyśle. Staje się czymś więcej niż po prostu miejscem, staje się destylatem tego, co do siebie czujecie. Chwile, które spędzasz w jakimś miejscu z ukochaną osobą... stają się częścią zaprawy i cegieł. Częścią duszy tego miejsca.

Ogień oświetlił bok jego twarzy i włosy, zamieniając je w złoto. Emma poczuła łzy wzbierające jej w gardle. Zwalczyła je.

– Nie bez powodu Malcolm nie pozwolił temu domowi popaść w ruinę. Kochał go. Troszczył się o niego, ponieważ żył tutaj z Annabel.

Emma wzięła kubek z herbatą.

– I może było to miejsce, do którego chciał ją z powrotem sprowadzić?
Po wskrzeszeniu?

– Tak. Myślę, że Malcolm wskrzesił ciało Annabel gdzieś w pobliżu i że zamierzał ukryć się z nią tutaj tak jak kiedyś. – Julian otrząsnął się z dziwnego nastroju, w który popadł, jak mokry pies otrząsa wodę z sierści. – Na półkach stoi parę przewodników po Kornwalii. Przejrzę je. Co tam masz? Co jest w książkach?

Emma otworzyła pierwszą. Po wewnętrznej stronie okładki napisano:

Pamiętnik Malcolma Fade'a Blackthorna, lat 8.

– Na Anioła – powiedziała – to jego pamiętniki.

Zaczęła czytać na głos pierwszą stronę:

Nazywam się Malcolm Fade Blackthorn. Pierwsze dwie części mojego imienia sam wybrałem, ale ostatnią dali mi do użytkowania Blackthornowie, którzy przyjęli mnie z dobroci serca. Felix mówi, że jestem wychowankiem, chociaż nie wiem, co to właściwie znaczy. Twierdzi, że jestem czarownikiem. Kiedy to mówi, wydaje mi się, że to chyba nie jest najlepsza rzecz, ale Annabel pociesza mnie, żebym się nie martwił, że wszyscy rodzimy się tym, czym jesteśmy, i nie możemy tego zmienić. Annabel mówi...

Urwała. To był człowiek, który zamordował jej rodziców, ale też głos dziecka, bezradnego i zastanawiającego się, rozbrzmiewający echem przez stulecia. Dwieście lat. Pamiętnik nie miał daty, ale musiał zostać spisany na początku XIX wieku.

– „Annabel mówi” – szepnęła. – Zakochał się w niej tak wcześnie.

Julian odchrząknął i wstał.

– Na to wygląda. Będziemy musieli poszukać w pamiętniku wzmianek o miejscach, które były ważne dla nich obojga.

– Sporo tego – powiedziała Emma, zerkając na trzy tomy.

– Zatem czeka nas sporo czytania. Lepiej zaparzę więcej herbaty.

Żałosny jęk Emmy podążył za nim do kuchni:

– Tylko nie herbata!

Londyński Nocny Targ znajdował się przy południowym końcu London Bridge. Kit był rozczarowany, widząc, że to nudny betonowy most bez żadnych wież.

– Myślałem, że będzie wyglądał jak ten na pocztówkach – marudził.

– Mówisz o Tower Bridge – poinformowała go wyniośle Livvy, kiedy zaczęli schodzić wąskimi kamiennymi stopniami na poziom poniżej krzyżujących się w górze linii kolejowych. – To on jest na zdjęciach. Oryginalny London Bridge zburzono dawno temu. To jego nowoczesne zastępstwo.

Tablica reklamowała dzienny targ z owocami i warzywami, który dawno został zamknięty. Pomalowane na biało stragany dokładnie zabito deskami, bramę zamknięto. Nad wszystkim wznosił się cień katedry Southwark, zwalistego budynku ze szkła i kamienia, który przesłaniał widok na rzekę.

Kit doszedł do końca schodów i zamrugał, żeby rozproszyć czar maskujący. Obraz rozpadł się jak pajęczyna i przed jego oczami raptownie ożył Nocny Targ. Nadal używano wielu oryginalnych straganów dziennego targowiska (Kit pomyślał, że to sprytne ukryć się tak na widoku), ale teraz były one barwne i migotliwe, pomalowane na wszystkie kolory tęczy. Między straganami stały także wydymające się na wietrze namioty z jedwabiu i draperii, obok wejść wisiały tabliczki reklamujące wszystko od przepowiadania przyszłości po szczęśliwe amulety i zaklęcia miłosne.

Wmieszali się w zaaferowany tłum. Na straganach sprzedawano zaczarowane maski i stare roczniki krwi dla wampirów (Livvy wyglądała, jakby miała zwymiotować na widok butelek opisanych „gorący szkarłat z aromatem wiśni”), aptekarze uwijali się, sprzedając magiczne proszki i tynktury. Wilkołak o cienkich białych włosach sprzedawał butelki ze srebrzystym proszkiem, podczas gdy naprzeciwko niego wiedźma o skórze wytatuowanej w wielobarwne łuski handlowała księgami z czarami. Na kilku straganach sprzedawano zaklęcia odpędzające Nocnych Łowców, które sprawiły, że Livvy zachichotała.

Kit nie był równie rozbawiony.

– Obciążnijcie rękawy – powiedział. – I naciągnijcie kaptury. Zastłońcie Znaki najlepiej jak się da.

Livvy i Ty zrobili, co im kazał. Tiberius sięgnął też po słuchawki, ale się zawahał. Powoli zawiesił je na szyi.

– Nie powinienem ich zakładać – uznał. – Może będę musiał coś usłyszeć.

Livvy uścisnęła mu ramię i powiedziała do niego cicho coś, czego Kit nie usłyszał. Ty pokręcił głową i zbył ją machnięciem ręki, a potem zagłębili się w tłumie. Grupa bladokórych Dzieci Nocy zgromadziła się przy straganie reklamującym się słowami „MAMY CHĘTNE OFIARY”. Tłum ludzi siedział wokół stołu z surowej sosny i gawędził. Czasem jakiś wampir podchodził, pieniądze zmieniały właściciela, jeden z ludzi zostawał wciągnięty w cień i ugryziony.

Livvy wyrwało się zduszone prychnięcie.

– Są bardzo ostrożni – zapewnił ją Kit. – Podobne miejsce mają na Targu w L.A. Wampiry nigdy nie piją tyle, żeby kogoś skrzywdzić.

Zastanawiał się, czy powinien uspokoić też jakoś Ty'a. Ciemnowłosy chłopiec był blady, pot pokrył mu lśniąca warstewką kości policzkowe. Cały czas zaciskał i rozwierał pięści.

Nieco dalej inne stoisko ogłaszało się szyldem „SUROWIZNA”. Wilkołaki otaczały kilkanaście świeżych tusz zwierzęcych i sprzedawały przechodzącym klientom rwane garściami krwawe ochłapy. Livvy zmarszczyła brwi. Ty nic nie powiedział. Kit już wcześniej zauważył, że gierki słowne i żarty nieszczególnie interesowały Ty'a, a w tej chwili wyglądał, jakby walczył o to, żeby wchłonąć wszystkie szczegóły Targu i przy tym nie zwymiotować.

– Załóż słuchawki – mruknęła do niego Livvy. – To żaden problem.

Ty znowu pokręcił głową. Czarne włosy kleiły mu się do czoła. Kit zmarszczył brwi. Chciał złapać Ty'a i wyciągnąć z Targu w jakieś spokojne i ciche miejsce. Przypomnił sobie, jak Ty powiedział, że w hałasie i zgiełku czuje się „jakby miał głowę pełną potłuczonego szkła”.

Ponadto coś z tym Targiem było nie tak, działo się tu coś dziwnego.

– Chyba zapędziliśmy się w rejon z jedzeniem – powiedziała Livvy, krzywiąc twarz. – Żałuję.

– Tędy. – Kit odwrócił się w stronę katedry. Zwykle na Targu było miejsce, gdzie zbierali się czarownicy; na razie widział tylko wampiry, wilkołaki, więdźmy i...

Zwolnił i się zatrzymał.

– Nie ma faerie – powiedział.

– Co? – zapytała Livvy, prawie na niego wpadając.

– Na Targu zwykle jest mnóstwo faerie. Sprzedają wszystko od szat niewidzialności po worki z jedzeniem, które są zawsze pełne. Ale tu nie widziałem ani jednego.

– A ja owszem. – Ty wskazał miejsce.

W pobliżu stał duży kram, który obsługiwała wiedźma płci męskiej o długich siwych włosach splecionych w warkocze. Przed straganem stał przykryty zielonym płótnem stół, na którym wystawiono staroświeckie klatki dla ptaków z pomalowanego na biało kutego żelaza. Każda była ładna sama w sobie i przez chwilę Kit myślał, że to właśnie one są na sprzedaż.

A potem przyjrzał się uważniej. W każdej klatce uwięziono małą istotę. Różne piksy, niksy, skrzaty, a nawet goblin, któremu tak zapuchły powieki, że ledwie cokolwiek widział – pewnie z powodu bliskości zimnego żelaza. Pozostałe faerie świergotały żałośnie i cicho, łapały za kraty i zaraz puszczały je z cichym krzykiem bólu.

Ty pobladł zboląły. Drżały mu ręce. Kit pomyślał o Ty’u na pustyni, który głaskał małe jaszczurki, chował myszki do kieszeni, łapał tchórze, żeby dotrzymywały mu towarzystwa. O Ty’u, którego poruszała dola wszystkich małych i bezradnych żywych stworzeń.

– Nie możemy ich tak tu zostawić.

– Pewnie sprzedają je na krew i kości – dodała Livvy drżącym głosem. – Musimy coś zrobić.

– Nie macie tu żadnej władzy, Nocni Łowcy.

Zimny, oschły głos sprawił, że odwrócili się gwałtownie.

Stała przed nimi kobieta. Miała skórę ciemną jak mahoń, a włosy lśniące jak brąz i wysoko upięte na głowie. Źrenice jej oczu wyglądały jak złote gwiazdy. Miała na sobie błękitnawo-białe spodnium i nosiła wysokie, połyskujące szpilki. Jej wiek plasował się gdzieś między osiemnastką a trzydziestką.

Uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrzeli.

– Rozpoznaję Nocnych Łowców, nawet kiedy tak niezręcznie ukrywają Znaki. Sugerowałabym, żebyście opuścili Targ, zanim zauważy was ktoś mniej przyjazny niż ja.

Bliźnięta sięgnęły dyskretnie ku pasom z bronią, zatrzymując ręce w pobliżu rękojeści serafickich noży. Kit wiedział, że to jego wielka chwila. Mógł teraz pokazać, jak dobrze radzi sobie na Targu i w kontaktach z jego

bywalcami.

Nie mówiąc już o tym, że mógł zapobiec rozlewowi krwi.

– Jestem emisariuszem Barnabasa Hale’a – powiedział. – Z Targu w Los Angeles. Ci Nocni Łowcy są pod moją ochroną. Kim jesteś?

– Hypatia Vex – odpowiedziała. – Jestem jedną z szefowych tego Targu. – Zmrużyła gwiazdziste oczy, patrząc na Kita. – Mówisz, że reprezentujesz Barnabasa? Dlaczego miałabym ci uwierzyć?

– O Barnabasie wiedzą tylko ci, którym Barnabas pozwala o sobie wiedzieć.

Skinęła lekko głową.

– A Nocni Łowcy? Ich też przysłał Barnabas?

– Mam skonsultować się z czarownikiem na temat pewnego magicznego przedmiotu. – Kit zapędził się teraz daleko w kłamstwa, oszustwa i podstęp. – Przedmiot znajduje się w ich posiadaniu.

– Dobrze więc. Skoro Barnabas przysłał cię do czarownika, to do którego konkretnie?

– Do mnie – rozległ się basowy głos w mroku.

Kit odwrócił się i zobaczył postać stojącą przed dużym ciemnozielonym namiotem. Głos należał do mężczyzny, ale poza tym postać była tak odziana – w ciężką szatę, kaptur, rękawiczki – że nie sposób było rozpoznać płeć.

– Ja się tym zajmę, Hypatio.

Hypatia zamrugnęła powoli. Zupełnie jakby gwiazdy zniknęły za chmurą i ponownie się pojawiły.

– Skoro nalegasz.

Wyglądało na to, że odwróci się i odejdzie, ale zatrzymała się, oglądając się przez ramię na Livvy i Ty’a.

– Skoro współczujecie tym stworzeniom, tym faerie umierającym w klatkach, to pomyślcie o tym: gdyby nie Zimny Pokój, przy którym obstają wasi ludzie, nie byłoby ich tutaj. Macie ich krew na rękach, Nocni Łowcy.

Zniknęła między dwoma namiotami. Tiberius był zrozpaczony.

– Ale moje ręce...

– To tylko takie powiedzenie. – Livvy objęła brata, tuląc go mocno do siebie. – To nie twoja wina, ona po prostu jest okrutna.

– Powinniśmy już iść – powiedział Kit do spowitego szatą czarownika, który skinął głową.

– Chodźcie ze mną – zaproponował i wszedł do namiotu.
Pozostali poszli za nim.

* * *

Wnętrze namiotu było zaskakująco czyste i proste. Drewniana podłoga, prosta prycza, kilka regałów z książkami, mapami, butelkami proszków, świecami w różnych kolorach i słojami z niepokojąco barwnymi płynami. Ty odetchnął i oparł się o jeden ze słupów namiotu. Ulga wyraźnie malowała się na jego twarzy, gdy rozkoszował się względnym spokojem i ciszą. Kit chciał podejść do niego i zapytać, czy wszystko jest teraz w porządku po kakofonii Targu, ale Livvy już stała przy bracie, odgarniała spocone włosy z jego czoła. Ty skinął głową i powiedział jej coś, czego Kit nie dosłyszał.

– Chodźcie – powiedział czarownik. – Usiądźcie ze mną.

Wskazał miejsce. Pośrodku namiotu stał mały stół otoczony krzesłami. Nocni Łowcy usiedli, a zakapturzony czarownik siadł naprzeciwko nich. W migoczącym świetle Kit dostrzegł brzezi maski pod kapturem, która zasłaniała twarz gospodarza.

– Możecie nazywać mnie „Cień” – powiedział. – Nie tak się nazywam, ale tyle wystarczy.

– Dlaczego dla nas kłamałeś? – spytała Livvy. – Nie zawarłeś żadnej umowy z Barnabasem.

– Och, zawarłem, i to kilka. Żadna z nich nie dotyczy was, mówiąc szczerze, ale znam Barnabasa. A wy mnie ciekawicie. Niewielu Nocnych Łowców zna jego imię.

– Nie jestem Nocnym Łowcą – odparł Kit.

– Ależ oczywiście, że jesteś – powiedział Cień. – Jesteś nowym Herondale’em, ściśle rzecz ujmując.

– Skąd to wiesz? – zapytała ostro Livvy. – Mów natychmiast.

– Z powodu twojej twarzy – powiedział Cień do Kita. – Twojej ślicznej, ślicznej buzi. Nie jesteś pierwszym Herondale’em, jakiego spotykam, nie pierwszym nawet z oczami jak destylowany zmierzch. Nie wiem, dlaczego masz tylko jeden Znak, ale z pewnością mogę odgadnąć. – Złożył dłonie pod podbródkiem. Kitowi wydawało się, że dostrzegł błysk zielonej skóry na nadgarstku, tuż za krawędzią rękawiczki. – Muszę powiedzieć, że nigdy

nie myślałem, że będę miał przyjemność zabawić Zaginionego Herondale'a.

– Nie czuję się szczególnie ubawiony – odrzekł Kit. – Wolałbym obejrzeć jakiś film.

Livvy pochyliła się.

– Przepraszam – powiedziała. – Robi się taki, kiedy jest zakłopotany. Sarkastyczny.

– Kto by pomyślał, że to także jest dziedziczna cecha? – Cień wyciągnął dłoń w rękawicze. – A teraz pokażcie, co przynieśliście. Domyślam się, że to akurat nie było kłamstwem.

Ty sięgnął do kurtki i wyjął kryształ *aletheia*. W świetle świec lśnił jeszcze bardziej niż dotąd.

Cień zarechotał.

– Naczynie na wspomnienia – powiedział. – Wygląda na to, że może jednak obejrzysz sobie film. – Wyciągnął rękę i po chwili wahania Ty pozwolił mu zabrać kryształ.

Cień położył kryształ delikatnie pośrodku stołu. Przesunął nad nim ręką, a potem zmarszczył brwi i zdjął rękawiczkę. Tak jak myślał Kit, skóra na ręce okazała się ciemnozielona. Zastanawiał się, czemu Cień zawraca sobie głowę zasłanianiem czegoś takiego tu, na Nocnym Targu, gdzie czarownicy to coś naturalnego.

Cień przesunął gołą ręką nad kryształem i zamruczał. Świece w namiocie zaczęły migotać. Pomruk przybrał na sile i Kit rozpoznał słowa łaciny, której uczył się przez trzy miesiące w szkole – potem uznał, że nie ma sensu uczyć się języka, w którym nie będzie mógł porozmawiać z nikim poza papieżem, na którego spotkanie szanse miał raczej nikłe.

Teraz musiał jednak przyznać, że ten język ma swój ciężar gatunkowy; miało się wrażenie, że każde słowo niesie ze sobą głębszy sens. Świece zgasły, ale w pomieszczeniu nie było ciemno – kryształ jarzył się coraz jaśniej pod dotykiem Cienia.

W końcu skupiony promień światła buchnął z kryształu i Kit zdał sobie sprawę, co miał na myśli Cień, kiedy żartował o filmie. Promień działał jak snop światła z projektora, rzucając obrazy na ciemną ścianę namiotu.

Dziewczyna siedziała przywiązana do krzesła w czymś w rodzaju audytorium – w okrągłym pokoju wypełnionym ławkami. Za oknami pomieszczenia Kit widział ośnieżone góry. Chociaż trwała najpewniej zima,

dziewczyna miała na sobie tylko luźną białą sukienkę. Była bosa, a jej długie ciemne włosy zwieszały się splątane.

Bardzo przypominała Livvy – do tego stopnia, że widok jej twarzy wykrzywionej w bólu i przerażeniu sprawił, że Kit cały zeszywniał.

– Annabel Blackthorn.

Drobny, przygarbiony mężczyzna wszedł na scenę. Był ubrany na czarno. Nosił szpilkę bardzo podobną do szpilki, jaką Diego przypinał do ramienia munduru. Miał naciągnięty na głowę kaptur. Z tego powodu oraz kąta, pod jakim kryształ ukazywał scenę, trudno było dostrzec dokładnie jego twarz albo sylwetkę.

– Inkwizytor – mruknął Cień. – Był wtedy Centurionem.

– Stałeś przed nami – ciągnął mężczyzna – oskarżona o zadawanie się z Podziemnymi. Twoja rodzina przygarnęła czarownika Malcolm'a Fade'a i wychowała go jak twojego brata. Odpłacił im się za ich dobroć podłą zdradą. Ukradł Czarną Księgę Umarłych z Instytutu w Kornwalii, a ty mu w tym pomogłeś.

– Gdzie jest Malcolm? – Głos Annabel drżał, ale był czysty i pewny. – Dlaczego go tu nie ma? Odmawiam zeznań bez niego.

– Tak jesteś przywiązana do swojego czarnoksięskiego grabieżcy? – zaszydził Inkwizytor.

Livvy wyrwał się zduszony okrzyk. Annabel była wściekła. Zaciska zęby jak Livia, pomyślał Kit, ale ma też w sobie coś z Ty'a i pozostałych Blackthornów. Wyniosłość Juliana. Delikatność Dru, zamyślenie malujące się w oczach i ustach jak u Ty'a.

– Zatem czy rozczarujesz się, słysząc, że przepadł?

– Przepadł? – powtórzyła osłupiała Annabel.

– Zniknął nocą ze swojej celi w Cichym Mieście. Porzucił cię, zostawiając na naszej łasce.

Annabel zacisnęła dłonie złożone na kolanach.

– To nie może być prawda. Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście?

– Niczego mu nie zrobiliśmy. Z radością zeznam to, trzymając w dłoniach Miecz Anioła – odpowiedział Inkwizytor. – I właśnie tego od ciebie teraz oczekujemy, a potem cię uwolnimy: ujawnij nam miejsce pobytu Fade'a. Dlaczego pytalibyśmy o to, gdyby nie uciekł naprawdę?

Annabel kręciła wściekle głową, a ciemne włosy uderzały ją w twarz.

– Nie zostawiłby mnie – szepnęła. – Nie zostawiłby.

– Lepiej stawić czoło prawdzie – powiedział Inkwizytor. – Posłużył się tobą, żeby uzyskać dostęp do Instytut Kornwalijskiego i ukraść Księgę. Kiedy już zdobył to, czego chciał, zniknął i zostawił cię samą, żeby spadł na ciebie cały nasz gniew.

– Chciał jej dla naszej ochrony. – Głos jej drżał. – Żebyśmy mogli zacząć nowe, wspólne życie gdzieś, gdzie będziemy bezpieczni. Bezpieczni przed Prawem i przed wami.

– Czarna Księga nie zawiera czarów ochronnych – powiedział Inkwizytor. – Byłaby dla was pomocna tylko wtedy, gdybyście sprzedali ją komuś potężnemu. Kim był potężny sprzymierzeniec Fade’a?

Annabel pokręciła głową, unosząc z uporem podbródek. Za jej plecami ktoś nowy wszedł do pokoju. Kobieta o surowej twarzy, która niosła coś, co wyglądało jak zawiniątko z czarnego materiału. Na jej widok Kitowi przeszedł dreszcz po plecach.

– Nic wam nie powiem. Nawet jeśli posłużycie się Mieczem.

– Rzeczywiście nie możemy wierzyć w to, co powiesz pod Mieczem – odrzekł Inkwizytor. – Malcolm cię skalał...

– Skalał?! – powtórzyła ze zgrozą Annabel. – Znaczy... Znaczy, że teraz jestem splugawiona?

– Splugawiłaś się w chwili, kiedy pierwszy raz go dotknęłaś. A teraz nie wiemy, jak bardzo cię zmienił. Możliwe, że coś cię chroni przed naszymi instrumentami sprawiedliwości. Jakieś nieznanne nam zaklęcia. Musimy więc załatwić to tak, jak robią to Przyziemni.

Kobieta o surowej twarzy stanęła obok Inkwizytora. Podała mu czarne zawiniątko. On odwinął materiał, ukazując różne ostre przedmioty. Noże, brzytwy i szydła. Niektóre z ostrzy już były splamione rdzawą czerwienią.

– Powiedz nam, kto ma Księgę, a ból się skończy – powiedział Inkwizytor, unosząc brzytwę.

Annabel zaczęła krzyczeć.

Na szczęście obraz pociemniał. Livvy pobladła. Ty pochylał się, obejmując się mocno ramionami. Kit chciał go dotknąć, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze, przekazać to w sposób, który go samego zaskoczył.

– Jest coś jeszcze – powiedział Cień. – Inna scena. Patrzcie.

Obraz na ścianie się zmienił. Nadal znajdowali się w tym samym

audytorium, ale trwała noc i okna były ciemne. Biało-złote pochodnie oświetlały pomieszczenie. Widzieli teraz twarz Inkwizytora, podczas gdy wcześniej dostrzegali tylko krawędzie jego ciemnego ubrania i rąk. Nie był tak stary, jak Kit się spodziewał. Był to dość młody mężczyzna o ciemnych włosach.

Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć grupy mężczyzn w różnym wieku. Kit nie dostrzegł kobiet. Pozostali nie nosili szat, tylko ubrania w stylu regencji: spodnie z kozłej skóry, podcięte z przodu fraki. Niektórzy nosili także baczki, a paru miało schludnie przystrzyżone brody. Wyglądali na poruszonych.

– Feliksie Blackthorn – powiedział Inkwizytor nieco przeciągle – twoja córka Annabel została wybrana na Żelazną Siostrę. Wysłano ją do ciebie, by się pożegnała, ale teraz słyszę od pań z Adamantowej Cytadeli, że nigdy do nich nie przybyła. Masz pojęcie, gdzie się podziewa?

Mężczyzna o przetykanych siwizną kasztanowych włosach zmarszczył brwi. Kit wpatrywał się w niego z fascynacją: oto żywy przodek Ty'a i Livvy, Juliana i Marka. Miał szeroką twarz zdradzającą oznaki wybuchowego charakteru.

– Jeśli sugerujesz, że ukrywam córkę, to zaprzeczam temu. Splugawiła się dotykiem czarownika i nie jest już członkiem naszej rodziny.

– Mój wuj mówi prawdę – odezwał się inny mężczyzna, młodszy. – Annabel umarła dla nas.

– Co za barwny obraz. Nie miejcie mi za złe, jeśli uznam, że to coś więcej niż tylko obraz.

Młody mężczyzna się wzdrygnął. Twarz Feliksa Blackthorna się nie zmieniła.

– Nie miałbyś nic przeciwko próbie Miecza Anioła, prawda, Feliksie? – zapytał Inkwizytor. – Żebyśmy się upewnili, że naprawdę nie wiesz, gdzie się znajduje twoja córka.

– Odesłałeś nam ją okaleczoną torturami i na wpół szaloną – warknął młodszy Blackthorn. – Nie wmawiaj nam teraz, że przejmujesz się jej losem!

– Nie otrzymała poważniejszych ran niż wielu Nocnych Łowców w walce, ale śmierć to coś całkiem innego. A Żelazne Siostry się dopytują.

– Czy mogę się wtrącić? – zapytał inny mężczyzna; miał ciemne włosy i arystokratyczną twarz.

Inkwizytor skinął głową.

– Odkąd Annabel Blackthorn dołączyła do Żelaznych Sióstr, Malcolm Fade stał się prawdziwym sojusznikiem Nefilim. Jest jednym z tych nielicznych czarowników, na których możemy liczyć, i jest niezastąpiony w walce.

– Do czego zmierzasz, Herondale?

– Jeśli nie będzie myślał, że jego dama opuściła go, powiedzmy, dobrowolnie, albo dowie się, że stała jej się jakaś krzywda, myślę, że przestanie być dla nas tak cennym atutem.

– Damy z Adamantowej Cytadeli nie opuszczają swojej wyspy, żeby rozsiewać plotki – dodał inny mężczyzna o wąskiej twarzy fretki. – Jeśli rozmowy o losie nieszczęsnej Annabel zakończą się tutaj, to zakończą się w ogóle. Może uciekła, może padła ofiarą demona albo rozbójnika po drodze do Cytadeli. Możliwe, że nigdy nie poznamy prawdy.

Inkwizytor popukał palcami w podłokietnik krzesła. Patrzył na Feliksa Blackthorna. Kaptur przesłaniał mu oczy i Kit nie potrafił powiedzieć, co tamten myśli. Wreszcie powiedział:

– Okazałeś ogromny spryt, Feliksie, wciągając w sprawę swoich przyjaciół. Wiesz, że nie mogę ukarać was wszystkich, nie wywołując chaosu. I masz rację co do Fade'a. W pobliżu Scholomancji doszło do powstania demonów i jest nam potrzebny. – Uniósł ręce. – Dobrze więc. Nigdy więcej nie wrócimy do tej kwestii.

Na twarzy Feliksa Blackthorna odmalowała się ulga pomieszana z dziwnym rozgoryczeniem.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, Inkwizytorze Dearborn.

Obraz zwięził się do punkciku czerni i zgasł.

Przez chwilę Kit siedział nieruchomo. Słyszał, jak Livvy i Ty dopytują się gwałtownie, a Cień im odpowiada:

– Tak, obraz to prawdziwe wspomnienie. Nie, nie można określić, czyje to wspomnienia. Wizja ma pewnie dwieście lat.

Wyraźnie poruszyła ich wzmianka o Inkwizytorze Dearbornie. Jednakże mózg Kita zaciął się na jednym słowie, jak materiał zaczepia się o hak.

Herondale.

Jeden z tych okropnych mężczyzn był jego przodkiem. Herondale'owie, Dearbornowie i Blackthornowie wspólnie zatuszowali torturowanie i zamordowanie młodej kobiety, której jedyną zbrodnią było to, że pokochała

czarownika. Myśleć, że jest spokrewniony z Jace'em, którego najwyraźniej powszechnie uwielbiano i który był we wszystkim doskonały, to jedno. Wszyscy mówili mu o Herondale'ach jakby to była rodzina królewska, książęta ratujący świat.

Przypomniawszy sobie słowa Arthura:

– Jakim Herondale'em będziesz? Williamem czy Tobiasem? Stephenem czy Jace'em? Pięknym, zgorzkniałym, a może jednym i drugim jednocześnie?

– Rook! – Front namiotu nagle zadygotał. – Kit Rook, wychodź stamtąd natychmiast!

Rozmowy w namiocie natychmiast ucichły. Kit zaniemówił. Nie był już Kitem Rookiem, ale Christopherem Herondale'em, był...

Wstał chwiejnie. Bliźniaki zerwały się za nim, a Ty zatrzymał się, żeby schować kryształ *aletheia* do kieszeni.

– Kit, nie... – zaczęła Livvy, wyciągając rękę, ale on już wychodził z namiotu.

Ktoś przywoływał go prawdziwym imieniem – a może to wcale nie było jego prawdziwe imię, ale częśćka jego osoby, której nie potrafił odrzucić. Wyszedł chwiejnie przed namiot.

Stał przed nim Barnabas Hale z rękami skrzyżowanymi na piersi. Pokryta łuskami biała skóra połyskiwała niezdrowo w świetle pochodni. Za nim czaiła się grupa wilkołaków – wielcy, muskularni mężczyźni i kobiety w czarnej skórze i nabijanych ćwiekami bransoletach. Sporo z nich miało mosiężne kastety.

– A zatem, mały Rooku – powiedział Barnabas i wężowy język wystrzelił mu spomiędzy zębów, gdy się uśmiechnął – jak to możliwe, że słyszę, że podobno załatwiasz tu dla mnie jakieś interesy?

U tych borów

– Mówiłem, żebyś trzymał się z dala od Nocnego Targu, Rook – powiedział Barnabas. – Istnieje jakiś powód, dla którego mnie nie posłuchałeś? Brak szacunku dla mnie czy po prostu brak szacunku dla Podziemnych w ogóle?

Zaczął się zbierać tłum, ciekawska mieszanka szydzących wampirów, uśmiechających się szeroko wilkołaków, nieufnych czarowników.

– Powiedziałaś, że bym trzymał się z dala od Targu w Los Angeles – odpowiedział Kit – a nie od wszystkich na świecie. Nie masz takiej władzy ani zasięgu i to właściciel Targu zadecyduje, czy mogę zostać, czy mam odejść.

– Czyli ja. – Powiedziała to Hypatia; jej gładka twarz pozostała beznamiętna.

– Myślałem, że jesteś tylko współwłaścicielką – zdziwił się Kit.

– Tyle wystarczy i powściągnij swoją impertynencję. Nie lubię, kiedy się mnie okłamuje, dziecko. A do tego przyprowadza ze sobą dwójkę Nefilim.

Z tłumy wyrwały się zduszone okrzyki. Kit skrzywił się w duchu. To nie potoczy się tak, jak sobie życzył.

– Oni nie popierają Zimnego Pokoju.

– A głosowali przeciwko niemu? – zapytała czarownica z kręgiem kolców wyrastających z szyi.

– Mieliśmy wtedy dziesięć lat – odpowiedziała Livvy. – Byliśmy za mali.

– Dzieci – syknął mężczyzna stojący za kontuarem z faerie w klatkach.

Trudno powiedzieć, czy powiedział to ze zdziwieniem, pogardą czy głodem w głosie.

– Och, nie chodzi tylko o to, że przyprowadził ze sobą Nefilim – wtrącił Barnabas, szczerząc zęby w węzowym uśmiechu. – Sam jest jednym z nich.

To szpieg Nocnych Łowców.

– Co robimy? – szepnął Ty.

Stali teraz tak ciasno, że Kit ledwie mógł ruszyć rękami, ściśnięty między Ty'em i Livvy.

– Wyciągnijcie broń – powiedział Kit. – Rozglądajcie się za drogą ucieczki.

Trzeba było przyznać bliźniętom, że żadne nawet nie odetchnęło nerwowo. Ich ręce poruszyły się błyskawicznie poza zasięgiem wzroku Kita.

– To kłamstwo! – zaprotestował. – Mój ojciec to Johnny Rook.

– A matka? – rozległ się basowy głos Cienia za ich plecami.

Za nimi też zebrał się tłum. Nie mogli tamtędy uciec.

– Nie wiem – rzucił przez zęby Kit. Ku jego zaskoczeniu Hypatia uniosła brwi, jakby wiedziała coś, o czym on nie miał pojęcia. – To nie ma znaczenia. Nie przyszliśmy, żeby was skrzywdzić albo szpiegować. Potrzebowaliśmy pomocy czarownika.

– Ale Nefilim mają własnych oswojonych czarowników – powiedział Barnabas – którzy są gotowi zdradzić Podziemny Świat, żeby wyrwać trochę kasy z kieszeni Clave. Chociaż po tym, co zrobiliście Malcolmowi...

– Malcolmowi? – Hypatia się wyprostowała. – To Blackthornowie? Odpowiedzialni za jego śmierć?

– Umarł tylko w połowie – sprostował Ty. – Powrócił na chwilę jako swego rodzaju demon morski. Teraz, oczywiście, już nie żyje – dodał, jakby zdał sobie sprawę, że w coś wdepnął.

– To dlatego Sherlock Holmes zostawia rozmowy Watsonowi – syknął do niego Kit.

– Holmes nigdy nie zostawia rozmów Watsonowi – warknął Ty. – Watson to jego wsparcie.

– Nie jestem wsparciem – powiedział Kit, wyciągając nóż z kieszeni. Usłyszał, jak wilkołaki się śmieją, szydząc z mizernych rozmiarów sztyletu, ale jemu to nie przeszkadzało. – Jak już powiedziałem – zwrócił się do nich – przyszliśmy tu, żeby spokojnie porozmawiać z czarownikiem i odejść. Dorastałem na Nocnych Targach. Nie mam nic przeciwko nim, podobnie jak moi towarzysze. Jeśli jednak nas zaatakujecie, będziemy się bronić. A potem zjawią się inni, inni Nefilim, żeby nas pomścić. I po co? Co na tym zyskacie?

– Chłopak ma rację – powiedział Cień. – Taka wojna nie będzie dla nikogo korzystna.

Barnabas zbył go machnięciem ręki. W jego oczach pojawił się fanatyczny błysk.

– Ale przykładowa kara przyda się wszystkim. Niech Nefilim się dowiedzą, jak to jest znaleźć martwe ciała własnych dzieci na progu i nie zaznać żadnej sprawiedliwości, nie otrzymać żadnej rekompensaty.

– Nie rób tego... – zaczęła Livvy.

– Załatwcie ich – powiedział Barnabas i stado jego wilkołaków oraz paru gapiów rzuciło się na Nocnych Łowców.

* * *

Światła Polperro lśniły jak gwiazdy na ciemnych wzgórzach. Było słychać szum morza, cichy szept unoszących się i opadających fal... Kołysanka dla świata.

Z pewnością podziałała na Emmę. Mimo najszczerzych wysiłków Juliana i morza herbaty zasnęła przed kominkiem z pamiętnikiem Malcolma otwartym obok na podłodze. Zwinęła się jak kot.

Czytała Julianowi na głos, nim zasnęła. Zaczęła od samego początku, kiedy znaleziono Malcolma – samotne, zagubione dziecko, które nie pamiętało rodziców i nie miało pojęcia, czym jest czarownik. Blackthornowie przygarnęli go, ponieważ myśleli – jak to ocenił Julian – że przyda im się czarownik, którego mogą kontrolować i nim kierować. Wyjaśnili mu, czym jest, i nie byli w tym delikatni.

Z całej rodziny tylko Annabel okazała dobroć Malcolmowi. Jako dzieci badali razem urwiska i jaskinie Kornwalii. Pokazała mu, jak można wymieniać się w tajemnicy wiadomościami, wykorzystując kruka jako posłańca. Malcolm pisał lirycznie o wybrzeżu, zmiennej pogodzie i sztormach, pisał lirycznie o Annabel, nawet kiedy nie zdawał sobie sprawy ze swoich uczuć. Kochał jej bystry umysł i silny charakter. Kochał jej instynkt opiekuńczy; opisywał, jak broniła go zaciekle przed kuzynami. A z czasem zaczął zdumiewać się nie tylko pięknem jej serca. Jego pióro przeskakiwało i potykało się, kiedy pisał o miękkości jej skóry, kształcie dłoni i ust, chwilach, kiedy włosy wymykały się z jej warkoczy i unosiły wokół niej jak chmura cienia.

Julian niemal się ucieszył, kiedy Emma ucichła, położyła się na chwilę –

tylko żeby dać odpocząć oczom, jak powiedziała – i niemal natychmiast zasnęła. Nigdy nie sądził, że będzie współczuł Malcolmowi albo pomyśli, że są do siebie podobni, ale słowa czarownika mogły równie dobrze opisywać historię cierpienia jego serca.

Czasem – pisał Malcolm – ktoś, kogo znasz całe życie, przestaje być kimś znanym i staje się nieznanym w cudowny, przedziwny sposób. Jakbyś odkrył, że plaża, którą odwiedzałeś przez całe życie, nie jest usypana z piasku, ale z diamentów, które oślepiają cię swoją urodą. Annabel, wzięłaś moje życie, życie równie przytępione jak nieużywane ostrze, rozebrałaś je na części i złożyłaś z powrotem, nadając mu kształt przedziwny i cudowny, który nieustannie mnie zdumiewa...

Nagle rozległo się głośne uderzenie, jakby ptak uderzył o szybę jednego z okien. Julian usiadł prosto i sięgnął po sztylet, który leżał na niskim stoliku obok sofy.

Nastąpiło kolejne uderzenie, głośniejsze.

Julian wstał. Coś poruszyło się za oknem. Rozbłysnęło coś białego. I przepadło, a potem znowu rozległo się uderzenie. Ktoś rzucał czymś w szybę – jak dziecko, które ciska kamykami w okno przyjaciela, żeby zwrócić jego uwagę.

Julian zerknął na Emmę. Obróciła się na plecy. Oczy miała zamknięte, jej pierś unosiła się i opadała rytmicznie. Usta miała lekko rozchylone, policzki zarumienione.

Julian podszedł do drzwi i powoli obrócił klamkę, robiąc wszystko, by drzwi nie zaskrzypiały. Otworzył je i wyszedł w noc.

Było chłodno i ciemno, księżyc wisiał nad wodą jak perła na końcu łańcuszka. Nierówny teren wokół domu niemal natychmiast opadał spadzistą ścianą ku morzu. Powierzchnia wody była ciemna i przezroczysta, widać było przez nią skały, jakby Julian patrzył przez ciemne szkło.

– Julianie – rozległ się głos. – Julianie Blackthornie.

Odwrócił się. Dom stał za jego plecami. Przed nim znajdowała się skała zwana Peak Rock, koniuszek klifu i ciemna trawa rosnąca w szparach między szarymi skałami.

Uniósł rękę z runicznym kamieniem. Błysnęło z niego światło, oświetlając dziewczynę, która stała przed nim.

Jakby wyszła z jego rysunku. Ciemne włosy, proste plecy, twarz owalna i smutna jak u Madonny, okolona kapturem obszernej peleryny. Pod peleryną widział chude, blade kostki i popękane buty.

– Annabel? – spytał.

* * *

Nóż wyleciał z dłoni Kita. Pokonał odległość między nim a atakującym tłumem i wbił się prosto w ramię Barnabasa. Pokryty łuskami czarownik zatoczył się do tyłu i padł, krzycząc z bólu.

– Kit! – krzyknęła zdumiona Livvy.

Zorientował się, że nie jest pewna, czy słusznie postąpił, ale on nigdy nie zapomniał cytatu z Emersona, ulubionego powiedzonka ojca: „Kiedy atakujesz króla, musisz go zabić”.

Jeden czarownik był potężniejszy od stada wilkołaków, a Barnabas był ich przywódcą. Dwa powody, żeby wyłączyć go z walki. Kit nie miał jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo Podziemni rzucili się na nich.

– Umbriel! – krzyknęła Livvy.

Jaśniejące ostrze wystrzeliło z jej ręki. Poruszała się błyskawicznie, trening z szablą uczynił ją szybką i pełną wdzięku. Wirowała, kreśląc śmiertcionośny krąg, a włosy unosiły się wokół niej. Była przepiękną rozmazaną plamą bieli i czerni, jej ostrze rysowało krwawe łuki.

Ty, który dzierzył miecz, oparł się o słupek straganu, co było sprytne, bo właścicielka krzyczała na Podziemnych, żeby się cofnęli.

– Ej! Wyoście się! – wrzeszczała sprzedawczyni.

Jej towary zaczęły latać w powietrzu, butelki z tynkturami rozbryzgiwały się na zaskoczonych obliczach wilkołaków i wampirów. Niektóre z substancji okazały się żrące. Przynajmniej jeden wilkołak cofnął się z krzykiem, łapiąc się za skwierczącą twarz.

Ty się uśmiechnął i mimo wszystkiego, co się działo, jego uśmiech sprawił, że Kit też się uśmiechnął. Odłożył to jednak na później, jako wspomnienie, do którego wróci, bo w tej chwili pochylił się ku niemu muskularny wilkołak o barach jak przypora gotycka. Kit wyszarpnął maszt z namiotu Cienia i cała konstrukcja się przechyliła.

Zamachnął się. Nie był to najtwardszy metal, za to okazał się elastyczny

jak potężny bicz. Kit usłyszał chrzęst kości, kiedy uderzył atakującego wilkołaka prosto w mostek. Napastnik przeleciał z jękiem nad głową Kita.

Ciało Kita wibrowało podnieceniem. Może im się uda. Może ich trójka wywalczy sobie drogę ucieczki. Może właśnie do tego sprowadzał się fakt, że ma się niebo we krwi.

Livvy krzyknęła.

Kit brutalnym zamachem tyczki zbił ze swojej drogi wampira i obrócił się, żeby sprawdzić, co się stało. Jedna z lecących butelek uderzyła Livvy w bok. Substancja była niewątpliwie żrąca – przepalała materiał ubrania i chociaż Livvy zacisnęła rękę na ranie, Kit widział krew między jej palcami.

Nadal walczyła drugą ręką, ale Podziemni zwietrzyli krew jak rekiny i odwrócili się od Ty'a i Kita, żeby ruszyć na nią. Zaatakowała, przesywając dwóch, ale ponieważ nie mogła osłaniać się jak należy, krąg ochronny wokół niej się kurczył. Jakiś wampir podszedł, oblizując usta.

Kit rzucił się do niej. Ty biegł przed nim, przebijając się przez tłum za pomocą miecza. Krew kapłała na ziemię koło stóp Livvy. Kitowi serce zacisnęło się w panice. Osunęła się akurat, kiedy Ty do niej dobiegł, i oboje padli na ziemię, Livvy w ramionach brata. Umbriel wypadł jej z brzękiem z rąk.

Kit dopadł do nich. Odrzucił na bok tyczkę, trafiając paru wilkołaków, i podniósł seraficki nóż Livvy.

Ty musiał odłożyć miecz. Trzymał siostrę, która straciła przytomność. Jej włosy rozsypały się na jego ramionach i piersi. Wyjął stelę i rysował leczniczy run na jej skórze, chociaż ręce mu się trzęsły i run wyszedł niezgrabny.

Kit uniósł pałający blaskiem nóż.

Światło sprawiło, że Podziemni trochę się cofnęli, ale Kit wiedział, że to nie wystarczy. Będą napierać aż go rozniosą na strzępy, a potem rozerwą na kawałki Livvy i Ty'a. Zobaczył Barnabasa w garniturze przesiąkniętym krwią, wspierającego się na ramieniu ochroniarza. Wbijał wzrok w Kita, jego oczy wypełniły się nienawiścią.

Nie będzie dla nich litości.

Wilk skoczył na Kita.

Chłopak uniósł Umbriela i uderzył... ale w nic nie trafił. Wilk przeturlał się po ziemi, jakby pchnięty niewidzialną ręką.

Gwałtowny podmuch powietrza sprawił, że złote włosy Kita poleciały

mu na twarz. Odgarnął je ręką poplamioną szkarłatem. Namioty dygotały. Tłukły się kolejne słoje i butelki. Błękitna błyskawica przecięła powietrze i uderzyła w ziemię tuż przed Barnabasem.

– Wygląda na to – rozległ się jedwabisty głos – że zjawilem się w samą porę.

W ich stronę szedł wysoki mężczyzna o krótkich, czarnych, nastroszonych włosach. Ewidentnie był czarownikiem – miał kocie oczy, zielone i złote, o wąskich źrenicach. Nosił grafitowy trenecz z dramatyczną czerwoną podszewką, który łopotał za nim przy każdym kroku.

– Magnus Bane – powiedział Barnabas z nieskrywaną nienawiścią – Podły Zdrajca.

– Nie jest to moje ulubione przezwisko – odparł Magnus, grożąc delikatnie palcem Barnabasowi. – Wolę „Nasz Pan i Władca” albo „Niewątpliwie Najprzystojniejszy”.

Barnabas się cofnął.

– Ta trójka Nefilim wdarła się na Targ pod fałszywym pretekstem...

– Złamali Porozumienia?

Barnabas warknął.

– Jedno z nich mnie dźgnęło.

– Które?

Barnabas wskazał Kita.

– Fatalna sprawa – odrzekł Magnus. Lewą rękę miał opuszczoną. Ukradkiem pokazał Kitowi uniesiony kciuk. – A to było przed tym czy już po tym, jak ich zaatakowałeś?

– Potem – odpowiedział Kit.

Jeden z ochroniarzy Barnabasa rzucił się na niego, a Kit zamachnął się ostrzem. Tym razem błyskawica, która wyleciała z ręki Magnusa, uderzyła w ziemię między nimi.

– Stać – powiedział.

– Nie masz tu żadnej władzy, Bane – warknął Barnabas.

– Wręcz przeciwnie. Jako przedstawiciel czarowników w Radzie Nocnych Łowców mam tu znaczną władzę. I myślę, że dobrze o tym wiesz.

– Och, doskonale wiemy, jak całkowicie dałeś się zniewolić Nocnym Łowcom. – Barnabas był wściekły, ślina mu tryskała z ust, gdy mówił. – Zwłaszcza Lightwoodom.

Magnus uniósł leniwie brew.

– Chodzi ci o mojego chłopaka? Zazdrościsz mi, Barnabasiu?

Kit odchrząknął.

– Panie Bane – powiedział.

Słyszał o Magnusie. Wszyscy słyszeli. Był chyba najślynniejszym czarownikiem na świecie. Jego chłopak, Alec, pomagał kierować Sojuszem Podziemnych z Nocnymi Łowcami razem z Maią Roberts i Lily Chen.

– Livvy straciła dużo krwi. Tiberius posłużył się runem leczniczym, ale...

Twarz Magnusa pociemniała z gniewu.

– Ona ma piętnaście lat. To jeszcze dziecko – warknął. – Jak śmiecie?!

– Doniesiesz na nas Radzie? – zapytała Hypatia, odzywając się po raz pierwszy.

Nie włączyła się do walki. Opierała się o stragan, mierząc Magnusa spojrzeniem od stóp do głów. Cień zniknął, Kit nie miał pojęcia jak i gdzie.

– Wygląda mi na to, że mamy dwie możliwości – odrzekł Magnus. – Albo będziecie ze mną walczyć i nie wygracie, możecie mi wierzyć, bo jestem bardzo rozgniewany i starszy od was wszystkich. A potem opowiem o wszystkim Radzie. Albo pozwolicie mi odejść z tymi Nefilim, nie będziemy walczyć, a ja nie złożę raportu Radzie. Słucham.

– Wybieram opcję numer dwa – powiedziała kobieta, która rzucała butelkami w wilkołaki.

– Ona ma rację, Barnabasiu – powiedziała Hypatia. – Wycofaj się.

Barnabas poruszał ustami. A potem odwrócił się nagle na pięcie i odszedł, a za nim jego ochroniarze. Pozostali Podziemni zaczęli się wycofywać, zgarbieni znikali w tłumie.

Kit padł na kolana obok Ty'a, który prawie się nie ruszał. Rzucał spojrzenia na wszystkie strony, usta miał niemal białe i wyglądał, jakby był w szoku.

– Tiberiusie – odezwał się Kit z wahaniem, kładąc rękę na jego ramieniu. – Ty...

Ty stracił jego rękę, chyba nawet nie zauważając, kto go dotknął. Obejmował Livvy, przyciskał palce do jej nadgarstka. Kit zdał sobie sprawę, że mierzy jej puls. Było jasne, że Livvy żyje. Kit widział, jak jej pierś unosi się i opada. Ty mimo to dociskał palce do nadgarstka, jakby jej puls go uspokajał.

– Tiberiusie. – Magnus przyklęknął, nie zważając na krew i błoto brudzące

mu płaszcz, który wyglądał na drogi. Nie wyciągnął ręki i nie próbował dotknąć Ty'a, tylko mówił ściszym głosem. – Tiberusie, wiem, że mnie słyszysz. Musisz mi pomóc zabrać Livvy do Instytutu. Tam będę mógł się nią zająć.

Ty podniósł wzrok. Nie płakał, ale szarość jego oczu pociemniała do palącego grafitu. Robił wrażenie ogłuszonego.

– Nic jej nie będzie? – zapytał.

– Nic jej nie będzie – odpowiedział z przekonaniem Magnus.

Kit wyciągnął ręce, żeby pomóc Tiberusowi podnieść Livvy, i tym razem Ty nie zaprotestował. Kiedy wstali, Magnus już otwierał Bramę, wir błękitu, zieleni i różu odcinał się od tła z cieni wśród namiotów i straganów Targu.

Ty odwrócił się nagle do Kita.

– Możesz ją zabrać? – zapytał. – Ponieść Livvy?

Kit skinął zdumiony głową. Fakt, że Ty pozwolił mu nieść siostrę bliźniaczkę, był szokującą oznaką zaufania. Wziął Livvy na ręce. Zapach krwi i magii wypełnił mu nozdrza.

– Chodźcie! – zawołał Magnus.

Brama była już otwarta. Kit widział przez nią zarys Instytutu Londyńskiego.

Ty się nie odwrócił. Założył słuchawki na uszy i pobiegł pustą alejką Targu. Ramiona miał przygarbione, jakby osłaniał się przed ciosami padającymi ze wszystkich stron, ale ręce mu nie zdrząły, kiedy dobiegł do kramu z uwięzionymi faerie. Zaczął otwierać klatki jedna po drugiej. Piksy, niksy i gobliny wyskakiwały, krzycząc radośnie z powodu odzyskanej wolności.

– Ej! Przestań! – krzychał właściciel straganu, biegnąc z powrotem, żeby zapobiec większym szkodom, ale było już za późno.

Ty rzucił w niego ostatnią klatką. Ta otworzyła się gwałtownie, wypuszczając wściekłego, drapiącego pazurami goblina, który wbił zęby w ramię swojego niedawnego porywacza.

– Tiberus! – zawołał Kit i Ty pobiegł w stronę otwartej Bramy.

Wiedząc, że Ty biegnie za nim, Kit wszedł w Bramę, trzymając mocno Livvy. Porwał go powietrzny wir.

* * *

Annabel podeszła do niego bez słowa, jej popękane buty nie wydawały żadnego odgłosu na skale. Julian się nie poruszył. Nie dowierzając własnym oczom, stał, jakby zapuścił korzenie.

Wiedział, że Annabel żyje. Widział, jak zabiła Malcolma. Nigdy jednak nie wyobrażał jej sobie tak namacalnej i wyraźnej. Tak ludzkiej. Wyglądała jak ktoś, kogo mógł spotkać w dowolnym miejscu – w kinie, w Instytucie, na plaży.

Zastanawiał się, skąd ma ubranie. Peleryna nie wyglądała na podkradzioną ze sznura z praniem, a wątpił, żeby Annabel miała jakieś pieniądze.

Wysokie skały rzucały długie cienie. Annabel podeszła do Juliana i odrzuciła kaptur.

– Jak znalazłeś to miejsce? – zapytała. – Ten dom?

Uniósł ręce, a ona zatrzymała się raptem kilka kroków przed nim. Nocny wiatr unosił pasemka jej włosów, które wyglądały, jakby tańczyły.

– Piksy powiedziały mi, gdzie jesteście – dodała. – Kiedyś były przyjaciółmi Malcolma i nadal mają do mnie słabość.

Mówiła serio? Julian nie potrafił się zorientować.

– Nie powinno was tu być – powiedziała. – Nie powinniście mnie szukać.

– Nie chcę cię skrzywdzić – odpowiedział Julian.

Zastanawiał się, czy gdyby zbliżył się, zdołałby ją złapać? Chociaż myśli, żeby siłą odebrać jej Czarną Księgę, przyprawiała go o mdłości. Zdał sobie sprawę, że nie zastanowił się nawet, w jaki właściwie sposób odbierze jej Księgę. Odnalezienie Annabel przesłoniło mu resztę problemu.

– Widziałem jednak, jak zabiłaś Malcolma.

– Pamiętam to miejsce sprzed dwustu lat – powiedziała, jakby nie słyszała Juliana.

Mówiła z brytyjskim akcentem, ale było w nim coś dziwnego, jakiś dźwięk, jakiego Julian nigdy dotąd nie słyszał.

– Wygląda dość podobnie, chociaż wtedy było tu mniej domów, a więcej statków w porcie. – Odwróciła się, żeby spojrzeć na chatę. – Malcolm sam zbudował ten dom. Własną magią.

– Dlaczego nie weszłaś do środka? – spytał Julian. – Dlaczego czekałaś na mnie tu na zewnątrz?

– Mam zakaz wstępu – wyjaśniła. – Mam krew Malcolma na rękach. Nie

mogę wejść do jego domu. – Odwróciła się do Juliana. – W jaki sposób mogłeś widzieć, jak go zabijam?

Księżyc wyszedł zza chmury i rozświetlił noc, malując krawędzie chmur światłem.

– Patrzyłem, jak Malcolm cię wskrzesza – wyjaśnił Julian. – W magicznym zwierciadle królowej Jasnego Dworu. Chciała, żebym to zobaczył.

– A dlaczego królowa zrobiłaby coś takiego? – Annabel rozchyliła usta, gdy zrozumiała. – Ach tak... Żebyś zapragnął za mną ruszyć. Żebyś zapragnął Czarnej Księgi Umarłych i całej jej mocy.

Sięgnęła pod pelerynę i wyjęła Księgę. Rzeczywiście była czarna – czarna tak, jakby gromadziła wokół siebie cienie. Była mocno związana rzemieniem. Słowa wytłoczone na okładce dawno wyblakły.

– Nic nie pamiętam ze swojej śmierci – wyznała cicho Annabel, kiedy Julian wpatrywał się w tom w jej dłoniach. – Ani jak ją zadano, ani czasu, który nastąpił później, gdy leżałam pod ziemią, ani kiedy Malcolm dowiedział się o mojej śmierci i zakłócił spokój moich kości. Dopiero później dowiedziałam się, że Malcolm całymi latami próbował mnie wskrzesić, ale wtedy żaden z rzuconych przez niego czarów nie działał. Moje ciałogniło, a ja się nie obudziłam. – Obróciła Księgę w dłoniach. – To król Ciemnego Dworu powiedział mi, że kluczem jest Czarna Księga. To król zdradził mi rymowanekę i czar. I to on powiedział Malcolmowi, kiedy nastąpi atak Sebastiana Morgensterna na Instytut i budynek będzie pusty. A w zamian za to poprosił tylko, żeby Malcolm przygotował dla niego zaklęcia, które osłabią Nefilim.

Julian zastanawiał się gorączkowo. Malcolm nie wspomniał o udziale króla Ciemnego Dworu, kiedy opowiadał własną wersję historii o Blackthornach. Choć to wcale nie było dziwne. Król był o wiele potężniejszy od Malcolma, więc czarownik niechętnie wymieniał jego imię.

– Na ziemiach Ciemnego Dworu nasze moce zdają się na nic – powiedział Julian. – Ostrza serafickie tam nie działają, tak samo jak magiczne kamienie i runy.

– To dzieło Malcolma. A król pragnie, żeby na całym świecie i w Idrisie było tak, jak jest w jego królestwie. Chce pozbawić mocy Nocnych Łowców. Zająłby Alicante i władał stamtąd. A Nocnych Łowców by wybito.

– Potrzebuję Czarnej Księgi – powiedział Julian – żeby powstrzymać

króla. Żeby zapobiec temu wszystkiemu.

Annabel tylko na niego popatrzyła.

– Pięć lat temu Malcolm przelał krew Nocnych Łowców, próbując mnie wskrzesić.

Rodzice Emmy, pomyślał Julian.

– To obudziło mój umysł, ale nie ciało. Czar zadziałał w połowie. To było straszliwe cierpienie, musisz to zrozumieć: byłam na wpół żywa i uwięziona pod ziemią. Krzyczałam bezgłośnie z bólu. Malcolm nie mógł mnie usłyszeć. Myślał, że moje zmysły nie działają, że nie słyszę, a mimo to mówił do mnie.

Pięć lat, pomyślał Julian. Przez pięć lat była uwięziona w grobie w węźle geomantycznym, świadoma, ale nie mogła mówić, krzyczeć ani się poruszyć.

Zadygotał.

– Jego głos docierał do mojego grobu. Czytał mi ten wiersz raz za razem. „Niegdyś przed wielu, wielu laty”. – Patrzyła ponuro. – Zdradził mnie, kiedy żyłam, i zdradził ponownie, kiedy byłam martwa. Zrozum, śmierć to dar. Zostawiasz za sobą ból i smutek. A on mi tego odmówił.

– Przykro mi – odpowiedział Julian.

Księżyc zaczął zachodzić. Julian zastanawiał się, jak późno się zrobiło.

– Przykro... – powtórzyła lekceważąco, jakby to słowo nie miało dla niej znaczenia. – Wybuchnie wojna – powiedziała – między faerie a Nocnymi Łowcami. Ale to nie moje zmartwienie. Mnie interesuje tylko to, żebyś obiecał, że nie będziesz już próbował zdobyć Czarnej Księgi. Zostaw ją w spokoju, Julianie Blackthornie.

Wypuścił powietrze. Skłamałby i złożył obietnicę, ale spodziewał się, że obietnica dla kogoś takiego jak Annabel ma ogromną wagę.

– Nie mogę – odpowiedział. – Potrzebujemy Czarnej Księgi. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego, ale przysięgam, że będę jej strzegł i chronił przed królem Ciemnego Dworu.

– Powiedziałam ci, co Księga mi zrobiła – powiedziała Annabel i po raz pierwszy sprawiała wrażenie podenerwowanej. Policzki jej się zaczerwieniły.

– Nie ma z niej pożytku, przynosi jedynie zło. Nie powinieneś jej pragnąć.

– Nie wykorzystamy jej dla złych celów.

Przynajmniej to było prawdą, pomyślał Julian.

– Nie można jej wykorzystać do żadnych innych celów – odparła z naciskiem Annabel. – Niszczy rodziny, ludzi...

– Moja rodzina zostanie zniszczona, jeśli nie zdobędę Księgi.

Annabel zamilkła.

– Aha... – powiedziała po chwili. A potem łagodniej dodała: – Pomyśl jednak, co ulegnie zagładzie, jeśli Księga trafi do świata. Jak wielkie będzie zniszczenie. Pewne rzeczy są ważniejsze.

– Nie dla mnie.

Cały świat może spłonąć, o ile moja rodzina przeżyje, pomyślał i już miał to powiedzieć na głos, kiedy otworzyły się gwałtownie drzwi chaty.

Emma stała w progu. Wkładała stopy w rozsznurowane buty, w dłoniach ścisnęła Cortanę. Włosy miała rozczochrane, ale miecz trzymała pewnie.

Odszukała wzrokiem Juliana, a potem dostrzegła Annabel. Zamarła, patrząc na nią z niedowierzaniem. Zobaczył, że jej usta układają się w imię Annabel, kiedy Annabel zarzuciła kaptur na głowę, odwróciła się i zaczęła uciekać.

Julian popędził za nią, Emma tuż za nim, ale Annabel była wstrząsająco szybka. Przebiegła po trawie i wrzosach do krawędzi urwiska, obejrzała się po raz ostatni i skoczyła.

– Annabel! – Julian podbiegł do skraju urwiska z Emmą u boku. Spojrzał na wodę setki stóp poniżej, po której powierzchni nie przesunęła się ani jedna zmarszczka. Annabel zniknęła.

* * *

Wpadli raptownie do Instytutu, a ściślej do biblioteki. Zupełnie jakby zrzucono ich z ogromnej wysokości. Kit zatoczył się i wpadł na stół, ściskając mocno Livvy, żeby jej nie upuścić. Ty padł na kolana i właśnie wstawał. Kit zerknął na twarz Livvy – była szara i miała upiorny żółtawy odcień.

– Magnus... – wyrwał mu się zduszony okrzyk.

Czarownik, który wylądował z łatwością, jaką zapewnia wieloletnia praktyka, obrócił się gwałtownie i natychmiast ocenił sytuację.

– Spokojnie – powiedział – wszystko jest w porządku.

Podszedł, żeby wziąć Livvy z rąk Kita. Chłopak wypuścił ją z ulgą – wreszcie ktoś się nią zajmie. Magnus Bane zajmie się wszystkim. Nie pozwoli Livvy umrzeć.

Kit potrzebował chwili, by zauważyć, że w bibliotece już ktoś jest. Ktoś,

kogo nie znał, a kto ruszył w stronę Magnusa, kiedy ten położył Livvy na stole. To był młody mężczyzna mniej więcej w wieku Jace'a, o ciemnych, prostych włosach, które wyglądały, jakby nie zawracał sobie głowy uczesaniem ich po wstaniu z łóżka. Miał na sobie sprany sweter i dżinsy. Spiorunował wzrokiem Magnusa.

– Obudziłeś dzieci.

– Alecu, to nagły wypadek.

Czyli to był Alec Lightwood. Z jakiegoś powodu Kit spodziewał się, że będzie wyglądał na starszego.

– Małe dzieci, gdy się je obudzi, to też kryzys – powiedział. – Tak tylko mówię.

– W porządku, odsuńcie meble – powiedział do Ty'a i Kita Magnus. – Potrzebuję przestrzeni.

Zerknął z ukosa na Aleca, kiedy młodszy chłopcy odsuwali krzesła i nieduże regały z książkami.

– To gdzie są dzieci?

Magnus zdejmował płaszcz. Alec wyciągnął rękę i złapał tren, gdy tylko Magnus go rzucił, z wprawą, która sugerowała, że do tego przywykł.

– Zostawiłem je z miłą dziewczyną imieniem Cristina. Powiedziała, że lubi dzieci.

– Zostawiłeś nasze dzieci z kimś obcym?

– Wszyscy inni spali – odparł Alec. – Poza tym ona zna kołysanki. Po hiszpańsku. Rafe się w niej zakochał. – Znowu zerknął na Kita. – Na Anioła, to niesamowite – wyrwało mu się nagle, jakby już dłużej nie mógł się powstrzymać.

Kita wytrąciło to z równowagi.

– Co takiego?

– Ma na myśli to, że wyglądasz jak Jace – wyjaśnił Magnus. – Jace Herondale.

– Mój *parabatai* – dodał z miłością i dumą Alec.

– Znam Jace'a – odpowiedział Kit. Patrzył na Ty'a, który próbował odsunąć krzesło. Nie było dla niego za ciężkie, ale dłonie cały czas mu się zaciskały i otwierały, przez co jego ruchy stały się nietypowo niezręczne i nieskoordynowane. – Przyjechał do Instytutu w L.A. po moim... Kiedy dowiedzieli się, kim jestem.

– Legendarny Zaginiony Herondale – powiedział Magnus. – Wiesz, już zacząłem myśleć, że to plotka wymyślona przez Catarinę, jak potwór z Loch Ness albo Trójkąć Bermudzki.

– Catarina zmyśliła Trójkąć Bermudzki? – zapytał Alec.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że Ragnor.

Magnus dotknął delikatnie ręki Livvy. Krzyknęła. Ty wypuścił krzesło, z którym się siłował, i z drzeniem wciągnął powietrze w płuca.

– Sprawiasz jej ból – powiedział. – Nie rób tego.

Mówił cicho, ale Kit usłyszał stal w jego głosie i dostrzegł w nim chłopaka, który w domu jego ojca trzymał mu nóż na gardle.

Magnus oparł ręce na stole.

– Postaram się, Tiberusie, ale możliwe, że będę musiał sprawić jej ból, żeby ją wyleczyć.

Ty już miał odpowiedzieć, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i do biblioteki wpadł Mark. Dostrzegł Livvy i pobladł.

– Livvy. Livia!

Chciał podejść, ale Alec złapał go za rękę. Mimo swojej smukłości był zwodniczo silny. Przytrzymał Marka, kiedy niebieski ogień zaiskrzył się w dłoni Magnusa i spłynął na bok Livvy. Rękawy jej kurtki i koszuli jakby się stopiły, odsłaniając długie brzydkie rozcięć, z którego sączył się żółty płyn.

Mark wciągnął powietrze.

– Co tu się dzieje?

– Bójka na Nocnym Targu – odparł króćko Magnus. – Livię skaleczono kawałkiem szklanego słoja, w którym trzymano korzeń orias. To bardzo trująca rzecz, ale da się to wyleczyć. – Poruszył palcami nad ręką Livvy, a wtedy błękitnawe światło zajarzyło się pod jej skórą, jakby wyływało, pulsując, ze środka.

– Na Nocnym Targu? – zapytał Mark. – A co, do diabła, Livvy robiła na Nocnym Targu?

Nikt nie odpowiedział. Kit miał wrażenie, że kurczy się w sobie.

– Co się dzieje? – dopytywał się Ty.

Nadal poruszał rękami, jakby próbował strąć coś ze skóry. Poruszał ramionami. Zupełnie jakby troska i poruszenie wyrażały się w niesłyszalnej muzyce, do której tańczyły jego nerwy i mięśnie.

– Czy to niebieskie światło to coś normalnego?

Mark powiedział coś do Aleca, który skinął głową. Wypuścił rękę Marka, a ten obszedł stół i położył dłoń na ramieniu Ty'a. Ty oparł się o brata, ale nadal poruszał rękami.

– Magnus jest w tym najlepszy – powiedział Alec. – Magia lecznicza to jego specjalność. – Mówił łagodnie, nie jak ktoś, kto stara się uspokoić innych cichymi słowami, ale kto naprawdę wyraża współczucie. – Magnus mnie kiedyś wyleczył – dodał. – To był jad demona. Nie powinienem był przeżyć, a jednak żyję. Możesz mu zaufać.

Nagle z piersi Livvy wyrwał się krzyk. Wygięła plecy w łuk. Ty położył dłoń na własnej ręce, zacisnął palce. A potem ciało dziewczynki się rozluźniło. Kolory zaczęły wracać na jej twarz, policzki z żółtoszarych stały się różowe. Ty też wyraźnie się rozluźnił.

– Trucizny już nie ma – oznajmił rzeczowo Magnus. – Teraz muszę popracować nad utratą krwi i raną.

– Na obie rzeczy istnieją runy – powiedział Ty. – Mogę je narysować.

Magnus pokręcił głową.

– Lepiej się nimi nie posługiwać. Runy czerpią część siły z tego, na kim się je rysuje. Gdyby miała *parabatai*, moglibyśmy spróbować zaczerpnąć siły od niego, ale ona nie ma *parabatai*, prawda?

Ty nic nie powiedział. Jego twarz zamarła i pobladła jak prześcieradło.

– Nie ma – odpowiedział Kit, zdając sobie sprawę, że Ty nic nie powie.

– W porządku. Nic jej nie będzie – zapewnił ich Magnus. – Możemy jednak przenieść ją do sypialni. Nie ma powodu, żeby spała na stole.

– Pomogę – powiedział Mark. – Tiberiusie, może pójdziesz z nami?

– Alecu, możesz pójść do izby chorych? – zapytał Magnus, kiedy Mark wziął siostrę na rękę. Biedna Livvy, pomyślał Kit, normalnie nie zniosłaby tego, że co rusz noszą ją jak worek kartofli. – Będziesz wiedział, czego potrzebuję.

Alec skinął głową.

– Weź ze sobą Kita – dodał czarownik. – Pomoże ci wszystko zabrać.

Kit złapał się na tym, że nie ma nic przeciwko rozmowie z Alekiem. Jego obecność niosła ze sobą coś pocieszającego, był cichy i powściągliwy. Kiedy wychodzili z biblioteki, Kit obejrzał się na Ty'a. Kit nie miał rodzeństwa, nie miał matki. Miał tylko Johnny'ego. Ojca. Ojca, który już nie żył, a Kit wątpił, żeby kiedykolwiek za życia wyglądał tak jak teraz Ty – jakby możliwość, że

coś stanie się Livvy, wystarczyła, żeby go zniszczyć wewnątrz.

Może coś jest ze mną nie tak? – pomyślał Kit, idąc za Alekiem korytarzem. Może nie czuł tego, co powinien. Nigdy nie zastanawiał się specjalnie nad matką, kim była. Czy ktoś normalny nie zadawałby sobie pytań na jej temat?

– Czyli poznałeś Jace’a – powiedział Alec, szurając butami po dywanie, gdy szli. – I co myślisz?

– O nim? – Kit był zdumiony. Nie wiedział, dlaczego ktoś miałby pytać go o jego opinię na temat szefa Instytutu Nowojorskiego.

– Zagaduję cię tylko niezobowiązująco. – Alec posłał mu dziwny półuśmieszek, jakby wiele myśli zachowywał dla siebie.

Przez drzwi z napisem IZBA CHORYCH weszli do dużego pomieszczenia wypełnionego staroświeckimi jednoosobowymi metalowymi łózkami. Alec podszedł do kontuaru i zaczął czegoś szukać.

– Jace nie przypomina zbytnio ciebie – powiedział Kit.

Naprzeciwko niego na ścianie malowała się dziwna ciemna plama, jakby farba się na niej rozmasała, tworząc niemal kształt drzewa.

– Delikatnie rzecz ujmując. – Alec zebrał stos bandażu na blacie. – Ale to nie ma znaczenia. *Parabatai* nie muszą być do siebie podobni. Muszą się dopełniać. Dobrze współpracować.

Kit pomyślał o złośliwym, pewnym siebie Jasie oraz o spokojnym i cichym Alecu.

– A ty z Jace’em się dopełniasz?

– Pamiętam, jak go pierwszy raz spotkałem – odrzekł Alec. Znalazł dwa pudełka i teraz wrzucał do jednego bandażu, a do drugiego słoje z proszkiem. – Wyszedł z Bramy w Idrisie. Był chudy, posiniaczony i miał takie wielkie oczy. I był arogancki. On i Isabelle ciągle się kłócili... – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Jednak dla mnie wszystko w nim mówiło „Kochaj mnie, bo nikt inny mnie nie kochał”. To było widoczne na nim całym jak odciski palców. Denerwował się przed waszym spotkaniem – dodał. – Nie przywykł do tego, że ma żywych krewnych. Przejmował się tym, co o nim pomyślisz. Chciał, żebyś go polubił. – Zerknął na Kita. – Masz, trzymaj to pudło.

Kitowi kręciło się w głowie. Pomyślał o Jasie, jego dumie, rozbawieniu i butności. Alec zaś mówił o nim jak o delikatnym dziecku, które potrzebuje miłości, bo nigdy jej nie dostało.

– Ale ja jestem nikim – powiedział, biorąc pudło pełne bandaży. – Dlaczego miałby się przejmować tym, co pomyśle? Ja się nie liczę. Jestem niczym.

– Liczysz się dla Nocnych Łowców – odpowiedział Alec. – Jesteś Herondale’em, a to zawsze będzie coś znaczyło.

spróbować zaczerpnąć siły od niego, ale ona nie ma *parabatai*, prawda?

Ty nic nie powiedział. Jego twarz zamarła i pobladła jak prześcieradło.

– Nie ma – odpowiedział Kit, zdając sobie sprawę, że Ty nic nie powie.

– W porządku. Nic jej nie będzie – zapewnił ich Magnus. – Możemy jednak przenieść ją do sypialni. Nie ma powodu, żeby spała na stole.

– Pomogę – powiedział Mark. – Tiberiusie, może pójdziesz z nami?

– Alecu, możesz pójść do izby chorych? – zapytał Magnus, kiedy Mark wziął siostrę na ręce. Biedna Livvy, pomyślał Kit, normalnie nie zniosłaby tego, że co rusz noszą ją jak worek kartofli. – Będziesz wiedział, czego potrzebuję.

Alec skinął głową.

– Weź ze sobą Kita – dodał czarownik. – Pomoże ci wszystko zabrać.

Kit złapał się na tym, że nie ma nic przeciwko rozmowie z Alekiem. Jego obecność niosła ze sobą coś pocieszającego, był cichy i powściągliwy. Kiedy wychodzili z biblioteki, Kit obejrzał się na Ty’a. Kit nie miał rodzeństwa, nie miał matki. Miał tylko Johnny’ego. Ojca. Ojca, który już nie żył, a Kit wątpił, żeby kiedykolwiek za życia wyglądał tak jak teraz Ty – jakby możliwość, że coś stanie się Livvy, wystarczyła, żeby go zniszczyć wewnątrz.

Może coś jest ze mną nie tak? – pomyślał Kit, idąc za Alekiem korytarzem. Może nie czuł tego, co powinien. Nigdy nie zastanawiał się specjalnie nad matką, kim była. Czy ktoś normalny nie zadawałby sobie pytań na jej temat?

– Czyli poznałeś Jace’a – powiedział Alec, szurając butami po dywanie, gdy szli. – I co myślisz?

– O nim? – Kit był zdumiony. Nie wiedział, dlaczego ktoś miałby pytać go o jego opinię na temat szefa Instytutu Nowojorskiego.

– Zagaduję cię tylko niezobowiązująco. – Alec posłał mu dziwny półuśmieszek, jakby wiele myśli zachowywał dla siebie.

Przez drzwi z napisem IZBA CHORYCH weszli do dużego pomieszczenia wypełnionego staroświeckimi jednoosobowymi metalowymi łózkami. Alec podszedł do kontuaru i zaczął czegoś szukać.

– Jace nie przypomina zbyt ciębie – powiedział Kit.

Naprzeciwko niego na ścianie malowała się dziwna ciemna plama, jakby farba się na niej rozmasała, tworząc niemal kształt drzewa.

– Delikatnie rzecz ujmując. – Alec zebrał stos bandażu na blacie. – Ale to nie ma znaczenia. *Parabatai* nie muszą być do siebie podobni. Muszą się dopełniać. Dobrze współpracować.

Kit pomyślał o złościstym, pewnym siebie Jasie oraz o spokojnym i cichym Alecu.

– A ty z Jace'em się dopełniacie?

– Pamiętam, jak go pierwszy raz spotkałem – odrzekł Alec. Znalazł dwa pudełka i teraz wrzucał do jednego bandażu, a do drugiego słoje z proszkiem. – Wyszedł z Bramy w Idrisie. Był chudy, posiniaczony i miał takie wielkie oczy. I był arogancki. On i Isabelle ciągle się kłócili... – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Jednak dla mnie wszystko w nim mówiło „Kochaj mnie, bo nikt inny mnie nie kochał”. To było widoczne na nim całym jak odciski palców. Denerwował się przed waszym spotkaniem – dodał. – Nie przywykł do tego, że ma żywych krewnych. Przejmował się tym, co o nim pomyślisz. Chciał, żebyś go polubił. – Zerknął na Kita. – Masz, trzymaj to pudło.

Kitowi kręciło się w głowie. Pomyślał o Jasie, jego dumie, rozbawieniu i butności. Alec zaś mówił o nim jak o delikatnym dziecku, które potrzebuje miłości, bo nigdy jej nie dostało.

– Ale ja jestem nikim – powiedział, biorąc pudło pełne bandażu. – Dlaczego miałby się przejmować tym, co pomyśle? Ja się nie liczę. Jestem niczym.

– Liczysz się dla Nocnych Łowców – odpowiedział Alec. – Jesteś Herondale'em, a to zawsze będzie coś znaczyło.

* * *

Trzymając w ramionach Rafe'a, Cristina cicho śpiewała. Był mały jak na pięciolatka i spał niespokojnie. Wiercił się i wzdychał przez sen, wplatał drobne brązowe paluszki w ciemne loki. Przypominał jej trochę jednego z jej małych kuzynów, który zawsze chciał, żeby jeszcze raz go przytulić, jeszcze raz zaśpiewać mu słodką kołysankę przed snem.

Max z kolei spał jak kamień. Jak ciemnoniebieski kamień o prześlicznych wielkich, granatowych oczach i szczerbatym uśmiechu. Kiedy Cristina, Mark i Kieran przybiegli i zastali Aleca, Magnusa i ich dwoje dzieci w salonie, Evelyn już tam była. Gorączkowała się z powodu czarowników w jej domu i mamrotała coś o uciążliwości posiadania niebieskiej skóry. Cristina miała nadzieję, że większość dorosłych Nocnych Łowców nie reaguje w ten sposób na Maksa – to byłoby niezwykle bolesne dla biednej kruszyny.

Alec i Magnus najwyraźniej wrócili i znaleźli wiadomość od Diany z prośbą o pomoc. Przenieśli się natychmiast do Instytutu Londyńskiego. Usłyszawszy o czarze wiążącym Marka i Cristinę, Magnus wybrał się na miejscowy Nocny Targ, żeby poszukać odpowiedniej książki zaklęć; miał nadzieję przełamać czar wiążący.

Rafe i Max, gdy zostali w obcym domu tylko z jednym rodzicem, zaczęli ryczeć.

– Śpij – powiedział ponuro do Rafe’a Alec, niosąc go do wolnej sypialni. – *Adorno*.

Cristina zachichotała.

– To znaczy „ozdoba” – powiedziała. – A nie „śpij”.

Alec westchnął.

– Nadal uczę się hiszpańskiego. To Magnus mówi w tym języku.

Cristina uśmiechnęła się do Rafaela, który pociągał nosem. Zawsze śpiewała młodszemu kuzynom do snu, tak jak matka śpiewała dla niej. Może Rafe’owi się to spodoba.

– *Rafaelito* – powiedziała do niego, „Mój mały Rafaelu”. – *Ya es hora de ir a dormir. ¿Te gustaría que te cante una canción?*

– *¡Sí!*

Rafe pokiwał z zapalem głową.

Cristina przez jakiś czas uczyła Aleca wszystkich kołysanek, jakie знаła. On trzymał Maksa, a ona siedziała z Rafe’em. Wkrótce potem Magnus wrócił i z biblioteki niesły się odgłosy bieganiny i innych hałasów. Alec pobiegł tam, ale Cristina postanowiła zostać, póki nikt jej nie zawoła, bo obyczaj czarowników były tajemnicze, podobnie jak obyczaje ich czarujących chłopaków.

Poza tym to było miłe, że coś tak niegroźnego jak dziecko oderwało ją od niepokojów. Była pewna, niemal pewna, że czar wiążący można

przerwać. Mimo to zamartwiała się, co będzie, jeśli to się nie uda. Ona i Mark wiedliby do śmierci żalosne życie połączeni niechcianą więzią. I dokąd by się udali? A gdyby on zechciał wrócić do Faerie? Nie mogła przecież odejść razem z nim.

Myśli o Diego też ją dręczyły. Myślała, że po powrocie z Faerie znajdzie wiadomość od niego, ale niczego nie otrzymała. Czy ktoś może dwa razy zniknąć z twojego życia?

Westchnęła i pochyliła się, żeby pogłodzić włosy Rafe'a, śpiewając cicho:

*Arrorró mi niño,
arrorró mi sol,
arrorró pedazo
de mi corazon.*

Śpij, moja dziecińo,
Śpij, moje słońeczko,
Śpij, okruszyno
mojego serca.

Alec wrócił, kiedy śpiewała, i usiadł na łóżku obok Maksa, opierając się o ścianę.

– Słyszałem już kiedyś tę kołysankę. – To Magnus stanął w progu. Wyglądał na zmęczonego, powieki mu opadały na kocie oczy. – Nie mogę sobie przypomnieć, kto ją śpiewał.

Podszedł i pochylił się, żeby wziąć Rafe'a od Cristiny. Uniósł go i przez chwilę główka chłopca opierała się o jego szyję. Cristina zastanawiała się, czy to już kiedyś się wydarzyło: żeby Nocny Łowca miał rodzica czarownika.

*Sol solecito, caliéntame un poquito.
Por hoy, por mañana, por toda la semana.*

– zaśpiewał Magnus.

Cristina spojrzała na niego zaskoczona. Miał ładny głos, ale nie znała tej melodii. „Słońce, słońeczko, ogrzej mnie trochę. W południe, rano i przez cały tydzień”.

– Wszystko w porządku? – zapytał go Alec.

– W porządku, Livvy nic nie jest. Zdrowieje. Jutro powinna dojść do siebie. – Magnus poruszył ramionami, rozciągając mięśnie.

– Livvy? – Cristina usiadła prosto. – Co się stało Livvy?

Alec i Magnus spojrzeli po sobie.

– Nie powiedziałaś jej? – zapytał cicho Magnus.

– Nie chciałem denerwować dzieci i uznałem, że ty ją lepiej uspokoisz...

Cristina się podniosła.

– Livvy jest ranna? Mark o tym wie?

Magnus i Alec zapewnili ją, że Livvy nic nie jest i owszem, Mark wie, ale ona już biegła do drzwi.

Pobiegła korytarzem do pokoju Marka. Nadgarstek już wcześniej ją bolał, ale nie zważała na to, teraz jednak zapłonął bólem. Czy to ból Marka przenosił się do niej w taki sposób, w jaki *parabatai* czasem odbierają cierpienie partnera? Czy też zakłęcie wiążące przybierało na sile?

Drzwi były uchylone, światło wylewało się szparą. Mark nie spał, gdy zajrzała, leżał tylko na łóżku. Widziała wyraźne wgłębienie wiążącego czaru opasujące mu lewy nadgarstek jak bransoletka.

– Cristina? – Usiadł. – Nic ci nie jest?

– To nie ja zostałam ranna. Alec i Magnus powiedzieli mi o Livvy.

Mark podciągnął nogi, robiąc jej miejsce obok siebie. Nagłe zmniejszenie bólu w nadgarstku sprawiło, że lekko zakręciło jej się w głowie.

Powiedział jej, co zrobili Kit, Livvy i Ty. Opowiedział o kryształach, który znaleźli w domu Blackthornów, o ich wizycie na Nocnym Targu, o tym, jak Livvy została ranna.

– Nie mogę przestać myśleć – dodał na końcu – że gdyby Julian tu był, gdyby nie zostawił ich pod moją opieką, nic takiego by się nie stało.

– To Julian powiedział, że mogą iść do rezydencji Blackthornów. I większość z nas wykonuje już misje w wieku piętnastu lat. To nie twoja wina, że nie posłuchali.

– Nie powiedziałem im, żeby nie szli na Nocny Targ – odpowiedział, drżąc. Owinął ramiona patchworkową narzutą, przez co wyglądał jak smutny arlekin.

– Nie powiedziałaś im też, żeby nie dźgali się nożami, bo sami to wiedzą – odrzekła zgryźliwie Cristina. – Na Targ nie wolno chodzić. To zakazane. Ale

nie bądź zbyt surowy dla Kita. Nocny Targ to znany mu świat.

– Nie wiem, jak się nimi opiekować. Jak powiedzieć im, żeby przestrzegali zasad, kiedy żadne z nas tego nie robi? Poszliśmy do Faerie, a to znacznie poważniejsze naruszenie Prawa niż wizyta na Nocnym Targu.

– Może powinniście spróbować opiekować się sobą nawzajem.

Uśmiechnął się.

– Jesteś okropnie mądra.

– Kieranowi nic nie jest?

– Pewnie jeszcze nie śpi. Nocami wędruje po Instytucie. Nie sypia dobrze, odkąd się tu zjawiliśmy. Pewnie za dużo tu żelaza. Za dużo miasta.

T-shirt strzepił mu się nieco przy szyi i rozciągnął. Widziała miejsce, w którym zaczynała się jedna z blizn, ślady dawnych ran, wspomnienia noży. Narzuta zaczęła zsuwać mu się z ramion i Cristina odruchowo ją poprawiła.

Musnęła ręką jego szyję, nagą skórę, gdzie gardło stykało się z bawełną koszulki. Była gorąca. Pochylił się ku niej. Poczowała zapach sosnowego lasu.

Jego twarz znalazła się na tyle blisko, że Cristina widziała zmienne kolory jego oczu.

Falowanie jej własnego oddechu przysuwało ją ku niemu...

– Możesz tu dzisiaj spać? – zapytał chrapliwie. – Będzie mniej bolało. Nas oboje.

Jego nieczłowieckie oczy lśniły przez chwilę. Cristina pomyślała o tym, co powiedziała jej Emma – że czasem, kiedy na niego patrzy, widzi dzikość, wolność i niekończące się drogi na niebie.

– Nie mogę – szepnęła.

– Cristino... – Uniósł się na kolanach.

Było zbyt pochmurno, żeby przez okna wpadało jakieś światło księżyca albo gwiazd, ale Cristina i tak go widziała, jego splecione jasne włosy, wpatrujące się w nią oczy.

Był za blisko, był zbyt namacalny. Wiedziała, że jeśli jej dotknie, ona się rozpadnie. Nie wiedziała nawet do końca, co to znaczyło, wiedziała tylko, że sama myśl o tym ją przerażała. I że patrząc na Marka, zawsze widzi Kierana. Faerie był przy nim stale obecny, jak cień.

Zeszła z łóżka.

– Przepraszam – powiedziała i wyszła z pokoju tak szybko, że prawie

biegła.

* * *

– Annabel wyglądała na taką smutną – powiedziała Emma.

Leżeli obok siebie na łóżku w chacie. Było o wiele wygodniejsze od łóżek w Instytucie – prawdziwa ironia losu, gdy pomyśleć, że to dom Malcolma. Julian uznał, że nawet mordercy potrzebują porządnych materacy i nie śpią tak naprawdę na podeście z czaszek.

– Chciała, żebym zostawił Czarną Księgę w spokoju – odezwał się Julian.

Leżał na plecach. Oboje tak leżeli. Emma miała na sobie bawełnianą piżamę, którą kupiła we wsi, a Julian spodnie od dresu i stary T-shirt. Ich ramiona i stopy się stykały, bo łóżko nie było zbyt szerokie. Chociaż Julian i tak by się nie odsunął.

– Powiedziała, że Księga niesie ze sobą tylko złe rzeczy.

– Ale ty uważasz, że trzeba ją zdobyć.

– Wątpię, żebyśmy mieli inne wyjście. Pewnie lepiej, żeby znajdowała się na Jasnym Dworze niż na tym świecie. – Westchnął. – Annabel powiedziała, że rozmawiała z okolicznymi piksami. Trzeba będzie napisać do pozostałych i zapytać, czy znają jakieś pułapki na piksy. Spróbujemy złapać jednego i zapytać, co wiedzą.

– W porządku.

Głos Emmy słabł, oczy jej się zamykały. Julian czuł, że jego też dopada zmęczenie. To był niewiarygodnie długi dzień.

– Możesz wysłać wiadomość z mojego telefonu, jeśli chcesz.

Nie był w stanie podładować swojego telefonu, bo nie wziął właściwej przejściówki. Nocni Łowcy nie myślą o takich rzeczach.

– Chyba nie powinniśmy mówić pozostałym o pojawieniu się Annabel – powiedział. – Na razie. Zdenerwowaliby się, a ja najpierw chcę się dowiedzieć, co piksy mają do powiedzenia.

– Musisz im przynajmniej powiedzieć, że król Ciemnego Dworu pomógł Malcolmowi zdobyć Czarną Księgę – mruknęła sennie Emma.

– Powiem im, że pisał o tym w swoich pamiętnikach.

Począł, czy Emma zaprotestuje przeciwko kłamstwu, ale ona już spała. Julianowi też niewiele brakowało. Emma leżała obok niego, była przy nim –

tak jak to powinno być. Zdał sobie sprawę, jak fatalnie spał przez ostatnie tygodnie bez niej.

Nie był pewien, czy też przysnął ani na jak długo, o ile rzeczywiście zasnął. Kiedy otworzył oczy, zobaczył poświatę z kominka, na którym tliły się już tylko węgielki. Czuł Emmę obok siebie. Przerzuciła rękę przez jego pierś.

Zamarł. Musiała zrobić to przez sen. Zwinęła się obok niego. Czuł na skórze muśnięcia jej rzęs, delikatny oddech.

Zamruczała i poruszyła głową przy jego szyi. Zanim się położyli, bał się, że jeśli jej dotknie, ogarnie go znowu to samo niszczące całą jego wolę pożądanie, jakie poczuł na Jasnym Dworze.

Jednakże to, co czuł teraz, było zarazem lepsze i gorsze. To była przytłaczająca i straszliwa czułość. Chociaż na jawie Emma robiła wrażenie wysokiej i wręcz imponującej, była mała, kiedy zwinęła się obok niego, tak delikatna, że jego serce wypełniało się myślami o tym, jak nie dopuścić, by świat zniszczył coś równie kruchego.

Chciał ją obejmować bez końca, osłaniać i trzymać blisko przy sobie. Chciał pisać o swoich uczuciach równie swobodnie, jak Malcolm pisał o rodzącej się miłości do Annabel. „Rozłożyłaś moje życie na części i złożyłaś z powrotem w całość”.

Westchnęła cicho, moszcząc się na materacu. Chciał badać zarys jej ust, rysować je – były wiecznie zmienne, ich sercowaty kształt zmieniał się, gdy przybierały różny wyraz, jednak ich obecny rysunek, pochwycony między jawą a snem, na wpół niewinny, na wpół znaczący, zachwyił jego duszę w zupełnie nowy sposób.

Słowa Malcolma rozległy się echem w jego głowie: „Jakbyś odkrył, że plaża, którą odwiedzałeś całe życie, nie jest usypana z piasku, ale z diamentów oślepiających cię swoją urodą.”

Diamenty mogą oślepić urodą, ale są też najtwardszymi i najostrzejszymi klejnotami na świecie. Mogą posiekać, zmielić, zmiażdżyć i pociąć. Obląkany z miłości Malcolm nie pomyślał o tym. A Julian nie potrafił myśleć o niczym innym.

że to dom Malcolma. Julian uznał, że nawet mordercy potrzebują porządnego materacy i nie śpią tak naprawdę na podeście z czaszek.

– Chciała, żebym zostawił Czarną Księgę w spokoju – odezwał się Julian.

Leżał na plecach. Oboje tak leżeli. Emma miała na sobie bawełnianą

piżamę, którą kupiła we wsi, a Julian spodnie od dresu i stary T-shirt. Ich ramiona i stopy się stykały, bo łóżko nie było zbyt szerokie. Chociaż Julian i tak by się nie odsunął.

– Powiedziała, że Księga niesie ze sobą tylko złe rzeczy.

– Ale ty uważasz, że trzeba ją zdobyć.

– Wątpię, żebyśmy mieli inne wyjście. Pewnie lepiej, żeby znajdowała się na Jasnym Dworze niż na tym świecie. – Westchnął. – Annabel powiedziała, że rozmawiała z okolicznymi piksami. Trzeba będzie napisać do pozostałych i zapytać, czy znają jakieś pułapki na piksy. Spróbujemy złapać jednego i zapytać, co wiedzą.

– W porządku.

Głos Emmy słabł, oczy jej się zamykały. Julian czuł, że jego też dopada zmęczenie. To był niewiarygodnie długi dzień.

– Możesz wysłać wiadomość z mojego telefonu, jeśli chcesz.

Nie był w stanie podładować swojego telefonu, bo nie wziął właściwej przejściówki. Nocni Łowcy nie myślą o takich rzeczach.

– Chyba nie powinniśmy mówić pozostałym o pojawieniu się Annabel – powiedział. – Na razie. Zdenerwowaliby się, a ja najpierw chcę się dowiedzieć, co piksy mają do powiedzenia.

– Musisz im przynajmniej powiedzieć, że król Ciemnego Dworu pomógł Malcolmowi zdobyć Czarną Księgę – mruknęła sennie Emma.

– Powiem im, że pisał o tym w swoich pamiętnikach.

Począł, czy Emma zaprotestuje przeciwko kłamstwu, ale ona już spała. Julianowi też niewiele brakowało. Emma leżała obok niego, była przy nim – tak jak to powinno być. Zdał sobie sprawę, jak fatalnie spał przez ostatnie tygodnie bez niej.

Nie był pewien, czy też przysnął ani na jak długo, o ile rzeczywiście zasnął. Kiedy otworzył oczy, zobaczył poświatę z kominka, na którym tliły się już tylko węgielki. Czuł Emmę obok siebie. Przerzuciła rękę przez jego pierś.

Zamarł. Musiała zrobić to przez sen. Zwinęła się obok niego. Czuł na skórze muśnięcia jej rzes, delikatny oddech.

Zamruczała i poruszyła głową przy jego szyi. Zanim się położyli, bał się, że jeśli jej dotknie, ogarnie go znowu to samo niszczące całą jego wolę pożądanie, jakie poczuł na Jasnym Dworze.

Jednakże to, co czuł teraz, było zarazem lepsze i gorsze. To była

przytłaczająca i straszliwa czułość. Chociaż na jawie Emma robiła wrażenie wysokiej i wręcz imponującej, była mała, kiedy zwinęła się obok niego, tak delikatna, że jego serce wypełniało się myślami o tym, jak nie dopuścić, by świat zniszczył coś równie kruchego.

Chciał ją obejmować bez końca, osłaniać i trzymać blisko przy sobie. Chciał pisać o swoich uczuciach równie swobodnie, jak Malcolm pisał o rodzącej się miłości do Annabel. „Rozłożyłaś moje życie na części i złożyłaś z powrotem w całość”.

Westchnęła cicho, moszcząc się na materacu. Chciał badać zarys jej ust, rysować je – były wiecznie zmienne, ich sercowaty kształt zmieniał się, gdy przybierały różny wyraz, jednak ich obecny rysunek, pochwycony między jawą a snem, na wpół niewinny, na wpół znaczący, zachwyił jego duszę w zupełnie nowy sposób.

Słowa Malcolm'a rozległy się echem w jego głowie: „Jakbyś odkrył, że plaża, którą odwiedzałeś całe życie, nie jest usypana z piasku, ale z diamentów oślepiających cię swoją urodą.”

Diamenty mogą oślepić urodą, ale są też najtwardszymi i najostrzejszymi klejnotami na świecie. Mogą posiekać, zmielić, zmiażdżyć i pociąć. Obląkany z miłości Malcolm nie pomyślał o tym. A Julian nie potrafił myśleć o niczym innym.

* * *

Kita obudził łoskot drzwi do sypialni Livvy. Usiadł świadomy tego, że boli go całe ciało, kiedy Ty wyszedł z jej pokoju.

– Leżysz na podłodze – powiedział Ty, patrząc na niego.

Kit nie mógł temu zaprzeczyć. On i Alec przyszli do pokoju Livvy, kiedy już wszystko załatwili w izbie chorych. Potem Alec wyszedł sprawdzić, co z dziećmi, i został tylko Magnus, który siedział w milczeniu przy Livvy, od czasu do czasu sprawdzając, czy dziewczyna zdrowieje. Ty stał oparty o ścianę i wpatrywał się w siostrę, nawet nie mrugnawszy okiem. Kit miał wrażenie, że znalazł się w szpitalnym pokoju, do którego nie powinien mieć wstępu.

Dlatego wyszedł, przypominając sobie, jak Ty spał pod jego drzwiami przez pierwsze dni jego pobytu w Los Angeles. Zwinął się na dywan, nie

spodziewając się, że dużo pośpi. Nie pamiętał nawet, kiedy odpłynął, ale najwyraźniej tak się stało.

Usiadł z trudem.

– Czekał... – powiedział, ale Ty już szedł korytarzem, jakby w ogóle go nie usłyszał.

Po chwili Kit wstał i ruszył za nim.

Nie był do końca pewien, dlaczego to robi. Pomyślał, że ledwie zna Tiberiusa Blackthorna, kiedy Ty skręcił niemal na oślep i zaczął się wspinać po schodach. Tak samo słabo znał jego siostrę. Oboje byli Nocnymi Łowcami. Ty chciał stworzyć z nim swoistą drużynę detektywistyczną, co było idiotycznym pomysłem. Pomysłem, z którym Kit zdecydowanie nie chciał mieć nic wspólnego, jak sobie powtarzał. Schody skończyły się podestem przed podniszczonymi, starymi drzwiami.

Poza tym na zewnątrz pewnie było zimno, pomyślał, kiedy Ty otworzył drzwi. I owszem – wpadło przez nie wilgotne, chłodne powietrze. Ty zniknął w chłodzie i cieniach na zewnątrz, a Kit poszedł za nim.

Znaleźli się na dachu, ale ku zaskoczeniu Kita noc się już skończyła i nastał wczesny ranek, szary i ciężki dzień z chmurami zbierającymi się nad Tamizą i kopułą Świętego Pawła. Hałasy miasta narastały, napór milionów ludzi zajmujących się codziennymi sprawami, nieświadomych istnienia Nocnych Łowców, magii i niebezpieczeństwa. Nieświadomych istnienia Ty'a, który podszedł do balustrady wokół centralnej części dachu i wpatrywał się w miasto, zaciskając dłonie na żelaznych liliach.

– Tiberusie.

Kit podszedł do niego. Ty odwrócił się i oparł plecami o balustradę. Ramiona miał sztywne. Kit zatrzymał się, nie chcąc naruszać jego prywatnej przestrzeni.

– Nic ci nie jest?

Ty pokręcił głową.

– Zimno. – Zęby mu szczękały. – Jest mi zimno.

– To może powinniśmy wrócić na dół. W środku jest cieplej.

– Nie mogę. – Głos Ty'a brzmiał tak, jakby dobiegał z głębin jego osoby, jak echo po części zatopione w wodzie. – Przebywanie w tym pokoju... Nie mogłem... To było... – Pokręcił głową, sfrustrowany, jakby niemożność znalezienia słów go dręczyła.

– Livvy nic nie będzie – zapewnił go Kit. – Jutro już będzie zdrowa. Magnus tak powiedział.

– Ale to moja wina. – Ty dociskał plecy mocniej do barierki, ale to mu nie pomagało. Osuwał się po niej, aż wylądował na ziemi z kolanami przy piersi. Oddychał z trudem i kołysał się w przód i w tył, wymachując rękami przy twarzy, jakby chciał odgarnąć pajęczyny albo odgonić denerwujące komary.

– Gdybym był jej *parabatai*... Chciałem pójść do Scholomancji, ale to nieważne. Liczy się Livvy...

– To nie twoja wina.

Ty tylko pokręcił zdecydowanie głową. Kit gorączkowo próbował sobie przypomnieć, co czytał w Internecie na temat załamań nerwowych, bo był niemal pewny, że Ty właśnie takowe przechodzi. Opadł na kolana na wilgotnym dachu. Powinien dotknąć Ty'a czy nie?

Mógł sobie tylko wyobrazić, co czuł Ty: cały świat pędził na niego, ogłuszające dźwięki i dżgające światła, i nikt nie pamiętał o tym, żeby mówić cicho. I co to musiało dla niego znaczyć, kiedy rozpacz i strach pozbawiły go wszystkich sposobów radzenia sobie z tym zgiełkiem i nagle stał się odsłonięty jak Nocny Łowca, który rusza do walki bez swojego stroju bojowego.

Przypomniał sobie coś na temat ciemności, coś na temat nacisku, grubych koców i ciszy. Chociaż nie miał pojęcia, skąd wytrzaśnie na dachu którąś z tych rzeczy.

– Powiedz mi – poprosił Kit.

Powiedz mi, czego potrzebujesz.

– Obejmij mnie – odpowiedział Ty. Jego ręce były jak blade, rozmazane plamy w powietrzu, jakby Kit patrzył na ekspozycję poklatkową. – Trzymaj mnie.

Nadal się kołysał. Po chwili Kit objął go, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mógłby zrobić.

Zupełnie jakby trzymał wystrzeloną strzałę – Ty był gorący i ostry w jego objęciach, wibrował jakąś dziwną emocją. Po długim czasie odrobinę się rozluźnił. Dotknął Kita, jego ręce zwolniły ruchy, palce zacisnęły się na jego swetrze.

– Mocniej – powiedział. Trzymał się Kita jak tratwy ratunkowej, wbijając boleśnie czoło w jego ramię. Jego słowa zabrzmiały rozpaczliwie. – Muszę

to poczuć.

Kit nie był przyzwyczajony do uścisków, nikt nigdy, o ile pamiętał, nie pocieszał go w ten sposób. Sam też nie był typem pocieszyciela. Zawsze tak zakładał. I ledwie znał Ty'a.

Z drugiej strony Ty nie robił niczego bez powodu, nawet jeśli ludzie, których mózgi pracują inaczej, nie potrafili natychmiast dostrzec przyczyn jego zachowania. Kit przypomniał sobie sposób, w jaki Livvy rozcierała mocno ręce Ty'a, gdy się denerwował.

Nacisk to wrażenie zmysłowe, pomyślał, a wrażenie musi zakotwiczać, uspokajać.

To miało sens. Dlatego objął mocniej Ty'a, aż ten rozluźnił się w ciasnym uścisku. Kit obejmował go tak mocno, jak nigdy przedtem nikogo nie obejmował, jakby tonęli w morzu nieba i tylko zamknięci w swoich ramionach mogli utrzymać się na powierzchni ponad wrakiem Londynu.

Bez wytchnienia

Diana siedziała w swoim małym pokoju nad sklepem z bronią i przeglądała teczkę, którą dała jej Jia.

Nie była w tym pokoju od końca Mrocznej Wojny, ale było to miejsce wygodne i znajome – koc, który zrobiła dla niej babcia, zwinięty u stóp łóżka, wiszące na ścianie pierwsze tępe drewniane sztylety do ćwiczeń, które dostała od ojca, szal matki na oparciu fotela. Miała na sobie jasnoczerwoną satynową piżamę, którą znalazła w starym kufrze, i czuła się zabawnie wystrojona.

Jednakże rozbawienie szybko zgasło, kiedy przejrzała strony w kremowej tezcze. Pierwsza była opowieść Zary o tym, jak zabiła Malcolma, którą podpisali jako świadkowie Samantha i Dane. Oczywiście Diana nie uwierzyłaby Samancie i jej bratu, nawet gdyby powiedzieli, że niebo jest niebieskie.

Zara twierdziła, że Centurioni przepędzili Malcolma po pierwszym ataku i że następnej nocy nieulekłe patrolowała granice Instytutu, aż natrafiła na niego czającego się w cieniach i pokonała w pojedynku na miecze. Twierdziła, że ciało potem zniknęło.

Malcolm nie należał do gości, którzy czailiby się w cieniach, a tej nocy, kiedy powrócił, Diana widziała dość, by wiedzieć, że jego magia nadal działała. Nigdy nie walczyłby z Zarą na miecze, skoro mógł ją pokonać ogniem.

Niestety nic z tego nie dowodziło niezaprzeczalnie, że Zara kłamie. Diana zmarszczyła brwi, obracając strony, a potem usiadła prosto. W tezcze było więcej dokumentów niż tylko raport o śmierci Malcolma: wiele stron na temat Zary, dziesiątki raportów dotyczących jej osiągnięć... Razem wzięte stanowiły imponujący pakiet, a jednak...

Kiedy Diana zaczęła czytać, robiąc sumiennie notatki, dostrzegła wzór. Każdy sukces Zary, każdy jej triumf miał miejsce bez żadnych świadków poza ludźmi z jej najbliższego kręgu przyjaciół: Samantha, Dane'em albo Manuelem. Często inni zjawiali się akurat w samą porę, żeby zobaczyć puste gniazdo demonów albo ślady walki, ale to wszystko.

Żadne raporty nie mówiły, by Zara odniosła kiedykolwiek jakąś ranę w walce. Diana pomyślała o bliznach, które zebrała przez całe swoje życie Nocnego Łowcy, i bardziej zmarszczyła czoło. A potem zmarszczyła je jeszcze bardziej, kiedy sięgnęła po raport Marisol Garzy Solcedo sprzed roku. Marisol twierdziła, że uratowała grupkę Przyziemnych przed atakującym ich demonem drudź w Portugalii. Podczas walki została ogłuszona, a kiedy odzyskała przytomność, świętowano już fakt, że Zara zabiła demona.

Raport złożono wraz z podpisanymi oświadczeniami Zary, Jessiki, Samantha, Dane'a i Manuela, którzy twierdzili, że Marisol coś sobie wyobraziła. Mówili, że to Zara zabiła demona po zaciętej walce. I znowu Zara nie odniosła żadnych ran.

Przypisuje sobie cudze zasługi, pomyślała Diana.

Szyba w oknie zadzwięczała. To pewnie wiatr.

Powinam się położyć, pomyślała.

Zegar w Gard, nowy od czasu Mrocznej Wojny, już dawno wybił wczesne ranne godziny. Jednak zafascynowana Diana nie przestawała czytać. Zara trzymała się z tyłu, czekając, aż walka się skończy, a potem ogłaszała zwycięstwo jako własne. Ponieważ wspierała ją cała grupa, Clave uznawało prawdziwość jej słów.

Gdyby jednak udało się udowodnić, że nie zabiła Malcolma, i jednocześnie w jakiś sposób uchronić Juliana i pozostałych, to może udałoby się skompromitować Kohortę. A już z pewnością Dearbornowie nie mogliby domagać się zwierzchnictwa nad Instytutem w Los Angeles...

Okno znowu zabrzęczało. Podniosła wzrok i zobaczyła po drugiej stronie szyby Gwyna.

Poderwała się z okrzykiem zaskoczenia, rozsypując dokumenty. Opanuj się, zbeształa się w myślach. To niemożliwe, żeby przywódca Dzikiego Polowania rzeczywiście znajdował się za jej oknem.

Zamrugnęła i znowu spojrzała. Nadal tam był. Podeszła do okna

i zobaczyła, że Gwyn unosi się w powietrzu tuż za parapetem na grzbiecie potężnego siwka. Miał na sobie ciemnobrązowy skórzany strój, ale nigdzie nie było widać hełmu z rogami. Wyraz jego twarzy był poważny i zaintrygowany.

Wskazał gestem, żeby otworzyła okno. Diana zawahała się, ale ostatecznie sięgnęła do zasuwki i uniosła okno. Pomyślała sobie, że nie musi go wpuszczać do środka. Mogli po prostu porozmawiać przez okno.

Zimne powietrze wpadło do pokoju wraz z zapachem sosen i poranka. Gwyn skupił na niej spojrzenie dwubarwnych oczu.

– Moja pani – powiedział. – Miałem nadzieję, że zechcesz mi towarzyszyć podczas przejażdżki.

Diana odsunęła pukiel włosów za ucho.

– Dlaczego?

– Przez wzgląd na przyjemność, jaką niesie twoje towarzystwo – odpowiedział Gwyn. Zerknął na nią. – Widzę, że odziałas się pięknie w jedwabie. Czyżbyś spodziewała się innego gościa?

Pokręciła głową z rozbawieniem. Piżama rzeczywiście była ładna.

– Wyglądasz pięknie – powiedział. – Mam wielkie szczęście.

Pewnie mówił prawdę. W końcu nie mógł kłamać.

– Nie mogłeś zapowiedzieć swojego przybycia? – zapytała. – Przesłać wcześniej wiadomości?

Zdumiał się. Miał długie rzęsy i kwadratowy podbródek. Ładna twarz. Przystojna. Diana starała się nie myśleć o tym, bo to tylko powodowało kłopoty, ale nie mogła się powstrzymać.

– Dopiero o świcie odkryłem, że przebywasz tu, w Idrisie.

– Ale nie masz tu wstępu! – Rozejrzała się nerwowo po pustej ulicy. Gdyby ktoś go zobaczył...

Uśmiechnął się szeroko.

– Dopóki kopyta mego konia nie tkną ziemi Alicante, nikt nie podniesie alarmu.

Mimo to Diana się denerwowała. Zapraszał ją na randkę. Nie mogła udawać, że jest inaczej. I chociaż chciała się zgodzić, powstrzymywał ją strach, stary, znajomy strach, który szedł ręką w rękę ze nieufnością i smutkiem.

Gwyn wyciągnął do niej rękę.

– Chodź ze mną. Niebo czeka.

Popatrzyła na niego. Nie był młody, ale i nie wyglądał staro. Robił wrażenie osoby o nieokreślonym wieku, jak to często bywało z faerie, i chociaż wydawał się rozsądny i rozważny, to niósł ze sobą obietnicę powietrza i nieba. Kiedy jeszcze będziesz miała szansę pojechać konno z faerie? – zadała sobie pytanie Diana. Kiedy jeszcze będziesz mogła polatać?

– Będziesz miał straszne kłopoty – szepnęła – jeśli dowiedzą się, że tu jesteś.

Wzruszył ramionami, nadal wyciągając rękę.

– Zatem chodź szybko.

Diana zaczęła wychodzić przez okno.

* * *

Śniadanie było późno. Kit zdołał złapać kilka godzin snu i wziąć prysznic, zanim zszedł do jadalni i zobaczył, że pozostali już siedzą przy stole.

W każdym razie wszyscy oprócz Evelyn. Bridget – jak zawsze skrzywiona – podawała herbatę. Alec i Magnus trzymali dzieci na kolanach. Przedstawili je Kitowi: Max był małym, niebieskim czarownikiem, który oblewał Magnusowi sosem koszulę od znanego projektanta, a Rafe – brązowookim dzieciakiem, który rozrywał tost na kawałki.

Kierana nigdzie nie było widać, co nie było niczym niezwykłym podczas posiłków. Mark siedział obok Cristiny, która w milczeniu piła kawę. Jak zawsze wyglądała schludnie i była pełna rezerwy mimo czerwonego śladu na nadgarstku. Kit uznał, że Cristina jest ciekawą tajemnicą – podobnie jak on nie należała do Blackthornów, ale mimo to była z nimi mocno związana.

Przy stole siedzieli także Livvy i Ty. Ty miał na uszach słuchawki. Livvy wyglądała na zmęczoną, ale zupełnie zdrową. Tylko słaby cień pod oczami Ty'a mówił Kitowi, że miniona noc wcale mu się nie śniła.

– To, co znaleźliśmy w domu Blackthornów, było kryształem *aletheia* – mówił Ty, kiedy Kit siadał. – W przeszłości korzystano z nich do dokumentowania dowodów dla Clave. Dowodów w postaci wspomnień.

Rozległ się szmer zaciekawionych głosów. Słowa Cristiny wybiły się ponad resztą – to był imponujący talent, umiała się przebić w tłumie, nie podnosząc głosu:

– Jakich wspomnień?

– To był swojego rodzaju proces – odpowiedziała Livvy. – W Idrisie, z Inkwizytorem. Mnóstwo znajomych nazwisk: Herondale’owie, Blackthornowie i, rzecz jasna, Dearbornowie.

– Jacyś Lightwoodowie? – zapytał Alec.

– Jeden albo dwóch wyglądało na Lightwoodów. – Livvy zmarszczyła czoło.

– Herondale’owie zawsze słynęli z urody – powiedziała Bridget – ale moim zdaniem Lightwoodowie mają więcej seksualnej charyzmy.

Alec zakrztusił się herbatą. Magnus zachował pokerową twarz, chociaż z niemałym wysiłkiem.

– Powiniennem zbadać te wspomnienia – powiedział czarownik. – Sprawdzić, czy rozpoznam kogoś z tych czasów.

– Jeśli Annabel jest zła na Nocnych Łowców, to najwyraźniej ma dobry powód – wtrąciła Livvy.

– Wielu ma dobry powód, żeby żywić gniew do Nefilim – powiedział Mark. – Malcolm też miał. Jednak ci, którzy ją skrzywdzili, nie żyją, a ich potomkowie nie ponoszą winy. Oto problem z zemstą: kończy się tym, że niszczysz zarówno niewinnych, jak i winnych.

– Ale czy ona to wie? – Ty zmarszczył czoło. – Nie rozumiemy jej. Nie wiemy, co myśli i czuje.

Sprawiał wrażenie niespokojnego, cienie pod oczami uwidoczniły się bardziej niż zwykle. Kit chciał podejść i objąć go, tak jak minionej nocy na dachu. Ten chłopak budził w nim silny instynkt opiekuńczy w sposób, który był dziwny i niepokojący. W przeszłości zdarzało mu się, że zależało mu na kimś, ale zwykle chodziło o ojca i nigdy nie chciał nikogo chronić.

A teraz chciałby zabić każdego, kto spróbowałby skrzywdzić Ty’ą. To było bardzo dziwne uczucie.

– Wszyscy powinni obejrzeć sceny zapisane w kryształach – orzekł Magnus. – A na razie mamy z Alekiem wiadomość dla was.

– Pobieracie się – rozpromieniła się Livvy. – Uwielbiam śluby.

– Nie, na razie jeszcze się nie pobieramy – powiedział Alec.

Kit zastanawiał się, czemu nie. Już byli poważną parą. Tyle że to nie jego sprawa.

– Evelyn nas opuściła – powiedział Magnus. Jakoś zdołał zachować zimną

kręwo mimo marudnego malucha na kolanach. – Według Jii Instytut chwilowo znajduje się pod pieczęcią Aleca.

– Próbowali obarczyć mnie jakimś Instytutem już od dłuższego czasu – powiedział Alec. – Jia musi być zachwycona.

– Evelyn nas opuściła? – Dru wytrzeszczyła oczy. – Znaczą umarła? Magnus zaczął kaszleć.

– Oczywiście, że nie. Wyjechała na wieś odwiedzić swoją babkę cioteczną Marjorie.

– To tak jak wtedy, kiedy zdycha pies i rodzice mówią, że teraz mieszka na farmie? – zapytał zaciekawiony Kit.

Tym razem Alec się zadławił. Kit podejrzewał, że próbował powstrzymać śmiech i starał się z tym nie zdradzić.

– W żadnym razie – zaprotestował Magnus. – Uznała, że ma dość emocji.

– Naprawdę jest u Marjorie – potwierdził Mark. – Dostałem tego ranka ognistą wiadomość na ten temat. Oczywiście zostawiła Bridget, żeby pomogła nam w domu.

Kit pomyślał o tym, jak Evelyn zareagowała na obecność faerie w Instytucie. Mógł sobie tylko wyobrazić, co poczuła, kiedy doszło do tego jeszcze dwóch czarowników. Pewnie zostawiła za sobą ślady spalonej gumy na asfalcie, tak szybko wyjechała.

– Czy to znaczy, że nie musimy jeść owsianki? – zapytał Tavvy, spoglądając z niechęcią na szarą paczkę.

Magnus uśmiechnął się szeroko.

– Właściwie to...

Pstryknął palcami i pośrodku stołu pojawiła się torba z piekarni Primrose. Przewróciła się i ze środka wysypały się muffinki, croissanty i polukrowane ciastka.

Rozległy się okrzyki radości i wszyscy rzucili się na słodczyce. Drobną potyczkę o czekoladowe ciastko wygrał Ty, który podzielił się nim z Livvy.

Max wpełzł na stół, sięgając po muffinkę. Magnus oparł się na łokciach, spoglądając na niego uważnie kocimi oczami.

– A po śniadaniu – powiedział – może pójdziemy do biblioteki i przedyskutujemy to, co wiemy na temat aktualnej sytuacji.

Wszyscy skinęli głowami. Tylko Mark spojrział na niego podejrzliwie, mrużąc nieco oczy. Kit go rozumiał – Magnus pozbył się dla nich Evelyn,

załatwił śniadanie i wprowadził wszystkich w dobry nastrój. A teraz zamierzał wyciągnąć od nich, co wiedzą. Kantował ich, jak się patrzy.

Widząc wesołe twarze przy stole, przez chwilę Kit nienawidził ojca za to, że zniszczył w nim umiejętność uwierzenia, że ktokolwiek może mu coś dać, nie oczekując niczego w zamian.

* * *

Kieran uznał, że całe to jedzenie kolacji i śniadań w grupie jest dziwaczne i niezbyt interesujące. Mark przynosił mu talerze z jedzeniem tak prostym, jak tylko Bridget potrafiła je przyrządzić – mięso i ryż, chleb, świeże owoce i warzywa.

Kieran jednak prawie nie jadł. Gdy Mark wszedł do jego pokoju po śniadaniu, księżę ze znużeniem i nienawiścią spoglądał przez okno na miasto. Jego włosy pobladły do białawego błękitu, zawijając się przy uszach i skroniach jak fale na obrzeżach wody.

– Posłuchaj tego – powiedział.

Na kolanach trzymał otwartą książkę.

*W czarodziejskiej krainie,
Gdzie nikt się nie starzeje i nie znajduje pobożności ni powagi,
Gdzie nikt się nie starzeje i nie szuka podstępni rozważni,
Gdzie nikt się nie starzeje i słów nie zna gorzkich.*

Zerknął na Marka błyszczącymi oczami.

– To idiotyczne.

– To Yeats – powiedział Mark, podając mu maliny. – To był bardzo znany przyziemny poeta.

– Nic nie wiedział na temat faerie. Nikt nie zna gorzkich słów? Ha! – Kieran przełknął maliny i zsunął się z parapetu. – Gdzie się teraz wybieramy?

– Szedłem do biblioteki – odpowiedział Mark. – Mamy tam swego rodzaju... spotkanie. Zdecydujemy, co dalej.

– Zatem też chciałbym wziąć w nim udział.

Mark zastanawiał się gorączkowo. Czy Kieran nie powinien z jakiegoś

powodu brać udziału w zebraniu? Jeśli idzie o Magnusa i Aleca, jego relacje z Kieranem były takie, jak to sam przedstawi. A ani Kieranowi, ani ich napiętych relacjom nie służył fakt, że księżę przesiadywał w małym pokoju, żywiąc nienawiść do współczesnych irlandzkich poetów.

– Skoro chcesz – odpowiedział.

Kiedy weszli do biblioteki, Magnus oglądał kryształ, a inni opowiadali mu, co się wydarzyło do czasu jego przybycia. Czarownik leżał wyciągnięty na jednym ze stołów, ostrożnie trzymając kryształ dokładnie nad sobą.

Cristina, Ty, Livvy i Dru siedzieli wokół długiego bibliotecznego stołu. Alec siedział na podłodze z trójką dzieci – dwójką własnych i Tavvym, który był zachwycony, że ma się z kim bawić. Siedmiolatek wyjaśniał Maksowi i Rafe’owi, jak budować miasta z ksiązek, i pokazywał, jak wznosić tunele z rozłożonych tomów, by pociągi mogły nimi przejeżdżać.

Magnus przywołał gestem Marka, żeby spojrział w kryształ, który jarzył się dziwnym światłem. Dźwięki wokół przygasły, kiedy Mark oglądał przebieg rozprawy, patrzył, jak Annabel błaga i protestuje, jak Blackthornowie przypieczętowują jej los.

Przeszedł go dreszcz, kiedy wreszcie odwrócił wzrok. Potrzebował kilku chwil, zanim znowu ujrzał bibliotekę z całą wyrazistością. Ku jego zdumieniu Kieran wziął Maksa na ręce i trzymał go w górze zachwycony jego niebieską skórą i załążkami rogów. Max wsunął rękę w falujące włosy Kierana i pociągnął, a ten tylko się zaśmiał.

– Zgadza się, zmieniają kolor, mały niksopodobny czarowniku – powiedział. – Popatrz. – I jego włosy z ciemnogrnatowych zamieniły się w jednej chwili w jasnoniebieskie.

Max zachichotał.

– Nie wiedziałem, że potrafisz tym kierować – powiedział Mark, który zawsze myślał, że włosy Kierana odzwierciedlają jego nastrój i Kieran nie ma na to wpływu, tak jak nie panuje się nad morskimi pływami.

– Nie wiesz wielu rzeczy na mój temat, Marku Blackthornie – odparł Kieran, odstawiając Maksa na podłogę.

Alec i Magnus spojrzeli wtedy po sobie w sposób, który dla Marka oznaczał, że bez słowa porozumieli się w kwestii jego relacji z Kieranem.

– A zatem – powiedział Magnus, patrząc na Kierana z zaciekawieniem – jesteś synem króla Ciemnego Dworu?

Kieran przybrał obojętny, wyniosły wyraz twarzy stosowny dla księcia – swoją „dworską twarz”, jak to nazywał Mark.

– A ty jesteś czarownik Magnus Bane.

– Owszem, chociaż to łatwo zgadnąć, ponieważ ja jestem jeden, a was pięćdziesięciu.

Ty się zdumiał.

– Pięćdziesięciu synów króla Ciemnego Dworu – wyjaśniła Livvy. – Myślę, że to był żart.

– Nie najlepszy – przyznał Magnus, zwracając się do Kierana. – Wybacz. Nie jestem wielkim fanem twojego ojca.

– Mój ojciec nie ma fanów. – Kieran oparł się o krawędź stołu. – Ma poddanych. I wrogów.

– I synów.

– Jego synowie są jego wrogami – rzekł beznamiętnie Kieran.

Magnus spojrzał na niego z iskierką nowego zainteresowania w oczach.

– W porządku – powiedział, siadając. – Diana wyjaśniła nam co nieco, ale sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myślałem. Annabel Blackthorn, wskrzeszona przez nieżyjącego Malcolma, który w pewnym sensie nie żył już wcześniej, a teraz jest już zdecydowanie martwy, ma Czarną Księgę. A królowa Jasnego Dworu chce ją zdobyć?

– Tak – potwierdził Mark. – Bardzo jasno to wyraziła.

– I zawarła z wami umowę – odezwał się Alec. – Ona zawsze zawiera umowy.

– Jeśli damy jej Czarną Księgę, posłuży się nią przeciwko królowi Ciemnego Dworu – przyznał Mark.

Wahał się. „Możesz ufać Magnusowi i Alecowi”, napisał mu wcześniej Julian. „Powiedz im wszystko.”

– Przysięgła, że nie spróbuje posłużyć się nią przeciwko nam – mówił dalej. – Co więcej, obiecała nam pomóc. Uczyniła Kierana swoim posłańcem, żeby złożył zeznania przed Radą na temat planowanego przez króla Ciemnego Dworu zajęcia Alicante. Kiedy już królowa będzie miała Czarną Księgę, pošle swoich żołnierzy do walki przeciwko królowi u boku Nocnych Łowców. Tyle że Clave będzie musiało zrezygnować z praw, które zakazują Łowcom współpracy z faerie, jeśli chce jej pomocy.

– Będzie chciało – odparł Magnus. – Wojna z Faerie będzie o wiele

łatwiejsza, gdy zyskamy poparcie części jego mieszkańców.

Mark skinął głową.

– Mamy nadzieję nie tylko na pokonanie króla, ale także zniszczenie Kohorty i zakończenie Zimnego Pokoju.

– Ach, Kohorta... – Magnus spojrzał na Aleca. – Dobrze ją znamy. Horace Dearborn i jego córka Zara.

– Horace? – Mark był zaskoczony.

– Niestety – odpowiedział Magnus – tak ma na imię. I dlatego jest złym człowiekiem.

– Oczywiście Dearbornowie to jeszcze nie koniec – wtrącił się Alec. – W Clave jest mnóstwo bigotów gotowych zebrać się pod hasłem odrzucenia Podziemnych i przywrócenia Clave jego dawnej chwały.

– Chwały? – Kieran uniósł brew. – Mają na myśli czasy, kiedy mogli swobodnie zabijać Podziemnych? Gdy nasza krew płynęła ulicami, a ich domy pękały w szwach od łupów z tej jednostronnej wojny?

– Tak – odpowiedział Magnus. – Chociaż oni opisaliby to innymi słowami.

– Pracując nad Sojuszem, sporo słyszeliśmy o Kohorcie – powiedział Alec. – Jej naciski, żeby ograniczyć korzystanie z magii przez czarowników, oraz chęć scentralizowania zaopatrzenia wampirów w krew, żeby Clave mogło je monitorować, nie pozostały niezauważone.

– Nie można pozwolić, by Instytut wpadł w ich ręce – powiedział Magnus. – To mogłoby zakończyć się katastrofą. – Westchnął i przerzucił nogi poza krawędź stołu. – Rozumiem, że musimy oddać Czarną Księgę królowej. To mi się nie podoba, zwłaszcza że Księga wydaje się szczególnie ważna.

– Bo Annabel i Malcolm ukradli ją z Instytutu Kornwalijskiego – powiedział Ty. – A potem Malcolm znowu ją ukradł z Instytutu w Los Angeles.

– Za pierwszym razem zamierzali ją oddać komuś, kto, jak myśleli, zdoła ich ochronić przed Clave – dodała Livvy. – Za drugim w grę wchodziła pomoc króla Ciemnego Dworu. A przynajmniej tak twierdzą Emma i Jules.

– A jak się tego dowiedzieli? – zapytał Magnus.

– Z jednej z książek, które znaleźli – odparła Cristina. – Z pamiętnika. To wyjaśnia, dlaczego w ruinach domu Malcolma znaleźliśmy rękawiczkę z Ciemnego Dworu. Musiał się tam spotkać z królem albo jednym z jego synów.

– To dziwne, żeby pisać o czymś takim w pamiętniku – mruknął Magnus.
– „Knujemy dziś zdradzieckie plany z królem Ciemnego Dworu, hej ho!”

– Dziwniejsze jest to, że Malcolm zniknął z Cichego Miasta po pierwszej kradzieży – powiedział Mark – i zostawił Annabel, na którą spadły cała wina i kara.

– Dlaczego to dziwne? – zapytała Livvy. – Był okropną osobą.

– Ale kochał Annabel – odparła Cristina. – Wszystko, co robił, zbrodnie, morderstwa, wszystkie jego decyzje były podyktowane miłością do niej. A kiedy dowiedział się, że nie została Żelazną Siostrą, tylko zginęła z rąk własnej rodziny, poszedł do króla Faerie i poprosił o pomoc w jej wskrzeszeniu. Zapomniałaś?

Mark pamiętał. Pamiętał historię, którą Tavvy znalazł w starej książce i która okazała się prawdziwa.

– Co wyjaśnia, dlaczego Malcolm pięć lat temu włamał się do Instytutu w Los Angeles. Aby wskrzesić Annabel. Ale do czego potrzebował Księgi dwieście lat temu? Komu zamierzał ją oddać? Większość nekromantów nie byłaby w stanie zapewnić mu ochrony. A jeśli w grę wchodził czarownik, to musiałyby to być ktoś silniejszy od samego Malcolma.

– „Potężny sprzymierzeniec Fade’a” – zacytował Ty słowa ze sceny w kryształach.

– Nie mogło chodzić o króla Ciemnego Dworu? – zapytała Livvy. – Przy obu okazjach?

– Król Ciemnego Dworu nie nienawidził Nocnych Łowców w tysiąc osiemset dwunastym roku – powiedział Magnus. – A w każdym razie nie tak bardzo.

– A Malcolm powiedział Emmie, że udał się do króla, kiedy się dowiedział, że Annabel nie została zabita, chociaż obawiał się, że król może go zgładzić, bo nie lubi czarowników – wtrąciła Cristina. – Nie miałby powodu nie lubić czarowników, gdyby wcześniej współpracował z Malcolmem, prawda?

Magnus wstał.

– Dobrze, dość zgadywanek. Mamy dzisiaj dwie rzeczy do załatwienia. Po pierwsze, nie powinniśmy zapominać o czarze wiążącym Marka i Cristinę. To więcej niż niedogodność, to może być dla nich niebezpieczne.

Mark wbrew sobie zerknął na Cristinę. Patrzyła na stół, nie na niego. Przypomniał sobie poprzednią noc, ciepło jej ciała obok niego w łóżku, jej

oddech na jego uchu.

Powrócił gwałtownie do rzeczywistości, zdając sobie sprawę, że trwa dyskusja na temat tego, skąd wziąć składniki do czaru, który przerwałby magiczną więź.

– Zważywszy na to, co się wydarzyło wczoraj na Nocnym Targu – dodał Magnus – żadne z nas nie będzie tam mile widziane. Istnieje jednak w Londynie sklep, w którym sprzedaje się potrzebne nam rzeczy. Kit, Ty, Livvy: jeśli podam wam adres, znajdziecie to miejsce?

Livvy i Ty podnieśli wrzawę ewidentnie podekscytowani spodziewaną misją. Kit był cichszy, ale uśmiechnął się kącikiem ust. Jakimś cudem ten najmłodszy Herondale tak się przywiązał do bliźniąt, że nawet Magnus traktował ich jak zespół.

– Naprawdę uważasz, że wysłanie ich jest rozsądne? – wtrącił się Mark. – Po tym, co wydarzyło się wczoraj, gdy zapuścili się na Nocny Targ i Livvy omal przez to nie zginęła?

– Mark, ale... – zaprotestował Ty.

– Cóż, ty i Cristina powinniście zostać w Instytucie – powiedział Magnus. – Czary wiążące są niebezpieczne, nie możecie się zbyt oddalać od siebie. Alec jest szefem Instytutu, więc powinien tu zostać, a ja i właściciel sklepu mamy, jakby to ująć, wspólną historię. Lepiej, żebym tam nie szedł.

– Ja mogę pójść – odezwała się cichutko Dru.

– Nie sama – odparł Mark. – A ta trójka – wskazał Kita, Ty'a i Livvy – tylko wpakuje cię w kłopoty.

– Mogę nałożyć na nich czar tropiący – zaproponował Magnus. – Jeśli zejda z właściwej ścieżki, rozlegnie się okropny hałas, który usłyszą Przyziemni.

– Cudnie – odrzekł Mark, kiedy bliźnięta zaprotestowały.

Kit nic nie powiedział. Rzadko marudził. Mark podejrzewał, że zamiast tego knuje w milczeniu, jak wyrówna rachunki – najchętniej ze wszystkimi ludźmi, których kiedykolwiek poznał.

Magnus przyjrzał się wielkiemu niebieskiemu pierścieniowi na palcu.

– Poszukamy w bibliotece. Dowiemy się czegoś więcej o historii Czarnej Księgi. Nie wiemy, kto ją stworzył, ale może dowiemy się, do kogo kiedyś należała, do czego jej użyto. Może coś nam wskaże, z kim Malcolm współpracował w tysiąc osiemset dwunastym roku.

– I pamiętajcie, o co poprosili nas Julian i Emma – dodała Cristina, postukując w telefon w kieszeni. – Znalezienie tego powinno zająć raptem kilka minut...

Mark nie mógł przestać się na nią gapić. Odgarnęła ciemne włosy za uszy, a wtedy odsunął się rękaw jej swetra, ukazując czerwony ślad na nadgarstku. Chciał do niej podejść, pocałować ślad, wziąć na siebie jej ból.

Odwrócił wzrok, ale dopiero po tym, jak kątem oka dostrzegł spojrzenie Kierana. Ty, Livvy i Kit wstawali z krzeseł, gawędząc z podnieceniem. Rwali się do wyprawy. Dru siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi, a Magnus zerkał na Cristinę, Marka i Kierana w zamyśleniu, wodząc wzrokiem powoli i z rozmysłem.

– W ogóle nie musimy szukać – odezwał się Magnus. – Mamy tu doskonałe źródło. Kieranie, co wiesz o łapaniu piksów?

* * *

Emma obudziła się późnym rankiem otulona ciepłem. Światło wpadało przez odślonięte okna, malując wzory tańczących fal na ścianach. Za oknem widziała rozbłyski niebieskiego nieba i niebieskiej wody. Wakacyjny widok.

Ziewnęła, przeciągnęła się i zamarła, gdy zrozumiała, dlaczego jest jej tak ciepło. Oboje z Julianem wtulili się w siebie w nocy.

Zamarła z przerażenia. Lewą ręką obejmowała Juliana, ale nie mogła jej po prostu zabrać, bo odwrócił się do niej, obejmując ją i przytrzymując. Policzką dotykała gładkiej skóry jego obojczyka. Ich nogi też się splątały, jej stopa opierała się na jego kostce.

Zaczęła powoli się wyplątywać. Boże. Gdyby Julian się obudził, zrobiłoby się okropnie niezręcznie, a już tak dobrze im się układało. Ich rozmowa w pociągu, odnalezienie chaty, dyskusja o Annabel – wszystko było takie naturalne. Nie chciała teraz tego stracić.

Odsuwała się powoli, wyplątując palce, zbliżając się do krawędzi łóżka, aż sturlała się z niego niezgrabnie. Wylądowała na ziemi z hukiem i okrzykiem, który obudził Juliana.

– Co robisz na podłodze? – zapytał, robiąc zdumioną minę.

– Słyszałam, że upadek z łóżka z rana pomaga uodpornić się na niespodziewane ataki – odpowiedziała Emma wyciągnięta jak długa

na deskach.

– Tak? – Usiadł i potarł oczy. – A co daje okrzyk „O, cholera”?

– To już jest opcjonalne. – Wstała, starając się zachować resztki godności osobistej. – To co jest na śniadanie?

Uśmiechnął się półgębkiem i przeciągnął. Nie patrzyła, kiedy koszulka podjechała mu do góry. Nie ma sensu płynąć Rzeką Seksownych Myśli do Morza Perwersji, kiedy donikąd cię to nie prowadzi.

– Głodna?

– A kiedy ja nie jestem głodna?

Podeszła do stołu i wyjęła telefon z torby. Dostała kilka wiadomości od Cristiny. Większość traktowała o tym, że Cristinie „nic nie jest”, a Emma „nie ma się czym martwić” i powinna „przestać pisać, bo Magnus zajmie się czarem wiążącym”. Emma posłała jej zmartwiony emotikon i przewinęła resztę wiadomości.

– Jakies wieści na temat łapania piksów?

– Jeszcze nie.

Julian nic nie powiedział. Emma rozebrała się do swoich chłopięcych szortów i koszulki na ramiączkach. Widziała, że Julian odwrócił wzrok, chociaż widywał ją już w takim stroju. Ubranie zasłaniało więcej niż bikini. Wzięła ręcznik i mydło.

– Idę pod prysznic.

Może źle odczytała jego reakcję. Skinął tylko głową i poszedł do kuchni, żeby włączyć kuchenkę.

– Nie będzie naleśników – oznajmił. – Nie mam potrzebnych składników.

– To mnie zaskocz – odparła Emma i poszła do łazienki.

Kiedy kwadrans później wyszła wyszorowana do czysta i z włosami związanymi w dwa mokre warkocze, z których woda ściekała na koszulkę, Julian nakrył już do śniadania. Tosty, jajka, gorąca czekolada dla niej i kawa dla niego. Usiadła z wdzięcznością na krześle.

– Pachniesz eukaliptusem – zauważył, podając jej widelec.

– W łazience jest eukaliptusowy żel pod prysznic. – Emma zjadła kęs jajecznicy. – Pewnie Malcolma. – Urwała. – Nigdy nie pomyślałam, że seryjny morderca może mieć żel pod prysznic.

– Nikt nie lubi czarowników-świntuchów.

Emma mrugnęła porozumiewawczo.

- Niektórzy mogliby się z tobą nie zgodzić.
- Bez komentarza – powiedział Julian, smarując tost masłem orzechowym i nutellą. – Mamy odpowiedź na nasze pytanie. – Podniósł jej telefon. – Instrukcje, jak złapać piksy. Od Marka, czyli pewnie od Kierana. Zatem najpierw śniadanie, a potem polowanie na piksy.
- Jestem gotowa zapolować na te malutkie, słodkie stworzonka i dać im wycisk – powiedziała Emma. – Wprost palę się do tego.
- Emmo...
- Może nawet zawiążę im kokardki na głowach.
- Musimy je przesłuchać.
- Mogę sobie najpierw strzelić fotkę z jednym?
- Jedz tosty, Emmo.

* * *

Wszystko jest do bani, pomyślała Dru. Leżała pod biurkiem w salonie z rękami skrzyżowanymi pod głową. Parę stóp nad sobą widziała wyciętą w drewnie wiadomość, zamazaną z powodu lat, które upłynęły.

W pokoju było cicho, tylko zegar tykał. Cisza zarówno przypominała o tym, jaka jest samotna, jak i przynosiła ulgę. Nikt nie mówił jej, żeby zajęła się Tavyim, ani nie prosił, żeby po raz milion któryś bawiła się z nim w demony i Nocnych Łowców. Nikt nie kazał jej zanieść wiadomości albo przynieść jakiegoś dokumentu z biblioteki. Nikt nie rozmawiał ponad jej głową, w ogóle jej nie słuchając.

Nikt nie mówił, że jest za mała. Zdaniem Dru wiek to kwestia dojrzałości, a nie lat, a ona była bardzo dojrzała. Miała osiem lat, kiedy broniła kołyski brata z mieczem w ręku. Miała osiem lat, kiedy widziała, jak Julian zabił potwora o twarzy ich ojca, a potem biegła przez stolicę Idrisu, gdzie wszystko rozpadało się w morzu płomieni i krwi.

I zachowała spokój, kiedy kilka dni temu Livvy przysłała jej powiadzić, że wuj Arthur nigdy nie kierował Instytutem, że to Julian zawsze się tym zajmował. Podeszła do sprawy bardzo rzeczowo, jakby to nie było nic wielkiego, i prześliznęła się nad faktem, że Diana nie zaprosiła Dru na spotkanie, na którym najwyraźniej ujawniła tę nowinę. Jeśli chodzi o Livvy, wieść o Julianie służyła przede wszystkim do tego, żeby wymusić

na Dru częstszą opiekę nad Tavvym.

Nie chodziło o to, że nie lubiła zajmować się bratem. Przeciwnie. Po prostu uważała, że zasługuje na jakąś pochwałę, gdy się bardziej postara. Nie wspominając już o tym, że latem przez dwa miesiące znosiła to, że ciotka Marjorie nazywała ją grubaską. Dru jej za to nie zamordowała, co jej własnym zdaniem świadczyło wręcz o epickich zasobach dojrzałości i opanowania.

Zerknęła na swe pulchne ciało i westchnęła. Nigdy nie będzie chuda. Większość Nocnych Łowców była szczupła, bo taki skutek daje czternaście godzin ćwiczeń dziennie. Ona jednak zawsze będzie krągła, bez względu na to, co robi. Była silna i muskularna, jej ciało było wysportowane, ale zawsze będzie miała biodra, piersi i pulchne boczki. Pogodziła się z tym. Niestety nie pogodziły się z tym wszystkie ciotki Marjorie tego świata.

Rozległ się brzęk. Coś upadło w pokoju. Dru zamarła. Ktoś tu był oprócz niej? Usłyszała ciche przekleństwo, ale nie po angielsku, lecz po hiszpańsku. To nie mogła być jednak Cristina. Cristina nigdy nie przeklinała, poza tym głos należał do mężczyzny.

Diego? Jej zadurzone serce zabiło mocniej i Dru wyskoczyła spod biurka.

Krzyknęła zaskoczona. Druga osoba w pokoju też krzyknęła i klapnęła ciężko na podłokietnik fotela.

To nie był Diego. To był Nocny Łowca w wieku Juliana, wysoki i smukły, ze strzechą czarnych włosów kontrastujących ze śniadą skórą. Był cały w Znakach, a ponadto w tatuażach: wytatuowane słowa ciągnęły się po jego przedramionach i wiły na obojczykach.

– Co... co to znaczy? – zapytała ostro Dru, strzepując kurz z włosów. – Kim jesteś? Co tu robisz?

Zastanawiała się, czy zacząć krzyczeć. Rzecz jasna, każdy Nocny Łowca mógł wejść do Instytutu, ale zwykle przynajmniej dzwonił do drzwi.

Chłopak sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Uniósł ręce, jakby chciał ją powstrzymać, a ona dostrzegła na jego palcu błysk sygnetu z różanym wzorem.

– Ja... – zaczął.

– Już wiem, jesteś Jaime – powiedziała i zalała ją fala ulgi. – Brat Diego.

Chłopiec się nachmurzył.

– Znasz mojego brata?

Mówił ze słabym obcym akcentem, choć wyraźniejszym niż u Diego czy Cristiny. To sprawiało, że jego głos brzmiał jeszcze dźwięczniej.

– W pewnym sensie – odpowiedziała Dru i odchrząknęła. – Mieszkam w Instytucie w Los Angeles.

– Jedna z Blackthornów?

– Jestem Drusilla. – Wyciągnęła rękę. – Drusilla Blackthorn. Mów mi Dru.

Zaśmiał się i uściskał jej dłoń. Jego ręka była ciepła.

– Ładne imię dla ładnej dziewczyny.

Dru się zaczerwieniła. Jaime nie był tak idealnie przystojny jak Idealny Diego – nos miał ciut za szeroki, usta za szerokie i zbyt ruchliwe, ale oczy miał czarne i błyszczące, a rzęsy niesamowicie długie i czarne. Było w nim coś, jakaś energia, której Diego – mimo swojej urody – wydawał się pozbawiony.

– Cristina pewnie naopowiadała ci okropnych rzeczy na mój temat – powiedział.

Pokręciła głową, zabierając rękę.

– W ogóle niewiele o tobie mówiła – odparła.

Mnie i tak nic by nie powiedziała, dodała w myślach. Cristina nie uznałaby jej za dostatecznie dorosłą, żeby jej się zwierzać, dzielić się z nią sekretami. Dru wiedziała tylko tyle, ile usłyszała z codziennych rozmów dziewczyn.

Oczywiście nie zamierzała przyznawać się do tego przed Jaimem.

– To duże rozczarowanie. Na jej miejscu stale bym o mnie opowiadał. – W kącikach oczu zrobiły mu się zmarszczki. – Chcesz usiąść?

Odrobinę podenerwowana Dru usiadła obok niego.

– Zwierzę ci się z czegoś – powiedział.

To brzmiało jak zapowiedź, jakby właśnie podjął decyzję i poczuł, że należy to jak najszybciej ogłosić.

– Serio?

Dru nie była pewna, czy kiedykolwiek ktoś jej się zwierzył. Większość rodzeństwa uważała ją za zbyt małą, a Tavvy nie miał sekretów.

– Przyjechałem zobaczyć się z Cristiną, ale na razie nie może wiedzieć, że tu jestem. Muszę najpierw skontaktować się z bratem.

– U Diego wszystko w porządku? – zapytała Dru. – Kiedy ostatni raz go widziałam... To znaczy słyszałam, że wyszedł cało z walki z Malcolmem,

ale od tamtego czasu nie widziałam go ani nic o nim nie słyszałam, a on i Cristina...

Zamknęła usta.

Jaime zaśmiał się cicho.

– W porządku. Wiem. *Ellos terminaron*.

– Zerwali – przetłumaczyła. – Właśnie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Mówisz po hiszpańsku?

– Uczę się. Chciałabym pojechać do Instytutu w Mexico City na roczną wymianę albo może do Argentyny, żeby pomóc w odbudowie.

Zauważyła, jak jego rzęsy musnęły policzek, gdy mrugnął porozumiewawczo.

– Jeszcze nie masz osiemnastu lat, co? Nic nie szkodzi. Ja też nie.

I dużo mi brakuje, pomyślała Drusilla, ale tylko uśmiechnęła się nerwowo.

– Co zamierzałeś mi powiedzieć?

– Ukrywam się. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego, ale to ważne. Proszę, nie mów nikomu, że tu jestem, dopóki nie porozmawiam z Cristiną.

– Nie popełniłeś żadnego przestępstwa ani nic takiego, co?

Nie roześmiał się.

– Gdybym powiedział, że nie, ale wiem, że ktoś inny je popełnił, uwierzyłabyś mi?

Przyglądał jej się uważnie. Pewnie nie powinnam mu pomagać, pomyślała. W końcu w ogóle go nie знаła, a z tego, co powiedział o nim Diego, wynikało, że Jaime to same kłopoty.

Z drugiej strony ktoś był gotowy jej zaufać, powierzyć jej swoje plany i sekrety, zamiast odciąć się od niej, bo jest za młoda albo powinna zająć się Tavyem.

Odetchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy.

– W porządku. Jak zamierzasz się nie ujawniać do czasu rozmowy z Cristiną?

Miał czarujący uśmiech. Zastanawiała się, jak mogła pomyśleć, że nie jest równie przystojny jak Diego.

– W tym właśnie możesz mi pomóc.

* * *

Emma wspięła się po ścianie chaty na dach i wyciągnęła rękę, żeby pomóc Julianowi. Nie złapał jej i sam z łatwością wskoczył na pokrytą gontem powierzchnię.

Dach chaty Malcolma był tylko lekko spadzisty i wysuwał się poza lico budynku od frontu i z tyłu. Emma przeszła do miejsca, gdzie wystawał przed frontowe drzwi.

Stąd było widać pułapkę. Mark powiedział im, jaka przynęta jest najlepsza. Piksy uwielbiały mleko, chleb i miód. Lubiły też zdechłe myszy, ale Emma nie zamierzała posuwać się aż tak daleko. Lubiła myszy, chociaż Church żywił do nich głęboko zakorzenioną wrogość.

– A teraz czekamy – powiedział Julian, siadając na krawędzi dachu.

Miski z mlekiem i miodem oraz talerz z chlebem stały na zewnątrz, jaśniejac kusząco na stosie liści koło ścieżki prowadzącej do domu.

Emma usiadła obok Julesa. Niebo, błękitne i bezchmurne, rozciągało się aż po horyzont, gdzie stykało się z ciemniejszym morzem. Powolne kutry rybackie kreśliły białe wzory na powierzchni morza, stłumiony szum fal stanowił delikatny kontrast dla ciepłego wiatru.

Wbrew sobie pomyślała o tych wszystkich razach, kiedy siadywali z Julesem na dachu Instytutu, rozmawiali i patrzyli na ocean. To było zupełnie inne wybrzeże, ale wszystkie morza się łączą.

– Na pewno jakieś prawo zakazuje łapania piksów bez pozwolenia Clave – powiedziała Emma.

– *Lex malla, lex nulla* – odrzekł Julian, machając z żalem ręką.

To było rodzinne motto Blackthornów: „Złe prawo to nie prawo”.

– Ciekawe, jak brzmią motta innych rodzin – zadumała się na głos Emma.

– Znasz jakieś?

– Rodzinne motto Lightwoodów brzmi „Mamy dobre intencje”.

– Bardzo śmieszne.

Julian na nią zerknął.

– Nie, mówię serio.

– Serio? To jak brzmi motto Herondale’ów? „Piękni, ale niespokojni”?

Wzruszył ramionami.

– „Jak nie znasz swojego nazwiska, to pewnie brzmi Herondale”?

Emma wybuchnęła śmiechem.

– A Carstairsowie? – zapytała, poklepując Cortanę. – „Mamy miecz”?

„Tępe narzędzia są dla nieudaczników”?

– A Morgensternowie? – podsunął Julian. – „Kiedy nie wiesz, co robić, rozpętaj wojnę”?

– A może: „Czy chociaż jeden z nas był porządnym człowiekiem, ale tak na serio”?

– Trochę za długie – orzekł Julian. – Chociaż trafione w dziesiątkę.

Śmiali się tak bardzo, że nie mogli mówić. Emma pochyliła się, zgięła w pół i omal nie krzyknęła, co w połączeniu ze śmiechem skończyło się kaszlem. Zasłoniła usta dłonią.

– Piksy! – szepnęła przez palce i wyciągnęła rękę.

Julian przysunął się bezgłośnie do krawędzi dachu, a Emma razem z nim. W pobliżu pułapki stała grupka mizernych, bladych postaci w łachmanach. Miały niemal przezroczystą skórę, włosy jasne jak słoma i bose stopy. Wielkie, czarne źrenice spoglądały z twarzyczek delikatnych jak z porcelany.

Wyglądały dokładnie tak jak na rysunkach na ścianie zajazdu, w którym jedli poprzedniego dnia. Emma nie widziała żadnych piksów w Faerie. Wyglądało na to, że rzeczywiście wygnano je do świata Przyziemnych.

Bez słowa rzuciły się na naczynia z chlebem, mlekiem i miodem, a wtedy ziemia się pod nimi zapadła. Krucha konstrukcja z gałązek i liści, jaką Emma ułożyła na jamie wykopanej przez Juliana, zawałiła się i piksy wpadły w pułapkę.

* * *

Gwyn nie próbował jej zagadywać, kiedy jego koń szybował nad Alicante, a potem nad lasem Brocelind. Diana była mu za to wdzięczna. Mając wiatr we włosach, chłodny i delikatny, widząc las rozciągnięty w dole w ciemnym, zielonym cieniu, czuła się tak wolna, jak nie czuła się już od długiego czasu. Rozmowa tylko by ją rozpraszała.

Świt ustąpił światłu dnia, gdy patrzyła na świat przesuwany się szybko pod nią: nagły rozbłysk wody, wdzięczne kształty jodeł i białych sosen. Kiedy Gwyn skierował konia w dół i zaczęli opadać, poczuła ukłucie rozczarowania i nagłe zrozumienie dla Marka. Nic dziwnego, że brakowało mu Polowania; nic dziwnego, że nawet po powrocie do rodziny tęsknił za niebem.

Wylądowali na małej polanie pośród lip. Gwyn ześliznął się z końskiego

grzbietu i podał Dianie dłoń, żeby pomóc jej zejść na ziemię. Gęsty zielony mech był miękki pod jej bosymi stopami. Wędrowała wśród białych kwiatów i podziwiała niebieskie niebo, podczas gdy Gwyn rozłożył płócienny obrus i jedzenie wypakowane z sakwy u siodła.

Nie potrafiła do końca powstrzymać śmiechu – oto ona, Diana Wrayburn z praworządnych i szanowanych Wrayburnów, właśnie miała zasiąść do pikniku z wodzem Dzikiego Polowania.

– Chodź – powiedział, kiedy skończył przygotowania i usiadł na ziemi. Jego koń odszedł, żeby poskubać trawę na obrzeżach polany. – Musisz być głodna.

Z zaskoczeniem odkryła, że rzeczywiście zgłodniała. A jeszcze większy głód poczuła, gdy spróbowała jedzenia – przepysznych owoców, solonego mięsa, pajd chleba z miodem i wina, które smakowało tak, jak wyglądają rubiny.

Może to był wpływ wina, ale odkryła, że łatwo jej się rozmawia z Gwynem, mimo jego cichej natury. Pytał o nią, ale nie o jej przeszłość; interesowały go jej pasje, zainteresowania, marzenia. Złapała się na tym, że opowiada mu o swojej miłości do nauczania, że chciałaby pewnego dnia uczyć w Akademii. Zapytał o Blackthornów i o to, jak odnajduje się w domu Mark, i kiwał z powagą głową, słuchając jej odpowiedzi.

Nie był piękny w taki sposób, w jaki jest pięknych wiele faerie, ale tym bardziej podobała jej się jego twarz. Włosy miał gęste i brązowe, dłonie szerokie, zręczne i silne. Miał blizny na skórze – na szyi i piersi, na grzbietach dłoni – ale to sprawiło, że pomyślała o własnych bliznach i byciu Nocnym Łowcą. Było to pocieszające, bo znajome.

– Dlaczego nie ma kobiet w Dzikim Polowaniu? – zapytała.

– Kobiety są zbyt okrutne – odpowiedział z szerokim uśmiechem. – Zbieramy umarłych. Okazało się, że kiedy Damy Riannon brały udział w Dzikim Polowaniu, nie chciały czekać aż umarli umrą.

Diana się roześmiała.

– Riannon. To imię brzmi znajomo.

– Kobiety opuściły Dzikie Polowanie i zostały *Adar Rhiannon*. Ptakami Riannon. Niektórzy nazywają je „walkiriami”.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Faerie potrafi być takie cudowne – powiedziała. – A zarazem tak

straszne.

– Myślisz o Marku?

– Mark kocha swoją rodzinę, a oni cieszą się, że go odzyskali. A jednak tęskni za Polowaniem. Co czasem trudno zrozumieć. Kiedy do nas wrócił, był potwornie poraniony. Na ciele i na umyśle.

– Wielu Nocnych Łowców nosi blizny – odparł – ale to nie znaczy, że nie chcą już być Nocnymi Łowcami.

– Nie jestem pewna, czy to jest to samo.

– Nie jestem pewien, czy to aż tak się różni. – Oparł się o duży szary głaz.

– Mark był świetnym Myśliwym, ale nie wkładał w to serca. To nie za Polowaniem tęskni, ale za wolnością i otwartym niebem. Może też za Kieranem.

– Wiedziałaś, że się pokłócili, ale kiedy przyszedłeś do nas, byłeś pewien, że Mark go uratuje.

– Nocni Łowcy pragną wszystkich ocalić. A w szczególności tych, których kochają.

– Myślisz, że Mark nadal kocha Kierana?

– Myślę, że nie można całkowicie wykorzenić miłości. Myślę, że gdzie raz była miłość, zawsze pozostaną tłące się węgielki, ponieważ pozostałości ogniska trwają dłużej niż płomienie.

– W końcu jednak gasną. Zostają tylko popioły.

Gwyn się pochylił. Jego oczy – niebieskie i czarne – patrzyły na Dianę z powagą.

– Kochałaś kiedyś?

Pokręciła głową. Czowała drzenie w całym ciele – z wyczekiwania, ze strachu.

– Nie w taki sposób.

Pomyślała, że powinna mu powiedzieć, dlaczego, ale żadne słowa nie pojawiły się w jej umyśle.

– To szkoda – odrzekł. – Myślę, że bycie kochanym przez ciebie byłoby ogromny zaszczytem.

– Prawie wcale mnie nie znasz – powiedziała Diana.

Jego słowa nie powinny mieć na mnie wpływu, mówiła sobie. Nie powinnam tego chcieć.

A jednak było inaczej i odczuwała to w sposób, który próbowała pogrzebać

dawno temu.

– Tamtej nocy, kiedy zjawiłem się Instytucie, wyczytałem z twoich oczu prawdę o tobie – powiedział Gwyn. – Widziałem twoją odwagę.

– Odwagę – powtórzyła Diana. – Taką, która pozwala zabijać demony, owszem. Istnieje jednak wiele rodzajów odwagi.

Jego bezdenne oczy rozbliły.

– Diano...

Ona jednak już wstała i szła ku obrzeżom polany, przede wszystkim po to, żeby zmniejszyć napięcie chwili. Koń Gwyna zarżał, gdy zbliżyła się do niego, i cofnął się przed nią.

– Ostrożnie – ostrzegł ją Gwyn. Wstał, ale nie ruszył za nią. – Moim koniom z Dzikiego Polowania zdarza się denerwować przy kobietach. Mają mało doświadczenia z nimi.

Diana zatrzymała się na chwilę, a potem obesła konia szerokim łukiem. Kiedy zbliżyła się do skraju lasu, kątem oka dostrzegła rozblisk czegoś bladego.

Podeszła, zdając sobie nagle sprawę, jak bardzo jest narażona na atak – znalazła się na otwartym terenie bez broni i w samej piżamie. Jak mogła się na to zgodzić? Co takiego Gwyn powiedział, żeby ją przekonać?

„Wyczytałem prawdę o tobie”.

Odepchnęła te słowa w głąb umysłu, wyciągając rękę, żeby oprzeć się o smukły pień lipy. Jej oczy dostrzegły, zanim umysł zdołał to zanalizować – przedziwny widok, krąg wypalanej nicości pośrodku Brocelind. Spopielona ziemia, drzewa spalone do kikutów, jakby kwas zwęglił wszystko co żywe.

– Na Anioła – szepnęła.

– To plaga – odezwał się za jej plecami Gwyn. Szerokie barki miał napięte, zęby zaciśnięte. – Widziałem to do tej pory tylko w Faerie. To znak potężnej czarnej magii.

„Były tam wypalone miejsca, białe jak popiół, jak powierzchnia księżyca”.

Diana mocniej złapała się drzewa.

– Zabierz mnie z powrotem – powiedziała. – Muszę wracać do Alicante.

Przed otwartą źrenicą

Mark siedział na krawędzi łóżka, oglądając swój nadgarstek. Rana pociemniała, na brzegach pojawiła się zaschnięta krew, siniaki rozlewały się wokół w odcieniach od ciemnej czerwieni po fiolet.

– Pozwól, że go obandażuję – zaproponował Kieran.

Siedział na nocnym stoliku z podkulonymi nogami. Włosy miał splątane, był boso. Wyglądał jak dzikie stworzenie, które przysiadło na fragmencie cywilizacji; jak sokół balansujący na głowie posągu.

– Pozwól mi chociaż na to.

– Bandażowanie nic nie pomoże – odparł Mark. – Jak powiedział Magnus: rana się nie zagoi, dopóki czar nie zostanie zdjęty.

– To zgódź się dla mnie. Nie mogę na to patrzeć.

Mark spojrzał zdziwiony na Kierana. W Dzikim Polowaniu widzieli sporo ran i krwi, a Kieran nigdy nie był tym poruszony.

– Bandaże są tam. – Mark wskazał szufladę nocnego stolika.

Patrzył, jak Kieran zeskakuje i wyjmuje potrzebne rzeczy, a potem wraca do łóżka, do niego.

Usiadł i ujął nadgarstek Marka w dłoń. Dłonie miał zręczne i zdolne, z prosto przyciętymi paznokciami i odciskami od długich lat walki i jazdy konnej. (Dłonie Cristiny też miały odciski, ale jej nadgarstki i palce były gładkie i miękkie. Mark pamiętał ich dotyk na policzku w zagajniku w Faerie).

– Jesteś taki nieobecny duchem – poskarżył się Kieran. – Znajdujesz się dalej ode mnie, niż kiedy ja byłem w Faerie, a ty w świecie ludzi.

Mark wpatrywał się w nadgarstek owinięty teraz bandażem. Kieran fachowo zawiązał supełek i odłożył pudełko z opatrunkami na bok.

– Nie możesz zostać tu na zawsze – powiedział Mark. – A kiedy

odejdziesz, naprawdę znajdziemy się daleko od siebie. Nie mogę o tym zapomnieć.

Zniecierpliwiony Kieran prychnął cicho i zwałił się na łóżko, w pościel. Koce już wcześniej zrzucili na podłogę. Ze splątanymi czarnymi włosami na białym tle pościeli, z ciałem wyciągniętym bez krztyny ludzkiej skromności – koszula podjechała mu do połowy piersi, nogi miał szeroko rozłożone – jeszcze bardziej przypominał dzikie stworzenie.

– Wobec tego chodź ze mną – zaproponował. – Zostań ze mną. Widziałem wyraz twojej twarzy, kiedy zobaczyłeś konie z Dzikiego Polowania. Dałbyś wszystko, żeby znowu w nim pojechać.

Mark nagle się rozgniewał i pochylił nad Kieranem:

– Nie wszystko!

Głos mu drżał z gniewu.

Kieran syknął cicho. Złapał Marka za koszulę.

– O, proszę. Gniewaj się na mnie, Marku Blackthornie. Krzycz na mnie. Bylebyś coś czuł.

Mark nie poruszył się, tylko zamarł nad Kieranem.

– Myślisz, że nic nie czuję? – zapytał z niedowierzaniem.

Coś zabłyśło w oczach Kierana.

– Połóż na mnie ręce – powiedział, a Mark to zrobił, czując, że nie potrafi się powstrzymać.

Kieran zacisnął palce na prześcieradle, kiedy Mark go dotknął, ściągnął z niego koszulę, gwałtownie szarpał za guziki. Kiedy przesuwiał dłońmi po ciele Kierana, tak jak to robił przez niezliczone noce w przeszłości, powolny płomień zapłonął w jego piersi, wspomnienie pożądania stało się nagle obecne.

Płonęło w nim – pełgający, smutny żar jak znak ogniowy na odległym wzgórzu. Koszula Kierana podjechała do głowy, nad głowę i splątała mu ręce, objął więc Marka nogami i tak przytrzymał. Uniósł się i sięgnął ku niemu ustami. Smakował jak słodki lód na arktycznych przestworzach pod niebem oznaczonym zorzą polarną. Mark nie potrafił powstrzymać swoich dłoni. Kształt ramienia Kierana był jak stok wzgórza, jego włosy były miękkie i ciemne jak chmury; oczy były jak gwiazdy, a jego ciało poruszało się pod Markiem jak wodospad, jakiego nie widziało żadne ludzkie oko. Był gwiazdny blaskiem, obcością i wolnością. Był setką strzał wystrzelonych

z setek łuków w tej samej chwili.

I Mark się w nim zatracił. Spadał przez ciemne niebiosy osrebrzone diamentowym gwiazdowym pyłem. Splótł swoje nogi z nogami Kierana, ręce wsunął w jego włosy i pędzili przez mgłę ponad zielonymi pastwiskami, jechali na podkutym ogniem rumaku ponad pustyniami, gdzie piaski wznosiły się chmurami złota. Krzyknął i nagle Kieran zaczął się oddalać od niego, jakby poderwano go z łóżka; wszystko się oddalało. Mark otworzył oczy i zobaczył, że znajduje się w bibliotece.

Zasnął z głową na rękach, z twarzą na drewnianym blacie. Poderwał się gwałtownie, tłumiąc okrzyk, i zobaczył Kierana siedzącego na parapecie i patrzącego na niego.

Poza tym biblioteka była pusta, dzięki niech będą Aniołowi. Nie było w niej nikogo poza nimi.

Ręka Marka pulsowała boleśnie. Musiał uderzyć nią o krawędź stołu. Palce już zaczynały mu puchnąć.

– Szkoda – powiedział Kieran, spoglądając w zamyśleniu na rękę Marka. – Gdyby nie to, pewnie byś się nie obudził.

– Gdzie są wszyscy? – Mark przełknął ślinę, czując, że zaschło mu w gardle.

– Niektórzy poszli poszukać składników do rozproszenia czaru wiążącego – odpowiedział Kieran. – Dzieci zrobiły się niespokojne, więc Cristina poszła się nimi zająć razem z kochankiem Magnusa.

– Masz na myśli Aleca. On ma na imię Alec.

Kieran wzruszył ramionami.

– A Magnus poszedł do jakiegoś miejsca zwanego kafejką internetową, żeby wydrukować wiadomości od Emmy i Juliana. My mieliśmy zająć się szukaniem informacji, ale ty zaraz zasnąłeś.

Mark zagryzł usta. Nadal czuł bliskość ciała Kierana, chociaż wiedział, że tamten nawet go nie dotknął. Wiedział to, ale musiał zapytać, nawet jeśli obawiał się odpowiedzi.

– I sprowadziłeś na mnie sen.

Nie pierwszy raz Kieran zrobiłby coś takiego. Dał mu miłe sny kilka razy w czasach Polowania, kiedy Mark nie mógł zasnąć. Faerie miały taki dar.

To jednak było coś innego.

– Tak – przytaknął Kieran. W jego ciemnych włosach pojawiły się białe

pasma jak pasma kruszcu w szybie górniczym.

– Dlaczego? – zapytał Mark.

Gniew wzbierał mu w żyłach. Odbierał go jak napór w piersi. Kiedy byli w Dzikim Polowaniu, zdarzały im się straszliwe kłótnie, pełne krzyku. Kłótnie z rodzaju tych, kiedy wydaje się, że stawką jest cały świat, bo ta druga osoba jest wszystkim, co masz. Mark pamiętał, jak zepchnął Kierana z lodowca, a potem rzucił się za nim, złapał go i obaj sturlali się w zaspę, ściskając się w zimnie i wilgoci, a ich zmarznięte palce ześlizgiwały się ze skóry.

Kłopot w tym, że kłótnie z Kieranem prowadziły zwykle do pocałunków, a to, jak czuł teraz Mark, w niczym nie pomagało. I pewnie nie było też zdrowe.

– Ponieważ nie jesteś ze mną szczery. Twoje serce jest zamknięte i spowite mgłą. Nie widzę go. Pomyślałem, że może w snach...

– Myślisz, że cię okłamuję? – Serce zabiło Markowi z przerażenia.

– Myślę, że okłamujesz sam siebie – odpowiedział Kieran. – Nie urodziłeś się do tego życia pełnego polityki, spisków i kłamstw. To cię różni od brata. Julian rozkwita w takim środowisku. Ty jednak nie chcesz zgadzać się na takie układy, w których niszczysz własną duszę w imię większego dobra. Jesteś na to zbyt dobry.

Mark opuścił głowę na oparcie krzesła. Gdybyż tylko mógł powiedzieć sobie, że Kieran się myli... Ale tak nie było. Pogardzał sobą codziennie, w każdej chwili, z powodu okłamywania Kierana, nawet jeśli kłamał w dobrej sprawie.

– Twój brat spaliłby cały świat, byle uratować swoją rodzinę. Niektórzy tacy są. Nie ty.

– Rozumiem, nie możesz uwierzyć, że to naprawdę się dla mnie liczy, ale taka właśnie jest prawda.

– Pamiętaj – szepnął Kieran. Nawet teraz, w tym przyziemnym świecie, było coś dumnego i aroganckiego w gestach Kierana, w jego głosie. Mimo dzinsów, które pożyczył mu Mark, wyglądał tak, że powinien stać na czele armii faerie i rozkazującym gestem dawać polecenie do natarcia. – Pamiętaj, nic z tego nie jest prawdziwe.

Mark sobie przypominał. Przypominał sobie wiadomość na pergaminie schowaną w skorupce żołądźdź. Pierwszą wiadomość, jaką Kieran

mu przysłał po tym, jak Mark odszedł z Dzikiego Polowania.

– Dla mnie to jest prawdziwe – odparł Mark. – To wszystko jest dla mnie jak najbardziej realne. – Pochylił się. – I chcę wiedzieć, czy naprawdę jesteś tu ze mną.

– Co to znaczy?

– To znaczy koniec gniewania się. To znaczy koniec z podsyłaniem mi snów. Potrzebowałem cię przez tak długi czas, potrzebowałem tak bardzo... Taka potrzeba nagina człowieka i wypacza. Wprawia go w desperację. Sprawia, że przestaje wybierać.

Kieran zamarł.

– Chcesz powiedzieć, że mnie nie wybrałeś?

– Mówię, że Dzikie Polowanie nas wybrało. Mówię, że jeśli odnajdujesz we mnie obcość i chłód, to dlatego że nie mogę raz za razem nie zadawać sobie pytania: czy w innym świecie, w innej sytuacji, nadal wybralibyśmy siebie nawzajem? – Mark zmierzył Kierana hardym wzrokiem. – Jesteś księciem. A ja jestem w połowie Nefilim, to gorzej niż najpodlejsza plewa, to skalana krew i pochodzenie.

– Mark!

– Mówię, że wybory, jakich dokonaliśmy w niewoli, nie zawsze są wyborami, jakich dokonujemy na wolności. Dlatego je kwestionujemy. Nic na to nie można poradzić.

– Dla mnie to wygląda inaczej. Ja potem wrócę do Polowania. To ty zyskałeś wolność.

– Nie pozwolę, żeby zmuszono cię do powrotu do Polowania, jeśli nie będziesz tego chciał.

Spojrzenie Kierana złagodniało. W tej chwili Mark myślał, że obiecałby mu wszystko, bez względu na pochoćność swoich słów.

– Chciałbym, żebyśmy obaj byli wolni – powiedział Mark. – Żebyśmy się śmiali, dobrze bawili, kochali zwyczajnie. Tutaj jesteś ze mną wolny. Może to jest nasza szansa. Może tym razem moglibyśmy spróbować.

– Dobrze więc – odparł Kieran po długim milczeniu. – Zostanę z tobą. I pomogę ci z twoimi nudnymi książkami. – Uśmiechnął się. – Będę cię wspierał, jeśli w ten sposób mamy się dowiedzieć, co dla siebie znaczymy.

– Dziękuję.

Kieran, podobnie jak większość faerie, nie widział sensu w odpowiadaniu

„nie ma za co”. Zamiast tego zsunął się z parapetu i poszedł poszukać książki. Mark ruszył za nim. Nie powiedział Kieranowi niczego, co byłoby kłamstwem, ale czuł ciężar na sercu, jakby każde jego słowo było fałszywe.

* * *

Niebo nad Londynem było bezchmurne, błękitne i piękne. Wody Tamizy rozstępujące się przed łódką były niemalże niebieskie. Trochę przypominały herbatę, gdyby dodać do niej niebieskiego atramentu, pomyślał Kit.

Miejsce, do którego się wybierali – Ty miał adres – znajdowało się na Gill Street, w Limehouse, jak wyjaśnił im Magnus.

– Kiedyś to była okropna okolica. Mnóstwo palarni opium i szulerni. Boże, ale to były zabawne czasy.

Mark z miejsca spanikował.

– Nie martw się – dodał Magnus. – Teraz to nudne miejsce, same eleganckie apartamenty i puby z restauracjami. Bardzo bezpieczna dzielnica.

Julian zabroniłby im pójść, Kit był tego bez mała pewien, ale Mark się nie wahał. Najwyraźniej znacznie bardziej niż brat był skłonny traktować Livvy i Ty'a jak dorosłych Nocnych Łowców, którzy zwyczajnie powinni pracować tak samo jak pozostali.

To Ty się zawahał, patrząc z niepokojem na siostrę. Livvy sprawiała teraz wrażenie zupełnie zdrowej. Stali na najwyższym poziomie łodzi, pod gołym niebem, a ona z niepohamowaną przyjemnością wystawiała twarz na wiatr. Wiatr unosił jej włosy i szarpał nimi.

Ty obserwował wszystko wokół nich z tą swoją zaaferowaną fascynacją, jakby uczył się na pamięć każdego budynku, każdej ulicy. Bębnił palcami o reling, ale Kit nie uznał tego za przejaw niepokoju. Zauważył, że gesty Ty'a nie zawsze oznaczają zły nastrój. Czasem oznaczały dobry. Gdy był rozluźniony, patrzył, jak jego własne palce kreślą wzory w powietrzu w sposób, w jaki meteorolog mógłby obserwować ruchy chmur.

– Gdybym został Nocnym Łowcą – zagadnął rodzeństwo Kit – miałbym dużo prac domowych? Czy po prostu mógłbym od razu zacząć?

Oczy Livvy się zaiskrzyły.

– Już zacząłeś.

– Tak, ale to sytuacja wyjątkowa – odezwał się Ty. – Kit ma rację, musiałby nadrobić trochę zaległości z różnych przedmiotów. Oczywiście nie jesteś takim ignorantem, jakim byłby Przyziemny – dodał, zwracając do Kita – ale pewnie niektórych rzeczy musiałbyś się nauczyć: trochę o demonach, paru języków, tego typu rzeczy.

Kit się skrzywił.

– Miałem nadzieję, że mógłbym się uczyć na bieżąco.

Livvy się roześmiała.

– Zawsze możesz stanąć przed Radą i przedstawić jej swoją prośbę.

– Przed Radą? A czym ona różni się od Clave?

Livvy znowu się zaśmiała.

– Widzę, dlaczego mogliby cię nie wysłuchać – powiedział Ty – chociaż pewnie moglibyśmy cię trochę podszkolić.

– Trochę? – zapytał Kit.

Ty posłał mu jeden ze swych rzadkich, olśniewających uśmiechów.

– Trochę. Mam sporo ważnych zajęć.

Kit przypomniał sobie Ty'a na dachu poprzedniej nocy: jakież on wtedy wydawał się zdesperowany. Teraz znowu był sobą, jakby ozdrowienie Livvy uzdrowiło też jego. Opierał łokcie na relingu, kiedy łódź mijała imponujący budynek przypominający fortecę, wznoszący się nad brzegiem rzeki.

– Londyńska Tower – wyjaśniła Livvy, widząc spojrzenie Kita.

– Podobno sześć kruków musi stale strzec Tower – dodał Ty – inaczej monarchia upadnie.

– Wszystkie historie są prawdziwe – powiedziała cicho Livvy i dreszcz przeszedł Kitowi po kręgosłupie.

Ty odwrócił głowę.

– Czy to nie kruk przenosił wiadomości między Annabel i Malcolmem? Było chyba coś o tym w wiadomościach od Emmy i Juliana.

– To mi wygląda na dość zawodną metodę – powiedział Kit. – A gdyby kruk się znudził, coś odwróciłoby jego uwagę albo poznałby przystojnego sokoła po drodze?

– Albo został przechwycony przez faerie – dodała Livvy.

– Nie wszystkie faerie są złe – zauważył Ty.

– Niektóre są dobre, a inne złe, jak wszyscy – powiedział Kit – ale to może być zbyt skomplikowane dla Clave.

– To zbyt skomplikowane dla większości ludzi – uściślił Ty.

Gdyby te słowa wypowiedział ktokolwiek inny, Kit uznałby je za wyraz dezaprobaty, ale Ty pewnie miał na myśli dokładnie to, co powiedział. Świadomość tego była dziwnie przyjemna.

– Nie podobają mi się wieści od Diany – odezwała się Livvy. – O twierdzeniach Zary, że zabiła Malcolma.

– Mój ojciec mawiał, że często łatwiej przemycić duże kłamstwo niż małe.

– Miejmy nadzieję, że się mylił – odrzekła nieco ostro Livvy. – Nie mogę znieść myśli, że ktoś uznałby Zarę i ludzi takich jak ona za bohaterów. Nawet jeśli nie wiedzą, że kłamie na temat Malcolma, plany Kohorty są nikczemne.

– Szkoda, że nikt z was nie może powiedzieć Clave, co Julian zobaczył w magicznym zwierciadle – powiedział Kit.

– Gdyby wiedzieli, że udał się do Faerie, mogliby go skazać na wygnanie – odpowiedziała Livvy, a w jej głosie zabrzmiał prawdziwy strach. – Albo odebrać mu Znaki.

– Mógłbym udawać, że to ja to zobaczyłem. W moim wypadku wydalenie z szeregów Nefilim ma mniejsze znaczenie – dumął na głos Kit.

Chciał tylko poprawić nastrój tym oczywistym żartem, ale bliźnięta spojrzały na niego wstrząśnięte.

– Nie chcesz zostać? – pytanie Ty'a było bezpośrednio i ostre jak nóż.

Kit nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozległ się gwar głosów i łódź zatrzymała się z szarpnięciem. Zacumowała w Limehouse i cała trójka zesłała pośpiesznie na brzeg. Nie chronił ich żaden czar i kiedy przepychali się między Przyziemnymi do wyjścia, Kit usłyszał, jak jeden z nich mruknął, że dzieciaki teraz zdecydowanie za wcześnie zaczynają się tatuować.

Ty skrzywił się z powodu hałasów i założył słuchawki, kiedy szli ulicami. Powietrze pachniało rzeczna wodą, ale Magnus miał rację: port szybko się skończył, zastąpiony krętymi ulicami z masywnymi, starymi budynkami fabrycznymi, które przerobiono na apartamenty.

Ty trzymał w rękach mapę; Livvy i Kit szli kawałeczek za nim. Livvy jak gdyby nigdy nic trzymała nic rękę na biodrze: pod kurtką miała ukryty pas z bronią.

– Przy tobie rzadziej używa słuchawek – zauważyła. Patrzyła na brata, ale mówiła do Kita.

– To dobrze? – Kit był zaskoczony.

Livvy wzruszyła ramionami.

– Ani dobrze, ani źle. To zwykłe spostrzeżenie. Żadna magia ani nic takiego. – Zerknęła na niego z ukosa. – Chyba nie chce przegapić czegoś, co mógłbyś powiedzieć.

Kita ogarnęło dziwne uczucie. To go zaskoczyło. Zerknął z ukosa na Livvy. Odkąd opuścili Los Angeles, w żaden sposób nie zdradziła, że chciałyby powtórzyć ich pocałunek, a on łapał się na tym, że także nie czuje takiej potrzeby. Nie chodziło o to, że nie lubił jej albo nie uważał za ładną. Po prostu teraz coś mu w tym nie pasowało, jakby było niewłaściwe.

Może chodziło o to, że nie wiedział, czy w ogóle chce być Nocnym Łowcą.

– Jesteśmy na miejscu. – Ty zdjął słuchawki; biały pałąk mocno kontrastował z jego czarnymi włosami.

Tylko on jeden pośród wszystkich współczesnych Blackthornów miał takie włosy, chociaż Kit widział portrety ich przodków z równie ciemnymi włosami i srebrzystoszarymi oczami.

– To powinno być pouczające. W przeciwieństwie do Nocnego Targu takie sklepy muszą przestrzegać Porozumień ale także są prowadzone przez specjalistów. – Ty sprawiał wrażenie ogromnie uradowanego myślą o całej tej specjalistycznej wiedzy.

Przeszli przez nieco szerszą Narrow Street i teraz znajdowali się prawdopodobnie na Gill Street, naprzeciwko jedyne go otwartego sklepu. Witryny były słabo oświetlone, na drzwiach wypisano mosiężnymi literami nazwisko właściciela: F. Sallow. Żaden opis nie zdradzał rodzaju sklepu, ale Kit domyślał się, że jego klienci wiedzą, czego tam szukają.

Ty już przeszedł na drugą stronę ulicy i właśnie otwierał drzwi. Livvy pośpieszyła za nim. Kit był ostatni – ostrożny i niezbyt wyrywny. Dorastał pośród handlarzy magią i ich klienteli i nie ufał ani jednemu, ani drugiemu.

Wnętrze sklepu nie dało mu żadnego powodu do zmiany poglądów. Matowe szyby oślepiały, ale nie wpuszczały prawdziwego światła. Było tam przynajmniej czysto; na długich półkach leżało sporo rzeczy, które widywał już w przeszłości: smocze zęby, woda święcona, błogosławione paznokcie, zaczarowane pudry piękności, talizmany, a także sporo takich, które zobaczył po raz pierwszy, na przykład zegary, które chodziły do tyłu, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Połączone drutem szkielety zwierząt, których nigdy wcześniej nie widział. Rekinie zęby zbyt duże, żeby należały

do jakiegokolwiek rekina na świecie. Liczne słoje z motylimi skrzydłami w jaskrawych kolorach zrącego różu, neonowej żółci i rażącej jasnej zieleni. Butelki z niebieską wodą, której powierzchnia falowała jak maleńkie morza.

Na kontuarze leżał zakurzony miedziany dzwonek. Livvy podniosła go i zadzwoniła, a Ty w tym czasie studiował wiszące na ścianach mapy. Na tej, w którą się wpatrywał, widniały nazwy, jakich Kit nigdy dotąd nie widział: Góry Cierniowe, Zapadłe Miasto, Strzaskany Las.

– Faerie – powiedział Ty dziwnie stłumionym głosem. – Trudno zdobyć mapy tej krainy, bo jej geografia się zmienia, ale obejrzałem parę z nich, kiedy Mark zaginął.

Stukot obcasów na podłodze oznajmił nadejście sprzedawcy. Ku zaskoczeniu Kita była to znajoma kobieta – ciemnoskóra i ciemnowłosa, ubrana dziś w prostą czarną obcisłą sukienkę. Hypatia Vex.

– Nefilim – powiedziała z westchnieniem. – Nienawidzę Nefilim.

– Rozumiem, że to nie jest jedno z tych miejsc, gdzie klient ma zawsze rację – powiedziała Livvy.

– Nie nazywasz się Sallows – powiedział Ty. – Nazywasz się Hypatia Vex. Poznaliśmy cię wczoraj.

– Sallows umarł lata temu – odpowiedziała Hypatia. – Tak się składa, że to Nefilim go zabili.

Niezręczna sytuacja, pomyślał Kit.

– Mamy listę rzeczy, których potrzebujemy. – Livvy przesunęła kartkę po kontuarze. – Dla Magnusa Bane’a.

Hypatia uniosła brew.

– Ach, Bane, wasz wielki obrońca. Wieczne utrapienie z tym gościem. – Wzięła kartkę. – Na przygotowanie niektórych z tych rzeczy potrzeba przynajmniej dnia. Możecie wrócić jutro?

– A mamy wybór? – zapytała Livvy z ujmującym uśmiechem.

– Nie. I zapłacicie złotem. Nie interesują mnie pieniądze Przyziemnych.

– Po prostu powiedz, ile – odpowiedział Ty. Hypatia sięgnęła po pióro i zaczęła pisać. – I chciałbym jeszcze o coś zapytać.

Zerknął na Kita i Livvy. Siostra pierwsza się zorientowała i wyciągnęła Kita ze sklepu. Słońce grzało mu włosy i skórę. Zastanawiał się, co Przyziemni widzą, kiedy patrzą na sklep. Może zakurzony spożywczak albo zakład kamieniarski, gdzie sprzedaje się nagrobki. Coś, do czego nikt

nie chce wchodzić.

– Jak długo zamierzasz przyjaźnić się z moim bratem? – zapytała nagle Livvy.

Kit aż podskoczył.

– Co?

– Słyszałeś. – Oczy Livvy były znacznie bardziej niebieskie niż Tamiza.

Oczy Ty'a bardziej przypominały kolorem rzekę.

– Ludzie nie myślą o przyjaźni w taki sposób – odpowiedział Kit. – To zależy od tego, jak długo kogoś znasz. Jak długo razem przebywacie w tym samym miejscu.

– To twój wybór – powiedziała z naciskiem Livvy i oczy jej pociemniały. – Możesz zostać z nami tak długo, jak zechcesz.

– Tak? A co z Akademią? Co z uczeniem się na Nocnego Łowcę? Jak mam nadrobić zaległości, kiedy wyprzedzacie mnie o milion lat?

– Nic nas to nie obchodzi...

– Ale może mnie obchodzi.

– Kiedy byliśmy dziećmi – powiedziała spokojnie Livvy – Ashdownowie przychodzili się do nas bawić. Nasi rodzice myśleli, że powinniśmy poznać więcej dzieci spoza rodziny, a Paige Ashdown była mniej więcej w moim wieku, więc wylądowała ze mną i Ty'em. Ty opowiedział nam kiedyś o swojej ówczesnej obsesji, wtedy to były samochody, jeszcze nie Sherlock, na co Paige sarkastycznie odparła, że powinien ją odwiedzić i opowiedzieć jej o tym, bo to takie fascynujące.

– I co się stało?

– Poszedł do niej opowiedzieć jej o samochodach, ale jej nie zastał. Kiedy wróciła, wyśmiała go i powiedziała mu, żeby sobie poszedł, bo nie mówiła poważnie, i zapytała, czy naprawdę jest taki głupi.

Kit zagotował się z gniewu do dziewczyny, której nigdy nie poznał.

– Nigdy bym tak nie zrobił.

– Słuchaj, od tego czasu Ty dużo się nauczył: dzisiaj już wie, że ludzie mówią czasem rzeczy, których nie mają naprawdę na myśli, że ton głosu może nie odpowiadać treści słów i tak dalej. Jednakże ufa ci i dopuszcza cię do siebie. Może nie zawsze pamiętać, że to wszystko dotyczy także ciebie. Mówię tylko, żebyś go nie okłamywał. Nie podpuszczał.

– Nigdy... – zaczął Kit, ale wtedy rozległ się dzwonek i otworzyły się drzwi

sklepu.

Ty wyszedł, naciągając kaptur na głowę.

– Załatwione – powiedział. – Wracajmy.

Jeśli wyczuł jakieś napięcie, to nic nie powiedział i przez całą drogę powrotną rozmawiali o nieistotnych drobiazgach.

* * *

Nieszczęśliwe piksy siedziały rzędem na kamieniach na obrzeżu ogródka przy chacie. Po wyciągnięciu ich z dziury Emma i Julian zaproponowali im jedzenie, ale tylko jeden je przyjął i teraz siedział z twarzą w misce mleka.

Najwyższy z nich odezwał się piskliwym głosem:

– Malcolm Fade? Gdzie jest Malcolm Fade?

– Nie tutaj – odpowiedział Julian.

– Wyjechał do chorego krewnego – powiedziała Emma, wpatrując się w piksy z fascynacją.

– Czarownicy nie mają krewnych.

– Nikt nie chwyta moich aluzji – mruknęła Emma.

– Jesteśmy przyjaciółmi Malcolma – odpowiedział Julian po chwili. Gdyby Emma go nie знаła, uwierzyłaby. Miał niezwykle szczerą twarz, gdy kłamał. – Poprosił, żebyśmy zaopiekowali się tym miejscem pod jego nieobecność.

Piksy szeptały między sobą cichymi, piskliwymi głosikami. Emma nadstawiała uszu, nie mogła ich zrozumieć. Nie posługiwały się językiem arystokratów faerie, ale znacznie prostszą i starszą mową. Brzmiała jak szum wody na skałach, miała w sobie cierpkość zielonej trawy.

– Wy też jesteście czarownikami? – zapytał najwyższy ze schwytanych, odrywając się od grupy. Oczy miał cętkowane, szare i srebrne jak kornwalijska skała.

Julian pokręcił głową i wyciągnął rękę, żeby pokazać run Przenikliwości na przedramieniu kontrastujący z jasną skórą.

– Jesteśmy Nefilim.

Piksy znowu zamruczały między sobą.

– Szukamy Annabel Blackthorn – powiedział Julian. – Chcemy ją zabrać do domu, gdzie zapewnimy jej ochronę.

Piksy powątpiewały w jego słowa.

– Powiedziała, że będziecie wiedziały, gdzie jest – dodał Julian. – Rozmawialiście z nią?

– Znaliśmy ją i Malcolma wiele lat temu. Nieczęsto śmiertelnicy żyją tak długo. To nas zaciekało.

– Możecie nam powiedzieć – wtrąciła się Emma. – Wypuścimy was, jeśli nam powiecie.

– A jeśli nie powiemy? – zapytał najmniejszy z faerie.

– To was nie puścimy – odpowiedział Julian.

– Jest w kościele w Porthallow – odpowiedział najmniejszy z więźniów w imieniu grupy. – Stoi pusty od wielu lat. Annabel zna to miejsce i czuje się tam bezpiecznie. Duży Ludzie rzadko tam zagląдают.

– To niedaleko stąd? – zapytał Julian. – W pobliżu miasteczka?

– Bardzo blisko – odpowiedział najwyższy faerie. – Zabójczo blisko. – Uniósł chude, blade ręce, wskazując kierunek. – Ale nie możecie pójść tam dzisiaj. Jest niedziela, a wtedy Duży Ludzie przychodzą w grupach, żeby studiować cmentarz obok kościoła.

– Dziękuję – odpowiedział Julian. – Byłyście bardzo pomocne.

* * *

Dru pchnęła drzwi do swojej sypialni.

– Jaime? – szepnęła.

Nie było odpowiedzi. Zakradła się do środka i zamknęła drzwi za sobą. Niosła talerz babeczek, które upiekła Bridget. Kiedy poprosiła o cały talerz, Bridget zachichotała, myśląc o czymś, co najwyraźniej tylko ona pamiętała, a potem surowo przestrzegła Dru, żeby nie zjadła wszystkich, bo będzie jeszcze grubsza.

Dru już dawno temu nauczyła się nie objadać się przy obcych, nie robić wrażenia głodnej i nie nakładać sobie za dużo na talerz. Nie cierpiała tego, jak wtedy na nią patrzyli – jakby mówili: „O, to dlatego nie jest szczupła”.

Jednakże dla Jaimego była gotowa to zrobić. Kiedy już zadomowił się w jej pokoju – padł na jej łóżko, jakby spał tam od wielu dni, a potem poderwał się i zapytał, czy może skorzystać z prysznicza – zapytała, czy nie jest głodny, a on spojrzał na nią spod rzęs i uśmiechnął się.

– Nie chciałbym się narzucać – powiedział – ale...

Wyszła pośpiesznie do kuchni i nie chciała wracać z pustymi rękami. Z pustymi rękami mogłaby wrócić przestraszona trzynastolatka, a nie szesnastolatka, czy na ile tam ocenił jej wiek Jaime. Bo ona nie wyraziła się jasno.

– Jaime?

Wyszedł z łazienki w dzinsach, wciągając T-shirt. Dostrzegła czarny tatuaż – nie Znak, ale słowa wypisane alfabetem łacińskim – na płaskim, śniadym brzuchu, zanim zakryła go koszulka. Patrzyła na Jaimego bez słowa, kiedy podszedł i wziął od niej babeczkę. Mrugnął porozumiewawczo.

– Dzięki.

– Nie ma za co – odpowiedziała słabym głosem.

Przysiadła na chwilę na nocnym stoliku, obejmując się rękami. W kolorach i rysach twarzy Jaimego dostrzegła Diego, zupełnie jakby ktoś wziął Diego i go podostrzył, podkreślając mocniej wszystkie kąty. Kolejny tatuaż ciągnął się na jego śniadym nadgarstku i zniknął pod rękawem. Żałowała, że nie zna hiszpańskiego na tyle, żeby go odczytać.

Ruszyła do drzwi, zamierzając zostawić go samego, żeby odpoczął.

– Nie idź – poprosił.

Odwróciła się i zobaczyła, że ma przymknięte oczy, rzęsy rzucają cienie na jego zbyt ostre kości policzkowe.

– Minęło zbyt dużo czasu, odkąd miałem z kim pogadać.

Usiadła na brzegu łóżka. Jaime obrócił się na plecy i złożył ręce za głowę. Miał długie kończyny, czarne włosy i rzęsy jak pajęczne nogi. Wszystko w nim trochę nie pasowało do reszty, podczas gdy Diego składał się z samych prostych linii, jak komiks. Dru starała się nie gapić.

– Oglądałem naklejki na twoim nocnym stoliku – rzekł.

Dru kupiła je w sklepie na Fleet Street, kiedy wyszła z Dianą po kanapki.

– To wszystko horrory.

– Lubię horrory – odpowiedziała.

Jaime uśmiechnął się szeroko. Czarne włosy opadły mu na oczy. Odgarnął je.

– Lubisz się bać?

– Horrory mnie nie przerażają.

– A nie powinny? – Sprawiał wrażenie szczerze zaciekawionego.

Dru nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś szczerze zaciekawił się jej

miłością do filmów grozy i klasyków horroru. Julian siedział czasem z nią do późna i oglądał *Horror Hotel*, ale wiedziała, że robi to z uprzejmości.

– Pamiętam Mroczną Wojnę – powiedziała. – Pamiętam, jak ludzie umierali na moich oczach. Mój ojciec był jednym z Mrocznych. Wrócił, ale nie był... nie był już sobą. – Z trudem przełknęła ślinę. – Kiedy oglądam film grozy, wiem, że cokolwiek się stanie, wszystko dobrze się skończy. Wiem, że bohaterowie to tylko aktorzy i kiedy będzie po wszystkim, po prostu wrócą do domów. Że krew jest sztuczna i można ją zmyć.

Oczy Jaimego były ciemne i bezdenne.

– Prawie można uwierzyć, że nic strasznego naprawdę nie istnieje – powiedział. – Wyobrazić sobie, jak wtedy by wszystko wyglądało.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Jesteśmy Nocnymi Łowcami – powiedziała. – Nie możemy wyobrażać sobie takich rzeczy.

* * *

– Ludzie zrobią wszystko, byle wymigać się od obowiązków domowych – powiedział Julian.

– Nie ty – zauważyła Emma.

Leżała na sofie z nogami przewieszonymi przez podłokietnik.

Ponieważ nie mogli pójść dzisiaj szukać Annabel w kościele, postanowili spędzić popołudnie, przeglądając pamiętniki Malcolma i rysunki Annabel. Zanim słońce zaczęło zachodzić, mieli już sporo notatek schludnie podzielonych na kupki. Rozgryzali kolejność wydarzeń: kiedy Malcolm zjawiał się w rodzinie Annabel; kiedy adoptowali go ludzie, którzy kierowali Instytutem Kornwalijskim. Czytali zapiski o tym, jak bardzo Annabel kochała posiadłość Blackthornów, dom jej przodków na zielonych wzgórzach Idris. Notatki na temat wspólnych zabaw w lesie Brocelind. O tym, jak Malcolm zaczął planować ich wspólną przyszłość i wybudował domek w Polperro, jak on i Annabel ukrywali swój związek, wymieniali się liścikami przy pomocy kruka należącego do Annabel. O tym, jak ojciec Annabel odkrył ich miłość i wyrzucił córkę z domu, jak Malcolm odnalazł ją następnego dnia płaczącą na plaży.

Malcolm uznał, że musi zapewnić im ochronę przed Clave. Znał zbiór

ksiąg z czarami w Instytucie Kornwalijskim. Uznał, że będzie potrzebował potężnego opiekuna. Kogoś, komu mógłby oddać Czarną Księgę, a kto w zamian ochroniłby ich przed Radą.

Emma czytała na głos pamiętniki, a Julian robił notatki. Od czasu do czasu robili przerwę, fotografowali telefonami notatki i pytania, a potem wysyłali je do Instytutu. Czasem otrzymywali pytania, więc pisali na nie odpowiedzi. Czasem nie otrzymywali żadnej reakcji. Raz dostali zdjęcie Ty'a, który natrafił w bibliotece na cały rząd pierwszych wydań książek o Sherlocku Holmesie i promieniał z radości. Raz dostali zdjęcie stopy Marka. Żadne z nich nie wiedziało, co o tym sądzić.

W pewnej chwili Julian się przeciągnął i poszedł do kuchni. Przygotował im kanapki z grillowanym serem na potężnej kuchence Aga, która promieniowała ciepłem na całe pomieszczenie.

Jest źle, pomyślał, patrząc na swoje ręce, kiedy kładł kanapki na talerzu i przypomniał sobie, że Emma lubi, żeby odkroić jej skórkę. Często nabijał się z niej z tego powodu. Sięgnął odruchowo po nóż.

Wyobraził sobie, że robi to codziennie. Mieszka w domu, który sam zaprojektował – podobnym do tego, z widokiem na morze. Z wielką pracownią, w której mógłby malować. Z pokojem treningowym dla Emmy. Wyobraził sobie, jak codziennie rano budzi się obok niej; jak Emma siada przy stole w kuchni przy porannych płatkach, coś sobie nuci i unosi głowę, żeby się do niego uśmiechnąć, gdy on wchodzi.

Zalała go dławiąca fala pożądania. Pragnął nie tylko Emmy, ale i spełnienia marzenia o takim życiu. To niebezpieczne marzenie, upomniał się. Równie niebezpieczne jak sen dla Śpiącej Królowny, który pochłonął ją w jej zamku na całe sto lat.

Przysiadł się do Emmy przy kominku. Oczy jej błyszczały. Uśmiechnęła się, biorąc od niego talerz.

– Wiesz, czym się martwię?

Serce zacisnęło mu się powoli w piersi.

– Czym?

– Churchem. Został sam w Instytucie w Los Angeles.

– Nieprawda. Jest tam pełno Centurionów.

– A jeśli któryś spróbuje go ukraść?

– Wtedy spotka go stosowna kara – odpowiedział Julian, przysuwając się

nieco bliżej do ognia.

– A jaka jest stosowna kara za kradzież kota? – zapytała Emma z kanapką w ustach.

– W wypadku Churcha fakt, że trzeba go zatrzymać.

Emma się skrzywiła.

– Gdyby jakaś skórka została na tej kanapce, rzuciłabym nią w ciebie.

– Dlaczego nie rzucić całą kanapką?

Spojrzała na niego ze zgrozą.

– I zrezygnować ze smacznego sera? Nigdy, przenigdy nie zrezygnowałabym ze smacznego sera.

– Mój błąd. – Julian wrzucił polano do ognia. Bąbelek szczęścia pęczniał w jego piersi, słodki i nieznany.

– Tak smaczny ser nie zdarza się każdego dnia – poinformowała go Emma. – A wiesz, kiedy byłby jeszcze lepszy?

– No? – Przysiadł na piętach.

– Gdyby pojawił się na jeszcze jednej kanapce. – Podsunęła mu ze śmiechem pusty talerz.

Wziął go i była to zupełnie zwyczajna chwila – ale to także było wszystko, czego pragnął i czego nigdy nie pozwalał sobie wyobrazić. Dom z Emmą, wspólny śmiech przy ogniu.

A jeszcze lepiej byłoby, gdyby jego rodzeństwo przebywało gdzieś w pobliżu, żeby mógł je codziennie widywać. Żeby mógł fechtować z Livvy, oglądać filmy z Dru, pomagać Tavvy'emu uczyć się strzelać z kuszy. Gdzie mógłby szukać z Ty'em zwierząt, krabów pustelników nad wodą czmychających pod swoje muszle. Gdzie mógłby przygotowywać obfite kolacje z Markiem, Helen i Aline, zjadać je wspólnie pod gwiazdami na pustyni.

Gdzie słyszałby morze, tak jak słyszał je teraz. I gdzie mógłby widzieć Emmę, zawsze Emmę, jego lepszą, jaśniejszą połówkę, która temperowała jego bezwzględność, która zmuszała go do dostrzeżenia światła tam, gdzie widział tylko ciemność.

Wszyscy musieliby znaleźć się razem, pomyślał. Dawno temu fragmenty jego duszy rozpierchły się i każdy żył w jednym z jego braci lub sióstr. Poza tym, który żył w Emmie, który wniknął w nią przez płomień podczas ceremonii *parabatai* popychany naporem jego własnego serca.

Tyle że to niemożliwe. To coś niemożliwego, co nigdy się nie wydarzy. Nawet gdyby jakimś cudem jego rodzina przeszła przez to wszystko bez szwanku i się nie rozpadła, nawet gdyby Helen i Aline mogły do nich wrócić, to i tak Emma, jego Emma, pewnego dnia założyłaby własną rodzinę i zaczęła własne życie.

Zastanawiał się, czy byłby jej *suggenes*, czy oddałby ją panu młodemu podczas ślubu. To zwykła rzecz wśród *parabatai*.

Na samą myśl poczuł się tak, jakby cięto mu wnętrzności brzytwami.

– A pamiętasz – mówiła cichym, żartobliwym głosem Emma – jak powiedziałeś, że zdołasz przemycić Churcha do klasy tak, żeby Diana niczego nie zauważyła, a potem ugryzł cię podczas wykładu na temat Jonathana Nocnego Łowcy?

– Nic a nic. – Usiadł znowu na podłodze z jednym z pamiętników w ręce.

Ciepło pokoju, zapach herbaty i przypalonego chleba, blask ognia na włosach Emmy sprawiły, że robił się senny. Był na równi ogromnie szczęśliwy, jak i nieszczęśliwy, i męczyło go to równoczesne ciągnięcie w dwie tak odmienne strony.

– Wrzasnąłeś – ciągnęła Emma. – A potem powiedziałeś Dianie, że to dlatego, że tak cię ekscytuje nauka.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego pamiętasz każdą zenującą rzecz, jaka mi się przydarzyła? – zadumał się na głos.

– Ktoś musi. – Zarys jej twarzy był różany w świetle ognia.

Szklana bransoletka na nadgarstku Juliana zabłysła. Była zimna przy jego policzku, gdy spuścił głowę.

Obawiał się, że bez Cristiny będą się ciągle kłócić. Że uleje się z nich cała gorycz. A zamiast tego było doskonale. I na swój sposób tak było o wiele, wiele gorzej.

* * *

Ból obudził Marka w środku nocy. Wrażenie, że w nadgarstek wbija mu się pierścień z gwoździ.

Pracowali w bibliotece do późna. Magnus majstrował przy przepisie na antidotum na czar wiążący, a pozostali ślęczeli nad starymi książkami w poszukiwaniu informacji na temat Czarnej Księgi. Zestawienie

wspomnień z kryształu i informacji z notatek przysłanych przez Emmę i Juliana zaczynało tworzyć pełniejszy obraz Annabel i Malcolma. Niestety Mark nic nie mógł poradzić na to, że zastanawia się, czy to im w czymkolwiek pomaga. Potrzebowali Czarnej Księgi i nawet jeśli jej historia została utkana w przeszłości, to czy pomoże Blackthornom znaleźć ją teraz?

Przynajmniej tyle dobrego, że zdołał przekonać Kierana do zjedzenia niemal całego posiłku, jaki Alec przyniósł z knajpki przy Fleet Street, chociaż książę faerie przez cały czas narzekał, że sok to nie jest prawdziwy sok, a coś takiego jak chutney zwyczajnie nie istnieje.

– Po prostu za nic nie może istnieć – upierał się, piorunując kanapkę wzrokiem.

Teraz spał pod oknem Marka zwinięty w kłębie koca, z głową opartą na stosie tomików poezji, które przyniósł z biblioteki. Niemal wszystkie były podpisane po wewnętrznej stronie okładki przez Jamesa Herondale'a, który schludnie wypisał tam ulubione wersy.

Marka znowu zabolął nadgarstek, a wraz z bólem nadeszło wrażenie niepokoju. Cristina, pomyślał. Tego dnia prawie ze sobą nie rozmawiali, unikali siebie nawzajem – po części z powodu Kierana, ale jeszcze bardziej z powodu czaru wiążącego, którego potworna rzeczywistość stanęła między nimi.

Wstał, włożył dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Nie mógł spać – nie, kiedy martwił się o Cristinę. Boso poszedł korytarzem do jej pokoju.

Tyle że tam nikogo nie zastał. Łóżko było pościelone, narzuta leżała równo rozścielona, padało na nią księżycowe światło.

Skonsternowany szedł dalej korytarzem, dając się prowadzić czarowi wiążącemu. To było jak kierowanie się muzyką odległej zabawy. Niemal słyszał Cristinę – była tu gdzieś w Instytucie.

Minął drzwi do pokoju Kita i usłyszał podniesione głosy, czyjś śmiech. Ty'a. Przypomniawszy sobie, że zaraz po jego powrocie Ty bardzo go potrzebował i pomyślał, że to już minęło – Kit zadziałał jak przedziwne zaklęcie, formując z tego, co łączyło bliźnięta, w pełni wyważony trójkąt. Ty już nie patrzył na Marka w taki sposób, jakby szukał kogoś, kto go zrozumie.

I dobrze, pomyślał Mark, pokonując schody, zeskakując po dwa stopnie.

Ponieważ nie miał dość sił, żeby kogokolwiek zrozumieć. Sam siebie nie rozumiał.

Długim korytarzem doszedł do dwuskrzydłowych, pomalowanych na biało drzwi, których jedna połowa była otwarta. Za nimi ciągnęła się rozległa, zakurzona, częściowo oświetlona sala.

Ewidentnie nie używano jej od lat, ale była czysta, jeśli nie liczyć kurzu. Białe prześcieradła przykrywały większość mebli. Łukowate okna wychodziły na dziedziniec, gdzie noc połyskiwała gwiazdami.

Cristina stała pośrodku sali i wpatrywała się w jeden z żyrandoli. Wisiały tam trzy. Nie świeciły się, ale migotały kryształami.

Mark zatrzasnął za sobą drzwi i Cristina odwróciła się do niego. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej jego obecnością. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, która wyglądała jak skrojona dla kogoś niższego od niej. Włosy podpięła do góry, odgarnąwszy je z twarzy.

– Mark – powiedziała – nie mogłeś spać?

– Nie bardzo. – Zerknął z zalem na nadgarstek, chociaż ból już minął, kiedy znalazł się przy Cristinie. – Czułaś to samo?

Skinęła głową. Oczy jej błyszczały.

– Matka zawsze mi mówiła, że sala balowa w Instytucie Londyńskim to najpiękniejszy pokój, jaki w życiu widziała. – Rozejrzała się po prążkowanej, edwardiańskiej tapecie, ciężkich aksamitnych zasłonach podpiętych przy oknach. – Ale pewnie widziała ją pełną życia i ludzi. Teraz przypomina zamek Śpiącej Królowy. Jakby Mroczna Wojna otoczyła ją swoimi cierniami i od tej pory sala śpi.

Mark wyciągnął rękę. Rana od czaru opasywała jego nadgarstek jak bransoletka z morskiego szkła rękę Juliana.

– To obudźmy ją – zaproponował. – Zatańcz ze mną.

– Ale nie ma muzyki – odparła.

Mimo to pochyliła się nieco w jego stronę, mówiąc te słowa.

– Tańczyłem na wielu ucztach, gdzie nie grała fujarka ani skrzypce, a jedynie rozbrzmiewała muzyka wiatru i gwiazd. Pokażę ci.

Podeszła do niego. Złoty wisiołek na jej szyi zamigotał.

– Bardzo to magiczne – powiedziała. Oczy miała wielkie i ciemne, błyszczące szelmowsko. – Albo można to załatwić i tak.

Wyjęła telefon z kieszeni i przycisnęła kilka przycisków. Muzyka

popłynęła z małych głośniczków, niezbyt głośno, jednak wystarczyło, by Mark ją wyczuwał. Nie znał tej melodii, ale była szybka i energiczna, zatętniła w jego krwi.

Wyciągnął ręce. Cristina odłożyła telefon na parapet i złapała Marka za ręce, śmiejąc się, gdy przyciągnął ją do siebie. Ich ciała zetknęły się raz, delikatnie i Cristina oddaliła się w obrotach, zmuszając w ten sposób partnera, by ruszył za nią. Jeśli myślał, że to on będzie prowadził, to właśnie zdał sobie sprawę, że się mylił.

Podążał za nią, a Cristina poruszała się jak ogień, zawsze przed nim. Wirowała, aż włosy wysunęły jej się z upięcia i falowały wokół twarzy. Żyrandole błyszczały w górze jak deszcz. Mark złapał Cristinę za rękę. Zakręcił nią, musnęła go przy tym ciałem. Złapał ją za biodra i przyciągnął ku sobie.

Teraz znalazła się w jego objęciach i tańczyła, a za każdy razem, gdy ich ciała się zetknęły, czuł, jak przeskakuje między nimi iskra. Zapomniał o wszystkim oprócz Cristiny. Zauroczyło go światło na jej śniadej skórze, zarumieniona twarz, sposób, w jaki jej sukienka unosiła się, gdy wirowała, pokazując mu gładkie uda, które wyobrażał sobie setki razy.

Złapał ją w talii, a ona przechyliła się do tyłu w jego objęciach, jakby nie miała kości, muskając włosami podłogę. Kiedy się wyprostowała z półprzymkniętymi oczami, nie mógł już dłużej się powstrzymać. Przyciągnął ją i pocałował.

Natychmiast uniosła ręce i wsunęła je w jego włosy, przyciągając go mocniej ku sobie. Smakowała jak chłodna, czysta woda, a on pił jej usta, jakby był niewiarygodnie spragniony. Rozpaczliwy ból ogarnął jego ciało, a kiedy Cristina odsunęła się, jęknął cicho. Ona jednak się śmiała, patrząc na niego, tańcząc i cofając się z wyciągniętymi rękami. Miał wrażenie, że skóra napina mu się na całym ciele, rozpaczliwie pragnął znowu ją pocałować, przesunąć rękami tam, gdzie wędrowało wcześniej jego spojrzenie – po zewnętrznej stronie jej długich nóg, pod sukienkę, wzdłuż talii, po plecach, po długich i gładkich mięśniach po obu stronach kręgosłupa.

Pragnął jej i było to bardzo ludzkie pragnienie. To nie był gwiazdny blask i obcość, to było tu i teraz. Podszedł do niej, wyciągnął do niej ręce.

– Cristino...

Zamarła i przez jedną przerażającą chwilę myślał, że to przez niego. Ona jednak patrzyła ponad jego ramieniem. Odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach Kierana. Opierał się o futrynę i przyglądał im się bacznie.

Mark zeszywniał. W przebłysku spóźnionego zrozumienia zdał sobie sprawę, że zachował się głupio, niepokojąco głupio. Ale to nie była wina Cristiny. Jeśli Kieran wyładuje swój gniew na niej...

Wtedy Kieran odezwał się niefrasobliwie:

– Mark... Ty naprawdę nie masz pojęcia, jak to się robi, hmm? Powinieneś jej pokazać.

Podszedł do nich, prawdziwy księżę Faerie, pełen gracji. Miał na sobie białą koszulę i bryczesy, czarne włosy opadały mu prawie do ramion. Wyszedł na środek sali i wyciągnął rękę do Cristiny.

– Moja pani – powiedział i uklonił się. – Czy zechcesz ze mną zatańczyć?

Cristina wahała się chwilę, a potem skinęła głową.

– Nie musisz – szepnął Mark.

Ona rzuciła mu tylko przeciągłe spojrzenie i ruszyła za Kieranem na środek parkietu.

– Zaczniemy więc – powiedział Kieran i zaczął tańczyć.

Mark wątpił, czy kiedykolwiek wcześniej tańczył z Kieranem. Nie na uczcie. Zawsze starali się ukrywać swój związek przed szerszym światem Faerie. A Kieran, jeśli nie mógł tańczyć z partnerem, z którym chciał, w ogóle nie tańczył.

Teraz jednak to robił. I o ile Cristina poruszała się jak ogień, to Kieran tańczył jak błyskawica. Po chwili wahania Cristina ruszyła za nim. Wciągnął ją w objęcia, złapał, uniósł w powietrze z łatwością, jaką daje siła faerie, i zawirował z nią. Zdusiła okrzyk, a jej twarz zapłonęła radością, jaką dają muzyka i ruch.

Mark stał nieruchomo; czuł się niezręcznie i zarazem był zaskoczony. Co Kieran wyprawiał? Co sobie myślał? Czy to był jakiś wyrzut z jego strony? Nic na to nie wskazywało. Ile Kieran widział? Pocałunek czy tylko taniec?

Usłyszał śmiech Cristiny. Wytrzeszczył oczy. To niesamowite. Byli z Kieranem jak wirujące gwiazdy, ledwie stykając się na obrzeżach, ale za każdym razem rozbłyskując światłem i deszczem iskier. A Kieran się uśmiechał, naprawdę się uśmiechał. To zmieniło jego twarz, sprawiło, że wyglądał tak młodo, jak powinien.

Muzyka się skończyła. Cristina przestała tańczyć, nagle onieśmielona. Kieran uniósł rękę, żeby odrzucić jej długie włosy na plecy, pochylił się i pocałował ją w policzek. Otworzyła szeroko oczy zaskoczona.

Dopiero wtedy Kieran odsunął się i spojrzał na Marka.

– Proszę – powiedział. – Oto jak tańczy lud faerie.

* * *

– Obudź się.

Kit jęknął i obrócił się na drugi bok. Wreszcie zasnął i śniło mu się coś przyjemnego – był na plaży z tatą. Co prawda ojciec nigdy nie zabrał go na plażę, ale od tego właśnie są sny, nie?

We śnie ojciec dotknął jego ramienia i powiedział:

– Zawsze wiedziałem, że będzie z ciebie dobry Nocny Łowca.

To nieważne, że Johnny Rook wolałby, żeby jego syn został seryjnym mordercą niż jednym z Nefilim. Otrząsając się ze snu, Kit przypomniał sobie znaczący uśmiech ojca i ostatni raz, kiedy go widział – rankiem, kiedy demony Malcolma Fade'a rozerwały Johnny'ego Rooka na strzępy.

– Nie słyszałeś? – Głos, który budził Kita, stał się bardziej natarczywy. – Obudź się!

Kit otworzył oczy. Błada poświata magicznego światła wypełniała pokój, a nad jego łóżkiem unosił się cień. Ponieważ właśnie przypomniał sobie mantydy, natychmiast usiadł prosto.

Cień szybko się cofnął, o włos unikając zderzenia z Kitem. Kamień runiczny zaświecił do góry, oświetlając Ty'a. Jego miękkie, czarne włosy były potargane, jakby dopiero co sturlał się z łóżka i przyszedł do Kita, nawet ich nie uczesał. Miał na sobie szarą bluzę z kapturem, którą Julian dał mu przed wyjazdem do Kornwalii; była nie tylko wygodna, lecz także budziła miłe, kojące skojarzenia. Kabel od słuchawek wychodził mu z kieszeni i owijał się wokół szyi.

– Watsonie – powiedział. – Chciałem się z tobą zobaczyć.

Kit jęknął i potarł oczy.

– Co? Która godzina?

Ty obrócił runiczny kamień w palcach.

– Wiedziałaś, że pierwsze słowa wypowiedziane przez telefon brzmiały:

„Watsonie, przyjdź tu, chcę się z tobą zobaczyć”?

– Tyle że chodziło o zupełnie innego Watsona – zauważył Kit.

– Wiem. Po prostu uznałem, że to ciekawe. – Ty pociągnął za przewód od słuchawek. – Rzeczywiście chciałem cię zobaczyć. A w każdym razie mam coś do załatwienia i wolałbym, żebyś poszedł ze mną. To właśnie twoje słowa podsunęły mi pomysł do poszukiwań.

Kit zrzucił przykrycie. I tak spał w ubraniu – nabrał takiego nawyku w okresach, kiedy niektóre z interesów ojca przybierały zły obrót i obaj spali ubrani na wypadek, gdyby trzeba było natychmiast uciekać.

– Poszukiwań? – spytał.

– W bibliotece – wyjaśnił Ty. – Mogę ci pokazać, zanim pójdziemy.

– Chciałbym to zobaczyć.

Kit wyszedł z łóżka i włożył buty. Chwycił kurtkę, zanim wyszedł za Ty’em na korytarz. Wiedział, że powinien być wyczerpany, ale coś w energii Ty’a, jasności i sile jego skupienia działało na niego jak kofeina. Budziło go od środka obietnicą, jakby przyszłość przed nim nagle napełniła się nieskończoną ilością możliwości.

W bibliotece Ty podszedł do jednego ze stołów z notatkami przesłanymi przez Emmę i Juliana z Kornwalii i wydrukami rysunków Annabel. Dla Kita to nadal był ten sam bałagan co wcześniej, ale Ty z pełnym przekonaniem przesunął nad nimi magicznym kamieniem.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o kuku przynoszącym wiadomości między Malcolmem i Annabel? Na łodzi? I ty powiedziałaś, że twoim zdaniem to zawodna metoda?

– Pamiętam.

– To mi podsunęło pomysł. Jesteś dobry w podsuwaniu mi pomysłów. Nie wiem czemu. – Ty wzruszył ramionami. – W każdym razie jedziemy do Kornwalii.

– Dlaczego? Zamierzasz ekshumować ptaka i go przesłuchać?

– Oczywiście, że nie.

– To był żart... – Kit urwał, kiedy z opóźnieniem dotarł do niego sens słów Ty’a. – Co? Dokąd jedziemy?

– Wiem, że to był żart – powiedział Ty, podnosząc jeden z wydrukowanych rysunków. – Livvy powiedziała mi, że kiedy ludzie żartują w sposób, który nie jest zabawny, uprzejmie jest ich zignorować.

To nieprawda?

Sprawiał wrażenie niespokojnego i Kit chciał go objąć tak jak poprzedniej nocy na dachu.

– Nie, to prawda – powiedział, wychodząc pośpiesznie za Ty’em z biblioteki. – Po prostu poczucie humoru to rzecz subiektywna. Nie wszyscy zgadzają się co do tego, co jest zabawne, a co nie.

Ty spojrział na niego ze szczerą życzliwością.

– Na pewno wielu ludzi uważa cię za przezabawnego.

– Zdecydowanie. – Zbiegali teraz schodami między cienie. Kit zastanawiał się, dokąd idą, ale to praktycznie nie miało znaczenia. Czuł podniecenie skrzące się w opuszkach palców, obietnicę przygody. – Ale do Kornwalii? Serio? Jak? A co z Livvy?

Ty się nie odwrócił.

– Nie chcę zabierać jej ze sobą tej nocy.

Doszli do końca schodów. Drzwi prowadziły stąd do rozległego, otwartego kamiennego pomieszczenia – do krypty katedry. Podłogę i ściany wzniesiono z potężnych, wyszlifowanych na gładko płyt z ciemnego kamienia. Do kamiennych filarów przymocowano mosiężne elementy – pewnie kiedyś znajdowały się w nich lampy. Teraz światło płynęło z runicznego kamienia Ty’a, wylewając się spomiędzy jego palców.

– Co właściwie robimy? – zapytał Kit.

– Pamiętasz, jak zostałem w sklepie, żeby porozmawiać z Hypatią Vex? Powiedziała mi, że znajduje się tutaj stała Brama. Stara, może jedna z pierwszych, stworzona około tysiąc dziewięćset trzeciego roku. Prowadzi tylko do Instytutu Kornwalijskiego. Clave o niej nie wie ani nie reguluje jej użycia.

– Niekontrolowana Brama? – zapytał Kit. Ty kręcił się po pomieszczeniu, oświetlając magicznym światłem ściany, zaglądając do szczelin i kątów. – To nie jest niebezpieczne?

Ty nic nie powiedział. Długie gobeliny wisiały na ścianach w regularnych odstępach. Zaglądał za każdy po kolei, przesuwając światłem po ścianie w górę i dół. Blask odbijał się od kamienia, oświetlając kryptę jak rój świetlików.

– To dlatego nie chciałeś zabrać Livvy – domyślił się Kit. – Bo to niebezpieczne.

Ty się wyprostował. Włosy miał potargane.

– Dopiero co była ranna. I to przeze mnie.

– Tiberius...

– Muszę znaleźć Bramę. – Ty oparł się o ścianę, bębniąc w nią palcami. – Zajrzałem za wszystkie gobeliny.

– To może przyjrzyj się im samym?

Ty rzucił mu przeciągłe, pełne namysłu, lekko zaskoczone spojrzenie. Kit dostrzegł tylko błysk jego szarych oczu, kiedy odwrócił się, żeby jeszcze raz obejrzeć tkaniny. Każda przedstawiała średniowieczny pejzaż: zamki, długie kamienne mury, wieże i drogi, konie i bitwy. Ty zatrzymał się przed gobelinem, który ukazywał wysoki żywopłot, pośrodku którego znajdowało się przejście. Za nim widoczne było morze.

Z wahaniem oparł rękę o gobelin. Rozbłysło światło. Kit skoczył naprzód, kiedy gobelin zaskrzył się i pojawiły się migotliwe kolory jak na plamie oleju.

Ty zerknął raz jeszcze na rysunek, który trzymał, a potem odwrócił się i wyciągnął drugą rękę do Kita.

– Nie ociągaj się.

Kit wyciągnął rękę, zacisnął palce na dłoni Ty'a, cieplej i pewnej pod dotykiem. Ty zrobił krok do przodu, w Bramę, a kolory rozstały się i ponownie ułożyły wokół niego – teraz był w połowie niewidzialny. Mocniej zacisnął rękę na dłoni Kita, wciągając go za sobą.

Kit trzymał się go mocno, ale gdzieś wśród chaosu Bramy jego ręka wyrwała się z uścisku Ty'a. Ogarnęła go irracjonalna panika i krzyknął coś – nie był pewien co – zanim wiatry Bramy przerzuciły go przez skryte w cieniach drzwi i wypchnęły na zimne powietrze, na stok zbocza porośnięty wilgotną trawą.

– Tak? – Ty stał nad nim z magicznym światłem w ręce.

Niebo za nim, tak wysokie i ciemne, migotało milionem gwiazd.

Kit wstał z grymasem na twarzy. Zaczynał się przyzwyczajać do podróży przez Bramy, ale nadal tego nie lubił.

– Co jest? – Ty nie patrzył Kitowi w oczy, ale obrzucił go takim spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy nic mu nie jest. – Wołałeś mnie po imieniu.

– Serio?

Kit się rozejrzył. Zielone trawniki opadały w trzech kierunkach, a w

czwartym wznosiły się na spotkanie dużego szarego kościoła.

– Chyba bałem się, że zgubiłeś się w Bramie.

– To się przydarzyło tylko kilka razy – odpowiedział Ty. – Statystycznie rzecz biorąc, to bardzo nieprawdopodobne. – Uniósł runiczny kamień. – Oto jest Instytut Kornwalijski.

W oddali Kit widział błysk księżycy na czarnej wodzie. Morze. Nad nimi wznosił się kościół – stos szarego kamienia z potłuczonymi, ciemnymi oknami, pozbawiony frontowych drzwi. Iglica wieży kościoła dźgała kłębiące się chmury podświetlone przez księżyc. Kit zagwizdał przez zęby.

– Od jak dawna jest opuszczony?

– Od paru lat. Nie ma dostatecznie wielu Nocnych Łowców, żeby obsadzić wszystkie Instytuty. Od czasu Mrocznej Wojny.

Ty zerkał na rysunek w rękę i porównywał go z otoczeniem. Kit dostrzegał dookoła pozostałości zaniedbanego ogrodu – chwasty rosły wśród martwych krzewów różanych, trawa była zdecydowanie za długa i wymagała strzyżenia, mech pokrywał dziesiątki posągów, które stały rozsiane po ogrodzie jak ofiary Meduzy. Koń stanął dęba obok chłopca, na którego nadgarstku przysiadł ptak. Kamienna kobieta trzymała wykwintny parasol. Maleńkie kamienne króliki wyzierały spomiędzy chwastów.

– Wchodzimy do środka? – zapytał z powątpiewaniem Kit. Nie podobały mu się te ciemne okna. – Nie lepiej byłoby wrócić tu za dnia?

– Nie wchodzimy do środka.

Ty uniósł zabrany z Londynu rysunek. W magicznym świetle Kit widział, że jest to szkic wykonany tuszem, który przedstawia Instytut i jego ogrody za dnia. Miejsce nie zmieniło się zbyt wiele w ciągu ostatnich dwustu lat. Te same różane krzewy, te same posągi. Tyle że rysunek wyglądał na zrobiony zimą, bo konary drzew były nagie.

– To, czego potrzebujemy, jest tutaj.

– A czego potrzebujemy? – zapytał Kit. – Zrób mi tę przyjemność i wyjaśnij, jak to się ma do mojego niedbałego komentarza na temat zawodności kruków.

– Kruk faktycznie byłby zawodny. Rzecz w tym, że Malcolm nie powiedział, że kruk był żywy, ani w ogóle że to prawdziwy ptak. To my tak założyliśmy.

– No tak, ale... – Kit urwał.

Już chciał powiedzieć, że przekazywanie wiadomości przez martwego kruka nie ma dużego sensu, ale coś w wyrazie twarzy Ty'a go uciszyło.

– Więcej sensu miało w ich wypadku zostawianie wiadomości w skrytce – wyjaśnił Ty – do której oboje mieli łatwy dostęp.

Przeszedł po trawie do posągu chłopca z ptakiem na przegubie dłoni.

Lekki dreszcz przebiegł Kitowi po plecach. Niewiele wiedział na temat ptaków, ale tego wyrzeźbiono z połyskującego czarnego kamienia. Wyglądał jak znane mu rysunki kruków.

Ty przesunął palcami za kamiennym ptakiem. Rozległ się szczeł i skrzypienie zawiasów.

Kit podszedł szybko, żeby zobaczyć, jak Ty otwiera małą skrytkę w grzbiecie ptaka.

– Jest tam coś?

Ty pokręcił głową.

– Pusta.

Sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną kartkę. Wrzucił ją do skrytki, którą z powrotem zamknął. Kit zamarł.

– Zostawiłeś wiadomość.

Ty skinął głową. Złożył rysunek i schował go do kieszeni. Opuścił rękę z runicznym kamieniem. Światło było przyćmione, księżyc świecił dość jasno, żeby obaj coś widzieli.

– Dla Annabel?

Ty się zawahał.

– Nie mów nikomu – poprosił w końcu. – To tylko taki mój pomysł.

– Bardzo mądry – powiedział Kit. – Naprawdę mądry. Wątpię, żeby ktokolwiek zgadł, do czego służył posąg. Wątpię, żeby ktokolwiek był w stanie się tego domyślić.

– Ale to może nie mieć znaczenia. A wtedy zawiodę. Wolę, żeby nikt nie wiedział.

Ty zaczął pomrukiwać pod nosem, jak to czasem mu się zdarzało.

– Ja będę wiedział.

Ty przestał pomrukiwać.

– To mi nie przeszkadza. Że ty będziesz wiedzieć.

Kit chciał zapytać dlaczego, bardzo chciał, ale Ty sprawiał wrażenie, że sam nie jest pewien powodów. I nadal pomrukiwał ten sam cichy ciąg słów,

coś pomiędzy szeptem a piosenką.

– Co mówisz? – zapytał w końcu Kit, nie bardzo wiedząc, czy może, ale nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Ty zerknął na księżyc spomiędzy rzęs. Były gęste i ciemne, niemal jak u dziecka. Dodawały jego twarzy niewinności, przez co wyglądał młodziej – dziwny efekt, który klócił się z jego niemal przerażająco przenikliwym umysłem.

– Po prostu słowa, które lubię – odpowiedział. – Kiedy mówię je do siebie, mój umysł... wycisza się. To ci przeszkadza?

– Nie! – zapewnił go szybko Kit. – Byłem tylko ciekaw, jakie słowa lubisz.

Ty zagryzł usta. Przez chwilę Kit myślał, że nic mu nie powie.

– Nie chodzi o znaczenie, ale o ich brzmienie. Szkło, bliźniak, jabłko, szept, gwiazdy, kryształ, cień, zaśpiew. – Ty odwrócił wzrok. Drżąca postać w za dużej bluzie z kapturem. Jego ciemne włosy pochłaniały księżycowe światło, niczego nie odbijając.

– Szept mi też się podoba – powiedział Kit. Zrobił krok w stronę Ty'a i dotknął delikatnie jego ramienia. – Chmura, sekret, autostrada, huragan, zwierciadło, zamek, ciernie.

– Blackthornowie, czarne ciernie – dodał Ty z olśniewającym uśmiechem.

W tej jednej chwili Kit zrozumiał, że cokolwiek wmawiał sobie na temat ucieczki przez ostatnie dni, to było kłamstwo. Może właśnie na to kłamstwo zareagowała Livvy, kiedy warknęła na niego dziś przed magicznym sklepem, na to ziarenko w jego sercu, które mówiło mu, że być może odejdzie.

Teraz jednak wiedział, że mógłby ją uspokoić. Nie porzuci Nocnych Łowców. Nigdzie się nie wybierał. Ponieważ tam, gdzie byli Blackthornowie, tam był teraz jego dom.

I w wszetecznej każdej plamie

Kiedy Emma obudziła się następnego ranka, odkryła, że zdołała tym razem nie zaplątać się przez sen w supel wokół Juliana. To już jakiś postęp. Może to dlatego, że przez całą noc miała koszmary – znowu śnił jej się ojciec, który zdierał twarz, ukazując ukryte pod spodem oblicze Sebastiana Morgensterna.

– Luke, jestem twoim ojcem – mruknęła i usłyszała, że Julian śmieje się cicho.

Wstała chwiejnie, żeby poszukać stroju bojowego i nie musieć patrzeć, jak Julian wstaje rozkosznie zaspany i rozczochrany. Przebrała się w gabinecie, podczas gdy Julian wziął prysznic i się ubrał. Spotkali się na szybkim śniadaniu złożonym z tostów i soku, a potem ruszyli odszukać Annabel.

Dochodziło południe i słońce znajdowało się wysoko na niebie, zanim dotarli do kościoła w Porthallow. Najwyraźniej tego, co dla piksów było blisko, ludzie nie określiliby jako „w pobliżu”. Emma cały czas słyszała w głowie piskliwy głosik piksa. „Zabójczo blisko” – powiedział. Cokolwiek to znaczyło, źle to dla niej brzmiało.

Kościół zbudowano na urwisku nad cyplem. Morze rozciągało się w oddali jak dywan matowego błękitu. Chmury na niebie były jak muśnięcia pędzlem, jakby ktoś rozerwał kłębek waty na strzępki i je porozrzucił. Powietrze wypełniło się brzęczeniem pszczół i zapachem późnych polnych kwiatów.

Otoczenie kościoła zarosło chwastami, ale sam budynek był w przyzwoitym stanie, chociaż został opuszczony. Okna pieczołowicie zabito deskami, a do drzwi przybito tabliczkę z napisem: ZAKAZ WSTĘPU. NARUSZASZ TEREN PRYWATNY. Kawałek od kościoła znajdował się mały cmentarz. Szare, zmyte przez deszcze nagrobki były ledwie widoczne wśród

wysokiej trawy. Kwadratowa w przekroju wieża kościoła rysowała się samotnym reliefem na niebie. Emma poprawiła Cortanę na plecach i zerknęła na Juliana, który marszczył brwi, patrząc na jej telefon.

– Co sprawdzasz? – spytała.

– Wikipedię. „Kościół w Porthallow znajduje się na nadmorskim urwisku w Talland w pobliżu Polperro w Kornwalii. Ołtarz kościoła podobno pochodzi z czasów króla Marka, znanego z historii o Tristanie i Izoldzie, i został wzniesiony na skrzyżowaniu linii geomantycznych”.

– W Wikipedii wiedzą o liniach geomantycznych? – Emma zabrała mu telefon.

– Tam wiedzą o wszystkim. Może piszą ją czarownicy.

– Myślisz, że tym właśnie zajmują się całymi dniami w Spiralnym Labiryncie? Redagują Wikipedię?

– Przyznaję, że to trochę rozczarowujące.

Emma schowała telefon do kieszeni i wskazała kościół.

– Czyli następny węzeł geomantyczny?

Julian pokręcił głową.

– Węzeł to miejsce, gdzie wszystkie linie się łączą. To tylko skrzyżowanie, punkt przecięcia dwóch linii. Mimo to nadal jest to potężne miejsce.

W jasnym świetle słonecznym wyciągnął serafickie ostrze z za pasa i trzymając je przy boku, podszedł do wejścia do kościoła.

– Wiesz, co powiesz Annabel? – szepnęła Emma.

– Nie mam pojęcia. Chyba... – Urwał. W jego oczach pojawiła się troska.

– Coś nie tak? – spytała Emma.

Doszli do kościelnych drzwi.

– Nie – odpowiedział Julian po długiej chwili i chociaż Emma widziała, że nie mówi szczerze, przymknęła na to oko. Na wszelki wypadek zdjęła Cortanę z pleców.

Julian pchnął drzwi ramieniem. Mały zamek, który je zamykał, pękł. Weszli do środka, Julian kilka kroków przed Emmą. W opuszczonym kościele było ciemno ze oko wykol.

– Arariel – mruknął Julian i serafickie ostrze zapłonęło jak małe ognisko, oświetlając wnętrze.

Ciąg kamiennych arkad biegł wzdłuż jednego boku kościoła, ławki stały między łukami. W kamieniu wyrzeźbiono delikatny deseń w kształcie liści.

Nawa i transept, gdzie zwykle stał ołtarz, tonęły w cieniu.

Emma usłyszała, jak Julian bierze wdech.

– To tutaj Malcolm wskrzesił Annabel – powiedział. – Pamiętam to z magicznego zwierciadła. To tutaj umarł Arthur.

– Na pewno?

– Tak. – Julian pochylił głowę. – *Ave atque vale*, Arthurze Blackthorn. – Smutek przepełniał jego głos. – Zginąłeś dzielnie, walcząc za swoją rodzinę.

– Jules...

Emma chciała go dotknąć, ale on już się wyprostował i odczuwany smutek schował pod płaszczem obowiązków Nefilim.

– Nie wiem, dlaczego Annabel chciałaby tu zostać – powiedział, oświetlając serafickim nożem wnętrze kościoła. Wszędzie ścieliła się gruba warstwa kurzu. – To miejsce nie może się dla niej wiązać z dobrymi wspomnieniami.

– Jeśli jednak desperacko szuka kryjówki...

– Patrz. – Julian pokazał ołtarz oparty na granitowej płycie grubej na kilka stóp.

Kamień pokrywało drewno, na którego tle coś zabłysło bielą. Złożony kawałek papieru przymocowany wbitym nożem. Kobięcym charakterem pisma wypisano na karteluszkę imię Juliana.

Emma oderwała kartkę i podała ją Julianowi, który natychmiast ją rozłożył i przytrzymał tak, żeby oboje mogli czytać w świetle ostrza.

Julianie,

możesz uznać to za próbę. Jeśli jesteś tu i czytasz ten list, zawiodłeś.

Emma usłyszała, że Julianowi zaparło dech w piersi. Czytali dalej:

Powiedziałam piksom, że mieszkam tutaj, w kościele. To nieprawda. Nie pozostałabym w miejscu, gdzie przelano tyle krwi. Wiedziałam jednak, że nie zostawisz mnie w spokoju, że zapytasz piksy, gdzie przebywam, że mnie odzujesz.

Chociaż prosiłam, byś tego nie robił.

Zatem znajdujesz się w tym miejscu. Wolałabym, żeby Cię tu nie było, ponieważ nie jestem jedynym, co Malcolm Fade i krew twego wuja obudzili.

Musiłaś jednak zobaczyć, co potrafi Czarna Księga.
Annabel

* * *

Cristina siedziała w niszy okiennej w bibliotece i czytała, kiedy wyjrzała na zewnątrz i dostrzegła znajomą ciemną postać przemykającą przez frontową bramę.

Spędziła w bibliotece kilka godzin, sumiennie przeglądając książki w językach, które znała najlepiej: hiszpańskim, greckim, kastylijskim i aramejskim i szukając wzmianek na temat Czarnej Księgi. Nie mogła się jednak skupić.

Wspomnienia poprzedniej nocy cały czas powracały w najdziwniejszych chwilach, na przykład kiedy podawała Ty'owi cukier, przez co prawie rozsypała mu go na kolana. Naprawdę pocałowała Marka? Tańczyła z Kieranem i rozkoszowała się tańcem z nim?

Nie, powinna być ze sobą szczerą. Rzeczywiście rozkoszowała się tańcem. To było jak jazda z Dzikim Polowaniem. Poczwała, jak opuszcza własne ciało, wiruje wśród gwiazd i chmur. To jej przypominało historie o ucztach, które opowiadała jej w dzieciństwie matka – gdy śmiertelnicy zatracali się w tańcach faerie i umierali przepelnieni ich piękną radością.

Oczywiście potem każde poszło do swojego pokoju, Kieran spokojny, a Cristina i Mark wstrząśnięci. Cristina później długo leżała w łóżku i nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w sufit i zastanawiała, w co się wplątała.

Odłożyła z westchnieniem książkę. Nie pomagał jej fakt, że była sama w bibliotece. Magnus kręcił się przy izbie chorych, gdzie Mark pomagał mu rozstawiać sprzęt do sporządzenia antidotum na zakłęcie wiążące, a Dru pomagała Alecowi przy dzieciach w jednym z pokojów gościnnych. Livvy, Ty i Kit poszli po składniki do sklepu Hypatii Vex. Bridget kręciła się z tacami kanapek i herbaty, mamrocząc, że urabia sobie ręce po łokcie i że w tym domu jest więcej ludzi niż na stacji kolejowej. Kierana zaś nigdzie nie było.

Cristina przywykła już nieco do ograniczonego kontrolowanego chaosu w Los Angeles, ale łapała się na tym, że tęskni za spokojem Instytutu w Mexico City, ciszą różanego ogrodu matki, a nawet za rozmarzonymi

popołudniami, jakie spędzała z Diego, a czasem też z Jaime w Bosque de Chapultepec.

I tęskniła za Emmą. Myśli kłębiły jej się w głowie; chciała, żeby Emma z nią porozmawiała, zaplotła jej włosy, opowiadała głupie dowcipy i ją rozśmieszała. Może ona zdołałaby dostrzec jakiś sens w wydarzeniach poprzedniej nocy.

Sięgnęła po telefon, a potem cofnęła rękę. Nie zaczęła pisać do Emmy o swoich problemach, kiedy wszyscy mają tyle na głowie. Zerknęła zamiast tego za okno i zobaczyła Kierana idącego przez dziedziniec.

Był ubrany cały na czarno. Nie wiedziała, skąd wziął ubrania, ale wyglądał w nich jak smukły cień pod szarym i deszczowym niebem, które zastąpiło poranny błękit. Włosy miał niebiesko-czarne, a dłonie ukryte w rękawiczkach.

W gruncie rzeczy nie było zasady, która zakazywałaby Kieranowi opuszczać Instytut, ale Mark powiedział, że Kieran nienawidzi miasta. Na każdym kroku zimne żelazo i stal. Poza tym chcieli zapewnić mu u siebie bezpieczeństwo, a nie pozwolić mu wymknąć się, zanim złoży zeznania przed Clave. Nie mogli dopuścić, żeby coś mu się stało.

Może był zdenerwowany. Może rozgniewał się na Marka, może był zazdrosny, chociaż nie okazał tego wczoraj w nocy. Zsunęła się z parapetu. Kieran już wymykał się przez szparę w bramie w deszczowe cienie na zewnątrz, gdzie wydawało się, że zamigotał i zniknął, jak to faerie miały w zwyczaju.

Cristina wybiegła z biblioteki. Wydawało jej się, że ktoś woła za nią, kiedy biegła korytarzem, ale nie śmiała się zatrzymać. Kieran był szybki. Zgubiłaby go.

Nie było czasu, żeby narysować run Bezszelstności, nie było nawet czasu na szukanie steli. Zbiegła schodami i zerwała kurtkę z wieszaka przy wejściu. Wsunęła ręce w rękawy i wyskoczyła na dziedziniec.

Nadgarstek jej zapulsował, ostrzegając bólem, że oddała się od Marka. Nie zważała na to, idąc za Kieranem do bramy.

Może nie robił niczego niewłaściwego, mówiła sobie, próbując być sprawiedliwą. Nie był więźniem w Instytucie. Może Mark o wszystkim wiedział.

Kieran szedł pośpiesznie wąską uliczką, przemykając od cienia do cienia.

Cristina była pewna, że celowo porusza się ukradkiem.

Śledząc go, trzymała się z boku. Ulice były opustoszałe, wilgotne od mżawki. Pozbawiona czaru niewidzialności Cristina bardzo uważała, żeby nie dostrzegł jej żaden Przyziemny – jej runy były widoczne i Podziemni mogli zareagować na jej widok w sposób, który ostrzegłby Kierana.

Martwiła się, że w końcu dotrą do bardziej ruchliwych ulic i zostanie zauważona. Ręka bardzo jej teraz dokuczała, przenikliwy ból przeszywał nadgarstek, jakby ktoś zaciskał na nim stalowy drut.

Jednakże w miarę jak Kieran zagłębiał się w miasto, ulice stawały się coraz węższe zamiast coraz szersze. Elektryczne światła przygasły. Małe żelazne ogrodzenia wokół drzew zniknęły i gałęzie w górze zaczęły sięgać ku sobie ponad drogami, tworząc zielony baldachim.

Kieran szedł przed siebie bez przerwy, cień wśród cieni.

Wreszcie dotarli do placu z ceglаныmi budynkami, których wejścia wychodziły na plac, a fronty były przesłonięte bluszczem i zielonymi treliazami. Pośrodku rozciągał się typowy miejski zieleniec: parę drzew, płaski zadbany trawnik, kamienna fontanna w centrum. Cristina słyszała cichy plusk wody, gdy schowała się za drzewem, przywierając do kory i zerkając dyskretnie na Kierana.

Kiedy zatrzymał się obok fontanny, z drugiego końca zieleńca nadszedł mężczyzna w zielonej pelerynie. Cristina go rozpoznała. Miał delikatną brązową skórę i oczy, które błyszczały nawet w ciemności. Ręce miał długie i smukłe. Pod peleryną nosił dublet ze złamaną koroną Ciemnego Dworu. To był Adaon.

– Kieranie – powiedział ze znużeniem – dlaczego mnie wezwałeś?

Kieran uklonił się lekko. Cristina wyczuwała jego zdenerwowanie. Zdziwiło ją, że zna go na tyle, żeby wiedzieć, kiedy się denerwuje. Powiedziałaaby, że jest dla niej prawie obcy.

– Adaonie, bracie – powiedział – potrzebuję twojej pomocy. Muszę dowiedzieć się, co wiesz o czarach.

Jego brat uniósł brew.

– Na twoim miejscu nie próbowałbym rzucać czarów w przyziemnym świecie, mój braciszku. Przebywasz wśród Nefilim, a oni tego nie pochwalą, podobnie jak tutejsi czarownicy i wiedźmy.

– Nie chcę rzucać czaru. Chcę jeden przełamać. Czar wiążący.

– Aha. A kto jest związany?

– Mark.

– Mark – powtórzył Adaon nieco kpiącym tonem. – Co jest w nim takiego specjalnego, że przejmujesz się tym, czy jest związany? Czy też może powinien zostać związany z tobą?

– Nie chciałbym tego – zapewnił go z zapalem Kieran. – Nigdy bym tego nie chciał. Powinien mnie kochać z własnej woli.

– Wiązanie to nie miłość, chociaż potrafi ujawnić ukryte uczucia. – Adaon spojrzał na niego z namysłem. – Nie myślałem, że usłyszę takie słowa z twoich ust, braciszku. Jako dziecko brałeś, co chciałeś, nie zastanawiając się nad ceną.

– Nikt w Dzikim Polowaniu nie pozostaje dzieckiem.

– Szkoda, że zostałeś odesłany. Byłbyś dobrym królem po naszym ojcu, a Dwór cię kochał.

Kieran pokręcił głową.

– Nie chciałbym zostać królem.

– Bo musiałbyś zrezygnować z Marka. Niestety każdy król musi coś poświęcić. Taka jest natura naszej monarchii.

– Ale to niezgodne z moją naturą. – Kieran odchylił głowę, żeby spojrzeć na wyższego brata. – Myślę, że to ty nadajesz się na władcę. Że jesteś kimś, kto sprowadziłby ponownie pokój na nasze ziemie.

– Nie chodzi tylko o czar wiążący, prawda? – spytał Adaon. – Jest coś jeszcze. Nasz ojciec uważa, że poszukałeś azylu wśród Nocnych Łowców, żeby uciec przed jego gniewem. Muszę przyznać, że ja tak samo myślałem. Chodzi o coś więcej?

– Możliwe. Wiem, że nie zrobisz niczego przeciwko naszemu ojcu, ale wiem też, że go nie lubisz ani nie uważasz jego rządów za sprawiedliwe. Gdyby tron był wolny, zasiadłbyś na nim?

– Kieranie – powiedział z naciskiem Adaon – nie rozmawia się o takich rzeczach.

– Ale rozlew krwi trwa od dawna i nie ma żadnej nadziei. Nie chodzi tylko o moje bezpieczeństwo. Musisz w to uwierzyć.

– Co planujesz? W jakie kłopoty wpakowałeś się tym razem?

Czyjaś dłoń zacisnęła się na ustach Cristiny. Druga ręka ją przytrzymała.

Cristina odruchowo złożyła się wpół i chwyt nieco się poluzował. Szarpnęła głową do tyłu i uderzyła potylicą w czyjąś twarz. Usłyszała jęk.

– Kto tam jest? – Adaon obrócił się gwałtownie z dłonią na rękojeści broni.
– Ukaż się!

Coś naparło na gardło Cristiny. Coś długiego i ostrego. Ostrze noża. Zamarła w bezruchu.

* * *

– Powinniśmy iść – szepnęła Emma.

Nie pytała Juliana, co Annabel miała na myśli. Podejrzewała, że oboje wiedzą.

Coś ciemnego i śliskiego rozbłysło w transepcie, coś poruszającego się z groteskową wręcz płynnością. Wydawało się, że w pomieszczeniu pociemniało. Emma zmarszczyła nos – otoczył ich smród zgnilizny zwiastujący demoniczną obecność, jakby otworzyła pudełko wypełnione potwornym potpourri.

Twarz Juliana była świetlisto-błada pośród mroku. Zmiał list w dłoni i oboje zaczęli wycofywać się z kościoła, stawiając ostrożne kroki; serafickie ostrze dawało im nieco migotliwego światła. Pokonali połowę drogi do wyjścia, kiedy rozległ się potężny huk – oba skrzydła wielkich frontowych drzwi zatrzasnęły się.

Emma usłyszała cichutki chichot piksów.

Odwrócili się raptownie, kiedy ołtarz się przewrócił i z łoskotem uderzył o ziemię.

– Ty na lewo – szepnęła Emma – ja na prawo.

Julian odsunął się bez słowa. Emma nadal wyczuwała jego obecność w pobliżu. W połowie drogi między miasteczkiem a kościołem, w miejscu z widokiem na zatokę Talland i niebieskie morze, zatrzymali się, żeby narysować sobie runy. Runy ożyły teraz z mrowieniem, kiedy Emma przemknęła wzdłuż rzędu ławek i ruszyła przed siebie pod ścianą kościoła.

Dotarła do nawy. Cienie zaległy tam gęsto, ale jej run Nocnego Widzenia zaiskrzył i teraz lepiej widziała. Dostrzegła przewrócony ołtarz i ogromną plamę zaschniętej krwi na kamiennej posadzce. Na jednym z pobliskich filarów widniał krwawy odcisk ręki. To wyglądało straszliwie i kompletnie

nie na miejscu w kościele.

Emma pomyślała o sprofanowanym Instytucie. O Sebastianie, który przelał krew na progu fortecy Nocnych Łowców w Los Angeles.

Wzdrygnęła się i na tę jedną chwilę, gdy powróciła do wspomnień, jej uwaga się rozproszyła. Coś mignęło na obrzeżach jej pola widzenia i w tej samej chwili głos Juliana eksplodował jej w uszach:

– Emmo, uważaj!

Rzuciła się w bok, z dała od cienia. Wylądowała na przewróconym ołtarzu i obróciła się błyskawicznie, żeby ujrzeć falującą zgrozę, która podnosiła się przed nią. Demon był szkarłatno-czarny, w kolorze krwi... Bo to była krew, zakrzepły, mulisty szkarłat z dwojgiem płonących bielą oczu. Ręce demona kończyły się płasko, jakby miał łopaty zamiast dłoni i z każdej wystawał jeden czarny, zakrzywiony pazur. Kapał z nich rzadki, przezroczysty śluz.

Demon się odezwał. Krew popłynęła z jego paszczy podobnej do czarnego rozcięcia w szkarłatnej twarzy.

– Jam jest Sabnock z Thule. Jak śmiesz stawać przede mną, brzydki człowieku?

Emma była zaskoczona, że nie nazwał jej Nocnym Łowcą. Większość demonów znała Nefilim. Jednakże Emma niczego nie dała po sobie poznać.

– To bardzo osobisty przytyk. Zraniłeś mnie.

– Nie pojmuję twych słów. – Sabnock podpełzł w jej stronę.

Emma odsunęła się nieco na ołtarzu. Wyczuwała Juliana gdzieś za plecami; nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że tam jest.

– Mało kto pojmuje – odpowiedziała. – Sarkazm to ciężkie brzemię.

– Krew mnie tu przyciągnęła – powiedział demon. – Krew jest tym, czym jestem. Krew przelana w nienawiści i gniewie. Krew przelana z powodu niespełnionej miłości. Krew przelana z rozpacz.

– Jesteś demonem – odpowiedziała Emma, pewnie wyciągając przed siebie Cortanę. – Nie muszę dokładnie wiedzieć, co i jak. Muszę tylko dopilnować, żebyś wrócił tam, skąd przyszedłeś.

– Przyszedłem przez krew i przez krew wrócę – powiedział demon i skoczył, obnażając pazury i zęby.

Emma nawet nie zdawała sobie sprawy, że to coś ma zęby, ale owszem, miało – zęby jak odłamki czerwonego szkła.

Zrobiła salto do tyłu, odsuwając się od potwora, który uderzył w ołtarz.

Rozległ odgłos, jakby płyn chlapnął na coś twardego. Świat zawirował wokół Emmy, gdy się obróciła. Czuła absolutny spokój sięgający aż do szpiku kości, przenikliwy chłód walki, który sprawiał, że cały świat wokół niej zwałniał.

Wylądowała i się wyprostowała. Demon przykucnął na brzegu ołtarza, warcząc. Skoczył znowu i tym razem Emma trafiła go szybkim, skierowanym w górę pchnięciem Cortany.

Miecz nie napotkał żadnego oporu. Przeszedł przez ramię potwora. Krew obryzgała nadgarstek Emmy i przedramię. Śluzowata, na wpół zakrzepła, obrzydliwa posoka. Emmie zrobiło się niedobrze, a demon obrócił się błyskawicznie jak tornado i zaatakował ją szklistym pazurem. Wirowali w kościele jak w tańcu, Cortana tylko rozbłyskiwała. Nie dało się zranić tego stwora – cięcia i pchnięcia tylko otwierały na chwilę ciało, które zaraz się zamykało. Zupełnie jakby cięła wodę.

Emma nie śmiała oderwać oczu od demona na dość długo, żeby poszukać wzrokiem Juliana. Wiedziała, że jest w kościele, ale wyczuwała, że się oddalił, jakby wycofał się do drugiej części budowli. Nie widziała też rozbłyskującej w oddali gwiazdy jego serafickiego ostrza.

Jules, pomyślała, przydałaby mi się mała pomoc.

Sfrustrowany demon warknął i znowu zaatakował. Emma zamachnęła się, trzymając miecz w obu rękach nad głową, i demon zawył. Wybiła mu kilka zębów. Przenikliwy ból przeszył jej rękę. Obróciła miecz, wwiercając ostrze w głowę demona, rozkoszując się jego wrzaskami.

Buchnęło światło. Emma zatoczyła się do tyłu. Oczy ją paliły. W dachu otworzył się kwadrat, jakby odsunął się szyberdach w samochodzie. Zobaczyła cień na tle słońca. Julian przysiadł na jednej z najwyższych belek dachowych. Słońce wlało się przez szczelinę i demon zaczął płonąć.

A płonąc, wrzeszczał. Krawędzie jego ciała czerniały. Zatoczył się do tyłu. W kościele śmierdziało gotującą się krwią. Julian zeskoczył z belki i wylądował na ołtarzu. W jednej ręce trzymał stelę, a w drugiej serafickie ostrze.

Emma wyciągnęła w jego stronę wolną rękę, tę bez Cortany. Julian nie musiał pytać, wiedział, czego Emma chce. Seraficki nóż pofrunął w jej stronę. Emma złapała go, obróciła się i wbiła ostrze w cielsko osłabionego, płonącego demona.

Jeszcze raz wrzasnął przeraźliwie i zniknął.

Cisza, jaka potem zapadła, była ogłuszająca. Emma wciągnęła gwałtownie powietrze do płuc. W uszach jej dzwoniło. Odwróciła się do Julesa.

– To było niesamowite...

Julian zeskoczył z ołtarza i wyrwał jej z ręki wysmarowane posoką ostrze serafickie. Już zaczynało się wykrzywiać pod wpływem krwi demona. Odrzucił je na bok i złapał rękę Emmy, obrócił i obejrzał długie zadrapanie od wnętrza dłoni do przedramienia.

Pobladł jak prześcieradło.

– Co się stało? Ugryzł cię?

– Nie całkiem. Skaleczyłam się o jego ząb.

Przesunął palcami po jej ręce. Skrzywiła się. To było długie i wąskie rozcięcie, ale niezbyt płytkie.

– Pali? Czy piecze?

– Nic mi nie jest, Jules. Nic mi nie jest.

Wpatrywał się w nią przez chwilę. Patrzył natarczywie, mimo ostrego światła z góry nie uronił ani jednej łzy. W końcu odwrócił się bez słowa i ruszył przez kościół do wyjścia.

Emma spojrzała na swoją rękę. Rana jest całkiem zwyczajna, uznała. Będzie wymagała oczyszczenia, ale to nic niezwykłego w kategorii ran odnoszonych w walce. Wsunęła Cortanę z powrotem do pochwy i wyszła z kościoła za Julianem.

Przez chwilę w ogóle go nie widziała. Jakby zniknął. Został jej tylko widok rozciągający się z kościoła. Zielone pola znikające w błękitnej dali – błękitnym niebie, błękitnym morzu i błękitnej mgiełce odległych wzgórz.

Usłyszała krzyk, cieniutki i słaby. Pobiegła w tym kierunku, w stronę cmentarza, gdzie nagrobki zniszczone przez czas przechylały się jak talia rozsypanych kart.

Rozległ się głośny pisk.

– Puść! Puszczaj!

Emma odwróciła się i zobaczyła ruch w trawie. Najmniejszy z piksów wiercił się jak oszalały przyszpilony do ziemi przez Julesa, którego ponury, zimny wyraz twarzy przejął Emmę dreszczem.

– Zamknęliście nas tam razem z tym czymś – powiedział Julian, trzymając rękę na gardle faerie. – Zgadza się?

– Nie wiedzieliśmy, że tam jest! Nie wiedzieliśmy! – zapiszczał piks, wijąc

się pod naciskiem.

– Jakie to ma znaczenie? – wtrąciła się Emma. – Julian! Nie...

– W tym kościele uprawiano nekromancję. To wyrwało dziurę między wymiarami i demon się tu przedostał. Mógł nas rozszarpać na strzępy.

– Nie wiedzieliśmy! – jęczał piks.

– Kto nie wiedział? – dopytywał się Julian. – Bo założę się, że ty wiedziałeś. Piks osunął się bezwładnie. Julian przyszpilił go kolanem.

– Pani powiedziała, żebyśmy was tu wykierowali. Powiedziała, że jesteście bardzo niebezpieczni. Że zabijacie faerie.

– Możemy zaraz jakiegoś zabić – odparł Julian.

– Nic się nie stało, Jules – powiedziała Emma.

Wiedziała, że piksy nie są niewinne, chociaż wyglądają jak dzieci. Jednak widok jednego z nich, jak wije się i jęczy, przyprawiał ją o mdłości.

– Żadne nic. Jesteś ranna – odrzekł Julian zimnym tonem, który sprawił, że przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy odprowadzano Anselma Nightshade'a. „Julian, trochę mnie przeraziłeś”, powiedziała wtedy.

Tyle że Nightshade był winny. Clary tak powiedziała.

– Zostaw go w spokoju! – zawołał inny poblady piks. Kobieta, sądząc po ubraniu i długości włosów. Wymachiwała rękami, bezskutecznie grożąc Julianowi. – On nic nie wie!

Julian się nie poruszył. Wpatrywał się w faerie lodowatym wzrokiem. Wyglądał jak anioł zemsty, obojętny i bezlitosny.

– Nigdy więcej nie zbliżajcie się do nas – powiedział. – I nikomu o tym nie mówcie. Bo inaczej odnajdziemy was i każemy wam zapłacić.

Piks pokiwał nerwowo głową. Julian wstał, a piksy zniknęły, jakby zapadły się pod ziemię.

– Musiałeś aż tak bardzo je nastraszyć? – zapytała z wahaniem Emma.

Julian nadal miał ten straszliwy, beznamiętny wyraz twarzy, jakby jego ciało było tutaj, a umysł miliony mil stąd.

– Lepiej, żeby się przestraszyły, niż narobiły kłopotów. – Odwrócił się do niej. Kolory powoli wracały mu na twarz. – Potrzebujesz *iratze*.

– W porządku. Aż tak nie boli, poza tym chcę najpierw oczyścić ranę.

Iratze goiło skórę na każdej ranie, ale czasem oznaczało to, że zamykało się pod nią zakażenie albo brud.

Troska zamigotała w oczach Juliana.

– Powinniśmy więc wracać do chaty. Najpierw jednak potrzebuję twojej pomocy.

Emma pomyślała o strzaskanym ołtarzu, przelanej krwi i jęknęła.

– Nie mów, że będziemy sprzątać.

– Nie będziemy sprzątać kościoła – odparł Julian. – Spalimy go.

* * *

Ktokolwiek trzymał Cristinę, był silny. Silniejszy od Przyziemnego.

– A teraz krok naprzód i rób, co ci każe – rozległ się głos za jej plecami, zdyszany, ale cichy i pewny siebie.

Pchnięto ją do przodu, na środek zieleńca. Pociągnięto ją do fontanny i stojących tam dwóch faerie. Obaj patrzyli w jej stronę – Kieran na nią, jego brat nieco powyżej jej głowy.

– Erec – powiedział znużonym tonem Adaon. – Co tu robisz?

– Śledziłem cię – rozległ się głos za plecami Cristiny.

Z nagłą nienawiścią przypomniała sobie Ereca. Zapamiętała go z Faerie, gdzie Julian przyłożył mu nóż do gardła, tak jak on teraz przyłożył jej.

– Ciekawiło mnie, w jakim celu się tu udajesz. I chciałem też zobaczyć się z naszym młodszym braciszkiem.

– Puść ją – zażądał Kieran, wskazując Cristinę. Nie spojrzał jej w oczy. – Ona nie ma z nami nic wspólnego. To tylko Nocny Łowca, który szpieguje nas bez mojej wiedzy.

– Powiedziałeś, że nie ma nic wspólnego – zaszydził Erec – a nie że nic cię nie obchodzi.

Gorący, srebrzysty ból rozbłysnął w gardle Cristiny. Poczowała ciepłą strużkę krwi. Zesztywniała, żeby się nie wzdrygnąć.

– Zostaw ją w spokoju. – Twarz Kierana była bladą maską wściekłości. – Chcesz ściągnąć na siebie gniew Nefilim? Jesteś aż takim głupcem? Wiem, że lubisz torturować. Zwykłeś torturować mnie. – Zrobił krok w stronę Cristiny i Ereca. – Pamiętasz? To ty mi to zrobiłeś. – Podciągnął luźne, czarne rękawy i Cristina zobaczyła długie blizny na jego rękach. – I te na moich plecach.

– Byłeś miękkim dzieckiem – powiedział Erec. – Za miękkim, żeby być synem króla. Nie ma miejsca na życzliwość na dworze złamanej korony. –

Zarechotał. – Poza tym przynoszę wieści. Ojciec wysłał Siódemkę.

Kieran jeszcze bardziej pobladł.

– Siódemkę Mannana? Dokąd?

– Tutaj. Do świata przyziemnego. Mają odzyskać Czarną Księgę, skoro już wiadomo o śmierci Malcolma. I znajdą ją. Przed wami.

– Czarna Księga w ogóle mnie nie interesuje – odpowiedział Kieran.

– Za to interesuje naszego ojca – wtrącił Adaon. – Pragnął jej, odkąd skradziono Pierwszego Dziedzica.

– Dłużej niż nienawidził Nefilim? – spytał Kieran.

Erec splunął.

– Ci Nefilim, których tak kochasz, to rasa skazana na wymarcie. Marnujesz się, Kieranie, a mógłbyś robić tyle lepszych rzeczy.

– Zostaw go w spokoju – odezwał się Adaon. – Jak myślisz, co zrobiłby ojciec, gdyby Kieran wrócił do domu, poza tym, że by go zabił?

– Chyba że ojciec już by nie żył i nie mógł nikogo zabić.

– Dość intryg! – ryknął Adaon. – Dość tego, Erecu!

– To niech udowodni swoją lojalność!

Erec nagłym gestem zdjął nóż z gardła Cristiny. Zakaszła. Czują palący ból w nadgarstku, a dłonie Ereca były jak żelazne obręcze na jej rękach. Pchnął ją do przodu, ku braciom, ale jej nie wypuścił.

– Zabij Nocnego Łowcę! – krzyknął do Kierana. – Adaonie, daj mu swoje ostrze. Przebij jej serce, Kieranie. Pokaż, że jesteś lojalny, a wstawię się za tobą u ojca. Będziesz mógł powrócić na Dwór, zamiast obawiać się śmierci albo być skazanym na wygnanie do Dzikiego Polowania.

Adaon sięgnął do boku po miecz, ale Kieran już chwycił za broń. Cristina szarpała się, kopała, ale nie mogła się wyrwać Erecowi. Ogarnęła ją zgroza, kiedy Kieran podszedł do nich z błyszczącym mieczem w ręku. Jego oczy były beznamienne jak zwierciadła.

Cristina zaczęła się modlić. „Aniele, chroń mnie. Razjelu, pomóż mi”. Miała otwarte oczy. Nie chciała ich zamykać, tak umierają tchórze. Jeśli Anioł chciał jej śmierci, to zginie, stojąc i z otwartymi oczami jak Jonathan Nocny Łowca. To...

Wzrok Kierana przeskoczył ledwie uchwytnie, jego głowa się przechyliła. Cristina podążyła za tym ruchem i nagle zrozumiała, kiedy uniósł miecz w dłoniach. Zamachnął się, a ona pochyliła głowę.

Miecz przeciął powietrze ponad nią. Coś gorącego i mokrego rozlało jej się po plecach. Krzyknęła i poleciała do przodu, kiedy Erec ją wypuścił i padł na zwirową ścieżkę. Gardło miał rozplątane aż do kręgosłupa.

– Kieranie! – szepnął ze zgrozą Adaon. Kieran stał nad ciałem Ereca z umazanym krwią mieczem w ręku. – Coś ty zrobił?

– Zabiłby ją. A ona jest moją... a Mark...

Cristina złapała się fontanny, żeby nie upaść. Nogi miała jak z waty. Ręka płonęła jej żywym ogniem.

Adaon podszedł i wyrwał Kieranowi miecz z ręki.

– Iarlathe nie był z twojej krwi. – Wydawało się, że skóra mu się napięła, tak bardzo był zaszokowany. – Ale Erec to co innego. Zostaniesz ogłoszony bratobójcą, jeśli ktoś się dowie, co zrobiłeś.

Kieran uniósł głowę. Spojrzał płonącymi oczami w twarz brata.

– A ty im powiesz?

Adaon naciągnął kaptur na twarz. Wiatr zerwał się nad placem, zimny i przenikliwy. Peleryna Adaona zatrzepotała jak skrzydła.

– Odejdź, Kieranie. Szukaj azylu w Instytucie.

Adaon pochylił się nad ciałem Ereca. Było wygięte pod straszliwym kątem, krew płynęła między kamykami i trawą. Kiedy przyklęknął, Kieran zaczął wychodzić z zieleńca, ale się zatrzymał.

Powoli odwrócił się i spojrzał na Cristinę.

– A ty nie idziesz?

– Idę.

Była zaskoczona spokojem własnego głosu, ale ciało ją zdradziło – kiedy się wyprostowała, powtórny ból przeszył jej rękę i bok. Zgięła się wpół, z trudem łapiąc powietrze.

Chwilę potem już ją trzymano, choć niezbyt delikatnie. Poczowała, że ktoś podnosi ją z ziemi. Zamarła zaskoczona: to Kieran wziął ją na ręce i wyniósł ze skweru.

Opuściła bezwładnie ręce. Nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Odebrało jej mowę. Mimo że poprzedniej nocy tańczyli, było to dziwne, że Kieran trzyma ją w taki sposób. W dodatku wtedy towarzyszył im Mark, a teraz byli sami.

– Nie wygłupiaj się – zbeształ ją Kieran. – Obejmij mnie. Nie chcę cię tu zostawić i potem tłumaczyć się przed Markiem.

„Zabiłby ją”, powiedział. „A ona jest moją... a Mark...”.

Zastanawiała się, co chciał powiedzieć. Że Mark byłby zły? Rozczarowany? Jest moją przyjaciółką?

Nie, nie mógł mieć tego na myśli. Kieran jej nie lubił. Była tego pewna. I może w ogóle powiedział coś innego. Wspomnienia zamazywały jej się z powodu bólu.

Mijali kolejne ulice, oświetlenie zmieniało się z gazowego w elektryczne. Nad ich głowami światła migotały w oknach domów. Cristina objęła Kierana za szyję. Splotła palce, zagryzając usta z bólu spowodowanego czarem wiążącym.

Włosy Kierana muskały jej palce. Były wręcz zaskakująco miękkie. Jego skóra była niewiarygodnie gładka, znacznie gładsza niż ludzka, jak powierzchnia wypolerowanej porcelany. Przypomniała sobie Marka całującego Kierana pod drzewem na pustyni, ręce wplecione we włosy, jak odciągał dekolt jego swetra, żeby dotrzeć do skóry, do ciała, do kości. Zarumieniła się.

– Dlaczego mnie śledziłaś? – zapytał sztywno Kieran.

– Zobaczyłam cię przez okno w bibliotece. Pomyślałam, że uciekasz.

– Zgodnie z obietnicą poszedłem zobaczyć się z Adaonem, to wszystko. Poza tym... – Zaśmiał się cicho. – Dokąd miałbym pójść?

– Ludzie często uciekają, kiedy nie mają dokąd pójść – odpowiedziała Cristina. – Wszystko zależy od tego, co możesz znieść w miejscu, w którym jesteś.

Na długą chwilę zapadło milczenie. Na dość długą, by Cristina uznała, że Kieran nie odpowie. I wtedy się odezwał.

– Mam wrażenie – powiedział – że w jakiś sposób skrzywdziłem Marka. Nie wiem jak. Nie wiem, co się stało. Widzę jednak to w jego oczach, kiedy na mnie patrzy. Myśli, że to ukrywa, ale to nieprawda. Chociaż potrafi kłamać ustami, nigdy nie nauczył się ukrywać prawdy w oczach.

– Będziesz musiał go zapytać – odparła Cristina. Dotarli do ulicy, która prowadziła do Instytutu. Widziała już jego iglicę w oddali. – Kiedy Adaon powiedział, że gdybyś został królem, musiałbyś porzucić Marka, co miał na myśli?

– Król Faerie nie może mieć ludzkiego małżonka. – Spojrzał na nią oczami jak gwiazdy. – Mark kłamie na twój temat, ale widziałem sposób,

w jaki na ciebie patrzy. Ostatniej nocy, kiedy tańczyliśmy. To coś więcej niż zwykłe pożądanie.

– A ty... masz coś przeciwko?

– Nie mam nic przeciwko tobie. Myślałem, że powinien, ale nie mam. Masz coś w sobie. Jesteś piękna, jesteś życzliwa, jesteś... dobra. Nie wiem, dlaczego to miałyby cokolwiek zmieniać, ale... zmienia.

Kieran sprawiał wrażenie zaskoczonego. Cristina nic nie powiedziała. Jej krew brudziła mu koszulę. To był nierzeczywisty widok. Jego ciało było ciepłe, a nie zimne niczym marmur, jak zawsze sobie wyobrażała. Pachniał trochę nocą i lasem – to była czysta woń nieskażona miastem.

– Mark potrzebuje życzliwości – powiedział po długiej pauzie. – Tak samo jak ja.

Doszli do Instytutu. Kieran wszedł szybko po schodach... i zatrzymał się przed drzwiami. Zaciśnął mocniej ręce wokół Cristiny.

Spojrzała na niego zdziwiona. A potem ją olśniło.

– Nie możesz otworzyć drzwi. Nie jesteś Nocnym Łowcą.

– W rzeczy samej. – Kieran zamrugał, wpatrując się w drzwi, jakby go zaskoczyły.

– A gdybyś wrócił beze mnie? – Cristinę ogarnęła dziwna chęć do śmiechu. Chociaż nie wydarzyło się nic śmiesznego, a skrzepnięta krew Ereca usztywniła tył jej ubrania. Zastanawiała się, ile razy będzie musiała wziąć prysznic, zanim poczuje się trochę czystsza. – Naprawdę spodziewałabym się, że przemyślisz swój plan nieco dokładniej.

– Chyba zaraziłem się trochę waszą ludzką impulsywnością.

Sprawiał wrażenie wstrząśniętego swoją przemianą. Cristina ulitowała się nad nim i zaczęła rozplatać palce.

Już miała sięgnąć do drzwi, kiedy te otworzyły się do środka. Światło rozbłysło z wejścia i na progu stanął Mark. Wpatrywał się w nich ze zdumieniem.

– Gdzie byliście? – zapytał. – Na Anioła, Kieranie, Cristino... – Wyciągnął ręce, jakby chciał wziąć ją z jego rąk.

– W porządku – powiedziała. – Mogę już stać o własnych siłach.

Kieran delikatnie opuścił ją na ziemię. Ból w ręce już zaczął słabnąć, ale kiedy spojrzała na nadgarstek Marka – czerwony, napuchnięty, obrysowany krwią – ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Trudno było uwierzyć, nawet teraz, że

ból, który czuła, był także jego bólem. Kiedy ona krwawiła, on również krwawił.

Mark przesunął ręką po jej rękawie, który też sztywniał od zaschniętej krwi Ereca.

– Ta krew... To nie tylko twój nadgarstek... Dlaczego wyszłaś... Dlaczego którekolwiek z was wyszło?

– To nie jest jej krew – odezwał się Kieran – tylko mojego brata.

Teraz wszyscy stali w wejściu. Kieran sięgnął ręką i z rozmysłem zatrzasnął masywne frontowe drzwi. Zadudniły głośno. Cristina usłyszała kroki na piętze. Ktoś zbiegał schodami.

– Twojego brata? – powtórzył Mark.

Na ciemnym ubraniu Kierana krew nie rzucała się w oczy, ale Mark przyjrzał się teraz uważniej i zobaczył rozbryzg szkarłatu na szyi i policzku Kierana.

– Masz na myśli... Adaona?

Kieran był jak ogłuszony.

– Poszedłem spotkać się z nim, porozmawiać o czarze wiążącym i, być może, o przejęciu przez niego tronu.

– I połała się krew? Dlaczego? – Mark dotknął delikatnie jego policzka. – Gdybyśmy wiedzieli, że może dojść do walki, nigdy nie zasugerowalibyśmy, żebyś rozmawiał z nim w naszym imieniu. I dlaczego poszedłeś sam? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego nie zabrałeś mnie ze sobą?

Kieran zamknął na chwilę oczy, wtulając policzek w dłoń Marka.

– Nie chciałem cię narażać – odpowiedział cicho.

Mark spojrzał Cristinie w oczy ponad ramieniem Kierana.

– To nie Adaon chciał walczyć – powiedziała, masując nadgarstek. – To był Erec.

Kieran otworzył oczy, delikatnie odsuwając rękę Marka od twarzy i splatając przy tym z nim palce.

– Musiał śledzić Adaona. Nie miałem nawet okazji powiedzieć Adaonowi o naszych planach wobec niego i tronu. – Oczy mu pociemniały. – Mark, musisz coś wiedzieć...

Magnus wpadł do holu wejściowego, a za nim Alec. Obaj byli zadyszani.

– Co się dzieje? – zapytał Alec.

– Gdzie są dzieci? – spytał Kieran. – Maluchy i niebieskie dziecko

z małutkimi rogami?

Alec zamrugał zaskoczony.

– Bridget ich pilnuje. A co?

– Wyjaśnię wszystko przy pierwszej sposobności – powiedział Kieran. – Ale na razie musicie wiedzieć jedno. Król, mój ojciec, wysłał Siedmiu Jeźdźców, aby odnaleźli Czarną Księgę. Przebywają teraz w Londynie. Podejrzewam, że uznają, iż lokalizacja Czarnej Księgi jest znana osobom przebywającym w Instytucie. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Na razie jesteśmy bezpieczni w tych murach, ale...

Mark pobladł.

– Ale Livvy i Ty'a nie ma w Instytucie. Poszli z Kitem po składniki do rozproszenia czaru. Są gdzieś w mieście.

Podniósł się gwar, Alec o coś pytał, Magnus wymachiwał rękami. Jednakże ból i szok – nie tylko jej własny, ale i Marka – sprawił, że obraz poszarzał przed oczami Cristiny, chociaż rozpaczliwie starała się nie stracić przytomności. Chciała coś powiedzieć, ale słowa zniknęły i wszystko jej umknęło, a ona sama pokoziołkowała w ciemność.

Nie była pewna, czy to Mark, czy Kieran złapał ją, gdy upadła.

* * *

Chmury deszczowe zastąpiły błękitne niebo nad Londynem. Ty, Kit i Livvy postanowili wrócić piechotą ze sklepu Hypatii po odebraniu składników dla Magnusa, zamiast czekać na łódź w grymaśnej, przemoczonej kolejce.

Kit z przyjemnością szedł wśród kałuż szlakiem nad Tamizą, który wił się jak granitowy wąż wzdłuż rzeki. Znowu minęli Tower i Ty wskazał Bramę Zdrajców, przez którą kiedyś wprowadzono przestępców skazanych na ścięcie.

Livvy westchnęła.

– Szkoda, że nie ma z nami Dru. Spodobałoby jej się to miejsce. Ostatnio prawie nie wychodzi z pokoju.

– Myślę, że boi się, że ktoś każe jej wtedy pilnować dzieci – powiedział Kit.

Nie był pewien, czy wyrobił sobie już pogląd na temat Dru, miał raczej mgliste wrażenie okrągłej twarzy, zarumienionych policzków i mnóstwa czarnych ciuchów. Miała oczy Blackthornów, które zwykle pozostawały

zapatrzony w dal.

– Myślę, że ukrywa jakiś sekret – powiedziała Livvy.

Minęli Millenium Bridge, długą stalową linię rozciągniętą nad rzeką, i zbliżali się do mostu, który wyglądał na starszy i był pomalowany na czerwono i szaro.

Ty nucił sobie pod nosem zagubiony w myślach. Dzisiaj rzeka miała taki sam kolor jak jego oczy, stalowoszary odcień muśnięty srebrem. Biały pałąk słuchawek wisiał mu wokół szyi, przytrzymując niesforne włosy. Zrobił zdumioną minę.

– Czemu miałyby ukrywać sekret?

– Po prostu mam takie przeczucie – odparła Livvy. – Nie potrafię tego udowodnić...

Urwała. Patrzyła w dal, mrużąc oczy i osłaniając twarz ręką przed szarym światłem popołudnia.

– Co to jest?

Kit spojrzał w tym samym kierunku i zrobiło mu się zimno. Kształty poruszały się po niebie, sznur pędzących postaci, kontury na tle chmur. Trzy konie, wyraziste jak sylwetki wycięte z papieru, i dosiadający ich trzej jeźdźcy.

Rozejrzał się gorączkowo. Otaczali ich Przyziemni, którzy nie zwracali szczególnej uwagi na trójkę nastolatków z torbami pełnymi magicznych proszków.

– Dzikie Polowanie? – zapytał Kit. – Ale dlaczego...?

– Wątpię, żeby to było Dzikie Polowanie – odpowiedziała Livvy. – Polowanie jeździ nocą, a mamy środek dnia. – Położyła rękę na biodrze, gdzie wisiał jej seraficki nóż.

– To mi się nie podoba – szepnął Ty. Postaci znajdowały się teraz niewiarygodnie blisko, sunęły ponad mostem i zmierzały w dół. – Jadą w naszą stronę.

Odwrócili się, ale było już za późno. Kit poczuł, jak podmuch powietrza zmierzwił mu włosy, kiedy konie z jeźdźcami przeleciały nad nimi. Chwilę potem rozległ się stukot kopyt. Trzy wierzchowce wylądowały w zgrabnym szyku, odcinając Kitowi, Livvy i Ty'owi drogę ucieczki.

Wyglądały jak odlane z połyskliwego brązu. Jeźdźcy również mieli brązową skórę i włosy, nosili też przesłaniające pół twarzy maski z lśniącego

metal. Byli piękni, dziwaczni i nieziemscy, całkiem nie na miejscu wśród zalegających pod mostem cieni, gdy wodne taksówki śmigały tuż obok, a w górze dudnił ruch uliczny.

Ewidentnie były to faerie, ale nie takie, jakie Kit widywał wcześniej na Nocnym Targu. Jeźdźcy byli wyżsi i roślejsi. Nosili też broń, mimo edyktów Zimnego Pokoju: każdy z nich miał u pasa potężny miecz.

– Nefilim – odezwał się jeden z nich, a jego głos brzmiał jak pękający lodowiec – jestem Eochaid z Siedmiu Jeźdźców, a to moi bracia Etarlam i Karn. Gdzie jest Czarna Księga?

– Czarna Księga? – powtórzyła Livvy.

Trójka przyparła ich mocniej do muru przy ścieżce. Kit zauważył, że przechodnie dziwnie na nich zerkają, i wiedział, że ich trójka wygląda, jakby wpatrywała się w pustkę.

– Tak – odpowiedział Etarlam. – Nasz król jej szuka. Macie ją oddać.

– Nie mamy jej – odpowiedział Ty. – I nie wiemy, gdzie się znajduje.

Karn się roześmiał.

– Jesteście tylko dziećmi, więc jesteśmy skłonni okazać wam pobłażliwość, ale zrozumcie jedno: Jeźdźcy Mannana od tysiąca lat wykonują rozkazy króla Ciemnego Dworu. W tym czasie wielu poległo z naszych rąk i nikogo nie oszczędziliśmy z żadnego powodu, bez względu na wiek, słabość czy zniedołężnienie ciała. Nie oszczędzimy i was. – Pochylił się nad grzywą konia i Kit po raz pierwszy dostrzegł, że koń ma oczy rekina, atramentowe, beznamietne i śmiercionośne. – Albo wiecie, gdzie znajduje się Czarna Księga, albo będziecie użytecznym więźniami, dzięki którym przekonamy do współpracy tych, którzy dysponują tą wiedzą. Zatem jak będzie, Nocni Łowcy?

Pod błękitem z krwi płomienia

– Znowu wygrałem. – Jaime wyłożył karty: same kiery. Uśmiechnął się triumfalnie do Dru. – Nie smuć się. Cristina zwykła mówić, że mam diabelne szczęście.

– Czy diabeł nie powinien przynosić pecha?

Dru nie miała nic przeciwko przegrywaniu z Jaimem. On zawsze sprawiał wtedy wrażenie zadowolonego, a jej to było obojętne.

W nocy spał na podłodze obok jej łóżka i kiedy się obudziła, przeturlała się na bok i spojrzała na niego z góry, szczęście nappełniło jej pierś.

Podczas snu Jaime wyglądał bezbrinnie i bardziej przypominał brata, chociaż teraz już uważała, że jest przystojniejszy od Diego.

Jaime był sekretem, jej sekretem. Czymś ważnym, co robiła, nawet jeśli inni o tym nie wiedzieli. Wiedziała, że Jaime ma ważną misję, o której nie mógł mówić. Zupełnie jakby miała szpiega w pokoju. Albo superbohatera.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedział szczerze, splatając palce i przeciągając się jak kot w słońcu. – Dawno nie bawiłem się równie dobrze i dawno tak nie odpocząłem.

– Później nadal możemy być przyjaciółmi, prawda? – zapytała. – Znaczy, kiedy już wykonasz swoją misję.

– Nie wiem, kiedy będzie po wszystkim. – Cień przemknął przez jego twarz. Jaime był znacznie bardziej zmienny niż Diego. W ciągu pięciu minut potrafił być szczęśliwy, potem smutny, zamyślony i wreszcie roześmiany. – To może długo potrwać. – Odwrócił wzrok. – Możesz zacząć mieć mi za złe, że skłoniłem cię do ukrywania czegoś przed rodziną.

– Oni cały czas mają jakieś tajemnice przede mną. Uważają, że jestem za mała, żeby cokolwiek mi mówić.

Jaime zmarszczył brwi. Dru trochę się zaniepokoiła – nigdy nie

rozmawiali o tym, ile ma lat; po co mieliby o tym rozmawiać? Zwykle jednak ludzie uważali, że ma co najmniej siedemnaście. Jej krągłości były większe niż u innych dziewczyn w jej wieku i Dru przywykła już, że chłopcy się na nie gapią.

Jak na razie Jaime się nie gapił, a przynajmniej nie w taki sposób jak inni chłopcy – jakby mieli jakieś prawo do jej ciała. Jakby powinna być wdzięczna za ich uwagę. Odkryła, że rozpaczliwie nie chce, żeby Jaime się dowiedział, że ma dopiero trzynaście lat.

– W każdym razie Julian tak uważa – ciągnęła. – A on właściwie wszystkim rządzi. Rzecz w tym, że kiedy byliśmy młodszy, wszyscy byliśmy po prostu „dziećmi”. Ale kiedy moi rodzice zginęli i Julian praktycznie zaczął nas wychowywać, rozpadliśmy się na grupy. Ja wylądowałam pod etykietką „młodsza”, a Julian był nagle „starszy”; na dobrą sprawę stał się rodzicem.

– Wiem, jak to jest. Jako dzieci ciągle dokazywaliśmy z Diego jak szczeniaki. A potem on dorósł, uznał, że musi uratować świat, i zaczął mi rozkazywać.

– Właśnie. Dokładnie tak samo było z nami.

Jaime sięgnął w dół, żeby wciągnąć na łóżko torbę.

– Nie mogę zostać dużo dłużej – powiedział – ale najpierw... Mam coś dla ciebie.

Wyjął z torby laptop. Dru spojrzała na niego podejrzliwie – chyba nie zamierzał dać jej laptopa, prawda? Jaime otworzył laptop i uśmiechnął się od ucha do ucha. To był uśmiech w stylu Piotrusia Pana, uśmiech, który mówił, że nigdy nie skończy psocić.

– Ściągnąłem *Dom wampirów* – powiedział. – Pomyślałem, że powinniśmy obejrzeć go razem.

Dru klasnęła w ręce i usiadła obok niego na materacu. Przesunął się, zostawiając jej mnóstwo miejsca. Patrzyła, jak przechyla ekran, żeby oboje dobrze widzieli. Mogła teraz przeczytać słowa na jego ręce, chociaż nie znała ich znaczenia: *La sangre sin fuego hierve*.

– I owszem – powiedział, kiedy pierwsze obrazy zaczęły pojawiać się na ekranie – mam nadzieję, że w przyszłości pozostaniemy przyjaciółmi.

* * *

– Jules? – zagadnęła Emma, opierając się o ścianę kościoła. – Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Czy spalenie kościoła nie jest cokolwiek świętokradcze?

– Został porzucony. I zbezczeszczoney.

Julian podciągnął rękawy kurtki. Rysował sobie schludny i precyzyjny run Siły po wewnętrznej stronie przedramienia. Za jego plecami Emma widziała załom zatoki i wodę pędzącą błękitnymi zawijasami do brzegu.

– Mimo wszystko... Szanujemy wszystkie religie. Każda płaci dziesięcinę Nocnym Łowcom. Tak żyjemy. To się wydaje...

– Pozbawione szacunku? – Julian uśmiechnął się bez wesołości. – Emmo, nie widziałaś tego, co ja. Co zrobił Malcolm. Jak rozerwał tkanę tego, co czyniło ten kościół świętym miejscem. Przełał krew, a potem jego własna krew została przelana. A kiedy kościół zamienia się w rzeźnię, to dzieje się z nim coś gorszego, niż gdyby to wydarzyło się w innym miejscu. – Przeczesał ręką włosy. – Pamiętasz, co Valentine zrobił z Mieczem Anioła? Kiedy zabrał go z Cichego Miasta?

Emma skinęła głową. Wszyscy znali tę historię. To była część historii Nocnych Łowców.

– Przemienił go z serafickiego w piekielny. Z dobrego w zły.

– I ten kościół też został przemieniony. – Julian zadarł głowę, żeby spojrzeć na wieżę. – Tak jak wcześniej to było święte miejsce, tak teraz jest sprofanowane. I będzie przyciągać demony, które będą się tu przedostawały i nie zostaną na miejscu. Pójdą do wioski. Będą stanowiły niebezpieczeństwo dla tutejszych Przyziemnych. I dla nas.

– Powiedz mi tylko, że nie chcesz spalić kościoła, żeby dać czemuś wyraz.

Julian uśmiechnął się beznamiętnie. Ten uśmiech sprawiał, że wszyscy go kochali i mu ufali, odbierali go jako nieszkodliwego, wręcz niewartego uwagi. Ale Emma dostrzegała pod tym uśmiechem ostrza brzytwy.

– Wątpię, żeby ktokolwiek chciał słuchać tego, czemu chciałbym dać wyraz.

Emma westchnęła.

– To kamienny budynek. Nie możesz po prostu narysować runu Ognia i spodziewać się, że buchnie płomieniem jak zapałki.

Spojrzał na nią spokojnie.

– Pamiętam, co się wydarzyło w samochodzie. Kiedy mnie wyleczyłaś.

Wiem, co potrafi zdziałać energia runów, które rysujemy sobie wzajemnie.

– Chcesz mojej pomocy?

Julian odwrócił się do ściany kościoła, szarej powierzchni granitu przerywanej oknami, które zabito deskami. Pod ich nogami swobodnie pleciła się trawa upstrzona mleciami. W oddali Emma słyszała krzyki dzieci na plaży.

Julian sięgnął po swoją stelę i narysował run na kamiennej ścianie. Run zamigotał, drobne płomyki pełgały po jego brzegach. Ogień. Jednakże płomień szybko zgasł na kamieniu.

– Połóż na mnie ręce – powiedział Julian.

– Co?

Emma nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

– Będzie łatwiej, jeśli się dotkniemy – wyjaśnił rzeczowo. – Połóż ręce na moich plecach albo może na ramionach.

Emma stanęła za nim. Był od niej wyższy. Uniesienie rąk do jego ramion oznaczałoby wyciągnięcie się w niewygodnej pozycji. Stojąc tak blisko, czuła, jak rozszerza się jego klatka piersiowa przy każdym oddechu, widziała drobne piegi na jego karku, kiedy wiatr odgarniał mu na bok włosy. Łuk jego szerokich ramion zwężający się w talii i biodrach, długość nóg.

Złapała go w pasie, jakby jechała za nim na motocyklu, włożyła ręce pod kurtkę, ale na koszulkę. Czuła ciepło jego skóry przez bawełnę.

– W porządku – powiedziała. Jej oddech poruszył jego włosami. Dreszcz przebiegł mu po skórze. Nawet ona to czuła. Przełknęła ślinę. – Zaczynaj.

Przymknęła oczy, kiedy stela zazgrzytała o mur. Julian pachniał ściętą trawą, co nie było zaskakujące, skoro przed chwilą tarzał się w niej z piksem.

– Dlaczego nikt nie chciałby słuchać? – zapytała.

– Czego?

Julian podniósł rękę i wspiał się na palce. T-shirt mu podjechał do góry i ręce Emmy znalazły się na jego nagiej skórze, napiętej na układających się skośnie mięśniach. Zaparło jej dech w piersi.

– Wszystkiego tego, czemu chciałbyś dać wyraz... no wiesz, na dowolny temat – wyjaśniła Emma.

Julian znów stanął całymi stopami na ziemi. Teraz ręce Emmy zaplątały się w materiał koszulki. Podniosła wzrok i zobaczyła drugi run Ognia – ten był głębszy, ciemniejszy i płomień na jego krawędziach jaśniał mocniej.

Kamień wokół zaczął pękać...

I ogień zgasł.

– To może się nie udać – powiedziała Emma.

Serce jej biło jak szalone. Chciała, żeby to zadziało, a zarazem nie chciała. Ich runy powinny być potężniejsze, kiedy tworzą je razem, tak to działało w przypadku *parabatai*. Jednakże ta moc miała swoje ograniczenia. Chyba że *parabatai* byli w sobie zakochani. Jem ujął to tak, jakby wtedy ich moc była praktycznie nieograniczona i mogła przybrać rozmiary zdolne ich zniszczyć.

Julian już jej nie kochał, widziała sposób, w jaki pocałował tamtą faerie – ale oglądanie na własne oczy dowodów tego faktu nadal było trudne.

Może jednak tak będzie dla niej najlepiej. Prędzej czy później musiała stawić czoło rzeczywistości.

Przesunęła ręce, łącząc je na brzuchu Juliana. Przycisnęła się wtedy do niego ciałem, piersią przywarła do jego pleców. Poczwała, jak zaskoczony zeszywniał.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedziała. – Powoli.

Usłyszała, że oddech mu przyśpieszył. Uniósł ręce i stela zaczęła ze zgrzytem rysować kolejny run na kamieniu.

Instynktownie przesunęła ręce na jego pierś. Słyszała, jak stela zaczęła o nierówność i podskoczyła. Emma położyła dłoń na jego sercu. Biło jak szalone, tłukło się w klatce piersiowej.

Bicie serca Juliana. Sto tysięcy innych sytuacji, gdy je słyszała albo czuła, jak uderza w nią niczym rozpędzony pociąg. Kiedy miała sześć lat, spadła z muru, na którym balansowała, i Julian ją złapał. Spadli razem, a ona słyszała wtedy bicie jego serca. Pamiętała puls w gardle, kiedy trzymał Miecz Anioła w Sali Narad. Albo gdy pędzili po plaży, a ona potem kładła palce na jego nadgarstku i sprawdzała liczbę uderzeń na minutę. Synkopujący rytm ich serc podczas ceremonii *parabatai*. Ryk jego krwi, kiedy wynosił ją z oceanu. Spokojne bicie jego serca, kiedy w nocy położyła mu głowę na piersi.

Jej ciało zadygotało pod wpływem siły tego wspomnienia i poczuła, że pulsuje w niej siła i przepływa do Juliana, raptownie wprowadzając moc runu w jego rękę, dłoń, stelę, jakby ktoś trzasnął z bicia. Ogień.

Julian wciągnął gwałtownie powietrze do płuc i upuścił stelę, której

czubek jarzył się czerwienią. Zatoczył się do tyłu, ręce Emmy opadły. Omal się nie potknęła, ale złapał ją i odciągnął od budynku na cmentarz. Dysząc, oboje spojrzeli na run, który Julian narysował na murze kościoła: run przepalił się przez kamień. Deski w oknach trzaskały, pomarańczowe jęzory płomieni wyskoczyły na zewnątrz.

Julian spojrział na Emmę. Ogień skrzył się i trzaskał w jego oczach. To było coś więcej niż tylko odbicie.

– Udało się – powiedział, podnosząc głos. – I to nam się udało.

Emma spojrzała na niego. Ścisnęła jego ręce tuż nad łokciami, czuła pod palcami twarde mięśnie. Jules jakby jaśniał od środka, płonął podnieceniem. Jego skóra była gorąca w dotyku.

Ich spojrzenia się spotkały. I to był Julian, jej Julian, bez zasłon maskujących uczucia, Julian, który niczego nie ukrywał. Widziała tylko czysty blask jego oczu i żar spojrzenia. Miała wrażenie, że serce pęka jej w piersi. Słyszała wokół nich trzask płomieni. Julian podszedł do niej i Emma kompletnie zapomniała, że musi trzymać go na dystans. Z jej świadomości zniknęło wszystko oprócz niego.

Dźwięk syren rozległ się w jej uszach: to straż pożarna pędziła do kościoła. Julian odsunął się, ale tylko na tyle, żeby złapać ją za rękę. Uciekli spod kościoła, kiedy nadjechał pierwszy wóz strażacki.

* * *

Mark nie wiedział tak naprawdę, jak dotarli do biblioteki. Ledwie pamiętał, że poszedł sprawdzić, co u Tavvy'ego (razem z Rafe'em i Maksem budował skomplikowaną wieżę z klocków), a potem zapukał do Dru. Siedziała w swoim pokoju i nie chciała wychodzić, co w tej sytuacji wydawało się dobrym rozwiązaniem. Nie miało sensu straszenie jej bardziej niż to konieczne.

Mimo to Mark chętnie by ją zobaczył. Kiedy Juliana i Helen zabrakło, a Ty i Livvy znaleźli się gdzieś w Londynie, gdzie groziło im niebezpieczeństwo, czuł się jak dom, spod którego wyrwano fundamenty. Był rozpaczliwie wdzięczny, że Dru i Tavvy są bezpieczni i że w tej chwili go nie potrzebują. Nie miał pojęcia, jak Julian radził sobie przez te wszystkie lata – jak można być silnym dla innych, gdy nie potrafisz być silnym dla siebie. Wiedział, że

to trochę idiotyczne, że on, dorosły, potrzebuje towarzystwa trzynastolatki, by go umocniła, ale tak właśnie było. I wstydził się tego.

Był świadomy, że Cristina strzela do Magnusa hiszpańskimi słowami z prędkością karabinu maszynowego, a Kieran ze zwieszoną głową opiera się o jeden ze stołów. Jego włosy miały kolor fioletowo-czarny jak najciemniejsza wodna głęбина. Alec wrócił z korytarza ze stosem ubrań w rękach.

– To są ubrania Ty'a, to Livvy, a to Kita – powiedział, wręczając je Magnusowi. – Wziąłem je z ich pokoiów.

Magnus zerknął na Marka.

– Nadal się nie dodzwoniłeś?

Mark starał się głęboko oddychać. Zadzwoił do Emmy i Juliana i wysłał im esemesy, ale nadal nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Cristina powiedziała, że dostała wiadomość od Emmy, kiedy była w bibliotece, i że obojgu nic nie zagraża. Mark wiedział, że Emma i Julian są sprytni i ostrożni i że nie ma lepszego wojownika od Emmy. Mimo to troska ścisnęła mu serce.

Musiał jednak skupić się na Livvy, Ty'u i Kicie. Kit praktycznie nie miał za sobą żadnego treningu, Livvy i Ty nadal byli młodzi. Wiedział, że sam miał tyle lat co oni, kiedy zabrało go Dzikie Polowanie, ale mimo to byli dla niego dziećmi.

– Nic od Emmy i Julesa – odpowiedział. – Próbowałem kilkanaście razy dodzwonić się do Ty'a, nawet kilkadziesiąt. Żadnej odpowiedzi.

Przełknął zgrozę. Istniał milion powodów, dla których Ty mógł nie odbierać telefonu, a które nie miały nic wspólnego z Jeźdźcami.

Jeźdźcy Mannana. Chociaż wiedział, że znajduje się w bibliotece Instytutu Londyńskiego i patrzy, jak Magnus Bane przesuwając rękami nad ubraniami i zaczyna rzucać czar tropiący, to pewna częśćka jego osoby należała do Faerie i znała opowieści o Jeźdźcach, straszliwych zabójcach z Ciemnego Dworu. Spali pod wzgórzem do chwili, gdy zostali wezwani, najczęściej w czasach wojny. Słyszał, że nazywano ich Ogarami Króla, bo kiedy raz zwietrzyli ofiarę, to gonili za nią przez morza, ziemię i niebo, by odebrać jej życie.

Król musiał naprawdę bardzo pragnąć Czarnej Księgi, skoro wciągnął w to Jeźdźców. Za dawnych czasów polowali na olbrzymy i potwory. Teraz polowali na Blackthornów. Markowi zrobiło się zimno.

Słyszał, jak Magnus mówi cichym głosem, wyjaśnia, kim jest Siódemka i co robi. Alec dał Cristinie szarą koszulkę, pewnie należącą do Ty'a. Wzięła T-shirt do ręki, mając na dłoni run tropiący, ale tylko ścisnęła mocniej materiał i pokręciła głową.

– Nie działa – powiedziała. – Może gdyby Mark spróbował... Dajcie mu coś, co należy do Livvy...

W ręce Marka wepchnięto czarną falbaniastą sukienkę. Nie mógł wyobrazić sobie siostry w czymś takim, ale przecież nie o to chodziło. Przytrzymał ją mocno, rysując niezręcznie run tropiący na grzbiecie prawej ręki, próbując przypomnieć sobie, jak to robią Nocni Łowcy. Jak oczyszcza się umysł i sięga w nicość, próbując odnaleźć iskierkę szukanej osoby na drugim krańcu własnej wyobraźni.

Niczego tam nie było. Sukienka wydawała się martwa w jego rękach. Nie było w niej Livvy. Livvy nigdzie nie było.

Otworzył oczy, wciągając gwałtownie powietrze w płuca.

– To chyba nie zadziała.

Magnus był zdumiony.

– Ale...

– To nie jest ich odzienie – powiedział Kieran, podnosząc głowę. – Nie pamiętacie? Pożyczyli ubrania, kiedy tu przyjechali. Słyszałem, jak z tego powodu narzekali.

Mark nie spodziewał się, że Kieran zwraca uwagę na słowa Blackthornów na tyle, żeby wychwycić coś takiego. A jednak.

Z drugiej strony właśnie tacy byli członkowie Dzikiego Polowania, prawda?

– Niech się wydaje, że nie zwracasz uwagi, ale ty wychwytyj każdy szczegół – mawiał często Gwyn. – Życie Myśliwego może zaleć od tego, ile wie.

– Naprawdę nie ma niczego, co do nich należy? – dopytywał się Magnus, a w jego głosie pobrzmiwała panika. – Ubrania, które mieli na sobie, gdy tu przyjechali...

– Bridget je wyrzuciła – powiedziała Cristina.

– Ich stele...

– Wzieliby je ze sobą – odparł Mark. – Pozostałą broń pożyczyli. – Serce mu biło niespokojnie. – Nic nie możesz zrobić?

– A może przenieść się do Instytutu w Los Angeles? – zaproponował Alec.
– Wziąć stamtąd trochę ich rzeczy...

Magnus zaczął krążyć.

– W tej chwili nie można się tam przenieść. Kwestie bezpieczeństwa. Mógłbym poszukać nowego zaklęcia, moglibyśmy wysłać kogoś, kto zdjąłby blokadę z Instytutu Kalifornijskiego, ale to wszystko wymaga czasu...

– A my go nie mamy – powiedział Kieran. Wyprostował się. – Pozwólcie mi pójść po dzieci. Przysięgam na własne życie, że zrobię wszystko, żeby je odnaleźć.

– Nie! – rzucił dość brutalnie Mark i dostrzegł przelotny wstrząs na twarzy Kierana. Nie było jednak czasu na tłumaczenia. – Diana...

– Jest w Idrisie i nie może pomóc – zauważył Kieran.

Mark wsunął rękę do kieszeni. Zamknął palce na czymś małym, gładkim i zimnym.

– Może nadszedł czas wezwać Cichych Braci – zasugerował Magnus. – Niezależnie od konsekwencji.

Cristina się skrzywiła. Mark wiedział, że myśli o Emmie i Julesie, o naradzie Clave w Idrisie, o zagrożeniu dla rodziny Blackthornów. O upadku, do którego doszłoby, kiedy nad rodziną czuwał Mark. Julian nigdy nie dopuściłby do czegoś takiego. Gdy Julian czuwał nad rodziną, nie dochodziło do katastrof – w każdym razie nie do takich, których skutków nie umiałby naprawić.

Ale Mark o tym nie myślał. Jego umysł i serce wypełnił obraz rodzeństwa w niebezpieczeństwie. W tej chwili byli dla niego więcej niż bratem i siostrą. Zrozumiał, co Julian czuł, patrząc na nich. To były jego dzieci, jego obowiązek, i umrze, byle je ratować.

Wyjął rękę z kieszeni. Rzucony przez niego złoty żołędź załśnił w powietrzu, uderzył w ścianę naprzeciwko i pękł.

Cristina obróciła się gwałtownie.

– Mark, co ty...

Nic nie zmieniło się w bibliotece w widoczny sposób, ale specyficzny zapach wypełnił pomieszczenie i przez chwilę wydawało się, że stoją na polanie w Faerie – Mark czuł świeże powietrze, ziemię i liście, kwiaty i miedziany aromat wody.

Kieran zeszywniał, a w jego oczach pojawiła się mieszanka nadziei

i strachu.

– Alec – powiedział Magnus i wyciągnął rękę.

W jego głosie zabrzmiało nie tyle ostrzeżenie, ile nieskrywane ponaglenie. Niesamowitość Faerie wypełniła pokój i Magnus chciał chronić to, co kocha. Alec nie poruszył się jednak, a jedynie patrzył spokojnymi, niebieskimi oczami na cień rosnący pod ścianą. Cień, którego nic nie rzucało.

Cień wyciągał się w górę. Cień mężczyzny o pochylonej głowie i szerokich, przygarbionych ramionach. Cristina położyła rękę na wisiorku i coś zamruczała – pewnie słowa modlitwy, domyślił się Mark.

Światło w pokoju przybrało na sile. Cień nie był już cieniem. Nabrał kolorów i kształtu, aż stał się Gwynem ap Nudd z rękami skrzyżowanymi na szerokiej piersi i dwubarwnymi oczami lśniącymi pod krzaczastymi brwiami.

– Marku Blackthornie – powiedział głosem jak grzmot. – Nie dałem ci tego przedmiotu ani też nie było moim zamiarem, byś się nim posłużył.

– Naprawdę tu jesteś? – zapytał zafascynowany Mark.

Gwyn sprawiał wrażenie dostatecznie namacalnego, ale gdy Mark przyjrzał się uważniej, wydało mu się, że widzi zarys ramy okiennej przez ciało Gwyna...

– To projekcja – wyjaśnił Magnus. – Witaj, Gwynie ap Nudd, towarzyszu grobu, ojczyźnie poległych.

Skłonił się leciutko.

– Witaj, Magnusie Bane – odrzekł Gwyn. – Minęło dużo czasu.

Alec kopnął Magnusa w kostkę – Mark domyślił się, że pewnie po to, by powstrzymać go przed powiedzeniem, że wcale nie minęło aż tak dużo czasu.

– Potrzebuję cię, Gwynie – powiedział Mark. – My cię potrzebujemy.

Gwyn sprawiał wrażenie niezadowolonego.

– Gdybym chciał, żebyś mógł mnie wezwać w dowolnej chwili, to tobie dałbym ten żołędź.

– Ty mnie wezwałeś – odparł Mark. – Przyszedłeś do mnie prosić o pomoc dla Kierana, więc uratowałem go przed królem Ciemnego Dworu i teraz Jeźdźcy Mannana polują na moje rodzeństwo, a to dopiero dzieci.

– Zniosłem z pól bitewnych ciała niezliczonych dzieci.

Mark wiedział, że Gwyn nie chciał okazać okrucieństwa. Po prostu znał swoją rzeczywistość wypełnioną krwią, śmiercią i wojną. Nigdy nie było pokoju dla Gwyna i Dzikiego Polowania. Gdzieś w świecie zawsze toczyła się wojna, a ich obowiązkiem było jej służyć.

– Jeśli nie pomożesz – odrzekł Mark – staniesz się sługą króla Ciemnego Dworu. Sługą, który chroni jego interesy, jego plany.

– Na tym polega twój gambit? – zapytał cicho Gwyn.

– To nie gambit – odpowiedział Kieran. – Król, mój ojciec, chce rozpętać wojnę. Jeśli nie staniesz przeciwko niemu, uzna, że stoisz po jego stronie.

– Dzikie Polowanie nie stoi po niczyjej stronie.

– Nikt w to nie uwierzy, jeśli nie podejmiesz teraz żadnego działania – powiedział Mark. – Nikt.

– Polowanie może odnaleźć Livvy, Ty'a i Kita – powiedziała Cristina. – Jesteście najwspanialszymi tropicielami na świecie, o wiele lepszymi od Siedmiu Jeźdźców.

Gwyn rzucił jej lekko niedowierzające spojrzenie, jakby nie mógł uwierzyć, że w ogóle się odezwała. Jej pochlebstwo na poły go rozbawiło, na poły zirytowało. Kieran zaś był pod wrażeniem.

– Dobrze więc – ustąpił Gwyn. – Spróbuję. Ale niczego nie obiecuję – dodał ponuro i zniknął.

Mark stał, wpatrując się w miejsce, z którego zniknął wódz Dzikiego Polowania. Na pustej ścianie biblioteki nie było żadnych cieni.

Cristina posłał mu niespokojny uśmiech. Ona zawsze jest taka niesamowita, pomyślał. Delikatna i szcera, ale też zdolna do różnych podstępów w stylu faerie, gdyby zaszła taka potrzeba. Słowa, które wypowiedziała do Gwyna, zabrzmiały całkowicie szczerze.

– Może sprawiać wrażenie niechętnego, ale gdy Gwyn mówi, że spróbuje, to poruszy niebo i ziemię – powiedział Magnus.

Wyglądał na skrajnie wycieńczonego. Mark nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział go w takim stanie, tak wyczerpanego i ponurego.

– Będę potrzebował twojej pomocy, Alecu – dodał. – Czas, żebym się przeniósł do Kornwalii. Musimy znaleźć Emmę i Juliana, zanim zrobią to Jeźdźcy.

Zegar z Sali Narad rozbrzmiewał w całym Gard jakby bito w olbrzymi dzwon. Diana zakończyła swoją opowieść kilka minut temu. Złożyła ręce na biurku pani Konsul.

– Jia, proszę, powiedz coś.

Konsul wstała ze swojego miejsca za biurkiem. Miała na sobie powłóczystą suknię z rękawami obrębionymi brokatem. Jej plecy były proste jak strzała.

– To mi wygląda na robotę demonów – powiedziała pełnym napięcia głosem – ale w Idrisie nie ma demonów. Nie ma ich od czasu Śmiertelnej Wojny.

Poprzedni Konsul zginął w tej wojnie. Od tego czasu Jia zajmowała to stanowisko i żaden demon nie wkroczył do Idrisu. Jednakże demony nie były jedynymi istotami, które pragnęły krzywdy Nocnych Łowców.

– Helen i Aline wiedziałyby, gdyby doszło do jakiejś demonicznej aktywności w Brocelind – dodała Jia. – Na Wyspie Wrangla znajdują się wszelkie mapy, wykresy i precyzyjne instrumenty. Wiedziały, kiedy Malcolm przełamał zaklęcia ochronne wokół Instytutu i zgłosiły mi to wcześniej od ciebie.

– To nie jest robota demonów – powiedziała Diana. – To miejsce nie robiło takiego wrażenia, nie czuć było smrodu demonów. To była śmierć wszystkiego, co rośnie. Plaga. Zaraza. To właśnie Kieran widział na ziemiach Ciemnego Dworu.

Uważaj, przestrzegła się w duchu. Omal nie powiedziała, że to Julian to widział. Miała nadzieję, że Jia okaże się ich sprzymierzeńcem, ale jeszcze tego nie udowodniła. Nadal stanowiła część Clave, ba, była jego najwyżej postawionym przedstawicielem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł Robert Lightwood, Inkwizytor. Zdejmował właśnie z rąk rękawiczki do jazdy konnej.

– To, co mówi panna Wrayburn, jest prawdą – powiedział bez zbędnych wstępów. – Pośrodku lasu, może z milę od rezydencji Herondale’ów, znajduje się miejsce zniszczone plagą. Sensory potwierdzają brak obecności demonów.

– Byłeś sam, kiedy pojechałeś obejrzyć to miejsce? – zapytała Diana.

Robert sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego.

– Towarzyszyło mi kilka osób: Patrick Penhallow, paru młodszych

Centurionów.

– Niech zgadnę – powiedziała Diana. – Manuel Villalobos.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to ma być tajna misja – odrzekł Robert, unosząc brwi. – Czy to istotne, że tam był?

Diana nic nie powiedziała, tylko spojrzała na Jię, której ciemne spojrzenie zdradzało znużenie.

– Mam nadzieję, że wzięłeś kilka próbek – powiedziała Jia.

– Patrick je ma. Wiezie je właśnie do Cichych Braci. – Robert schował rękawiczki do kieszeni i zerknął z ukosa na Dianę. – Może to niewiele znaczy, ale rozważyłem twoją prośbę i uważam, że spotkanie Rady dotyczące Kohorty i posłańca faerie może okazać się pożyteczne.

Uklonił się Dianie i wyszedł.

– To dobrze, że wziął Manuela i pozostałych – powiedziała zniżonym głosem Jia. – Nie mogą zaprzeczyć temu, co widzieli, gdyby do tego doszło.

Diana wstała z krzesła.

– A jak myślisz, co widzieli?

– Nie wiem – odparła szczerze Jia. – Próboweś posłużyć się serafickim nożem albo runem, kiedy byłaś w lesie?

Diana pokręciła głową. Nie wyjawiała Jii, co robiła w Brocelind o świcie. A już z pewnością nie zamierzała mówić, że była w piżamie na randce z faerie.

– Będziesz obstawać, że to znak, że Ciemny Dwór wtargnął na nasze terytorium – powiedziała Jia.

– Kieran powiedział, że król Ciemnego Dworu nie zatrzyma się na własnych ziemiach, że przyjdzie po nasze. Dlatego potrzebujemy pomocy królowej Jasnego Dworu.

Która to pomoc zależała od odnalezienia Czarnej Księgi, o czym Diana wiedziała, chociaż nie powiedziała o tym Jii. Pozbycie się Kohorty było zbyt ważne.

– Przeczytałam dokumenty, które mi dałaś – dodała. – Myślę, że zapomniałaś wyjąć z teczki kilka drobiazgów dotyczących Zary.

– O, rety – odpowiedziała beznamiętnie Jia.

– Dałaś mi je, bo wiesz, że to prawda – powiedziała Diana. – Wiesz, że Zara okłamała Radę. Że jeśli jest uważana za bohaterkę, to z powodu tych kłamstw.

– Możesz tego dowieść?

Jia podeszła do okna. Ostre słońce oświetlało rysy jej twarzy.

– A ty?

– Nie – odparła Jia, nadal wyglądając przez okno. – Ale mogę ci powiedzieć coś, czego nie powinnam. Wspomniałam o Aline i Helen. Jakiś czas temu zgłosiły, że zauważyły coś niepokojącego na mapach Alicante w okolicy Brocelind. Coś bardzo dziwnego, ciemne plamy, jakby same drzewa uprawiały czarną magię. Pojechały tam, ale niczego nie zobaczyły. Może martwe kręgi były jeszcze za małe, żeby je dostrzec. Uznano to za błąd przyrzędów.

– Będą musiały jeszcze raz to sprawdzić – powiedziała Diana, ale serce zabiło jej z podniecenia. Jeszcze jeden skrawek dowodu, że król Ciemnego Dworu stanowi zagrożenie. Namacalne i bezpośrednie zagrożenie dla Idrisu. – Jeśli ciemne plamy odpowiadają miejscom porażonym plagą, to muszą złożyć zeznania. Pokazać to Clave.

– Spokojnie. Sporo myślałam nad tobą. Wiem, że pewnych rzeczy mi nie mówisz. Z jakichś powodów jesteś pewna, że Zara nie zabiła Malcolma. Skądś dużo wiesz o planach króla Ciemnego Dworu. Odkąd pierwszy raz zaprosiłam Juliana Blackthorna i Emmę Carstairs do swojego gabinetu, wprowadzali mnie w błąd i ukrywali różne rzeczy przed Clave. Tak jak ty teraz. – Jia dotknęła palcem szkła. – Ja jednak jestem już zmęczona. Zmęczona Zimnym Pokojem, który oddziela mnie od córki, zmęczona Kohortą i szerzonym przez nią klimatem nienawiści. To, co teraz mi dajesz, to wąta nić, z którą wiązę wszystkie nasze nadzieje.

– Ale to lepsze niż nic.

– Tak. – Jia odwróciła się do Diany. – To lepsze niż nic.

Kiedy kilka minut później Diana wyszła z Gard na szaro-białe światło dzienne, krew w jej żyłach śpiewała. Udało jej się. Dojdzie do spotkania. Kieran będzie zeznawał. Będą mieli szansę odzyskać Instytut, może nawet zniszczyć Kohortę.

Pomyślała o Emmie, Julianie i Czarnej Księdze. Tak wielki ciężar spoczywał na ludziach zbyt młodych, by zmuszać ich do jego dźwigania. Pamiętała ich dwoje, kiedy byli dziećmi: stali z mieczami w Sali Anioła, osłaniając młodszych Blackthornów, gotowi za nich zginąć.

Na skraju jej pola widzenia zabłysło przelotnie coś jasnego. Coś spadło

na ziemię pod jej nogi. Usłyszała trzepot nad sobą, poruszenie pośród ciężkich chmur. Diana schyliła się i szybko schowała mały pusty żołędź. Już wiedziała, od kogo to wiadomość.

Mimo to poczekała z czytaniem, aż znalazła się w połowie drogi do Alicante. Skoro przekazał jej wiadomość w środku dnia – nawet jeśli pod osłoną chmur – Gwyn musiał mieć coś ważnego do powiedzenia.

W środku żołędzia znajdował się małeńki skrawek papieru, na którym napisano:

Przyjdź do mnie natychmiast za mury miasta. To ważne. Małym Blackthornom grozi niebezpieczeństwo.

Diana odrzuciła żołędź i popędziła w dół wzgórza.

* * *

Deszcz zaczął padać, kiedy Julian i Emma w milczeniu wracali z kościoła w Porthallow. Julian najwyraźniej doskonale pamiętał drogę, nawet skrót przez cypel, który wyprowadził ich prosto do Warren.

W porcie i nad basenami pod Chapel Rock miłośnicy opalania się pośpiesznie zbierali swoje rzeczy, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Matki nerwowo ubierały niechętne maluchy w kostiumach kąpielowych, barwne ręczniki zwijano, składano plażowe parasole.

Emma pamiętała, że ojciec uwielbiał burze na plaży. Przypominała sobie, jak wyciągał ręce, gdy grzmot przewalał się nad Zatoką Santa Monica, i powiedział jej, że kiedy błyskawica uderza w plażę, to zamienia piasek w szkło.

Słyszała teraz ten ryk w uszach, głośniejszy od morza, kiedy ulewa zaczęła walić w skały po obu stronach portu. Głośniejszy od jej oddechu, kiedy oboje z Julesem pośpieszyli śliską od wody ścieżką do chaty i wskoczyli do środka, w tej samej chwili, w której niebo się otworzyło i lunęło jak z cebra.

Wszystko w domu wydawało się aż przerażające w swojej zwykłości. Czajnik stał cicho na kuchence. Filiżanki do herbaty i kubki do kawy, puste talerze rozstawione wokół dywanika przed kominkiem. Bluza Juliana na podłodze, gdzie zwinęła ją Emma, robiąc sobie z niej w nocy poduszkę.

– Emma? – Julian opierał się o kuchenną wyspę.

Krople wody obryzgały mu twarz. Włosy skręcały mu się jak zawsze pod wpływem wilgoci. Miał minę kogoś, kto szykuje się do czegoś nieprzyjemnego, przygotowuje się na jakąś okropną wiadomość.

– Od kościoła nie odezwałaś się ani słowem.

– Kochasz mnie. Nadal mnie kochasz.

Czegokolwiek się spodziewał, to najwyraźniej nie tego. Już zaczął rozpinać kurtkę, a teraz jego ręce zamarły w połowie ruchu. Widziała, jak porusza się jego gardło, gdy przełknął ślinę.

– Co ty wygadujesz? – zapytał.

– Myślałam, że już mnie nie kochasz – powiedziała. Zdjęła płaszcz i sięgnęła, żeby powiesić go na kołku przy drzwiach, ale ręce tak jej się trzęsły, że płaszcz spadł na ziemię. – Ale to nieprawda. Mam rację?

Słyszała, jak Julian nabiera powietrza w płuca, powoli i z determinacją.

– Dlaczego to mówisz? Dlaczego teraz?

– Z powodu kościoła. Z powodu tego, co się stało. Spaliliśmy kościół, Julianie. Stopiliśmy kamień.

Szarpnął suwakiem kurtki gwałtownie i ją zrzucił. Odbiła się od kuchennej szafki. Pod spodem miał koszulkę mokrą od potu i deszczu.

– A co to ma do rzeczy?

– Wszystko... – Urwała. Głos jej drżał. – Nie rozumiesz. Nie możesz.

– Masz rację. – Odszedł od niej, obrócił się pośrodku pokoju i nagle kopnął wściekle jeden z kubków stojących na podłodze. Naczynie przeleciało przez pokój i roztrzaskało się o ścianę. – Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego nagle zdecydowałaś, że mnie nie chcesz, że wolisz Marka, a potem, że jego też nie chcesz, i rzuciłaś go, jakby był niczym, na oczach wszystkich. Co ty sobie, do cholery, myślisz...

– A co cię to obchodzi? Co cię obchodzą moje uczucia do Marka?

– Potrzebowałam, żebyś go kochała. – Jego twarz przybrała kolor popiołów w kominku. – Bo skoro odrzuciłaś mnie i wszystko, co mieliśmy, to lepiej, żebyś to zrobiła w imię czegoś, co ma dla ciebie większe znaczenie, co jest prawdziwe. Ale może dla ciebie nic z tego nigdy nie było prawdą...

– Nie było dla mnie prawdą?!

Słowa wyrwały jej się z gardła z taką siłą, że aż zabolalo. Miała wrażenie, że elektryczne iskry płyną jej żyłami, porażają ją, wzniecają w niej coraz

większą wściekłość, a nie była nawet zła na Julesa, tylko na siebie i na świat. Za to, że zrobił im coś takiego, za to, że tylko ona wiedziała i była strażniczką trującego, potwornie trującego sekretu.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Julianie Blackthornie! Nie wiesz, z czego zrezygnowałam, czym się kierowałam, nie wiesz, co próbuję zrobić...

– A co próbujesz zrobić? Co powiesz o tym, co już zrobiłaś? Złamałaś serce mnie, złamałaś serce Cameronowi i złamałaś serce Markowi? – Julian wykrzywił twarz w paskudnym grymasie. – Co, zapomniałem o kimś jeszcze? O kimś, komu chcesz zniszczyć życie na zawsze?

– Twoje życie nie zostało zniszczone. Nadal żyjesz. Możesz wieść dobre życie! Pocałowałaś tę faerie...

– Ona była *leanansídhe*! Zmiennokształtna! Myślałem, że to ty!

– Aha... – Emma znieruchomiała w pół gestu. – Aha...

– Właśnie, aha! Naprawdę myślisz, że pokocham kogoś innego? Myślisz, że byłbym do tego zdolny? Nie jestem tobą, nie zakochuję się co tydzień w kimś nowym. Wolałbym, żebyś to nie była ty, ale tak jest, to zawsze byłaś ty, więc nie mów mi, że moje życie nie zostało zniszczone, skoro nie masz o niczym pojęcia!

Emma uderzyła ręką w ścianę. Tynk popękał w miejscu uderzenia. Poczuła ból jak przez mgłę. Kłębiąca się fala czarnej rozpaczyny narastała, grożąc, że ją zaleje.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała. – Co chcesz, żebyś zrobiła?!

Julian zrobił krok naprzód. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z marmuru albo czegoś nawet twardszego, bardziej nieugiętego.

– Czego chcę? Chcę, żebyś wiedziała, jak to jest przeżywać tortury przez cały czas, we dnie i nocą, rozpaczliwie pragnąc czegoś, o czym wiesz, że nie powinnaś tego chcieć; czegoś, co nawet nie odwzajemnia twoich uczuć. Żebyś wiedziała, jak to jest czuć, że decyzja, którą podjęłaś, mając dwanaście lat, oznacza, że nigdy nie będziesz miała tej jednej, jedynej rzeczy, która naprawdę cię uszczęśliwia. Chcę, żebyś marzyła o jednym i tylko jednym, i chciała tylko jednego, i żebyś miała obsesję na punkcie tej jednej rzeczy, tak jak...

– Julianie... – nabrała powietrza, rozpaczliwie pragnąc go powstrzymać, zatrzymać to wszystko, zanim będzie za późno.

– ...ja na twoim punkcie! – skończył, z zaciętością wyrzucając z siebie

słowa. – Tak jak ja na twoim punkcie. – Cały gniew z niego uszedł. Teraz Julian drżał, jakby w szoku. – Myślałem, że mnie kochasz – powiedział niemal szeptem. – Nie wiem, jak mogłem się tak pomylić.

Serce jej pękło. Odwróciła się, uciekła od wyrazu jego oczu, od jego głosu, od walących się jej wszystkich precyzyjnych planów. Pchnęła drzwi i usłyszała, jak Julian ją woła, ale ona już wybiegła z chaty wprost w burzę.

Serca bolejące

Grań Chapel Cliff była wieżą pośród wiru – śliska skała wnosząca się ku niebu, otoczona z trzech stron przez gotującą się kipiela morza.

Niebo w górze było szare, poznaczone czernią, wisiało ciężko jak skała nad miasteczkiem i morzem. Poziom wody w porcie był wysoki, uniósł kutry na wysokość okien domów. Małe łodzie szarpały się na grzbietach fal.

Fale uderzały też w urwisko, piana rozbryzgiwała się i buchała w powietrze. Emma stała pośród wiru wody, otaczał ją zapach morza, niebo eksplodowało nad nią, błyskawice rozdzierały chmury.

Rozłożyła szeroko ręce. Miała wrażenie, że błyskawice uderzają poprzez nią w skałę pod jej stopami i w wodę, która waliła szarozielonym płachtami niemal pionowymi na tle nieba. Wokół niej granitowe iglice Chapel Cliff, od których wzięła się nazwa urwiska, wznosiły się niczym kamienny las, jak szpice korony. Skała pod nią była śliska od mokrego mchu.

Przez całe życie uwielbiała burze, uwielbiała eksplozje rozdzierające niebo, uwielbiała ich obnażającą duszę dzikość. Nie myślała, kiedy wybiegała z chaty, w każdym razie na pewno nie myślała logicznie. Rozpaczliwie chciała uciec, zanim powie Julianowi wszystko, czego nigdy nie mógł się dowiedzieć. Niech myśli, że ona go nie kocha, że złamała serce Markowi, że niczego nie czuje. Niech jej nienawidzi, skoro to znaczyło, że może żyć i nic mu nie będzie.

Może burza mogła ją oczyścić, obmyć jej ręce z tego, co odbierała jako krew z ich serc.

Zeszła kawałek z urwiska. Skała była coraz bardziej śliska, więc zatrzymała się, żeby nałożyć nowy run Równowagi. Stela ślizgała się po mokrej skórze. Z niższego poziomu widziała jaskinie i baseny pływowe napełnione wzburzoną, białą wodą. Błyskawica zapłonęła na horyzoncie.

Emma uniosła twarz, żeby posmakować soli w deszczu, i usłyszała odległy dźwięk rogu.

Obróciła raptownie głowę. Słyszała już kiedyś taki dźwięk – kiedy poseł Dzikiego Polowania zjawił się w Instytucie. To nie był ludzki róg myśliwski. Rozbrzmiał znowu, głęboki, zimny i samotny. Emma poderwała się i zaczęła wspinać z powrotem ścieżką na szczyt klifu.

Widziała chmury jak ogromne szare głązy zderzające się z niebem; tam, gdzie się rozdzielały, słabe, złociste snopy światła oświetlały burzącą się powierzchnię morza. Czy te czarne plamy nad portem to... ptaki? Nie, były zdecydowanie za duże jak na morskie ptaki, zresztą żadne ptaki nie latałyby w taką pogodę.

Czarne plamy leciały w jej stronę. Teraz znajdowały się już bliżej i nie wyglądały jak plamy. Już widziała, co to jest: jeźdźcy. Czterech jeźdźców odzianych w lśniący brąz. Mknęli przez niebo jak komety.

Nie należeli do Dzikiego Polowania. Emma natychmiast się zorientowała, chociaż nie wiedziała, skąd to wie. Było ich za mało i poruszali się zbyt cicho. Dzikie Polowanie mknęło z potwornym jazgotem. Jeźdźcy z brązu sunęli ku Emmie w ciszy, jakby byli stworzeni z chmur.

Pomyślała, że mogłaby pobiec do chaty, ale wtedy ściągnęłyby ich na kark Julianowi, a poza tym mogli odciąć jej drogę. Poruszali się z nieprawdopodobną szybkością. W ciągu kilku sekund znajdą się na szczycie urwiska.

Prawą rękę zamknęła na rękojeści Cortany. Wyciągnęła ją prawie nieświadomie. Ciężar broni w ręku umocnił ją, uspokoił bicie serca.

Krążyli nad nią w powietrzu. Przez chwilę Emma była poruszona ich niezwykłą urodą – z bliska konie były ledwie realne, przezroczyste jak szkło, zbudowane ze smuzek chmur i wilgoci. Zawirowały w powietrzu i opadły jak mewy na żer. Kiedy kopyta uderzyły o ziemię, konie wybuchły pianą morską i zniknęły w tym rozbryzgu, zostawiając tylko czterech jeźdźców.

Którzy stali między Emmą a ścieżką. Odcięli ją od lądu, zostawili jej tylko morze i skraweczek klifu za plecami.

Ustawili się przed nią. Emma stanęła w gotowości. Sam czubek grani był tak wąski, że jej buty znalazły się po jego dwóch stronach. Uniosła Cortanę. Rozbłysła w świetle burzy, deszcz spływał po klindze.

– Kim jesteście?! – zawołała.

Cztery postacie poruszyły się jak jeden mąż, odrzuciły kaptury brązowych peleryn. Pod nimi kryło się więcej blasku. To byli trzej mężczyźni i kobieta. Wszyscy nosili częściowe maski z brązu, a ich włosy wyglądały jak metalowe nici zaplecione w grube warkocze opadające do połowy pleców.

Nosili metalowe zbroje – napierśniki i rękawice, na których wyryto wzory fal. Wbili w Emmę przeszywające spojrzenia szarych oczu.

– Emma Cordelia Carstairs – odezwał się jeden z mężczyzn. Wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby mówił w obcym języku, a jego wargi z trudem je artykułowały. – Co za miłe spotkanie.

– Tylko twoim zdaniem – mruknęła Emma. Ścisnęła mocno Cortanę. Wszystkie cztery faerie (bo wiedziała, że ma przed sobą faerie) były uzbrojone w dwuręczne miecze, których rękojeści wystawały im sponad ramion. Głośniej dodała: – Czego chce ode mnie poselstwo z Dworów Faerie?

Nieznajomy uniósł brew.

– Powiedz jej, Fal – odezwał się jeden z pozostałych.

Mówił z takim samym dziwnym akcentem. Coś w ich wymowie sprawiało, że Emma dostała gęsiej skórki na rękach, chociaż nie umiałyby powiedzieć, co takiego.

– Jesteśmy Jeźdźcami Mannana – powiedział Fal. – Na pewno o nas słyszałaś.

To nie było pytanie. Emma ogromnie żałowała, że nie ma przy niej Cristiny. To ona miała rozległą wiedzę na temat kultury faerie. Jeśli słowa „Jeźdźcy Mannana” miały coś znaczyć dla Nocnych Łowców, to Cristina by o tym wiedziała.

– Należycie do Dzikiego Polowania?

Konsternacja. Basowy pomruk zawibrował wśród czwórki jeźdźców. Fal odchylił się i splunął. Faerie z ostro zarysowaną szczęką, na którego twarzy malowała się pogarda, odpowiedział za niego:

– Jam jest Airmed, syn Mannana. Jesteśmy dziećmi boga, rozumiesz? Jesteśmy znacznie starsi od Dzikiego Polowania i znacznie potężniejsi.

Emma zdała sobie sprawę, że to właśnie wychwyciła w ich akcencie. Nie odległość czy obcość, ale wiek, straszliwy wiek, który sięgał do początków świata.

– Szukamy – przejął inicjatywę Fal – i znajdujemy. Jesteśmy tropicielami. Szukaliśmy pod falami i ponad nimi. Byliśmy w Faerie i królestwach

przeklętych, na polach bitewnych, w ciemności nocy i w jasności dnia. W naszym życiu istniała tylko jedna rzecz, której szukaliśmy i nie znaleźliśmy.

– Poczucie humoru?

– Powinna się przymknąć – odezwała się kobieta. – A ty powinienes jej w tym pomóc, Fal.

– Jeszcze nie, Ethno. Potrzebujemy jej słów. Musimy dowiedzieć się, gdzie znajduje się to, czego szukamy.

Zaciśnięta na rękojęści Cortany dłoń Emmy stała się śliska od potu.

– A czego szukacie?

– Czarnej Księgi – odpowiedział Airmed. – Szukamy tego samego przedmiotu co ty i twój *parabatai*. Woluminu, który zabrała Annabel Blackthorn.

Emma cofnęła się odruchowo.

– Szukacie Annabel?

– Szukamy Księgi – poprawił ją surowym, basowym głosem czwarty jeździec. – Powiedz, gdzie jest, a zostawimy cię w spokoju.

– Ja jej nie mam. Ani Julian.

– Kłamie, Delanie – powiedziała Ethna.

Delan wykrzywił usta.

– Wszyscy są kłamcami, ci Nefilim. Nie traktuj nas jak głupców, Nocna Łowczyni, bo rozwiesimy twoje wnętrzności na najbliższym drzewie.

– Spróbuj. Wbiję ci to drzewo w gardło, aż gałęzie wyjdą ci...

– Uszami?

To był Julian. Musiał nałożyć run Bezszelестności, bo Emma nie usłyszała, kiedy podszedł. Przysiadł na mokrym gładzie przy ścieżce prowadzącej do chaty, jakby po prostu się tam zmaterializował przyzwany przez deszcz i chmury. Włożył strój bojowy, miał mokre włosy i nieaktywny seraficki nóż w ręce.

– Na pewno zamierzałaś powiedzieć „uszami”.

– Zdecydowanie.

Emma uśmiechnęła się do niego szeroko. Nie mogła się powstrzymać. Mimo kłótni przybył, ubezpieczał ją, był jej *parabatai*. Teraz wzięli Jeźdźców między siebie jak w kleszcze.

Sytuacja się poprawiła.

– Julian Blackthorn – rzucił przeciągle Fal, prawie na niego nie patrząc. – Słynny *parabatai*. Słyszałem, że wy dwoje urządziliście niezły pokaz na Ciemnym Dworze.

– Na pewno król nie mógł przestać nas wychwalać – odparł Julian. – Słuchaj, dlaczego myślisz, że wiemy, gdzie jest Annabel albo Czarna Księga?

– Szpiedzy są na wszystkich Dworach – odpowiedziała Ethna. – Wiemy, że królowa wysłała was, żebyście odnaleźli Księgę. A król musi ją zdobyć przed królową.

– Ale my obiecaliśmy Księgę królowej, a takiej obietnicy nie można złamać.

Delan warknął, a jego dłoń nagle znalazła się na rękojeści miecza. Poruszał się tak szybko, że rozmazywał się w ruchu w barwną smugę.

– Jesteście ludźmi i kłamcami – powiedział. – Możecie złamać dane słowo i złamiecie, kiedy wasze życie będzie zagrożone. A właśnie jest. – Ruchem podbródka wskazał chatę. – Przyszliśmy po książki i dokumenty czarownika. Skoro nic nam nie powiecie, oddajcie je nam, a odejdziemy.

– Mamy wam je oddać? – Julian się zdumiał. – Dlaczego po prostu nie...

Napotkał spojrzenie Emmy. Wiedziała, co sobie myśli Jules: Dlaczego po prostu nie włamią się tam i nie wezmą ich sobie?

– Nie możecie tam wejść, co? – domyślił się.

– Zaklęcia ochronne – potwierdziła Emma.

Faerie nic nie odpowiedziały, ale widok ich gniewnie zaciśniętych warg potwierdził jej podejrzenia.

– Co król Ciemnego Dworu da nam w zamian za Czarną Księgę? – zapytał Julian.

– Jules! – syknęła Emma.

Jak on mógł coś knuć w takiej chwili?

Fal się roześmiał. Emma po raz pierwszy zauważyła, że ubrania i zbroje faerie są suche, jakby deszcz na nich nie padał. Zerknął na Juliana z pogardą.

– Nie masz tu żadnej przewagi, synu cierni. Daj nam to, po co przyszliśmy, albo kiedy znajdziemy resztę twojej rodziny, wbijemy wszystkim rozżarzone do czerwoności pogrzebaczki w oczy, nawet najmniejszemu dziecku.

Tavvy. Te słowa przeszyły Emmę jak strzała. Poczowała ich uderzenia, całe jej ciało szarpnęło się i zalało ją absolutne zimno, lodowaty chłód walki.

Rzuciła się na Fała, tnąc okrutnie Cortaną.

Ethna krzyknęła. Fał poruszał się szybciej niż oceaniczny prąd i uskoczył przed ciosem Emmy. Cortana ze świstem przecięła powietrze. Rozległ się szcęk metalu, gdy pozostali jeźdźcy dobyli mieczy.

Kiedy zapłonął seraficki nóż Juliana, jego blask rozświetlił deszcz. Julian krążył wokół Emmy, rysując świetliste sznury, gdy ona wirowała, zbijając ciosy Ethny. Cortana uderzyła w miecz faerie z taką siłą, że Ethna zatoczyła się do tyłu.

Fał wykrzywił twarz w grymasie zaskoczenia. Przemoczona Emma zadyszała się. Wdychała deszcz, ale nie czuła zimna. Świat stał się szarym, wirującym bąkiem. Podbiegła do jednej ze skalnych iglic i wspięła się na nią.

– Tchórz! – krzyknął Airmed. – Jak śmiesz uciekać?

Emma usłyszała śmiech Juliana, kiedy dotarła na szczyt iglicy i z niej skoczyła. Zyskała dzięki temu niesamowitą szybkość i uderzyła w Airmeda z taką siłą, że obaliła go na ziemię. Próbował się jeszcze odturlać, ale zmarł, kiedy uderzyła go rękojeścią Cortany w skroń. Zakrztusił się z bólu.

– Zamknij się! – syknęła Emma. – Nie waż się tknąć Blackthornów, nie waż się nawet o nich mówić...

– Zostaw go! – zawołała Etna.

Delan skoczył ku nim, ale zatrzymał się, kiedy Julian zamachnął się serafickim nożem. Urwisko wybuchnęło światłem, a deszcz jakby zawisł nieruchomo w powietrzu, kiedy ostrze uderzyło o napierśnik faerie.

I roztrzaskało się. Pękło, jakby było z lodu, a siła tego zderzenia cisnęła Julianem wstecz, oderwała go od ziemi i uderzyła nim o skały i mokrą ziemię.

Delan się roześmiał i ruszył w jego stronę. Emma porzuciła Airmeda i skoczyła za Delanem, kiedy ten wziął zamach mieczem...

Julian przeturlał się błyskawicznie w prawo i pchnął sztyletem w nieosłoniętą łydkę Delana. Wojownik wrzasnął z bólu i gniewu, obrócił się, żeby wbić czubek miecza w ciało Juliana. Jednak Jules poderwał się już z ziemi i stał przed nim ze sztyletem w ręce.

Nagle snop światła przedarł się spomiędzy chmur i cienie na ziemi przed Emmą przesunęły się: ktoś stał za jej plecami. Odskoczyła – i w tej samej chwili ostrze opadło, o mały włos nie trafiwszy jej w ramię. Obróciła się i zobaczyła za sobą Ethnę. Fał pochylał się nad Airmedem i pomagał

mu wstać. Przez chwilę były tylko Emma i Ethna. Emma chwyciła Cortanę w obie ręce i wzięła zamach.

Ethna odskoczyła ze śmiechem.

– Wy, Nefilim – zaszydziła – nazywacie siebie wojownikami, wymalowani tymi swoimi runami ochronnymi, z tymi swoimi anielskimi ostrzami! Bez nich bylibyście niczym i wkrótce zostaniecie bez nich! Będziecie niczym, odbierzemy wam wszystko. Wszystko, co macie! Wszystko!

– Mogłabyś to powtórzyć? – poprosiła Emma, wykręcając się w miejscu i unikając ciosu Ethny. Wskoczyła na głaz i spojrzała na nią z góry. – Tę część o tym, jak nam wszystko odbierzecie. Bo chyba nie załapałam za pierwszym razem.

Ethna warknęła i skoczyła ku niej. Przez kilka długich chwil istniała tylko walka, jarząca się mgiełka deszczu i morze grzmiące pod urwiskiem w dole. Wszystko zwolniło, kiedy Emma odepchnęła Ethnę w bok i skoczyła do Airmeda i Fala. Ich miecze zderzyły się z brzękiem.

Byli dobrzy. Więcej niż dobrzy – byli szybcy i oślepiająco silni. Tyle że Cortana była jak żywe stworzenie w dłoniach Emmy. Furia ją napędzała, elektryczność płynęła jej żyłami i poruszała mieczem w jej dłoni, gdy Emma uderzała klingą w tych, którzy stanęli przeciwko niej. Szczęk metalu zagłuszył huk morza. Czują smak soli w ustach, nie wiedziała tylko, czy od krwi, czy od morskiej mgielki. Jej mokre włosy chłostały powietrze, gdy kręciła kolejne piruety. Cortana napotykała miecze faerie raz po raz, oddawała cios za cios.

Paskudny śmiech przeciął ten pełen przemocy sen, któremu dała się ponieść. Spojrzała i zobaczyła, że Fal zmusił Juliana do wycofania się na krawędź urwiska. Opadało za jego plecami pionową ścianą. Stał na tle szarego nieba. Włosy przykleiły mu się ciemną plamą do głowy.

Ogarnęła ją panika. Odepchnęła się od granitowej ściany i wymierzyła Airmedowi kopniaka. Faerie padł na ziemię, a ona pobiegła przed siebie. Oczami wyobraźni widziała Juliana przebitego mieczem albo spadającego z urwiska, roztrzaskującego się na skałach w dole albo tonącego w kipieli.

Fal nadal się śmiał. Trzymał miecz w wyciągniętej ręce. Julian cofnął się jeszcze jeden krok... i szybko i zręcznie schylił się po kuszę ukrytą za skałami. Uniósł ją do ramienia w tej samej chwili, w której Emma zderzyła się z Falem. Wyciągnęła miecz przed siebie. Nie zwolniła, nie

zawahała się, po prostu wbiła Cortanę prosto między łopatki Fala.

Klinga przebiła zbroję i ciało. Emma poczuła, że czubek ostrza wyszedł z drugiej strony, po tym, jak przeszył także napierśnik.

Za jej plecami rozległ się wrzask. To krzyczała Ethna. Zadarła głowę, garściami szarpała się za włosy i zawodziła w języku, którego Emma nie знаła, ale słyszała, jak powtarza imię brata: „Fal, Fal”.

Ethna zaczęła osuwać się na kolana. Delan sięgnął, żeby ją złapać. Sam miał twarz bladą i wstrząśniętą. Airmed z rykiem uniósł miecz i rzucił się na Emmę, która próbowała wyrwać Cortanę z bezwładnego ciała Fala. Napięła mięśnie i pociągnęła. Miecz wyszedł, trysnęła fontanna krwi, ale ona nie zdążyła już się obrócić...

Julian strzelił z kuszy. Bełt przeciął powietrze ze świstem cichszym od szumu deszczu i uderzył w miecz, wytrącając go z ręki Airmeda. Faerie zawył. Jego dłoń zalała się szkarłatem.

Emma odwróciła się, stanęła pewnie na nogach i uniosła miecz do ciosu. Krew i deszcz spływały po klindze Cortany.

– Kto chce spróbować ze mną?! – krzyknęła, a wiatr i woda prawie wyrwały jej słowa z ust. – Kto chce być następnym?

– Daj mi ją zabić! – Ethna szarpała się przytrzymywana przez Delana. – Zabiła Fala! Daj mi poderżnąć jej gardło!

Delan jednak kręcił głową, coś mówił. Coś o Cortanie. Emma zrobiła krok naprzód. Jeśli oni nie przyjdą do niej, to z radością sama po nich pójdzie.

Airmed uniósł rękę. Dostrzegła migotanie światła na czubkach jego palców, bladozielone w szarym powietrzu. Jego twarz wykrzywiła się w skupieniu.

– Emma!

Jules złapał ją od tyłu, zanim zdążyła zrobić następny krok, i odciągnął, gdy deszcz eksplodował kształtem trzech koni, stworzeń ulepionych z kłębiącego się wiatru i deszczu, parszających i wierzgających w powietrzu między Emmą i Jeźdźcami. Fal leżał we krwi, która wsiąkała w kornwalijską ziemię, jego rodzeństwo zaś wskoczyło na grzbiety wierzchowców.

Emma zaczęła straszliwie się trząść. Tylko jeden Jeździec zatrzymał się na dość długo, żeby na nią spojrzeć, zanim ich konie wystrzeliły w niebo, ginąc wśród chmur i deszczu. To była Ethna. Jej spojrzenie było mordercze i niedowierzające.

„Zabiłaś odwieczną i pierwotną istotę”, mówiły jej oczy. „Bądź gotowa na równie odwieczną zemstę. I równie pierwotną”.

* * *

– W nogi! – krzyknęła Livvy.

To była ostatnia rzecz, jakiej Kit się spodziewał. Nocni Łowcy nie uciekali. Tak zawsze mu powtarzano. Jednakże Livvy czmychnęła po ścieżce z prędkością kuli wystrzelonej z pistoletu, śmignęła obok Jeźdźców, a w ślad za nią pobiegł Ty.

Kit popędził za nimi. Przebiegli obok faerie i wpadli w tłum przechodniów na szlaku nad Tamizą. Kit zrównał się z Livvy i Ty’em, tyle że on już ciężko dyszał, a oni nie.

Słyszał grzmot za sobą. Huk kopyt. Nie mamy szans im uciec, pomyślał, ale nie miał dość powietrza w płucach, żeby to powiedzieć. Ołowianoszare powietrze wydawało się ciężkie, kiedy je wciągał do płuc. Ciemne włosy Livvy uniosły się na wietrze, kiedy wskoczyła na bramkę w ogrodzeniu oddzielającym ścieżkę od rzeki.

Przez chwilę – z uniesionymi rękami i łopoczącym płaszczem – wyglądała jak zawieszona w powietrzu, a potem poleciała prosto w dół i zniknęła im z oczu. Ty poszedł w jej ślady, przeskakując bokiem nad bramką, i zniknął.

Skaczemy do rzeki? – pomyślał niezbyt przytomnie Kit, ale się nie zatrzymał. W jego mięśniach pojawiło się już znajome pieczenie, umysł się skupił. Złapał się furtki, odepchnął się i przeskoczył.

Opadł tylko kilka stóp w dół i wylądował w kucki na schodzącej do rzeki betonowej platformie, którą otaczało żelazne ogrodzenie, zniszczone i w wielu miejscach dziurawe. Ty i Livvy już tam stali. Zdejmowali pośpiesznie nakrycia wierzchnie, w dłoniach trzymali serafickie noże. Livvy rzuciła miecz Kitowi, kiedy ten się wyprostował i zrozumiał, dlaczego uciekała – nie, żeby się wymknąć, ale żeby znaleźć otwartą przestrzeń do walki.

Oraz, być może, skontaktować się z Instytutem. Ty trzymał w ręce telefon i kciukiem wybierał numer, jednocześnie unosząc serafickie ostrze, które rozbłysło słabo na tle chmur.

Kit obrócił się akurat wtedy, gdy trzej jeźdźcy przeskoczyli nad furtką i wylądowali na platformie, rozbłyskując brązem i złotem. Z oślepiającą

szybkością dobyli mieczy.

– Powstrzymać go! – warknął Karn i dwaj jego bracia rzucili się na Ty’a.

Livvy i Kit ruszyli jednocześnie, osłaniając Tiberiusa. Kita ogarnął chłodny spokój walki, ale jeźdźcy byli szybsi i silniejsi od demonów. Zaatakował Eochaida, ale jego już tam nie było – przeskoczył na drugi koniec platformy i roześmiał się na widok miny Kita. Etarlam zaatakował, wybijając telefon z ręki Ty’a. Aparat przeleciał po betonie i wpadł do wody.

Cień padł na Kita. Natychmiast zareagował, uderzając w górę mieczem. Usłyszał stłumiony okrzyk i Karn się cofnął. Ciemne krople krwi zbryzgały ziemię u jego stóp. Kit rzucił się w górę i do przodu, żeby zaatakować Eochaida, ale Livvy i Ty już go uprzedzili. Światło zamieniło się w rozmazane plamy, gdy ich serafickie noże przecinały powietrze wokół Jeźdźców.

Niestety tylko powietrze. Kit zauważył, że anielskie ostrza nie są w stanie przeciąć zbroi Jeźdźców ani nawet ich skóry, co udało się jego mieczowi. Na twarzy Ty’a malowało się zdumienie, a na twarzy Livvy wściekłość, kiedy seraficką klingą dźgnęła Eochaida prosto w serce.

Broń pękła przy rękojęści, a Livvy pod wpływem impetu uderzenia zatoczyła się i omal nie wpadła do rzeki. Ty obrócił się gwałtownie, żeby na nią spojrzeć, a Eochaid uniósł miecz i ciął po łuku, mierząc w Ty’a. Kit rzucił się przez całą platformę, dopadł Tiberiusa i obalił go na ziemię.

Nóż Ty’a wpadł z pluskiem do Tamizy, z której buchnęła fontanna ognistych kropelek. Kit wylądował na Ty’u i przywalił głową w wystający kawałek drewna. Poczuł, że Ty próbuje go zepchnąć, więc przeturlał się i zobaczył, że Eochaid stoi nad nimi.

Livvy walczyła rozpaczliwie z dwoma Jeźdźcami, widać było tylko błysk broni. Znajdowała się jednak na drugim końcu platformy. Kit próbował wyrównać oddech, uniósł miecz...

Eochaid stał jak zaczarowany. Oczy błyszcząły mu w otworach maski. Tęczówki też miał w kolorze brązu.

– Znam cię – powiedział. – Znam twoją twarz.

Kit zagapił się na niego. Sekundę później Eochaid uniósł miecz i wykrzywił usta w uśmiechu, ale wtedy padł na nich cień. Jeździec podniósł wzrok. Zdumienie odmalowało się na jego twarzy, kiedy krzepka ręka sięgnęła z góry i go pochwyciła. Sekundę później z wrzaskiem wzleciał w powietrze. Kit usłyszał plusk. Jeździec wrzucono do rzeki.

Kit z trudem usiadł. Obok niego siedział Ty. Livvy odwróciła się do nich z rozdziawionymi ustami. Obaj Jeźdźcy mieli podobne miny, opuścili bezwładnie miecze, kiedy kłębiąca się masa z łoskotem wylądowała pośrodku platformy.

To był koń, a na jego grzbiecie siedział Gwyn, potężny w hełmie i zbroi przypominającej korę drzewa. To jego dłoń w rękawicy cisnęła Eochaida do rzeki. Teraz jednak Jeździec dopłynął do platformy i wspinał się już na nią, nieco tylko spowolniony przez ciężki pancerz.

Obejmująca Gwyna w pasie Diana wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem. Masa jej ciemnych loków wyrwała się z upięcia.

Ty się podniósł. Kit również. Krew splamiła kaptur Ty'a. Kit zdał sobie sprawę, że nie wie, czy to krew Ty'a, czy jego własna.

– Jeźdźcy! – powiedział Gwyn głosem jak grzmot. Miał szerokie rozcięcie na ręce, gdzie musiał go trafić Eochaid. – Przestańcie.

Diana zsunęła się z końskiego grzbietu i podeszła do miejsca, gdzie Eochaid gramolił się z rzeki. Wyjęła miecz z pochwy, zakręciła nim młynka i przyłożyła czubek do jego piersi.

– Nie ruszaj się – powiedziała.

Jeździec zatrzymał się, odsłaniając zęby we wściekłym grymasie.

– To nie twoja sprawa, Gwyn – powiedział Karn. – To sprawa Ciemnego Dworu.

– Dzikie Polowanie nie przestrzega żadnych praw – powiedział Gwyn. – Nasza wola to wola wiatru. A moją wolą jest odpędzić was od tych dzieci. Są pod moją ochroną.

– To Nefilim – warknął Etarlam. – To architekci okrutnego i bezwzględного Zimnego Pokoju.

– Wy nie jesteście lepsi – odrzekł Gwyn. – Jesteście sforą psów myśliwskich króla i nigdy nie okazujecie łaski.

Karn i Etarlam spojrzeli na Gwyna. Klęczący Eochaid ociekał wodą, która skapywała na platformę. Chwila przeciągała się nieznośnie, wydawało się, że w nieskończoność.

Eochaid poderwał się nagle na równe nogi, łapiąc gwałtownie powietrze i nie zważając na miecz Diany, który poruszył się w ślad za nim.

– Fal! – krzyknął. – On nie żyje!

– To niemożliwe – powiedział Karn. – Niemożliwe. Jeździec nie może

umrzeć.

Jednakże Etarlam wydał z siebie głośny lament, upuścił miecz na ziemię i chwycił się za serce.

– Przepadł – zawodził. – Poczułem to. Nasz brat zginął.

– Jeździec przeszedł do Krainy Cieni – potwierdził Gwyn. – Chcesz, żebym zagrał dla niego na rogu?

Chociaż zdaniem Kita propozycja Gwyna była szczerą, Eochaid warknął i chciał się rzucić na niego, ale miecz Diany musnął mu szyję i połała się krew. Gęste, ciemne krople spłynęły po kłindze.

– Dość! – zawołał Karn. – Gwynie, zapłacisz za swoją zdradę. Etar, Eochaid, do mnie. Pojedziemy do naszych braci i siostry.

Diana opuściła miecz, kiedy Eochaid minął ją i podszedł do pozostałych dwóch Jeźdźców. Skoczyli w powietrze potężnymi susami, które poniosły ich wysoko, gdzie złapali się grzyw swoich połyskujących wierzchowców z brązu i ruszyli z kopyta.

Kiedy mknęli nad wodą, głos Eochaida rozbrzmiewał echem w uszach Kita:

– Znam cię. Znam twoją twarz.

* * *

Emma trzęsa się, kiedy doszli do chaty – takie były skutki zimna i ostatnich wydarzeń. Włosy i ubranie lepiły się do niej i podejrzewała, że wygląda jak podtopiony szczur.

Oparła Cortanę o ścianę i zaczęła ze znużeniem zrzucać z siebie przemoczoną kurtkę i buty. Wiedziała, że Julian zamyka za nimi drzwi, słyszała, jak porusza się po pokoju. I czuła ciepło. Musiał rozpalić wcześniej ogień.

Chwilę potem coś miękkiego wepchnięto jej do rąk. Julian stał przed nią z nieodgadnioną twarzą i podawał jej podniszczony ręcznik kąpielowy. Wzięła go i zaczęła suszyć włosy.

Jules nadal miał na sobie mokre ubranie, ale był boso i narzucił suchy sweter. Woda lśniła na koniuszkach jego włosów i rzęs.

Emma pomyślała o brzęku broni, o pięknie zawieruchy, która obejmowała walkę, morze i niebo. Zastanawiała się, czy tak właśnie czuł się Mark

w Dzikim Polowaniu. Kiedy nic cię nie oddziela od żywołów, łatwo zapomnieć o tym, co ci ciąży.

Pomyślała o krwi na Cortanie, krwi wypływającej wstążką spod ciała Fala i mieszającej się z deszczówką. Przeturlali jego ciało pod nawis skalny, nie chcąc go zostawiać na deszczu, chociaż jemu już było wszystko jedno.

– Zabiłam jednego z Jeźdźców – powiedziała niemal szeptem.

– Musiałaś. – Ręka Juliana była silna na jej ramieniu, palce wbijały się w ciało. – Emmo, to była walka na śmierć i życie.

– Clave...

– Clave zrozumie.

– Ale nie faerie. Nie król Ciemnego Dworu.

Blady cień uśmiechu przemknął po twarzy Juliana.

– I tak za nami nie przepada.

Emma zaczerpnęła z drzeniem tchu.

– Fal przyparł cię do krawędzi urwiska. Myślałam, że cię zabije.

Uśmiech Juliana zgasł.

– Przepraszam. Ukryłem kuszę wcześniej...

– Nie wiedziałam. Moim zadaniem jest wyczuwać, co dzieje się z tobą w walce, rozumieć, przewidywać twoje ruchy, ale nie wiedziałam.

Odrzuciła ręcznik. Wylądował na podłodze w kuchni. Kubek, który Julian wcześniej stłukł, zniknął. Julian musiał posprzątać.

Narastała w niej rozpacz. Jej usiłowania nic nie przyniosły. Znajdowali się dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej, tyle że Julian tego nie wiedział. Tylko to się zmieniło.

– Tak bardzo się starałam – szepnęła.

Julian się skrzywił. Nie rozumiał.

– Podczas walki? Emmo, zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy...

– Nie w walce. Żebyś mnie nie kochał. Starałam się.

Poczuła, jak się wzdrygnął, bardziej wewnętrznie niż widocznie, jakby to jego dusza się wzdrygnęła.

– Czy to takie okropne? Że cię Kocham?

Znowu zaczęła się trząść, ale nie z zimna.

– To była najwspanialsza rzecz na świecie, a potem najgorsza. Nie miałam nawet szansy...

Urwała w pół zdania. Julian kręcił głową, pryskając kropelkami wody

na wszystkie strony.

– Będziesz musiała nauczyć się z tym żyć. Nawet jeśli to cię przeraża. Nawet jeśli cię to przyprawia o mdłości. Tak jak ja będę musiał znieść twoich chłopaków, ponieważ my zawsze będziemy istnieć, bez względu na to, jak chcesz to nazwać. Zawsze będziemy nami.

– Nie będzie żadnych więcej chłopaków.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– To co powiedziałeś wcześniej o myśleniu, obsesji i pragnieniu tylko jednego – powiedziała. – To samo czuję do ciebie.

Stał jak ogłuszony. Ujęła delikatnie w dłonie jego twarz, muskając palcami wilgotną skórę. Widziała puls na jego szyi. Miał zadrapanie na twarzy, długie rozcięcie od skroni do podbródka. Zastanawiała się, czy otrzymał je podczas walki, czy miał jej już wcześniej, tylko ona tego nie zauważyła, bo tak bardzo starała się na niego nie patrzeć. Zastanawiała się, czy Julian odezwie się jeszcze kiedyś do niej.

– Jules. Powiedz coś, proszę...

Zacisnął konwulsyjnie ręce na jej ramionach. Zaparło jej dech w piersi, gdy uderzył w nią całym ciałem i popchnął do tyłu, aż uderzyła o ścianę. Wpatrywał się w jej oczy. Jego własne były wstrząsająco błyszczące, promienne jak morskie szkło.

– Julian – powiedział. – Chcę, żebyś mówiła do mnie Julian. I tylko tak.

– Julian – powiedziała, a wtedy jego usta spoczęły na jej wargach, suche i gorące.

Serce znowu zamarło jej na moment... i znowu ruszyło, jakby uruchomiono silnik i wrzucono niemożliwie wysoki bieg.

Chwyliła się jego pleców z tą samą desperacją, przywarła do niego, kiedy on spijał deszcz z jej ust. Rozchyliła wargi, żeby poczuć jego smak – smak goździków i herbaty. Zerwała mu sweter przez głowę. Pod spodem nosił T-shirt, a cieniutki, mokry materiał nie stanowił szczególnej przeszkody, kiedy Julian dociskał ją do ściany. Dżinsy też miał mokre, przyklejone do ciała. Czowała teraz, jak bardzo jej pragnie, i pragnęła go równie mocno.

Świat przepadł. Był tylko Julian. Żar jego skóry, pragnienie, żeby być bliżej niego, przywrzeć do niego. Każdy jego ruch rozpałał błyskawice, które przebiegały po jej nerwach.

– Emmo, o Boże, Emmo. – Wtulił w nią twarz, całując jej policzek, gardło,

wsunął kciuki pod pas jej džinsów i szarpnął w dół. Kopniakiem odrzuciła mokre spodnie. – Tak bardzo cię kocham.

Wydawało się, że minęło tysiąc lat od tamtej nocy na plaży. Jej dłonie ponownie odkrywały jego ciało, twarde powierzchnie, szorstkie w dotyku blizny. Kiedyś był strasznie chudy; nadal widziała go takim, jakim był dwa lata temu – niezgrabny i tykowaty. Kochała go już wtedy, nawet jeśli tego nie wiedziała. Kochała go od szpiku jego kości po powierzchnię skóry.

Teraz te kości były ubrane i okryte gładkimi, twardymi mięśniami. Wsunęła mu ręce pod koszulkę, ucząc się go na nowo, badając, odnajdując we wspomnieniach gładkość i ciepło skóry.

– Julian...

„Kocham cię”, chciała powiedzieć. „Nie kochałam Camerona ani Marka, zawsze kochałam ciebie, to zawsze byłeś ty. Szpik moich kości jest zrobiony z ciebie, tak jak komórki, które tworzą naszą krew”. On jednak przerwał jej mocnym pocałunkiem.

– Nie – szepnął. – Nie chcę słyszeć niczego rozsądnego, nie teraz. Nie chcę logiki. Chcę tego.

– Ale musisz wiedzieć...

Pokręcił głową.

– Nie muszę.

Sięgnął w dół, złapał za koszulkę i ją zdjął. Ochlapał ich oboje wodą z włosów.

– Przez wiele tygodni byłem jak rozpęknięty – wyjąkał i Emma wiedziała, ile kosztują go te słowa, to wyznanie, że coś wymknęło mu się spod kontroli.

– Muszę znowu być cały. Choćby na krótko.

– To nie może przetrwać – powiedziała, wpatrując się w niego. Jak mogłoby przetrwać, skoro nie mogą zatrzymać tego, co ich łączy? – To złamie nam serca.

Złapał ją za nadgarstek i przysunął jej rękę do swojej nagiej piersi. Rozłożyła palce na jego sercu. Biło pod jej dłonią jak pięść, która próbuje przebić się przez mostek.

– Złam mi serce – powiedział. – Połam je na kawałki. Pozwalam ci.

Błękit jego oczu niemal zniknął, tak bardzo rozszerzyły mu się źrenice.

Wcześniej, na plaży, nie wiedziała, co się stanie. Teraz przeciwnie. Pewnych rzeczy w życiu nie można odmówić. Nikt nie ma tak silnej woli.

Nikt.

Skinęła bezwiednie głową.

– Tak, Julianie, tak.

Słyszała, jak wydał z siebie niemal udęczony jęk. Potem jego ręce znalazły się na jej biodrach. Uniósł ją tak, że znalazła się między nim a ścianą. Zachowywał się desperacko, jakby świat się kończył, i Emma się zastanawiała, czy kiedykolwiek będzie inaczej, czy kiedykolwiek mógłby być czuły, powolny i łagodnie kochający.

Pocałował ją żarliwie i zapomniała o czułości, o tym, że jej zapragnęła. Był tylko Julian szepczący jej imię, kiedy odsuwali ubrania, które wymagały odsunięcia. Jego nierówny oddech, warstewka potu na jego skórze, mokre włosy klejące mu się do czoła. Uniósł ją wyżej i przywarł do niej tak szybko, że ich ciała się zderzyły. Rwany jęk wyrwał mu się z ust. Kiedy uniósł głowę, oczy miał czarne od pożądania. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nic ci nie jest? – szepnął.

Skinęła głową.

– Nie przestawaj.

Niepewnie odnalazł ustami jej wargi. Ręce mu się trzęsły. Czowała, że cały czas walczy, by nie stracić panowania nad sobą. Chciała mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że jest dobrze, ale nie mogła poskładać myśli w spójną całość. Słyszała fale na zewnątrz tłukące brutalnie o skały. Zamknęła oczy i usłyszała, jak Julian mówi, że ją kocha, a potem go objęła. Nogi się pod nim ugięły i osunęli się na ziemię, czepiając się siebie jak rozbitkowie wyrzuceni przez morze na jakiś odległy, legendarny brzeg.

* * *

Tavvy'ego, Rafe'a i Maksa łatwo dało się znaleźć. Byli pod opieką Bridget, która zabawiała ich, pozwalając im denerwować Jessamine, żeby zrzucała różne rzeczy z półek. To sprowokowało Magnusa do wygłoszenia wykładu pod tytułem: „Nie drażnijcie duchów”.

Za to Dru nigdzie nie można było odnaleźć. Nie siedziała już w swoim pokoju, nie chowała się w bibliotece ani w salonie, a dzieci jej nie widziały. Jessamine pewnie byłaby bardziej pomocna, ale Bridget zameldowała, że

wybiegła, kiedy dzieci przestały ją męczyć, a ponadto lubiła rozmawiać tylko z Kitem.

– Dru nie wyszłaby z Instytutu, prawda? – zapytał Mark. Szedł korytarzem, otwierając drzwi po lewej i prawej stronie. – Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

– Mark.

Kieran złapał go za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Cristina poczuła ból w nadgarstku, jakby zdenerwowanie Marka ujawniało się jej przez czar wiążący.

Oczywiście Marka i Kierana też coś łączyło – mieli wspólne doświadczenia i uczucia. Kieran trzymał Marka za ramiona, skupiając się całkowicie na nim w sposób, w jaki tylko faerie potrafią to robić. Mark powoli się rozluźnił i część napięcia uszła z jego ciała.

– Twoja siostra jest tutaj – rzekł Kieran. – I znajdziemy ją.

– Podzielimy się i poszukamy – odezwał się Alec. – Magnus...

Magnus wziął Maksa na ręce i ruszył korytarzem, prowadząc za sobą Tavvy'ego i Rafe'a. Pozostali uzgodnili, że spotkają się w bibliotece za dwadzieścia minut. Każdy otrzymał kwadrant Instytutu do przeszukania. Cristina dostała zachodni, więc musiała zejść schodami do sali balowej.

Wolałyby tego nie robić. Wspomnienie tańca z Markiem, a potem z Kieranem rozpraszało ją i mąciło jej w głowie, a nie chciała się teraz dekoncentrować. Musiała znaleźć Dru.

Zeszła schodami... i zamarła. Na półpiętrze zobaczyła ubraną na czarno Drusillę z brązowymi warkoczami związanymi czarną wstążką. Dru zwróciła ku niej bladą, niespokojną twarz.

– Czekalam na ciebie.

– Wszyscy cię szukają! – wykrzyknęła Cristina. – Ty i Livvy...

– Wiem. Słyszałam. Słuchałam.

– Przecież nie byłaś w bibliotece...

– Proszę, musisz ze mną pójść. Mamy niewiele czasu.

Odwróciła się i pośpiesznie weszła po schodach. Po chwili Cristina ruszyła za nią.

– Dru, Mark się martwi. Jeźdźcy są potwornie niebezpieczni. Musi wiedzieć, że nic ci nie jest.

– Zaraz pójde i mu powiem, że nic mi nie jest, ale na razie musisz pójść

ze mną.

– Dru... – Doszły do korytarza, przy którym znajdowała się większość gościnnych sypialni.

– Słuchaj, potrzebuję, żebyś to zrobiła, rozumiesz? Jeśli zaczniesz wołać Marka, zapewniam cię, że są takie miejsca w Instytucie, gdzie mogę się ukryć na serio i nie znajdziecie mnie przez wiele dni.

Cristina nie mogła powstrzymać zaciekawienia.

– W jaki sposób tak dobrze poznałaś Instytut?

– Też byś go poznała, gdyby za każdym razem, gdy gdzieś się pokażesz, ktoś próbował cię wrobić w pilnowanie dzieci.

Doszły do jej sypialni. Dru stanęła przed drzwiami i zawahała się, kładąc rękę na klamce.

– Przecież zaglądaliśmy do twojego pokoju!

– Mówiłam. Kryjówki. – Dru odetchnęła głęboko. – W porządku. Wejdz. Tylko się nie wkurzaj.

Drobna twarz Dru była zacięta i zdeterminowana, jakby dziewczyna szykowała się na coś nieprzyjemnego.

– Wszystko w porządku? – zapytała Cristina. – Na pewno nie wolałabyś raczej porozmawiać z Markiem niż ze mną?

– Nie ja chcę z tobą rozmawiać – odparła Dru i otworzyła drzwi.

Cristina weszła do pokoju jeszcze bardziej skonsternowana niż dotąd.

Najpierw zobaczyła tylko cień, postać przed parapetem. A potem chłopak wstał i serce podeszło Cristinie do gardła.

Śniada skóra, splątane czarne włosy, ostre rysy, długie rzęsy. Lekko przygarbione ramiona, które dobrze pamiętała; dlatego zawsze mu powtarzała, że wygląda, jakby szedł pod wiatr.

– Jaime – szepnęła.

Wyciągnął ręce i chwilę potem już obejmowała go mocno. Zawsze był chudy, ale teraz dosłownie kłuł wystającymi obojczykami i szpiczastymi łokciami. Objął ją mocno. Cristina usłyszała, że drzwi sypialni się zamknęły i szcęknął zamek.

Odsunęła się i spojrzała Jaimemu w twarz. Wyglądał tak jak zawsze, miał takie same jak zawsze błyszczące, nieco szelmowskie oczy.

– Czyli naprawdę za mną tęskniłaś.

Te wszystkie noce, które przepłakała z jego powodu – bo zaginał, bo go

nienawidziła, bo był jej najlepszym przyjacielem i nienawidziła tego, że go nienawidzi – eksplodowały w niej. Lewa dłoń trzasnęła o jego policzek, a potem Cristina zaczęła go okładać po ramionach, piersi, gdzie tylko sięgnęła.

– Auć! – Odsunął się. – To boli!

– ¡*Me vale madre!* – Znów go uderzyła. – Jak śmiesz tak znikać? Wszyscy się martwili! Myślałam, że nie żyjesz! A teraz okazuje się, że się ukrywasz w sypialni Dru Blackthorn. Nawiasem mówiąc, gdy jej bracia się dowiedzą, zabiją cię...

– To nie tak! – Jaime wymachiwał rękami, jakby chciał osłonić się przed jej ciosami. – Szukałem cię.

Położyła ręce na biodrach.

– Po tym, jak przez długi czas mnie unikałeś, nagle zacząłeś mnie szukać?

– Nie ciebie unikałem.

Wyjął pogniecioną kopertę z kieszeni i podał ją Cristinie. Z bólem rozpoznała charakter pisma Diego.

– Jeśli Diego chce do mnie napisać, to nie musi zatrudniać posłańca, żeby przekazać list. Za kogo on cię bierze? Za gołębia pocztowego?

– Nie może do ciebie napisać. Zara sprawdza całą jego pocztę.

– Czyli wiesz o Zarze – odrzekła Cristina, biorąc od niego kopertę. – Od jak dawna?

Jaime zgarbił się przy dużym dębowym biurku, opierając się na rękach wysuniętych do tyłu.

– Od jak dawna są zaręczeni? Odkąd zerwaliście ze sobą po raz pierwszy. Ale to nie są prawdziwe zaręczyny.

Cristina usiadła na łóżku Dru.

– Wyglądały na dostatecznie prawdziwe.

Jaime przecesał ręką czarne włosy. Tylko trochę przypominał Diego, może układem ust, kształtem oczu. Zawsze był żartobliwy tam, gdzie Diego zachowywał powagę. Teraz, zmęczony i chudy, przypominał ponurych, nieśmiałych chłopców, którzy przesiadywali w kawiarniach w Colonia Roma.

– Wiem, że pewnie mnie nienawidzisz, i masz ku temu wszelkie powody. Myślisz, że chciałem, żeby nasza część rodziny przejęła Instytut, bo pragnąłem władzy i nie dbałem o ciebie. Prawda jednak jest taka, że miałem ku temu dobre powody.

– Nie wierzę ci.

Jaime prychnął zniecierpliwiony.

– Nie jestem skłonny do poświęceń. To w stylu Diego, nie moim. Chciałem wyciągnąć naszą rodzinę z kłopotów.

Cristina wbiła ręce w narzutę.

– Jakich kłopotów?

– Wiesz, że zawsze mieliśmy powiązania z faerie, stąd zresztą wziął się twój wisiołek. Ale od początku chodziło o coś więcej. To nie miało większego znaczenia do czasu Zimnego Pokoju. Wtedy rodzina powinna była wszystko wydać Clave, wszelkie informacje, wszystko, co dostaliśmy od faerie.

– Ale tego nie zrobiliście – domyśliła się Cristina.

– Zgadza się. Rodzina uznała, że relacje z *hadas* są ważniejsze od Zimnego Pokoju. – Wzruszył ramionami. – Istnieje pewna pamiątka rodzinna. Ma moc, której nie rozumiem. Dearbornowie i Kohorta zażądali jej, a my powiedzieliśmy im, że tylko Rosalesowie mogą z tego przedmiotu korzystać.

Cristina nagle coś zrozumiała.

– Stąd fałszywe zaręczyny. Żeby Zara pomyślała, że zostanie jedną z Rosalesów.

– Właśnie. Diego związał się z Kohortą, a ja... Ja zabrałem rodzinną pamiątkę i uciekłem. Dlatego Diego mnie obwinił. Jego niedobry młodszy braciszek uciekł ze skarbem. Zaręczyny się przeciągają, a oni nie mogą znaleźć rodzinnego dziedzictwa.

– Na tym polega twój plan? Przeciągać sprawę w nieskończoność?

Jaime zmarszczył brwi.

– Chyba nie doceniasz tego, jaki byłem dzielny, ukrywając się przez wiele miesięcy. Bardzo dzielny.

– Jesteśmy Nefilim. Naszym zadaniem jest być dzielnymi.

– Niektórzy z nas są w tym lepsi od innych. W każdym razie nie powiedziałbym, że nasz plan sprowadza się do zwlekania. Diego rozpracowuje słabe strony Kohorty, a ja próbuję odkryć, jak właściwie działa ta rodowa pamiątka.

– Nie wiesz tego?

Pokręcił głową.

– Wiem, że pomaga niepostrzeżenie wkroczyć do Faerie.

– A Kohorta chce być w stanie wejść do Faerie, żeby rozpocząć wojnę? –

domyśliła się Cristina.

– To brzmi sensownie. W każdym razie dla nich.

Cristina siedziała na łóżku w milczeniu. Na zewnątrz zaczęło padać. Woda spływała po szybach. Pomyślała o deszczu na drzewach w Bosque, jak siadywała tam z Jaimem i patrzyła, jak on pochłania całe torby *dorilocos* i zlizuje sól z palców. Rozmawiali wtedy. Rozmawiali godzinami dosłownie o wszystkim – o tym, co zrobią, kiedy zostaną *parabatai*, o tym, że będą mogli podróżować po całym świecie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała w końcu, starając się mówić spokojnie.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Odepchnął się od biurka. – Nikomu nie mogę powiedzieć. Jestem dobry w ucieczkach, ale nigdy nie mogę zdradzić, gdzie się ukrywam.

– Nie wiesz, prawda? Będziesz improwizował.

Uśmiechnął się krzywo.

– Nikt nie zna mnie lepiej niż ty.

– A Diego? – Głos Cristiny zadrżał. – Dlaczego nigdy nic mi nie powiedział?

– Ludzie robią głupie rzeczy, kiedy są zakochani – powiedział Jaime tonem kogoś, kto nigdy nie był zakochany. – A poza tym poprosiłem, żeby tego nie robił.

– To dlaczego teraz mi mówisz?

– Z dwóch powodów. W Podziemnym Świecie mówią, że Blackthornowie zamierzają przeciwstawić się Kohorcie. Gdyby doszło do walki, chcę wziąć w niej udział. Wyślij mi ognistą wiadomość. Zjawię się – zapewnił ją szczerze. – Po drugie, chciałem dostarczyć ci wiadomość od Diego. Powiedział, że możesz być za bardzo rozgniewana, żeby ją przeczytać, ale miałem nadzieję, że może teraz już nie będziesz.

Cristina spojrzała na trzymaną w dłoni kopertę. Była składana wiele razy.

– Przeczytam – powiedziała cicho. – Nie zostaniesz? Zjedź z nami. Wyglądasz na zagłodzonego.

Jaime pokręcił głową.

– Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem. Obiecuj mi to. Przez wzgląd na to, że będziemy *parabatai*.

– To nie w porządku – szepnęła. – Poza tym Drusilla wie.

– Ona nikomu nie powie... – zaczął Jaime.

– Cristina! – rozległ się głos Marka w korytarzu. – Cristino, gdzie jesteś?

Jaime nagle ją objął. Jego żylaste ręce mocno ją trzymały. Kiedy ją wypuścił, musnęła jego twarz. Chciała mu powiedzieć milion rzeczy. Nade wszystko „*Ten cuidado*” – uważaj na siebie. On już jednak odwracał się od niej w stronę okna. Otworzył je i wyskoczył na zewnątrz jak cień, umykając w deszczową noc.

Dreszcz budzą i westchnienie

Gwyn nie chciał wejść do Instytutu.

Kit nie wiedział, czy dla zasady, czy po prostu tak wolał, ale mimo rannej ręki i krwi, którą nasiąknął już bok jego szarej zbroi, wódz Dzikiego Polowania tylko pokręcił głową, kiedy Alec zaprosił go życzliwie do środka.

– Jestem szefem Instytutu Londyńskiego, nawet jeśli tylko tymczasowo – powiedział Alec. – Mam prawo zaprosić każdego, kogo zechcę.

– Nie mogę tu zwlekać – sprzeciwił się Gwyn. – Jest wiele rzeczy do zrobienia.

Zaczęło padać. Alec stał na dachu razem z Markiem, który przywitał Livvy i Ty'a z mieszaniną zgrozy i ulgi. Bliźnięta nadal trzymały się blisko brata, który obejmował Livvy za ramiona, a drugą ręką ścisnął rękaw Ty'a.

Nie było nikogo, kto powitałby w taki sposób Kita. Stał nieco z boku i patrzył. Jazdę wierzchem znad rzeki – Gwyn najwyraźniej potrafił przywołać konie znikąd, jak magik, który wyczarowuje miedziaki – pamiętał jak przez mgłę. Ty i Livvy jechali z Dianą, Kit wylądował z Gwynem. Trzymał się desperacko jego pasa i starał się nie spaść z konia do Tamizy.

– Nie mogę pozostać wśród takiej ilości zimnego żelaza – powiedział Gwyn i zdaniem Kita rzeczywiście wyglądał dość marnie. – Ale wy, Blackthornowie, powinniście wejść do środka. W murach Instytutu będziecie bezpieczni.

– A co z Emmą i Julesem? – zapytała Livvy. – Mogą być na zewnątrz, Jeźdźcy ich pewnie szukają...

– Magnus ich odszuka – uspokoił ją Alec. – Upewni się, że nic im nie jest.

Livvy skinęła z powagą głową, ale nadal wyglądała na zmartwioną.

– Może nam się przydać twoja pomoc, Diano – powiedział Alec. – Odeślemy dzieci do Alicante, gdy tylko Magnus wróci.

– Które dzieci? – Zwykle łagodny, niski głos Diany był teraz ochryply ze zmęczenia. – Tylko wasze czy...

– Tavvy’ego i Drusillę też – wyjaśnił Alec.

Obrzucił spojrzeniem Livvy i Ty’a. Kit domyślał się, że gdyby to zależało od Aleca, odesłałby także bliźnięta, ale wiedział, że za nic się na to nie zgodzą.

– Aha. A mogę zaproponować, żeby zamiast zamieszkać w rezydencji Inkwizytora w Alicante, zostały ze mną na Flintlock Street? Lepiej byłoby, gdyby Kohorta o niczym nie wiedziała.

– To samo pomyślałem – powiedział Alec. – Lepiej nie pokazywać się Dearbornom i im podobnym, zwłaszcza przed spotkaniem z Radą. – Zmarszczył brwi. – Miejmy nadzieję, że zdołamy zdjąć czar wiążący z Marka i Cristiny, zanim nadejdzie czas wyjazdu, bo inaczej może się okazać, że nie zdołają...

– Jeden z Jeźdźców został zabity – odezwał się Kit.

Wszyscy na niego spojrzeli. Sam nie był pewien, dlaczego się odezwał. Świat kołysał się wokół niego i dziwne rzeczy okazywały się ważne.

– Zapomnieliście? To dlatego ostatecznie odjechali. Jeden z nich zginął i pozostali to wyczuli. Może Julian i Emma walczyli i wygrali.

– Nikt nie może zabić Jeźdźców Mannana – powiedział Gwyn.

– Emma by mogła – sprzeciwiła się Livvy. – Gdyby Cortana...

Nogi ugięły się pod Kitem. To się stało nagle i w ogóle się tego nie spodziewał. W jednej chwili stał, a w drugiej klęczał w zimnej kałuży, zastanawiając się, czemu nie może wstać.

– Kit! – krzyknęła Diana. – Alecu, Kit uderzył się w głowę w czasie walki. Powiedział, że nic go nie boli, ale...

Alec już podchodził do Kita. Był silniejszy, niż na to wyglądał. Jedną ręką objął Kita i go podniósł. Gorący ból przeszył głowę Kita przy ruchu i zamknęła się wokół niego miłosierna szarość.

* * *

Leżeli potem na łóżku w zmroku, Emma z głową na piersi Juliana. Słyszała bicie jego serca przez cienki materiał koszulki.

Wytarli włosy, włożyli suche ubrania i zwinęli się pod kocem. Ich stopy się

zaplątały. Julian powoli, z namysłem przeczesywał jej włosy palcami.

– Słuchaj – odezwał się – powiedziałaś, że powinienem coś wiedzieć, a ja cię uciszyłem. Powiedz mi teraz.

Złożyła ręce na jego piersi i oparła na nich podbródek. Jego ciało było rozluźnione, ale twarz miał więcej niż zaciekawioną. Widziała intensywność jego spojrzenia, potrzebę dowiedzenia się. Chciał poskładać w całość fragmenty, które na razie nie miały dla niego sensu.

– Nigdy nie spotykałam się z Markiem – powiedziała. – To było kłamstwo. Poprosiłam go, żeby udawał, że się ze mną spotyka, a on odpowiedział, że zawdzięcza mi życie, więc się zgodził. Nigdy nie łączyło nas nic prawdziwego.

Palce Juliana znieruchomiały w jej włosach. Emma przełknęła ślinę. Musiała przebrnąć przez to, nie zastanawiając się, czy Julian ją potem znienawidzi. Inaczej nigdy nie skończy.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał ostrożnie. – Dlaczego Mark zgodził się mnie zranić?

– Nie wiedział, że cię rani. Nie wiedział, że coś nas łączyło, dopóki nie znaleźliśmy się w Faerie. Dopiero tam się dowiedział i powiedział mi, że musimy to skończyć. Dlatego zakończyłam sprawę w Londynie. Mark nie miał nic przeciwko temu. Nie czuliśmy do siebie niczego poważnego.

– Czyli Mark nie wiedział. A dlaczego ty to zrobiłaś? – Julian uniósł rękę. – Nieważne. Znam odpowiedź: żeby cię przestał kochać. Żeby nas rozdzielić. Nawet wiem, dlaczego wybrałaś Marka.

– Chciałabym, żeby to mógł być ktoś inny...

– Nikt inny by nie sprawił, żebym cię znienawidził – odparł beznamiętnie. – Nikt inny by nie sprawił, że bym się wycofał. – Oparł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. – Niech to dobrze zrozumiem. Kochasz mnie i ja kocham ciebie, ale chciałaś to wszystko zniszczyć. Byłaś tak zdeterminowana, że wciągnęłaś w to Marka, czego nigdy byś nie zrobiła, gdybyś nie była zdesperowana. Skąd więc ta desperacja? Wiem, że kochanie swojego *parabatai* jest zakazane, ale głupie Prawo...

– To nie jest głupie prawo.

Zdziwił się. Włosy już miał suche.

– Cokolwiek wiesz – powiedział cicho – czas, żebyś mi o tym powiedziała.

No to mu powiedziała. Nie pomijając niczego. Powtórzyła, co powiedział

Malcolm o przekleństwie *parabatai* – że zabijając ją, okazuje jej miłosierdzie, bo inaczej będą musieli z Julianem patrzeć na swoją śmierć. Że Nefilim nienawidzą miłości. Powiedziała, co potwierdził Jem: że *parabatai* czeka straszliwy los, jeśli się zakochają w sobie. Powiedziała mu o śmierci i zniszczeniu, jakie ściągną na ludzi wokół siebie. Wiedziała, że żadne z nich nie może zostać Przyziemnym albo Podziemnym, żeby przełamać więź, bo bycie Nocnym Łowcą to część ich duszy, ich istoty, a oddzielenie od rodziny by ich zniszczyło.

Światło z kominka rzucało ciemnozłotą poświatę na jego twarz, włosy, ale widziała, że poblądł; dostrzegła surowość jego miny, kiedy zaczęła mówić – jakby cienie na jego twarzy nabrały większej wyrazistości. Na zewnątrz nieprzerwanie padało.

Kiedy skończyła mówić, milczał przez długą chwilę. Emmie zaschło w ustach, jakby przełknęła kłębek waty. Wreszcie nie mogła tego dłużej znieść, więc przysunęła się do niego, zrzucając poduszkę na podłogę.

– Jules...

Podniósł rękę.

– Dlaczego niczego mi nie powiedziałaś?

Popatrzyła na niego żałośnie.

– Z powodu tego, co powiedział Jem: że świadomość tego, że zakaz jest uzasadniony, tylko pogorszy sprawę. Uwierz mi, wiedza o tym wszystkim nie sprawiła, że zaczęłam mniej cię kochać.

Jego oczy były tak ciemnoniebieskie w słabym świetle, że wyglądały prawie jak oczy Kita.

– Postanowiłaś więc sprawić, bym cię znienawidził.

– Próbowałam – szepnęła. – Nie wiedziałam, co robić.

– Przecież nigdy nie mógłbym cię znienawidzić. Nienawidzenie ciebie byłoby jak nienawidzenie myśli, że na świecie dzieją się dobre rzeczy. To byłoby jak śmierć. Myślałem, że mnie nie kochasz, ale nigdy bym cię nie znienawidził.

– A ja myślałam, że ty mnie nie kochasz.

– Ale to niczego nie zmieniło, prawda? Nadal się kochaliśmy. Teraz rozumiem, dlaczego tak się zdenerwowałaś tym, co zrobiliśmy z kościołem w Porthallow.

Skinęła głową.

– Przekleństwo najpierw zwiększa siłę *parabatai*, nim zaczyna być niszczące.

– Cieszę się, że mi powiedziałaś. – Dotknął jej policzka, włosów. – Teraz już wiemy, że w żaden sposób nie możemy zmienić tego, co do siebie czujemy. Musimy więc znaleźć inne rozwiązanie.

Po twarzy Emmy płynęły łzy, chociaż nie pamiętała, żeby się rozpłakała.

– Myślałam, że gdybyś przestał mnie kochać, byłabym smutna przez chwilę. I nawet gdybym na zawsze pozostała smutna, to też byłoby w porządku. Bo tobie nie stałoby się nic złego, nadal byłbyś moim *parabatai*. A gdybyś w końcu znalazł szczęście, cieszyłabym się twoim szczęściem.

– Idiotka z ciebie – orzekł Julian.

Objął ją i zakotłosał, wtulając usta w jej włosy i szepcząc tak, jak szeptał, kiedy Tavvy miał koszmary senne. Szeptał, że była dzielna, robiąc to, co robiła, że wszystko naprawią i znajdą sposób. I chociaż Emma nadal nie widziała dla nich rozwiązania, rozluźniła się w jego objęciach, pozwoliła sobie na odczucie ulgi, bo podzieliła się brzemieniem, choćby tylko na chwilę.

– Ale nie mogę się gniewać. Ja tobie też powinienem coś powiedzieć.

Odsunęła się od niego.

– Co takiego?

Bawił się bransoletką. Ponieważ rzadko okazywał niepokój w widoczny sposób, Emmie serce zabiło mocniej.

– Julianie, powiedz mi.

– Kiedy udaliśmy się do Faerie – powiedział cicho – phouka powiedział mi, że jeśli wkroczę do Krainy Cieni, to spotkam kogoś, kto będzie wiedział, jak przerwać więź *parabatai*.

Serce teraz biło Emmie tak gwałtownie, że łomotało o żebra. Usiadła prosto.

– Chcesz powiedzieć, że wiesz, jak ją zerwać?

Pokręcił głową.

– Słowa były precyzyjne: spotkałem kogoś, kto to wiedział. Ściśle rzecz biorąc, spotkałem królową Jasnego Dworu. A ona powiedziała mi, że wie, że to da się zrobić, ale nie powiedziała, w jaki sposób.

– Czy to część umowy związanej ze zwrotem książki? My oddamy jej Czarną Księgę, a ona powie nam, jak przerwać więź?

Skinął głową. Patrzył w ogień.

– Nic mi nie powiedziałeś. Myślałeś, że mnie to w ogóle nie będzie obchodziło?

– Po części. Jeśli ty nie chciałaś zerwać więzi, to ja tym bardziej. Wolę być twoim *parabatai* niż niczym.

– Jules... Julian...

– To nie wszystko. Powiedziała mi, że to ma cenę.

Oczywiście. Cena. W przypadku faerie zawsze jest jakaś cena.

– Jaka? – szepnęła.

– Zerwanie więzi wymaga posłużenia się Czarną Księgą, żeby sięgnąć do korzenia wszystkich ceremonii *parabatai*. To zniszczyłoby naszą więź, ale także więź łączącą wszystkich innych *parabatai* na świecie. Takie więzi zostałyby zerwane. Nie byłoby już więcej *parabatai*.

Emma spojrzała na niego zaszokowana.

– Nie mogliśmy tego zrobić. Alec i Jace... Clary i Simon... Jest tylu innych...

– Myślisz, że tego nie wiem? Musiałem ci jednak powiedzieć. Masz prawo wiedzieć.

Emma nie mogła złapać tchu.

– Królowa...

Przenikliwy grzmot przewalił się po pokoju, jakby ktoś odpalił petardę. Magnus Bane pojawił się w ich kuchni spowity w długi czarny płaszcz. Jego prawa ręka skrzyła się błękitnym ogniem, a wyraz twarzy był chmurny.

– Na wszystkich dziewięciu księżąt Piekieł, dlaczego żadne z was nie odbiera telefonu? – zapytał ostro.

Emma i Julian rozdziawili usta na jego widok. Chwilę potem on też rozdziawiał usta.

– O Boże – powiedział – czy wy...?

Nie skończył pytania. Nie musiał.

Emma i Julian zwlekli się z łóżka. Oboje byli prawie ubrani, ale Magnus patrzył na nich takim wzrokiem, jakby przyłapał ich *in flagranti*.

– Witaj, Magnusie – odezwał się Julian. Nie odpowiedział na jego powitanie słowami „To nie jest tak, jak wygląda”, nie próbował tłumaczyć, że Magnus odniósł niewłaściwe wrażenie. Julian nie mówił takich rzeczy. – Co się dzieje? Coś złego stało się w domu?

Magnus przez chwilę wyglądał tak, jakby dopadł go jego wiek.

– *Parabatai* – powiedział i westchnął. – Tak, coś jest nie tak. Musicie wracać do Instytutu. Zabierajcie rzeczy i szykujcie się do powrotu.

Oparł się o wyspę kuchenną, krzyżując ręce na piersi. Miał na sobie coś w rodzaju szynela z kilkoma warstwami krótkich pelerynek na plecach. Był suchy – musiał przejść przez Bramę prosto z wnętrza Instytutu.

– Na twoim mieczu jest krew, Emmo – powiedział, patrząc na Cortanę opartą o ścianę.

– Krew faerie – potwierdziła.

Julian wkładał sweter i przeczesywał palcami niesforne włosy.

– Kiedy mówisz „krew faerie” – mówił dalej Magnus – masz na myśli Jeźdźców, prawda?

Emma zauważyła, że Julian zamarł.

– Szukali nas... Skąd wiesz?

– Nie szukali jedynie was. Król wysłał ich po Czarną Księgę. Kazał polować na was wszystkich. Na wszystkich Blackthornów.

– Polować na nas?! – dopytywał się Julian. – Ktoś jest ranny? – Ruszył w stronę Magnusa przez pokój, prawie jakby zamierzał złapać czarownika za koszulę i nim potrzasnąć. – Czy ktoś z mojej rodziny został ranny?

– Julianie. – Głos Magnusa był stanowczy. – Nikomu nic się nie stało. Ale Jeźdźcy faktycznie się pojawili. Zaatakowali Kita, Ty'a i Livvy.

– I nic im nie jest? – dopytywała się niespokojnie Emma, wkładając buty.

– Nic. Otrzymałem ognistą wiadomość od Aleca. Kit zarobił guza, Ty i Livvy nie mają nawet zadrapania. Ale mieli szczęście. Gwyn i Diana ich uratowali.

– Diana i Gwyn? Razem? – zdumiała się Emma.

– Emma zabiła jednego z Jeźdźców – powiedział Julian. Zbierał rysunki Annabel, pamiętniki Malcolma i wkładał do torby. – Jego ciało leży na urwisku, ale pewnie nie powinniśmy go tam zostawiać.

Magnus zagwizdał przez zęby.

– Nikt nie zabił Jeźdźca Mannana, odkąd... No cóż, nikt nigdy nie zabił Jeźdźca Mannana.

Emma zadygotała, przypominając sobie zimne uczucie, kiedy ostrze weszło w ciało Fala.

– To było okropne.

– Pozostali nie odeszli na zawsze – powiedział Magnus. – Wróć.
Julian zapiął torby, swoją i Emmy.

– W takim razie musimy zabrać dzieci w bezpieczne miejsce. Gdzieś, gdzie Jeźdźcy ich nie znajdą.

– W tej chwili Instytut jest najbezpieczniejszym miejscem poza Idrisem – powiedział Magnus. – Chronią go zaklęcia, a ja nałożę dodatkowe.

– Chata też jest bezpieczna – wtrąciła Emma, zarzucając torbę na ramię. Torba zrobiła się dwa razy cięższa po tym, jak włożyli do niej pamiątniki Malcolma. – Jeźdźcy nie mogą się do niej zbliżyć. Sami to powiedzieli.

– To bardzo przemyślnie ze strony Malcolma – przyznał Magnus – ale bylibyście uwięzieni w tej chacie, gdybyście tu zostali, a nie wyobrażam sobie, żebyście nie chcieli opuścić tych czterech ścian.

– Fakt – powiedział cicho Julian.

Emma widziała, jak Magnus obrzuca wewnątrz spojrzeniem – bałagan w postaci kubków, których nie umyli, ślady gotowania Juliana, niepościelone łóżko, resztki ognia na kominku. Miejsce stworzone dla dwójki ludzi, którzy się kochali, chociaż było to zakazane, dwieście lat później dało schronienie kolejnej podobnej dwójce.

– Pewnie byśmy chcieli – dodał Julian.

W oczach Magnusa pojawiło się współczucie, kiedy znowu na nich spojrział.

– Wszystkie sny kończą się po przebudzeniu – powiedział. – A teraz chodźcie. Przeniosę nas do domu.

* * *

Dru patrzyła na deszcz spływający po oknach sypialni. Na zewnątrz Londyn zamienił się w rozmazaną plamę, poświata ulicznych świateł rozlała się w deszczu, zamieniając latarnie w żółte mleczce na długich metalowych łodygach.

Spędziła w bibliotece dość czasu, żeby powiedzieć Markowi, że nic jej nie jest. Potem Mark zaczął się martwić o Cristinę i poszedł jej szukać. Kiedy wrócili, Dru żołądek zacisnął się ze strachu. Była przekonana, że Cristina wszystko wygada, że powie wszystkim o Jaimem, zdradzi jej tajemnicę. Jego tajemnicę.

Wyraz twarzy Cristiny nie był bynajmniej uspokajający.

– Mogę porozmawiać z tobą na korytarzu, Dru? – zapytała.

Dru skinęła głową i odłożyła książkę. Zresztą i tak nie czytała. Mark podszedł do Kierana i dzieci, a Dru wyszła z Cristiną na korytarz.

– Dziękuję – powiedziała Cristina, kiedy tylko drzwi się zamknęły. – Za to, że pomogłaś Jaime.

Dru odchrząknęła. Podziękowania wyglądały na dobry znak. Przynajmniej Cristina nie była zła. Chyba.

Cristina się uśmiechnęła. Robiły jej się wtedy dołeczki w policzkach i Dru natychmiast pożałowała, że też takich nie ma. A nie miała? Musiała sprawdzić. Chociaż uśmiechanie się do siebie w lustrze wydawało jej się dziwaczne.

– Nie martw się, nie powiem nikomu, że tu był ani że mu pomogłaś. Musiało być ci ciężko, znosić go przez tyle czasu.

– Nie miałam nic przeciwko temu. Słuchał mnie.

Ciemne oczy Cristiny był smutne.

– Kiedyś mnie też słuchał.

– Nic mu nie będzie? – zapytała Dru.

– Tak myślę. Zawsze był sprytny i ostrożny. – Cristina dotknęła policzka Dru. – Dam ci znać, jeśli będę miała jakieś wiadomości od niego.

I to było wszystko. Dru poszła do swojego pokoju, czując wewnętrzną pustkę. Wiedziała, że powinna zostać w bibliotece, ale potrzebowała miejsca do namysłu.

Usiadła na krawędzi łóżka i wymachiwała nerwowo nogami. Chciała, żeby Jaime był przy niej, bo miałaby z kim porozmawiać. Chciała porozmawiać o tym, że Magnus wygląda na zmęczonego, Mark na zestresowanego, a ona martwi się o Emmę i Julesa. Chciała porozmawiać o tym, że tęskni za domem, zapachem oceanu i pustyni.

Machnęła nogami mocniej i uderzyła w coś piętą. Pochyliła się i ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że torba Jaimego nadal leży upchnięta pod jej łóżkiem. Wyciągnęła ją, starając się nie wysypać zawartości, bo torba była rozpięta.

Musiał wsunąć ją tam w pośpiechu, kiedy weszła Cristina, ale dlaczego ją zostawił? Czy to znaczyło, że zamierza wrócić? Czy też zostawił rzeczy, których już nie potrzebował?

Nie chciała zaglądać do środka, a przynajmniej później tak sobie wmawiała. Wcale nie chodziło o to, że chciała się dowiedzieć, czy Jaime jeszcze wróci. To się stało niechcący.

W środku upchane były chłopięce ubrania, dzinsy i koszulki, parę książek, zapasowe stele, nieaktywowane serafickie ostrza, nóż motylkowy podobny do tego, który miała Cristina, i parę zdjęć. I coś jeszcze, co świeciło tak jasno, że przez moment wzięła to za kamień runiczny. Tyle że światło było mniej białe. To coś jarzyło się przyćmionym, głęboko złotym blaskiem jak powierzchnia oceanu. Zanim się obejrzała, już miała to w ręku...

Poczuła, że coś poderwało ją z łóżka, jakby zassała ją Brama. Szarpnęła rękę z powrotem, ale już niczego nie dotykała. Nie znajdowała się już w swoim pokoju.

Była pod ziemią, w długim korytarzu wykopanym w ziemi. Korzenie drzew wrastały w wolną przestrzeń, jak kokardy na elegancko zapakowanych prezentach. Korytarz ciągnął się w dwie strony i ginął w mroku, który narastał inaczej niż normalna ciemność pod ziemią.

Serce waliło jej jak młotem. Dławiło ją straszliwe uczucie nierealności. Zupełnie jakby przeszła przez Bramę, ale nie miała pojęcia, gdzie wylądowała. Niczego nie poznawała. Nawet tutejsze powietrze pachniało czymś dziwnym i mrocznym, miało zapach, którego nigdy dotąd nie wdychała.

Sięgnęła odruchowo po broń u pasa, ale niczego nie znalazła. Przeniosła się zupełnie nieprzygotowana, w samych dzinsach i czarnym T-shircie w koty. Powstrzymała histeryczny śmiech i przywarła do ściany podziemnego korytarza, trzymając się głębszych cieni.

Światła pojawiły się na końcu przejścia. Dru usłyszała wysokie, słodkie głosy w oddali. Ich gwar przypominał ptasie trele. Faerie.

Na oślep ruszyła w przeciwnym kierunku i niemal poleciała na plecy, kiedy ściana za nią ugięła się i okazała się zasłoną. Dru zatoczyła się i wylądowała w dużej kamiennej komnacie.

Ściany były wykonane z zielonego marmuru z grubymi czarnymi żyłkami. Na niektórych płytach wytrawiono złote wzory: sokoła, tron, koronę podzieloną na dwie części. Na znajdujących się w komnacie różnych stołach leżała ułożona broń: miecze, sztylety z miedzi i brązu, haki, kolce i maczugi wykonane z wszelkich metali poza żelazem.

W pokoju przebywał także chłopiec. Był mniej więcej w wieku Dru, miał około trzynastu lat. Odwrócił się, kiedy Dru wpadła do pomieszczenia, i teraz wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

– Jak śmiesz tutaj wchodzić? – przemówił ostrym, władcym tonem.

Nosił strojne szaty z jedwabiu i aksamitu i ciężkie skórzane buty. Włosy miał jasnobłond, niemalże białe – w kolorze magicznego światła. Nosił je krótko obcięte. Jego czoło opasywała wstęga z jasnego metalu.

– Nie chciałam. – Dru przełknęła ślinę. – Chcę tylko stąd wyjść. To wszystko.

Jego zielone oczy zapłonęły.

– Kim jesteś? – Zrobił krok i porwał sztylet ze stołu obok. – Jesteś Nocnym Łowcą?

Dru uniosła dumnie podbródek i odpowiedziała hardym spojrzeniem.

– A kim ty jesteś? – zapytała. – I dlaczego jesteś taki niegrzeczny?

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się i było w tym uśmiechu coś znajomego.

– Nazywam się Ash – odpowiedział. – Moja matka cię przysłała? – W jego głosie pojawiła się nadzieja. – Martwi się o mnie?

– Drusilla! – rozległ się głos. – Dru! Dru!!

Dru rozejrzała się zdumiona. Skąd dobiegał ten głos? Ściany pokoju zaczęły ciemnieć, topić się i zlewać ze sobą. Odziany w bogate szaty chłopiec o ostrych rysach faerie patrzył na nią skonsternowany, unosząc sztylet, kiedy kolejne dziury zaczęły się wokół niej otwierać w ścianach i podłodze. Wrzasnęła, gdy ziemia się pod nią zapadła i pochłonęła ją ciemność.

Wir powietrzny złapał ją znowu, wirujący chłód prawie jak w Bramie, a potem uderzyła o rzeczywistość w postaci podłogi w sypialni. Była sama. Dyszała i dławiła się, próbując uklęknąć. Serce waliło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

W głowie jej się kręciło. Zgroza podziemi, zgroza niewiedzy, czy wróci do domu, zgroza obcego miejsca. Tyle że obrazy już jej umykały, jakby próbowała pochwycić wodę albo wiatr. Gdzie była? Co się stało?

Podniosła się na kolana, czując mdłości. Zamrugła, walcząc z zawrotami głowy. Widziała zielone oczy w resztkach wizji, zielone oczy... I zobaczyła, że torba Jaimego przepadła. Podłoga pod otwartym oknem była mokra. Musiał wrócić, kiedy... Kiedy jej nie było. Ale gdzie była? Nie pamiętała.

– Dru! – znowu rozległ się głos. Głos Marka. Kolejne niecierpliwe pukanie

do drzwi. – Dru, nie słyszałaś? Emma i Jules wrócili.

* * *

– Gotowe – powiedziała Diana, po raz ostatni poprawiając bandaż na rękę Gwyna. – Żałuję, że nie mogę ci narysować *iratze*, ale...

Urwała w pół zdania, czując się jak idiotka. To ona nalegała, żeby wrócili do jej domu w Alicante, gdzie będzie mogła opatrzyć ranę. Gwyn cały czas milczał.

Kiedy zsiadli, żeby wejść przez okno, klepnął konia w bok i wierzchowiec poszybował w niebo.

Zastanawiała się, podczas gdy Gwyn rozglądał się po jej pokoju. Jego dwubarwne oczy chłoneły wszystkie widoczne ślady jej życia: brudne kubki po kawie, piżamę rzuconą w kąt, poplamione atramentem biurko. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, przyprowadzając go tutaj. Na przestrzeni lat wprowadziła tak niewielu ludzi do swojej osobistej przestrzeni, pokazując tylko to, co chciała im pokazać, starannie kontrolując dostęp do swojego wnętrza. Nigdy nie pomyślała, że pierwszy mężczyzna, jakiego wpuści do swojego pokoju w Idrisie, będzie dziwnym i pięknym faerie, ale kiedy tylko skrzywił się, przysiadając na jej łóżku, zrozumiała, że podjęła właściwą decyzję.

Zacisnęła zęby ze współczuciem, gdy zaczął zdejmować podobną do kory zbroję. Ojciec zawsze trzymał opatrunki w łazience. Kiedy wróciła z niej z gazą w rękę, zastała Gwyna bez koszuli, wpatrującego się z niechęcią w pomięty koc. Jego włosy miały niemal ten sam odcień co drewniane ściany, skóra zaś była o kilka odcieni jaśniejsza, gładka i napięta na odrobinę nieludzkich kościach.

– Nie trzeba mnie opatrywać – powiedział. – Zawsze sam zajmowałem się swoimi ranami.

Diana nie odpowiedziała, tylko zaczęła robić opatrunek. Siedząc obok Gwyna, zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie znalazła się równie blisko niego. Myślała, że jego skóra w dotyku będzie przypominała korę, podobnie jak zbroja, ale okazało się inaczej: przypominała wyprawioną delikatną skórę, z jakiej robi się pochwy dla delikatnych ostrzy.

– Wszyscy miewamy rany, które czasem lepiej, żeby opatrzył ktoś inny –

powiedziała, odstawiając na bok pudło z opatrunkami.

– A twoje rany?

– Nie zostałam ranna.

Wstała, rzekomo po to, by pokazać, że nic jej nie jest, że chodzi i oddycha, ale w rzeczywistości chciała odsunąć się od niego. Serce biło jej niespokojnie, w sposób, któremu nie ufała.

– Wiesz, że nie to miałem na myśli – powiedział. – Widzę, jak troszczysz się o te dzieci. Dlaczego nie chcesz zostać szefową Instytutu w Los Angeles? Byłabyś w tym o niebo lepsza od Arthura Blackthorna.

Diana przełknęła ślinę, bo zaschło jej w ustach.

– A to ma znaczenie?

– O tyle, że chcę cię poznać. Pocałowałbym cię, ale odsunęłaś się ode mnie. Chciałbym poznać twoje serce, ale chowasz je w mroku. Nie lubisz mnie albo nie chcesz? Bo jeśli tak, to nie będę cię więcej niepokoić.

Nie chciał wzbudzić w niej wyrzutów sumienia, po prostu zwyczajnie przedstawiał fakty.

Gdyby to była pełna uczucia prośba, to możliwe, że w ogóle by nie zareagowała. A tak złapała się na tym, że idzie przez pokój i zdejmuje książkę z regału stojącego przy łóżku.

– Jeśli myślisz, że coś ukrywam, to chyba masz rację. – Uniosła podbródek, myśląc o swojej imienniczce, bogini i wojowniczkę, która za nic nie przeproszała. – Nie zrobiłam niczego złego. Nie wstydzę się. Nie mam powodu. Jednak Clave... – Westchnęła. – Proszę. Weź to.

Gwyn z poważną miną wziął od niej książkę.

– To księga prawa – powiedział.

Skinęła głowę.

– Prawa związane z wprowadzeniem na urząd. Wymienia szczegółowo ceremonie, jakie musi przejść Nocny Łowca zajmujący nowy urząd. W jaki sposób zostaje się Konsulem, Inkwizytorem albo szefem Instytutu. – Pochyliła się nad nim, otwierając książkę na często czytanim miejscu. – Tu. Kiedy zostaje się szefem Instytutu, trzeba wziąć Miecz Anioła i odpowiedzieć na pytania Inkwizytora. Prawo wymaga zadania tych pytań. One nigdy się nie zmieniają.

Gwyn skinął głową.

– Na które pytanie nie chcesz odpowiedzieć?

– Udawaj, że jesteś Inkwizytorem – powiedziała Diana, jakby się nie odezwał. – Zadaj mi pytania, a ja odpowiem, jakbym trzymała Miecz, całkowicie szczerze.

Gwyn skinął głową. Oczy pociemniały mu od ciekawości i czegoś jeszcze, kiedy zaczął czytać na głos:

– Czy jesteś Nocnym Łowcą?

– Tak.

– Urodziłaś się Nocnym Łowcą czy dokonałaś Wstąpienia?

– Urodziłam się Nocnym Łowcą.

– Jak brzmi twoje rodowe nazwisko?

– Wrayburn.

– A jakie imię nadano ci po narodzeniu?

– David – odpowiedziała Diana. – David Laurence Wrayburn.

Gwyn był skonsternowany.

– Nie rozumiem.

– Jestem kobietą – powiedziała Diana. – Zawsze nią byłam. Zawsze wiedziałam, że jestem dziewczyną, bez względu na to, co Cisi Bracia powiedzieli moim rodzicom, niezależnie od tego, jak bardzo zaprzeczało temu moje ciało. Moja siostra, Aria, też to wiedziała. Twierdziła, że wiedziała od chwili, kiedy zaczęłam mówić. Niestety moi rodzice... – Urwała. – Nie byli niedobrzy, ale nie wiedzieli, jakie istnieją możliwości. Powiedzieli mi, że w domu mogę być sobą, ale oficjalnie będę Davidem. Miałam być chłopcem, którym nie jestem. Nie rzucać się w oczy Clave. Wiedziałam, że żyłabym w kłamstwie. Mimo to strzegliśmy tego sekretu we czworo. Niestety z każdym rokiem moja rozpacz rosła. Wycofałam się z kontaktów z Nocnymi Łowcami w moim wieku. W każdej chwili, we śnie i na jawie, czułam niepokój i dyskomfort. Bałam się, że nigdy nie będę szczęśliwa. A potem skończyłam osiemnaście lat, a moja siostra miała dziewiętnaście. Pojechałyśmy do Tajlandii uczyć się w Instytucie w Bangkoku. Tam poznałam Catarinę Loss.

– Catarina Loss – powiedział Gwyn. – Ona wie, że jesteś... Byłaś... – Zmarszczył brwi. – Przepraszam. Nie wiem, jak to powiedzieć. Że rodzice nazwali cię David?

– Teraz wie. Wtedy nie wiedziała. W Tajlandii żyłam jako kobieta. Ubierałam się jak kobieta. Aria przedstawiła mnie jako swoją siostrę. Byłam

szczęśliwa. Po raz pierwszy w życiu czułam się wolna i wybrałam sobie imię, które wiązało się z wolnością. Sklep z bronią mojego ojca zawsze nazywał się „Strzała Diany” na cześć bogini łowów, która była dumna i wolna. Nazwałam się więc Dianą. Jestem Dianą. – Wzięła drżący wdech. – A potem wybrałyśmy się z siostrą zbadać wyspę, na której podobno grasowały demony thotsakan. Okazało się, że to w ogóle nie były demony, ale upiory, głodne duchy. Dziesiątki upiorów. Walczyłyśmy z nimi, ale obie odniosłyśmy rany. Catarina nas uratowała. Uratowała mnie. Kiedy się obudziłam w małym domku nieopodal, Catarina się nami opiekowała. Wiedziała, że widziała moje rany, że widziała moje ciało. Wiedziała, że ona wie...

– Diano – powiedział Gwyn basowym głosem i wyciągnął do niej rękę, ale ona pokręciła głową.

– Nie, bo nie będę w stanie skończyć. – Oczy ją piekły od łez. – Osłoniłam się strzępami ubrań, zaczęłam krzyczeć, żeby przywołać siostrę. Ale ona nie żyła, umarła, kiedy Catarina się nią zajmowała. Wtedy całkowicie się załamalam. Straciłam wszystko. Moje życie było zniszczone. Tak myślałam. – Łza spłynęła jej po twarzy. – Catarina opiekowała się mną, aż wyzdrowiałam na ciele i duszy. Spędziłam z nią w chacie długie tygodnie. Rozmawiała ze mną. Dała mi słowa, których nigdy nie znałam. To był dar. Po raz pierwszy usłyszałam słowo „transgenderyzm”. Wybuchnęłam płaczem. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, ile można komuś odebrać, nie pozwalając mu używać słów, których potrzebuje, żeby siebie opisać. Skąd masz wiedzieć, że są inni tacy jak ty, kiedy nie wiesz, jak samego siebie nazwać? Wiem, że musieli istnieć inni transgenderyści wśród Nocnych Łowców, że musieli istnieć kiedyś i istnieją teraz, ale nie mam jak ich odszukać, a wypytywanie o to byłoby zbyt niebezpieczne. – Iskierka gniewu z powodu starej niesprawiedliwości wyostrzyła jej głos. – Potem Catarina powiedziała mi o procesie zmiany płci. Że mogłabym żyć i być sobą w sposób, jakiego potrzebuję; mogłabym być uznawana za osobę, którą naprawdę jestem. Wiedziała, że tego właśnie chcę. Pojechałam z Catarina do Bangkoku. Ale nie jako David. Pojechałam jako Diana. I nie jako Nocna Łowczyni. Mieszkałam z Catarina w małym mieszkaniu. Powiedziała rodzicom o śmierci Arii i o tym, że od teraz jestem Dianą. Odparli, że powiedzieli Radzie, że to David zginął. Że mnie kochają i rozumieją, ale teraz muszę żyć w przyziemnym świecie, bo korzystałam z pomocy przyziemnych lekarzy,

a to jest niezgodne z prawem. Było już za późno, żebym ich powstrzymała. Clave dowiedziało się, że David zginął na wyspie, walcząc z upiorami. Dali Davidowi śmierć mojej siostry, zaszczytną śmierć. Wolałabym, żeby nie kłamali, ale jeśli mieli nosić biel z powodu chłopca, który odszedł, nawet jeśli nigdy naprawdę nie istniał, to nie mogłam im tego odmówić. Catarina pracowała jako pielęgniarka od wielu lat. Znała przyziemną medycynę. Zaprowadziła mnie do kliniki w Bangkoku. Poznałam tam innych podobnych do mnie ludzi. Nie byłam już sama. Spędziłam tam trzy lata. Nie planowałam powrotu do życia Nocnej Łowczyni. To, co zyskałam, było zbyt cenne. Nie mogłam ryzykować, że zostanę odkryta, że moje sekrety zostaną ujawnione, że zacznę być nazywana męskim imieniem i odmówi mi się bycia tym, kim jestem. Na przestrzeni lat Catarina przeprowadziła mnie przez procedury przyziemnej medycyny, które dały mi ciało, w jakim poczułam się wygodnie. Ukrywałam nietypowe wyniki badań przed lekarzami, żeby nie zdumieni się moją krwią Nocnego Łowcy.

– Przyziemna medycyna – powtórzył Gwyn. – To zakazane, żeby Nocny Łowca korzystał z pomocy medycyny Przyziemnych, prawda? Dlaczego Catarina nie posłużyła się po prostu magią, żeby ci pomóc?

Diana pokręciła głową.

– Nie chciałam tego. Magiczne zaklęcie zawsze można anulować innym zaklęciem. Nie chciałam, żeby moja prawdziwa istota była czymś, co można cofnąć przypadkowym czarem albo przechodząc przez niewłaściwe magiczne wrota. Moje ciało to moje ciało. To ciało, w którym stałam się kobietą, tak jak wszystkie kobiety.

Gwyn skinął głową, chociaż Diana nie wiedziała, czy ją rozumie.

– Zatem tego się boisz. – Tylko tyle powiedział.

– Nie boję się o siebie. Boję się o dzieci. Póki jestem ich nauczycielką, czuję, że mogę je jakoś chronić. Gdyby Clave dowiedziało się, co zrobiłam, że udałam się do przyziemnych lekarzy, skończyłabym w więzieniu pod Cichym Miastem. Albo w Basiliis, gdyby okazali mi łaskę.

– A twoi rodzice? – Twarz Gwyna pozostała nieodgadniona. Diana żałowała, że nie może z niej niczego wyczytać. Był rozgniewany? Będzie z niej kpił? Jego spokój sprawiał, że serce biło jej coraz szybciej. – Przyjechali do ciebie? Musiałaś za nimi tęsknić.

– Bałam się narazić ich na gniew Clave. – Głos Diany zadrżał. – Za każdym

razem, kiedy mówili o potajnym wyjeździe do Bangkoku, zniechęcałam ich. A potem przyszła wiadomość, że umarli, zginęli podczas ataku demonów. Catarina mi powiedziała. Przeplakałam całą noc. Nie mogłam powiedzieć przyziemnym przyjaciołom o śmierci rodziców, bo nie zrozumieliby, dlaczego nie wracam do domu na pogrzeb. Potem nadeszły wieści o Śmiertelnej Wojnie i zdałam sobie sprawę, że nadal jestem Nocną Łowczynią. Nie mogłam zostawić Idrisu w niebezpieczeństwie. Wróciłam do Alicante. Powiedziałam Radzie, że jestem córką Aarona i Lissy Wrayburnów, bo to była prawda. Wiedzieli, że był brat i siostra, a brat zginął. Przybrałam imię Diana. Trwała wojna, panował chaos, nikt mnie nie przesłuchiwał. Wyróżniłam się w walce jako Diana. Walczyłam jako Diana z mieczem w ręku i anielskim ogniem w żyłach. Wiedziałam, że nie mogę znowu być Przyziemną. Wśród przyziemnych przyjaciół ukrywałam istnienie Nocnych Łowców. Wśród Nocnych Łowców musiałam ukrywać, że posłużyłam się kiedyś medycyną Przyziemnych. Wiedziałam, że tak czy inaczej, będę musiała ukrywać część siebie. Zdecydowałam się zostać Nocną Łowczynią.

– Kto jeszcze wie o tym wszystkim? Poza Catarina?

– Malcolm wiedział. Muszę brać pewien lek, żeby utrzymać równowagę hormonów w moim ciele. Zwykle dostaję go od Catariny, ale był okres, kiedy nie mogłam załatwić tego w ten sposób i Malcolm musiał go dla mnie przygotować. Potem już wiedział. Nigdy nie wykorzystał tego otwarcie przeciwko mnie, ale zawsze miałam świadomość jego wiedzy i tego, że mógłby mnie zranić.

– Że mógłby cię zranić – mruknął Gwyn. Jego twarz była jak maska.

Diana słyszała bicie swego serca. Zupełnie jakby przyszła do Gwyna z sercem na dłoni, krwawym i odsłoniętym, a teraz czekała, aż on wyjmie noże.

– Przez całe życie próbowałam odnaleźć miejsce, w którym mogłabym być sobą, i nadal go szukam – powiedziała Diana. – Z tego powodu ukrywałam różne rzeczy przed ludźmi, których kochałam. I ukrywałam je przed tobą. Jednak nigdy nie kłamałam na swój temat.

To, co potem zrobił Gwyn, zaskoczyło Dianę. Wstał z łóżka, podszedł i ukląkł przed nią. Zrobił to z wdziękiem, jak giermek mógłby uklęknąć przed rycerzem albo rycerz przed damą. Było w tym geście coś

starodawnego, co sięgało do sedna zwyczajów Faerie.

– Zupełnie jakbym wiedział – powiedział. – Kiedy zobaczyłem cię na schodach w Instytucie, kiedy zobaczyłem ogień w twoich oczach, wiedziałem, że jesteś najdzielniejszą kobietą, jaka postawiła stopę na tej ziemi. Żałuję tylko, że taka nieulękła dusza została zraniona przez ignorancję i strach innych.

– Gwyn...

– Mogę cię objąć? – zapytał.

Skinęła głową. Odebrało jej mowę. Uklękła naprzeciwko wodza Dzikiego Polowania i pozwoliła, żeby wziął ją w mocne ramiona, głaskał po włosach i szeptał jej imię głosem, który nadal przypominał grzmot. Teraz jednak to był grzmot w ciemnym, zamkniętym domu, gdzie wszyscy byli bezpieczni.

* * *

Tavvy pierwszy wyczuł powrót Emmy i Juliana, którzy przenieśli się z Magnusem do biblioteki Instytutu. Siedział na podłodze i z pomocą Maksa systematycznie rozkładał stare zabawki na części. Kiedy tylko Julian poczuł podłogę pod stopami, Tavvy poderwał się i rzucił ku niemu, uderzając w niego jak rozpędzony pociąg, który wypadł z szyn.

– Jules! – wrzasnął, a Julian wziął go na ręce i zmiażdżył w uścisku, podczas gdy maluch wtulał się w niego i paplał o tym, co widział, jadł i robił przez ostatnie dni. Jules zmierzwił mu włosy i poczuł, że uchodzi z niego napięcie, którego nawet nie był świadomy.

Cristina siedziała z Rafe'em i mówiła do niego cicho po hiszpańsku. Mark siedział przy stole z Alekiem i – ku zaskoczeniu Juliana – Kieranem. Przed nimi leżała masa pootwieranych książek.

Cristina poderwała się i podbiegła, żeby objąć Emmę. Livvy wparowała do pokoju, za nią – nieco ciszej – wbiegł Ty. Julian odstawił Tavvy'ego – który nie odstępował go na krok, czepiając się jego nogi – i przywitał się z resztą rodziny. Uściskom i okrzykom nie było końca.

Na widok Emmy obejmującej bliźnięta Julian poczuł znajomy ból w piersi, lęk przed rozdzieleniem, rozerwaniem tego, co powinno pozostać złączone. Marzenie o rodzinie, w której Emma byłaby jego partnerką, a dzieci ich

obowiązkiem.

Ktoś dotknął jego ramienia, wrywając go z marzeń. To Mark, który patrzył na niego niespokojnie.

– Jules?

Oczywiście. Mark nie wiedział, że Julian zna prawdę na temat jego i Emmy. Wyglądał na zmartwionego, ale i pełnego nadziei, jak szczeniak, który przyszedł prosić o ochłapy, ale spodziewa się, że go wypędzą od stołu.

Byłem aż tak okropny? – zastanawiał się Julian, czując wyrzuty sumienia. Mark nie wiedział, nie wyobrażał sobie, że Julian kocha Emmę. Był wstrząśnięty, kiedy to odkrył. Mark i Emma też się kochali, ale inaczej, w sposób, jakiego Julian chciał. Jego serce wezbrało czułością do nich obojga za wszystko, co poświęcili, by go chronić, za to, że byli gotowi dać się mu znienawidzić, jeśli taka była cena.

Pociągnął Marka w kąć pomieszczenia. Gwar powitań trwał wokół nich. Julian zniżył głos:

– Wiem, co zrobiłeś – powiedział. – Wiem, że nigdy tak naprawdę nie spotykałeś się z Emmą. Jestem wdzięczny. Wiem, że chodziło o mnie.

Mark był zaskoczony.

– To był pomysł Emmy.

– Och, wiem, uwierz mi. – Julian położył rękę na ramieniu brata. – I świetnie się sprawiłeś z dziećmi. Magnus mi powiedział. Dziękuję.

Mark się rozpromienił. Juliana jeszcze bardziej zabolęło serce.

– Ja nie... Wiesz, pakują się w tyle kłopotów...

– Kochałeś je i utrzymałeś przy życiu – powiedział Julian. – Czasem to wszystko, co człowiek może zrobić.

Objął mocno brata. Mark stęknął zaskoczony, zanim odwzajemnił uścisk i przy tej okazji prawie pozbawił Juliana tchu. Julian czuł, jak serce brata bije przy jego własnym, jakby ta sama ulga i radość płynęły przez ich krew.

Odsunęli się od siebie po chwili.

– Czyli ty i Emma...? – zaczął z wahaniem Mark.

Zanim Julian zdążył odpowiedzieć, Livvy rzuciła się na nich i jakoś zdołała objąć obu jednocześnie. Ich rozmowa utonęła w śmiechu.

Ty podszedł do nich bardziej nieśmiało. Uśmiechnął się i dotknął ramienia Juliana, a potem ręki, jakby się upewniał, że brat naprawdę tam jest. Dotyk często znaczył dla Ty'a tyle samo co widok.

Mark mówił Emmie, że Dru nadal jest w pokoju, ale zaraz przyjdzie. Magnus podszedł do Aleca i obaj rozmawiali cicho koło kominka. Tylko Kieran został przy stole, tak cichy i nieruchomy, że mógłby być rośliną doniczkową. Jednakże jego widok ożywił w Julianie wspomnienie. Rozejrzał się za blond włosami i sarkastyczną miną.

– Gdzie Kit?

Zalał go wtedy potok wyjaśnień. Opowiedziano mu o Jeźdźcach nad rzeką, o tym, jak Gwyn i Diana uratowali bliźnięta i Kita, o urazie tego ostatniego. Emma opisała czwórkę Jeźdźców, z którymi walczyli w Kornwalii, ale to Julian przedstawił ze szczegółami, jak Emma zabiła jednego z nich. Wywołało to istną lawinę okrzyków.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś zabił Jeźdźca – powiedziała Cristina, podchodząc pośpiesznie do stołu po książkę. – Ale na pewno ktoś już tego dokonał.

– Nie.

To był Kieran. Mówił spokojnie i cicho. W jego głosie było coś, co przypominało Julianowi głos króla Ciemnego Dworu.

– Nikt dotąd tego nie zrobił. Zawsze było ich tylko siedmioro, siódemka dzieci Mannana i żyli niemal od początków czasu. Musi być w tobie coś specjalnego, Emmo Carstairs.

Emma się zaczerwieniła.

– Nieprawda.

Kieran nadal patrzył na nią z zaciekawieniem. Miał na sobie dzinsy i kremowy sweter. Wyglądał niepokojąco ludzko, dopóki człowiek nie przyjrzał się baczniej jego twarzy i osobliwej strukturze kostnej.

– Jakie to uczucie zabić kogoś tak starego?

Emma się zawahała.

– To było jak... Trzymałeś kiedyś lód w ręce tak długo, że zaczęło boleć?

Po chwili Kieran skinął głową.

– Grobowy ból.

– To właśnie takie uczucie.

– Czyli jesteśmy tu bezpieczni – powiedział do Magnusa Julian, po części po to, by udaremnić dalsze pytania o martwego Jeźdźca. – W Instytucie.

– Jeźdźcy nie mogą nas tu osiągnąć. Chronią nas zaklęcia – potwierdził Magnus.

– Ale Gwyn mógł wylądować na dachu – zauważyła Emma. – Czyli nie możemy całkowicie odciąć faerie...

– Gwyn jest z Dzikiego Polowania. To co innego. – Magnus wziął na ręce Maksa, który zachichotał i pociągnął go za szalik. – Ponadto dziś po południu podwoiłem zaklęcia ochronne wokół Instytutu.

– Gdzie jest Diana? – zapytał Julian.

– Wróciła do Idrisu. Mówi, że musi czuwać nad nastrojami w Radzie. Spodziewa się, że posiedzenie przebiegnie bez żadnych trudności.

– Ale nie mamy Czarnej Księgi – zauważył Julian.

– Mamy jeszcze półtora dnia – odparła Emma – na odnalezienie Annabel.

– Nie opuszczając tych uświęconych murów? – zapytał Mark. Przysiadł na podłokietniku fotela. – Jesteśmy tu na dobrą sprawę uwięzieni.

– Nie wiem, czy Jeźdźcy zdają sobie sprawę, że jesteśmy tu obaj z Alekiem – powiedział Magnus – I może moglibyśmy skłonić do pomocy Gwyna.

– To zbyt niebezpieczne – zaprotestowała Emma. – To nie byłoby w porządku prosić go o pomoc.

– Ja wracam do Idrisu z dziećmi. Sprawdzę, co mogę zdziałać stamtąd. – Alec klapnął na fotel obok Rafe'a i zmierzwił ciemne włosy chłopca.

Może Alec mógłby wejść do rezydencji Blackthornów, pomyślał Julian. Był wyczerpany, nerwy miał zszargane najlepszym i najgorszym dniem w życiu. Rezydencja Blackthornów była pewnie najukochańszym miejscem Annabel na świecie. Zaczął rozważać możliwości.

– Annabel kochała rezydencję Blackthornów – powiedział. – Nie dom w Londynie, bo nie należał wtedy do rodziny, ale ten w Idrisie. Uwielbiała go.

– Myślisz, że może się tam ukrywać? – zapytał Magnus.

– Nie. Nienawidzi Clave, nienawidzi Nocnych Łowców. Za bardzo bałaby się udać do Idrisu. Pomyślałem, że gdyby posiadłości coś zagroziło, może to sprowokowałyby ją do wyjścia z ukrycia.

Widział, że Emma się zastanawia, dlaczego nie wspomniał, że widział się z Annabel w Kornwalii. Sam się trochę nad tym zastanawiał, ale instynkt kazał mu na razie to przemilczeć.

– Proponujesz, żebyśmy spalili posiadłość? – zapytał Ty, unosząc brwi.

– Dziwne – mruknął Magnus. – Nie wy pierwsi to zaproponowaliście.

– Tiberiusie, nie ekscytuj się tak bardzo – powiedziała Livvy.

– Piromania mnie interesuje – odparł Ty.

– Myślę, że trzeba spalić kilka budynków, zanim będzie można uznać siebie za prawdziwego piromana – orzekła Emma. – Do tego czasu można uważać się za podpalacza-entuzjastę.

– Pożar w Idrisie ściągnie na nas niepożądaną uwagę – powiedział Mark.

– Chyba nie mamy dużego wyboru – odparł Julian.

– A ja uważam, że powinniśmy coś zjeść – wtrąciła pośpiesznie Livvy, poklepując się po brzuchu. – Umieram z głodu.

– Możemy przedyskutować, co wiemy, zwłaszcza na temat Annabel i Czarnej Księgi – zaproponował Ty. – Zebrać wszystkie informacje.

Magnus zerknął na Aleca.

– Po posiłku musimy odesłać dzieci do Idrisu. Diana stoi po drugiej stronie, żeby pomóc nam utrzymać otwartą Bramę, a ja nie chcę kazać jej zbyt długo czekać.

To było miłe z jego strony, uznał Julian, że ujął to tak, jakby, wysyłając dzieci, wyświadczał przysługę Dianie, a nie próbował je chronić. Tavvy z Rafe'em i Maksem pobiegli do jadalni. Juliana zabolęło, gdy zdał sobie sprawę, jak bardzo młodszemu bratu brakowało rówieśników, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Jules?

Spuścił wzrok i zobaczył, że Dru idzie obok niego. W magicznym świetle płonącym na korytarzu miała bladą twarz.

– Tak?

Powstrzymał się od poklepania jej po policzku albo pociągnięcia za warkocze. Przestała to lubić, gdy miała dziesięć lat.

– Nie chcę przenosić się do Alicante. Chcę zostać tu z wami.

– Dru...

Zgarbiła się.

– Byłeś młodszy ode mnie w czasie Mrocznej Wojny. Mam trzynaście lat. Możesz wysłać dzieci w bezpieczne miejsce, ale nie mnie. Jestem Blackthornem tak samo jak ty.

– I tak samo jak Tavvy.

– On ma siedem lat! – Dru sapnęła nerwowo. – Przez ciebie nie czuję się częścią tej rodziny.

Julian się zatrzymał. Dru stanęła obok niego i oboje patrzyli, jak pozostali idą do jadalni. Julian słyszał, że Bridget ich beszta. Najwyraźniej czekała

z kolacją do paru godzin, chociaż nie przyszło jej do głowy, żeby ich poszukać i powiedzieć im o tym.

– Dru, naprawdę chcesz zostać?

Skinęła głową.

– Naprawdę.

– Wystarczy, że to powiesz. Możesz zostać z nami.

Rzuciła mu się na szyję. Dru nie należała do osób, które lubią obejmowanie się i uściski i przez chwilę Julian był zbyt zaskoczony, żeby się ruszyć. Potem objął siostrę i przycisnął mocniej, gdy zalały go wspomnienia – maleńka Dru śpiąca na jego rękach, stawiająca pierwsze kroki, śmiejąca się, gdy Emma trzymała ją nad wodą na plaży tak, że ledwie moczyła palce stóp.

– Jesteś sercem tej rodziny, maleńka – powiedział głosem, jaki znało tylko jego rodzeństwo. – Zapewniam cię. Sercem.

* * *

Bridget trochę na chybił trafił rozstawiła zimnego kurczaka, chleb, ser, warzywa i bananową tartę z karmelem. Kieran grzebał w warzywach, a pozostali rozmawiali, żeby podzielić się tym, co wiedzą.

Emma siedziała obok Juliana. Co rusz dotykali się ramionami albo ich ręce stykały się, gdy po coś sięgali. Za każdym razem dotyk wywoływał w nim snop iskier podobny do małego wybuchu fajerwerków.

Ty oparł łokcie na stole i opowiadał, jak z Kitem i Livvy znaleźli kryształ *aletheia* i ukryte tam wspomnienia.

– Dwieście lat temu Malcolm i Annabel włamali się do Instytutu Kornwalijskiego – powiedział, wymachując zręcznymi rękami.

Coś się w nim zmieniło, pomyślał Julian. Chociaż jak mógłby się zmienić w tak krótkim czasie?

– Ukradli Czarną Księgę, ale ich złapano – kontynuował Ty.

– Wiemy, do czego jej potrzebowali? – zapytała Cristina. – Nie rozumiem, w jaki sposób nekromancja miała im pomóc.

– Wygląda na to, że zamierzali ją komuś oddać – wyjaśniła Emma. – Nie chcieli jej dla siebie. W zamian za Księgę ktoś obiecał im ochronę przed Clave.

– To były czasy, kiedy związek Nocnego Łowcy z Podziemnym mógł oznaczać karę śmierci – zauważył Magnus. – Ochrona była bardzo atrakcyjną ofertą.

– Nie zdążyli za daleko uciec – powiedział Ty. – Złapano ich i wrzucono do więzienia w Cichym Mieście, a Czarną Księgę odebrano im i zwrócono do Instytutu Kornwalijskiego. Potem stało się coś dziwnego. – Zmarszczył brwi. Nie lubił, kiedy czegoś nie wiedział. – Malcolm zniknął. Zostawił Annabel samą, żeby ją przesłuchano i torturowano.

– Nie zrobiłby tego z własnej woli – powiedział Julian. – Kochał ją.

– Ludzie potrafią zdradzić tych, których kochają – odezwał się Mark.

– Nie, Julian ma rację – wtrąciła się Emma. – Nienawidzę Malcolma bardziej niż inni, ale on za żadne skarby nie porzuciłby Annabel. Była całym jego życiem.

– A jednak tak właśnie się stało – podsumował Ty.

– Torturowali Annabel, żeby wyciągnąć z niej informację, aż na dobrą sprawę oszalała – dodała Livvy. – Potem oddano ją rodzinie. Krewni ją zabili i powiedzieli wszystkim, że została Żelazną Siostrą, ale kłamali.

Juliana ścisnęło w gardle. Pomyślał o rysunkach Annabel, o ukazanym na nich świetle, nadziei, miłości do posiadłości Blackthornów w Idrisie i do Malcolma.

– Przewijamy o sto lat do przodu – podjęła Emma. – Malcolm udaje się do króla Ciemnego Dworu. Dowiaduje się, że Annabel nie została Żelazną Siostrą, lecz została zamordowana. Pragnie krwawej zemsty. – Urwała, przeczesując palcami włosy nadal splątane po kornwalijskim wietrze i deszczu. – Król mówi mu, jak wskrzesić Annabel, ale jest jeden haczyk: Malcolm potrzebuje do tego Czarnej Księgi, a teraz jej nie ma. Księga jest w Instytucie Kornwalijskim. Włamał się tam raz, drugi raz się nie odważy. Księga zostaje więc w Kornwalii, dopóki Blackthornowie, którzy prowadzą Instytut, nie przeprowadzą się do Los Angeles i nie zabiorą jej ze sobą.

Ty'owi zapłonęły oczy.

– Właśnie. A wtedy Malcolm dostrzega swoją szansę podczas ataku Sebastiana Morgensterna i zabiera Księgę. Zaczyna wskrzeszać Annabel i ostatecznie mu się udaje.

– Tyle że ona się wkurza i go zabija – powiedziała Emma.

– Co za niewdzięczność – powiedział Kieran.

– Niewdzięczność? – zdumiała się Emma. – Był mordercą. Miała prawo go zabić.

– Może i był mordercą, ale wygląda na to, że został nim dla niej. Zabił, żeby dać jej życie.

– Może nie chciała żyć – wtrącił się Alec. Wzruszył ramionami. – Nigdy nie zapytał jej, czego chciała, prawda?

Jakby wyczuwając atmosferę przy stole, Max rozbeczał się w głos. Alec z westchnieniem wziął go na ręce i wyniósł z jadalni.

– Na pewno to wszystko są użyteczne informacje – powiedział Magnus – ale czy to nas przybliżyło do Czarnej Księgi?

– Może gdybyśmy mieli więcej czasu i Jeźdźcy na nas nie polowali – mruknął Julian.

– Myślę – odezwał się powoli Kieran, patrząc w dal – że to był mój ojciec.

Najwyraźniej to był dzień, kiedy padały zdumiewające oświadczenia. Wszyscy znowu na niego spojrzeli. Ku zdumieniu Juliana pierwsza odezwała się Cristina:

– Co masz na myśli?

– Myślę, że to on chciał zdobyć Księgę wiele lat temu, kiedy Malcolm ukradł ją za pierwszym razem. To on łączy wszystkie elementy w całość. Wtedy chciał ją zdobyć i teraz także tego chce.

– Ale dlaczego uważasz, że już wtedy jej pragnął? – zapytał Julian.

Starał się mówić cicho i łagodnie. Zdaniem Emmy to był jego głos podpuszczający świadka.

– Z powodu czegoś, co powiedział Adaon. – Kieran wpatrywał się w swoje ręce. – Powiedział, że ojciec chciał zdobyć Księgę, odkąd skradziono Pierwszego Dziedzica. To stara historia w Faerie, o kradzieży pierworodnego syna mojego ojca. To się wydarzyło ponad dwieście lat temu.

Cristina się zdumiała.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że to właśnie miał na myśli.

– Pierwszy Dziedzic. – Magnus zapatrzył się w dal. – Słyszałem tę opowieść, a przynajmniej jej część. Dziecko nie zostało skradzione, ale zamordowane.

– Tak mówi historia – powiedział Kieran. – Może mój ojciec pragnął posłużyć się nekromancją, żeby go wskrzesić. Nie potrafię wyjaśnić jego motywów. Mógł jednak zaproponować Fade’owi i Annabel ochronę

na ziemiach Ciemnego Dworu. Żaden Nocny Łowca nie tknąłby ich, żyliby bezpiecznie w Faerie.

Emma odłożyła z brzękiem widelec.

– Pretensjonalne książątko ma rację.

Kieran zamrugnął zdumiony.

– Jak mnie nazwałaś?

– Wypróbuję różne opcje. – Emma zbyła go machnięciem ręki. – Poza tym powiedziałam, że masz rację. Naciesz się tym, bo wątpię, żebym to powtórzyła.

Magnus pokiwał głową.

– Król jest jedną z nielicznych istot na ziemi, które mogłyby porwać Malcolma z więzienia w Cichym Mieście. Pewnie nie chciał, żeby ujawnił ich powiązania przed Radą.

– Ale dlaczego nie zabrał też Annabel? – zapytała Livvy. Widelec z nabitym kawałkiem ciasta znieruchomiał w pół drogi do jej ust.

– Może dlatego że Malcolm go rozczarował, dając się złapać – odpowiedział Mark. – Może chciał ich ukarać.

– Annabel mogła wszystko wygadać – argumentowała Livvy. – Mogła powiedzieć, że Malcolm pracuje dla króla.

– Nie mogła, jeśli o tym nie wiedziała – wyjaśniła Emma. – W pamiętnikach Malcolm nie wspomniał, dla kogo kradnie Księgę, i założył się, że Annabel też nic nie powiedział.

– Torturowali ją – przypomniał Ty – a ona mimo to nie mogła niczego zdradzić, bo nie miała o niczym pojęcia. Tak to musiało wyglądać.

– To wyjaśnia, dlaczego Malcolm, kiedy się dowiedział, że został okłamany i Annabel wcale nie została Żelazną Siostrą, udał się do króla Ciemnego Dworu – zrozumiał Julian. – Bo już się znali.

– Zatem kiedyś król potrzebował Księgi do czynienia nekromancji – odezwała się Cristina – ale teraz chce jej do zniszczenia Nocnych Łowców?

– Nekromancja nie ogranicza się do wskrzeszania umarłych. – Magnus patrzył w stojący obok jego talerza kieliszek z winem, jakby w jego głębi krył się jakiś sekret. – Chwileczkę. – Wziął Rafe'a z sąsiedniego krzesła i odwrócił się do Tavvy'ego. – Poszedłbyś z nami? Pobawić się z Alexandrem i Maksem?

Tavvy zerknął na Juliana i skinął głową. Wyszli z jadalni, a Magnus dał znać, że zaraz wróci.

– To tylko jedno posiedzenie – powiedziała Emma. – Najpierw musimy przekonać Radę, żeby uwierzyła, że Ciemny Dwór stanowi bezpośrednie zagrożenie. W tej chwili nie potrafią odróżnić dobrych faerie od złych i nawet nie chcą tego spróbować.

– I tu jest miejsce na zeznania Kierana – odezwał się Mark. – Mamy też parę dowodów. Jest plaga, której ślady Diana widziała w lesie Brocelind, oraz raporty Nocnych Łowców, którzy walczyli z bandami faerie, ale ich broń nie działała normalnie.

– Niezbyt to przekonujące – powiedziała Livvy. – Zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę Zarę i jej paskudną bandę bigotów. Będą próbowali zagarnąć władzę podczas zebrania Rady. Będą próbowali przejąć Instytut. Mają w nosie mgliste zagrożenie ze strony faerie.

– Mogę sprawić, że Clave przestraszy się mojego ojca – zapewnił Kieran. – Ale możemy wszyscy być potrzebni, żeby pomóc Clave zrozumieć, że jeśli nie chce nowej ery ciemności, to musi porzucić marzenia o przedłużeniu Zimnego Pokoju.

– Żadnego rejestrowania czarowników – dodał Ty. – Ani umieszczania wilkołaków w obozach.

– Podziemni, którzy zasiadają w Radzie, dobrze znają Kohortę – powiedział Magnus, wróciwszy bez dzieci. – Gdyby doszło do głosowania, kto ma zarządzać Instytutem w Los Angeles, musieliby ściągnąć na miejsce Maię i Lily, nie wspominając o mnie. Mamy prawo głosu.

Klapnął na krzesło u szczytu stołu.

– To nadal tylko trzy głosy – zauważył Julian.

– Sprawa jest śliska – zgodził się Magnus. – Według Diany Jia tak samo jak my nie chce, żeby Zara przejęła Instytut w Los Angeles, ale w tej chwili trudno będzie ją zdyskredytować. Dzięki kłamstwu, że zabiła Malcolma, jest teraz dość popularna.

Emma warknęła gardłowo. Cristina poklepała ją po ręce.

– Na razie mamy obietnicę, że królowa będzie walczyć po naszej stronie przeciwko zagrożeniu, w które Rada najpewniej nie uwierzy, a i to tylko pod warunkiem, że dostanie Księżę, której obecnie nie mamy, gdybyśmy zaś nawet ją zdobyli, nie wolno byłoby nam jej oddać – podsumował Magnus.

– Nasza umowa z królową Jasnego Dworu to nasza sprawa – odparł Julian. – W tej chwili wystarczy, że powiemy, że jest gotowa współpracować

w określonych okolicznościach. Kieran ma prawo obiecać pomoc ze strony królowej. Nie musi wdawać się w szczegóły.

– Bracie, myślisz jak prawdziwy faerie – powiedział Mark takim tonem, że Julian nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

– Może król chce stworzyć armię umarłych – powiedziała z nadzieją Dru.
– W końcu to księga do nekromancji.

Magnus westchnął, pukając w zamyśleniu paznokciem o kieliszek.

– Nekromancja to magia, który wykorzystuje energię śmierci. Każda magia potrzebuje paliwa. Energia śmierci to niesłychanie potężne paliwo. A także niewiarygodnie destrukcyjne. Zniszczenia ziemi, jakie widzieliście w Faerie, plaga w Brocelind, to właśnie blizny pozostawione przez straszliwą magię. Pozostaje pytanie, co jest jego ostatecznym celem.

– Chcesz powiedzieć, że potrzebuje więcej energii, żeby rozprzestrzenić zaklęcia – powiedział Julian. – Te, przy których pomógł mu Malcolm i które anulują magię Nocnych Łowców.

– Mam na myśli to, że wasza magia jest z natury anielska – wyjaśnił Magnus. – Pochodzi ze światła, z energii życia. Przeciwnością tego jest szewol, Piekło, czy jak chcecie to nazwać. Brak światła i życia. I wszelkiej nadziei. – Zakaszłał. – Kiedy Rada głosowała za Zimnym Pokojem, opowiedziała się za czasem, który nigdy nie istniał. Tak jak Kohorta, która pragnie powrócić do utraconego Złotego Wieku, kiedy Nocni Łowcy kroczyli po świecie niczym bogowie, a Przyziemni się im kłaniali.

Wszyscy na niego spojrzeli. Oto Magnus Bane, jakiego ludzie rzadko widują, pomyślał Julian. Magnus, którego opuściły otucha i typowy optymizm. Magnus, który pamiętał ciemność, śmierć i ból, jakie widział na przestrzeni wieków. Ten sam Magnus, którego Julian w wieku dwunastu lat widział w Sali Anioła – Magnus, który na próżno błagał Radę, żeby nie uznała Zimnego Pokoju, chociaż wiedział, że go zatwierdzi.

– Król pragnie tego samego. Chce zjednoczyć dwa królestwa, które zawsze istniały osobno, ale w jego umyśle kiedyś stanowiły jedność. Musimy go powstrzymać, chociaż w pewnym sensie robi tylko to, co zrobiłaby Kohorta.

– Chcesz powiedzieć, że to zemsta? – zapytał Julian.

Magnus wzruszył ramionami.

– To trąba powietrzna. Miejmy nadzieję, że zdołamy ją zatrzymać.

Idąc w ciemny szlak nieznany

Emma siedziała na łóżku Cristiny i czesała jej włosy. Zaczynała rozumieć, dlaczego jej matka tak bardzo uwielbiała szczotkować jej włosy, kiedy Emma była małą dziewczynką. Było coś przedziwnie kojącego w gładkich czarnych lokach przesypujących się przez palce, w powtarzającym się ruchu szczotki.

To koło ból w jej głowie i w piersi. Ból, który odbierała nie tylko jako własny, lecz także doskwierający Julianowi. Wiedziała, jak nie cierpieć rozstawać się z Tavvym, nawet gdy chodziło o dobro malucha, i sama czuła w sobie pustkę, kiedy zegnał się z najmłodszym bratem.

Towarzystwo Cristiny pomagało. Emma wygadała się ze wszystkiego, co wydarzyło się w Kornwalii, cmokając z niesmakiem nad nadgarstkiem przyjaciółki i wcierając w czerwony ślad po wiązaniu maść antyseptyczną Przyziemnych. Cristina syczała i marudziła, że to boli, a potem dała Emmie szczotkę i powiedziała, żeby zajęła się czymś naprawdę użytecznym.

– Coś pomaga na ten czar wiążący? – spytała Emma. – Na przykład gdyby Mark położył się na tobie, to ból by zniknął?

– Tak – odpowiedziała nieco stłumionym głosem Cristina.

– W takim razie to bardzo nieczułe z jego strony, że tego nie robi, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Cristina jęknęła, jakby mówiła „Kieran”.

– Jasne, Mark nadal udaje, że zależy mu na Kieranie. Pewnie leżenie na tobie nie pomogłoby w tym zbytnio.

– Jemu naprawdę zależy na Kieranie. Po prostu... Myślę, że na mnie też mu zależy. – Odwróciła się połowicznie do Emmy. Oczywiście miała wielkie, ciemne i zatroskane. – Tańczyłam z nim. Z Markiem. Pocałowaliśmy się.

– Świetnie! To świetnie, nie?

– Owszem, ale wtedy wszedł Kieran...

– Co?!

– Ale nie był zły, powiedział tylko Markowi, że powinien lepiej tańczyć, i sam ze mną zatańczył. Jakbym tańczyła z ogniem.

– Rety, jakie to seksowne i pokręcone – powiedziała Emma. – Bardziej niż jestem w stanie przełknąć.

– To wcale nie było pokręcone!

– Właśnie że było – upierała się Emma. – Pakujesz się prosto w objęcia trójkąta z faerie. Albo w jakąś wojnę.

– Emmo!

– Seksowny trójkącik z dwójką faerie – ekscytowała się radośnie Emma. – Będę mogła się chwalić, że znałam cię wcześniej.

Cristina jęknęła.

– W porządku. A co z Julianem? Masz jakiś plan po tym, co wydarzyło się w Kornwalii?

Emma westchnęła i odłożyła szczotkę. To był piękny, stary, zdobiony srebrem przedmiot z epoki wiktoriańskiej. Ciekawiło ją, czy szczotka leżała w pokoju, zanim Cristina go zajęła, czy znalazła ją w jakimś innym miejscu w Instytucie. Londyński pokój Cristiny już nosił ślady jej osobowości – obrazki zostały odkurzone i powieszono prosto, Cristina znalazła gdzieś barwną narzutę na łóżko, jej nóż motylkowy wisiał na nowym haczyku obok kominka.

Emma zaczęła zaplatać włosy przyjaciółki, przesuwając grube pasma między palcami.

– Nie mamy planu – powiedziała. – Zawsze jest tak samo. Gdy jesteśmy razem, czujemy, że jesteśmy niezwykli. A potem zaczynamy zdawać sobie sprawę, że nadal mamy te same opcje i wszystkie są fatalne.

Cristina się zatroskała.

– Opcje zawsze są takie same, prawda? Rozstać się albo przestać być Nocnym Łowcą.

Emma skończyła zaplatać jej włosy. Oparła podbródek na jej ramieniu, myśląc o tym, czego Julian dowiedział się od królowej Jasnego Dworu. O przerażającej możliwości zakończenia wszystkich więzi *parabatai*. To jednak było zbyt straszne, żeby w ogóle wypowiedzieć to na głos.

– Kiedyś myślałam, że to pomoże, no wiesz, fizyczne oddalenie od Juliana, ale teraz w to wątpię. Nic nam nie pomoże. Myślę, że bez względu na to,

dokąd się udam albo na jak długo, zawsze będę czuła to samo.

– Niektóre uczucia są silne. Jak sznur, który cię wiąże – powiedziała Cristina. – Biblia mówi, że miłość jest równie silna jak śmierć. Wierzę w to.

Emma przesunęła się, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Cristino, tu dzieje się coś jeszcze, prawda? Coś z Diego albo Jaimem?

Cristina spuściła wzrok.

– Nie mogę powiedzieć.

– Pozwól sobie pomóc. Zawsze jesteś taka silna dla innych, pozwól, żebym ja była silna dla ciebie.

Ktoś zapukał do drzwi. Obie podniosły wzrok zaskoczone. Mark, pomyślała Emma. Zauważyła minę Cristiny. To musiał być Mark.

Ale to był Kieran.

Zdumiona Emma zamarła. Chociaż trochę przywykła do jego obecności, na jego widok nadal dostawała gęsiej skórki z napięcia. Nie chodziło o to, że go o coś obwiniała, w szczególności o chłostę, jaką wycierpiała z rąk Iarlatha, ale jego widok jej o tym przypominał – o gorącym słońcu, świstach bata, miedzianym zapachu krwi.

To prawda, że z wyglądu bardzo się zmienił. Jego czarne włosy były nieco bardziej niesforne, potargane, ale poza tym prezentował się osobliwie ludzko w dzinsach. Nieokiełznane włosy ukrywały szpiczaste czubki uszu, chociaż jego oczy – jedno czarne, drugie srebrne – nadal zadziwiały.

Uklonił się lekko.

– Moje panie.

Cristina była zaskoczona. Najwyraźniej także nie spodziewała się tej wizyty.

– Przyszedłem porozmawiać z Cristiną, jeśli nie ma nic przeciwko temu – dodał.

– To śmiało – odpowiedziała Emma. – Mów.

– Myślę, że chce porozmawiać ze mną na osobności – upomniała ją szeptem Cristina.

– Tak. O to właśnie proszę.

Cristina spojrzała na Emmę.

– Zobaczymy się rano?

Emma się naburmuszyła. Stęskniła się za Cristiną, a teraz bezczelne książątko wykopywało ją z pokoju przyjaciółki. Kieran prawie na nią nie

spojrzał, kiedy zeszła z łóżka i podeszła do drzwi.

Kiedy mijala Kierana, zatrzymała się, prawie dotykając go ramieniem.

– Jeśli czymkolwiek ją zranisz albo zdenerwujesz – powiedziała na tyle cicho, by Cristina nie mogła jej usłyszeć – to urwę ci uszy i zrobię z nich wytrych, jasne?

Kieran zerknął na nią oczami jak nocne niebo, nieodgadnionymi jak chmury.

– Nie.

– To pozwól, że ci to wyjaśnię. Kocham ją. Nie pogrywaj z nią.

Kieran wyjął długie, delikatne dłonie z kieszeni. Wyglądał nienaturalnie w nowoczesnych ubraniach. To było tak, jakby zobaczyć Aleksandra Wielkiego w kurtce motocyklowej i skórzanych spodniach.

– Łatwo ją pokochać.

Emma spojrzała zaskoczona. Nie tego się po nim spodziewała. Łatwo pokochać.

Nene zareagowała na podobne słowa w taki sposób, jakby sama myśl, że łatwo kogoś kochać, była dla niej dziwna. Ale z drugiej strony, co faerie wiedziały o miłości?

* * *

– Usiądziesz? – zaproponowała Cristina.

A potem zastanowiła się, czy zamienia się we własną matkę, która zawsze twierdziła, że pierwsze, co robi z gościem, to proponuje mu, żeby usiadł.

– Nawet gdyby był mordercą? – zapytała wtedy Cristina.

– Tak, nawet wtedy – upierała się matka. – Skoro nie chcesz zaproponować mordercy, żeby usiadł, to trzeba było w ogóle go nie zapraszać.

– Nie – odpowiedział Kieran.

Przeszedł przez pokój z rękami w kieszeniach. Jego ciało zdradzało niepokój. Podobnie jak ciało Marka, pomyślała Cristina. Obaj poruszali się tak, jakby pod ich skórą kryła się uwięziona energia. Zastanawiała się, jakie to uczucie skrywać w sobie tyle ruchu i być zmuszonym do znieruchomienia.

– Moja pani – powiedział – z powodu tego, co ci przysięgłem na Jasnym Dworze, powstała między nami więź. Myślę, że odczułaś jej siłę.

Cristina pokiwała głową. To nie była zaczarowana więź, jaka połączyła ją z Markiem, ale z całą pewnością istniała – przepływająca między nimi migotliwa energia, kiedy tańczyli, kiedy rozmawiali.

– Myślę, że ta siła pomoże nam zrobić razem coś, czego nie zdołam zrobić sam. – Kieran podszedł od łóżka i wyciągnął rękę z kieszeni.

Coś załśniło na jego dłoni. Podsunął to Cristinie i zobaczyła żołędź, którym posłużył się wcześniej Mark do przywołania Gwyna. Był lekko wgnieciony, ale cały, jakby zrósł się z powrotem po otwarciu.

– Chcesz jeszcze raz wezwać Gwyna? – Cristina pokręciła głową. Jej włosy wypadły z niezwiązanego warkocza i rozsypały się po plecach. Zauważyła, że Kieran na nie zerka. – Nie. Nie zgodzi się interweniować po raz drugi. Chcesz rozmawiać z kimś innym. Z bratem?

– Tak myślałem. – Pochylił lekko głowę. – Doskonale odgadujesz moje intencje.

– I możesz to zrobić? Żołędź nie przyzywa tylko Gwyna?

– To prosta magia. Pamiętaj, że twoja krew nie pozwala ci stosować magii, ale moja przeciwnie. Żołędź powinien przywołać do nas projekcję mojego brata. Zapytam go o plany naszego ojca. I o to, czy może powstrzymać Jeźdźców.

Cristina była zdumiona.

– To Jeźdźców można powstrzymać?

– To słudzy Dworu, którzy tylko wypełniają rozkazy.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo, żeby wezwać mojego brata, muszę sięgnąć umysłem do Faerie. Jeśli chcę uchronić swój umysł, będzie bezpieczniej, gdy coś będzie mnie łączyło z tym światem. Coś lub... ktoś, kto pozostanie dla mnie kotwicą, gdy będę szukał brata.

Cristina zsunęła się z łóżka. Stała prosto. Była tylko odrobinę niższa od Kierana. Jej oczy znalazły się na wysokości jego ust.

– Dlaczego ja? Czemu nie Mark?

– Już o wystarczająco dużo prosiłem Marka.

– Możliwe, ale nawet jeśli to prawda, wątpię, żeby to była cała prawda.

– Tylko nieliczni z nas mają dość szczęścia, żeby poznać całą prawdę.

Cristina wiedziała, że Kieran jest młody, ale czasem gdy mówił, w jego oczach pojawiała się coś bardzo starego.

– Podasz mi swoją dłoń? – zapytał.

Podawała mu rękę z naznaczonym nadgarstkiem. To się wydawało najwłaściwsze. Zacisnął palce na jej dłoni, chłodne i suche, delikatne jak dotyk liścia.

Drugą ręką rzucił żołędziem o ścianę obok kominka.

Przez chwilę trwała cisza. Cristina słyszała nierówny oddech Kierana, rzecz niezwykłą w wypadku faerie – wszystko, co robiły, zawsze było tak bardzo oderwane od zwykłych ludzkich emocji, skąd więc ten nerwowy oddech? Potem jednak przypomniała sobie jego objęcia, nierówne bicie serca. W końcu faerie też były istotami z krwi i kości, prawda? Miały kości i mięśnie tak samo jak Nocni Łowcy. I także płonął w nich płomień anielskiej krwi...

Ciemność rozlała się po ścianie jak plama. Cristina wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca, a Kieran zacisnął mocniej dłoń na jej ręce. Ciemność poruszyła się i zadygotała, zadrżała i się przekształciła. Światło tańczyło z mrokiem i Cristina ujrzała wielobarwne nocne niebo Faerie. Wewnątrz cienia dostrzegła ciemniejszy cień, mężczyznę spowitego w czarną opończę. A kiedy ciemność pojaśniała, w pierwszej kolejności zobaczyła szeroki uśmiech... i serce jej zamarło.

To był szeroki uśmiech kości w szkieletowej połówce twarzy, pięknej z jednej strony i ohydnej z drugiej. Peleryna, która spowijała przybysza, była czarna jak atrament i zdobiona insygniami złamanej korony. Stał przed nimi wyprostowany i barczysty, uśmiechając się krzywo do Kierana.

Nie wezwali bynajmniej Adaona. To był sam król Ciemnego Dworu.

* * *

– Nie! NIE! – Tavvy płakał, wtulając twarz w ramię Juliana.

Przyjął wiadomość o wyjeździe z Alekiem, Maksem i Rafe'em do Idrisu gorzej, niż Mark się spodziewał. Czy na wieść o – choćby najkrótszym – rozstaniu wszystkie dzieci tak płaczą, jakby świat się walił i pękały im serca?

Oczywiście Mark nie miał pretensji do Tavvy'ego. Po prostu czuł, jakby to jego własne serce rozdzierano na strzępy, kiedy patrzył, jak Julian krąży po pokoju z bratem na rękach, a Tavvy szlocha i wali go pięściami po plecach.

– Tavs – mówił łagodnie Julian głosem, który Mark ledwie potrafił

połączyć z chłopakiem, który stawiał czoło królowi Ciemnego Dworu i przyłożył nóż do gardła księcia. – To potrwa tylko dzień albo dwa. Zobaczysz kanały w Alicante, Gard...

– Ciągłe wyjeżdżasz – chlapał Tavvy przy piersi Juliana. – Nie możesz znowu wyjechać.

Julian westchnął. Pochylił brodę, potarł policzkiem o niesforne loki brata. Ponad głową Tavvy'ego napotkał spojrzenie Marka. Nie było w nim winy ani uzalania się nad sobą, tylko ogromny smutek.

A jednak Mark czuł, że ogromny wyrzut sumienia przygniata mu pierś. „Co by było, gdyby” to niepotrzebne słowa, powiedział mu Kieran, kiedy Mark zastanawiał się, czy spotkaliby się, gdyby nigdy nie dołączyli do Dzikiego Polowania. Teraz jednak nie mógł powstrzymać fali tych refleksji: co by było, gdyby mógł zostać z rodziną, gdyby Julian nie musiał stać się ojcem, matką i bratem dla najmłodszych, gdyby Tavvy nie dorastał w cieniu śmierci i straty. Może wtedy każde rozstanie nie wydawałoby mu się ostateczne.

– To nie twoja wina – powiedział Magnus, który pojawił się bezszelestnie przy boku Marka. – Nie możesz zmienić przeszłości. Wszyscy dorastaliśmy wśród strat, oprócz tych, którzy mieli nadzwyczajne szczęście.

– Nic na to nie poradzę, że żałuję, że to nie mojego brata spotkało tak nadzwyczajne szczęście – odparł Mark. – Sam rozumiesz.

Magnus zerknął na Juliana i Tavvy'ego. Maluch wypłakał się i teraz przywarł do brata, przyciskając twarz do jego ramienia. Zgarbił się wyczerpany szlochem.

– Którego brata masz na myśli?

– Obu – odpowiedział Mark.

Magnus z ciekawością dotknął lśniącego grotu na szyi Marka.

– Znam tę substancję – powiedział. – Ten grot był kiedyś częścią broni żołnierza służącego w gwardii króla Ciemnego Dworu.

Mark dotknął grotu, który był zimny i gładki w dotyku. Nieugięty jak sam Kieran.

– Dostałem go od Kierana.

– To cenna rzecz.

Magnus wypuścił z dłoni wisiołek Marka i odwrócił się, gdy Alec go zawołał.

Alec stał przed nimi z Maksem na rękach, Rafe'em u boku i małą torbą z ich rzeczami. Do Marka dotarło, że Alec jest prawie w takim wieku, w jakim byłby on, gdyby nie został porwany przez Dzikie Polowanie. Zastanawiał się, czy byłby równie dojrzały, równie opanowany i czy tak samo potrafiliby opiekować się innymi.

Magnus pocałował Aleca i z ogromną czułością zmierzwił mu włosy. Pochylił się, żeby pocałować też Maksa i Rafe'a, a potem wyprostował się i zaczął tworzyć Bramę. Światło zaiskrzyło mu między palcami, powietrze zamigotało.

Tavvy zwinął się w kłębek bezradności przy piersi brata. Julian przytulił go mocniej, pomrukując coś pocieszająco. Mięśnie rąk mu się napięły. Mark chciał podejść do nich, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Choć niezszczęśliwi, sprawiali wrażenie idealnej całości, która nie potrzebuje nikogo więcej.

Melancholijna myśl zniknęła chwilę po tym, jak ból przeszył jego rękę. Złapał się za nadgarstek, napotykając palcami obolałą skórę i śliską krew. Coś jest nie tak, pomyślał. Cristina!

Puścił się biegiem. Brama rosła i migotała pośrodku pokoju. Przez na wpół uformowane drzwi Mark dostrzegł zarys demonicznych wież, ale już pędził w stronę korytarza.

Jakiś instynkt we krwi mówił mu, że zbliża się do Cristiny, ale ku jego zaskoczeniu ból w nadgarstku wcale nie słabł. Pulsował regularnie niczym ostrzegawczy sygnał z latarni morskiej.

Drzwi do jej pokoju były zamknięte. Przyłożył do nich ramię i pchnął, nawet nie myśląc o klamce. Otworzyły się i Mark praktycznie wpadł do środka.

Zadławił się, oczy go zapiekły. W pokoju śmierdziało, jakby coś się paliło, coś organicznego jak martwe liście albo zgniłe owoce.

Było ciemno. Jego oczy szybko przywykły do ciemności i dostrzegły Cristinę i Kierana, którzy stali u stóp łóżka. Cristina ścisnęła nóż motylkowy. Potężny cień wznosił się nad nimi. Nie, wcale nie cień, zdał sobie sprawę Mark, podchodząc bliżej. Projekcja.

Projekcja króla Ciemnego Dworu. Obie strony jego twarzy promieniały nienaturalną wesołością, zarówno ta monarsza i piękna, jak i ohydna i pozbawiona ciała czaszka.

– Myślałeś, że wezwiesz brata? – szydził król, wpatrując się w Kierana. – I myślałeś, że nie wyczuję, że sięgasz w głąb Faerie i szukasz jednego z moich? Jesteś głupcem, Kieranie, i zawsze nim byłeś.

– Co zrobiłeś z Adaonem? – Z twarzy Kierana odpłynęła krew. – On o niczym nie wiedział. Nie miał pojęcia, że chcę go wezwać.

– Nie martw się innymi – powiedział król. – Martw się o własne życie, Kieranie Królewski Synu.

– Od dawna jestem Kieranem Myśliwym.

Twarz króla pociemniała.

– Powinieneś być Kieranem Zdrajcą. Kieranem Bratobójcą. Każde z tych imion lepiej do ciebie pasuje.

– Działał w samoobronie – wtrąciła się ostro Cristina. – Gdyby nie zabił Erecę, sam by zginął. I bronił też mnie.

Król rzucił jej przelotne pogardliwe spojrzenie.

– I już to samo w sobie jest aktem zdrady, głupia dziewczyno. Stawiać życie Nocnego Łowcy ponad życie swoich? Co może być gorszego?

– Sprzedanie własnego syna Dzikemu Polowaniu, kiedy martwiłeś się, że ludzie bardziej go lubią niż ciebie – odezwał się Mark. – To jest gorsze.

Cristina i Kieran spojrzeli na niego zdumieni. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z jego nadejścia. Król jednak nie zdradzał zaskoczenia.

– Mark Blackthorn. Nawet przy wyborze kochanków mój syn woli wrogów swego ludu. Co to mówi na jego temat?

– Że lepiej od ciebie wie, kim jest jego lud? – zasugerował Mark.

Rozmyślnie odwrócił się do króla plecami. Za coś takiego na Dworze groziłoby mu powieszenie.

– Musimy się go pozbyć – powiedział cicho do Kierana i Cristiny. – Mam zawołać Magnusa?

– To tylko projekcja – odpowiedział Kieran. Twarz miał ściągniętą. – Nie może nas skrzywdzić. Ani pozostać tu zbyt długo. Myślę, że to go sporo kosztuje.

– Nie odwracaj się do mnie plecami! – ryknął król. – Myślisz, że nie znam twoich planów, Kieranie? Myślisz, że nie wiem, że zamierzasz stanąć przed Radą Nefilim i mnie zdradzić?

Kieran odwrócił twarz, jakby nie mógł znieść widoku ojca.

– Więc zaprzestań tego, co wiem, że robisz – powiedział drżącym głosem.

– Zaczynij pertraktować z Nefilim. Nie zaczynaj z nimi wojny.

– Nie ma pertraktacji z tymi, którzy mogą kłamać – warknął król. – Którzy kłamali w przeszłości i będą kłamać ponownie. Kłamią i przelewają krew naszych ludzi. A jak już skończą z tobą, myślisz, że zostawią cię przy życiu? Że będą cię traktować jak jednego ze swoich?

– Traktują mnie lepiej niż mój własny ojciec. – Kieran uniósł podbródek.

– Doprawdy? – Oczy króla były ciemne i puste. – Odebrałem ci część wspomnień, kiedy przybyłeś na mój Dwór. Mam ci je oddać?

Kieran był skonsternowany.

– A jaki mogłeś mieć pożytek z moich wspomnień?

– Niektórzy z nas chcą znać wrogów.

– Kieranie – odezwał się Mark; wyraz oczu króla sprawił, że strach zagnieździł się w jego brzuchu. – Nie słuchaj go. On chce cię tylko zranić.

– A ty czego chcesz? – zapytał król, odwracając się do niego.

Tylko dzięki temu, że Mark widział na wskroś niego, dostrzegając zarys łóżka i szafy Cristiny poprzez sylwetkę króla, nie rzucił się do kominka po pogrzebacz i nie zamachnął się. Gdyby tylko...

Gdyby tylko król był chociaż względnie przyzwoitym ojcem, gdyby nie rzucił syna Dzikemu Polowaniu, jak można rzucić kość wygłodniałemu stadu wilków, gdyby nie siedział zadowolony z siebie, kiedy Erec torturował Kierana...

Jak bardzo inny byłby wtedy Kieran? O ile mniej bałby się utraty miłości? Czy mniej desperacko trzymałby się jej? Nie próbował jej zatrzymać za cenę uwięzienia Marka w Dzikim Polowaniu?

Usta króla wykrzywiły się, jakby potrafił odczytać myśli Marka.

– Kiedy spojrzałem we wspomnienia mojego syna, zobaczyłem ciebie, Blackthornie. Syna lady Nerissy. – Jego uśmiech był nienawistny. – Twoja matka zmarła ze smutku, kiedy twój ojciec ją opuścił. Połowa myśli mojego syna dotyczyła ciebie i tego, że cię stracił. Mark, Mark, Mark... Ciekaw jestem, co takiego jest w waszej krwi, że tak czaruje naszych ludzi i robi z nich głupców.

Drobna zmarszczka pojawiła się między brwiami Kierana. „Tego, że cię stracił”.

Kieran nie pamiętał, że stracił kochanka. Zimny strach w żołądku Marka rozlał się do jego żył.

– Ci, którzy nie potrafią kochać, nie rozumieją tego – powiedziała Cristina. Odwróciła się do Kierana. – Ochronimy cię. Nie pozwolimy cię skrzywdzić za to, że będziesz zeznawał przed Radą.

– Kłamstwa – powiedział król. – Może napędzane dobrymi intencjami, ale mimo wszystko kłamstwa. Jeśli zeznasz, nie będzie miejsca na ziemi ani w Faerie, gdzie byłbyś bezpieczny przede mną i moimi wojownikami. Będę polował na ciebie przez całą wieczność, a kiedy cię znajdę, pożałujesz, że nie umarłeś za to, co zrobiłeś Iarlathowi i Erecowi. Nie ma takiej tortury, jaką zdołałbym obmyślić, a której nie zadam tobie.

Kieran przełknął z trudem ślinę, ale mówił pewnym głosem:

– Ból to tylko ból.

– O, istnieją najróżniejsze rodzaje bólu, synku. – Nie wykonał żadnego ruchu ani gestu, jak to robią czarownicy, gdy rzucają zaklęcie, ale Mark poczuł narastający ciężar w atmosferze pokoju, jakby wzrosło ciśnienie.

Kieran wciągnął gwałtownie powietrze, jak trafiony pociskiem. Uderzył o łóżko, złapał się wezglowia, żeby nie osunąć się na ziemię. Włosy opadły mu na oczy, zmieniając się z niebieskich w czarne i białe.

– Mark? – Uniósł powoli głowę. – Pamiętam. Pamiętam!

– Kieranie... – szepnął Mark.

– Powiedziałem Gwynowi, że zdradziłeś prawo Faerie – przypomniał sobie Kieran. – Myślałem, że sprowadzą cię tylko z powrotem do Dzikiego Polowania.

– A zamiast tego ukarali moją rodzinę.

Wiedział, że Kieran nie chciał tego, nie przewidział. Jednak wypowiedzenie tych słów nadal bolało.

– To dlatego nie nosiłeś elfiego grotu. – Kieran wpatrywał się w punkt poniżej podbródka Marka. – Nie chciałeś mnie. Odeгнаłeś mnie. Nienawidziłeś mnie. Musisz nadal mnie nienawidzić.

– Nie nienawidziłem cię. Kier...

– Posłuchaj go – mruknął król. – Posłuchaj, jak kłamie.

– To dlaczego? – zapytał Kieran. Odsunął się krok od Marka. – Dlaczego mnie okłamywałeś?

– Zastanów się, synu – Król sprawiał wrażenie, jakby świetnie się bawił. – Czego od ciebie chcą?

Kieran z trudem oddychał.

– Zznań. Żebym poświadczył przed Radą. Ty... Ty to wszystko zaplanowałeś, Mark? To oszustwo? Czy wszyscy w Instytucie wiedzą? Tak, z pewnością. Muszą wiedzieć. – Jego włosy stały się czarne jak ziemia. – Zatem królowa też wie. Razem z tobą zaplanowała, że zrobi ze mnie głupca?

Ból na jego twarzy był nie do zniesienia. Mark nie mógł patrzeć na to cierpienie, nie mógł patrzeć na Kierana. To Cristina odezwała się za niego:

– Nie, Kieranie. To nie było tak...

– I ty też wiedziałas? – Kieran odwrócił się do niej, a poczucie zdrady na jego twarzy prawie wcale się nie zmniejszyło. – Ty też?

Król się roześmiał. Wtedy Marka zalał gniew, ślepa furia. Złapał pogrzebacz z kominka. Król nadal się śmiał, kiedy Mark podszedł do niego, uniósł pogrzebacz i wziął zamach...

Uderzył w złoty żołędź, który leżał przed kominkiem, i zmiażdżył go na proch. Śmiech króla urwał się nagle. Posłał Markowi spojrzenie pełne czystej nienawiści i zniknął.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Kieran. – Bałeś się, co jeszcze mi powie?

Mark z głośnym brzękiem odrzucił pogrzebacz do kominka.

– Oddał ci wspomnienia, prawda? Więc wiesz wszystko.

– Nie wszystko – odpowiedział Kieran łamiącym się głosem.

Mark pomyślał o nim, jak wisiał w cierniowych okowach na Ciemnym Dworze i że teraz w jego oczach pojawiła się ta sama rozpacz.

– Nie wiem, jak to zaplanowałeś, kiedy zdecydowałeś, że mnie okłamiesz, żeby dostać ode mnie to, co chcesz. Nie wiem, jak wielkie obrzydzenie czułeś za każdym razem, gdy mnie dotykałeś, kiedy udawałeś, że mnie pragniesz. Nie wiem, kiedy zamierzałeś powiedzieć mi prawdę. Po zeznaniach? Zamierzałeś kpić ze mnie i śmiać się przed Radą czy też poczekałbyś, aż zostaniemy sami? Powiedziałeś wszystkim, jakim jestem potworem, jaki egoistyczny i pozbawiony serca...

– Nie jesteś potworem – przerwał mu Mark. – Z twoim sercem nie stało się nic złego.

W oczach Kierana był tylko ból, kiedy patrzył, jak Mark pokonuje niewielką odległość, która ich dzieliła.

– To nie może być prawda – odparł – ponieważ ty byłeś moim sercem.

– Przestań – powiedziała Cristina głosem cichym i zmartwionym, ale stanowczym. – Pozwól, żeby Mark ci wyjaśnił...

– Mam już dość ludzkich tłumaczeń – odrzekł Kieran. Wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

* * *

Resztki migoczącej Bramy się rozproszyły. Julian i Magnus stali niemal ramię w ramię, patrząc, jak Alec i dzieci znikają.

Magnus z westchnieniem przerzucił koniec szalika przez ramię i przeszedł przez pokój, żeby nalać sobie wina z karafki, która obrastała kurzem na stoliku koło okna. Na zewnątrz było już prawie ciemno, niebo nad Londynem przybrało kolor fiołków.

– Chcesz trochę? – zapytał Juliana, zamykając karafkę.

– Pewnie powinienem zostać trzeźwy.

– Jak uważasz.

Magnus wziął kieliszek i przyjrzał się zawartości. Padające przez szkło światło zamieniało wino w płynny rubin.

– Dlaczego tak nam pomagasz? – zapytał Julian. – Wiem, że jesteśmy sympatyczną rodziną, ale nikt nie jest aż tak sympatyczny.

– Owszem – zgodził się Magnus z lekkim uśmiechem. – Nikt.

– A więc?

Magnus napił się wina i wzruszył ramionami.

– Jace i Clary poprosili mnie o to. Jace to *parabatai* Aleca, a ja zawsze czułem się jak ojciec Clary. To moi przyjaciele. A niewiele jest rzeczy, których nie zrobiłbym dla przyjaciół.

– To naprawdę wszystko?

– Możliwe, że kogoś mi przypominasz.

– Ja? – To zaskoczyło Juliana. Ludzie rzadko mu to mówili. – Kogo ci przypominam?

Magnus pokręcił głową.

– Wiele lat temu powracał do mnie sen o mieście tonącym we krwi. Wieże z kości i krew płynąca ulicami jak woda. Pomyślałem później, że chodziło o Mroczną Wojnę, i rzeczywiście sen zniknął w latach, które nastąpiły po wojnie. – Opróżnił kieliszek i odstawił. – Jednak ostatnio sen powrócił. Nic na to nie poradzę, ale myślę, że coś się szykuje.

– Ostrzegłeś ich. Radę. W dniu, kiedy postanowili wypędzić Helen

i porzucić Marka. W dniu, kiedy zdecydowali się podpisać Zimny Pokój. Uprzedziłeś ich, że to będzie miało swoje konsekwencje. – Julian oparł się o ścianę. – Miałem tylko dwanaście lat, ale to pamiętam. Powiedziałeś: „Faerie od dawna nienawidziły Nefilim za ich surowość. Okażcie im coś innego niż surowość, a dostaniecie w zamian coś innego niż nienawiść”. Ale oni nie posłuchali, prawda?

– Chcieli zemsty. Nie dostrzegali, że zemsta rodzi zemstę. „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę”.

– To z Biblii. – Julian dorastał przy wuju Arturze, nauczył się więc tyłu klasyczny cytatów, że nie wiedział, co z nimi robić. – Jednak istnieją różne rodzaje zemsty – dodał. – Istnieje różnica między ukaraniem winnych i karaniem na oślep. „Sprawiedliwie jest pozbycie się ludzkich wrogów, którzy noszą piekło w duszy”.

– Pewnie można znaleźć cytat na każdą okazję. Słuchaj, niczego nie wypaplam przed Clave, bez względu na to, co czarownicy z Nocnego Targu mogą gadać na mój temat, ale znałem dziesiątki *parabatai*, wiem, jacy powinni być, a ty i Emma jesteście inni. Gdyby nie chaos Mrocznej Wojny, wątpię, czy pozwolono by wam przejść ceremonię.

– A teraz z powodu ceremonii, która ma nas wiązać na zawsze, musimy wymyślić, jak się rozdzielić – rzucił z goryczą Julian. – Oboje to wiemy. Ale póki Jeźdźcy czyhają...

– Tak. Na razie jesteście zmuszeni zostać razem.

Julian odetchnął przez zęby.

– Potwierdź mi tylko jedną rzecz. Nie ma czegoś takiego jak zaklęcie, które kasuje miłość?

– Istnieje parę tymczasowych zaklęć, ale nie trwają wiecznie. Prawdziwa miłość, złożoność ludzkiego serca i mózgu nadal leżą poza zasięgiem prostych magicznych sztuczek. Może anioł albo Wielki Demon...

– Czyli Razjel mógłby tego dokonać.

– Na twoim miejscu nie czekałbym na to z zapartym tchem. Serio szukałeś czarów, które kasują miłość?

Julian pokiwał głową.

– Naprawdę jesteś bezwzględny. Nawet wobec samego siebie.

– Myślałem, że Emma już mnie nie kocha. A ona myślała tak o mnie. Teraz znamy prawdę. Taka miłość nie jest po prostu zakazana przez Clave. Jest

przekłeta.

Magnus się skrzywił.

– Zastanawiałem się, czy o tym wiesz.

Julianowi zrobiło się zimno. Zatem nie było szansy, żeby Jem się po prostu mylił. Chociaż, prawdę mówiąc, Julian nie wierzył w możliwość jego pomyłki.

– Jem powiedział Emmie. Nie wyjaśnił dokładnie, jak to działa. Co się może stać.

Magnusowi lekko drżała ręka, kiedy potarł nią oczy.

– Poszukaj historii o Silasie Pangbornie i Eloisie Ravenscar. Istnieją też inne opowieści, ale Cisi Braci zrobili, co w ich mocy, żeby je wyciszyć. – Jego kocie oczy były przekrwione. – Najpierw wariujesz. Przestajesz być ludzką istotą. A kiedy już stajesz się potworem, nie potrafisz odróżnić przyjaciół od wrogów. Gdy rodzina biegnie ci na ratunek, wrywasz im serca z piersi.

Julianowi zrobiło się niedobrze.

– To... Nigdy nie skrzywdziłbym rodziny.

– Nie będziesz wiedział, kim są. Nie będziesz odróżniał miłości od nienawiści. Zniszczysz wszystko, co jest wokół ciebie, nie dlatego, że tego chcesz, tak jak fala nie chce roztrzaskać skał, gdy w nie uderza. Zrobisz to, bo nie będziesz wiedział, że masz tego nie robić. – Magnus spojrzał na Juliana z odwiecznym współczuciem. – Nieważne, czy masz dobre, czy złe intencje. Nie ma znaczenia, że miłość to pozytywna siła. Magia nie zwraca uwagi na drobne ludzkie troski.

– Wiem. Ale co możemy zrobić? Nie mogę zostać Przyziemnym albo Podziemnym i opuścić rodziny. To by zabiło i mnie, i ich. A porzucenie roli Nocnego Łowcy byłoby jak samobójstwo dla Emmy.

– Istnieje wygnanie. – Spojrzenie Magnusa było niezgłębione. – Nadal będziecie Nocnymi Łowcami, ale pozbawionymi części magii. Oto co znaczy wygnanie. To kara. Ponieważ magia *parabatai* to jeden z najcenniejszych i najgłębiej zakorzenionych rodzajów magii Nocnych Łowców, wygnanie ją przerywa. Wszystko to, co przekleństwo wzmacnia: moc runów, jakie sobie rysujecie, zdolność odczuwania tego, co czuje twój *parabatai*, świadomość, kiedy zostaje ranny... To wszystko wygnanie odbiera. O ile rozumiem magię, a wiem, że rozumiem, w ten sposób wygnanie w ogromnym stopniu spowolni kłutwę.

– Wygnanie oddzieli mnie także od dzieci – rozpaczął Julian. – Mogę ich nigdy więcej nie zobaczyć. Równie dobrze mógłbym zostać Przyziemnym. Wtedy przynajmniej mógłbym się czasem zakraść i popatrzeć na nie z oddali. – Jego głos był przepęlniony goryczą. – Warunki wygnania określają Inkwizytor i Clave. Nie mielibyśmy na to żadnego wpływu.

– Niekoniecznie.

Julian spojrział na niego ostro.

– Lepiej mi powiedz, co masz na myśli.

– Masz tylko jedną możliwość. I ona ci się nie spodoba – Magnus urwał, jakby czekał, aż Julian zaprotestuje, powie, że nie chce tego słuchać, ale on nie odezwał się ani słowem. – W porządku. Kiedy przeniesiesz się do Alicante, powiedz o wszystkim Inkwizytorowi.

* * *

– Kit...

Coś chłodnego dotknęło jego skroni, odgarnęło mu włosy. Cienie otaczały Kita, cienie, w których widział znajome i nieznanne twarze. Twarz kobiety o jasnych włosach, której usta układały się w słowa piosenki. Twarz ojca. Wściekłe oblicze Barnabasa Hale'a. Twarz Tiberiusa patrzącego spod gęstych rzęs, czarnych jak sadza na londyńskich ulicach w powieściach Dickensa.

– Kit.

Chłodny dotyk zamienił się w pukanie. Otworzył oczy i zobaczył sufit izby chorych w Instytucie Londyńskim. Rozpoznał dziwną plamę w kształcie drzewa na ścianie, widok dachów za oknem, wiatrak, który obracał się leniwie nad jego głową.

A poza tym unosiła się nad nim para zatroskanych, niebiesko-zielonych oczu. Livvy. Jej długie brązowe loki opadały płataniną. Odetchnęła z ulgą, gdy zmarszczył czoło.

– Przepraszam – powiedziała. – Magnus kazał budzić cię co parę godzin, żebyśmy mieli pewność, że wstrząśnienie mózgu się nie pogarsza.

– Wstrząśnienie mózgu? – Kit przypomniał sobie dach, deszcz, Gwyna i Dianę, niebo pełne uciekających chmur, gdy się osunął. – Jak wylądowałem tu ze wstrząśnieniem mózgu? Nic mi nie było.

– Najwyraźniej tak czasem bywa. Ludzie uderzają się w głowę i nie zdają sobie sprawy, jakie to poważne, dopóki nie zemdleją.

– Co z Ty’em? – zapytał.

Spróbował usiąść, ale to był błąd. Czaszka go zabolęła, jakby ktoś przyłożył mu pałką. Fragmenty wspomnień rozbłysły pod powiekami. Faerie w przerażających zbrojach z brązu. Betonowa platforma nad rzeką. Pewność, że zaraz umrą.

– Proszę. – Livvy podłożyła mu rękę pod kark i przytrzymała. Coś chłodnego brzęknęło o jego zęby. – Wypij to.

Kit przełknął. Nadeszła ciemność, a wraz z nią odszedł ból. Znowu usłyszał śpiew rozbrzmiewający w najgłębszych otchłaniach niepamięci: *The story that I love you, it has no end.*

Historia mojej miłości do ciebie nie ma końca.

Gdy ponownie otworzył oczy, świeca obok jego łóżka zgasła. Jednak w pokoju było jasno – Ty siedział obok łóżka z kamieniem runicznym, wpatrując się w wirujące łopatki wiatraka.

Kit zakaszał i usiadł. Tym razem głowa bolała go trochę mniej. Gardło miał jak wyłożone papierem ściernym.

– Wody – wychrypiał.

Ty oderwał wzrok od wiatraka. Kit zauważył już wcześniej, że Ty lubi przyglądać się wiatrakom, jakby ich wdzięczny ruch sprawiał mu przyjemność. Ty znalazł karafkę i szklankę, po czym podał je Kitowi.

– Chcesz jeszcze? – zapytał, gdy Kit opróżnił szklankę.

Przebrał się, odkąd Kit widział go ostatni raz. Kolejne dziwne, staroświeckie rzeczy z magazynu. Koszula w prążki, czarne spodnie. Wyglądał jak wyjęty ze starej reklamy.

Kit pokręcił głową. Mocno trzymał szklankę w dłoni. Naszło go dziwne uczucie nierealności: oto on, Kit Rook, znajdował się w Instytucie z głową rozbitą przez wielkiego faerie za to, że bronił Nefilim.

Ojciec by się za niego wstydził, ale on czuł jedynie, że postąpił właściwie. Czuł, że jakaś częśćka, której zawsze brakowało w jego życiu, przez co dręczył go niepokój, niezwykłym zrzędzeniem losu powróciła do niego.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Ty.

Kit oparł się na poduszkach.

– Co takiego?

– Kiedy wyszedłem ze sklepu, ty i Livvy się kłóciliście. – Szare spojrzenie Ty’ a zatrzymało się w okolicy obojczyka Kita. – Chodziło o mnie, prawda?

– Skąd wiesz, że się kłóciliśmy? Słyszałeś nas?

Ty pokręcił głową.

– Znam Livvy. Wiem, kiedy jest zła. Wiem, co robi. Jest moją siostrą bliźniaczką. Nie umiem tego rozpoznać u innych osób, ale u niej tak. – Wzruszył ramionami. – Kłótnia dotyczyła mnie, prawda?

Kit skinął głową.

– Wszyscy próbują mnie chronić – powiedział Ty. – Julian stara się mnie chronić przed wszystkim. Livvy stara się mnie chronić przed rozczarowaniem. Nie chce, żebym wiedział, że możesz odejść, ale ja zawsze to wiedziałem. Jules i Livvy... Oni nie potrafią sobie wyobrazić, że dorosłem. Że potrafię zrozumieć, że pewne rzeczy są chwilowe.

– Masz na myśli mnie. Że ja jestem tu chwilowo.

– To twój wybór: odejdiesz czy zostaniesz. W Limehouse myślałem, że może raczej odejdiesz.

– A co z tobą? Myślałem, że wybierasz się do Scholomancji. Ja w życiu bym się tam nie dostał. Nie przeszedłem nawet podstawowego szkolenia.

Kit odstawił szklankę po wodzie. Ty natychmiast ją wziął i zaczął obracać w rękach. Była z mlecznego szkła, szorstka od zewnątrz. Ty’ owi najwyraźniej odpowiadała jej faktura.

Ty milczał i w tej ciszy Kit pomyślał o jego słuchawkach, muzyce w uszach, szeptanych słowach, sposobie, w jaki w całkowitym skupieniu dotykał różnych przedmiotów: gładkich kamieni, szorstkiego szkła, jedwabiu, wyprawionej skóry, płótna. Wiedział, że są na świecie ludzie, którzy uważają, że takie osoby jak Ty robią to wszystko bez powodu, tylko dlatego że ich zachowania nie da się wytłumaczyć. Są popsuci.

Kita ogarnął gniew. Jak mogli nie rozumieć, że wszystko, co Ty robi, ma swoje powody? Gdyby syrena karetki wyła ci prosto w uszy, zasłaniałbyś je. Gdyby coś cię uderzało, osłaniałbyś się podwójnie przez bólem.

Jednakże nie każdy czuje i słyszy w taki sam sposób. Ty odbierał wszystko jako dwa razy głośniejsze i szybsze niż inni. Kit wyczuwał, że słuchawki i muzyka to w jego wypadku specyficzny bufor: zagłuszały nie tylko inne hałasy, ale także uczucia, które w przeciwnym wypadku byłyby zbyt intensywne. Chroniły Ty’ a przed zranieniem.

Zastanawiał się, jakie to musi być uczucie żyć tak intensywnie, czuć tak wiele w świecie zbyt jaskrawych kolorów i zbyt przenikliwych dźwięków. Gdy każdy odgłos i uczucie były podkreślone do maksimum, jedyną nadzieją na uspokojenie się było skupienie całej energii na czymś małym, nad czym można zapanować – na kłębie wyciorów do fajki, który trzeba rozplątać. Albo na nierównej powierzchni szklanki pod palcami.

– Nie chcę ci mówić, żebyś nie szedł do Scholomancji, jeśli tego właśnie pragniesz – powiedział Kit. – Twierdzą tylko, że nie zawsze chodzi o to, że ludzie próbują cię chronić; nie zawsze wiedzą, co dla ciebie najlepsze, nawet nie zawsze tak myślą. Czasem po prostu wiedzą, że będą za tobą tęsknić.

– Livvy tęskniłaby za mną...

– Cała rodzina by za tobą tęskniła. I ja też.

To było trochę jak zrobienie kroku poza krawędź urwiska – daleko bardziej przerażające niż wszelkie przekręty, jakie robili z ojcem, niż wszyscy Podziemni czy demony, z jakimi się zetknął. Zaskoczony Ty podniósł wzrok, zapomniawszy o szklance w rękach. Zarumienił się. Kolory były bardzo widoczne na jego bladej skórze.

– Serio?

– Serio. Ale jak już mówiłem, nie chcę cię powstrzymywać przed pójściem do Scholomancji, jeśli tego właśnie pragniesz...

– Nie chcę. Zmieniłem zdanie. – Ty odstawił szklankę. – Nie z twojego powodu. Po prostu Scholomancja wygląda na miejsce, w którym roi się od dupków.

Kit wybuchnął śmiechem. Ty sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdumionego, niż kiedy Kit powiedział, że tęskniłby za nim, ale po sekundzie też zaczął się śmiać. Obaj się śmiali. Kit właśnie zgiął się wpół ze śmiechu, kiedy Magnus wszedł do pokoju. Spojrzał na nich obu i pokręcił głową.

– Dom wariatów – orzekł i podszedł do blatu, gdzie stały szklane rurki i lejki. Spojrzał na nie z zadowoleniem. – Pewnie nikt się tym nie przejmie, ale antidotum na czar wiążący jest już gotowe. Powinniśmy móc jutro bez problemu przenieść się do Idrisu.

* * *

Cristina miała wrażenie, że przez jej pokój przeszło tornado. Odłożyła nóż

motylkowy na kominek i odwróciła się do Marka.

Opierał się o ścianę. Oczy miał szeroko otwarte, ale na niczym nie skupiał wzroku. Przypomniała sobie starą książkę, którą czytała jako dziewczynka. Był tam chłopiec, który miał oczy dwóch różnych kolorów, rycerz krzyżowy. Jedno oko dla Boga, jak pisano w książce, drugie dla diabła.

Chłopiec był podzielony na pół, jedna część dobra, druga zła. Tak jak Mark był rozdarty pomiędzy faerie i Nefilim. Widziała toczącą się w nim walkę, chociaż cały gniew skierował na siebie.

– Mark – zaczęła – to nie...

– Nie mów, że to nie moja wina – przerwał jej beznamiętnie. – Nie mogę już tego znieść.

– To nie tylko twoja wina. Wszyscy wiedzieliśmy. Wszyscy ponosimy winę. To nie było słuszne, ale nie mieliśmy wyboru. A Kieran rzeczywiście cię skrzywdził.

– Mimo to nie powinienem był go okłamywać.

Nierówne ciemne pęknięcie w tynku na ścianie, wychodzące spod farby, było jedynym śladem tego, co wydarzyło się w pokoju – to i zmiażdżony złoty żołędź przy kominku.

– Mówię tylko, że jeśli zdołasz mu przebaczyć, on także powinien przebaczyć tobie.

– Możesz podejść? – zapytał Mark zduszonym głosem.

Miał zamknięte oczy, otwierał i zaciskał pięści. Prawie się potknęła, podchodząc do niego. Mark wyczuł, że się do niego zbliża. Nie otwierając oczu, wyciągnął po nią rękę i złapał jej dłoń w uścisk zdolny zmiażdżyć kości.

Cristina zerknęła w dół. Trzymał jej rękę tak mocno, że to powinno boleć, ale ona widziała tylko czerwone ślady na ich nadgarstkach. Kiedy stali tak blisko, znaki zbladły do tego stopnia, że prawie zniknęły.

Znowu poczuła to samo, co tamtej nocy w sali balowej – jakby czar wiążący wzmacniał ich bliskość, zamieniając ją w coś innego, co sprawiało, że powracała myślami do tamtego wzgórza w Faerie, do wspomnienia chwili, w której bez reszty zatraciła się w Marku.

Jego usta odnalazły jej wargi. Usłyszała, jak jęknął. Całował ją mocno i desperacko. Czowała się tak, jakby wlewał ogień w jej ciało, przez co sama stawała się lekka jak popiół.

Nie mogła jednak zapomnieć, jak Kieran całował przy niej Marka,

namiętnie i z rozmysłem. Wyglądało na to, że nie potrafi myśleć o Marku, nie myśląc też o Kieranie. Nie mogła widzieć niebieskich i złotych oczu, nie widząc także czarnych i srebrnych.

– Mark – powiedziała mimo ich złączonych ust. Jego ręce wędrowały po niej, zamieniając jej krew w delikatny żar. – To nie jest właściwy sposób, żeby zapomnieć.

Odsunął się od niej.

– Chcę cię obejmować – powiedział. – Chcę tego straszliwie. – Wypuścił ją powoli, jakby ten ruch sprawiał mu wysiłek. – Ale to nie byłoby w porządku. Ani wobec ciebie, ani wobec Kierana czy mnie samego. Nie w tej chwili.

Cristina dotknęła grzbietu jego dłoni.

– Musisz pójść do Kierana i naprawić stosunki między wami. Jest zbyt ważną częścią ciebie.

– Słyszałaś, co powiedział król. – Mark odchylił głowę i oparł ją o ścianę. – Zabije Kierana, jeśli ten złoży zeznania. Będzie go wiecznie ścigał. To nasza robota.

– Zgodził się...

– Nie znając prawdy! Zgodził się, bo myślał, że mnie kocha i ja Kocham jego...

– A to nie jest prawda? Nawet jeśli nie, to nie zapomniał, że się pokłóciliście. Zapomniał, co zrobił. Zapomniał, co jest ci winien. Zapomniał o własnych wyrzutach sumienia. I to dlatego jest taki zły. Nie na ciebie, ale na siebie.

Mark mocniej uścisnął jej rękę.

– Obaj mamy teraz dług wobec siebie nawzajem, i ja, i on. Naraziłem go na niebezpieczeństwo. Król Ciemnego Dworu wie, że Kieran zamierza zeznawać. Przysiągł, że go dopadnie. Cristino, co teraz zrobimy?

– Spróbujemy go ochronić. Bez względu na to, czy będzie zeznawał, czy nie, król mu nie wybaczy. Musimy znaleźć miejsce, gdzie Kieran będzie bezpieczny. – Cristina uniosła podbródek, gdy nagle coś do niej dotarło. – Znam takie miejsce. Mark, musimy...

Ktoś zapukał do drzwi. Odsunęli się od siebie, kiedy drzwi się otworzyły. Oboje spodziewali się Kierana. Rozczarowanie Marka było doskonale widoczne, gdy się okazało, że to Magnus.

Trzymał w rękach dwie metalowe, ozdobnie ryte butelki. Na widok miny

Marka uniósł brwi.

– Nie wiem, na kogo czekałeś, ale przykro mi, że cię rozczarowałem – rzucił oschle. – Antidotum jest gotowe.

Cristina spodziewała się podniecenia albo ulgi, ale niczego nie poczuła. Dotknęła lewą ręką obolałego nadgarstka i zerknęła na Marka, który wbił wzrok w podłogę.

– Nie śpieszcie się z podziękowaniami ani nic w tym stylu – zachnął się Magnus, podając im butelki. – Wylewne dowody wdzięczności tylko wprawiają mnie w zakłopotanie, chociaż podarki w postaci gotówki zawsze są mile widziane.

– Dziękuję, Magnusie – powiedziała Cristina, czerwieniąc się.

Odkręciła butelkę. Ze środka wypłynął mroczny, gorzki zapach, podobny do aromatu *pulque*, napoju alkoholowego, za którym nigdy nie przepadała.

Magnus uniósł rękę.

– Poczekajcie z wypiciem, aż znajdziecie się w osobnych pokojach. Właściwie to powinniście się rozstać na kilka godzin, żeby działanie antidotum się utrwaliło. Wszelkie efekty wiązania powinny do jutra zniknąć.

– Dziękuję – powiedział Mark i ruszył do drzwi. Zatrzymał się i obejrzał się na Cristinę.

– Zgadzam się – powiedział. – Co do Kierana. Jeśli możesz w jakikolwiek sposób zapewnić mu bezpieczeństwo, zrób to.

Wyszedł bezszelestnie jak kot. Magnus zerknął na pękniętą ścianę, a potem na Cristinę.

– Chcę wiedzieć?

Cristina westchnęła.

– Czy ognista wiadomość wydobędzie się poza zaklęcia ochronne, które postawiłeś?

Magnus znowu spojrzął na ścianę, pokręcił głową i odpowiedział:

– Lepiej daj ją mnie. Ja ją wyślę.

Zawahała się.

– Nie przeczytam jej – dodał poirytowany. – Obiecuję.

Cristina odstawiła butelkę, znalazła papier, pióro i stęłę, napisała wiadomość, opatrzyła ją runicznym podpisem, a następnie złożyła i podała Magnusowi, który zagwizdał cicho przez zęby na widok nazwiska adresata.

– Jesteś pewna?

Skinęła głowę z przekonaniem, którego nie czuła.

– Całkowicie.

Złe duchy

– Emma. – Julian zapukał knykciami dłoni do jej drzwi. Przynajmniej wydawało mu się, że to drzwi do jej pokoju. Ani razu w nim nie był, odkąd wylądowali w Instytucie Londyńskim. – Emmo, nie śpisz? Wiem, że już późno.

Usłyszał, jak woła, żeby wszedł. Głos był stłumiony przez grube drewniane drzwi. Wnętrze przypominało jego pokój, stały w nim takie same kłocowate wiktoriańskie meble. Łóżko miało jedwabny baldachim zawieszony na solidnych kolumnkach.

Emma leżała na narzucie w spranym T-shircie i spodniach od pizamy. Przeturlała się na bok i uśmiechnęła się do Juliana szeroko.

Przytłaczające uczucie miłości uderzyło go jak cios w pierś. Emma miała niechlujnie związane włosy. Leżała na pomiętym kocu, przed nią stał talerz z ciastem. Julian zatrzymał się na środku pokoju dla nabrania tchu.

Pomachała do niego wesoło tartą.

– Banany z karmelem. Chcesz trochę?

Mógłby paroma krokami przemierzyć pokój. Mógłby porwać ją w ramiona i mocno objąć. Mógłby powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Gdyby byli inną parą, to byłoby łatwe.

Ale dla nich nic nie będzie łatwe.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Wszystko w porządku?

Skinął głową trochę zdumiony własnymi uczuciami. Zwykle panował nad sobą. Może to przez tę rozmowę z Magnusem. Może to ona dała mu nadzieję.

Jeśli życie czegoś go nauczyło, to tego, że nie ma niczego bardziej niebezpiecznego od nadziei.

– Julianie? – powiedziała z naciskiem Emma. Usiadła i zmiotła okruchy ręką. – Powiedz coś.

Odchrząknął.

– Musimy porozmawiać.

Jęknęła i padła na poduszki.

– Tylko nie to...!

Julian siadł w nogach jej łóżka, kiedy ona porządkowała koce, odstawiała na bok jedzenie i rzeczy, które przeglądała. Zauważył starą fotografię dziewczyny z mieczem podobnym do Cortany i drugą, przedstawiającą chłopców w edwardiańskich strojach nad rzeką.

Kiedy skończyła, jeszcze raz otarła ręce z okruchów i odwróciła się do Juliana.

– Jak szybko musimy się rozdzielić? – zapytała. Głos jej trochę drżał. – Zaraz po posiedzeniu Rady w Alicante? Co powiemy dzieciom?

– Rozmawiałem z Magnusem. Powiedział, że powinniśmy zwrócić się do Inkwizytora.

Emma prychnęła z niedowierzaniem.

– Inkwizytora?! Znaczy do przywódcy Rady, która wymusza egzekwowanie Prawa?

– Jestem pewien, że Magnus wie, kim jest Inkwizytor. To ojciec Aleca.

– Czy to była groźba? Albo zwrócimy się do Roberta Lightwooda, albo on zrobi to za nas? Ale przecież Magnus nie... Nie wyobrażam sobie, żeby zrobił coś takiego. Jest zbyt lojalny.

– Nie o to chodzi. Magnus chce nam pomóc. Pamięta innych *parabatai* takich jak my i... i zwrócił uwagę, że nikt z nich nigdy nie zwrócił się o pomoc do Clave.

– Bo to Prawo zostało ustanowione przez Clave!

– Nie w tym problem. Możemy poradzić sobie z Prawem. To przekleństwo jest powodem istnienia Prawa, nawet jeśli Clave o tym nie wie. Jednak my wiemy.

Emma patrzyła na niego bez słowa.

– Wszyscy inni *parabatai* bali się Prawa bardziej niż przekleństwa. Zawsze albo się rozstawali i opuszczali Clave, albo ukrywali to, co się z nimi dzieje, aż zostawali przyłapani lub przekleństwo ich zabijało. Magnus twierdzi, że bylibyśmy pierwsi i że to będzie miało znaczenie dla Roberta. I zwrócił

uwagę na coś jeszcze. Robert też został kiedyś wygnany, ponieważ wiele lat temu należał do Kręgu. Wygnanie tymczasowo zawiesiło jego więź z *parabatai*. Magnus dowiedział się o tym od Aleca. Wygnanie zniszczyło więź do tego stopnia, że Robert nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego *parabatai* nie żyje.

– Wygnanie? – Emmie drżał głos. – Wygnanie oznacza, że Clave cię odsyła i już. Nie masz w tej kwestii nic do gadania...

– Ale to Inkwizytor decyduje o warunkach wygnania. To Robert postanowił, że Aline może towarzyszyć Helen, kiedy ta została wygnana. Clave było temu przeciwne.

– Jeśli jedno z nas ma zostać wygnane, to ja – powiedziała Emma. – Pojadę z Cristiną do Meksyku. Ty jesteś potrzebny dzieciom. Ja nie.

Mówiła stanowczo, ale oczy błyszczały jej od łez. Juliana zalała ta sama fala desperackiej miłości, jaką żywił do niej wcześniej. Bał się, że nim owładnie i zmusi go do wycofania się.

– Ja też nie mogę znieść myśli o separacji – przyznał, przesuwając ręką po kocu; jego szorstka faktura była miła dla palców. – Miłość, jaką do ciebie czuję, to coś fundamentalnego. To ona określa, kim jestem. Bez względu na odległość między nami.

Blask w jej oczach się przelał. Łza spłynęła po policzku. Nawet jej nie wytarła.

– A więc...

– Banicja przerwie więź. – Starał się mówić spokojnie. Nadal pewna częśćka jego osoby nie mogła znieść myśli, że nie będzie *parabatai* Emmy. Nienawidził też myśli o wygnaniu. – Magnus jest tego pewien. Wygnanie dokona czegoś, czego separacja nie jest w stanie dokonać, ponieważ wygnanie to głęboko sięgające zaklęcie Nocnych Łowców. Ceremonia wygnania osłabia część zdolności Nocnego Łowcy, jego magię, a posiadanie *parabatai* stanowi część tej magii. To znaczy, że przekleństwo można odsunąć w czasie. To znaczy, że zyskamy trochę czasu, a ja będę mógł zostać z dziećmi. W przeciwnym wypadku musiałbym je opuścić. Przekleństwo nie rani tylko nas, ale także otaczających nas ludzi. Nie mógłbym zostać z dziećmi, myśląc, że mogę stanowić dla nich zagrożenie.

Pokiwała powoli głową.

– Zatem zyskamy na czasie, a potem co?

– Magnus obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by wymyślić, jak przełamać więź albo zniszczyć klątwę. Jedno lub drugie.

Emma potarła mokry policzek, a on zobaczył długą bliznę na przedramieniu, którą miała, odkąd pięć lat wcześniej w Alicante dał jej Cortanę. Ile blizn dajemy sobie nawzajem, pomyślał.

– Nie mogę tego znieść – powiedziała. – Nie mogę znieść myśli o oddaleniu się od ciebie i dzieci.

Chciał wziąć ją za rękę, ale się powstrzymał. Jeśli jej dotknie, może się rozsypać, a musiał pozostać silny, rozsądny i pełen nadziei. To on wysłuchał Magnusa i się zgodził. On.

– Ja też nie mogę tego znieść. Gdybym to ja mógł udać się na wygnanie, zrobiłbym to. Słuchaj, zgodzimy się tylko na takie warunki, jakie będą nam odpowiadały. Jeśli wygnanie będzie krótkoterminowe, jeśli będziesz mogła zamieszkać z Cristiną, jeśli Inkwizytor obieca, że nazwisko twojej rodziny nie zostanie zhańbione.

– Magnus naprawdę myśli, że Robert Lightwood będzie aż tak chętny, żeby nam pomóc? Że właściwie pozwoli nam podyktować warunki naszego wygnania?

– Naprawdę tak myśli. Chociaż nie powiedział, dlaczego. Może dlatego, że Robert sam kiedyś został wygnany, może z powodu śmierci jego *parabatai*.

– Ale Robert nie wie o przekleństwie.

– I nie musi wiedzieć. Już sama miłość oznacza złamanie Prawa, na długo przed uruchomieniem klątwy. A Prawo mówi, że trzeba nas rozdzielić albo odebrać nam Znaki. To nie jest dobre dla Clave. Będzie im szkoda Nocnych Łowców, zwłaszcza tak dobrych jak ty. Inkwizytorowi będzie bardzo zależało na rozwiązaniu, dzięki któremu pozostaniesz Nefilim. Poza tym możemy wyrzucić na nich nacisk.

– Jaki?

Julian odetchnął głęboko.

– Wiemy, w jaki sposób przerwać więź. Zachowywaliśmy się, jakbyśmy o tym nie wiedzieli, ale wiemy.

Emma zamarła.

– Ponieważ nawet nie rozważamy tego pomysłu. To coś, czego nigdy nie moglibyśmy zrobić.

– Ale taki sposób istnieje. I my o nim wiemy.

Emma złapała go nagle za przód koszulki. Niesłuchanie mocno.

– Julianie – powiedziała – to byłby niewybaczalny grzech, gdybyśmy posłużyli się magią, o której mówiła królowa Jasnego Dworu. Zranilibyśmy nie tylko Jace’a i Aleca, Clary i Simona. Zranilibyśmy mnóstwo ludzi, których nie znamy. Zniszczylibyśmy to, co jest dla nich równie fundamentalne jak to, że ty kochasz mnie, a ja ciebie...

– Oni nie są nami. Nie chodzi tylko o ciebie i o mnie, ale także o dzieci. O moją rodzinę. Naszą rodzinę.

– Jules. – Przerazenie w jej oczach było doskonale widoczne. – Zawsze wiedziałam, że zrobiłbyś wszystko dla dzieci. Zawsze mówiliśmy, że oboje zrobilibyśmy dla nich wszystko. Ale mimo że mówimy „wszystko”, to nadal znaczy, że istnieją rzeczy, których byśmy nie zrobili. Nie wiesz tego?

Julianie.

Przeraziłeś mnie.

– Tak, wiem – odpowiedział.

Trochę się rozluźniła. Oczy miała okrągłe jak spodki. Jeszcze bardziej zapragnął ją pocałować, po części dlatego, że była Emmą i chciała dobrze, była uczciwa i troskliwa.

Jak na ironię.

– To tylko groźba – dodał. – Możliwość nacisku z naszej strony. Nie zrobimy tego, ale Robert nie musi tego wiedzieć.

Emma puściła jego koszulkę.

– To zbyt poważna groźba. Zniszczenie *parabatai* mogłoby rozerwać rzeczywistość Nefilim na strzępy.

– Niczego nie zniszczymy. – Ujął jej twarz w dłonie. Jej skóra była miękka. – Wszystko naprawimy. Będziemy razem. Wygnanie da nam czas potrzebny na to, żeby znaleźć sposób na zerwanie więzi. Jeśli królowa Jasnego Dworu może to zrobić, to musi istnieć też inny sposób. Przekleństwo deptało nam po piętach jak potwór. Teraz będziemy mieli czas i miejsce, by złapać oddech.

Pocałowała jego dłoń.

– Sprawiasz wrażenie całkowicie pewnego swoich racji.

– Bo jestem ich pewny. Emma, jestem w stu procentach pewny.

Nie mógł znieść tego ani chwili dłużej. Przyciągnął ją i wziął na kolana. Opadła na niego całym ciężarem, wtuliła twarz w załom szyi. Wodziła ręką

po dekolcie jego T-shirta w miejscu styku skóry z materiałem.

– Wiesz, dlaczego jestem tego taki pewny? – szepnął, całując ją w skroń i w słony policzek. – Ponieważ kiedy ten wszechświat się narodził, kiedy powstał wśród ognia i chwały, wszystko, co miało istnieć, zostało stworzone. Nasze dusze powstały z tego ognia i chwały, z atomów tego wszechświata, z fragmentów gwiazd. Wszystkie dusze z tego powstały, ale wierzę, że twoja i moja zrodziły się z pyłu tej samej gwiazdy. Dlatego zawsze będziemy się przyciągać jak magnesy, przez całe życie. Nasze fragmenty tworzą całość. – Objął ją mocniej. – Twoje imię, Emma, znaczy wszechświat. Czy to nie dowodzi, że mam rację?

Zaśmiała się przez łzy, uniosła twarz i mocno go pocałowała. Szarpnął się jak dotknięty drutem pod napięciem. Przestał myśleć, słyszał tylko ich oddechy, czuł ręce Emmy na ramionach i jej smak w ustach.

Nie mógł tego znieść. Trzymając ją, przeturlał się na bok, pociągając ją za sobą. Wylądowali w poprzek łóżka. Jego dłonie błędziły pod jej przydużym T-shirtem, objął ją w talii, wędrował kciukami po biodrach. Nadal się całowali. Czuł się tak, jakby każdy jego nerw krwawił pożądaniem. Zlizął cukier z jej ust. Jęknęła.

Wszystko w tym obejmującym nas zakazie jest niewłaściwe, pomyślał. Nie było na świecie pary, która bardziej niż oni powinna być razem. Miał wrażenie, że ich więź wręcz przepala się przez ich Znaki *parabatai*, zbliżając ich ku sobie, pogłębiając każde odczucie. Wystarczyło, że przeczesywał dłońią miękką płataninę jej włosów, żeby czuł, jak kości zmieniają mu się w płyn, w ogień. Kiedy Emma wygięła się pod nim w łuk, wydawało mu się, że umrze.

A wtedy odsunęła się, biorąc głęboki, drżący wdech. Dygotała.

– Julianie, nie możemy.

Odturlał się od niej. Poczul się przy tym tak, jakby wyrwano mu kończynę. Wbił ręce w koc, łapiąc go tak mocno, że sprawił sobie ból.

– Emmo!

Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

– Chcę tego – powiedziała, podnosząc się na łokciu. Jej włosy były złotą płataniną, twarz wyrażała szczerą. – Musisz wiedzieć, że chcę. Ale póki jesteśmy *parabatai*, nie możemy.

– To nie sprawi, że będę cię kochał bardziej albo inaczej – wychrypiął. –

Kocham cię tak czy owak. Będę cię kochał nawet jeśli się nie dotkniemy.

– Wiem, ale lepiej nie kusić losu. – Dotknęła jego twarzy, piersi. – Serce tak szybko ci bije.

– Zawsze tak mi bije przy tobie. – Zamknął jej usta pocałunkiem, który godził się z tym, że tej nocy więcej pocałunków już nie będzie. – Tylko przy tobie. Przy nikim innym, tylko przy tobie.

To była prawda. Nigdy nie pragnął nikogo przed Emmą i nigdy nikogo po niej. Były czasy, kiedy był młodszy, i to go zastanawiało. Był nastolatkiem, powinien być pełen niesprecyzowanych tęsknot, pragnień i żądz, prawda? Ale nigdy nikogo nie pragnął, nie fantazjował, nie marzył ani za nikim nie tęsknił.

A potem pewnego dnia na plaży, kiedy Emma śmiała się obok niego, podniosła rękę i rozpięła spinkę. Włosy rozsypały jej się na palce i plecy jak płynne słońce.

Całe jego ciało zareagowało. Pamiętał to nawet teraz – przeszywający ból, jakby coś go śmiertelnie ugodziło. To sprawiło, że zrozumiał, dlaczego Grecy wierzyli, że miłość to strzała, która przeszywa ciało i pozostawia płonący ślad tęsknoty.

Po francusku nagłe zakochanie to *coup de foudre*. Uderzenie błyskawicy. Ogień w żyłach, niszczycielska siła tysiąca milionów woltów. Julian nie zakochał się nagle. Zawsze był zakochany. Po prostu dopiero wtedy zdał sobie z tego sprawę.

A potem tęsknił. Och, jak tęsknił. I żałował czasu, kiedy myślał, że coś przegapia, bo nie tęskni, ponieważ jego tęsknota była jak tysiąc okrutnych głosów szepczących mu, że jest głupcem. To było raptem sześć miesięcy po ich ceremonii *parabatai*, największym błędzie, jaki kiedykolwiek popełnił, błędzie, który był całkowicie nieodwracalny. Za każdym razem, kiedy potem widział Emmę, jej widok był jak nóż wbity w pierś – tyle że to był mile widziany ból. To było ostrze, które wbijał własną ręką, dociskał do serca; nic i nikt nie mogło mu go odebrać.

– Śpij – powiedział.

Objął ją, a Emma zwinęła się przy nim, zamykając oczy. Jego Emma, jego wszechświat, jego ostrze.

* * *

– Widzisz – powiedziała Diana – to jest dokładnie to, co myśleliśmy.

Srebrno-czarny księżyc świecił nad lasem Brocelind, kiedy Jia Penhallow wyszła z porażonego plagą kręgu pokrytych popiołem drzew i spalonej trawy. W tej samej chwili nóż seraficki w jej ręku zabłysnął, jakby ktoś przesunął włącznik.

Weszła z powrotem do kręgu. Ostrze pociemniało.

– Wysłałam Kieranowi zdjęcia – dodała Diana, wpatrując się w ponurą twarz pani Konsul. – Twierdzą... twierdzi, że to takie same kręgi plagi, jakie widział na ziemiach Ciemnego Dworu.

Ostatnio na ziemiach Ciemnego Dworu Kieran oglądał głównie wnętrze swojej klatki.

Jia zadrżała.

– To okropne uczucie stać w tym kręgu. Ma się wrażenie, że ziemia jest z lodu, a w powietrzu wisi rozpacz.

– Te kręgi – zaczęła Diana – znajdują się w miejscach, w których Helen i Aline widziały ciemne plamy na swojej mapie, prawda?

Jia nie spojrzała na nią. Tylko skinęła głową.

– Nie chciałam wplątywać w to swojej córki.

– Jeśli ona i Helen stawią się na posiedzeniu Rady, będą przemawiać jako kandydatki na szefów Instytutu.

Jia nic nie powiedziała.

– Helen rozpaczliwie tego pragnie – powiedziała Diana. – Obie tego chcą. Najlepsze miejsce nie zawsze jest najbezpieczniejsze. Nikt nie jest szczęśliwy w więzieniu.

Jia odchrząknęła.

– Bramy na Wyspę Wrangla są ściśle kontrolowane. Zanim Rada rozpatrzy prośbę, będzie już po zebraniu...

– Zostaw to mnie – powiedziała Diana. – Właściwie to im mniej wiesz, tym lepiej.

Nie mogła uwierzyć, że powiedziała do pani Konsul: „Im mniej wiesz, tym lepiej”. Uznając, że tego tekstu już niczym nie przebije, odwróciła się i opuściła polanę.

* * *

Dru śniła o podziemnych tunelach pociętych przez korzenie krzywiące się jak palce olbrzymów. Śniła o pokoju z błyszczącą bronią i chłopcu o zielonych oczach.

Obudziła się w słabym blasku świtu oświetlającym półkę nad kominkiem, gdzie tkwił wbity w drewno złoty sztylet myśliwski zdobiony różami. Sztyletem przybity był liścik:

Drusillo: dziękuję za wszelką pomoc. Jaime.

* * *

W pewnej chwili w nocy Kit się obudził. Iratze płonęło delikatnie na jego ręce. Izbę chorych oświetlało ciepłe żółte światło, a za oknem widział dachy Londynu pod sierpem księżyca, solidne i wiktoriańskie.

Słyszał muzykę. Przeturlał się na bok i zobaczył, że Ty śpi na łóżku obok ze słuchawkami na uszach. Ze słuchawek dobiegały stłumione dźwięki symfonii.

Jakieś wspomnienie drażniło obrzeża jego świadomości. Był bardzo mały, chorował na gripę, gorączkował w nocy i ktoś spał obok jego łóżka. Ojciec? Pewnie tak. Kto inny, jeśli nie ojciec? A jednak nie miał pewności.

Nie. Nie będzie o tym myślał. To część jego dawnego życia. Teraz był kimś, kto ma przyjaciół, którzy śpią przy jego łóżku, gdy choruje. Będzie doceniał to tak długo, jak długo będzie to trwało.

* * *

Wysokie drzwi do Sanktuarium zrobiono z żelaza. Wyrzeźbiono na nich symbol, który Cristina знаła od urodzenia, cztery połączone litery C oznaczające Clave, Radę (Council), Przymierze (Covenant) i Konsula (Consul).

Pchnięte drzwi otworzyły się bezszelestnie, ukazując rozległe pomieszczenie. Napięcie usztywniło jej kręgosłup, kiedy weszła do środka, przypominając sobie Sanktuarium w Instytucie w Mexico City. Bawiła się tam czasem jako dziecko, rozkoszując się rozległością przestrzeni, ciszą, gładkością chłodnych płytek. W każdym Instytucie znajduje się

Sanktuarium.

– Kieranie? – szepnęła, wchodząc do środka. – Kieranie, jesteś tu?

Londyńskie Sanktuarium przerastało Sanktuaria w Mexico City i Los Angeles pod względem rozmiarów i przepychu. Każda powierzchnia lśniła niczym w ogromnej szkatułce na kosztowności wykonanej z marmuru i kamienia. Nie wstawiono tu okien, żeby chronić wampirzych gości. Światło dawały liczne magiczne pochodnie. Pośrodku sali znajdowała się fontanna, a w niej stał kamienny anioł. Z jego oczu płynęły jak łzy rzeki wody, które dalej wpadały do misy. U podstawy wyrzeźbiono słowa: „A fonte puro pura defluit aqua”.

Z czystej fontanny płynie czysta woda.

Srebrne gobeliny wisiały na ścianach, chociaż ich wzory wyblakły z wiekiem. Między dwoma wielkimi filarami krąg wysokich krzesel o prostych oparciach leżał przewrócony, jakby ktoś powywracał je w złości. Poduszki wały się po podłodze.

Kieran wyszedł bezszelestnie z za fontanny. Unosił wyzywająco podbródek, a jego włosy miały tak intensywny odcień czerni, jakiego Cristina jeszcze u niego nie widziała. Nawet blask magicznych pochodni zniknął w nich, w ogóle się nie odbijając.

– Jak otworzyłeś drzwi? – zapytała.

Obejrzała się przez ramię na potężne żelazne kliny. Kiedy odwróciła się z powrotem, Kieran uniósł ręce i pokazał jej dłonie. Były poznaczone ciemnoczerwonymi śladami, jakby podniósł rozgrzane do czerwoności pogrzebacze i mocno je przytrzymał.

Żelazo pali.

– To cię zadowala? – zapytał. Oddychał ciężko. – Oto jestem w waszym żelaznym więzieniu.

– Oczywiście, że mnie to nie cieszy.

Zmarszczyła brwi. Wbrew sobie słyszała w głowie cichy głosik, który pytał, po co tu przyszła. Nie potrafiła się powstrzymać. Cały czas myślała o samotnym Kieranie, zdradzonym i zagubionym. Może sprawiła to łącząca ich więź, o której wspominał w jej pokoju. Jednak wyczuwała jego obecność i nieszczęście jak szept z tyłu głowy, dopóki nie poszła go poszukać.

– Czym jesteś dla Marka? – zapytał.

– Kieranie, usiądźmy. Usiądźmy i porozmawiajmy.

Tylko na nią patrzył, uważny i spięty. Jak zwierzę w lesie, gotowe uciec, jeśli ona się poruszy.

Usiadła powoli na rozrzuconych poduszkach. Wygładziła spódnice i podkuliła nogi.

– Proszę – powiedziała, wyciągając rękę i wskazując poduszkę naprzeciwko, jakby zapraszała go na herbatę. Przysiadł jak kot z nerwowo zjeżoną sierścią. – Odpowiedź brzmi „nie wiem”. Nie wiem, czym jestem dla Marka ani czym on jest dla mnie.

– Jak to możliwe? Czujemy to, co czujemy. – Spuścił wzrok na swoje dłonie. To były ręce faerie, smukłe i poznaczone wieloma małymi nacięciami. – W Dzikim Polowaniu łączyło nas coś prawdziwego. Kochaliśmy się. Spaliśmy bok w bok, oddychaliśmy swoimi oddechami, nigdy się nie rozstawaliśmy. To zawsze było prawdziwe. Nigdy nie było fałszu. – Spojrzał na Cristinę wyzywająco.

– Nigdy inaczej nie myślałam. Zawsze uważałam, że to było coś prawdziwego. Widziałam, jak Mark na ciebie patrzy. – Złożyła ręce, żeby powstrzymać ich drżenie. – Znasz Diego?

– Bardzo przystojny głupiec.

– Nie jest głupi. Chociaż to nie ma znaczenia – dodała pośpiesznie Cristina. – Kochałam go, gdy byłam młodsza, a on kochał mnie. Był czas, kiedy nigdy się nie rozstawaliśmy, jak ty i Mark. Później mnie zdradził.

– Mark mówił o tym. W Faerie zostałby zabity za okazanie takiego braku szacunku damie twojej rangi.

Cristina nie była do końca pewna, jaką rangę przypisuje jej Kieran.

– Cóż, w efekcie myślałam, że to, co nas łączyło, nie było prawdziwe. To bolało bardziej niż myślenie, że zwyczajnie przestał mnie kochać. Ponieważ ja też już go nie kochałam w ten sposób. Wyrośliśmy z tego, co nas łączyło. To naturalna rzecz i często się zdarza. O wiele bardziej bolesne jest myślenie, że miłość od początku była kłamstwem.

– W co jeszcze mam wierzyć? – dopytywał się Kieran. – Skoro Mark jest gotowy mnie okłamywać dla Clave, którym pogardza...

– Nie zrobił tego dla Clave. Słuchałeś czegokolwiek z tego, co mówią Blackthornowie? Chodzi o rodzinę. Jego siostra jest na wygnaniu, ponieważ ma krew faerie. Chodzi o sprowadzenie jej z powrotem.

Wyraz twarzy Kierana był nieczytelny. Wiedziała, że rodzina jako pojęcie

niewiele dla niego znaczy. Trudno go było o to winić. Jednak Blackthornowie jako konkret, z ich splataną, szczerą i całkowitą miłością dla siebie... Czy on to dostrzegął?

– Zatem nie wierzysz już, że twoja miłość do Rosalesa była kłamstwem?

– To nie było kłamstwo. Diego miał swoje powody, żeby robić to, co robi. Kiedy wspominał, robię to z przyjemnością, pamiętając szczęście, jakie dzieliliśmy. Złe rzeczy nie mogą się bardziej liczyć od dobrych.

– Mark powiedział mi, że kiedy udaliście się do Faerie, phouka, który strzeże bramy, obiecał wam obojgu, że znajdziecie tam coś, czego pragniecie. Czego ty pragnęłaś?

– Phouka powiedział mi, że otrzymam szansę na zakończenie Zimnego Pokoju. To dlatego zgodziłam się, kiedy trzeba było zdecydować, czy będziemy współpracować z królową Jasnego Dworu.

Kieran spojrział na nią, kręcąc głową. Przez chwilę myślała, że uznał ją za głupią i serce jej się zacisnęło. Dotknął jej twarzy. Jego dotyk był lekki jak piórko, jakby musnął ją kielich kwiatu.

– Kiedy na dworze królowej przysięgłem ci wierność, chciałem rozgniewać Marka. Teraz jednak myślę, że podjąłem mądrzejszą decyzję, niż mogłem sobie wyobrazić.

– Wiesz, że nigdy nie będę cię trzymała za słowo.

– Wiem. I dlatego mówię, że w niczym nie okazałaś się taka, jak się spodziewałem. Żyłem w małym świecie Dzikiego Polowania i Dworów Faerie, a dzięki tobie czuję, że świat jest większy i pełen możliwości. – Opuścił rękę. – Nigdy jednak nie poznałem nikogo o tak hojnym sercu.

Cristina miała wrażenie, że twarz jej płonie.

– Mark też jest taki. Kiedy Gwyn przyszedł nam powiedzieć, że grozi ci niebezpieczeństwo w Faerie, Mark natychmiast ruszył ci z pomocą, nie oglądając się na cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić.

– Miło, że to mówisz. Zawsze byłaś miła.

– Skąd te słowa?

– Od początku mogłaś odebrać mi Marka, ale tego nie zrobiłaś.

– Nie. Jest tak, jak powiedziałaś Adaonowi: nie chciałbyś miłości Marka, jeśli nie dałby ci jej z własnej woli. Ja też. Nie naciskałabym ani nie próbowałabym na niego wpłynąć. Jeśli myślisz, że mogłabym albo że to by mi się udało, to w ogóle mnie nie znasz. Ani Marka. Jego prawdziwej natury.

Kieran otworzył usta. Nie odezwał się jednak, bo otworzyły się drzwi i do Sanktuarium wszedł Mark.

Był ubrany na czarno i wyglądał na wyczerpanego. Czerwona pręga wokół jego nadgarstka przyciągnęła wzrok Cristiny. Odruchowo dotknęła własnego przegubu dłoni, gdzie skóra już się goiła.

– Poszedłem za tobą – powiedział do niej. – Nadal łączy nas dość czaru, żebym był w stanie cię śledzić. Spodziewałem się, że będziesz z Kieranem.

Kieran się nie odezwał. Wyglądał jak portret księcia faerie, odległy i niedosięgly.

– Lordzie Kieranie – odezwał się oficjalnym tonem Mark – czy możemy porozmawiać?

* * *

Wyglądali jak obraz. Oboje klęczeli, ciemne włosy Cristiny skrywały jej twarz, Kieran naprzeciwko był studium w czerni i bieli. Mark stał przez chwilę w progu Sanktuarium i patrzył na nich. Miał wrażenie, że serce ścisza mu się w piersi.

Naprawdę miał słabość do ciemnych włosów.

Wtedy usłyszał, że Cristina wymawia jego imię, i zdał sobie sprawę, że podsłuchuje. Wejście do Sanktuarium było jak wejście do zimnego, surowego miejsca. Całe było otoczone żelazem. Kieran też musiał to odczuwać, chociaż jego twarz tego nie zdradzała. Nie zdradzał żadnych uczuć.

– Lordzie Kieranie – odezwał się Mark – czy możemy porozmawiać?

Cristina wstała.

– Powinnam iść.

– Nie musisz. – Kieran rozparł się wśród rozrzuconych poduszek.

Faerie nie kłamią słowami, ale kłamią twarzami i głosem, kłamią gestami. W tej chwili każdy, kto spojrzełby na Kierana, uznałby, że czuje jedynie nudę i niechęć.

Jednakże nie wyszedł. Nadal przebywał w Instytucie. Mark uczepił się tego.

– Muszę. Nie powinniśmy z Markiem przebywać blisko siebie, kiedy czar wiążący słabnie.

Mimo to Mark podszedł do niej, kiedy szła do drzwi. Ich dłonie się musnęły. Czy od razu wydała mu się piękna, kiedy ją poznał? Pamiętał, że obudził go dźwięk jej głosu. Siedziała na podłodze jego pokoju z nożem w ręce, a on ucieszył się, że jest ktoś, kogo nie znał przed Dzikim Polowaniem; ktoś, kto nie ma wobec niego żadnych oczekiwań.

Spojrzała na niego jeszcze raz i wyszła. Został sam z Kieranem.

– Co tu robisz? – zapytał ostro Kieran. – Po co zniżasz się do tego, by przyjść do kogoś, kogo nienawidzisz?

– Nie nienawidzę cię. Żaden z moich czynów nie wynikał z tego, że cię nienawidzę albo że cię chciałem zranić. Byłem na ciebie zły. To na pewno. Nie rozumiesz dlaczego?

Kieran nie spojrzał mu w oczy.

– To dlatego Emma mnie nie lubi. I Julian.

– Iarlath wychłostał ich oboje. Chłosta, jaką wymierzył Emmie, zabiłaby Przyziemnego.

– Pamiętam – przyznał żałośnie Kieran – a jednak to wydaje się tak odległe. – Przełknął ślinę. – Wiedziałem, że cię tracę. Bałem się. Chodziło też o coś więcej. Iarlath zasugerował, że nie będziesz bezpieczny w świecie Nocnych Łowców. Że zamierzali zwabić cię z powrotem tylko po to, żeby skazać cię na śmierć z powodu jakichś sprokurowanych oskarżeń. Byłem głupcem, że mu uwierzyłem. Teraz to wiem.

– Aha – mruknął Mark. Wiedza dotarła do niego, zrozumienie graniczyło z ulgą. – Myślałeś, że ratujesz mi życie.

Kieran skinął głową.

– Ale to nie ma znaczenia. Źle postąpiłem.

– Będziesz musiał sam przeprosić Emmę i Juliana, ale jeśli idzie o mnie, to przebaczam ci, Kieranie. Wróciłeś, kiedy nie musiałeś tego robić, pomogłeś nam uratować Tavvy'ego...

– Kiedy szukałem tu azylu, byłem zaślepiony gniewem. Myślałem tylko o tym, że mnie okłamałeś. Kiedy przybyłeś na Dwór, żeby mnie ratować, uwierzyłem, że to dlatego... – Głos mu się załamał. – Dlatego że mnie kochasz. Nie mogę nawet myśleć o bezmiarze mojej głupoty.

– Kocham cię, ale to nie jest ani łatwa, ani kojąca miłość.

– W przeciwieństwie do tego, co czujesz do Cristiny.

– Tak, w przeciwieństwie do tego.

Kieran zgarbił się nieco.

– Cieszę się, że to przyznajesz. Myślę, że nie zniósłbym teraz kolejnego kłamstwa. Kiedy pierwszy raz cię pokochałem, wiedziałem, że kocham kogoś, kto potrafi kłamać. Wmówiłem sobie, że to nie ma znaczenia. Tymczasem ma to większe znaczenie, niż kiedykolwiek zdawałem sobie sprawę.

Mark podszedł do niego.

Był niemal pewien, że Kieran się odsunie, ale on nawet nie drgnął. Mark podchodził coraz bliżej, aż dzieliło ich dosłownie kilka cali. Kieran otworzył szeroko oczy, a Mark uklęknął na zimnym marmurze.

Widział taki gest już wcześniej w Dzikim Polowaniu i na ucztach. Kiedy jeden faerie klękał przed drugim. Nie w geście uległości, ale w ramach przeprosin. Wybacz mi. Kieran miał oczy wielkie i okrągłe jak spodki.

– To ma znaczenie – powiedział Mark. – Wolałbym nie umieć kłamać, bo wtedy byś mi uwierzył. Przez wszystkie te dni nie dlatego byłem oziębły, że byłem na ciebie zły albo miałem cię dość. Pragnąłem cię tak samo jak w Dzikim Polowaniu, ale nie mogłem być z tobą, dotykać cię, kiedy kładł się na to cień kłamstw. To nie wydawałoby się prawdziwe, szczere. Nie miałbym wrażenia, że rzeczywiście mnie wybierasz, bo żeby dokonać prawdziwego wyboru, musimy znać prawdę.

– Mark... – szepnął Kieran.

– Nie kocham ciebie tak, jak kocham Cristinę. Kocham ciebie tak, jak kocham ciebie. – Mark pochylił głowę. – Żałuję, że nie możesz ujrzeć mojego serca. Wtedy byś zrozumiał.

Rozległ się szelest. Kieran również opadł na kolana. Teraz znaleźli się na tym samym poziomie.

– Powiedziałbyś mi? Po posiedzeniu Rady?

– Tak. Nie mógłbym postąpić inaczej.

Kieran przymknął oczy. Mark widział czarny i srebrny sierp pomiędzy jego powiekami, pod firanką ciemnych rzęs. Jego włosy zbladły, przyjmując odcień podobny do ołowiu.

– Wierzę ci. – Kieran otworzył oczy i spojrzał prosto w źrenice oczu Marka. – Wiesz, czemu ci ufam?

Mark pokręcił głową. Słyszał wodę szemrzącą w fontannie, przypominającą mu tysiące rzek, nad którymi się chowali, tysiące strumieni,

nad którymi spali.

– Z powodu Cristiny. Ona nie zgodziłaby się na niehonorowy plan. Rozumiem, że próbowałaś pomóc rodzinie, swojej siostrze. Rozumiem twoją desperację. Wierzę, że nie zwodziłbyś mnie dłużej, niż to konieczne. – W spojrzeniu Kierana pojawiło się nagle coś bardzo starego. – Będę zeznawał.

– Kieranie, nie...

Kieran ujął w dłonie twarz Marka. Jego dotyk był delikatny.

– Nie robię tego dla ciebie. Robię to dla Emmy i pozostałych. Wtedy spłacę dług. Nasze długi już zostały wyrównane. – Pochylił się i musnął wargi Marka. Mark chciał pochwycić pocałunek, jego ciepło, znajomość. Poczul dłoń Kierana na piersi, na elfim grocie poniżej obojczyka. – To zamknie sprawę między nami.

– Nie! – szepnął Mark.

Jednakże Kieran już wstał, a ciepło jego dłoni zniknęło ze skóry Marka. Oczy mu pociemniały, ciało zeszywniało. Mark poderwał się za nim, chcąc zażądać wyjaśnienia, co Kieran miał na myśli, ale w tej samej chwili potworny hałas rozpruł powietrze.

Rozległ się na zewnątrz Instytutu, bardzo blisko. Zdecydowanie za blisko. Wspomnienie rozbłysło w umyśle Marka – jakby patrzył z końskiego grzbietu na lasy niszczone przez błyskawicę. Ogień rozbłyskiwał pod nim, potworny trzask płonących konarów i pni rozlegał się jak wrzask w jego głowie.

Kieran wciągnął powietrze. Zapatrzył się w dal.

– Przybyli – powiedział. – Są blisko.

* * *

Huk wyrwał Emmę ze snu i z ramion Juliana. Huk, który nie do końca był hukiem. W pierwszej chwili pomyślała, że to brzmi jak zderzenie samochodów na autostradzie, zgrzyt hamulców i wybuch benzyny. Miała wrażenie, że hałas rozległ się tuż za murem Instytutu. Wyskoczyła z łóżka i rzuciła się do okna.

Była ich piątka na dziedzińcu. Lśnili brązem w świetle poranka – zarówno konie, jak i jeźdźcy. Wierzchowce wyglądały jak metalowe, ich oczy były

przewiązane jedwabiem w kolorze brązu, wypolerowane na wysoki połysk kopyta błyszcząły. Faerie, które ich dosiadały, były równie piękne i lśniące. Zbroje nie miały żadnych widocznych łączeń, jakby zrobiono je z płynnego brązu. Maski skrywały twarze, włosy były długie i metaliczne. Jakimś cudem tu, w sercu Londynu, Jeźdźcy wyglądali o wiele bardziej przerażająco, niż kiedy Emma zobaczyła ich po raz pierwszy.

Julian nie spał. Siedział na krawędzi łóżka i sięgał po pas z bronią, który wisiał na nocnym stoliku.

– Zjawili się – powiedziała Emma. – Jeźdźcy.

* * *

Zgodnie z poleceniem Magnusa wszyscy oprócz Kita i Bridget popędzili do biblioteki. Magnus, Cristina, Ty i Livvy już tam byli, kiedy wpadła Emma z Cortaną w ręce.

Julian był kilka kroków za nią. Zgodzili się, że lepiej nie zdradzać, że spali razem.

Wszyscy stali przy oknach. Zastłony odciągnięto, żeby zyskać dobry widok na dziedziniec i front Instytutu. Magnus pochylał się do okna z wyciągniętą ręką, dłonią opartą na szybie i ponurym wyrazem twarzy. Miał ciemne sińce pod oczami, wyglądał na niepokojąco wycieńczonego i mizernego.

Mark i Kieran zjawili się w tej samej chwili, w której Emma przewiesiła miecz przez plecy i podeszła pośpiesznie do okien. Julian stanął obok niej i spojrzał przez szybę.

Pięciu Jeźdźców nie ruszyło się z dziedzińca. Stali tam jak posągi. Ich konie nie nosiły wodzy ani uzd – nic, czego można by się przytrzymać. Jeźdźcy siedzieli na ich grzbietach, obnażona broń w ich rękach wyglądała jak rząd lśniących zębów.

Kieran wyszedł przed Marka i przeciął bibliotekę, żeby podejść do okna, a chwilę potem Mark poszedł w jego ślady. Stali w szeregu: Nocni Łowcy, czarownik i księżę faerie. Wpatrywali się ponuro w dziedziniec. Kieran milczał, miał chorobliwy wyraz twarzy, a włosy białe, w kolorze kości.

– Nie mogą wejść do Instytutu – powiedział Ty.

– Nie mogą. Zaklęcia ochronne ich zatrzymają – potwierdził Magnus.

– Mimo to powinniśmy opuścić to miejsce jak najszybciej – odezwał się

Kieran. – Nie ufam Jeźdźcom. Coś wymyślą.

– Musimy skontaktować się z Alicante – powiedziała Livvy – żeby otworzyli swoją stronę Bramy, dzięki czemu się stąd wydostaniemy.

– Wtedy będziemy musieli powiedzieć o Jeźdźcach i wyjawić, z jakiego powodu przybyli – zaprotestował Julian. – Moglibyśmy jednak... Przenieść się stąd, nawet jeśli nie udalibyśmy się prosto do Idrisu. – Zerknął z ukosa na Magnusa.

– Problem w tym, że nie mogę w tej chwili wykonać swojej strony Bramy – odpowiedział Magnus. Mówił z pewnym wysiłkiem. – Musimy wytrzymać kilka godzin. Zużyłem całą energię. Nie spodziewałem się, że będę musiał wyleczyć Kita albo odesłać Aleca z dziećmi.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Nigdy nie przyszło im do głowy, że są rzeczy, których Magnus nie jest w stanie zrobić. Że tak jak wszyscy inni, ma swoje słabości.

– W krypcie jest Brama – powiedział Ty. – Ale prowadzi tylko do Instytutu Kornwalijskiego.

Nikt nie zapytał go, skąd to wie.

– Tamten Instytut został porzucony – przypomniał Julian. – Tutejsze zaklęcia ochronne są pewnie mocniejsze.

– Zamienilibyśmy po prostu jeden Instytut na drugi – odrzekł Magnus. – Nadal bylibyśmy uwięzieni, i to mając słabsze zabezpieczenia. A wierzcie mi, będą w stanie nas odnaleźć. Nigdy nie istnieli lepsi myśliwi od Jeźdźców Mannana.

– A co z Catariną Loss? – zapytała Livvy. – Wydostała nas z Instytutu w Los Angeles.

Magnus z drzeniem zaczerpnął tchu.

– Te same zaklęcia ochronne, które zatrzymują Jeźdźców, uniemożliwiają wszelkie próby otworzenia Bramy od zewnątrz.

– A królowa Jasnego Dworu? – spytała Emma. – Może ona byłaby gotowa pomóc nam w walce z Jeźdźcami?

– Królowa nie stoi po naszej stronie – zachnął się Julian. – Ona stoi wyłącznie po swojej stronie.

Zapadło długie milczenie, które w końcu przerwał Magnus.

– Muszę to wam przyznać – powiedział. – Nigdy nie myślałem, że ktokolwiek przebiję Jace'a i Clary pod względem wariackich,

autodestruktywnych decyzji, ale wy stanowicie dla nich ostrą konkurencję.

– Naprawdę nie miałem z tym nic wspólnego – wtrącił sztywno Kieran.

– Myślę, że z czasem odkryjesz, jak wiele fatalnych decyzji doprowadziło cię do tego miejsca, przyjacielu – odrzekł Magnus. – W porządku, jest kilka rzeczy, których mogę spróbować, żeby odzyskać część energii. Poczekajcie tu wszyscy. I nie róbcie niczego głupiego.

Wyszedł z pokoju, stawiając długie kroki i przeklinając pod nosem.

– Coraz bardziej przypomina Gandalfa – powiedziała Emma, odprowadzając go wzrokiem. – Oczywiście to młodziej wyglądająca i przystojniejsza wersja Gandalfa, ale cały czas spodziewam się, że zacznie gładzić długą siwą brodę i ponuro pomrukiwać.

– Przynajmniej jest skłonny nam pomóc – mruknął Julian.

Spojrzał spode łba na dwór. Kolejny Jeździec wjechał przez bramę. Był drobniejszej budowy i miał długie brązowe włosy. Ethna, pomyślała Emma. Siostra.

A potem jej myśli rozsypały się pod wpływem szoku. Na brązowym koniu przed Ethną siedziała drobna postać: mała przyziemna dziewczynka o krótkich czarnych włosach. Zwieszała się bezwładnie trzymana jedną ręką przez faerie, ale mrugała i twarz miała wykrzywioną z przerażenia. Nie mogła mieć więcej niż cztery lata. Miała na sobie legginsy w wesoły wzorek z pszczoł i jasnoróżowe tenisówki.

W drugiej ręce Ethna trzymała sztylet, który przykładała do szyi dziewczynki.

Julian zeszywniał jak posąg z marmuru, twarz mu pobladła. Głosy podniosły się w bibliotece wokół Emmy, ale to był tylko hałas. Nie potrafiła rozróżnić słów. Wpatrywała się w dziewczynkę, a jej umysł widział Dru, Tavvy'ego, a nawet Livvy i Ty'a, którzy też kiedyś byli tacy mali, bezradni.

A Ethna była silna. Wystarczyło, żeby wbiła sztylet, i odciąłaby dziecku głowę.

– Odsuńcie się od okien – powiedział Julian. – Niech wszyscy odsuną się od okien. Jeśli pomyślą, że nie patrzymy, będą mniej skłonni zranić dziecko.

Położył rękę na ramieniu Emmy. Odsunęła się razem z pozostałymi. Słyszała, jak Mark protestuje. Mówił, że powinni zejść, walczyć z Jeźdźcami.

– Nie możemy – upierał się udręczony Julian. – Zabiliby nas.

– Zabiłam już jednego – wtrąciła się Emma. – Mogę...

– Dali się wtedy zaskoczyć. – Głos Juliana dotarł do niej po części zniekształcony przez szok. – Nie spodziewali się tego. Nie sądzili, że to możliwe. Tym razem będą przygotowani...

– On ma rację – powiedział Kieran. – Czasem najokrutniejsze serce mówi najszczerzą prawdę.

– Co masz na myśli? – Mark był zaczerwieniony, prawą ręką ścisnął nadgarstek. Emma jak przez mgłę zdała sobie sprawę, że ślad czaru wiążącego zniknął z jego skóry, podobnie jak ze skóry Cristiny.

– Dzieci Mannana nigdy nie zostały pokonane – powiedział Kieran. – Emma pierwsza zabiła jedno z nich. Musieli wziąć dziecko, żeby nas wywabić, ponieważ wiedzą, że wtedy będą mieli nad nami przewagę.

– Zabijają ją – powiedziała Emma. – To tylko dziecko!

– Emmo...

Julian wyciągnął do niej rękę. Potrafiła odczytać wyraz jego twarzy. Zrobiłby wszystko dla swojej rodziny. Nie było nikogo, kogo nie poświęciłby dla rodziny.

Dlatego to musiała być ona.

Wybiegła. Usłyszała, jak Julian wykrzykuje jej imię, ale już wypadła za drzwi biblioteki. Włożyła wcześniej strój bojowy, miała już Cortanę. Zbiegła po schodach, przeleciała przez korytarz, wpadając w poślizg, i wyskoczyła przez frontowe drzwi Instytutu.

Zobaczyła rozmazaną plamę brązu – Jeźdźców – zanim zdążyła obrócić się i zatrzasnąć drzwi, wyciągając stelę z kieszeni. Narysowała na drzwiach run Zamknięcia – i w tej samej chwili usłyszała stłumiony odgłos ciała uderzającego o nie od drugiej strony, głosy wołające do niej, żeby nie była lekkomyślna i otworzyła, otworzyła wreszcie...

Włożyła stelę do kieszeni, uniosła Cortanę i zeszła po schodach.

Duch, co błędzi ziemią tą

– To ona! – krzyknęła Ethna dźwięcznym i słodkim głosem. Przyciągnęła dziecko do siebie, uniosła ostrze. – To morderczyni, która zabiła Fala.

– To była walka – odpowiedziała Emma. – Inaczej on zabiłby mnie. – Spojrzała na pozostałych Jeźdźców. Stali rzędem jak szereg ponurych posągów. – Myślałam, że wojownicy dostrzegą różnicę.

– Powinnaś zginąć jak twoi rodzice – syknął jeden z nich. Delan. – Torturowana i pocięta nożami, jak oni.

Emmie zacisnęło się serce. Nadal martwiła się o dziecko, ale teraz z lękiem mieszał się gniew.

– Puście dziewczynkę – powiedziała. – Puście ją i możecie walczyć ze mną. Zemścijcie się na mnie tak, jak tego chcecie.

Słyszała łomotanie do drzwi za plecami. Wkrótce je otworzą. Nie miała złudzeń, że run Zamknięcia utrzyma się wiecznie. Dzięki Julianowi jej runy miały teraz zdumiewającą moc, ale zdolności Juliana dorównywały jej zdolnościom.

Uniosła Cortanę, a poranne słońce prześliznęło się po ostrzu jak stopione masło.

– Tym mieczem zabiłam waszego brata. Chcecie zemsty? To puście dziewczynkę, a będę z wami walczyć. Jeżeli będziecie jej grozić choćby chwilę dłużej, wrócę do Instytutu. – Zerkała na kolejnych Jeźdźców. Pomyślała o rodzicach, o ich nagich ciałach porzuconych na plaży na pożarcie mewom. – Ograbiliśmy trupa Fala – skłamała. – Zerwaliśmy z niego zbroję, zniszczyliśmy broń, rzuciliśmy na pożarcie szczurom i wronom...

Ethna wrzasnęła przenikliwie i odepchnęła dziewczynkę. Dziecko spadło na ziemię – zduszony okrzyk wyrwał się Emmie z piersi – ale wstało i z

płaczem pobiegło w stronę ulicy. Dziewczynka obejrzała się przez ramię tylko raz, z rozdziawionymi ustami, i popędziła do bramy, za którą zniknęła.

Emmę ogarnęła ulga. Dziewczynka była bezpieczna.

Ethna zaszarżowała, końskie kopyta poruszały się bezszelestnie na kamiennym dziedzińcu. Była jak włócznia, którą ciśnięto w powietrze, bezgłówna i śmiertelna. Emma ugięła nogi w kolanach i skoczyła, wykorzystując wysokość schodów i impet spadania, żeby dodać siły do zamachu mieczem.

Ostrza zderzyły się w powietrzu. Wstrząs przeszył Emmę aż do kości. Ręka Ethny odskoczyła w bok. Emma wylądowała nisko i uniosła miecz, ale faerie już zdążyła zeskoczyć z konia. Wylądowała zgrabnie i roześmiała się. Pozostali Jeźdźcy też zsiadli z koni. Wierzchowce zniknęły, jakby pochłonęło je powietrze, a dzieci Mannana zaatakowały Emmę, unosząc broń.

Emma się wyprostowała. Cortana zakreśliła szeroki łuk nad jej głową, zbijając wszystkie miecze na bok. Emmie przyszła na myśl dłoń przesuwająca się po klawiszach fortepianu i wygrywająca kolejne nuty.

Jednakże niewiele brakowało, żeby jej się nie udało. Ostatni miecz, należący do Delana, trafił ją w ramię. Poczwała, jak strój bojowy pęka. Skóra ją zapiekła. Kolejna blizna na mapie blizn.

Obróciła się. Ethna stała za nią. Trzymała dwa krótkie miecze z lśniącego brązu. Cięła najpierw jednym, potem drugim. Emma odskoczyła w ostatniej chwili. Wiedziała, że gdyby nie strój bojowy, już by nie żyła, jej wnętrzności rozlałyby się na płytach dziedzińca. Poczwała, że kurtka pęka. Mimo chłodu, jaki ogarniał ją podczas walki, przeszła ją gorąca szpila strachu.

To było niewykonalne. Nikt nie był w stanie walczyć z sześcioma Jeźdźcami. Możliwe, że zwariowała, próbując tego dokonać, ale pomyślała o stopach małej dziewczynki w różowych tenisówkach i nie była w stanie żałować swojej decyzji. Nawet kiedy odwróciła się i zobaczyła, że trzech Jeźdźców blokuje jej odwrót do Instytutu.

Drzwi Instytutu przestały się trząść. Dobrze, pomyślała Emma. Reszta zostanie bezpieczna w środku. To było mądre, rozsądne.

– Przyjaciele cię porzucili – zaszydził jeden z Jeźdźców, którzy blokowali jej ucieczkę. Jego brązowe włosy były krótkie i kręcone, przez co przypominał greckiego kurosa. Był śliczny. Emma szczerze go nienawidziła. – Poddaj się, a zadamy ci szybką śmierć.

– Sama mogłabym zadać sobie szybką śmierć, gdybym tego chciała – odpowiedziała Emma, szachując mieczem trzech nacierających faerie. – To tak... nawiasem mówiąc.

Ethna piorunowała ją wzrokiem. Pozostali Jeźdźcy – rozpoznała Airmeda, ale innych już nie – szeptali między sobą. Wychwyciła kilka ostatnich słów zdania:

– ...miecz, mówiłem.

– Ale runy nie mogą nas zranić – powiedział Airmed. – Seraficki nóż też nie.

Emma zaatakowała Ethnę. Ta obróciła się w miejscu, błyskawicznie tnąc swoimi mieczami.

Emma podskoczyła. Ćwiczyła ten manewr wiele razy z Julianem w sali treningowej, korzystając z pomocy poprzeczki, którą codziennie podnosili odrobinę wyżej. Ostrza przecięły powietrze pod jej stopami i Emma oczami wyobraźni ujrzała Juliana, który wyciąga ręce, żeby ją złapać.

Julian. Wylądowała po drugiej stronie Ethny, obróciła się i wbiła jej miecz w plecy.

A przynajmniej chciała to zrobić, bo Ethna obróciła się w ostatniej chwili i ostrze miecza rozcięło brązową zbroję i ciało pod spodem. Faerie wrzasnęła i zatoczyła się do tyłu, a Emma wyrwała Cortanę z rany. Krew z klingi zbryzgała dziedziniec.

Emma uniosła miecz.

– To jest Cortana – wydyszała. – Ta sama stal i hart co Joyeuse i Durendal. Nie istnieje coś, czego Cortana nie mogłaby przeciąć.

– Klinga Waylanda Kowala! – wykrzyknął Jeździec o brązowych puklach.

Emma ze zdumieniem usłyszała strach w jego głosie.

– Milcz, Karn – warknął inny. – To tylko jeszcze jedno ostrze, nic więcej. Zabij ją.

Karn wykrzywił piękną twarz. Uniósł broń – potężny topór bojowy – i zaatakował Emmę, która uniosła Cortanę...

Drzwi frontowe Instytutu otworzyły się z hukiem i na dziedziniec wysypali się Nocni Łowcy.

Julian. Biegł pierwszy, w niebieskim stroju bojowym, z mieczem i ciemnymi włosami. Potem Mark, Cristina. Kieran, Ty i Livvy. I Kit, który musiał przybiec z izby chorych, bo wyglądał, jakby narzucił strój bojowy

na piżamę. Przynajmniej miał porządne buty.

Natarli, prowadzeni przez Juliana i Marka, i odepchnęli Jeźdźców ze schodów; miecze połyskiwały w ich dłoniach. Emma zauważyła, że żaden nie trzyma serafickiego noża, wybrali tylko prostą broń, nieoznaczoną runami, przeznaczoną do zabijania Podziemnych. Nawet Kieran trzymał taką broń – miecz, którego rękojeść i głowica lśniły złotem i srebrem zamiast stałą.

Jeden z Jeźdźców ryknął z wściekłości na widok Kierana.

– Zdrajca! – warknął.

Kieran złożył dworny ukłon.

– Eochaid – powiedział takim tonem, jakby ich zwyczajnie witał. – I Etarlam. – Mrugnął do szóstego Jeźdźcy, który miał kwaśną minę. – Co za spotkanie.

Eochaid go zaatakował. Kieran opadł nisko, wymachując mieczem z łatwością, która zaskoczyła Emmę.

Brzęk ostrzy był sygnałem rozpoczęcia znacznie większej bitwy. Julian i Mark odepchnęli Jeźdźców, zaskoczonych ich niespodziewanym pojawieniem się. Teraz pozostali Nocni Łowcy wybiegli zza ich pleców z bronią gotową do uderzenia. Mark obosiecznym mieczem zaatakował Delana, bliźnięta nękały Airmeda, a Cristina, która nie posiadała się z wściekłości, zaatakowała Etarlama.

Julian zaczął sunąć wśród walczących, tnąc na obie strony i przebijając się w stronę Emmy. Nagle wytrzeszczył oczy.

Za tobą!

Obróciła się. To była Ethna z twarzą wykrzywioną w maskę nienawiści. Jej ostrza wykonały ruch jak nożyce, a Emma uniosła Cortanę w tej samej chwili, w której oba miecze Ethny uderzyły z potworną siłą.

I oba pękły.

Ethna stłumiła okrzyk zaskoczenia. Sekundę później cofnęła się chwiejnie, poruszając rękami w powietrzu. Julian zmienił kurs i skoczył za nią, ale już kolejna broń pojawiła się w jej dłoniach, zakrzywione ostrze podobne do perskiego szamszira.

Miecz Juliana zderzył się z bronią Ethny. Emma odczuła to zderzenie. Przeszło ją jak błyskawica. Nagle wszystko zaczęło rozgrywać się bardzo szybko. Julian wykręcił wdzięczny piruet, odsuwając się od ostrza, ale i tak

drasnęło go w ramię. Emma poczuła ból – ból *parabatai* – w tej samej chwili, gdy miała zaatakować Ethnę. Rzuciła się na nich dwoje, ale Eochaid pojawił się przed nią, a czubek jego miecza sunął ku jej twarzy w powietrzu jak rozmazana srebrna plama.

Ale ostatecznie przeleciał bokiem. Eochaid zawył – był to przeraźliwy, wściekły dźwięk – i odsunął się, żeby zaatakować zaciekle postać za sobą, której ostrze przebiło mu ramię. Krew splamiła jego brązową zbroję.

To był Kieran. Jego włosy były płataniną czarnych i białych pasm pozlepianych krwią na skroni. Ubranie miał poplamione czerwienią, wargę rozciętą. Zdyszany spojrzał na Emmę.

Eochaid skoczył na niego i rozpoczęli zaciętą walkę. Świat wypełnił zgiełk i szcęk broni. Emma usłyszała krzyk i zobaczyła, że Cristina walczy, żeby dotrzeć do Kita, którego Delan obalił na ziemię. Jeźdźcy weszli na stopnie, by odciąć Łowcom odwrót do Instytutu. Julian powstrzymywał Ethnę, bliźnięta walczyły zwrócone plecami do siebie, starając się razem z Markiem przebić do schodów.

Emma zaczęła brnąć na oślep do Kita, czując zimno w sercu. Jeźdźcy walczyli zbyt zaciekle, byli za silni. Nie męczyli się.

Delan stał nad Kitem z uniesionym wysoko mieczem. Kit próbował podnieść się i podeprzeć łokciami. Miecz rozbłysnął przed Emmą; odbiła ostrze Cortana, usłyszała, jak ktoś klnie. Delan wpatrywał się w Kita, jakby jego twarz skrywała tajemnicę.

– Kim jesteś, chłopcze? – zapytał, nie opuszczając broni.

Kit otarł krew z twarzy. Na dziedzińcu niedaleko od niego leżał sztylet, tuż poza zasięgiem jego ręki.

– Christopher Herondale – odpowiedział, a jego oczy zabłysły arogancko.

On naprawdę jest Nocnym Łowcą, pomyślała Emma, jest Nocnym Łowcą do szpiku kości; nie będzie błagał o życie.

Delan prychnął.

– *Qui omnia nomini debes* – powiedział i zaczął opuszczać miecz, ale wtedy Emma przeturlała się pod nim, jej Cortana rozbłysła i przecięła nadgarstek Delana.

Wojownik faerie wrzasnął z wściekłości i bólu. Powietrze wypełniło się mgiełką krwi. Odcięta dłoń Delana upadła na ziemię, nadal ściskając miecz. Sekundę później Kit już stał na nogach i z błyszczącymi oczami podnosił

broń. Emma stanęła obok niego. Razem zaczęli napierać na Delana, którego krew malowała kamienne płyty, gdy się cofał. Delan się śmiał.

– Zabijcie mnie, jeśli myślicie, że dacie radę – szydził. – Ale rozejrzyjcie się. Już przegraliście.

Kit uniósł broń i wskazał jego gardło.

– Ty się rozglądaj – powiedział spokojnie. – Ja dźgnę.

Emma obróciła gwałtownie głowę. Airmed przyparł Ty'a i Livvy do ściany. Ethna trzymała ostrze na gardle Juliana. Cristina padła na kolana przed Etarlamem. Mark patrzył na nią ze zgrozą, ale nie mógł się ruszyć – Eochaid trzymał miecz na jego plecach tak, że mógł mu przeciąć kręgosłup.

Karn stał na schodach z mieczem w dłoni i szerokim uśmiechem na okrutnej i pięknej twarzy.

Emma przełknęła ślinę. Kit zaklął cicho pod nosem. Karn przemówił, połyskując białymi zębami w uśmiechu:

– Oddajcie nam Czarną Księgę, a puścimy was wolno.

Kieran zamarł, patrząc to na Marka, to na Cristinę.

– Nie słuchajcie ich! Magia Jeźdźców to dzika magia. Mogą kłamać.

– Nie mamy Czarnej Księgi – odparł Julian. – Nigdy jej nie mieliśmy. Nic się nie zmieniło.

Sprawiał wrażenie spokojnego, ale Emma widziała, co kryje się pod powierzchnią, za jego oczami. Słyszała grzmot bijącego serca. Patrzył na nią, na Marka, Ty'a i Livvy i był śmiertelnie przerażony.

– Żądacie czegoś, czego nie możemy wam dać – mówił. – Możemy jednak zawrzeć umowę. Możemy przysiąc, że przyniesiemy wam Księgę, kiedy ją znajdziemy...

– Wasze przysięgi nic nie znaczą – warknęła Ethna. – Zabijmy ich od razu i wyślijmy królowej wiadomość, że jej sztuczki nie będą dłużej tolerowane!

Karn się zaśmiał.

– Mądre słowa, siostrze. Szykujcie ostrza...

Emma zacisnęła dłoń na Cortanie. Zastanawiała się gorączkowo. Nie mogła zabić wszystkich, nie mogła zapobiec temu, co planowali, ale – na Anioła – przynajmniej zabierze paru ze sobą...

Brama na dziedziniec otworzyła się gwałtownie. Już wcześniej nie była zamknięta, ale teraz skrzydła rozwarły się z taką siłą, że mimo swojej wagi poleciały na boki, uderzając w kamienne ściany, i zabrzęczały jak rozrywane

łańcuchy.

Za bramą była mgła, gęsta i dziwna w tak słoneczny dzień. Krwawa scena na dziedzińcu zastygła nieruchomo, kiedy mgła opadła i na dziedzińcu weszła kobieta.

Była drobnej budowy i średniego wzrostu, włosy w odcieniu ciemnego brązu opadały jej do pasa. Miała na sobie podartą koszulę i długą spódnicę, która nie bardzo na nią pasowała, oraz niskie trzewiki. Naga skóra jej rąk i ramion zdradzała, że jest Nocną Łowczynią z typowymi dla Łowców bliznami. Run Wzroku zdobił jej prawą rękę.

Nie trzymała żadnej broni. Zamiast tego przyciskała do piersi książkę – stare tomiszczce oprawione w ciemną skórę, porysowaną i zniszczoną. Między strony wsunięto złożony kawałek papieru jak zakładkę. Kobieta uniosła rękę i patrzyła spokojnie na scenę na dziedzińcu; jej twarz nie zdradzała zaskoczenia, jakby niczego innego się nie spodziewała.

Emmie zaczęło łomotać serce. Widziała już tę kobietę, chociaż wtedy trwała ciemna noc w Kornwalii. Znała ją.

– Jestem Annabel Blackthorn – oznajmiła kobieta spokojnym, czystym głosem z lekkim obcym akcentem. – Czarna Księga należy do mnie.

Eochaid zaklął. Miał okrutną, nieco orlą twarz o delikatnych rysach.

– Okłamaliście nas – warknął na Emmę i pozostałych. – Powiedzieliście, że nie macie pojęcia, gdzie jest Księga.

– Bo nie mieli – odparła Annabel z tym samym niezmaconym spokojem. – Malcolm Fade ją miał, a ja ją zabrałam, gdy obszukałam jego martwe ciało. Ale to jest moja księga i zawsze będzie moja. Należała do biblioteki w domu, w którym dorastałam. Zawsze była własnością Blackthornów.

– To niczego nie zmienia – odezwała się Etna. Patrzyła na Annabel z pewnym respektem, pewnie należnym nieumarłej, pomyślała Emma. – Oddasz ją nam albo stawisz czoło gniewowi króla Ciemnego Dworu.

– Król Ciemnego Dworu – mruknęła Annabel. Jej twarz była spokojna w sposób, który wywoływał dreszcz u Emmy. Z pewnością nikt nie mógł być tak spokojny w podobnej sytuacji, o ile nie był szalony. – Pozdrówcie go ode mnie. Powiedzcie mu, że znam jego imię.

Delan pobladł.

– Co takiego?

Prawdziwe imię faerie dawało każdemu władzę nad nim. Emma nie

mogła sobie wyobrazić, co znaczyłoby wyjawienie imienia króla.

– Jego imię – powtórzyła Annabel. – Malcolm przez wiele lat był z nim bardzo blisko. Poznał imię monarchy. Ja także je znam. Jeśli nie odejdziecie w tej chwili i nie przekażecie mojej wiadomości królowi, wyjawię je wszystkim członkom Rady. Powiem każdemu Podziemnemu. Król nie jest kochany. Przekona się, że skutki nie będą przyjemne.

– Ona kłamie – powiedział Airmed, mrużąc sokołe oczy.

– W takim razie ryzyko poniesie wasz król. Niech się dowie, że to wy odpowiadacie za wyjawienie jego imienia.

– Łatwo można cię uciszyć – powiedział Etarlam.

Annabel nie poruszyła się, kiedy podszedł do niej, unosząc wolną rękę, jakby zamierzał ją spoliczkować. Zamachnął się, a ona złapała go za nadgarstek z taką łatwością, z jaką młoda dama bierze za rękę swojego partnera w walcu.

A potem nim cisnęła. Przeleciał ponad dziedzińcem i uderzył w ścianę z głośnym brzękiem zbroi. Emma zdusiła okrzyk.

– Etar! – krzyknęła Ethna.

Ruszyła do brata, porzucając Juliana... i zamarła. Zakrzywiona szabla wypłynęła z jej dłoni. Sięgnęła po nią, ale ta uniosła się jej nad głowę. Kolejne okrzyki rozległy się wśród Jeźdźców. Coś wyszarpnęło z ich dłoni broń, która teraz szybowała nad ich głowami. Ethna spiorunowała Annabel wzrokiem.

– Głupia!

– To nie ona – rzucił ktoś stojący na progu Instytutu, przeciągając zgłoski.

To był Magnus wsparty ciężko na ramieniu Dru. Niebieskie iskry sypały się z palców jego wolnej ręki.

– Magnus Bane, Najwyższy Czarownik Brooklynu, do usług.

Jeźdźcy spojrzeli po sobie. Emma wiedziała, że z łatwością mogą stworzyć sobie nową broń, ale na co im ona, jeśli Magnus znowu wyrwie ją im z rąk? Zmrużyli oczy, wykrzywili usta.

– To jeszcze nie koniec – powiedział Karn. Mówiąc to, spojrział prosto na Emmę.

„To jeszcze nie koniec między nami”.

Zniknął, a za nim zniknęli pozostali Jeźdźcy. W jednej chwili tam byli, w drugiej przepadli, znikając jak gasnące gwiazdy. Ich broń upadła na ziemię, metal głośno szczęknął o kamień.

– Ej – mruknął Kit – darmowe miecze.

Magnus stęknął i zatoczył się do tyłu. Dru złapała go z troską w oczach.

– Wejdźcie do środka. Wszyscy.

Posłusznie ruszyli do wejścia. Zdrowi pomagali rannym, chociaż nikt nie odniósł poważnych obrażeń. Emma znalazła Juliana, nawet nie musząc się za nim rozglądać. Jej zmysły *parabatai* nadal były ożywione, jej ciało wiedziało, że Julian odniósł ranę i potrzebuje leczenia. Objęła go najdelikatniej, jak mogła. Skrzywił się z bólu, spojrzał jej w oczy i wiedziała już, że odczuwa jej ból: miała rozcięty bark.

Chciała zarzucić Julianowi ręce na szyję i otrzeć mu krew z twarzy, pocałować jego zamknięte oczy. Wiedziała jednak, jak to by wyglądało. Zapanowała nad sobą, co bolało bardziej niż rana.

Julian ścisnął jej dłonie i odsunął się niechętnie.

– Muszę iść do Annabel – powiedział cicho.

Emma zamarła. Prawie zapomniała o Annabel, która nadal stała na dziedzińcu, przyciskając Czarną Księgę do piersi. Pozostali stali wokół niej niepewnie. Tyle czasu jej szukali. Nikt nie wyobrażał sobie, że sama do nich przyjdzie.

Nawet Julian zatrzymał się, nim do niej podszedł, jakby się wahał, w jaki sposób przerwać milczenie. W pobliżu niego, pomiędzy Livvy i Kitem, stał Ty. Wszyscy wpatrywali się w Annabel, jakby była zjawą, a nie kimś, kto naprawdę tam stoi.

– Annabel.

To Magnus się odezwał. Kulejąc, zszedł po schodach. Teraz opierał się lekko na Dru, pod oczami miał ciemne sińce. Jego głos brzmiał smutno; to był ten niezgłębiony rodzaj smutku, który wypływał z czasu, z długiego życia, którego Emma nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

– Ach, Annabel, dlaczego tu przyszłaś?

Annabel wyjęła złożoną kartkę z Czarnej Księgi.

– Otrzymałam list – powiedziała głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym.

– Od Tiberiusa Blackthorna.

Tylko Kit nie był zaskoczony. Położył rękę na ramieniu Ty'a, który zaciekle wbijał wzrok w ziemię.

– Ma w sobie coś niezwykłego. Myślałam, że ręka świata zwróciła się przeciwko mnie, ale kiedy przeczytałam ten list, pomyślałam, że może

istnieje szansa, że jednak nie. – Annabel uniosła podbródek w tym charakterystycznym, wyzywającym geście Blackthornów, który za każdym razem łamał Emmie serce. – Przyszłam porozmawiać z Julianem Blackthornem na temat Czarnej Księgi Umarłych.

* * *

– W naszej bibliotece jest nieumarła – powiedziała Livvy.

Siedziała na jednym z długich łóżek w izbie chorych. Wszyscy się tam zebrali oprócz Magnusa, który zamknął się w bibliotece z Annabel. Byli na różnych etapach rysowania runów, zakładania opatrunków i oczyszczania ran. Na blacie rósł stosik zakrwawionych ubrań.

Ty siedział na tym samym łóżku co Livvy, zwrócony plecami do wezgłowia. Emma zauważyła, że jak zawsze po walce jest trochę wycofany, jakby potrzebował czasu, by dojść do siebie po wrzawie i wstrząsie. Wykręcał coś w palcach rytmicznie, ale nie widziała, co to takiego.

– To nie jest nasza biblioteka – zauważył. – To biblioteka Evelyn.

– Mimo to nadal jest to dziwne – upierała się Livvy.

Żadne z bliźniąt nie zostało ranione w walce, ale Kit owszem i Livvy właśnie kończyła rysować mu *iratze* na plecach.

– Zrobione – powiedziała, poklepując go po ramieniu.

Skrzywił się i obciągnął koszulkę.

– Właściwie to ona nie jest nieumarła – dodał Julian.

Emma narysowała mu *iratze*, ale trochę się bała rysować na nim runy, więc poprzestała na tym jednym i teraz bandażowała mu ranę. Miał długie rozcięcia na górnej części ręki i nawet po włożeniu koszulki opatrunek nadal był widoczny pod materiałem.

– Nie jest zombie ani duchem.

Jedna ze szklanek na nocnym stoliku spadła z hukiem.

– Jessamine się to nie spodobało – powiedział Kit.

Cristina się roześmiała. Ona też nie była ranna, ale ciągle bawiła się wisiorkiem na szyi, patrząc, jak Mark zajmuje się ranami Kierana. Emma wiedziała, że Myśliwi szybko dochodzą do siebie, ale wyglądało na to, że też łatwo się siniaczą. Sino-czarna mapa rozlała się na plecach i ramionach

Kierana, jeden z policzków mu pociemniał. Mark delikatnie zmywał krew zmoczonym przez Cristinę materiałem.

Elfi grot błyszczał na szyi Marka. Emma nie wiedziała, co właściwie dzieje się między Markiem, Kieranem i Cristiną. Cristina wyjątkowo niechętnie cokolwiek tłumaczyła, ale wiedziała, że Kieran zna już prawdę na temat swojego związku z Markiem – a mimo to nie odebrał mu grotu. To już coś znaczyło.

Z pewnym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że ma nadzieję, że sprawy jakoś się między nimi ułożą. Miała nadzieję, że nie zdradza w ten sposób Cristiny, ale nie była już zła na Kierana. Możliwe, że popełnił błąd, ale od tego czasu wiele razy za to odpokutował.

– Gdzie wcześniej była Jessamine? – zapytał Julian. – Nie powinna chronić Instytutu?

Kolejna stłuczona szklanka.

– Mówi, że nie może opuścić Instytutu. Może chronić tylko wnętrze. – Kit zamilkł. – Nie wiem, czy powinienem powtarzać resztę jej słów. – Po chwili się uśmiechnął. – Dziękuję, Jessamine.

– Co powiedziała? – zapytała Livvy, podnosząc stelę.

– Że jestem prawdziwym Herondale'em. – Zmarszczył brwi. – Co powiedział ten metalowy gość, kiedy powiedziałem mu, jak się nazywam? To był język faerie?

– Dziwne, ale to była łacina – wyjaśnił Julian. – Obrażliwe słowa. Coś, co Marek Antoniusz powiedział kiedyś Oktawianowi Augustowi: „Chłopcze, wszystko zawdzięczasz nazwisku”. Sugerował, że tamten niczego by nie osiągnął, gdyby nie nazwisko.

Kit się zirytował.

– Jestem Herondale'em od jakichś trzech tygodni. Nie bardzo wiem, co na tym zyskałem.

– Nie zwracaj uwagi na słowa faerie – poradził mu Kieran. – Przy każdej okazji będą próbowały zaleźć ci za skórę.

– Ciebie to też dotyczy? – zapytała z uśmiechem Cristina.

– Oczywiście – odparł, również lekko się uśmiechając.

To pewnie najdziwniejsza przyjaźń na świecie, pomyślała Emma.

– Odbiegliśmy od tematu – powiedziała Livvy. – Annabel Blackthorn jest w naszej bibliotece. To dziwne, nie? Czy nikt nie uważa tego za dziwne?

– Dlaczego to ma być dziwniejsze od wampirów? – zapytał zdumiony Ty. – Albo wilkołaków?

– Jasne, dla ciebie to nie dziwne – powiedział Kit. – To ty powiedziałaś jej, żeby przyszła.

– No właśnie – zaczął Julian. – Czy z jakiegoś konkretnego powodu nie powiedziałaś nikomu...

Przed reprimendą brata uratowało Ty'a otwarcie się drzwi do izby chorych. Do pokoju wszedł Magnus. Emmie nie podobało się to, jak wyglądał. Był okropnie blady, oczy miał podkrążone, ruchy sztywne, jakby ktoś go obił. Usta miał mocno zaciśnięte w linię.

– Julianie, gdybyś zechciał się ze mną pofatygować.

– Po co? – zapytała Emma.

– Próbowałem rozmawiać z Annabel. Pomyślałem, że może otworzy się przed kimś, kto nie jest Nocnym Łowcą, jeśli damy jej wybór, ona jednak jest uparta. Zachowuje się uprzejmie, ale twierdzi, że będzie rozmawiać tylko z Julianem.

– Nie pamięta ciebie? – zapytał Julian, wstając.

– Pamięta, ale zapamiętała mnie jako przyjaciela Malcolma. A ostatnimi czasy nie jest jego największą fanką.

„Co za niewdzięczność”, przypomniała sobie Emma słowa Kierana. Teraz jednak Kieran milczał, zapinał rozdartą koszulę, nie unosząc głowy.

– Dlaczego nie chce rozmawiać z Ty'em? – zapytała Livvy. – To on wysłał wiadomość.

Magnus wzruszył ramionami, jakby mówił: „Nie mam pojęcia”.

– W porządku, zaraz wracam – odrzekł Julian. – Potem przy pierwszej okazji ruszamy do Idrisu, więc niech wszyscy zbiorą to, co potrzebują zabrać.

– Zebranie Rady odbędzie się dziś po południu – powiedział Magnus. – Za kilka godzin będę miał dość sił, żeby otworzyć Bramę. Dzisiaj prześpiemy się w Alicante. – Mówił to z ulgą.

Wyszedł razem z Julianem. Emma zamierzała zostać, ale nie potrafiła. Śmignęła za nimi, zanim drzwi się zamknęły.

– Jules! – zawołała.

Już odchodził korytarzem razem z Magnusem. Na dźwięk jej głosu obaj się odwrócili.

Nie mogła tego zrobić w izbie chorych, ale to był Magnus, który już wiedział. Podeszła do Juliana i go objęła.

– Uważaj na siebie – powiedziała. – W kościele wysłała nas prosto w pułapkę. To też może być pułapka.

– Będę tuż pod drzwiami – wtrącił słabo Magnus. – I będę gotowy interweniować. Ale ty, Julianie, pod żadnym pozorem nie próbuj odebrać jej Czarnej Księgi, nawet jeśli nie będzie jej trzymała. Jest z nią powiązana potężną magią.

Julian skinął głową, a Magnus odszedł korytarzem, zostawiając ich samych. Przez długą chwilę obejmowali się w milczeniu, aż niepokój się rozproszył – lęk o siebie nawzajem podczas walki, lęk o dzieci, obawy przed tym, co się stanie w Alicante. Julian był ciepły i silny w jej objęciach, jego ręka poruszała się kojąco po jej plecach. Jak zawsze pachniał goździkami, a także środkami odkażającymi i opatrunkami. Poczowała, jak szturcha ją podbródkiem w głowę, a jego palce przesuwają się po plecach jej koszulki.

N-I-E M-A-R-T-W S-I-Ę.

– Pewnie, że się martwię – powiedziała Emma. – Widziałeś, co zrobiła Etarlamowi. Myślisz, że zdołasz ją przekonać, żeby po prostu oddała ci Księgę?

– Nie wiem. Będę wiedział, kiedy już z nią porozmawiam.

– Annabel wiele razy została okłamana. Nie składaj jej obietnicy, której nie będziesz mógł spełnić.

Pocałował ją w czoło. Jego usta poruszały się przy jej skórze, gdy odezwał się tak cicho, że tylko ktoś, kto znał go tak dobrze, jak ona, mógł go zrozumieć:

– Zrobię, co będę musiał.

Wiedziała, co ma na myśli. Nic więcej nie trzeba było mówić. Patrzyła za nim zmartwiona, jak odchodzi korytarzem w stronę biblioteki.

* * *

Kit pakował w swoim pokoju mizerny dobytek, kiedy weszła Livvy. Była ubrana do podróży w długą czarną spódnicę i białą koszulę z okrągłym kołnierzykiem. Miała rozpuszczone włosy.

Spojrzała na Ty'a, który siedział na łóżku Kita. Rozmawiali o Idrisie i tym,

co Ty z niego pamiętał.

– Nie przypomina żadnego innego miejsca – powiedział wcześniej Kitowi – ale kiedy tam się znajdziesz, poczujesz się tak, jakbyś już tam kiedyś był.

– Ty – odezwała się Livvy – Bridget mówi, że możesz wziąć jeden stary egzemplarz przygód Sherlocka Holmesa z biblioteki i zatrzymać.

Ty się rozpromienił.

– Który?

– Który chcesz. Twój wybór. Pośpiesz się, Magnus mówi, że niedługo ruszamy.

Ty rzucił się do drzwi, przypomniał sobie o Kicie i odwrócił się.

– Porozmawiamy później – rzucił i wybiegł na korytarz.

– Tylko jeden! Jeden! – zawołała za nim ze śmiechem Livvy. – Auć! – Skrzywiła się i wyciągnęła rękę, żeby poprawić coś na karku. – Łańcuszek zaplątał mi się we włosy...

Kit sięgnął, żeby wyplątać cieniutki złoty łańcuszek. Livvy nosiła na nim wisiorek, który sięgał do zagłębienia w jej szyi. Z bliska pachniała kwiatem pomarańczy.

Ich twarze znalazły się blisko, blady zarys jej ust w pobliżu jego warg. Miała jasnoróżowe usta. Kita ogarnęła konsternacja.

Ale Livvy tylko pokręciła głową.

– Nie powinniśmy. Koniec całowania. Zresztą i tak zrobiliśmy to tylko raz. Ale wątpię, żeby to było nam pisane.

Udało się wyplątać łańcuszek. Kit zabrał szybko rękę.

– Dlaczego? Zrobiłem coś nie tak?

– Nic a nic.

Patrzyła na niego przez chwilę mądrymi, zadumanymi oczami. Emanowała łagodnością i szczęściem, ale nie pociągała go w romantyczny sposób. Miała rację, a on to wiedział.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – dodała. – Ty nawet mówisz, że powinniśmy zostać *parabatai*, kiedy to wszystko się już skończy. – Jej twarz pojaśniała. – Mam nadzieję, że przyjdiesz na ceremonię. Zawsze będziesz moim przyjacielem, prawda?

– Oczywiście – przytaknął Kit.

Dopiero po chwili zauważył, że powiedziała „moim”, nie „naszym” – jej i Ty’a. W tej chwili tylko mu ulżyło, że jej nie zranił ani że jej decyzja nie

zraniła jego. Zamiast tego czuł radosne wyczekiwanie, aż będą mieli zebranie Rady za sobą i wrócą do domu, do Los Angeles, gdzie mógłby zacząć trening i móc liczyć na pomoc bliźniąt w trudniejszych kwestiach.

– Zawsze będziemy przyjaciółmi – dodał.

* * *

Julian poczuł lęk ściskający mu żołądek, gdy wszedł do biblioteki. Po części spodziewał się, że Annabel już zniknie albo będzie unosić się wśród stosów książek jak długowłosa duch z horroru. Widział raz taki film, w którym duch dziewczyny wyczołgał się ze studni, kryjąc bladą twarz za masą mokrych, ciemnych włosów. To wspomnienie nawet teraz przyprawiało go o dreszcz.

Bibliotekę oświetlały rzędy zielonych lamp. Annabel siedziała przy najdłuższym stole, położywszy przed sobą Czarną Księgę. Złożyła ręce na kolanach. Miała długie i ciemne włosy, które częściowo skrywały jej twarz, ale nie były mokre. Nic w niej nie było w oczywisty sposób upiorne. Wyglądała... zwyczajnie.

Usiadł naprzeciwko niej. Magnus musiał jej przynieść jakieś ubranie z magazynu, bo miała na sobie bardzo prostą niebieską sukienkę z trochę przykrótkimi rękawami. Jules domyślał się, że miała jakieś dziesięćnaście lat, gdy umarła, może dwadzieścia.

– To była niezła sztuczka – przyznał – z liścikiem w kościele. I demonem.

– Nie spodziewałam się, że spalisz kościół. – Znowu mówiła z akcentem, tak jak mówiono dawno temu. – Zaskakujesz mnie.

– A ty zaskoczyłaś mnie, przychodząc tutaj i mówiąc, że chcesz rozmawiać tylko ze mną. Myślałem, że nawet mnie nie lubisz.

– Przyszłam z powodu tego.

Wyjęła z książki złożoną kartkę i podsunęła ją Julianowi. Miała długie palce i dziwnie zniekształcone stawy. Julian zdał sobie sprawę, że ma przed sobą dowód na to, że powyłamywano jej palce, i to więcej niż raz, a kości potem dziwnie się pozrastały. Widoczny ślad tortur. Zrobiło mu się trochę niedobrze. Wziął list i go rozłożył.

Do Annabel Blackthorn
Annabel,

możesz mnie nie znać, ale jesteśmy spokrewnieni. Nazywam się Tiberius Blackthorn.

Moja rodzina i ja szukamy Czarnej Księgi Umarłych. Wiemy, że ją masz, ponieważ mój brat Julian widział, jak zabrałaś ją Malcolmowi Fade'owi.

Nie winię Cię. Malcolm Fade nie jest naszym przyjacielem. Próbował zranić naszą rodzinę, zniszczyć nas, gdyby tylko zdołał. To potwór. Rzecz w tym, że potrzebujemy teraz Księgi. Potrzebujemy jej, żeby ocalić naszą rodzinę. Jesteśmy dobrą rodziną. Polubiłabyś nas, gdybyś nas poznała. Jestem ja. Zostanę detektywem. Jest Livvy, moja siostra bliźniaczka, która potrafi fechtować, i Drusilla, która uwielbia wszystko, co straszne, i Tavvy, który lubi, żeby mu czytać. Jest też Mark, który jest półkrwi faerie. Świetnie gotuje. Jest też Helen, którą wygnano, żeby strzegła zaklęć ochronnych, chociaż niczego złego nie zrobiła. I Emma, która nie jest właściwie Blackthornem, ale jest jak nasza przyszywana siostra.

No i jest Jules. Jego mogłabyś najbardziej polubić. To on opiekuje się nami wszystkimi. To dzięki niemu mamy się dobrze i nadal jesteśmy razem. On chyba nie wie, że my to wiemy, ale wiemy. Czasem mówi nam, co mamy robić albo nas nie słucha, ale zrobiłby dla nas wszystko. Ludzie mówią, że mamy pecha, bo nie mamy rodziców. A ja myślę, że to oni mają pecha, bo nie mają takiego brata jak ja.

Julian przestał czytać. Napięcie tętniące mu za oczami stało się zbyt wielkie. Chciał położyć głowę na blacie i rozbeczeć się zupełnie nie po męsku, opłakiwać chłopca, którym był, przestraszonego dwunastolatka, który patrzy na młodsze rodzeństwo i myśli: Teraz to są moje dzieci.

Chciał zapłakać nad nimi samymi, nad ich wiarą w niego i oczekiwaniem, że będzie ich kochał bezwarunkowo, że nie trzeba mu mówić, że go kochają, bo to oczywiste. Ty tak właśnie o nim myślał, ale pewnie uznał to za oczywiste. Skąd mógł o tym wiedzieć?

Zmusił się do zachowania milczenia i kamiennego wyrazu twarzy. Odłożył list na stół, żeby drżenie jego ręki mniej rzucało się w oczy. List już się kończył.

Nie myśl, że proszę Cię o przystulugę za nic. Julian może Ci pomóc. Pomaga wszystkim. Na pewno nie chcesz wiecznie uciekać i się ukrywać. Wiem, co Ci się

przydarzyło, co zrobili Ci Clave i Rada. Teraz sytuacja się zmieniła. Pozwól, że Ci wyjaśnimy. Pozwól, że Ci pokażemy, że nie musisz zostać wygnana ani żyć samotnie. Nie musisz dawać nam książki. Chcemy tylko pomóc.

Jesteśmy w Instytucie Londyńskim. Kiedykolwiek zechcesz przyjść, będziesz mile widziana.

Twój Tiberius Nero Blackthorn

– Skąd wie, co mi się przydarzyło? – Annabel nie była zła, ale zaciekawiona. – Co Inkwizytor i pozostali mi zrobili?

Julian wstał i przeszedł przez bibliotekę po kryształ *aletheia*, który leżał na regale. Przyniósł go i podał jej.

– Tiberius znalazł to w domu Blackthornów. Są tu czyjeś wspomnienia z twojego... przesłuchania... w sali Rady.

Annabel uniosła kryształ do oka. Julian nie widział dotąd, jaki wyraz twarzy ma ktoś, kto patrzy w kryształ *aletheia*. Jej oczy rozszerzyły się, wodziły za sceną, która rozgrywała się przed nią. Policzki zarumienione, drżące usta. Rękę zaczęła jej się trząść, nie potrafiła nad tym zapanować. Odrzuciła kryształ. Uderzył w stół i wgniół drewno, nie tłukąc się.

– O Boże, nie będzie łaski? – zapytała głuchym głosem. – Nigdy nie będzie litości ani wybaczenia?

– Nie, dopóki trwa niesprawiedliwość. – Julianowi serce biło szybko, ale wiedział, że nie zdradza się ze swoim poruszeniem. – To zawsze będzie boleć, dopóki nie wynagrodzą ci tego, co ci zrobili.

Uniosła wzrok.

– Co masz na myśli?

– Chodź ze mną do Idrisu. Złóż zeznania przed Radą. Dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Odwróciła się, blada i nieco chwiejna. Julian zaczął wstawać z krzesła. Wyciągnął do niej rękę, ale zamarł. Może wołała, żeby jej nie dotykać.

Zresztą jakaś jego część wcale nie chciała jej dotykać. Widział ją, kiedy była szkieletem powiązany w całość delikatną pajęczyną poźółkłej skóry i ścięgien. Teraz wyglądała prawdziwie i namacalnie, jak żywa istota, ale Julian nie mógł powstrzymać uczucia, że jego dłoń przeszłaby przez skórę i dotknęła kruszącej się kości pod spodem.

Cofnął rękę.

– Nie możesz mi zaoferować sprawiedliwości – powiedziała. – Nie możesz mi dać żadnej z rzeczy, których pragnę.

Julian poczuł zimno, ale nie mógł zaprzeczyć podnieceniu, które iskrzyło mu w nerwach. Dostrzegł nagle przed sobą plan, strategię i podniecenie przebiło nawet chłód brzytwy, po której stąpał.

– Nigdy nikomu nie powiedziałem, że jesteś w Kornwalii. Nawet po tym, co zdarzyło się w kościele. Dotrzymałem tajemnicy. Możesz mi zaufać.

Popatrzyła na niego, otwierając szeroko oczy. To właśnie dlatego to zrobiłem, pomyślał Julian. Zachowywał tę informację dla siebie jako możliwy atut, chociaż nie wiedział nawet, czy nadejdzie właściwa chwila, by się nią posłużyć. Usłyszał w głowie głos Emmy: „Julian, trochę mnie przerażasz”.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział, i wyjął z kieszeni kurtki zwinięty papier. Podał go Annabel.

To był narysowany przez niego portret Emmy na Chapel Cliff, z morzem u podnóża urwiska. Był zadowolony ze sposobu, w jaki uchwycił tęskny twarz jej twarzy, morze w dole, słabe szaro-złote słońce w jej włosach.

– Emma Carstairs. Moja *parabatai*.

Annabel podniosła wzrok.

– Malcolm mówił mi o niej. Powiedział, że jest uparta. Mówił o was wszystkich. Bał się ciebie.

Julian się zdumiał.

– Dlaczego?

– Powiedział to, co Ty. Że dla rodziny zrobiłbyś wszystko.

Masz bezwzględne serce.

Julian odepchnął od siebie słowa Kierana. Nie mógł się rozpraszać. To było zbyt ważne.

– A co jeszcze możesz powiedzieć, patrząc na ten rysunek?

– Że ją kochasz. Całą duszą.

Nie było niczego podejrzliwego w jej spojrzeniu. *Parabatai* powinni się kochać. Julian już widział swoją nagrodę, rozwiązanie. Zeznania Kierana były jedną częścią układanki. Pomogą im. Ale Kohorta przeciwstawi się sojuszowi z faerie. Annabel była kluczem do zniszczenia Kohorty i zapewnienia Blackthornom bezpieczeństwa. Julian oczami wyobraźni widział swoją rodzinę, której nic nie grozi, i powrót Aline i Helen, jak obraz

miasta migoczący na wzgórzu. Ruszył ku niemu, nie myśląc o niczym więcej.

– Widziałem twoje szkice i obrazy – powiedział. – Potrafię na ich podstawie stwierdzić, co kochałaś.

– Malcolma? – zapytała, unosząc brwi. – Ale to było dawno temu.

– Nie Malcolma. Posiadłość Blackthornów, w której mieszkałaś jako dziecko. Wszystkie rysunki, które ją przedstawiają, są żywe. Widziałaś to miejsce oczami duszy. Dotykałaś go. Miałaś je w sercu.

Odłożyła rysunek na stół. Milczała.

– Możesz to wszystko odzyskać, dom i całą resztę. Wiem, czemu uciekłaś. Spodziewałaś się, że jeśli Clave cię złapie, ukarze cię, znowu cię skrzywdzi. Ale mogę ci obiecać, że to się nie stanie. Nie jest idealne, daleko mu do tego, ale to nowe Clave i nowa Rada. W Radzie zasiadają Podziemni.

Otworzyła szerzej oczy.

– Magnus też tak mówił, ale mu nie uwierzyłam.

– To prawda. Małżeństwa między Podziemnymi i Nocnymi Łowcami nie są już nielegalne. Jeśli sprowadzimy cię przed Clave, nie tylko cię nie skrzywdzą, ale wręcz przywrócą do dawnej godności. Znowu będziesz Nocną Łowczynią. I będziesz mogła zamieszkać w rezydencji Blackthornów. Oddamy ci ją.

– Dlaczego? – Wstała i zaczęła krążyć. – Dlaczego zrobiłbyś to wszystko dla mnie? Dla Księgi? Nie oddam ci jej.

– Ponieważ potrzebuję, żebyś stanęła przed Radą i powiedziała, że zabiłaś Malcolma.

Zostawiła Czarną Księgę na stole przed nim. Nadal krążyła po komnacie i nie patrzyła na niego. Pomny ostrzeżenia Magnusa – „Pod żadnym pozorem nie próbuj zabrać jej Czarnej Księgi, nawet jeśli nie będzie jej trzymać” – Julian otworzył ją ostrożnie i zerknął na stronę pokrytą ciasnym, nieczytelnym pismem. Pewien pomysł zaczął formować się w jego umyśle jak ostrożny kwiat. Sięgnął do kieszeni.

– Że zabiłam Malcolma? – Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

Wyjął telefon, ale podejrzewał, że dla niej to nic nie znaczy. Pewnie widziała Przyziemnych z telefonami komórkowymi, ale nigdy nie pomyślała, że to także aparat fotograficzny. Zresztą aparat też pewnie niewiele dla niej znaczył.

– Tak. Uwierz mi, uznają cię za bohaterkę.

Znowu zaczęła przechadzać się po sali. Julian się zgarbił. Pozycja, w jakiej się znalazł, kiedy miał obie ręce zajęte i pochylał się, była dość niezręczna. Jeśli jednak to się uda, będzie to warte więcej niż trochę bólu.

– Jest pewna osoba, która kłamie – wyjaśnił. – Przypisuje sobie zasługę zabicia Malcolma. Robi to, żeby przejąć kontrolę nad Instytutem. Naszym Instytutem. – Odetchnął głęboko. – Nazywa się Zara Dearborn.

To nazwisko podziało na Annabel dokładnie tak, jak się spodziewał.

– Dearborn – szepnęła.

– Inkwizytor, który cię torturował – powiedział Julian. – Jego potomkowie nie są lepsi. Zasiadają w Radzie, obnoszą się z tabliczkami upokarzającymi Podziemnych i wszystkich tych, którzy odważą się przeciwstawić Clave. Ściągnęliby na nas potworną ciemność, gdyby tylko mogli. Ty jednak możesz udowodnić, że to kłamcy. Zdyskredytować ich.

– Z pewnością sam możesz powiedzieć Radzie prawdę...

– Wtedy będę musiał ujawnić, skąd ją znam. Widziałem, jak zabijasz Malcolma w magicznym zwierciadle królowej Jasnego Dworu. Mówię ci to, bo jestem zdesperowany. Jeśli słyszałaś, jak Malcolm mówił o Zimnym Pokoju, to musisz wiedzieć także o tym, że wszelkie kontakty z faerie są zakazane. To, co zrobiłem, zostałoby uznane za zdradę. Przyjąłbym stosowną karę, ale...

– Twoje rodzeństwo by tego nie zniosło – dokończyła za niego.

Odwróciła się do niego, kiedy odchylił się od książki. Czy jej oczy bardziej przypominały oczy Livvy czy Dru? Były niebieskozielone i bezdenne.

– Widzę, że sprawy nie zmieniły się wcale aż tak bardzo. Prawo nadal jest twarde i nadal jest Prawem.

Julian słyszał nienawiść w jej głosie i już wiedział, że chwyciła przynętę.

– Prawo da się ominąć. – Pochylił się nad stołem. – Możemy ich zwieść. I zawstydzić. Zmusić do konfrontacji z kłamstwami. Dearbornowie zapłacą. Wszyscy tam będą: Konsul, Inkwizytor, wszyscy spadkobiercy władzy, której nadużyto wobec ciebie.

Oczy jej zabłyśły.

– Zmusisz ich, żeby się przyznali, co zrobili?

– Tak.

– Co w zamian?

– Twoje zeznania. To wszystko.

– Chcesz, żebym udała się do Idrisu razem z tobą? Żebym stanęła przed Clave i Radą, przed Inkwizytorem, tak jak zrobiłam to kiedyś?

Julian skinął głową.

– A jeśli uznają mnie za szaloną, jeśli ogłoszą, że kłamię albo jestem pod przymusem Malcolma, to czy wstawisz się za mną? Czy poświadczysz, że jestem zdrowa na umyśle?

– Magnus będzie ci towarzyszył na każdym kroku – obiecał Julian. – Może stać obok ciebie na podwyższeniu. Może cię chronić. Jest reprezentantem czarowników w Radzie i wiesz, jaki jest potężny. Możesz mu ufać, nawet jeśli nie ufasz mnie.

To nie była prawdziwa odpowiedź, ale Annabel ją za taką uznała. Julian wiedział, że tak będzie.

– Ufam ci – odparła zadziwiona. Podeszła, podniosła Czarną Księgę i przytuliła ją do piersi. – Z powodu listu twojego brata. Był szczery. Nigdy wcześniej nie poznałam szczerego Blackthorna. Dostrzegam jednak prawdę w jego miłości do ciebie. Musisz być wart takiego uczucia i zaufania, żeby obudzić je w kimś tak szczerym. – Świdrowała go wzrokiem. – Wiem, czego chcesz i czego potrzebujesz. Jednak teraz, kiedy do ciebie przyszedłam, ani razu o to nie poprosiłeś. To ma znaczenie. Chociaż nie przeszedłeś mojej próby, to rozumiem teraz powody. Działałeś w obronie rodziny. – Julian słyszał, jak Annabel przetyka ślinę, jak poruszają się mięśnie w jej chudym, poznaczonym bliznami gardle. – Przysięgasz, że jeśli Czarna Księga trafi do ciebie, to ukryjesz ją przed Władcą Cieni? Posłużysz się nią tylko po to, żeby pomóc rodzinie?

– Przysięgam na Anioła.

Wiedział, jak potężna to przysięga, i Annabel też musiała zdawać sobie z tego sprawę. W końcu mówił samą prawdę.

Serce biło mu szybko i mocno. Był oślepiiony światłem tego, co sobie wyobrażał, co królowa może zrobić dla nich, kiedy odda jej Czarną Księgę – Helen, Helen wróci, i Aline, i Zimny Pokój się skończy.

A królowa wie... wie...

Zdławił tę myśl. Słyszał głos Emmy, szept w głębi duszy. Ostrzeżenie. Emma była w głębi serca dobra, uczciwa i prostolinijna, zupełnie nie potrafiła kłamać. Nie rozumiała okrucieństwa konieczności. Nie rozumiała, że dla swojej rodziny Julian zrobiłby wszystko. Bez końca. Bez granic.

Absolutnie wszystko.

– Dobrze więc – powiedziała Annabel głosem silnym i energicznym. Julian słyszał w jej akcencie niezłomne urwiska Kornwalii. – Udam się z tobą do Miasta Szkła i przemówię przed Radą. Jeśli moje słowa zostaną wysłuchane i uznane za prawdziwe, Czarna Księga będzie twoja.

Ultima Thule

W Alicante świeciło słońce.

Kiedy Emma była pierwszy raz w Idrisie, trwała zima lodowata jak śmierć i wszędzie wokół była śmierć. Jej rodzice dopiero co zostali zabici, Mroczna Wojna spustoszyła miasto. Nie nadążano z paleniem ciał Nocnych Łowców poległych na ulicach i trupy składowano w Sali Anioła jak porzucone zabawki.

– Emma.

Julian przechadzał się po długim korytarzu w Gard, z którego liczne drzwi prowadziły do gabinetów różnych urzędników. Pomiędzy drzwiami znajdowały się okna wpuszczające jasne światło późnego lata i gobeliny przedstawiające znaczące wydarzenia z historii Nocnych Łowców. Większość miała na górze małe podpisy: BITWA O BUND, OSTATNI BÓJ VALENTINE’A, POTYCZKA W PARYŻU, POWSTANIE.

– Pamiętasz...

Pamiętała. Pięć lat temu stali dokładnie w tym samym miejscu. Słuchali dyskusji Luciana Graymarka i Jii Penhallow na temat wygnania Marka i Helen, zanim Emma otworzyła z hukiem drzwi i na nich nawrzeszczała. To była jedna z nielicznych chwil, kiedy widziała, jak Julian traci panowanie nad sobą. Nawet teraz słyszała w głowie jego głos: „Obiecaliście, że Clave nigdy nie porzuci Marka, póki będzie żył! Obiecaliście!”.

– Jak mogłabym zapomnieć. To tutaj powiedzieliśmy pani Konsul, że chcemy zostać *parabatai*.

Julian dotknął jej ręki. Ledwie musnął ją palcami; oboje wiedzieli, że w każdej chwili ktoś może nadejść korytarzem.

Dotarcie do Alicante okazało się trudne. Magnus zdołał otworzyć Bramę, chociaż to pozbawiło go resztek energii i doprowadziło do stanu, który

przeraził Emmę. Magnus klęczał już, kiedy zaczął się formować znajomy wir światła, i musiał wesprzeć się na Marku i Julianie, żeby wstać.

Mimo to zbywał ich, gdy wyrażali troskę, i ponaglał, żeby jak najszybciej przeszli przez Bramę. Idris chroniły zaklęcia i przenoszenie się tam było dość skomplikowane, ponieważ ktoś po drugiej stronie musiał cię odebrać. Teraz, kiedy towarzyszył im Kieran, stało się to podwójnie skomplikowane i chociaż Jia chwilowo zdjęła z Gard zabezpieczenia broniące przystępu faerie, to okienko umożliwiające bezpieczną podróż było bardzo małe.

A potem Brama przeraziła Annabel.

Nigdy nie widziała czegoś takiego i mimo wszystkiego, przez co przeszła, mimo straszliwej magii, jaką widziała w wykonaniu Malcolma, odruchowo krzyknęła na widok wirującego chaosu po drugiej stronie przejścia.

Ostatecznie, kiedy wszyscy Nocni Łowcy już przeszli, Annabel weszła w Bramę razem z Magnusem, przyciskając do piersi Czarną Księgę i wtulając twarz w jego ramię.

A po drugiej stronie już czekał na nią tłum członków Rady i sama pani Konsul. Na widok Annabel Jia pobladła i spytała zdumiona:

– To naprawdę ona?

Magnus spojrział jej w oczy.

– Tak – odrzekł stanowczo. – To naprawdę ona.

Podniósł się gwar pytań. Emma nie miała pretensji do zebranych wokół nich członków Rady. Sporo pytań posypało się już wcześniej na Juliana, kiedy wyszedł z biblioteki i oznajmił czekającym na niego Magnusowi i Emmie, że Annabel wybiera się z nimi do Idrisu.

Kiedy przedstawił zarys swojego planu, Emma zwróciła uwagę na wyraz twarzy Magnusa. Czarownik patrzył na Juliana z mieszaniną zdumienia, szacunku i czegoś, co mogło wyglądać na zgrozę.

Ale pewnie to było tylko zaskoczenie. Potem już Magnus odzyskał panowanie nad sobą i natychmiast zajął się wysyłaniem ognistej wiadomości do Jii, żeby pani Konsul wiedziała, kogo ma się spodziewać.

Emma odciągnęła Juliana na bok, kiedy niebieskie iskry posypały się z palców Magnusa.

– A co z książką? – szepnęła. – Co z królową?

Oczy Juliana zabłyśły.

– Jeśli to zadziała, Annabel odda nam Czarną Księgę – odparł szeptem.

Wpatrywał się w drzwi do biblioteki takim wzrokiem, jakby znajdująca się za nimi Annabel była odpowiedzią na wszystkie ich modlitwy. – A jeśli nie, to mam plan awaryjny.

Nie było okazji zapytać go, na czym polega ten plan, bo Annabel wyszła z biblioteki wyraźnie przestraszona i onieśmielona. Jeszcze bardziej przestraszyła się teraz, w Idrisie, kiedy rozległa się wokół niej wrzawa. Kieran ściągnął część uwagi na siebie, gdy wystąpił naprzód i oznajmił, że jest wysłannikiem królowej Jasnego Dworu, która przysłała go, by przemówił w jej imieniu przed Radą Nocnych Łowców. Spodziewano się go, ale jego słowa i tak wywołały burzę podnieconych komentarzy.

– Proszę ustawić z powrotem zaklęcia ochronne – poleciła pani Konsul, wskazując głową na Kierana.

Miała uprzejmy wyraz twarzy, ale przekaz był oczywisty: chociaż Kieran przybył z pomocą, to jako pełnej krwi faerie nadal był traktowany przez Clave z najwyższą nieufnością.

Mark i Cristina podeszli do Kierana, jakby chcieli go osłaniać, a Magnus porozmawiał cicho z panią Konsul. Po chwili pokiwała głową i skinęła na Emmę i Juliana.

– Jeśli chcecie porozmawiać z Robertem, to śmiało, ale streszczajcie się, bo wkrótce zacznie się zebranie.

Emma nie była zaskoczona, że kiedy ona i Julian ruszyli w stronę gabinetów w Gard, Livvy, Ty, Kit i Dru obstąpili Annabel, zapewniając jej ochronę. Zwłaszcza Ty, który stanął przy niej z uniesionym podbródkiem i zaciśniętymi pięściami. Emmę ciekawiło, czy czuł się odpowiedzialny za Annabel, ponieważ to jego list ją sprowadził, czy też utożsamiał się z tymi, którzy nie odpowiadali standardom „normalności” wyznawanym przez Clave.

Drzwi otworzyły się szeroko.

– Możecie teraz wejść – powiedział strażnik.

To był Manuel Villalobos w mundurze Centuriona. Zaskoczenie ich widokiem szybko pokrył uśmiechem.

– Co za nieoczekiwana przyjemność – dodał.

– Nie przyszliśmy do ciebie – odparł Julian. – Chociaż miło wiedzieć, że w ostatnim czasie awansowałaś na odźwiernego Inkwizytora. Zastaliśmy go?

– Wpuść ich, Centurionie! – zawołał Robert i to wystarczyło Emmie, żeby odepchnęła Manuela i ruszyła korytarzem. Julian poszedł za nią.

Krótki korytarz prowadził do gabinetu Inkwizytora, który siedział za biurkiem i wyglądał tak samo, jak wtedy, kiedy Emma ostatni raz widziała go w Instytucie w Los Angeles. Na tym mocno zbudowanym mężczyźnie wiek dopiero teraz zaczął odciskać swoje piętno – ramiona miał nieco przygarbione, siwizna przetykała jego ciemne włosy. Robert Lightwood wyglądał imponująco za masywnym mahoniowym biurkiem.

Pokój był skąpo umeblowany – były tam tylko biurko i dwa fotele. A także wygaszony kominek. Wisiał nad nim jeden z serii gobelinów, jakie wcześniej widzieli na korytarzu; ten nosił tytuł BITWA NA BURREN. Postaci w czerwieni (Nocni Łowcy) walczyły z postaciami ubranymi na czarno (Mrocznymi), a ponad nimi było widać ciemnowłosego łuczника, który stał na głazie i trzymał napięty łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę. Dla każdego, kto go znał, było jasne, że to Alec Lightwood.

Emma zastanawiała się, jakie myśli przebiegały przez głowę Roberta Lightwooda, kiedy każdego dnia siadywał w gabinecie i patrzył na portret syna, bohatera słynnej teraz bitwy. Na pewno czuł dumę, ale też zdumienie, że stworzył takiego człowieka – czy raczej takich ludzi, bo Isabelle Lightwood także popisywała się bohaterskimi wyczynami. Oboje z Alekiem wyrosli na niesamowitych, zaciekle wojowników.

Pewnego dnia Julian też poczuje tę dumę, pomyślała, gdy spojrzy na Livvy, Ty'a, Tavvy'ego i Dru. Jej rodzice jednak nie będą mieli takiej szansy. Zalała ją znajoma fala goryczy i urazy napierająca na serce.

Robert wskazał gestem, żeby siadali.

– Słyszałem, że chcecie ze mną porozmawiać. Mam nadzieję, że nie chodzi o coś dla odwrócenia uwagi.

– Odwrócenia uwagi od czego? – zapytała Emma, sadowiąc się na niewygodnym uszaku.

– Od czegokolwiek, co kombinujecie. – Usiadł prosto. – Zatem o co chodzi?

Emmie serce zabiło mocniej. Czy to dobry pomysł, czy okropny? Miała wrażenie, że wszystko w niej opancerzało się przeciwko tej chwili, przeciwko ujawnieniu swoich uczuć wobec Clave, które mogłoby je zdeptać.

Patrzyła, jak Julian się pochyła i zaczyna mówić. Sprawiał wrażenie

całkowicie spokojnego, kiedy mówił o początkach swojej przyjaźni z Emmą, o łączącej ich sympatii i decyzji o zostaniu *parabatai* spowodowanej przez Mroczną Wojnę i utratę rodziców. W jego ustach ta decyzja zabrzmiała tak rozsądnie. To nie była niczyja wina. Kto by winił kogokolwiek? Wszyscy kogoś stracili w Mrocznej Wojnie. Nikogo nie można było winić, że przegapił jakiś szczegół, źle rozumiał swoje uczucia.

Robert Lightwood coraz szerzej otwierał oczy. Słuchał w milczeniu, jak Julian opowiada o narastającym uczuciu między nim a Emmą. Jak oboje zdali sobie sprawę z tego, co czuje każde z nich; jak zmagali się z tym w milczeniu; jak wyznali sobie uczucia i wreszcie postanowili szukać pomocy Inkwizytora i byli gotowi poddać się Prawu.

– Wiemy, że złamaliśmy Prawo – dokończył Julian – ale nie zrobiliśmy tego celowo ani nad tym nie panowaliśmy. Szukamy tylko pomocy.

Robert Lightwood wstał. Emma widziała szklane wieże za oknem, lśniące jak płonące chorągwie. Trudno jej było uwierzyć, że jeszcze tego ranka walczyli z Jeźdźcami na dziedzińcu Instytutu Londyńskiego.

– Nikt do tej pory nie prosił mnie o to, żeby go wygnąć – odrzekł w końcu.

– Ale sam zostałeś kiedyś wypędzony – powiedział Julian.

– To prawda. Razem z żoną Maryse i Alekiem, który był wtedy mały. I nie bez powodu. Wygnanie to samotność. A dla kogoś tak młodego jak Emma...

– Zerknął na nich. – Czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Nie. – Julian mówił spokojnie i stanowczo.

Emma wiedziała, że próbuje ochronić tych, którzy się domyślili lub którym sam o tym powiedział, ale i tak przerażała ją, że potrafił tak kłamać. Wydawało się przecież, że mówi całkowicie szczerze.

– I jesteście tego pewni? To nie jest tylko zauroczenie albo... Uczucia łączące *parabatai* bywają czasem niezwykle intensywne. – Robert sprawiał wrażenie zakłopotanego, kiedy splótł dłonie za plecami. – Łatwo je źle zinterpretować.

– Jesteśmy absolutnie pewni – przytaknął Julian.

– Zwykle zalecanym środkiem byłaby separacja, nie banicja. – Robert popatrzył na nich, jakby nadal nie bardzo mógł uwierzyć w to, co widzi i usłyszał. – Ale nie tego chcecie i ja to widzę. Nie przyszlibyście do mnie, gdybyście myśleli, że mogę wam zaoferować tylko standardowe środki: separację, pozbawienie Znaków.

– Nie możemy ryzykować złamania Prawa i związanej z tym kary. – Julian nadal mówił spokojnie, ale Emma widziała jego ręce tak zaciśnięte na podłokietnikach, że pobierały mu knykcie. – Rodzina mnie potrzebuje. Moje rodzeństwo jest nadal młode, a nie mamy rodziców. Wychowuję ich, nie mogę ich zostawić bez opieki. To nie wchodzi w grę. Ale oboje z Emmą wiemy, że nie możemy sobie ufać, że będziemy się trzymać na dystans.

– Dlatego chcecie, żeby rozdzieliło was Clave. Chcecie wygnania, ale nie chcecie czekać, aż zostaniecie przyłapani. Przyszliście do mnie, żeby móc wybrać, które z was odejdzie, na jak długo i jaką karę wyznaczy Clave, którym kieruję.

– Właśnie – potwierdził Julian.

– I chociaż nie mówicie o tym wprost, myślę, że chodzi wam o to, co wygnanie wam da: osłabi więź. Może myślicie, że będzie wam wtedy łatwiej przestać się kochać.

Ani Emma, ani Julian nie odezwali się. Robert był nieprzyjemnie bliski prawdy. Twarz Juliana była pozbawiona wyrazu; Emma próbowała go naśladować. Robert zetknął dłonie czubkami palców.

– Chcemy po prostu być normalnymi *parabatai* – odezwał się w końcu Julian, ale Emma słyszała niewypowiedziane słowa pod tymi, które padły: „Nigdy się nie porzucimy, nigdy”.

– To poważna prośba.

Emma próbowała wychwycić gniew, przyganę albo niedowierzenie w głosie Inkwizytora, ale Robert mówił zupełnie neutralnym tonem. To ją przeraziło.

– Miałaś kiedyś *parabatai*, prawda? – zapytała zdesperowana.

– Michaela Waylanda – przytaknął lodowatym tonem Robert. – Nie żyje.

– Przykro mi. – Emma wiedziała o śmierci, ale jej współczucie było szczere. Nie mogła sobie wyobrazić zbyt wielu rzeczy, które byłyby straszniejsze od śmierci Juliana.

– Na pewno chciałby, żebyś nam pomógł – powiedział Julian.

Emma nie wiedziała, czy Julian znał Michaela Waylanda, czy po prostu kierował się intuicją, umiejętnością odczytywania wyrazu ludzkich oczu i dostrzegania prawdy w sposobie, w jaki się krzywią lub uśmiechają.

– Michael... Owszem – mruknął Robert. – Chciałby. Na Anioła! Wygnanie będzie ciężkim brzemieniem dla Emmy. Mogę spróbować ograniczyć

warunki kary, ale nadal stracisz część swoich mocy Nefilim. Będziesz potrzebowała pozwolenia na wejście do Alicante. Pewnych Znaków nie będziesz mogła używać. Nóż seraficki nie zapłonie dla ciebie.

– Mam Cortanę. To wszystko, czego potrzebuję.

W uśmiechu Roberta był smutek.

– Jeśli dojdzie do wojny, nie będziesz mogła w niej walczyć. To dlatego skrócono moje wygnanie: z powodu powrotu Valentine’a i wybuchu Mrocznej Wojny.

Julian miał tak napiętą twarz, że kości policzkowe rysowały się w niej jak ostrza noży.

– Nie zgodzimy się na banicję, jeżeli Emma nie będzie mogła zachować dość mocy Nefilim, żeby być bezpieczną. Jeśli coś jej się stanie z powodu wygnania...

– Wygnanie to twój pomysł – powiedział Robert. – Jesteś pewien, że zdołasz się odkochać?

– Tak – skłamał Julian. – Zresztą separacja i tak byłaby pierwszym krokiem, prawda? Po prostu prosimy o dodatkowe zabezpieczenie.

– Słyszałem pewne rzeczy. Prawo zakazujące miłości między *parabatai* istnieje nie bez powodu. Nie znam tego powodu, ale domyślam się, że chodzi o coś znaczącego. Gdybym pomyślał, że wy go znacie... – Pokręcił głową. – Ale to niemożliwe. Mógłbym porozmawiać z Cichymi Braćmi...

Nie, pomyślała Emma. Już wiele ryzykowali, ale gdyby Robert dowiedział się o przekleństwie, znaleźliby się na bardzo niebezpiecznych wodach.

– Magnus powiedział, że nam pomożesz – odezwała się cicho. – Powiedział, że możemy ci zaufać, bo zrozumiesz i dochowasz tajemnicy.

Robert spojrział na gobelin nad kominkiem, na Aleca. Dotknął sygnetu Lightwoodów na palcu, pewnie nieświadomie.

– Ufam Magnusowi – powiedział. – Bardzo dużo mu zawdzięczam.

Zapatrzył się w dal. Emma nie bardzo wiedziała, czy myśli o przeszłości, czy rozważa przyszłość. Oboje z Julianem siedzieli spięci, podczas gdy Robert się zastanawiał. Wreszcie powiedział:

– W porządku. Dajcie mi kilka dni. Będziecie musieli oboje pozostać w Alicante, gdy ja będę organizował ceremonię wygnania. Musicie przebywać w osobnych domach. Muszę zobaczyć, że naprawdę staracie się unikać siebie nawzajem. To jasne?

Emma z trudem przełknęła ślinę. Ceremonia wygnania. Miała nadzieję, że Jem tam będzie. To Cisi Bracia zawiadywali ceremoniami i chociaż Jem już do nich nie należał, to był obecny podczas jej ceremonii *parabatai*. Gdyby się pojawił, czułaby się odrobinę mniej samotna.

Widziała minę Juliana. Wyglądał tak, jak ona się czuła, jakby ulga i zgroza walczyły w nim o prymat.

– Dziękuję – powiedział.

– Dziękuję, Inkwizytorze – powiedziała Emma.

Robert zrobił zdziwioną minę. Pewnie jeszcze nikt do tej pory nie podziękował mu za wyrok wygnania.

* * *

Cristina nigdy dotąd nie była w Sali Narad w Gard. Była to sala w kształcie podkowy, z rzędami ławek ciągnącymi się ku niewielkiemu podwyższeniu. Powyżej wznosił się balkon z kolejnymi ławkami. Nad podwyższeniem wisiał wielki złoty zegar, pięknie ozdobiony wolutami i powtarzającą się łacińską frazą *Ultima Thule* na krawędzi. Za podwyższeniem wznosiła się niesamowita ściana z oknami, z których rozpościerał się widok na leżące w dole Alicante. Cristina wspięła się na palce, żeby zobaczyć kręte ulice, niebieskie cienie kanałów, wieże demoniczne wnoszące się w niebo jak przezroczyste igły.

Sala zaczęła się zapęłniać. Annabel i Kierana zabrano do poczekalni razem z Magnusem. Pozostałych wpuszczono wcześniej, więc zajęli dwa pierwsze rzędy ławek, z samego przodu. Ty, Kit i Livvy już siedzieli i rozmawiali. Dru siedziała sama i milczała zatopiona w myślach. Cristina chciała do niej podejść, kiedy nagle poczuła lekkie pukanie w ramię.

To był Mark. Starannie dobrał strój na zebranie Rady i Cristina poczuła bolesne ukłucie na jego widok: wyglądał cudownie w wyprasowanych staromodnych ubraniach, jak prześlicznie pokolorowana stara fotografia. Ciemna marynarka i kamizelka świetnie na nim leżały. Zaczesał jasne włosy w taki sposób, żeby zasłaniały czubki uszu.

Nawet się ogolił (i zaciął lekko w podbródek), co było idiotyczne, ponieważ nie miał praktycznie zarostu. Wyglądał dla Cristiny jak mały chłopiec, który w pierwszym dniu szkoły chce zrobić dobre wrażenie.

Współczuła mu całym sercem. Tak bardzo przejmował się dobrą opinią ludzi, którzy mimo błagań jego rodziny zgodzili się zostawić go w Dzikim Polowaniu – tylko dlatego, że był tym, kim był.

– Myślisz, że Kieranowi nic nie będzie? – zapytał. – Powinni traktować wysłannika Dworu z większym szacunkiem. A oni praktycznie pobiegli rzucić zakłęcia ochronne, kiedy tylko się zjawiliśmy.

– Nic mu nie będzie – zapewniła go Cristina.

Uważała, że zarówno Kieran, jak i Mark są silniejsi, niż ludziom się wydaje – może przez to, że wcześniej, w Dzikim Polowaniu, byli tacy bezbronni.

– Chociaż nie wyobrażam sobie, żeby dało się zwyczajnie pogawędzić z Annabel. Dobrze przynajmniej, że jest z nimi Magnus.

Mark posłał jej wymuszony uśmiech, gdy po Sali rozszedł się cichy pomruk. Przybyli Centurioni w pełnym umundurowaniu – w czerwonych, szarych i srebrnych strojach z wyeksponowanymi srebrnymi odznakami. Każdy niósł kostur z litego adamasu. Cristina rozpoznała kilku znajomych z Los Angeles, między innymi Samanthę – przyjaciółkę Zary o chudej, paskudnej twarzy, i Rayana, który rozglądał się wokół z troską.

Zara szła pierwsza z wysoko uniesioną głową. Jej usta były jak jaskrawoczerwona szrama. Wykrzywiła je z niesmakiem, gdy minęła Marka i Cristinę. Ale dlaczego nie było obok niej Diego? Nie przyszedł z nimi? A nie, jednak był, szedł niemal na samym końcu, poszarzały na twarzy i zmęczony, ale zdecydowanie obecny.

Zatrzymał się przed Cristiną i Markiem, kiedy inni Centurioni ich minęli.

– Dostałem twoją wiadomość – powiedział cicho do Cristiny. – Jeśli tego właśnie chcesz...

– Jaką wiadomość? – spytał Mark. – Co jest grane?

Zara stanęła obok Diego.

– Ponowne spotkanie. Jak miło. – Uśmiechnęła się do Cristiny. – Na pewno ucieszysz się, słysząc, jak dobrze wszystko poszło w Los Angeles po waszym wyjeździe.

– To naprawdę imponujący wyczyn, zabicie Malcolma – powiedział Mark. Patrzył na nią beznamiętnie. – Widzę, że zapewniło ci to spory awans. Niewątpliwie zasłużony.

– Dziękuję. – Zara zaśmiała się sztucznie, kładąc rękę na ramieniu Diego.

– O, patrz! – zawołała z udawanym entuzjazmem.

Kolejni Nocni Łowcy wchodzili do sali. Byli w różnym wieku, od starych do młodych. Niektórzy nosili mundury Centurionów, większość miała na sobie stroje bojowe albo zwykłe ubrania. Wyróżniało ich to, że wszyscy nieśli transparenty i tabliczki: ZAREJESTROWAĆ CZAROWNIKÓW, PODZIEMNYCH TRZEBA KONTROLOWAĆ, CHWAŁA ZIMNEMU POKOJOWI, POPRZYJ REJESTR. Wśród nich był stateczny ciemnowłosy mężczyzna o całkiem przeciętnej twarzy, która nie zapadała w pamięć. Mrugnął porozumiewawczo do Zary.

– Mój ojciec – powiedziała z dumą. – Rejestr to jego pomysł.

– Bardzo ciekawe transparenty – zauważył Mark.

– To cudowne widzieć, jak ludzie wyrażają swoje poglądy polityczne – odrzekła Zara. – Oczywiście Zimny Pokój naprawdę stworzył pokolenie rewolucjonistów.

– To niezwykle – wtrąciła Cristina – żeby rewolucja nawoływała do ograniczenia praw ludzi zamiast ich rozszerzenia.

Na chwilę maska opadła z twarzy Zary i Cristina przeniknęła jej fałszywą uprzejmość, afektowany głos małej dziewczynki i resztę zachowania. Pod tym wszystkim kryło się coś zimnego, pozbawionego krztyny ciepła i empatii.

– Ludzi? – spytała. – Jakich ludzi?

Diego złapał ją za rękę.

– Zara, chodźmy usiąść.

Mark i Cristina w milczeniu odprowadzili ich wzrokiem.

* * *

– Mam nadzieję, że z Julianem wszystko w porządku – powiedziała Livvy, wpatrując się w puste podwyższenie.

– Zwykle jest w porządku – odparł Ty. – Może nie we wszystkim, co robi, ale przeważnie.

Kit siedział między bliźniętami, co znaczyło, że rozmawiali ponad nim. Nie bardzo wiedział, jak wylądował na tym miejscu. Chociaż, prawdę mówiąc, w tej chwili nie miał nic przeciwko temu, prawie tego nie zauważał. Był tak oszołomiony, że praktycznie całkiem umilkł – co mu się nigdy nie

zdarzało – zauroczony miejscem, w którym się znalazł: to było serce kraju Nocnych Łowców. Patrzył na legendarne demoniczne wieże.

Zakochał się w Idrisie od pierwszego wejrzenia. W ogóle się tego nie spodziewał.

Zupełnie jakby wszedł do bajki. I to nie takiej, do jakiej przywykł na Nocnym Targu, gdzie faerie były tylko kolejnym rodzajem potworów. To był ten rodzaj bajki, jakie widział w telewizji i książkach, kiedy był mały. To był świat cudownych zamków i bujnych lasów.

Livvy mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Masz ten szczególny wyraz twarzy.

– Jaki?

– Jesteś pod wrażeniem Idrisu. Przyznaj się, panie Nic Mi Nie Zaimponuje.

Kit nie zamierzał tego robić.

– Podoba mi się zegar.

– Istnieje legenda na temat tego zegara. – Livvy poruszyła brwiami. – Na sekundę, gdy wybija godzinę, otwierają się bramy Niebios. – Westchnęła. Na jej twarzy pojawiło się rzadkie u niej rozmarzenie. – Jeśli o mnie chodzi, Niebem byłby powrót do naszego Instytutu. Powrót nas wszystkich do domu.

To zaskoczyło Kita. Myślał o wyprawie do Idrisu jak o końcu ich chaotycznej przygody. Wróciliby do Los Angeles i zaczął trening. A jednak Livvy miała rację – nic nie było pewne. Zerknął na Zarę i jej krąg przyjaciół najeżony paskudnymi tablicami.

– I jeszcze jest sprawa Czarnej Księgi – dodał Ty.

Wyglądał bardzo oficjalnie i był uczesany, co rzadko mu się zdarzało. Kit przywykł do jego sportowych bluz z kapturem i džinsów. Ten przystojny, poważnie wyglądający Ty sprawił, że Kit na moment oniemiał.

– Annabel odda ją Julesowi. Wierzę, że Julian potrafi każdego oczarować, żeby dostać to, czego chce. Albo skłonić do tego podstępem. Ale faktycznie wolalabym, żeby nie musieli później spotykać się z królową. Nie podoba mi się ta osoba.

– Chyba jest na ten temat powiedzenie – wtrącił się Kit. – Coś w stylu: „Wszystko w swoim czasie”.

Ty zeszywniał jak pies myśliwski na widok lisa.

– Livvy!

Siostra spojrzała w tym samym kierunku co on. Kit także. Przez tłum szła do nich Diana z uśmiechem na twarzy. Wytatuowany karp koi mienił się na jej ciemnym policzku.

Towarzyszyły jej dwie kobiety w wieku dwudziestu paru lat. Jedna bardzo przypominała Jię Penhallow, miała ciemne włosy i mocny podbródek. Druga ogromnie przypominała Marka Blackthorna, łącznie z puklami w kolorze jasnobłond i szpiczastymi uszami. Obie były dziwnie opatulone jak na tę porę roku, jakby przybyły z jakiegoś zimnego kraju.

Kit zdał sobie sprawę, kto to jest, zanim twarz Livvy rozpromieniła się jak słońce.

– Helen! – wrzasnęła Livvy i rzuciła się siostrze w ramiona.

* * *

Zegar z Sali Narad rozbrzmiał w całym Gard, dając znać, że wszyscy Nefilim zebrali się na naradzie.

Robert Lightwood uparł się, że odprowadzi Juliana z gabinetu do pokoju, w którym czekali Magnus, Kieran i Annabel. Niestety dla Emmy oznaczało to, że to Manuel odprowadził ją do Sali Narad.

Żałowała, że nie miała chwili na rozmowę z Julianem. Spojrzeli tylko cierpko po sobie i każde poszło swoją drogą.

– Nie możesz doczekać się zebrania? – zapytał Manuel.

Trzymał ręce w kieszeniach. Ciemnobłond włosy nosił ułożone w artystycznym nieładzie. Emma dziwiła się, że nie pogwizdywał przez zęby.

– Nikt nie rwie się do zebrań. To zło konieczne.

– Oj, na twoim miejscu bym tego nie mówił. Zara uwielbia zebrania.

– Ona lubi chyba wszelkie rodzaje tortur – mruknęła Emma.

Manuel odwrócił się i szedł tyłem. Znajdowali się w jednym z większych korytarzy zbudowanych po tym, jak Gard spłonęło podczas Mrocznej Wojny.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby zostać Centurionem?

Emma pokręciła głową.

– Nie wolno mieć wtedy *parabatai*.

– Zawsze uważałem, że ten twój układ z Julianem Blackthornem to wielka

szkoda. Spójrz tylko na siebie. Jesteś ładna, sporo umiesz, pochodzisz z Carstairsów. A Julian? Cały czas spędza z maluchami. Jest staruszką w wieku lat siedemnastu.

Emma zastanawiała się, co by się stało, gdyby wyrzuciła Manuela przez okno. Pewnie opóźniłaby posiedzenie Rady.

– Tak tylko mówię. Nawet jeśli nie chcesz iść do Scholomancji, przydałby się w Kohorcie ktoś taki jak ty.

Oczy Manuela zabłyśły. Przez chwilę nie żartował ani nie był rozbawiony. W jego oczach pojawił się płomyk prawdziwego fanatyzmu, od którego Emma poczuła pustkę w piersi.

Dotarli do drzwi do Sali Narad. Na korytarzu nie było nikogo innego. Emma jednym kopnięciem podcięła Manuela, który w okamgnieniu wyłożył się jak długi. Natychmiast podparł się na łokciach. Był wściekły. Wątpiła, żeby zrobiła mu krzywdę, może tylko jego duma się posiniaczyła, ale o to właśnie chodziło.

– Doceniam propozycję – powiedziała – ale jeśli wstąpienie do Kohorty oznaczałoby, że miałabym dołączyć do bandy faszystów i spędzić życie w ich towarzystwie, to wolę już żyć w przeszłości.

Usłyszała, że syknął coś niemilego po hiszpańsku, kiedy przestąpiła nad nim i weszła do Sali. Postanowiła, że przy okazji poprosi Cristinę o tłumaczenie.

* * *

– Nie musisz tu być, Julianie – orzekła stanowczo Jia.

Znajdowali się w ogromnym pokoju, z którego panoramicznego okna rozciągał się widok na las Brocelind. Pomieszczenie było zaskakująco eleganckie. Julian zawsze myślał, że Gard to budowla z ciemnego kamienia i ciężkiego drewna. W tym pokoju ściany wyłożono tapetą z tłoczonym wzorem, a wyposażenie stanowiły złożone meble obite aksamitem. Siedząca na uszaku Annabel sprawiała wrażenie skrepowanej. Magnus opierał się o ścianę i wyglądał na znudzonego. Wyglądał też na wyczerpanego – sińce pod oczami miał prawie czarne. A Kieran stał przy oknie, wpatrując się w niebo i las na zewnątrz.

– Wolalabym, żeby został ze mną – powiedziała Annabel. – To z jego

powodu tu jestem.

– Wszyscy doceniamy fakt, że tu jesteś – odrzekła Jia. – I mamy świadomość, że miałaś złe doświadczenia z Clave.

Przemawiała bardzo spokojnie, a Julian zastanawiał się, czy byłaby taka spokojna, gdyby widziała, jak wskrzeszona z martwych Annabel, cała we krwi, dźga Malcolma nożem w serce.

Kieran odwrócił się od okna.

– Znamy Juliana Blackthorna – powiedział do Jii. Brzmiał znacznie bardziej ludzko, niż kiedy pierwszy raz się spotkali, jakby jego akcent z Faerie zanikał. – A ciebie nie.

– Mówisz za siebie i Annabel? – spytała Jia.

Kieran wymownym gestem faerie wskazał cały pokój.

– Jestem tu jako posłaniec królowej. Annabel Blackthorn jest tu z własnych powodów. A Magnus toleruje was wszystkich ze względu na Aleca. Nie myśl jednak, że z tego powodu możesz nam rozkazywać.

– Annabel jest Nocną Łowczynią... – zaczął Robert.

– A ja księciem Faerie – przerwał mu Kieran. – Synem króla Ciemnego Dworu, księciem Lodowego Dworu, Strażnikiem Zimnej Drogi, Myśliwym z Dzikiego Polowania i Mieczem Zastępów. Nie drażnij mnie.

Magnus odchrząknął.

– Ma rację.

– Co do Aleca? – zapytał Robert, unosząc brew.

– Ogólnie. Kieran jest Podziemnym. Annabel zniosła los gorszy niż śmierć z rąk Clave, ponieważ zależała jej na Podziemnych. W Sali Narad czeka Kohorta. Dzisiaj sięgną po władzę. Zapobieżenie temu jest ważniejsze niż zasady dotyczące tego, gdzie Julian powinien stać lub nie.

Jia patrzyła przez chwilę na Magnusa.

– A ty? – zapytała zaskakująco łagodnie. – Ty też jesteś Podziemnym, Bane.

Magnus odpowiedział zmęczonym, powolnym wzruszeniem ramion.

– Ach tak, ja... Ja jestem...

Szklanka, którą trzymał, wyslizgnęła mu się z ręki. Uderzyła o podłogę i stłukła się, a chwilę po niej na podłodze znalazł się Magnus. Zwinął się jak kartka papieru. Uderzył głową o posadzkę z nieprzyjemnym głuchym odgłosem.

Julian rzucił się ku niemu, ale Robert zdążył go złapać za rękę.

– Idź do Sali Narad – powiedział. Jia klęczała obok Magnusa z ręką na jego ramieniu. – Przeprowadź Aleca.

Puścił Juliana, który natychmiast wybiegł z komnaty.

* * *

Emma przepychała się przez Salę Narad zdjeta odrętwieniem i zgrozą. Wszelka przyjemność, jaką poczuła, obalając Manuela na tyłek, zniknęła. Salę wypełniały brzydkie okrzyki i tabliczki w rękach zebranych: OCZYŚCIĆ CLAVE, IZOLACJA WILKOŁAKÓW TO WŁAŚCIWE ROZWIĄZANIE oraz KONTROLOWAĆ PODZIEMNYCH.

Kiedy przepychała się obok grupki ludzi otaczających Zareę, usłyszała, jak ktoś mówi:

– Nie mogę uwierzyć, że musiałaś zabić sama tego potwora Malcolma Fade’a, kiedy Clave zawiodło!

Rozległy się chóralne słowa aprobaty.

– Widać, co się dzieje, kiedy pozwala się robić czarownikom, co zechcą – dodał ktoś inny. – Są zbyt potężni. To niepraktyczne.

Większość twarzy w sali nie wyglądała znajomo. Emma powinna znać więcej ludzi, ale Blackthornowie żyli w pewnym sensie w izolacji, rzadko opuszczając Instytut.

W gronie obcych twarzy dostrzegła Dianę, wysoką i dumną jak zawsze. Kroczyła przez tłum, a w ślad za nią szły pośpiesznie dwie znajome postaci: Aline i Helen, obie z zaróżowionymi policzkami i zakutane w grube płaszcze i szale. Musiały przybyć prosto z Wyspy Wrangla.

Teraz Emma dostrzegła także resztę Blackthornów – Livvy, Ty’a i Dru, którzy zerwali się ze swoich miejsc i podbiegli do Helen. Ta pochyliła się z rozpostartymi ramionami i objęła wszystkich mocno.

Helen mierzwiła włosy Dru, obejmowała bliźnięta, łzy płynęły jej po twarzy. Mark też tam był, podszedł do siostry, a Emma patrzyła z uśmiechem, jak się obejmują. Na swój sposób to bolało – ona nigdy tego nie przeżyje z rodzicami, nigdy ich nie obejmie, nie uściśnie ich dłoni – ale to był miły rodzaj bólu. Mark podniósł siostrę, a Aline patrzyła z uśmiechem, jak się obejmują.

– Manuel Villalobos kuleje – zauważyła Cristina. Stanęła za Emmą i objęła ją w pasie, opierając podbródek na jej ramieniu. – To twoja sprawka?

– Możliwe – mruknęła Emma. Usłyszała chichot Cristiny. – Próbował namówić mnie, żebym przyłączyła się do Kohorty.

Odwróciła się i uścisnęła rękę Cristiny.

– Załatwimy ich. Nie wygrają. Prawda? – Zerknęła na wisiołek Cristiny. – Powiedz mi, że Anioł jest po naszej stronie.

Cristina pokręciła głową.

– Martwię się. Martwię się o Marka, o Helen... I o Kierana.

– Kieran jest świadkiem Clave. Kohorta nie może go tknąć.

– Jest księciem Faerie. Jest tym wszystkim, czego nienawidzą. I chyba nie zdawałam sobie sprawy z siły tej nienawiści, dopóki się tu nie pojawiłam. Nie będą chcieli, żeby przemawiał, a już z pewnością nie będą chcieli, żeby Rada go wysłuchała.

– Dlatego zmusimy ich do słuchania – zaczęła Emma, ale Cristina spojrzała ponad jej ramieniem ze zdumioną miną.

Emma odwróciła się i zobaczyła Diego, który jakimś cudem był bez Zary. Przywoływał Cristinę do pustego rzędu siedzeń.

– Muszę pójść z nim porozmawiać – powiedziała Cristina.

Uścisnęła ramię Emmy nagle pełna nadziei. Emma życzyła jej powodzenia. Cristina zniknęła w tłumie, a Emma zaczęła się rozglądać za Julianem.

Nigdzie nie widziała swojego *parabatai*. Zobaczyła jednak zwartą grupę Nocnych Łowców, a pośród nich Marka i nagły srebrny rozbłysk broni. Samantha Larksphear wyciągnęła niebezpiecznie wyglądające ostrze. Emma ruszyła w kierunku, z którego dobiegały podniesione głosy. Idąc, sięgnęła po Cortanę.

* * *

Mark kochał całe rodzeństwo równie mocno, ale Helen była wyjątkowa. Była jak on – półkrwi faerie, odczuwała te same pokusy. Poza tym twierdziła, że w przeciwieństwie do niego pamięta ich matkę, Nerisę.

Odstawił Helen na ziemię, mierzwiąc jej jasne włosy. Jej twarz... Wyglądała jakoś inaczej, starzej. Nie chodziło o zmarszczki wokół oczu ani

szorstkość skóry, ale o jakąś zmianę rysów twarzy. Zastanawiał się, czy w ciągu minionych lat nazywała gwiazdy tak jak ona: Julian, Tiberius, Livia, Drusilla, Octavian. Ona dodałaby jeszcze jedną, o której on nigdy nie pamiętał: Mark.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – powiedział – o Nene, siostrze naszej matki.

Echo oficjalnego tonu faerie zabrzmiało w jej głosie, gdy odpowiedziała:

– Diana powiedziała mi, że spotkałeś ją w Faerie. Znałam ją kiedyś, ale nie wiedziałam, gdzie jej szukać. Powinniśmy porozmawiać o niej i innych niecierpiących zwłoki sprawach. – Helen przyjrzała się bratu i westchnęła, dotykając jego policzka. – Na przykład o tym, kiedy tak wyrosłeś.

– Chyba kiedy byłem w Dzikim Polowaniu. Powiniennem przeprosić?

– W żadnym razie. Martwiłam się. – Odsunęła się i przyjrzała mu się ze zdziwieniem. – Chyba powinnam podziękować Kieranowi Królewskiemu Synowi za opiekę nad tobą.

– Tak jak ja Aline za opiekę nad tobą.

Helem uśmiechnęła się na te słowa.

– Jest światłem moich dni. – Zerknęła na wielki zegar nad podwyższeniem. – Zostało nam niewiele czasu. Jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, to będziemy mieli całą wieczność na rozmowy. Zresztą, tak czy inaczej, Aline i ja zostaniemy na noc w Alicante, a Jia mówiła, że wy także. Będziemy mieli okazję porozmawiać.

– To zależy od tego, jak potoczą się sprawy dziś po południu, prawda? – przerwał im ostry głos.

To była Samantha Larksphear. Mark pamiętał jak przez mgłę, że miała brata, który był do niej bardzo podobny.

Nosiła stój Centuriona i trzymał tabliczkę z napisem DOBRY FAERIE TO MARTWY FAERIE. Na dole widniał kleks od czarnej farby.

– Zwięźle – przyznał Mark, ale Helen pobladła wstrząśnięta, wpatrując się w hasło.

– Po głosowaniu dzisiaj po południu bardzo zdziwiłabym się, gdyby szumowiny takie jak wy nadal miały wstęp do Alicante – powiedziała Samantha. – Nacieszcie się, póki możecie.

– Mówisz do żony córki pani Konsul – odezwała się Aline. Nozdrza jej się rozszerzyły. – Licz się ze słowami, Samantho.

Samantha syknęła i sięgnęła po broń. Błysnął sztylet z grubym jalcem. Mark widział jej brata, bladego i czarnowłosego jak ona, który przepychał się do nich przez tłum. Helen już trzymała rękę na swoim serafickim nożu. Mark odruchowo sięgnął po broń gotowy na wybuch przemocy.

* * *

Kit podniósł wzrok, kiedy Julian położył mu rękę na ramieniu.

Garbił się na krześle, głównie wyglądając na Alicante przez okno znajdujące się za czymś w rodzaju sceny na przedzie sali. Specjalnie starał się nie patrzeć na Livvy i Ty'a witających siostrę. Coś w ciasno zbitej gromadce Blackthornów, którzy ściskali się i przyglądali sobie nawzajem, przypomniało mu, jak bardzo nie jest jednym z nich, i to w sposób, jakiego nie odczuwał od czasu wyjazdu z Los Angeles.

– Tam jest twoja siostra – powiedział do Juliana i wskazał ręką. – Helen.

Julian zerknął przelotnie na rodzeństwo. Kit miał przeczucie, że Julian już wie. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, skrzył się jak zerwany przewód elektryczny.

– Musisz coś zrobić – powiedział. – Alec pilnuje wschodnich drzwi do Sali. Znajdź go i powiedz, żeby poszedł po Magnusa. Powiedz mu, że Magnus jest w pokojach gościnnych pani Konsul. Będzie wiedział, gdzie to jest.

Kit zamachał nogami, nie wstając z krzesła.

– Dlaczego?

– Zaufaj mi. – Julian się wyprostował. – Załatw to tak, jakby to był twój pomysł, jakbyś chciał mu coś pokazać albo potrzebował pomocy w znalezieniu kogoś. Nie chcę, żeby ktoś się wami zainteresował.

* * *

– Chyba nie myślisz poważnie o walce na samym środku Sali Narad, co? – odezwała się Emma. – Zważywszy że to niezgodne z prawem i w ogóle. – Zaczekała z niesmakiem. – To nie jest dobry pomysł, Samantho. Schowaj ten sztylet.

Mała grupka – Helen, Aline, Mark i Samantha – odwróciła się do Emmy, jakby ta zjawiała się tam za sprawą czarów. Byli tak wściekli, że nie zauważyli,

kiedy podeszła.

Złoty zegar w górze zaczął natarczywie wybijać godzinę. Tłum się przerzedzał, gdy zgromadzeni zaczęli siadać, Nocni Łowcy szukali miejsc w rzędach przed podwyższeniem. Dane Larkspear, który szedł w stronę siostry, zatrzymał się w połowie przejścia między ławkami. Emma ze zdziwieniem stwierdziła, że to Manuel zagroził mu drogę.

Może Manuel także uważał, że bójka Centurionów w Sali Narad nie jest dobrym pomysłem. Zara patrzyła w ich stronę, zaciskając usta w gniewną krechę.

– Nie próbuj nadużywać swojej pozycji wobec mnie, Aline Penhallow – powiedziała Samantha, ale schowała sztylet do pochwy. – Nie po tym, jak wyszłaś za to... to coś.

– Ty to narysowałaś? – przerwała jej Emma, wskazując kleks na tablicy Samantha. – To ma być martwy faerie?

Była przekonana, że tak. Szkic miał ręce, nogi i coś na kształt skrzydełek ważki.

– Imponujące – ciągnęła Emma. – Masz talent. Prawdziwy talent.

Samantha była zaskoczona.

– Naprawdę tak myślisz?

– Dobry Boże, nie! A teraz idź usiąść. Zara do ciebie macha.

Samantha zawahała się i odwróciła. Emma złapała Helen za rękę. Ruszyły w stronę długiej ławki, gdzie siedzieli Blackthornowie. Serce jej waliło. Samantha nie stanowiła dużego zagrożenia, ale gdyby coś się wydarzyło, pozostali przyjaciele Zary dołączyliby do niej i mogłaby się wywiązać prawdziwa walka.

Aline i Mark szli po ich obu stronach. Helen zacisnęła palce na ręce Emmy.

– Pamiętam – powiedziała cicho.

Musnęła palcami starą bliznę od Cortany, której Emma dorobiła się po śmierci rodziców, przycisnąwszy miecz do ciała.

To Helen czuwała przy niej, kiedy Emma obudziła się w świecie, z którego jej rodzice odeszli na zawsze – chociaż Julian włożył jej Cortanę w ręce.

Teraz jednak miecz wisiał na jej plecach. Mieli wreszcie szansę naprawić błędy przeszłości. Zło wyrządzone przez Clave Helen, Markowi i innym im podobnym. Zło wyrządzone przez Clave Carstairsom, gdy zignorowano

ich śmierć.

Z tego powodu świadomość, że niedługo zostanie wygnana, była tym bardziej bolesna. Wiedziała, że nie będzie z Blackthornami, kiedy wreszcie się zjednoczą.

Przyśpieszyli, podchodząc do pozostałych Blackthornów. Był tam Julian otoczony młodszymi braćmi i siostrami. Spojrzał jej w oczy. Mimo dzielącej ich odległości widziała, że jego oczy stały się niemal czarne.

Nie musiała pytać: stało się coś bardzo złego.

* * *

Bardzo trudno było nadażyć za Alekiem Lightwoodem. Był starszy od Kita i miał dłuższe nogi, a kiedy tylko usłyszał, że Magnus go potrzebuje, pobiegł najszybciej, jak tylko mógł.

Kit nie był pewien, czy historyjka o tym, że Alec ma mu coś pokazać w Gard, wybroniłaby się, gdyby ktoś ich zatrzymał. Na szczęście nikt nie próbował tego robić; głośnie dzwonienie nadal rozbrzmiewało w powietrzu i wszyscy śpieszyli do Sali Narad.

Kiedy wpadli do wysoko sklepionych pokojów pani Konsul, znaleźli Magnusa leżącego na sofie. Kieran i Annabel stali na drugim końcu pokoju i patrzyli na niego jak koty, które znalazły się w nowym miejscu.

Jia i Robert stali obok sofy. Kiedy Alec podbiegł, ojciec położył mu rękę na ramieniu.

– Nic mu nie jest – zapewnił. – Brat Enoch był tu przed chwilą. Magia Magnusa się wyczerpała i jest osłabiony, ale...

– Wiem, co mu jest – powiedział Alec, przepychając się obok Inkwizytora.

Robert patrzył, jak syn klęka obok długiej sofy. Alec odgarnął Magnusowi włosy z czoła. Czarownik poruszył się i coś mruknął.

– Już od jakiegoś czasu niedomaga – mówił Alec po trosze do siebie. – Jego magia ostatnio tak szybko się wyczerpuje... Mówiłem mu, żeby wybrał się do Spiralnego Labiryntu, ale nie było czasu.

Kit się gapił. Oczywiście słyszał o Magnusie, zanim go poznał; Magnus był sławnym Podziemnym. A kiedy go poznał osobiście, czarownik był pełen energii jak wir ironicznego humoru i niebieskiego ognia. Nie przyszło mu do głowy, że Magnus może zachorować albo się zmęczyć.

– Nie ma sposobu, żeby mu pomóc? – zapytała Annabel.

Wibrowała napięciem, poruszała nerwowo rękami. Kit dopiero teraz zauważył, że nie ma jednego palca u prawej ręki. Wcześniej nie przyglądał jej się zbyt uważnie. Przyprawiała go o ciarki.

– Po-potrzebuję go – dodała.

Na szczęście Alec nie stracił panowania nad sobą.

– Magnus potrzebuje odpoczynku. Moglibyśmy odwlec posiedzenie...

– Alecu, nie możemy tego zrobić – odezwała się łagodnie Jia. – Oczywiście Magnus powinien odpocząć. Annabel, zadbamy o ciebie. Obiecuję.

– Nie. – Annabel skurczyła się pod ścianą. – Chcę Magnusa. Albo Juliana. Wezwijcie Juliana.

– Co się dzieje?

Kit rozpoznał ten głos, zanim jeszcze odwrócił się i zobaczył stojącą w progu Zarę. Jej szminka wyglądała jak krwawe rozcięcie na tle bladej skóry. Na widok Magnusa uniosła kącik ust w kpiącym uśmiešku.

– Pani Konsul – powiedziała, kłaniając się przed Jią. – Wszyscy się zebrali. Mam im powiedzieć, że posiedzenie się opóźni?

– Nie, panno Dearborn – odpowiedziała Jia, wygładzając haftowaną szatę.

– Dziękuję, ale nie ma potrzeby, żeby nas wyręczać. Posiedzenie odbędzie się zgodnie z planem.

– Dearborn – powtórzyła Annabel. Wbiła wzrok w Zarę. Jej oczy stały się zimne i błyszczące jak u węża. – Jesteś Dearborn.

Zara robiła wrażenie nieco zdziwionej, jakby zastanawiała się, kim może być Annabel.

– Zara walczy o ograniczenie praw Podziemnych – poinformowała ją neutralnym tonem Jia.

– Chodzi nam o bezpieczeństwo – wyjaśniła Zara z wyraźną urazą. – Tylko i wyłącznie.

– Lepiej już chodźmy – powiedział Robert Lightwood. Nadal patrzył na Aleca. Jego syn siedział przy Magnusie, trzymając rękę na jego policzku. – Alecu, poślij po mnie, gdybyś mnie potrzebował.

– Wyślę Kita – odrzekł Alec, nawet się nie odwracając.

– Wróć po ciebie – powiedział Robert do Kierana, który nadal stał milczący pod oknem, ledwie cień w pokoju pełnym cieni.

Kieran skinął głową.

Robert uściskał przelotnie ramię Aleca. Jia wyciągnęła rękę do Annabel i po chwili wpatrywania się w Zarę Annabel wyszła za panią Konsul i Inkwizytorem.

– Jest chory? – zapytała Zara, patrząc z pewnym zainteresowaniem na Magnusa. – Nie sądziłam, że czarownicy mogą chorować. Czy to nie byłoby zabawne, gdyby umarł przed tobą? No wiesz, skoro jest nieśmiertelny, pewnie myślałeś, że potoczy się to odwrotnie.

Alec uniósł powoli głowę.

– Co takiego?!

– No wiesz, skoro Magnus jest nieśmiertelny, a ty, wiesz, nie jesteś – wyjaśniła.

– Jest nieśmiertelny? – Kit jeszcze nie słyszał, żeby Alec mówił tak lodowatym głosem. – Żałuję, że nie powiedziałaś mi wcześniej. Cofnąłbym czas i poszukał sobie miłego, śmiertelnego męża, z którym mógłbym się zestarzeć.

– Nie byłoby tak lepiej? – spytała Zara. – Wtedy obaj moglibyście zestarzeć się i razem umrzeć.

– Razem? – powtórzył Alec. Prawie się nie ruszył ani nie podniósł głosu, ale jego furia wypełniła pokój. Nawet Zara zaczęła się denerwować. – Sugerujesz, że moglibyśmy to zaaranżować? Zeskoczyć razem z urwiska, kiedy jeden z nas zacząłby chorować?

– Być może. – Zara się nadaśała. – Musisz przyznać, że znalazłeś się w tragicznej sytuacji.

Alec wstał i w tej chwili był tym Alekiem Lightwoodem, o którym Kit słyszał, bohaterem minionych bitew, śmiertelnie niebezpiecznym łucznikiem.

– Oto czego chciałem i co wybrałem – powiedział. – Jak śmiesz mówić mi, że to tragedia? Magnus nigdy nie udawał, nigdy nie próbował mnie zwieść, że będzie łatwo, ale wybór Magnusa to jedna z najprostszych rzeczy, jakich dokonałem w życiu. Każdy z nas ma jedno życie; nikt nie wie, jak długie albo krótkie się okaże. Z pewnością musisz to wiedzieć. Spodziewałem się, że jesteś podła, chamska i okrutna, ale chyba nie chciałaś wyjść też na aż tak głupią.

Zara się zaczerwieniła.

– Ale jeśli ty umrzesz ze starości, a on będzie żył wiecznie...

– To będzie podpora dla Maksa, a to obu nas uszczęśliwi. Będę jedynym w swoim rodzaju szczęściarzem, bo ktoś zawsze będzie mnie pamiętał. Ktoś zawsze będzie mnie kochał. Magnus nie będzie wiecznie chodził w żałobie, ale po kres czasu będzie mnie pamiętał i kochał.

– Skąd ta pewność? – zapytała Zara, ale w jej głosie pobrzmiwała niepewność.

– Bo jest trzy tysiące razy bardziej człowiekiem, niż ty kiedykolwiek będziesz. A teraz wynoś się stąd, zanim narażę jego życie i obudzę go, żeby mógł cię zamienić w stertę płonącego śmiecia. To by pasowało do twojej osobowości.

– O, to było niegrzeczne! – oburzyła się Zara.

Kit pomyślał, że to było więcej niż niegrzeczne. Uznał, że Alec mówił poważnie. Właściwie to miał nadzieję, że Zara zostanie i będą mogli przetestować teorię Aleca. Niestety wyszła i zatrzymała się w progu, zerkając na obu z niesmakiem.

– Daj spokój, Alec – powiedziała. – Prawda jest taka, że Nocnym Łowcom i Podziemnym nie jest pisane być razem. Ty i Bane to hańba. Tobie jednak nie wystarczy to, że Clave pozwoliło ci splugawić nasze anielskie pochodzenie, o, nie, ty jeszcze musiałeś narzucić to wszystkim pozostałym.

– Serio? – odezwał się Kieran; Kit prawie zapomniał o jego obecności. – Wszyscy musicie sypiać z Magnusem Bane’em? To musi was strasznie ekscytować.

– Zamknij się, elfi śmieciu – powiedziała Zara. – Jeszcze się przekonasz. Dokonałeś niewłaściwego wyboru, ty i ci Blackthornowie, i Jace Herondale, i ta ryza zdzira Clary... – Dyszała ciężko czerwona na twarzy. – Będę się rozkoszować widokiem waszego upadku – powiedziała i wyszła wzburzona z pokoju.

– Naprawdę powiedziała „splugawić nasze anielskie pochodzenie”? – zapytał osłupiały Alec.

– „Elfi śmieć” – zadumał się na głos Kieran. – To coś nowego, jak powiedziałaby Mark.

– Niewiarygodne.

Alec znowu usiadł obok sofy, podciągając kolana do piersi.

– Nic, co powiedziała, mnie nie zaskoczyło – przyznał Kieran. – Tacy właśnie są. Takimi uczynił ich Zimny Pokój. Boją się tego, co nowe i inne.

Napełnili się nienawiścią jak lodem. Może robić wrażenie śmiesznej, ta Zara Dearborn, ale nie popełnij błędu i nie lekceważ jej i Kohorty. – Wyrzwał przez okno. – Taka nienawiść może rozedrzeć świat.

* * *

– To bardzo dziwna prośba – powiedział Diego.

– To ty jesteś w udawanym związku – odparła Cristina. – Na pewno proszono cię już o dziwniejsze rzeczy.

Diego się roześmiał, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Siedzieli w Sali Narad o jeden rząd od Blackthornów. Zegar oznajmiający początek posiedzenia przestał bić i sala się zapełniła, lecz podwyższenie pozostało puste.

– Cieszę się, że Jaime ci powiedział. To egoistyczne. Mogłem znieść, że mnie nienawidzisz, ale nie że mną pogardzasz.

Cristina westchnęła.

– Wątpię, czy kiedykolwiek naprawdę tobą pogardzałam.

– Powinienem był więcej ci powiedzieć. Chciałem zapewnić ci bezpieczeństwo. Zaprzeczałem sam przed sobą, że Kohorta i jej plany stanowią dla ciebie zagrożenie. Nie wiedziałem, że planowali przejęcie Instytutu w Los Angeles, dopóki nie było za późno. I tak samo jak inni pomyliłem się co do Manuela. Ufałem mu.

– Wiem. Nie mam do ciebie o nic pretensji. Widzisz... Przez tak długi czas byliśmy Cristiną i Diego. Parą. Kiedy to się skończyło, czułam się jak niedopełniona połówka i gdy wróciłeś, myślałam, że znowu będziemy mogli być razem, próbowałam, ale...

– Już mnie nie kochasz tak jak kiedyś – dokończył za nią.

Milczała chwilę.

– Tak, już nie. Nie w ten sposób. To jak próba powrotu do miejsca z dzieciństwa, które zapamiętało się jako doskonałe. Zawsze okazuje się odmienione, bo człowiek się zmienił.

Jabłko Adama Diego poruszyło się, gdy z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Nie winię cię o to. W tej chwili sam za sobą nie przepadam.

– Może to pomoże ci polubić siebie trochę bardziej. Wyświadczyłbyś sobie wielką uprzejmość.

Pokręcił głową.

– Można chyba liczyć na ciebie, że użalisz się nad zagubionym faerie.

– To nie jest litość. – Cristina zerknęła przez ramię. Zara kilka chwil temu wyszła z sali i jeszcze nie wróciła. Samantha piorunowała Cristinę wzrokiem, pewnie podejrzewając ją o próbę podkradzenia narzeczonego Zarze. – Przerazają mnie. Zabiją go, kiedy już złoży zeznania.

– Kohorta jest przerażająca – przyznał Diego – ale Kohorta to nie Centurioni. I nie wszyscy Centurioni są tacy jak Zara. Rayan, Divya i Gen to dobrzy ludzie. Tak jak Clave to organizacja, którą toczy rak. Część ciała jest zdrowa, część chora. Naszą misją jest znaleźć sposób, żeby zabić chorobę, nie zabijając ciała.

Drzwi się otworzyły. Konsul Jia Penhallow w przyprószonych srebrem ciemnych szatach weszła do Sali Narad.

W sali, w której dotąd panował ożywiony gwar, nagle zrobiło się cicho, niosły się tylko stłumione pomruki. Cristina wyprostowała się, kiedy pani Konsul zaczęła wchodzić po schodach na podwyższenie.

* * *

– Dziękuję wszystkim za tak szybkie przybycie.

Pani Konsul stała na przedzie niskiego drewnianego podium, którego bazę zdobił znak z czterech połączonych liter C. Teraz w jej czarnych włosach pojawiła się siwizna, której Emma nie pamiętała z wcześniejszych spotkań. Miała też zmarszczki w kącikach oczu. Bycie Konsulem w czasie niewypowiedzianej wojny nie mogło być łatwe.

– Większość z was słyszała o Malcolmie Fade. Był jednym z naszych najbliższych sojuszników, a przynajmniej tak myśleliśmy. Zdradził nas kilka tygodni temu i w dalszym ciągu dowiadujemy się o nowych krwawych i straszliwych zbrodniach, jakich się dopuścił.

Pomruk, który rozszedł się po sali, brzmiał dla Emmy jak szum przyływu. Żałowała, że Julian nie siedzi obok niej, bo mogłaby szturchnąć się z nim ramieniem albo uścisnąć mu rękę, ale – pamiętając o zaleceniach Inkwizytora – usiedli na dwóch różnych końcach długiej ławki, kiedy już poinformował ją, że Magnus zemdłał.

– Obiecałem Annabel, że Magnus będzie przy niej – powiedział cicho, nie

chcąc, żeby młodszy Blackthornowie go usłyszeli i spanikowali. – Dałem słowo.

– Nie mogłeś tego przewidzieć. Biedny Magnus. Nie mogłeś wiedzieć, że jest chory.

Pamiętała jednak, jak mówiła: „Nie składaj obietnicy, której nie będziesz mógł spełnić”. Zrobiło jej się zimno.

– Historia zdrady Fade’a jest dłuższa i możecie jej nie znać w całości – mówiła Jia. – W tysiąc osiemset dwunastym roku zakochał się w Nocnej Łowczyni, Annabel Blackthorn. Jej rodzina ubolewała nad faktem, że dziewczyna chce związać się z czarownikiem, i ostatecznie doprowadziła do jej zamordowania przez innych Nefilim. Malcolmowi powiedziano, że Annabel została Żelazną Siostrą.

– Dlaczego jego też nie zabili? – zawołał ktoś z tłumu.

– Był potężnym czarownikiem. Cennym atutem – wyjaśniła Jia. – Ostatecznie uznano, że zostawią go w spokoju. Kiedy jednak odkrył, co naprawdę stało się z Annabel, oszalał. Przez ostatnie stulecie szukał sposobu, żeby zemścić się na Nocnych Łowcach.

– Moja pani. – To była Zara, wyprostowana i afektowana. Właśnie weszła do Sali i stała w przejściu między ławkami. – Opowiadasz nam tę historię, jakbyśmy mieli współczuć dziewczynie i czarownikowi, ale Malcolm Fade był potworem. Mordercą. Zauroczenie jakąś dziewczyną nie usprawiedliwia tego, co zrobił.

– Dostrzegam – odparła Jia – zasadniczą różnicę między usprawiedliwieniem a wyjaśnieniem.

– Więc po co raczysz nas tym wyjaśnieniem? Czarownik nie żyje. Mam nadzieję, że to nie jest jakaś próba wyciśnięcia zadośćuczynienia od Rady. Nikt, kto był związany z tym potworem, nie zasługuje na rekompensatę za jego śmierć.

Spojrzenie Jii było ostre jak nóż.

– Rozumiem, że ostatnio bardzo zaangażowałaś się w sprawy Rady – odparowała – ale to nie znaczy, że możesz przerywać Konsulowi. Siadaj.

Po chwili rozeźlona Zara usiadła. Aline zacisnęła pięść.

– Dajesz, mama – szepnęła.

Jednakże wtedy ktoś inny wstał na miejsce Zary. Jej ojciec.

– Pani Konsul – zaczął – nie jesteśmy ignorantami. Powiedziano nam, że

to posiedzenie będzie wiązało się z zeznaniami świadka, który może wpłynąć na Clave. Czy nie nadszedł czas, żeby ten świadek wystąpił? O ile w ogóle istnieje?

– Ależ istnieje, istnieje jak najbardziej. To Annabel. Annabel Blackthorn.

Teraz pomruk w Sali brzmiał jak fala uderzająca o skały. Chwilę potem pojawił się Robert Lightwood z poważną miną. Za nim szło dwóch strażników, którzy prowadzili między sobą Annabel.

Annabel wydawała się drobniutka, kiedy w ślad za Inkwizytorem weszła na podwyższenie. Czarna Księga zwieszała jej się z paska przerzuconego przez plecy, przez co wyglądała jeszcze młodziej, jak dziewczynka w drodze do szkoły.

Syk rozległ się w sali.

– Nieumarła – usłyszała Emma. – Nieczysta.

Annabel skuliła się przy Robercie.

– To oburzające! – bełkotał ojciec Zary. – Nie dość się wycierpieliśmy z powodu destrukcyjnego zepsucia Mrocznych? Musisz jeszcze to coś stawiać przed nami?

Julian poderwał się na równe nogi.

– Mroczni nie byli nieumarłymi – zwrócił się do wszystkich obecnych na Sali. – Zostali przemienieni przez Piekielny Kielich. Annabel jest dokładnie tą samą osobą, co za życia. Była torturowana przez Malcolma, a potem przez wiele lat utrzymywana w stanie pół-życia. Chce nam pomóc.

– Julian Blackthorn – zaszydził Dearborn. – Moja córka mówiła mi o tobie. Twój wuj był szalony, cała twoja rodzina to szaleńcy i tylko szaleniec uznałby, że to dobry pomysł...

– Nie waż się – odezwała się Annabel, a jej głos rozbrzmiał czysto i mocno – mówić w ten sposób do niego. To mój krewniak.

– Blackthornowie – powiedział Dearborn. – Wygląda na to, że są szaleni, martwi albo jedno i drugie jednocześnie!

Spodziewał się wybuchów śmiechu, ale nikt się nie roześmiał. W sali panowało milczenie.

– Siadaj – poleciła mu chłodno pani Konsul. – Wygląda na to, że twoja rodzina nie bardzo wie, jak Nefilim powinni się zachowywać. Przerwij mi raz jeszcze, a każę wyrzucić cię z Sali Narad.

Dearborn usiadł. Oczy błyszczały mu z wściekłości. Nie jemu jednemu.

Emma rozejrzała się szybko po sali i zobaczyła nienawistne spojrzenia kierowane na podwyższenie. Zapanowała nad nerwami. Julian przepchnął się do przejścia i stanął zwrócony twarzą do zebranych.

– Annabel – powiedział cichym i zachęcającym tonem – opowiedz im o królu.

– Król Ciemnego Dworu – odezwała się cicho Annabel – Władca Cieni. Sprzymierzył się z Malcolmem. To ważne, byście wszyscy o tym wiedzieli, ponieważ nawet teraz planuje zniszczenie wszystkich Nocnych Łowców.

– Przecież faerie są takie słabe! – zawołał i wstał mężczyzna w haftowanej *gandora*. Jego ciemne oczy błyszczały niepokojem. Cristina mruknęła do ucha Emmy, że to szef Instytutu w Marrakeszu. – Lata Zimnego pokoju je osłabiły. Król nie będzie miał żadnych szans w starciu z nami.

– Owszem, nie w bezpośrednim starciu militarnym – przyznała Annabel półgłosem. – Jednakże posłużył się mocną Czarnej Księgi i dowiedział się, jak zniszczyć moc Nefilim. Jak unieważnić działanie runów, noży serafickich, magicznych kamieni. Musielibyście walczyć z nim, dysponując taką samą mocą jak Przyziemni...

– To nie może być prawda! – To był chudy, ciemnowłosy mężczyzna, którego Emma pamiętała z dawnej dyskusji nad Zimnym Pokojem: Lazlo Balogh, szef Instytutu w Budapeszcie. – Ona kłamie.

– Nie ma powodu kłamać! – Teraz i Diana zerwała się na nogi, stając w gotowości do walki. – Lazlo, ze wszystkich ludzi...

– Panno Wrayburn. – Twarz Węgra spoważniała. – Myślę, że wszyscy wiemy, że pani akurat powinna wycofać się z tej dyskusji.

Diana zamarła.

– Brata się pani z faerie – ciągnął, cmokając przy tym z niesmakiem. – Widziano panią.

– Na Anioła, Lazlo! – zachnęła się pani Konsul. – Diana nie ma z tą sprawą nic wspólnego poza tym, że się z tobą nie zgadza!

– Lazlo ma rajcę – zawtórował Węgrowi Horace Dearborn. – Blackthornowie sympatyzują z faerie, łamią Prawo...

– Ale nie kłamiemy – wszedł mu w słowo Julian; jego ton był jak pokryta lodem stal.

Dearborn złapał przynętę.

– A to co ma znaczyć?

– Twoja córka nie zabiła Malcolma Fade’a – wyjaśnił Julian. – Zrobiła to Annabel.

Zara poderwała się jak marionetka pociągnięta za sznurki.

– To kłamstwo! – wrzasnęła.

– To nie kłamstwo – powiedziała Annabel. – Malcolm mnie wskrzesił. Posłużył się do tego krwią Arthura Blackthorna. Zabiłam go za to, a także za wcześniejsze tortury i porzucenie mnie.

Teraz sala eksplodowała krzykami, który odbijały się echem od ścian. Samantha i Dane Larkspearowie poderwali się na nogi, wymachując pięściami. Horace Dearborn ryczał, że Annabel kłamie jak wszyscy Blackthornowie.

– Dość! – krzyczała Jia. – Cisza!

– *La Spada Mortale*.

Drobna kobieta o oliwkowej skórze wstała z miejsca w jednym z tylnych rzędów. Miała na sobie prostą sukienkę, ale jej gruby naszyjnik błyszczał klejnotami. Włosy w odcieniu ciemnej szarości opadały jej niemal do bioder, a jej głos miał w sobie dość autorytetu, żeby przebić się przez hałas.

– Co powiedziałaś, Chiaro? – zapytała Jia.

Emma wiedziała, jak kobieta się nazywa: Chiara Malatesta, szefowa Instytutu Rzymskiego we Włoszech.

– Miecz Anioła – powiedziała Chiara. – Jeśli powstaje wątpliwość, czy ta osoba, czy jak ją nazwać, mówi prawdę, to posłuzcie się Maellartachem. Będziemy mogli zakończyć bezsensowne spory o to, czy mówi prawdę.

– Nie! – Annabel rozglądała się w panice. – Tylko nie Miecz...

– Widzicie? Kłamie! – podłapał Dane Larkspear. – Boi się, że Miecz ujawni prawdę!

– Boi się Miecza, ponieważ Rada ją torturowała! – zaprotestował Julian.

Ruszył w stronę podwyższenia, lecz zatrzymało go dwóch strażników Rady. Emma chciała wstać, ale Helen zdecydowanie wcisnęła ją z powrotem na siedzenie.

– Jeszcze nie – szepnęła. – To tylko pogorszy sytuację. Annabel musi przynajmniej spróbować...

Emmie serce biło jak szalone. Julianowi nadal nie dawano podejść do podwyższenia. Każdy nerw w jej ciele krzyczał, kiedy Robert Lightwood odsunął się i wrócił z czymś długim, ostrym i srebrnym. Coś załśniło jak

ciemna woda. Zobaczyła – poczuła! – jak Julianowie zapiera dech w piersi. Sam trzymał już wcześniej Miecz Anioła i znał ból, jaki on wywołuje.

– Nie róbcie tego! – zawołał, ale jego głos utonął we wrzawie i zgiełku, kiedy Nocni Łowcy poderwali się i wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– To obrzydliwa nieumarła kreatura! – krzyczała Zara. – Powinno się ją dobić z litości, a nie stawiać przed Radą!

Annabel pobladła. Emma czuła zżerające Juliana napięcie i wiedziała, co on teraz myśli. Gdyby Magnus był z nimi, mógłby im wyjaśnić, że Annabel nie jest duchem ani upiorem. Została przywrócona do życia i była żywym Nocnym Łowcą. Magnus był jednym z nielicznych Podziemnych, którym Clave ufało. Do niczego takiego by nie doszło, gdyby mógł przyjść na posiedzenie.

Magnus, pomyślała Emma. Magnusie, mam nadzieję, że nic ci nie jest. Szkoda, że cię tu nie ma.

– Miecz powie, czy Annabel może składać zeznania – oznajmiła Jia, a jej surowy głos poniósł się po sali. – Tak stanowi Prawo. Odsuńcie się i niech Miecz Anioła zrobi, co do niego należy.

Tłum się uciszył. Dary Anioła były najwyższą siłą znaną Nocnym Łowcom – poza samym Aniołem. Nawet Zara umilkła.

– Nie śpiesz się – powiedział Robert do Annabel.

Współczucie w jego głosie zaskoczyło Emmę. Pamiętała, jak zmusił Juliana, żeby wziął ostrze do rąk, a Julian miał wtedy dwanaście lat. Była za to zła na Roberta przez długi czas, chociaż Julian najwyraźniej nie żywił urazy.

Annabel dyszała jak przerażony królik. Spojrzała na Juliana, który skinął zachęcająco głową. Wyciągnęła powoli ręce. Kiedy ujęła w nie Miecz Anioła, dreszcz przebiegł przez jej ciało, jakby dotknęła ogrodzenia elektrycznego. Jej twarz stężała, ale poza tym nic złego się nie działo. Mocno trzymała miecz. Jia odetchnęła z wyraźną ulgą. Miecz dowiódł, że Annabel jest Nocnym Łowcą. Zebrani milczeli i patrzyli w napięciu.

Konsul i Inkwizytor cofnęli się, zostawiając Annabel więcej miejsca. Stała pośrodku podwyższenia – samotna postać w niedopasowanej sukience.

– Jak się nazywasz? – zapytał Robert zwodniczo łagodnym tonem.

– Annabel Callisto Blackthorn – odpowiedziała. Miała przyspieszony,

urywany oddech.

– Z kim stoisz na tym podwyższeniu?

Popatrzyła po nich rozpaczliwie.

– Nie znam was – szepnęła. – Jesteście Konsulem i Inkwizytorem, ale nie tymi, których znałam. Ty jesteś bez wątpienia Lightwoodem, ale... – Pokręciła głową, a potem jej twarz się rozpromieniła. – Robert – powiedziała. – Julian nazwał cię Robertem.

Samantha Larksphear zaśmiała się szyderczo. Kilkoro ludzi z transparentami i tabliczkami jej zawtórowało.

– Nie zostało jej dość mózgu, żeby złożyć przyzwoite zeznania!

– Milczeć! – zgromiła ich Jia. – Panno Blackthorn, znała pani... Była pani kochanką Malcolma Fade'a, Najwyższego Czarownika Los Angeles?

– Był zwykłym czarownikiem, kiedy go znałam. – Głos Annabel drżał. – Proszę. Zapytajcie, czy go zabiłam. Nie wytrzymam tego dłużej.

– Nie pani decyduje o treści naszych pytań. – Jia nie była zła, ale Annabel się wzdygnęła.

– To błąd – szepnęła Livvy do Emmy. – Muszą tylko zapytać ją o Malcolma i skończyć z tym. Nie mogą tego zamieniać w przesłuchanie.

– Będzie dobrze – uspokoiła ją Emma. – Na pewno.

Mimo to serce biło jej szaleńczo. Pozostali Blackthornowie obserwowali sytuację z napięciem. Emma widziała Helen, która ścisnęła podłokietniki krzesła. Alina masowała jej ramiona.

– Zapytaj ją – powiedział Julian. – Po prostu ją zapytaj, Jia.

– Julianie, dość tego – zbesztła go Jia, ale odwróciła się do Annabel, patrząc na nią wyczekująco. – Annabel Callisto Blackthorn, czy zabiłaś Malcolma Fade'a?

– Tak. – Nienawiść pojawiła się w głosie Annabel, dodając jej siły. – Rozprułam go nożem. Patrzyłam, jak wykrwawia się na śmierć. Zara Dearborn niczego nie zrobiła. Okłamywała was wszystkich.

Stłumione okrzyki wypełniły salę. Na chwilę Julian się rozluźnił i strażnicy, którzy go trzymali, poluzowali uścisk. Zara patrzyła z tłumy z czerwoną twarzą.

Dzięki niech będą Aniołowi, pomyślała Emma. Teraz będą słuchać.

Annabel spojrzała na salę z Mieczem Anioła w rękach i przez chwilę Emma widziała, w kim zakochał się Malcolm. Była dumna, szczęśliwa

i piękna.

Coś przeleciało nad jej głową i uderzyło w pulpit. Butelka, pomyślała Emma. Szkło rozprysło się wokół niej. Ktoś stłumił okrzyk, ktoś inny zachichotał i inne przedmioty pofrunęły w powietrze: najwyraźniej tłum rzucał tym, co miał pod ręką.

Nie cały tłum, zdała sobie sprawę Emma. Tylko Kohorta i jej zwolennicy. Nie było ich aż tak wielu, ale wystarczyło. Ich nienawiść była wielka jak cała sala.

Napotkała spojrzenie Juliana. W jego oczach dostrzegła rozpacz. Spodziewali się czegoś lepszego. Mimo wszystkiego, przez co przeszli, spodziewali się po tych ludziach czegoś lepszego.

To prawda, że wielu Nocnych Łowców zerwało się z miejsc i krzyczało na Kohortę, żeby przestali, ale Annabel opadła na kolana ze zwieszoną głową, nadal ściskając w dłoniach Miecz Anioła. Nie podniosła rąk, żeby się osłonić. Różne przedmioty uderzały w podłogę, pulpit i okno. Butelki i torebki, monety i kamienie, nawet zegarki i bransoletki.

– Przestańcie! – krzyknął Julian, a powiedział to z tak lodowatą furją, że na chwilę zrobiło się cicho. – Na Anioła, to prawda! Ona mówi prawdę! O Malcolmie, o królu Ciemnego Dworu...

– A skąd mamy to wiedzieć? – syknął Dearborn. – Kto mówi, że Miecz Anioła działa na to... coś? Jest splugawiona...

– Jest potworem! – krzyknęła Zara. – To spisek mający na celu wciągnięcie nas w wojnę z Ciemnym Dworem! Blackthornom zależy tylko na ich kłamstwach i obrzydliwym rodzeństwie z Faerie!

– Julianie! – krzyknęła słabo Annabel, ściskając Miecz Anioła tak mocno, że krew zaczęła wzbierać jej pod skórą. – Julianie, pomóż mi... Magnus... Gdzie jest Magnus...?

Julian szarpał się trzymany przez strażników. Robert podszedł do Annabel. Wyciągnął do niej rękę.

– Dość tego. Chodź ze mną, Annabel...

– Zostaw mnie! – krzyknęła ochryple Annabel i odsunęła się od niego, unosząc ostrze.

Emma zdała sobie nagle sprawę z dwóch rzeczy:

Miecz Anioła był nie tylko narzędziem sprawiedliwości. Był także bronią.

W związku z tym Annabel była Nocnym Łowcą z bronią w ręku.

A Robert, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje, zrobił kolejny krok w jej stronę, wyciągając do niej ręce, jakby mógł ją przekonać, uspokoić. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć... a ona pchnęła go mieczem.

Miecz Anioła przeszył szaty i pierś Roberta Lightwooda.

* * *

Kit czuł się jak ktoś, kto przypadkiem wszedł do prywatnego pokoju w szpitalu i teraz nie wolno mu było z niego wyjść. Alec siedział przy Magnusie, dotykając czasem jego ramienia albo mówiąc coś cicho. Kieran wyglądał przez okno, jakby mógł przenieść się za szybę.

– Chcesz... Znaczą... Ktoś nie powinien powiedzieć dzieciom? Maksowi i Rafe'owi? – zapytał wreszcie Kit.

Alec wstał, przeszedł przez pokój do stojącej na stoliku karafki z wodą. Nalał sobie szklankę.

– Nie teraz. Są bezpieczne w mieście z moją matką. Nie muszą... Magnus nie potrzebuje... – Napił się wody. – Miałem nadzieję, że mu się polepszy i nie będziemy musieli im nic mówić.

– Powiedziałaś, że wiesz, co mu jest. To... coś niebezpiecznego?

– Nie mam pojęcia, ale wiem jedno. Nie tylko on ma kłopoty. Inni czarownicy też. Tessa i Jem szukali przyczyny i leku, ale ona też choruje...

Alec zawiesił głos. Rozległ się stłumiony ryk, jak łoskot wznoszącej się fali, która zaraz przełamie się i runie w dół. Alec pobladł.

– Słyszałem już kiedyś ten dźwięk. Coś się stało. W Sali Narad.

Kieran płynnym ruchem zeskoczył z parapetu.

– To śmierć.

– Niekoniecznie – powiedział Kit, nadstawiając uszu.

– Czuję zapach krwi – odparł Kieran. – I słyszę krzyki.

Wspiął się na parapet i zerwał jedną z zasłon. Złapał za ostro zakończony pałąk, na którym wisiała, i zeskoczył na podłogę, trzymając go jak włócznię. Jego oczy, srebrne i czarne, zabłyśły.

– Nie będę bezbronny, gdy się zjawia.

– Powinieneś tu zostać. Obaj zostańcie. Sprawdzę, co się dzieje – powiedział Alec. – Mój ojciec...

Drzwi otworzyły się z impetem. Kieran machnął pałąkiem. Diego, który

właśnie stanął w progu, uchylił się i pałąk wbił się w ścianę.

– ¿*Que chingados?* – zapytał zdumiony Diego. – Co jest, u diabła?

– Myślisz, że przyszedłeś nas zabić – wyjaśnił Kit. – Ma rację?

Diego przewrócił oczami.

– Sprawy w Sali przybrały zły obrót – powiedział.

– Ktoś został ranny? – zapytał Alec.

Diego się zawahał.

– Twój ojciec... – zaczął.

Alec odstawił szklankę i podszedł do Magnusa. Pocałował go w czoło i policzek. Magnus się nie poruszył, spał spokojnie. Jego kocie oczy pozostały zamknięte.

Kit mu zazdrościł.

– Zostańcie tutaj – powiedział Kieranowi i Kitowi Alec.

Wyszedł z pokoju.

Diego popatrzył za nim ponuro. Kitowi zrobiło się niedobrze. Miał przeczucie, że z ojcem Aleca stało się coś naprawdę poważnego.

Kieran wyszarpnął pałąk ze ściany i wskazał nim Diego.

– Przekazałeś wiadomość – powiedział – a teraz wyjdź. Ja będę bronił chłopca i czarownika.

Diego pokręcił głową.

– Przyszedłem, żeby cię zabrać – wskazał Kierana – do Scholomancji.

– Nigdzie z tobą nie pójdę – zaprotestował Kieran. – Nie masz krzty przyzwoitości. Zhańbiłeś lady Cristinę.

– Nie masz pojęcia, co wydarzyło się między mną a Cristiną – odparł lodowatym tonem Diego.

Kit zauważył, że Idealny Diego wygląda nieco gorzej niż idealnie. Miał ciemnosine cienie pod oczami, a jego śniada cera przebrała ziemisty odcień. Wyczerpanie i napięcie ściągnęły mu piękne rysy.

– Mów, co chcesz, o faerie, ale nikim nie pogardzamy bardziej niż tymi, którzy zdradzą oddane im serce.

– To właśnie Cristina – powiedział Diego – poprosiła mnie, żebym tu przyszedł i zabrał cię do Scholomancji. Jeśli odmówisz, to ty sprzeciwisz się jej życzeniom.

Kieran się skrzywił.

– Kłamiesz.

– Nie. Obawiała się o twoje bezpieczeństwo. Nienawiść Kohorty przybrała monstrualne rozmiary i w Sali Narad rozpełtało się szaleństwo. Będziesz bezpieczny, jeśli pójdziesz ze mną, ale niczego więcej nie obiecuję.

– Jak mogę być bezpieczny w Scholomancji z Zarą i jej przyjaciółmi?

– Jej tam nie będzie. Ona, Samantha i Manuel zamierzają zostać tutaj, w Idrisie, w ośrodku władzy. Tylko na władzy im zależy. Scholomancja to miejsce spokojnych studiów. – Diego wyciągnął rękę. – Chodź ze mną. Przez wzgląd na Cristinę.

Kitowi zaparło dech w piersi. To była bardzo dziwna chwila. Dowiedział się wystarczająco dużo o Nocnych Łowcach, żeby rozumieć, co to znaczy, że Diego jest Centurionem, i jakie prawa łamie, żeby przemycić Kierana do Scholomancji. I rozumiał dostatecznie dumę faerie, żeby wiedzieć, na co zgodzi się Kieran, przyjmując tę propozycję.

Na zewnątrz znowu rozległ się ryk.

– Jeśli zostaniesz tutaj – odezwał się ostrożnie Kit – a Kohorta cię zaatakuje, Mark i Cristina będą chcieli cię chronić. I mogą zostać ranni.

Kieran odłożył pałak na podłogę. Spojrzał na Kita.

– Powiedz Markowi, dokąd się udałem. I podziękuj w moim imieniu Cristinie.

Kit pokiwał głową. Diego również skinął głową, podszedł i niezręcznie wziął Kierana pod rękę. Drugą dłoń przycisnął do odznaki Primi Ordines na ramieniu.

Zanim Kit zdążył coś powiedzieć, Diego i Kieran zniknęli w wirze jasnego światła.

* * *

Strażnicy rzucili się do podium, kiedy Jia wyciągnęła ręce, żeby złapać upadającego Roberta. Jej twarz była maską zgrozy. Osunęła się na kolana, sięgając po stelę. Po chwili rysowała *iratze* na bezwładnej ręce Roberta.

Jego krew zbryzgała ich oboje i rozlała się powolną kałużą szkarłatu.

– Annabel! – Głos Juliana był ledwie szeptem wyrażającym przeszywający go do szpiku kości wstrząs.

Emma widziała bezmiar poczucia winy, jaki rozwierał się u jego stóp. Zaczął szarpać się szaleńczo ze strażnikami.

– Puśćcie mnie, puśćcie!

– Nie podchodź! – krzyknęła Jia. – Niech nikt się nie zbliża!

Kłęczą obok Roberta z rękami mokrymi od krwi, próbując raz za razem narysować leczniczy run na jego skórze.

Dwaj strażnicy wbiegli schodami i zatrzymali się niepewnie, słysząc jej słowa. Annabel w zbryzganej krwią niebieskiej sukience trzymała przed sobą Miecz Anioła jak osłonę. Krew Roberta już wsiąkała w ostrze jak w porowaty kamień chłonący wodę.

Julian wyrwał się strażnikom i wskoczył na zakrwawione podium. Emma zerwała się na nogi. Cristina złapała ją za tył koszulki, ale bez skutku: Emma już wspinała się na wąskie oparcie ławki.

Dzięki niech będą Aniołowi za długie godziny ćwiczeń na belkach sufitowych w pokoju treningowym, pomyślała i pobiegła. Zeskoczyła z końca ławki do przejścia. Rozległy się za nią krzyki, ryk narastał jak fale. Nie zważała na nie. Julian powoli wyprostował się przed Annabel.

– Nie podchodź! – wrzasnęła Annabel, wymachując Mieczem Anioła. Miecz jarzył się, wręcz pulsował światłem... Czy też Emmie tylko się wydawało? – Nie podchodźcie do mnie!

– Annabel, przestań – poprosił spokojnie Julian, unosząc dłonie i pokazując, że są puste. Puste? Emma zastanawiała się, gdzie się podział jego miecz, jego broń. Patrzył na Annabel z niewinną miną. – To tylko pogorszy sytuację.

Annabel miała kłopoty z oddychaniem.

– Kłamca. Odsuń się, odsuń się ode mnie.

– Nigdy cię nie okłamałem...

– Powiedziałeś mi, że oddadzą mi posiadłość Blackthornów! Powiedziałeś, że Magnus mnie ochroni. I patrz! – Machnęła ręką, wskazując całą salę. – Dla nich jestem splugawiona, pogardzana, jestem przestępczynią.

– Nadal możesz wrócić – mówił zdumiewająco spokojnie Julian. – Odłóż miecz.

Przez chwilę Annabel się wahała. Stojąca u stóp podwyższenia Emma widziała, jak Annabel zaczyna wypuszczać z rąk Miecz Anioła...

Jia się wyprostowała. Jej szaty były mokre od krwi Roberta, stela zwieszała się bezwładnie w ręku.

– Nie żyje.

To było jak klucz obracany w zamku klatki, który uwalnia wszystkich jej mieszkańców: strażnicy z bronią w rękach rzucili się na schody i w stronę Annabel, która obróciła się z nieludzką szybkością i cięła ich obu przez pierś. Rozległy się krzyki, gdy strażnicy upadli na ziemię. Emma wbiegła po schodach, wyciągając Cortanę i zasłaniając Juliana.

Stąd widziała całą Salę Narad. Trwała walka. Niektórzy uciekali do drzwi. Blackthornowie i Cristina wstali, walczyli, żeby zbliżyć się do podium, ale szereg strażników ich powstrzymywał. Na oczach Emmy Livvy przemknęła pod ręką strażnika i zaczęła przepychać się ku nim. Trzymała dwuręczny miecz.

Emma spojrzała na Annabel. Było jasne, że coś w niej pękło. Jej oczy stały się puste, martwe, niewidzące. Patrzyła przez Emmę na wskroś. Alec wpadł do sali i spojrzał na podwyższenie. Na jego twarzy malowały się wstrząs i rozpacz.

Emma oderwała od niego wzrok, kiedy Annabel skoczyła na Juliana jak kot, tnąc mieczem powietrze przed sobą. Zamiast unieść Cortanę, żeby zablokować jej cios, Emma rzuciła się w bok i obaliła Juliana na wypolerowaną podłogę podwyższenia.

Przez chwilę leżeli razem, ciało przy ciele. Emma wyraźnie poczuła przepływającą w nią siłę *parabatai*. Miecz Anioła opadł znowu i oboje odskoczyli od siebie wzmocnieni. Klinga przecięła drewno u ich stóp.

Krzyki wypełniły salę. Emmie wydawało się, że Alec woła do Roberta:

– Tato, proszę, tato!

Pomyślała o gobelinie w gabinecie Roberta. Pomyślała o Isabelle. Obróciła się z Cortaną w ręce i uderzyła płazem w Maellartacha.

Oba miecze zadygotały. Annabel cofnęła swój oręż, w jej oczach zapłonęła dzikość. Ktoś wołał do Juliana. To Livvy podbiegła do podwyższenia.

– Livvy! – wrzasnął Julian. – Livvy, wynoś się stąd...

Annabel znowu się zamachnęła. Emma uniosła Cortanę, zablokowała cięcie, skróciła dystans i znowu uderzyła w miecz Annabel z siłą całego ciała. Klingi zderzyły się z ogłuszającym szczękiem.

Miecz Anioła pękł.

Pękł zygzakiem i górna część odpadła. Annabel wrzasnęła i zatoczyła się do tyłu, czarny płyn polał się ze złamanego miecza jak sok ze ściętego

drzewa.

Emma padła na kolana. Miała wrażenie, że błyskawica uderzyła w rękę, w której trzymała Cortanę. Nadgarstek jej wibrował, dzwonięcie przeniknęło ją aż do szpiku kości, aż całe jej ciało dygotało. Spanikowana złapała rękojeść Cortany w prawą dłoń, przysięgając sobie, że jej nie wypuści.

– Emma!

Julian też trzymał rękę sztywno, jakby był ranny.

Wibracje słabły. Emma próbowała wstać, potknęła się. Zagryzła usta z frustracji. Jak własne ciało śmiało ją zdradzić!

– Nic mi... nic mi nie jest.

Livvy zdusiła okrzyk na widok strzaskanego Miecza Anioła. Dotarła na podwyższenie. Julian wyciągnął rękę. Livvy rzuciła mu swój miecz. Julian zgrabnie złapał broń w locie i obrócił się do Annabel, która wpatrywała się w zniszczoną broń w swoich rękach. Pani Konsul widziała, co się stało, i teraz podchodziła do nich.

– To koniec, Annabel – powiedział Julian. Nie triumfował. Był zmęczony. – To koniec.

Annabel warknęła gardłowo i zaatakowała. Julian uniósł miecz, ale Annabel przebiegła obok niego. Jej czarne włosy jakby szybowały wokół niej. Odbiła się od ziemi i przez chwilę była naprawdę piękna – Nocna Łowczyni w całej swojej chwale – a potem wylądowała lekko na drewnianej podłodze i wbiła wyszczerbioną połówkę klingi w serce Livvy.

Livvy wytrzeszczyła oczy. Jej usta ułożyły się w kształt litery O, jakby była zdumiona czymś małym i zaskakującym – jak mysz na blacie kuchennym, przewrócony wazon z kwiatami, zepsuty zegarek. Nic wielkiego. Nic strasznego.

Annabel cofnęła się, dysząc ciężko. Nie wyglądała już pięknie. Jej sukienka i całe ramię były złane czerwienią i czernią.

Livvy uniosła rękę i ze zdziwieniem dotknęła wystającej z piersi rękojeści miecza. Policzki jej poczerwieniały.

– Tiberius? – szepnęła. – Tiberusie, ja...

Kolana się pod nią ugięły. Zwaliała się ciężko na plecy. Ostrze było jak wielki, brzydki insekt, który przywarł do jej piersi, metalowy komar wysysający krew, która wypływała z rany. Czerwień mieszająca się z czernią

z miecza rozlewała się po podłodze.

Z przejścia pomiędzy ławkami w Sali Narad Ty spojrział w jej stronę. Jego twarz przybrała kolor popiołu. Emma nie miała pojęcia, czy był w stanie coś zobaczyć wśród tego nieprzebranego tłumu – czy widział siostrę, czy wie, co się stało – ale uniósł ręce do piersi i przycisnął je do serca. Padł na kolana bezgłośnie, tak jak wcześniej Livvy, i osunął się na ziemię.

Julian wydał z siebie jakiś dźwięk. Dźwięk, którego Emma nie potrafiła opisać; nie był na tyle ludzki, żeby uznać go za krzyk albo wycie. Brzmiało to tak, jakby coś brutalnie rozerwało mu pierś i coś z niej wyrwało. Upuścił miecz, dla którego podania Livvy tyle ryzykowała, i na klęczkach podczołgał się do niej. Wciągnął ją sobie na kolana.

– Livvy, Livvy, moja Livvy – szeptał, tuląc ją i gorączkowo odsuwając mokre od krwi włosy z jej twarzy.

Tyle krwi. Po kilku sekundach był w niej już cały. Przesiąkła przez ubranie Livvy, nawet buty.

– Livia.

Ręce mu się trzęsły. Wyciągnął stelę i przyłożył do jej ręki.

Emma czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Pewne rany przekraczały potęgę *iratze*. Lecznicze runy zwyczajnie znikają ze skóry, gdy w grę wchodzi okultystyczna trucizna. Albo kiedy ktoś już nie żył.

– Livia. – Głos Juliana przybierał na sile, łamiąc się i wznosząc jak fale daleko na morzu. – Livvy, moja maleńka, proszę, kochanie moje, otwórz oczy, to ja, Jules, jestem tu przy tobie, zawsze będę przy tobie, proszę, proszę...

Czerń eksplodowała za oczami Emmy. Ból w jej ręku ulotnił się bez śladu. Nie czuła niczego poza furią, która przesłoniła wszystko inne w świecie poza Annabel: kulila się przy pulpicie i wpatrywała w Juliana tulącego ciało martwej siostry. Patrzyła na to, co zrobiła.

Emma obróciła się i podeszła do niej. Annabel nie miała dokąd uciec. Straże otoczyły podwyższenie. W sali rozpętał się chaos.

Emma miała nadzieję, że Ty stracił przytomność. Miała nadzieję, że nie widzi tego wszystkiego. W końcu się obudzi. Przewidywana zgroza tego przebudzenia pchała Emmę naprzód.

Annabel cofnęła się chwiejnie, pośliznęła i przewróciła. Uniosła głowę, kiedy Emma stanęła nad nią. Jej twarz była maską strachu.

Emma usłyszała w głowie głos Arthura. „Miłosierdzie jest lepsze od zemsty”. Ale jego głos był cichszy od szeptów Juliana i płaczu Dru.

Cięła Cortaną. Miecz rozorał powietrze, ale w tej samej chwili atramentowy dym buchnął z okna za plecami Annabel. Siła wybuchu powaliła Emmę na plecy.

Kiedy podniosła się na kolana, zobaczyła, że coś porusza się wewnątrz dymu – połysk złota, rozbłysk symbolu, który wypalił się w jej mózgu: korona złamana na pół.

Dym zniknął, a wraz z nim zniknęła Annabel.

Emma zwinęła się wokół Cortany, przyciskając ostrze do siebie, z duszą przeżartą rozpaczą. Dookoła słyszała podniesione głosy, krzyki, wrzaski. Widziała Marka pochylającego się na Ty'em, który leżał na podłodze. Ramiona Marka się trzęsły. Helen przedzierała się do nich przez tłum. Dru leżała na ziemi i płakała w stulone dłonie. Alec siedział zgarbiony pod drzwiami Sali Narad, patrząc na otaczające go zniszczenie.

A przed nią znajdował się Julian, który nie widział i nie słyszał niczego poza Livvy, tulił jej ciało do piersi. Livvy wydawała się teraz zaspą kruchego popiołu lub śniegu, czymś tymczasowym, co wpadło mu w ramiona przypadkiem – płatek kwiatu faerie, białe pióro ze skrzydła anioła. Sen o małej dziewczynce, wspomnienie siostry unoszącej ręce z okrzykiem: „Julian, weź mnie na ręce!”.

Jednakże duszy, która definiowała Livvy, już tam nie było. Odeszła daleko, w miejsce odległe i niedosiężne, mimo że Julian nieustannie gładził włosy siostry i błagał, żeby się obudziła i spojrzała na niego jeszcze ten jeden jedyny raz.

Wysoko nad Salą Narad złoty zegar zaczął wybijać godzinę.

Podziękowania

Zgarnęłam tych samych podejrzanych co zwykle: Holly Black, Maureen Johnson, Leigh Bardugo, Kelly Link, Robin Wassermann i Sarah Rees Brennan, które wsparły mnie literacko i emocjonalnie. Szczególne podziękowania dla Jona Skovrona i Anyi DeNiro, moich gwiazd przewodnich. Erin, Alyssie, Katie, Manu i Rò & Virnie, Julie, Mariane, Thiago, Raissie, Arturowi i Laurze dziękuję za to, że wywoływali u mnie uśmiech, Cathrin Langner – za pamiętanie o wszystkim, a Vivianne Hebel i Glorii Altozano Saiz za pomoc w hiszpańskim. Dziękuję Karen z okazji naszej dziesiątej rocznicy oraz Russowi i Danny'emu, nadzwyczajnym agentom. Dziękuję z całego serca rodzicom, a w szczególności Jimowi Hillowi. Dziękuję Emily Houk za to, że przeszła samą siebie. I Joshowi, jak zawsze – *Aimer, ce n'est pas se regarder l'un l'autre, c'est regarder ensemble dans la même direction.*